

**Nikos Kazantzakis**

# **Ostatnie kuszenie Chrystusa**

**(Tłumaczył Jan Wolff)**

## WSTĘP

Dwoista istota Chrystusa - ta ludzka, nadludzka tęsknota człowieka do Boga lub, ściślej mówiąc, tęsknota za powrotem do Boga i utożsamieniem się z nim - zawsze była dla mnie niezbadaną tajemnicą. Tęsknota ta, tak tajemnicza i realna równocześnie, otworzyła we mnie wielkie rany oraz głębokie, bystro płynące źródła.

Największą moją udręką, źródłem wszystkich radości i smutków już od młodych lat była ta właśnie nieustanna, bezlitosna walka ducha z ciałem.

Są we mnie ludzkie i praludzkie, odwieczne, ciemne siły Złego; są też we mnie ludzkie, świetliste siły Boga, a moja dusza jest areną, na której obie te armie spotykają się i ścierają ze sobą.

Moja udręka była olbrzymia. Kochałem swoje ciało i nie chciałem by szczęło; kochałem swą duszę i nie chciałem by upadła. Walczyłem, chcąc pogodzić te dwie pierwotne siły tak sobie przeciwne i uświadomić im, że nie są wrogami lecz kompanami, tak aby mogły radować się swą harmonią - tak bym i ja mógł radować się z nimi.

Każdy człowiek uczestniczy w boskiej naturze, tak duchem, jak i ciałem. Dlatego właśnie tajemnica Chrystusa nie jest tajemnicą przeznaczoną wyłącznie dla wyznawców jednej religii; jest uniwersalna. Walka Boga z człowiekiem zawiązuje się w każdym z nas, tak samo jak tęsknota za pojednaniem. Najczęściej walka ta jest podświadoma i krótkotrwała. Słaba dusza nie ma tyle wytrzymałości, by długo opierać się ciału. Staje się ociężałą, staje się ciałem, tym samym kładąc walce kres. Ale w wypadku ludzi odpowiedzialnych, ludzi którzy dniem i nocą zwracają oczy ku Najwyższemu Obowiązкови, konflikt między ciałem a duchem nie zna litości i może trwać aż do śmierci.

Im silniejsza dusza i ciało, tym ich walka staje się bardziej owocna i tym bogatsza jest ostateczna harmonia. Bóg nie kocha słabej duszy i zwiotczałego ciała. Duch chce być zmuszony do walki z silnym, wytrzymałym ciałem. Jest jak ciągle głodny, mięsożerny ptak; pożera i przyswaja sobie ciało, które stopniowo zanika.

Walka między ciałem a duchem, bunt i opór, pojednanie i poddanie się, wreszcie osiągnięcie najwyższego celu, zjednoczenie z Bogiem - taką drogę obrał Chrystus, który zachęca nas, byśmy podążali jego krwawym szlakiem.

Oto Najwyższy Obowiązek człowieka walczącego: rozpocząć wspinaczkę na ten

wyniosły szczyt, który zdobył pierworodny syn zbawienia, Chrystus. Od czego zacząć?

Jeśli mamy być zdolni do podążania za nim, musimy dogłębnie poznać jego konflikt i udrękę: jego zwycięstwo nad zaciskającymi się ziemskimi pętami, poświęcenie wielkich i małych ludzkich radości, nieustanne ofiary, jakie ponosił, i wielkie czyny, jakich dokonywał w drodze na Krzyż, szczyt męczeństwa.

Nigdy nie podążałem krwawym szlakiem Chrystusa na Golgotę z takim przerażeniem, nigdy nie doświadczałem jego Życia i Męki tak intensywnie jak wówczas, gdy dniami i nocami pisałem "Ostatnie kuszenie Chrystusa". Zapisując to wyznanie udręki i wielkiej nadziei ludzkości byłem tak wzruszony, że miałem oczy pełne łez. Nigdy przedtem krew Chrystusa nie spływała do mego serca tak słodko i boleśnie, kropla po kropli.

Aby wejść na Krzyż, ten szczyt poświęcenia, i znaleźć Boga, ten szczyt świata duchowego, Chrystus przeżył wszystkie etapy, które przechodzi człowiek walczący. Dlatego właśnie jego cierpienie wydaje się nam tak znajome, dlatego dzielimy je i dlatego ostateczne zwycięstwo Chrystusa wydaje się naszym własnym przyszłym zwycięstwem. Ta głęboko ludzka strona natury Chrystusa pomaga nam zrozumieć go, kochać i naśladować jego Mękę, jak gdyby była naszą własną. Gdyby nie miał w sobie tego ciepłego, ludzkiego elementu, nigdy nie dotknąłby naszych serc z taką wiarą i czułością i nie stałby się wzorem dla nas. Walczymy, widzimy jak on walczy i stajemy się silniejsi. Widzimy, że nie jesteśmy samotni na tym świecie - on walczy po naszej stronie.

Każda chwila w życiu Chrystusa to moment konfliktu i zwycięstwa. Pokonał niezwyciężony urok prostych ludzkich przyjemności; pokonał pokusy, ustawicznie przemieniał ciało w ducha i wznosił się coraz wyżej. Osiągnął szczyt Golgoty i wspinał się na Krzyż.

Jednak nawet tam nie zakończyła się jego walka. Na Krzyżu czekała pokusa - Ostatnie Kuszenie. Zamglonym oczom Ukrzyżowanego duch Zła ukazał w ułamku sekundy zwodniczą wizję spokojnego, szczęśliwego życia. Chrystusowi zdawało się, że poszedł równą, prostą drogą człowieka, ożenił się i miał dzieci. Ludzie kochali go i szanowali, a teraz, jako starzec, siedzi na progu swego domu i uśmiecha się z zadowoleniem, wspominając tęsknoty swej młodości. Jak wspaniale, jak rozsądnie postąpił wybierając drogę człowieka! Jakim szaleństwem było pragnienie, aby zbawić świat! Cóż to za radość uniknąć niedostatków, tortur i Krzyża!

Takie było Ostatnie Kuszenie, które jak błyskawica zakłóciło ostatnie chwile

życia Zbawiciela.

Ale natychmiast Chrystus potrząsnął gwałtownie głową, otworzył oczy i zrozumiał. Nie, nie jest zdrajcą, Bogu chwała! Nie jest dezercerem. Wykonał misję, którą powierzył mu Pan. Nie ożenił się, nie miał szczęśliwego życia. Osiągnął szczyt poświęcenia: zawisł przybity do Krzyża.

Z zadowoleniem zamknął oczy. I wtedy rozległ się wielki triumfalny krzyk: Wykonało się!

Innymi słowy: wypełniłem swój obowiązek, zostałem ukrzyżowany, nie uległem pokusie...

Napisałem tę książkę, bo chciałem przedstawić człowiekowi walczącemu najwyższy wzór; chciałem pokazać mu, że nie wolno bać się bólu, pokusy lub śmierci - bo wszystko to można pokonać, to już zostało pokonane. Swoim cierpieniem Chrystus uświęcił ból. Pokusa walczyła o niego aż do ostatniej chwili, ale i ona poniosła klęskę. Chrystus umarł na Krzyżu i w tym momencie śmierć została pokonana na zawsze.

Każda przeszkoda na jego drodze stawała się kamieniem milowym, źródłem kolejnego triumfu. Mamy teraz przed sobą wzór - wzór, który swym światłem wyznacza nam drogę i daje siłę.

Moja książka nie jest biografią; jest wyznaniem każdego, kto walczy. Wydając ją, spełniłem swój obowiązek, obowiązek człowieka, który stoczył wiele walk i przeżył wiele gorzkich chwil, i miał wielkie nadzieje.

Jestem pewny, że każdy wolny człowiek, który przeczyta tę tak pełną miłości książkę, będzie bardziej niż kiedykolwiek i lepiej niż kiedykolwiek kochał Chrystusa.

*N. Kazantzakis*

## ROZDZIAŁ I

Ogarnął go chłodny niebiański powiew. Nad jego głową rozkwitły tysiące gwiazd; na ziemi para unosiła się z kamieni rozgrzanych żarem upalnego dnia. Niebo i ziemia tchnęły spokojem i słodką, głęboką ciszą odwiecznych odgłosów nocy, które zapadały w wieki milczenia. Panowała ciemność, zbliżała się północ. Słońce i księżyc, oczy Boga, były niewidoczne, zamknięte we śnie, a młody człowiek, którego umysł unosiła łagodna bryza, pogrążył się w błogiej medytacji. Lecz gdy myślał - jakaż samotność, co za raj! - nagle wiatr zmienił kierunek i przybrał na sile; nie był to już niebiański powiew, ale smrodliwy, mazisty wyziew, jak gdyby w gęstych zaroślach czy wilgotnym sadzie u jego stóp bezskutecznie próbowało zasnąć jakieś zdyszane zwierzę. Powietrze stało się gęste i niespokojne. Ciepławe oddechy ludzi, zwierząt i elfów mieszały się z ostrym odorem kwaśnego ludzkiego potu, świeżo wyjętego z pieca chleba i olejku laurowego, który kobiety wcierały sobie we włosy.

Czuło się to wszystko, ale nic nie było widać. Dopiero po chwili oczy zaczęły powoli przyzwyczajać się do mroku, skąd wyłamał się najpierw srogi, prosty kształt cyprysu ciemniejszego niż noc, potem kępa palm daktylowych przypominających fontannę i kołyszących się na wietrze, a na końcu prawie pozbawione liści drzewa oliwkowe, które błyszcząły srebrzyście w ciemności. W plamie zieleni w tle widać było grupę pobielonych, nędznych chat, stojących razem bądź pojedynczo, zbudowanych z nocy, błota i cegieł. Zapach i brud sprawiały wrażenie, że ludzkie postaci śpią na dachach, niektóre pod białymi prześcieradłami a inne odkryte.

Cisza zniknęła. Błogą, bezludną noc przeppełnił ból. Ludzkie dłonie i stopy skręcały się, nie mogąc znaleźć ukojenia. Serca wzdychały. Rozpaczliwe, uparte krzyki z setek ust łączyły się w niemym chaosie, próbując wyrazić to, co czują. Ale ich wołanie rozpraszało się i ginęło w bezładnym majaczeniu.

Nagle z najwyższego dachu dobiegł ostry, rozrywający serce krzyk:

- Panie Izraela, Panie Izraela, Adonai, jak długo jeszcze?

To nie jeden człowiek lecz cała wieś śniła i krzyczała, cała ziemia izraelska kryjąca kości zmarłych i korzenie drzew, ziemia izraelska bezskutecznie usiłująca zrodzić nowe życie.

Po długiej chwili ciszy powietrze między ziemią a niebem ponownie rozerwał krzyk, tym razem bardziej gniewny i pełen żalu:

- Jak długo jeszcze? Jak długo?

Psy we wsi zbudziły się z głośnym ujadaniem, a na płaskich, glinianych dachach przerażone kobiety kryły twarze w ramionach swoich mężów.

Młodzieniec drgnął we śnie na odgłos krzyku; sen spłoszył się i zaczął umykać. Góra odsłoniła swoje wnętrze. Grupa olbrzymich, gniewnych mężczyzn wielkimi krokami podążała na szczyt. Ich wąsy, brody, brwi i wielkie, długie ręce wydłużały się w jego umyśle w delikatne nici i rozpląwały jak chmury rozganiane przez wiatr. Jeszcze chwila, a zniknęłyby zupełnie z jego myśli.

Jednak zanim to nastąpiło, głowa zaczęła mu ciążyć i znów zapadł w głęboki sen. Góra na powrót stała się skałą, a chmury ciałem i kośćmi. Usłyszał sapanie i pospieszne kroki; na szczycie pojawił się rudobrody mężczyzna. Miał białe stopy, czerwoną twarz i pocił się niemiłosiernie. Za nim podążał liczny tłum, wciąż skryty między ostrymi skałami zbocza. Niebo było znów solidną kopułą, ale teraz wisiała na nim tylko jedna, wschodnia gwiazda, wielka jak ogniste wrota. Wstawał dzień.

Młodzieniec leżał na posłaniu z trocin, oddychając głęboko i odpoczywając po pracowitym dniu. Podniósł na chwilę powieki, jak gdyby uderzony światłem Gwiazdy Porannej, ale nie obudził się: jeszcze raz ogarnął go sen. Śniło mu się, że rudobrody mężczyzna zatrzymał się. Pot spływał mu spod pach, z nóg i z wąskiego, pociętego głębokimi zmarszczkami czoła. Śliniąc się z wysiłku i gniewu chciał cisnąć przekleństwo, ale opanował się i tylko wymamrotał ponuro:

- Jak długo, Adonai, jak długo?

Jego gniew nie wygasł jednak zupełnie. Odwrócił się i ruszył naprzód szybkim jak błyskawica krokiem.

Góry wsiąkły w ziemię, ludzie zniknęli. Sen przeniósł się w inne miejsce i młodzieniec zobaczył teraz Ziemię Obiecaną, jak haftowane powietrze, wielokolorowe, bogato zdobione i drżące. Na południu, jak grzbiet leoparda, rozciągała się pustynia Idumea. Dalej trujące i gęste Morze Martwe pochłaniało światło. Jeszcze dalej znajdowało się nieludzkie Jeruzalem, otoczone z każdej strony przykazaniami Jahwe. Jego ulicami płynęła krew ofiar Boga - jagniąt i proroków. Potem przed oczami stanęła mu Samaria, nieczysta, zamieszkała przez bałwochwalców, z kobietą wyciągającą wodę ze studni, a zupełnie na północy, pokryta zielenią, słoneczna, skromna Galilea. Jeden koniec snu łączyła z drugim rzeka Jordan, królewska arteria Boga, która przepływa przez piaszczyste nieużytki i urodzajne sady, mija Jana Chrzciciela i heretyków, nierządnicę i rybaków z Genezaret, obmywając obojętnie ich

wszystkich.

Młody mężczyzna radował się w swoim śnie, widząc świętą wodę i ziemię. Wyciągnął rękę, żeby ich dotknąć, ale Ziemia Obiecana utkana z rosy, wiatru i odwiecznych ludzkich pragnień, oświetlona jak róża o świcie, nagle zniknęła w ciemności, rozwiała się. Kiedy znikła, usłyszał wrzaskliwe przekleństwa i dostrzegł sporą gromadę ludzi wyłaniających się spoza ostrych skał. Byli niepodobni do postaci z poprzedniego snu. Nocne olbrzymy skarłowaciały, pomarszczyły się i poskręcały. Były teraz sapiącymi karłami, gnomami z trudem łapiącymi oddech, a ich brody wlokły się po samej ziemi. Każdy z nich niósł dziwne narzędzie tortur. Niektórzy trzymali zakrwawione skórzane pasy wysadzone żelazem, inni noże i ościenie, jeszcze inni grube gwoździe o szerokich łbach. Trzech karłów, których pośladki prawie dotykały ziemi, niosło masywny, ciężki krzyż, a na końcu podążał najohydniejszy z całej grupy, zezowaty pokurcz z cierniową koroną w rękach.

Rudobrody pochylił się, popatrzył na nich i potrząsnął głową z niesmakiem. Śpiący młodzieniec usłyszał jego myśli: "oni nie wierzą".

Przywódca wyciągnął przed siebie owłosione ramię.

- Patrzcie - powiedział wskazując równinę w dole, pokrytą porannym szronem.

- Nic nie widzimy, Kapitanie. Za ciemno.

- Nic nie widzicie? Dlaczego w takim razie nie wierzycie?

- Wierzymy, Kapitanie, wierzymy. Dlatego jesteśmy z tobą, tylko nic nie widzimy.

- Popatrzcie jeszcze raz!

Obniżając dłoń jak miecz, przeszył mroźny szron poranka i odkrył leżącą pod nim równinę. W dole budziło się błękitne jezioro. Uśmiechało się i błyszczało zsuwając z siebie kołdrę mrozu. Wielkie gniazda pełne jaj - wsi i osady - skrzyły się olśniewającą bielą pod daktylowcami na kamienistych brzegach jeziora i pośrodku zbożowych pól.

- On jest tam - powiedział przywódca wskazując dużą wieś otoczoną zielonymi łąkami. Górujące nad nią trzy wiatraki obracały swe skrzydła.

Na ciemnej twarzy śpiącego ukazał się nagle przestach. Sen przycupnął na jego powiekach i nie chciał go opuścić. Przetarł dłonią oczy, ale choć za wszelką cenę starał się obudzić, nie mógł. To tylko sen, myślał, muszę się obudzić i uciekać. Ale drobne sylwetki wciąż krążyły uparcie wokół niego i nie chciały odejść. Rudobrody o dzikiej twarzy przemawiał teraz do nich potrząsając groźnie palcem w kierunku

leżącej w dolinie wsi.

- Tam! Tam się ukrywa, bosy, ubrany w łachmany. Udaje cieślę; udaje, że nie jest tym, kim jest. Chce się uratować, ale nam nie ucieknie: dostrzegły go oczy Boga. Za nim, chłopcy!

Uniósł stopę, ale karły przywarły kurczowo do jego ramion i nogi. Opuścił stopę z powrotem.

- Kapitanie, wielu odzianych jest w łachmany, wielu bosonogich, wielu cieśli. Powiedz nam kim on jest, jak wygląda, gdzie mieszka, żebyśmy mogli go rozpoznać. Inaczej nie ruszymy się z miejsca. Musisz to wiedzieć. Nie ruszymy się, jesteśmy wyczerpani.

- Przytulę go do piersi i pocałuję. To będzie znak dla was. Naprzód, biegiem! Ale spokojnie, bez krzyku. Teraz śpi. Nie wolno go obudzić, bo ucieknie. W imię Boga, chłopcy, za nim!

- Za nim, Kapitanie! - zawtórowały mu karły jednym głosem, podnosząc gotowe do marszu swoje wielkie stopy.

Lecz jeden z nich, kościsty, zezowaty garbus, który trzymał cierniową koronę, chwycił kolczasty krzew i zaprotestował.

- Nigdzie nie idę - zawołał. - Dosyć tego! Jak długo już na niego polujemy? Przez ile krajów i wsi już przeszliśmy? Policzcie: na pustyni przeszukiwaliśmy jeden klasztor po drugim, byliśmy w Betanii, gdzie prawie zabiliśmy biednego Łazarza, doszliśmy do Jordanu, ale Chrzciciel odesłał nas mówiąc: "Nie jestem tym, którego szukacie, wynoście się!" Przybyliśmy do Jeruzalem, przeszukaliśmy świątynię, pałace Annasza i Kajfasza, wieś faryzeuszy, nie znaleźliśmy nikogo! Nikogo oprócz różnych łotrów, kłamców, rabusiów, nierządnic i morderców! Wyruszyliśmy znowu, aż dotarliśmy do Galilei. Od chaty do chaty szukaliśmy najbardziej cnotliwego, najbardziej bogobojnego. Za każdym razem, gdy go znajdowaliśmy, wołaliśmy: "To ty, dlaczego się ukrywasz? Powstań i ocal Izraela!", ale jak tylko zobaczył nasze narzędzia krew stawała mu w żyłach. Kopał, tupał, wrzeszczał: "To nie ja, nie ja!" rzucał się ze strachu w życie wypełnione kobietami, hazardem i winem. Upijał się, bluźnił, łajdaczył tylko po to, by przekonać nas, że jest grzesznikiem, a nie tym, którego szukamy... Przykro mi Kapitanie, ale tak samo będzie tutaj. Na próżno go ścigamy. Nie znajdziemy go - jeszcze się nie narodził.

Rudobrody złapał go za kark, podniósł w górę i przytrzymał w powietrzu przez długą chwilę.



- Niewierny Tomaszu - zawołał ze śmiechem. - Niewierny Tomaszu, podobasz mi się!

Potem zwrócił się do reszty.

- On jest wolim ościeniem, a my wołami roboczymi. Wystarczy, że nas ukłuje, a nigdy nie zaznamy spokoju.

Łysy Tomasz skręcał się z bólu, kiedy rudobrody postawił go na ziemi. Śmiejąc się ponownie, ogarnął wzrokiem swoją zbieraninę włóczęgów.

- Ilu nas jest? - zapytał. - Dwunastu, z każdego szczepu Izraela. Diabły, anioły, chochliki, karły: wszystkie udane i nieudane twory Boga. Jest w czym wybierać.

Był w dobrym nastroju; jego okrągłe, jastrzębie oczy błyszczały. Wyciągając wielką rękę, zaczął chwycić jednego po drugim za ramię, gniewnie lecz z czułością. Po kolei podnosił każdego ze śmiechem do góry i oglądał od stóp do głów.

- No proszę, sknera, drapieżny nos, opętany zyskiem nieśmiertelny syn Abrahama. ... A ty, śmiałku, gaduło, obżartuchu. ... I ty, pobożny mięczaku: nie mordujesz, nie kradniesz, nie łajdaczysz się tylko ze strachu. Wszystkie twoje cnoty to córki strachu.... I ty, osłe, którego złamali batem: trwasz pomimo głodu, pragnienia, chłodu i bicza. Pracowity, pozbawiony szacunku dla samego siebie wylizujesz dno garnka. Wszystkie twoje cnoty to córki biedy. ... I ty, przebiegły lisie: stoisz obok jaskini lwa, jaskini Jahwe i nie wchodzisz do środka. ... I ty, naiwna owieczko, beczysz i krocysz za Bogiem, który cię pożre. ... I ty, synu Lewiego: szarlatanie, kramarzu, który sprzedaje Boga na uncje, oberżysto, który stawia ludziom Boga tak jak wino, żeby ich zamroczyło po to, by otworzyli przed tobą swe sakiewki i serca - łotrze nad łotrami! ... I ty, złośliwy, fanatyczny, uparty asceto: patrzysz na swoją gębę i tworzysz Boga, który jest złośliwy, fanatyczny i uparty. Potem padasz na ziemię i modlisz się do niego, bo jest podobny do ciebie.... I ty, którego nieśmiertelna dusza otworzyła sklep: siedzisz na progu, wsadzasz rękę do sakiewki, dajesz jałmużnę biednym, pożyczasz Bogu. Prowadzisz rejestr i piszesz: Dałem tyle florenów takiemu, a takiemu takiego, a takiego dnia, o takiej, a takiej godzinie. Kazałeś włożyć rejestr do swojej trumny, żebyś mógł go otworzyć przed Bogiem, pokazać swój rachunek i zebrać nieśmiertelne miliony. ... I ty, twórco opowieści: depczesz wszystkie przykazania Pana, mordujesz, kradniesz, cudzołożysz, a potem wybuchasz płaczem, bijesz się w pierś, bierzesz gitarę i zamieniasz grzech w pieśń. Przebiegły diable, wiesz bardzo dobrze, że Bóg przebacza śpiewakom bez względu na to co robią, bo po prostu kocha pieśni ... I ty, Tomaszu, ostry ościeniu w naszym zadzie. ... I ja, ja: szalony; nieodpowiedzialny głupiec,

któremu szaleństwo zamąciło umysł tak, że opuściłem żonę i dzieci, żeby szukać Mesjasza! Wszyscy razem - diabły, anioły, karły - wszyscy jesteście nam potrzebni w naszej wielkiej sprawie! ... Naprzód chłopcy!

Zaśmiał się, splunął w dłonie i ruszył przed siebie.

- Naprzód! - zawołał jeszcze raz i zaczął zbiegać w dół po zboczach prowadzącym do Nazaretu.

Góry i mężczyźni zamienili się w dym i zniknęli. Oczy śpiącego wypełniał mrok. Nareszcie w swym nie kończącym się śnie nie słyszał nic oprócz wielkich, ciężkich stóp zmierzających ku podnóżu góry.

Jego serce łomotało dziko. Usłyszał dolatujący z własnej głębi przesywający krzyk: Nadchodzą! Nadchodzą! Zrywając się z przerażeniem (tak wydawało mu się we śnie), zabarykadował drzwi warsztatem stolarskim i umieścił na nim wszystkie narzędzia - piły, strugi, topory, młotki, wkrętaki - a także masywny krzyż, nad którym właśnie pracował. Potem okrył się wiórami i kawałkami drewna i czekał.

Panował dziwny, niepokojący spokój - gęsty i duszący. Nic nie słyszał, nawet oddechów mieszkańców wioski, a jeszcze mniej Boga. Wszystko, nawet czujny diabeł, utonęło w ciemnej, bezdennej, wyschniętej studni. Czy to był sen? A może śmierć, nieśmiertelność, Bóg? Młodego mężczyznę ogarnął strach; ze wszystkich sił próbował dosięgnąć swego tonącego umysłu w poszukiwaniu ocalenia i obudził się.

Był zlany potem. Nie pamiętał nic ze swego snu. Jedynie to, że ktoś na niego polował. Kto? ... Jeden? Wielu? ... Ludzie? Szatan? Nie potrafił sobie przypomnieć. Nastawił uszu i zaczął nasłuchiwać. W nocnej ciszy słychać było oddech wioski: oddech wielu piersi, wielu dusz. Jakiś pies zaszczekał smutno; od czasu do czasu drzewo zaszumiało na wietrze. Na skraju wioski matka kołysała do snu swoje dziecko, powoli, czule ... Noc wypełniła się mruzeniem i westchnieniami, które znał i kochał. Ziemia przemawiała, Bóg przemawiał, a młodzieniec uspokajał się. Przez chwilę bał się, że pozostał na świecie zupełnie sam.

Z izby obok dochodziło posapywanie jego starego ojca. Nieszczęśnik nie mógł spać. Pracowicie otwierał usta i zamykał je, usiłując coś powiedzieć. Od lat zamęczał się w ten sposób, próbując wydać z siebie ludzki dźwięk, ale był sparaliżowany i nie mógł zapanować nad swoim językiem. Mozolił się, pocił, ślinił i tylko czasami po ciężkiej walce udawało mu się wypowiedzieć jedno słowo, artykułując każdą sylabę osobno - jedno słowo, jedno jedyne, zawsze takie samo: A-do-na-i, A-do-na-i. Nic innego, tylko Adonai ... Gdy skończył je wymawiać, uspokajał się na godzinę, dwie, a

potem znowu rozpoczynał tę samą walkę, otwierając i zamykając usta.

- To moja wina ... moja wina - wyszeptał młody mężczyzna, a oczy wypełniły mu się łzami.

W nocnej ciszy syn usłyszał udrękę ojca i sam przepełniony bólem zaczął mimo woli pocić się, chwytając powietrze ustami. Zamknął oczy i słuchał tego co robi ojciec, starając się go naśladować. Razem ze starcem wzdychał, wydawał rozpaczliwe, nieartykułowane dźwięki, aż zasnął raz jeszcze.

Gdy tylko ogarnął go sen, dom zatrzęsł się gwałtownie, warsztat przewrócił, narzędzia i krzyż spadły i potoczyły się po podłodze, a na progu pojawił się wielki, śmiejący się dziko rudobrody mężczyzna z rozpostartymi szeroko ramionami.

Młodzieniec krzyknął i obudził się.

## **ROZDZIAŁ II**

Usiadł wyprostowany na trocinach i oparł się plecami o ścianę. Nad jego głową wisiał rzemień nabijany podwójnym rzędem ostrych gwoździ. Co wieczór przed snem chłostał nim swoje ciało aż do krwi, aby wygnać z siebie zuchwałość i zapewnić sobie spokojną noc. Wstrząsnął nim lekki dreszcz. Nie mógł sobie przypomnieć, jakie pokusy nawiedziły go znów we śnie, ale czuł, że uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

- Nie wytrzymam dłużej, mam już dość - wymamrotał wznosząc oczy ku niebu i westchnął. Światło rodzącego się dnia, niepewne i blade, wśliznęło się przez szczeliny w drzwiach i nadało sufitowi z delikatnej żółtej trzciny szklistą słodycz, upodabniając go do cennej kości słoniowej.

- Nie wytrzymam dłużej, mam już dość - wymamrotał znowu zaciskając zęby z oburzenia. Skupił wzrok na powietrzu przed sobą i nagle przesunęło się przed nim całe jego życie: laska ojca, która zakwitła w dniu jego zaręczyn, potem błyskawica, która poraziła narzeczonego i sparaliżowała go, i to, jak potem jego matka wpatrywała się w niego, jej własnego syna, nie mówiąc ani słowa.

Słyszał tylko jej niemą skargę - ona miała rację! Dniem i nocą jego grzechy kłuły go w serce jak noże. Na próżno próbował przez ostatnie kilka lat pokonać Strach, jedyne diabła, jaki pozostał. Wszystkie inne zwyciężył - nędzę, pożądanie w stosunku do kobiet, radości młodego wieku, szczęście ogniska domowego. Pokonał je wszystkie - wszystkie oprócz Strachu. Gdyby tylko udało się go też pokonać, gdyby tylko mógł... Teraz był już mężczyzną: nadeszła wyznaczona godzina.

- Paraliż mojego ojca to moja wina - szepnął. - To z mojej winy Magdalena została kobietą upadłą, to moja wina, że Izrael nadal jęczy pod jarzmem niewoli...

Jakiś kogut - na pewno z przyległego domu, w którym mieszkał jego wuj, rabin - bił skrzydłami o dach piejąc ze złością. Najwyraźniej sprzykrzyła mu się noc, która trwała już zbyt długo, i wzywał słońce, by się wreszcie ukazało.

Młodzieniec oparł się plecami o ścianę i słuchał. Domy wypełniały się światłem, otwierały się drzwi, ulice wzbierały życiem. Stopniowo poranny szmer wznosił się znad ziemi i drzew i wydostawał poprzez szczeliny w ścianach: miasto Nazaret budziło się ze snu. Nagle, z przyległego domu dobiegł głęboki jęk, a zaraz potem rozległ się dziki wrzask rabina. Rabin budził Boga, przypominając mu o obietnicach, jakie złożył Izraelowi.

- Boże Izraela, Boże Izraela, jak długo jeszcze? - wołał rabin, a młodzieniec słyszał, jak jego kolana uderzają szybko i zdecydowanie o deski podłogi.

Potrząsnął głową.

- Modli się - szepnął - korzy się przed Bogiem. Zaraz zaczniesz walić w ścianę, żebym i ja zrobił to samo. Zmarszczył gniewnie brwi.

- Nie dość, że walczę z Bogiem, to jeszcze muszę znosić ludzi! - Walnął pięścią w dzielącą ich ścianę, żeby pokazać zawziętemu rabinowi, że też już nie śpi. Zerwał się z posłania. Jego wielokrotnie łątana tunika zsunęła się z ramienia, odsłaniając ciało: szczupłe, spalone słońcem, pokryte czerwonymi i czarnymi pręgami. Zawstydzony, czym prędzej owinął szatą swoją nagość.

Blade poranne światło wpadło przez otwór w dachu i oświetliło łagodnie jego twarz. Cały ten upór, dumę i cierpienie ... Meszek na jego podbródku i policzkach nie wiadomo kiedy zmienił się w kędzierzawą, czarną jak węgiel brodę. Miał orli nos i grube, lekko rozchylone wargi, które ukazywały błyszczącą biel zębów. Nie była to piękna twarz, ale miała w sobie pewien skryty, niepokojący urok. Czy były temu winne jego rzęsy? Gęste i niezwykle długie, rzucały dziwny, niebieskawy cień na całą twarz. A może było tak za sprawą jego oczu? Duże i czarne, pełne światła i ciemności wyrażały nieśmiałość i słodycz. Migocząc jak oczy węża, spoglądały spoza długich rzęs i przyprawiały rozmówcę o zawrót głowy.

Otrzeptał trociny z brody i z włosów pod pachami.

Usłyszał odgłos ciężkich kroków. Kroki zbliżały się, poznał je.

- To on, znowu tu idzie - jęknął z niesmakiem. - Czego on ode mnie chce?

Podszedł na palcach do drzwi, ale nagle zatrzymał się w połowie drogi z

przerażeniem. Kto podsunął warsztat do drzwi i położył na nim krzyż i narzędzia? Kto? Kiedy? Noc była pełna złych duchów, pełna snów. Dla nich nie ma zamkniętych drzwi, wchodzą i wychodzą podczas gdy śpimy i wywracają nasze domy i umysły do góry nogami.

- Ktoś był tu zeszłej nocy - powiedział półgłosem, jakby obawiał się, że nocny gość jest nadal w izbie i może usłyszeć jego słowa. - Ktoś tu był. Na pewno Bóg ... a może szatan? Któż potrafi ich rozróżnić? Zamieniają się twarzami - czasem Bóg staje się zupełną ciemnością, a diabeł - światłem, zaś w umyśle człowieka pozostaje tylko zamęt. - Wzdrygnął się. Istniały dwie drogi. Którą powinien pójść, którą drogę wybrać?

Ciężkie kroki zbliżały się coraz bardziej. Młodzieniec rozejrzał się niespokojnie wokół, jak gdyby szukał miejsca schronienia lub ucieczki. Bał się swojego gościa i nie pragnął jego odwiedzin; w głębi duszy czuł nadal starą ranę, która wciąż nie chciała się zabliznić. Kiedyś, gdy będąc jeszcze dziećmi bawili się razem, tamten, który był od niego o trzy lata starszy, przewrócił go na ziemię i zbił. Pozbierał się i nie odezwał ani słowem, ale nigdy potem nie bawił się więcej z innymi dziećmi. Wstydził się ich i bał. Skulony, zupełnie sam na podwórzu swego domu, snuł rozmyślenia o tym, jak pewnego dnia zmyje z siebie hańbę, udowodni, że jest od nich lepszy, że nikt nie może się z nim równać. Nawet po tylu latach rana nie zablizniła się, nie przestała krwawić.

- Ciągłe mnie ściga - mruknął - ciągle. Czego on ode mnie chce? Nie wpuszczę go! - Kopnięte drzwi uchyliły się. Młodzieniec rzucił się naprzód. Zebrawszy całą swoją siłę odsunął warsztat i otworzył izbę. Na progu stał spocony olbrzym z czerwoną twarzą i kędzierzawą, rudą brodą. Ubrany w rozchełstaną koszulę, miał bose nogi. Żując trzymany w ręku kłos prażonego zboża powiódł wzrokiem po izbie, zobaczył oparty o ścianę krzyż i spochmurniał. Przekroczył próg i wszedł do środka.

Olbrzym bez słowa stanął w kącie, żując zawzięcie swój kłos. Młodzieniec odwrócił twarz od przybysza i spojrzał przez otwarte drzwi na wąską, przedwcześnie zbudzoną ulicę. Nad wilgotną, pachnącą ziemią nie unosił się jeszcze pył. Nocna rosa i światło brzasku zwieszały się z liści rosnącego naprzeciwko drzewa oliwnego: drzewo było jak uśmiech. Oczarowany młodzieniec sycił oczy porannym światłem.

Ale rudobrody zwrócił się do niego.

- Zamknij drzwi - warknął. - Mam ci coś do powiedzenia.

Młodzieniec zadrżał, gdy usłyszał pełen wściekłości głos. Zamknął drzwi i usiadł pokornie na brzegu warsztatu.

- Przyszedłem - powiedział rudobrody. - Wszystko gotowe.

Wyrzucił kłos. Wzniósł surowe, niebieskie oczy, utkwił wzrok w młodzieńcu i wyciągnął grubą, mocno pomarszczoną szyję: - A ty - też jesteś gotowy?

Zrobiło się jaśniej. Młodzieniec mógł teraz wyraźniej widzieć niespokojną twarz rudobrodego o grubych rysach. Właściwie nie była to jedna twarz lecz dwie. Gdy jedna połowa się śmiała, druga groziła; gdy jedna była przepełniona bólem, druga pozostawała nieczuła i nieruchoma. Nawet jeśli przez moment obie trwały w harmonii, nadal czuło się, że za tą harmonią trwa nieprzejednana walka Boga z szatanem.

Młodzieniec nie odpowiadał. Rudobrody spojrzął na niego z wściekłością.

- Jesteś gotowy? - zapytał ponownie. Już zaczął się podnosić, by złapać młodzieńca za ramię i wytrząść z niego odpowiedź, gdy na zewnątrz zagrzmiała trąba i wąska uliczka wypełniła się kawalerią i piechurami rzymskimi, którzy maszerowali ciężkim, rytmicznym krokiem. Rudobrody zacisnął pięść i wznosił ją pod sufit.

- Boże Izraela - ryknął - nadszedł czas! Dzisiaj! Nie jutro, dzisiaj!

Zwrócił się znów do młodzieńca.

- Jesteś gotowy? - zapytał jeszcze raz, lecz nie czekając już na odpowiedź, dodał: - Nie, nie, nie dasz im tego krzyża - ja ci to mówię! Wszyscy już czekają. Barabasz i jego ludzie zeszli z gór. Wedrzemy się do więzienia i wykradniemy zelotę. I wtedy się to stanie - nie potrząśaj głową! - wtedy stanie się cud. Zapytaj swojego wuja. Wczoraj zebrał nas wszystkich w synagodze - dlaczego to Wasza Wysokość nie przyszedł? Powstał i przemówił do nas. - "Mesjasz nie nadejdzie," powiedział "dopóki będziemy stali z założonymi rękami. Jeśli Mesjasz ma przyjść, to Bóg i ludzie muszą walczyć ramię w ramię." Oto co nam powiedział, jeśli chcesz wiedzieć. Sam Bóg to za mało i sam człowiek to też za mało. Obaj muszą walczyć razem! Słyszysz?

Potrząsnął młodzieńca za ramię.

- Słyszysz? Gdzie masz rozum? Powinieneś tam być, słuchać swojego wuja - może wtedy odzyskałbyś przytomność, biedaku! On powiedział, że zelota - tak, ten sam zelota, którego niewierni Rzymianie mają dziś ukrzyżować - może być Tym, na kogo czekamy od tyłu pokoleń. Jeśli mu nie pomożemy, jeśli nie pospieszymy mu na ratunek, wtedy on umrze nie objawiając kim jest. Ale jeśli go uratujemy, nastąpi cud. Jaki cud? On zrzuci swoje łańchmany i królewska korona Dawida załśni na jego głowie! To właśnie nam powiedział twój wuj, jeśli chcesz wiedzieć. Wszyscy płakaliśmy. Stary rabin wznosił ręce ku niebu i zawołał, "Panie Izraela, dzisiaj, nie jutro, dzisiaj!", każdy

z nas unosił ręce do nieba i wołał, groził, szlochał. "Dzisiaj! Nie jutro! Dzisiaj!" Słyszysz, synu cieśli, czy też mówię do ściany?

Młodzieniec, którego półprzymknięte oczy były utkwione w wiszącym na przeciwległej ścianie rzemieniu z ostrymi gwoździami, nasłuchiwał czegoś uważnie. Oprócz chrapliwego głosu rudobrodego, w którym brzmiała groźba, w izbie słychać było ochryple, stłumione wysiłki jego starego ojca, który daremnie otwierał i zamykał usta, próbując wydobyć z siebie słowa. Oba te głosy złączyły się w sercu młodzieńca i wtedy zobaczył nagle, że wszystkie wysiłki podejmowane przez ludzi są śmiechu warte.

Rudobrody złapał go za ramię i popchnął.

- Gdzie masz rozum, jasnowidzu? Nie słyszałeś co nam powiedział twój wuj, Symeon?

- Mesjasz nie przyjdzie w taki sposób - rzekł cicho młodzieniec. Wpatrywał się teraz w świeży krzyż, skąpany w miękkim różowym świetle poranka. - Nie, Mesjasz nie przyjdzie w taki sposób. On nigdy nie zrzuci łachmanów ani nie będzie nosił królewskiej korony. Ani ludzie, ani Bóg nie pośpieszą mu z pomocą, ponieważ nikt nie może go uratować. On umrze, umrze w swoich łachmanach i wszyscy - nawet ci najbardziej wierni - go opuszczą. Umrze samotnie na szczycie nagiej góry, mając na głowie koronę z cierni.

Rudobrody odwrócił się i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

Pół jego twarzy lśniło w świetle dnia, druga połowa pozostawała w ciemności.

- Skąd wiesz? - zapytał. - Kto ci powiedział?

Młodzieniec milczał. Było już całkiem jasno.

Zeskoczył z warsztatu, chwycił garść gwoździ i młotek, i chciał podejść do krzyża, lecz rudobrody uprzedził go. Jednym susem dopadł krzyża i zaczął z wściekłością okładać drewno pięściami i pluć na nie jak gdyby miał przed sobą człowieka. Po chwili odwrócił się. Jego broda, wąsy i brwi dotknęły twarzy młodzieńca.

- Wstydu nie masz? - zawołał. - Żaden cieśla z Nazaretu, Kany i Kafarnaum nie chce zrobić krzyża dla zeloty, a ty - nie masz wstydu, nie boisz się? A jeśli nadejdzie Mesjasz i zastanie cię przy robieniu dla niego krzyża, jeśli zelota, ten, którego mają dziś ukrzyżować, jest Mesjaszem ... Dlaczego nie miałeś odwagi odpowiedzieć centurionowi tak jak inni: "Nie robię krzyży dla bohaterów Izraela?"

Chwycił młodego cieślę za ramię.

- Dlaczego nie odpowiadasz? Na co się tak gapisz?

Przyparł go do ściany. - Jesteś tchórzem - rzucił mu w twarz pogardliwie - tchórzem, tchórzem - ja ci to mówię! Całe twoje życie nie będzie warte funta kłaków!

Piskliwy głos rozdarł powietrze. Rudobrody puścił młodzieńca, odwrócił się w stronę drzwi i nasłuchiwał. Na dworze panował zgiełk; tłum mężczyzn i kobiet kłębił się z okrzykami:

- Rzymski herold! Rzymski herold! A potem znowu piskliwy głos zabrzmiał w powietrzu:

- Synowie i córki Abrahama, Izaaka i Jakuba! Z cesarskiego rozkazu: słuchajcie! Zamknijcie swoje warsztaty i gospody, nie idźcie w pole! Matki, zabierzcie swoje dzieci! Starcy, weźcie swoje laski i chodźcie! Chodźcie, wszyscy chromi, głusi, sparaliżowani - chodźcie zobaczyć, jak ci, którzy podnoszą ręce przeciwko naszemu władcy, cesarzowi - oby żył długie lata! - zostają ukarani, zobaczcie jak umiera niekczemny buntownik, zelota!

Rudobrody otworzył drzwi, w których ukazał się oniemiały nagle tłum, zobaczył rzymskiego herolda, który stał na kamieniu - chudy, bez kapelusza, z długą szyją i cienkimi nogami - i splunął.

- Niech cię piekło pochłonie, zdrajco! - wrzasnął. Zatrzasnął z nienawiścią drzwi i zwrócił się do młodzieńca. Z jego oczu wyczierała złość.

- Możesz być dumny ze swojego brata, Szymona! - warknął.

- To nie jego wina - powiedział młodzieniec ze skruczą w głosie, - lecz moja, moja.

Umilkł na chwilę, a potem dodał:

- To przeze mnie matka wygnała go z domu, przeze mnie - i teraz...

Połowa twarzy rudobrodego złagodniała i pojaśniała na chwilę, jakby w odruchu współczucia.

- Jakże zdołasz kiedykolwiek zadośćuczynić za te wszystkie grzechy, biedaku? - zapytał.

Młodzieniec milczał przez dłuższy czas. Poruszał wargami, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Moim życiem, Judaszu, mój bracie - wykrztusił w końcu. - Nic innego nie posiadam.

Rudobrody wzdygnął się. Światło wpadało do warsztatu przez otwór w dachu. Czarne jak smoła oczy młodzieńca błyszczały, w jego głosie słyhać było gorzyc i



strach.

- Swoim życiem? - spytał rudobrody ujmując młodzieńca pod brodę. - Nie odwracaj ode mnie wzroku. Jesteś już mężczyzną, spójrz mi w oczy ... Swoim życiem? Co to znaczy?

- Nic. -

Opuścił głowę i zamilkł. Po chwili wybuchnął: - Nie pytaj mnie, nie pytaj mnie, Judaszu, mój bracie!

Judasz ścisnął twarz młodzieńca w dłoniach. Uniósł ją i przyglądał się jej przez dłuższy czas. Potem bez słowa ruszył w kierunku drzwi. Poczł w sercu nagłe wzruszenie.

Hałas na dworze nasilał się. Tupot nagich stóp i klekotanie sandałów mieszały się w powietrzu z dźwięczeniem bransolet z brązu i grubych pierścieni noszonych przez kobiety na kostkach nóg. Rudobrody stał wyprostowany na progu i obserwował tłumy, które nieprzerwanie wylewały się z wąskich zaułków. Wszyscy zmierzali na przeciwległy kraniec wioski, w stronę przekłętego wzgórza, gdzie miało się odbyć ukrzyżowanie. Mężczyźni nie rozmawiali, klęli tylko przez zaciśnięte zęby i uderzali laskami o bruk. Niektórzy ukradkiem ściskali ukryte pod koszulą noże. Kobiety piszczały. Wiele z nich zdjęło chusty z głów, rozpuściło włosy i rozpoczęło żałobne zawodzenie.

Na czele tej gromady szedł Symeon, stary rabin z Nazaretu, skurczony, zgarbiony pod ciężarem lat, powykrzywiany i zniekształcony przez złośliwą chorobę - gruźlicę, która zamieniała go w szkielet suchych kości utrzymywany w całości przez jego nieśmiertelną duszę. Dwie kościste ręce zakończone potwornymi, ptasimi szponami ściskały kapłański pastorał zwieńczony dwoma splecionymi ze sobą węzami i uderzały nim o kamienie bruku. Ten żywy trup cuchnął jak spalone miasto. Widząc płomień w jego oczach, miało się wrażenie, że jego ciało, kości i włosy - cały wyniszczony organizm - były w ogniu, a kiedy otworzył usta i zawołał: „Boże Izraela!” znad jego głowy uniósł się dym. Za nim kroczyli gęsiego przygarbieni, potężnie zbudowani przedstawiciele starszyny ze swymi laskami, krzaczastymi brwiami i rozwidlonymi brodami, z tyłu szli mężczyźni w sile wieku, a potem kobiety. Pochód zamykały dzieci z kamieniami w dłoniach; niektóre z nich miały też przewieszane przez ramiona proce. Wszyscy posuwali się naprzód z cichym, stłumionym dudnieniem przypominającym dźwięk wydawany przez morze w czasie przypływu.

Serce Judasza przepełniała дума, gdy oparty o framugę drzwi patrzył na

mężczyzn i kobiety Izraela. To oni, myślał, a krew uderzała mu do głowy, oni są tymi, którzy razem z Bogiem dokonują cudu. Dzisiaj! Nie jutro, dzisiaj!

Olbrzymia kobieta o męskiej budowie ciała oderwała się od tłumu. Ubranie zsuwało się z jej ramion, a z całej postaci biła zawziętość i szaleństwo. Schyliwszy się, porwała kamień i z całą siłą cisnęła nim w drzwi cieśli.

- Niech cię piekło pochłonie, rzymski pachółku! - krzyknęła.

Natychmiast z jednego końca ulicy na drugi poleciały okrzyki i przekleństwa, a dzieci zdjęły proce z ramion. Rudobrody zatrzasnęła z hukiem drzwi.

- Rzymski pachółek! Rzymski pachółek! - rozległo się wycie ze wszystkich stron, a drzwi zadudniły pod gradem kamieni.

Młodzieniec, klęczący przed krzyżem stuknął miarowo młotkiem wbijając nowe gwoździe; uderzał mocno, jakby chciał zagłuszyć gwizdy i przekleństwa dobiegające z ulicy. W piersiach mu wrzało, z oczu sypały się iskry. Uderzał zawzięcie, nie zważając na spływający z czoła pot.

Rudobrody ukląkł, chwycił go za ramię i gwałtownym ruchem wyrwał młotek z zaciśniętej dłoni. Uderzył krzyż, przewracając go na ziemię.

- Chcesz go skończyć?

- Tak.

- Nie masz wstydu?

- Nie.

- Nie pozwolę ci. Rozwalę go w drzazgi.

Rozejrzał się wokół i wyciągnął rękę po topór.

- Judaszu, Judaszu, mój bracie - powiedział powoli, błagalnie, młodzieniec - nie stawaj na mojej drodze. - Jego głos nabrał nagle głębi, słał się posepny, trudny do rozpoznania. Rudobrody poczuł się nieswojo.

- Na jakiej drodze? - spytał cicho. Czekał wpatrując się niespokojnie w młodzieńca. Światło padało prosto na twarz cieśli i nagi, chudy tors. Jego wargi były wykrzywione i zaciśnięte mocno, jakby starał się powstrzymać głośny krzyk. Dopiero teraz rudobrody spostrzegł jego mizerny, blady wygląd i nagle, w swoim sercu samotnika poczuł dla niego litość. Młodzieniec zdawał się spalać w oczach, z każdym dniem jego policzki zapadały się coraz głębiej. Ile czasu upłynęło od ich ostatniego spotkania? Tylko kilka dni. Tak niedawno przecież Judasz wyjechał na objazd wsi leżących w pobliżu jeziora Genezaret. Był kowalem, kuł i kształtował żelazo, podkuwał konie, wyrabiał motyki, lemiesz do pługów i sierpy. Pospieszył z powrotem do

Nazaretu na wieść o tym, że mają ukrzyżować zelotę. Przypomnił sobie, w jakim stanie zostawił swego przyjaciela cieślę i proszę, w jakim go teraz zastaje! Te spuchnięte oczy i zapadnięte skronie! I skąd wzięła się ta gorycz wokół jego ust?

- Co ci jest? - zapytał. - Dlaczego tak chudniesz? Co cię dręczy?

Młodzieniec roześmiał się cicho. Już miał odpowiedzieć, że to Bóg ale powstrzymał się. To właśnie był ten tkwiący w nim głośny krzyk ale nie chciał, by wydobył się teraz z jego ust.

- Walczę - odparł.

- Z kim?

- Nie wiem. Walczę.

Rudobrody zatopił wzrok w oczach młodzieńca. Starał się wyczytać w nich odpowiedź, błagał, groził, wszystko na próżno. Czarne jak smoła, niepocieszone i pełne strachu oczy młodzieńca milczały. Nagle Judaszowi zakręciło się w głowie. Zdawało mu się, że zobaczył w oczach cieśli kwitnące drzewa, błękit wody, tłumy ludzi, a w środku, w głębi lśniącej źrenicy, za obsypanymi kwieciami drzewami, wodą i ludźmi, ogromny czarny krzyż zajmujący całą tęczę.

Wyprostował się gwałtownie. Chciał przemówić, zapytać, czy ty możesz być... Ty? Ale jego usta zamarały. Chciał przycisnąć młodzieńca do piersi, aby go ucałować, ale jego wyciągnięte ramiona nagle zeszywniały jak drewno.

I wtedy, patrząc na rudego olbrzyma, który stał z szeroko rozpostartymi ramionami, wytrzeszczonymi oczami i nastroszoną czupryną, młodzieniec krzyknął głośno. Przerazający koszmara wychynął z głębi jego umysłu - cała gromada karłów niosących narzędzia używane przy krzyżowaniu i wznoszących okrzyki: "Za nim chłopcy!" Teraz rozpoznał ich rudobrodego kapitana - to był Judasz, Judasz kowal, który spieszył na czele z dzikim śmiechem. Usta rudobrodego poruszyły się.

- Czy to ty ... ty...? - wykrztusił.

- Ja?

Judasz nie odpowiedział. Przygryzł wargę i patrzył na niego bez słowa, a połowa jego twarzy była znowu jasno oświetlona, podczas gdy druga tonęła w ciemności. W jego umyśle kotłowały się cuda i znaki, które towarzyszyły temu młodzieńcowi od jego narodzin, a nawet wcześniej: to, że podczas swatów zakwitła tylko laska jednego kandydata, Józefa. Dlatego właśnie rabin dał mu za żonę Marię, śliczną Marię, która była poświęcona Bogu. Albo to, że potem uderzył piorun i poraził pana młodego zanim zdołał dotknąć panny młodej. I to, co później mówiono: że

panna młoda powąchała białą lilię i poczęła syna w swoim łonie. I to, że w noc poprzedzającą jego narodziny śniło się jej, że otworzyły się niebiosa, zstąpili aniołowie, usiedli jak ptaki na skromnym dachu jej domu, zbudowali gniazda i zaczęli śpiewać, podczas gdy inni weszli do izby, rozpalili ogień i zagrzali wodę na kąpiel dla mającego się narodzić dziecka, a jeszcze inni ugotowali rosół dla przykutej do łóżka kobiety...

Rudobrody zbliżył się powoli, z wahaniem i nachylił nad młodzieńcem. Jego głos był teraz przepelniony tęsknotą, błaganiem i strachem.

- Czy to ty... ty...? - zapytał ponownie, ale znowu nie śmiał dokończyć pytania.

Młodzieńcem wstrząsnął dreszcz.

- Ja? - zapytał z sarkastycznym chichotem. - Czy nie widzisz jaki jestem? Nie umiem przemawiać. Nie mam odwagi, by pójść do synagogi. Na widok ludzi uciekam. Bezwstydnie łamię Boże przykazania. Pracuję w szabat... - Podniósł krzyż, postawił go znowu prosto i chwycił młotek.

- A teraz spójrz! Robię krzyże - pomagam krzyżować ludzi! - Znowu próbował się zaśmiać.

Rudobrody czuł w głowie zamęt. Otworzył drzwi. Nowa rzesza wzburzonych wieśniaków pojawiła się na końcu ulicy - stare kobiety z włosami w nieładzie, chorzy, starcy, chromi, ślepy, trędowaci - wszystkie szumowiny z Nazaretu. Oni także wspinali się zdyszani, oni także pełzli w kierunku wzgórza, na którym krzyżowano... Zbliżała się wyznaczona godzina. "Czas, bym odszedł i dołączył do ludu" - pomyślał rudobrody - "czas, byśmy wszyscy ruszyli naprzód i odbili zelotę. Wtedy okaże się, czy to on czy nie on jest Zbawcą"... Zawahał się. Nagle poczuł zimny podmuch wiatru. "Nie" - pomyślał - "ten człowiek, którego mają dzisiaj ukrzyżować nie będzie Tym, na kogo Hebrajczycy czekają od tylu wieków. Jutro! Jutro! Jutro! Przez ile lat, Boże Abrahama, waliłeś w nas jutrem! Jutro! Więc dobrze - kiedy? Jesteśmy tylko ludźmi, dosyć już wytrzymaaliśmy"!

Wpadł znów w złość. Rzucił okiem na młodzieńca, który leżał twarzą w dół na krzyżu i wbijał gwoździe. Czy to może być on? On, ten rzymski pacholek? Boże, zawikłane i kręte są twoje drogi... Czy to może być on? Za starymi kobietami i kalekami ukazali się żołnierze rzymskiego patrolu uzbrojeni w tarcze, włócznie i hełmy z brązu. Milczący i obojętni, zaganiali to ludzkie stado, częstując Hebrajczyków niemą pogardą.

Rudobrody przyglądał się temu dzikim wzrokiem, a krew kipiała mu w żyłach. Odwrócił się do młodzieńca. Nie chciał go już więcej znać: to on był wszystkiemu winien.

- Odchodzę! - zawołał, zaciskając pięść. - A ty, ty rób co chcesz, rzymski pachołku! Jesteś tchórzem, nieponiem i zdrajcą, tak jak twój brat herold! Ale Bóg spuści na ciebie ogień, tak jak na twojego ojca i spali cię. To ci przepowiadam i niech te słowa przypominają ci o mnie!

### ROZDZIAŁ III

Młodzieniec był sam. Oparł się o krzyż i wytarł pot z czoła. Dyszał ciężko, z trudem łapiąc oddech. Przez chwilę świat wirował wokół niego, lecz potem wszystko jeszcze raz się uspokoiło. Słyszał, jak matka rozpała ogień, aby wcześniej przygotować posiłek i zdążyć wraz z innymi na ukrzyżowanie. Wszyscy sąsiedzi już poszli. Jej mąż jęczał wciąż, z trudem usiłując poruszyć językiem. W jego krtani kłębiły się bełkotliwe dźwięki. Na ulicy nie było już żywej duszy.

Gdy siedział tak, oparty o krzyż, z zamkniętymi oczyma, nie myśląc o niczym i nie słysząc niczego z wyjątkiem uderzeń swojego serca, nagle przeszył go ból. Na nowo poczuł, jak szpony niewidzialnego sępa wbijają mu się w głowę.

- Znów nadszedł, znów się pojawił - wymamrotał drżąc na całym ciele. Szpony wdierały się coraz głębiej, rozrywając czaszkę, sięgając mózgu. Zacisnął zęby, aby nie krzyczeć - nie chciał, żeby jego matka znów się wystraszyła i podniosła wrzask. Ściskając głowę rękami, trzymał ją mocno, jak gdyby bał się, że ucieknie. - Znów nadszedł, znów się pojawił - jęknął, wstrząsany dreszczami.

Pierwszy raz, ten zupełnie pierwszy raz - a miał już wtedy dwanaście lat i siedział wśród zawodzącej i pocącej się starszyny w synagodze, słuchając jak objaśniają Słowo Boże - poczuł lekkie mrowienie na czubku głowy, bardzo łagodne, niczym pieszczota. Zamknął oczy. Co za szczęście, kiedy te puszyste skrzydła chwyciły go i poniosły aż po siódme niebo! To musi być raj! - pomyślał i spod jego opuszczonych powiek i ze szczęśliwych, rozchylnych ust wypłynął głęboki, nieskończony uśmiech. Był to uśmiech, który rozpałił całą jego twarz żarliwym pragnieniem. Starcy domyślili się, że to Bóg chwycił chłopca w swoje szpony. Kładąc palce na usta, nakazali ciszę. Mijały lata. Czekał i czekał, ale pieszczota nie powracała. Aż pewnego dnia w czasie Paschy, a była wtedy cudowna, wiosenna pogoda, udał się do Kany, rodzinnej wioski swojej matki, aby wybrać sobie żonę. Matka zmusiła go do tego - chciała zobaczyć swego syna na ślubnym kobiercu. Miał już dwadzieścia lat, jego policzki były pokryte gęstym, kręconym meszkiem, a krew wrzała w nim tak gwałtownie, że nie mógł spać spokojnie. Matka widziała te udręki młodości i nakłoniła go, aby poszedł do Kany wybrać sobie narzeczoną. Stał z czerwoną różą w dłoni, patrząc na dziewczęta z wioski tańczące pod dużą, świeżo pokrytą listowiem topolą. I gdy tak wpatrywał się w nie, porównując jedną z drugą (podoobały mu się wszystkie,

ale nie miał odwagi wybrać), nagle usłyszał z tyłu chichot, podobny do zimnej fontanny tryskającej z wnętrza ziemi. Odwrócił się. W jego kierunku szła Magdalena, jedyna córka jego wuja, rabina, ubrana w czerwone sandały i pełną zbroję bransoletek na kostkach i ramionach. W uszach miała kolczyki osłonięte rozpuszczonymi włosami. Młodzieniec doznał wstrząsu:

- Jej pragnę, jej pragnę! - krzyknął i wyciągnął do niej rękę z różą. Ledwie to uczynił, dziesięć szponów wbiło się w jego głowę, a para skrzydeł oszalałymi uderzeniami szczelnie zakryła jego skronie. Wrzasnął i upadł na twarz. Z ust ciekła mu piana. Jego nieszczęsna matka, płonąca ze wstydu, musiała zarzucić mu swoją chustę na głowę i zabrać go z powrotem do domu.

Od tamtego czasu był zupełnie zagubiony. Koszmar nawiedzał go w czasie pełni, gdy wędrował po polach lub podczas snu, w nocnej ciszy. Najczęściej jednak pojawiał się wiosną, kiedy cały świat rozkwitał i rozsiewał wokół aromatyczną woń. Przy każdej sposobności, kiedy tylko zaznawał chwili szczęścia, kiedy kosztował najprostszyc ludzkich radości - pożywienia, snu, wspólnego śmiechu z przyjaciółmi, spotkania powabnej dziewczyny na ulicy, dziesięć szponów natychmiast wbijało się w jego głowę.

Nigdy jednak nie stało się to z taką gwałtownością, jak tego poranka. Zwinął się pod warsztatem, trzymając głowę przy piersi i trwał tak przez dłuższy czas. Świat zatonął. Nie słyszał nic poza wewnętrznym szumem i wściekłymi uderzeniami skrzydeł.

Powoli ucisk szponów rozluźnił się i ustąpił, uwalniając stopniowo jego mózg, potem czaszkę, a na końcu skórę na głowie. Poczł wielką ulgę i zmęczenie. Wyczołgał się spod stołu i palcami pospiesznie rozczesał włosy, badając głowę. Wydawało mu się, że szpony przeszły ją, ale palce nie znalazły żadnej rany. Uspokoił się. Lecz kiedy wyciągnął rękę i spojrział na nią w świetle, wzdrygnął się. Jego palce ociekały krwią.

- Bóg jest rozgniewany - wymamrotał. - Rozgniewany... krew zaczęła płynąć.

Podniósł wzrok i rozejrzał się - nie było nikogo. W powietrzu poczuł kwaśny odór dzikiej bestii. Znów nadszedł, pomyślał z trwogą. Krąży wokół mnie, jest pod moimi stopami i nade mną...

Czekał. Powietrze było nieme i nieruchome.

Światło - pozornie niewinne - układało wzory na przeciwległej ścianie i na przetykanym trzcinał suficie. "Nie otworzę już ust" - pomyślał. - "Nie powiem więcej ani słowa. Może zlituje się i zostawi mnie w spokoju".

Ledwo jednak podjął tę decyzję, jego usta otworzyły się i powiedział głosem pełnym żalu:

- Dlaczego łakniesz mojej krwi? Dlaczego jesteś zagniewany? Jak długo chcesz mnie nękać?

Zamilkł. Pochylony, z otwartymi ustami, zjeżonymi włosami i oczyma wypełnionymi strachem, słuchał...

Nic. Powietrze było nieruchome i nieme. Nagle ktoś przemówił do niego z góry. Wyteżył słuch: słuchał i gwałtownie potrząsał głową, jak gdyby mówiąc: "Nie! Nie! Nie!" "

W końcu zdobył się na odpowiedź. Głos mu już nie drżał:

- Nie potrafię! Jestem analfabetą i próżniakiem, który się wszystkiego boi. Uwielbiam dobre jedzenie, wino, śmiech. Chcę, się ożenić, mieć dzieci... Zostaw mnie w spokoju!

Znów zamienił się w słuch.

- Co mówisz? Nie słyszę.

Musiał teraz zakryć uszy rękoma, aby stłumić dziki głos dochodzący z góry. Napiął wszystkie mięśnie twarzy, wstrzymał oddech, i odpowiedział:

- Tak, tak, boję się... Chcesz, abym powstał i przemówił, prawda? Co mam mówić, jak? Nie potrafię, mówię Ci! Jestem analfabetą... Co mówisz? Królestwo niebieskie?... Co mnie obchodzi Królestwo niebieskie? Ziemia mi się podoba. Mówię Ci, chcę się ożenić. Z Magdaleną, nawet jeśli jest nierządnicą. To moja wina, że zeszła na złą drogę, moja wina i ja ją ocale. Ją! Nie ziemię, nie królestwa tego świata - chcę ocalić Magdalenę. To mi wystarczy! Mów ciszej, nie rozumiem...

Zakrył oczy dłonią: miękkie światło sączyło się przez otwór w dachu, oślepiając go. Utkwił wzrok w suficie i czekał. Wsłuchiwał się, wstrzymując oddech, i im dłużej słuchał, tym silniej jego twarz promieniowała złośliwym zadowoleniem. Nagle jego pełne usta wykrzywiły się i wybuchnął śmiechem.

- Tak, tak - wymamrotał. - Rozumiesz doskonale. Tak, z rozmysłem. Robię to z rozmysłem. Chcę, abyś znalazł sobie kogoś innego. Chcę się pozbyć Ciebie.

- Tak, tak, z rozmysłem - ciągnął, zdobywając się na odwagę. - Całe życie będę robić krzyże, aby Mesjasz, którego wybierzesz mógł być ukrzyżowany!

Powiedziawszy to, zdjął z haka na ścianie nabijany gwoździami pas i założył go. Spojrzał na otwór w suficie. Słońce wreszcie podniosło się. Niebo było twarde i



niebieskie, niczym stal. Musiał się spieszyć. Ukrzyżowanie miało odbyć się w południe, kiedy promienie słońca miały najmniej litości.

Ukląkł i ujął mocno krzyż pod ramię.

Podniósł jedno kolano i zebrał się w sobie - krzyż wydawał mu się niewiarygodnie ciężki, tak że ledwo mógł go unieść - niepewnym krokiem ruszył wolno do wyjścia. Dysząc zrobił dwa kroki, potem trzeci, a gdy w końcu dotarł do drzwi, nagle kolana ugięły się pod nim, zawirowało mu przed oczami i upadł twarzą w dół na progu, przygnieciony krzyżem.

Dom kręcił się wokół. Z wnętrza dobiegł go przenikliwy krzyk kobiety. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich matka. Była wysoką kobietą o dużych oczach i skórze koloru pszenicy. Pierwszą młodość miała już za sobą - wkroczyła właśnie w niełatwą, przesłodzoną gorycz jesieni. Pod jej oczami widniały sińce, a jej usta były tak samo zacięte, jak u syna, lecz broda wyrażała większą siłę woli. Miała na sobie fioletową, lnianą chustę. Z jej uszu zwisały dwa długie, srebrne kolczyki, jej cała biżuteria.

Przez otwarte drzwi widać było starego ojca. Siedział na materacu rozebrany do połowy, pokazując zwiotczałą, bladożółtą skórę. Jego oczy były szkliste i nieruchome. Matka właśnie go nakarmiła - wciąż pracowicie przeżuwał posiłek złożony z chleba, oliwek i cebuli. Poskręcane, siwe włosy na jego piersi były pełne oślinionych okruchów. Obok łóżka leżała laska, ta sama która ponoć zakwitła w dniu jego zaręczyn. Teraz była zwiędła i sucha.

Kiedy matka weszła i zobaczyła, że jej syn leży pod ciężkim krzyżem, zatopila paznokcie w policzkach, lecz nie podbiegła, żeby mu pomóc. Znużyło ją to, że wciąż ktoś go przynosi nieprzytomnego do domu; że wciąż wyrusza na te swoje wędrówki po polach i pustkowiach; że całymi dniami nie bierze nic do ust; że nie chce pracować, tylko siedzi godzinami z oczami utkwionymi w jednym punkcie, marzyciel i lunatyk, który niczego w życiu nie dokonał. Dopiero kiedy zamawiano krzyż, zatracił się w pracy, harując dzień i noc jak szaleniec. Nie chodził już do synagogi. Nie chciał więcej postawić stopy w Kanie ani wybrać się na którykolwiek z festynów. A kiedy księżyc był w pełni, jego umysł odpływał gdzieś w dal i nieszczęsna matka słyszała, jak bredzi i wykrzykuje w majakach, jak gdyby kłócił się z diabłem.

Ileż to razy musiała poniżać się przed swoim szwagrem, starym rabinem, który był uczony w egzorcyzmach. Opętani przybywali do niego z krańców świata i potrafili ich wyleczyć. Pewnego dnia padła mu do stóp i poskarżyła się:

- Leczysz obcych, a nie chcesz uleczyć mojego syna.

Rabin potrząsnął głową:

- Mario, twojego syna nie dręczy diabeł lecz Bóg - cóż ja mogę poradzić?

- Czy nie ma żadnego lekarstwa? - zapytała nieszczęśliwa matka.

- To Bóg, mówię ci. Nie mam na to żadnego wpływu.

- Dlaczego On go dręczy?

Stary egzorcysta westchnął i nic nie odpowiedział.

- Dlaczego On go dręczy? - powtórzyła matka.

- Ponieważ go kocha - odparł w końcu stary rabin.

Maria spojrzała na niego przestraszona. Otworzyła usta, by zadać dalsze pytania, ale rabin ubiegł ją:

- Nie pytaj - powiedział jej. - Takie jest boskie prawo - dodał : i marszcząc brwi dał jej znak, żeby odeszła.

Choroba ciągnęła się latami. W końcu Maria, choć była matką, poczuła znużenie. Widząc teraz swojego syna leżącego twarzą na podłodze, z zakrwawionym czołem, nie ruszyła się. Westchnęła tylko z głębi serca - a nie było to westchnienie nad synem, lecz nad swoim własnym losem. Była taka nieszczęśliwa w życiu - zawiódł ją mąż, i zawiódł i syn. Ledwo zdążyła wyjść za mąż, już owdowiała; była matką bez dziecka; a teraz starzała się (codziennie na jej głowie pojawiało się coraz więcej siwych włosów) nie wiedząc, co znaczy być młodą, i nie znając ciepła, jakie może dać mąż, ani słodyczy i dumy, jakich może zaznać matka i żona. Jej oczy w końcu wyschły. Wylała już wszystkie łzy, które Bóg przeznaczył dla niej i teraz patrzyła na swego syna i na męża suchymi oczyma. Jeśli czasami płakała jeszcze, zdarzało się to wiosną, kiedy siedziała samotnie, wpatrując się w zielone pola i wdychając woń bijącą od kwitnących drzew. Nie płakała nad mężem ani nad synem lecz nad swym własnym, zmarnowanym życiem.

Młodzieniec podniósł się, wycierając krew z czoła brzegiem koszuli. Odwrócił się i widząc jak matka przypatruje mu się surowo, wpadł w gniew. Znał to. spojrzenie, które nigdy nie przebaczało, te zaciśnięte z goryczy usta. Nie mógł dłużej tego znieść. Jego również znużyło życie razem ze zniedołężniałym paralitykiem, rozczarowaną matką, wśród codziennych, zniewalających upomnień:

- Jedz! Ożeń się! Pracuj! Jedz! Ożeń się! Pracuj!

Matka rozchyliła zaciśnięte usta.

- Jezusie - powiedziała z wyrzutem. - Z kim się znów kłóciłeś z samego rana?

Syn zagryzł wargi, aby nie wyrwało mu się niezyczliwe słowo. Otworzył drzwi. Z dworu wpadło do środka słońce, a wraz z nim palący, pustynny wiatr, który przyniósł tumany pyłu. Bez słowa otarł pot z czoła, wsunął jeszcze raz ramię pod krzyż i podniósł go.

Włosy spływały matce na plecy. Ujęła je rękoma i wsunęła pod chustę, robiąc krok w stronę syna. Lecz gdy tylko zobaczyła go w świetle dnia, zadrżała ze zdziwienia. Jak bardzo zmieniała się wciąż jego twarz! Była zmienna niczym woda! Codziennie widziała go jak gdyby po raz pierwszy, znajdując nieznanne światło na czole, w oczach i ustach, odkrywając uśmiech, raz szczęśliwy, raz pełen bólu, spostrzegając zachłanny blask, który pełzał po jego czole, brodzie i szyi. Wielkie, czarne płomienie paliły się teraz w jego oczach. Przestraszona, chciała przez chwilę zapytać: "Kim jesteś?," ale powstrzymała się.

- Mój synu! - szepnęła drżącymi wargami. Umilkła, niepewna czy ten dorosły mężczyzna jest naprawdę jej synem. Czy obróci się, by spojrzeć na nią, by przemówić do niej? Nie, odwrócił się. Dźwignął krzyż, poprawił go sobie na plecach i pewnym krokiem wyszedł z domu.

Matka oparła się o framugę drzwi i patrzyła na niego, jak idzie lekko, z kamienia na kamień, wspinając się po zboczu. Bóg jeden wie, skąd on bierze tyle siły! Zupełnie jakby miał na plecach parę unoszących go skrzydeł, a nie ciężki krzyż!

- Boże mój - szepnęła zdezorientowana matka. - Kim on jest? Czyj to syn? Nie jest podobny do swego ojca, nie przypomina nikogo. Codziennie się zmienia. Jakby było w nim wielu ludzi. Ach, mąci mi się w głowie.

Przypomniała sobie pewne popołudnie, kiedy była na małym podwórku przy studni, trzymając go przy piersi. Było lato i winorośl ugięła się pod ciężarem własnych owoców. Kiedy noworodek ssał pierś, zapadła w głęboki sen, w którym ukazała jej się nieskończona wizja. Ujrzała anioła na niebie, który trzymał w ręku gwiazdę, niczym latarnię. Anioł kroczył naprzód, oświetlając ziemię. W ciemności promieniała kręta droga, podobna do błyskawicy. Droga podpełzła do niej, gasnąc przy jej stopach. I gdy zastanawiała się, gdzie może być początek tej drogi i dlaczego kończy się ona u jej stóp, uniosła wzrok i zobaczyła, że gwiazda zatrzymała się nad jej głową, a na końcu oświetlonej gwiazdowym światłem drogi ukazało się trzech jeźdźców. Na ich głowach błyszczały trzy złote korony. Jeźdźcy stanęli na chwilę, spojrzeli na niebo i widząc, że gwiazda zawisała nieruchomo, popędzili konie i pogalopowali w jej kierunku. Maria mogła już rozróżnić rysy ich twarzy. Ten w środku był podobny do

białej róży - piękny, jasnowłosy młodzieniec z policzkami pokrytymi jeszcze męszkiem. Z jego lewej strony jechał Azjata o żółtej skórze, spiczastej brodzie i skośnych oczach. Po lewej nadjeżdżał Murzyn. Miał kręcone, siwe włosy, złote kolczyki w uszach i olśniewająco białe zęby. Zanim jednak zdołała lepiej się im wszystkim przyjrzeć i zakryć oczy syna, tak by intensywne światło nie oślepiło go, trzech jeźdźcy zsiadli z wierzchowców i uklękli przed nią.

Pierwszy wystąpił na przód biały książę. Niemowlę przestało ssać pierś i wyprostowane stało na kolanach matki. Książę zdjął koronę i położył ją z pokorą u stóp dziecka. Potem Murzyn zbliżył się na kolanach, wyciągnął spod szaty garść szmaragdów i rubinów i rozłożył je bardzo ostrożnie na małej główce. Na końcu Azjata wyciągnął rękę i złożył długie jak ramię mężczyzny pawie pióra u stóp dziecka, by miało się czym bawić. Chłopiec spojrział na przybyszów i uśmiechnął się do nich, ale nie wyciągnął kruchych ramion w stronę podarków.

Nagle trzech królowie zniknęli i pojawił się młody pasterz ubrany w owczą skórę, z dzbanem ciepłego mleka. Gdy tylko niemowlę zobaczyło mleko, zatańczyło na kolanach matki, pochyliło małą głowę i zaczęło pić, nienasycone, szczęśliwe...

Opierając się o framugę drzwi, matka przypomniała sobie ten niedokończony sen i westchnęła. Jakież nadzieje obudził w niej ten jednak, jakie cuda przepowiadali mu wróżbici! Nawet sam stary rabin patrząc na niego, otworzył Pismo, przeczytał prorocstwa i szukaj na piersi, w oczach i na piętach znaków! Niestety! Z czasem jej nadzieje rozwiały się. Syn obrał drogę złą, drogę, która oddalała go coraz bardziej od ludzkich ścieżek. Poprawiła chustę, ściągając ją mocniej, i zarygłowała drzwi. Tak jak wszyscy zaczęła wspinać się po zboczu. Szła, aby zobaczyć ukrzyżowanie, ot tak, dla zabicia czasu.

## ROZDZIAŁ IV

Matka szła i szła, chcąc jak najszybciej wślizgnąć się w tłum i zniknąć. Słyszała skrzekliwe głosy kobiet na przedzie; za nimi, zdyszani, szli rozwścieczeni mężczyźni, boso, rozczochrani, nieumyci, ze sztyletami wepchniętymi głęboko za pazuchy. Za nimi szli starcy, a jeszcze dalej kulawi, niewidomi i kaleki. Ziemia kruszyła się pod ich stopami, kurz wzbijał tumanami, powietrze cuchnęło. W górze słońce zaczęło już przypiekać wściekle.

Jakaś starowina obejrzała się, ujrzała Marię i cisnęła przekleństwo. Dwie inne kobiety odwróciły od niej twarze i splunęły, żeby odegnać złe moce; jakaś młoda mężatka wzdrygnęła się i zebrała spódnice, żeby przypadkiem nie dotknęła jej przechodząc matka tego, który zrobił krzyż. Maria westchnęła i otuliła się szczelnie swoją purpurową chustą tak, że widać było tylko jej pełne wyrzutu oczy w kształcie migdałów i zaciśnięte z goryczą usta. Potykając się o kamienie, szła dalej zupełnie sama, spiesząc się, żeby czym prędzej zniknąć w tłumie. Wszędzie dokoła rozlegały się szepty, ale szła dalej. "Do czegoż to zniżył się mój syn - myślała - mój syn, mój ukochany!..." - Szła dalej, przygryzając rąbek chusty, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Dotarła do gromady ludzi, minęła mężczyzn i ukryła się między kobietami. Położyła sobie dłoń na ustach - widać było teraz jedynie jej oczy. "Żadna z moich sąsiadek mnie nie rozpozna" - uspokajała się w duchu.

Nagle z tyłu wybuchła wrzawa. To mężczyźni nabrawszy rozpędu wpychali się pomiędzy stłoczone kobiety, chcąc wysforować się na czoło pochodu. Koszary, w których więziono zelotę, były już niedaleko i rozpierała ich ochota, żeby wyłamać bramę i oswobodzić więźnia. Maria usunęła się na bok i skulona w drzwiach jakiegoś domu patrzyła na długie, pozlepiane brody, tłuste włosy i spienione usta; był także i rabin - siedział na plecach jakiegoś olbrzyma o dzikim wyrazie twarzy i wymachiwał rękami w kierunku nieba wykrzykując jakieś słowa. Co on mówił? Maria nastawiła ucha i usłyszała.

- Moje dzieci, miejcie wiarę w lud Izraela. Naprzód - wszyscy razem. Nie lękajcie się. Rzym to mgła, którą Pan nasz dmuchnięciem zmiecie z powierzchni ziemi! Pamiętajcie o Machabeuszach, o tym, jak przegrali Greków, władców całego świata, o tym, jaką okryli ich hańbą! I my tak samo wygnamy Rzymian, okryjemy ich sromotą. Jeden jest tylko Pan Zastępów niebieskich - i on jest naszym Bogiem!

Rozpalony boskim uniesieniem stary rabin podskakiwał i tańczył na szerokich plecach olbrzyma. Postarzał się, strawiły go posty, zniszczyły umartwianie i wielkie nadzieje - nie miał już więcej sił. Potężnie zbudowany osiłek wziął go na barana i biegł z nim na czele tłumu, wymachując nim na wszystkie strony jak chorągwią.

- Barabasz, uważaj! Upuścisz go! - wołali doń ludzie.

Ale Barabasz parł do przodu, nie zwracając na nich uwagi, podrzucając i kołyszając staruszką, który siedział mu na plecach.

Ludzie wzywali imienia Boga. Powietrze ponad ich głowami stanęło w ogniu, buchnęły płomienie i połączyły niebo z ziemią. Zakreśliło im się w głowach i cały ten świat kamieni, trawy i ludzkich ciał zbladł, stał się przezroczysty, a spoza niego wyłonił się następny, pełen płomieni i aniołów.

Judasz rozplomieniał się. Wyciągnął przed siebie ręce, ściągnął starego rabina z pleców Barabasza, posadził go sobie okrakiem na plecach i zaczął wołać donośnym głosem:

- Dzisiaj! Nie jutro, dzisiaj! - Rabin także rozpalił się i zaintonował swym ciekim głosem człowieka, który jest już jedną nogą w grobie, psalm zwycięstwa. W mgnieniu oka cały tłum zaczął śpiewać:

*Otoczyły mnie kołem narody; w imię mego Boga rozpraszam je!*

*Wokół mnie się zebrały narody; w imię mego Boga rozpraszam je!*

*Okrążyły mnie zewsząd jak osy; w imię mego Boga rozpraszam je!*

Lecz gdy śpiewali, rozpraszając w wyobraźni narody, nagle wyłoniła się przed nimi w samym sercu Nazaretu twierdza wroga: czworokątna, przysadzista, z czterema wieżami i czterema ogromnymi orłami z brązu. Diabeł zamieszkiwał każdy zakątek tych koszar. Na samym szczycie, ponad wieżami, powiewały żółto-czarne rzymskie sztandary; pod nimi stał ze swoim wojskiem Rufus, ten niesyty krwi centurion Nazaretu; jeszcze niżej konie, psy, wielbłądy i niewolnicy; a gdzieś pod nimi wtrącony do głębokiej wyschniętej studni, z włosami nie tkniętymi przez nożyce, ustami przez kroplę wina i ciałem przez żadną kobietę, znajdował się zelota. Jedno skinienie głowy tego buntownika wystarczyłoby, aby ludzie, niewolnicy, konie i wieże - wszystkie te przeklęte poziomy, które piętrzyły się nad nim - runęły w gruzy. Bóg zawsze układa wszystko w ten sposób. U samych fundamentów zła kryje się nieraz cichy, pogardzany głos, który woła o sprawiedliwość.

Zelota był ostatnim ze starego rodu Machabeuszy. Bóg Izraela czuwał nad jego losem i dbał o to, by ten święty ród nie zniknął z powierzchni ziemi. Jednej nocy Herod, leciwy król Judei - podły, przeklęty zdrajca! - kazał oblać 40 ludzi smołą i podpalić ich jak pochodnie za to, że ściągnęli złotego orła, którego on przymocował ponad wejściem do niepokalanej świątyni. Spośród 41 spiskowców pojmano 40, ale ich przywódca udało się zbiec. To Bóg Izraela wybawił go, schwyciwszy za włosy. Tym przywódcą był właśnie zelota, praprawnuk Machabeuszy, wówczas jeszcze przystojny młodzian, którego policzki pokrywał delikatny puszek.

Przez następne lata zelota błąkał się po górach, walcząc o oswobodzenie świętej ziemi, którą Bóg podarował Izraelowi. "Mamy tylko jednego Pana - Adonai" - oznajmiał ludziom. - "Nie płąćcie podatku pogłównego ziemskim władcom, nie pozwalajcie, aby wizerunki pogańskich bożków w kształcie orła bezcześciły świątynię Boga, nie zabijajcie wołów ani owiec na ofiarę dla rzymskiego tyra! Jest tylko jeden Bóg, nasz Bóg; jest tylko jeden naród, naród Izraela; jeden tylko owoc wydało całe ziemskie drzewo - Mesjasza".

Lecz oto nagle Bóg odsunął swoją opiekuńczą dłoń i zelota został pojmany przez Rufusa, centuriona Nazaretu. Chłopi, rzemieślnicy i właściciele ziemscy nadciągnęli tłumnie ze wszystkich okolicznych wiosek; znad jeziora Genezaret przybyli rybacy. Już od wielu dni niezrozumiała, dwuznaczna wieść rozchodziła się od domu do domu, od łodzi do łodzi, dosięgając także wędrowców na gościńcu: "Chcą ukrzyżować zelotę, złapali go - już po nim!" Kiedy indziej wieść brzmiała tak: "Bądźcie pozdrowieni, bracia, albowiem nadszedł Zbawiciel! Weźcie duże gałęzie daktyli i naprzód, wszyscy razem - chodźmy do Nazaretu, aby go powitać!"

Stary rabin ukląkł na ramionach rudobrodego, wyciągnął rękę w stronę koszar i jeszcze raz zaczął krzyżeć:

- Oto nadszedł! Oto nadszedł! W tej wysuszonej studni jest Mesjasz i czeka wyprostowany, z podniesioną głową. Na kogo czeka? Na nas, na lud Izraela! Naprzód, rozwalcie bramę, wybawcie Wybawcę, aby on mógł nas wybawić!

- W imię Boga Izraela! - zawołał Barabasz dzikim głosem i podniósł siekiere, którą trzymał w dłoni.

Ludzie grzmieli. Mężczyźni nerwowo chwyтали za sztylety, dzieci załadowały proce i wszyscy, z Barabaszem na czele, ruszyli na żelazną bramę. Ale ich oczy tak były zaślepione boską jasnością, że nikt nie dostrzegł małych, niskich drzwi prowadzących do koszar, które uchylły się tylko odrobinę, wypuszczając na zewnątrz bladą jak

płótno i zapłakaną Magdalenę. Jej dusza ulitowała się nad skazańcem i zesłała do niego w nocy, aby pozwolić mu zaznać ostatniej rozkoszy, tej najśłodszej radości, jaką zna ten świat. Ale on był z gatunku niezłomnych i poprzysiągł, że dopóki Izrael nie zrzuci jarzma niewoli, dopóty on nie obetnie włosów, nie weźmie do ust wina, ani nie podzieli łoża z kobietą. Magdalena spędziła całą noc, siedząc naprzeciwko niego, ale on bez przerwy wpatrywał się w Jeruzalem leżące hen, hen za jej czarnymi włosami, nie w to zniewolone i zhańbione Jeruzalem jego czasów, ale święte miasto przyszłości, z siedmioma triumfalnymi bramami fortecy, siedmioma aniołami stróżami i siedemdziesięcioma siedmioma ludami ziemi rozciągniętymi u jego stóp. Gdy skazany dotknął ręką chłodnej piersi przyszłego Jeruzalem, śmierć znikła i świat wokół niego stał się niewypowiedzianie słodki, wypełniając jego uścisk. Zamknął oczy i trzymając w dłoni pierś Jeruzalem myślał tylko o jednym - o Bogu Izraela, tym Bogu, którego włosów nigdy nie tknęły nożyce, którego ust nigdy nie zwilżyło wino, którego ciała nigdy nie dotknęła kobieta. Zelota trzymał Jeruzalem w dłoni przez całą noc, nie podnosząc się z kolan i zbudował królestwo niebieskie głęboko w swoich wnętrznościach - nie z aniołów i chmur, ale takie, jakiego on pragnął: ciepłe zimą i chłodne w lecie, ulepione z ludzi i ziemi.

Stary rabin ujrzał, jak jego bezwstydną córkę opuszcza koszary i odwrócił twarz w drugą stronę. To właśnie była największa hańba jego życia. Jak ta ladacznica mogła powstać z jego niepokalanych, zbożnych wnętrzności? Jaki diabeł lub jaki nieuleczalny ból spowodował, że stoczyła się na samo dno hańby? Któregoś dnia, po powrocie z jarmarku w Kanie, oświadczyła zalewając się łzami, że chce sobie odebrać życie, po czym wybuchnęła dzikim śmiechem, umalowała twarz, założyła całą swoją biżuterię i wyszła na ulicę. Potem opuściła ojcowski dom i założyła sklep w Magdali - na rozstaju dróg, któredy przejeżdżały wszystkie karawany...

Z rozpiętym wciąż stanikiem zbliżyła się bez lęku do tłumu.

Róż na jej policzkach i ustach starł się, jej oczy były zasnuwane mgłą i zmęczone od płaczu i patrzenia przez całą noc na więźnia. Uśmiechnęła się gorzko, widząc, jak umęczony ojciec odwraca się od niej. Zostawiła już daleko za sobą wstyd, tak jak i strach przed Bogiem, miłością ojcowską i troskę o to, co myślą o niej mężczyźni. Plotka głosiła, że opętało ją siedem diabłów, ale w jej sercu nie było siedmiu diabłów - tkwiło w nim siedem noży.

Stary rabin ponownie zaczął krzyczeć. Chciał odwrócić uwagę ludzi od swojej córki. Bóg ją widział i to wystarczało - to on ją osądzi.



- Otwórzcie oczy swej duszy i zwróćcie je w stronę nieba - zawołał obracając się na ramionach rudobrodego. - Bóg stoi ponad nami. Niebiosa rozstały się, zastępy aniołów ruszyły ku nam, powietrze pełne jest czerwonych i błękitnych skrzydeł!

Niebo stanęło w płomieniach. Ludzie podnieśli oczy, spojrzeli w górę i ujrzeli Boga - uzbrojonego i zstępującego ku nim. Barabasz uniósł do góry siekiere.

- Dzisiaj! Nie jutro, dzisiaj! - wrzasnął i tłum natarł na koszary. Fala ludzi uderzyła o żelazną bramę, część z nich schwyciła za łomy, inni zaczęli przystawiać drabiny do murów, jeszcze inni przynieśli płonące pochodnie, aby podpalić koszary. Lecz nagle żelazna brama otwarła się i stanęło w niej dwóch jeźdźców okutych w brąz. Byli uzbrojeni po zęby, śniadzi, dobrze wykarmieni i pewni siebie. Z kamiennym wyrazem twarzy spięli ostrogami konie, podnieśli kopie - i nagle ulice wypełniły się skowyczącymi tłumem, który zaczął uciekać w stronę wzgórza śmierci. Przekłęte wzgórze lśniło nagością; nie było na nim nic oprócz kamieni i cierni, a pod każdym kamieniem znajdowała się zroszona krwią ziemia. Zawsze po tym, jak Hebrajczycy podnosili rękę na Rzymian, żeby walczyć o wolność, wzgórze wypełniało się krzyżami, na których wili się i jęczeli buntownicy. W nocy pod krzyże podchodziły szakale i kęsały ich stopy, a nazajutrz rano wrony zlatywały się zewsząd, żeby wydziobać im oczy.

Ludzie stanęli zdyszani u stóp wzgórza. Pojawiło się więcej jeźdźców okutych w brąz. Zaganiali Hebrajczyków w ciasną gromadę, którą potem otoczyli kordonem. Zbliżało się południe, a krzyża ciągle nie było. Na szczycie wzgórza czekało dwóch Cyganów ściskających w rękach młotki i gwoździe. Z wiosek przybiegły psy złaknione jadła. Spieczone twarze ludzi zwracały się w stronę szczytu widocznego na tle upalnego nieba. Czarne jak smoła oczy, garbate nosy, zapadłe, spalone słońcem policzki, zlepione bokobrody. Otyłe, spocone pod pachami kobiety, których włosy posklejane były ptasim łajnem, rozpływały się w promieniach słońca i cuchnęły.

Znad jeziora Genezaret przybyła grupa rybaków, których .dziecinne oczy pełne były niedowierzania. Tak jak i inni, chcieli zobaczyć cud: chcieli ujrzeć, jak pozbawieni szacunku dla prawa poganie wiodą zelotę na krzyż, jak on zrzuca łachmany, spod których wyłania się anioł z bułatem w dłoni... Twarze, piersi i ramiona rybaków były ogorzałe od słońca i wiatru. Przybyli poprzedniej nocy, z koszami pełnymi ryb. Kiedy sprzedali je za niezłą cenę, udali się do karczmy. Tam upili się, zapomnieli co przywiodło ich do Nazaretu, przypomnieli sobie o Kobiecie i zaśpiewali na jej cześć, po czym pobili się między sobą, pojednali się, a o brzasku

nagle przypomnieli sobie o Bogu Izraela, obmyli twarze i na wpół senni wyruszyli, aby ujrzyć cud.

Czekali i czekali, aż w końcu znużyło ich to.

Wystarczyło uderzenie kopią po grzbiecie, by zaczęli gorzko żałować, że w ogóle tu przybyli.

- Według mnie, chłopcy, powinniśmy wracać do naszych łodzi - powiedział jeden z nich, z kręconą siwą brodą. Wyglądał wciąż krzepko jak na swoje lata; jego czoło przypominało skorupę ostrygi. - Ukrzyżują zelotę tak samo jak wszystkich innych i, zapamiętajcie sobie moje słowa, niebo się nie rozstąpi. Gniew Boga nie zna granic, tak jak i krzywda ludzka. A jak ty myślisz, synu Zebedeusza?

- Myślę, że to głupota Piotra nie zna granic - roześmiał się jego towarzysz, rybak o rozbieganym spojrzeniu i krzaczastej brodzie. - Wybacz, Piotrze, ale nie masz tyle oleju w głowie, ile lat na karku. Rozpalasz się w mgnieniu oka - i gaśniesz tak prędko jak drewno do podpałki. Czyż to nie ty namówiłeś nas, aby tu przybyć? Biegałeś jak opętany od łodzi do łodzi i wołałeś: "Porzućcie wszystko, bracia - tylko raz w życiu można ujrzyć cud. Dalej, chodźmy do Nazaretu zobaczyć cud!" A teraz oberwałeś raz czy dwa kopią po plecach i od razu wszystko w twojej głowie przewróciło się do góry nogami i zaczynasz wołać: "Porzućcie wszystko, bracia, wracajmy do domu!" Nie przypadkiem zwać cię "Kurek na Wietrze".

Dwóch czy trzech rybaków usłyszało tę rozmowę i wybuchnęło śmiechem; jakiś pasterz, który zalatywał smrodem kóz, podniósł swój kostur i powiedział: - Nie łajaj go, Jakubie; nawet jeśli z niego kurek na wietrze. Najlepszy to człowiek z nas wszystkich, a i serce ma ze szczerego złota.

- Masz rację, Filipie, serce ze złota - zgodzili się wszyscy i wyciągnęli ręce, żeby poklepać i udobruchać Piotra, który aż sapał ze złości. "Mogą sobie mówić co chcą - myślał sobie - może i obraca mną byle podmuch, ale to nie ze strachu, o nie, to dlatego, że mam dobre serce".

Jakub zauważył pochmurną minę Piotra i zrobiło mu się przykro. Pożałował, że odezwał się tak pochopnie i chcąc zmienić temat zapytał:

- A jak tam twój brat Andrzej, Piotrze? Ciągle na Pustyni Jordańskiej?

- Tak, cały czas - westchnął Piotr. - Mówią, że już go ochrzczili i że je szarańczę i dziki miód, jak jego nauczyciel. Niech mnie Pan Bóg pokarze, jeśli kłamię, ale ręczę wam, że już wkrótce ujrzycie, jak biega od wioski do wioski i krzyczy: "Pokutujcie za grzechy swoje, albowiem nadeszło królestwo niebieskie!", tak jak cała reszta. Jakie to

niby ma być tutaj królestwo niebieskie? Pytam was, czy my już wstydu za grosz nie mamy?

Jakub potrząsnął głową i zmarszczył gęste brwi.

- Widziałem, jak to samo spotkało mojego brata, którego wszyscy tak dobrze znają - Jana - powiedział. - Udał się do klasztoru na Pustyni Genezaretańskiej, żeby zostać mnichem. Widać nie urodził się po to, żeby być rybakiem i w ten sposób zostawił mnie na pastwę losu razem z dwoma brodatymi starcami i pięcioma łodziami.

- Ale czego nie dostawało temu szczęściarzowi? - zapytał pasterz Filip. - Miał wszystko, czym tylko Pan Bóg może obdarować człowieka! Co też strzeliło mu do głowy w samym kwiecie wieku? - Zadał to pytanie, ale w głębi ducha radował się, że i bogatych drąży jakiś robak.

- Ni stąd ni zowąd zmarkotniał - odparł Jakub - i zaczął rzucać się przez sen w nocy, jak jakiś młodzik, któremu potrzeba kobiety.

- To czemu się nie ożenił? Mało to było niewiast dookoła?

- Powiedział, że nie chce brać sobie kobiety za żonę.

- A niby kogo?

- Królestwo niebieskie - tak jak Andrzej.

Wybuchnęli wszyscy śmiechem.

- Oby żył dalej szczęśliwie - zawołał stary rybak, zacierając złośliwie zrogowaciałe dłonie.

Piotr otworzył już usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, w powietrzu rozległy się ochryple okrzyki:

- Patrzcie! Idzie ten, co robi krzyże!

Wszyscy naraz odwrócili się i ujrzeli w dole drogi syna cieśli, który wspinał się na chwiejnych nogach pod górę, zgięty pod ciężarem krzyża.

- Rzymski pacholek! Rzymski pacholek! - wrzeszczał tłum. - Zdrajca!

Dwaj Cyganie spojrzeli w dół ze szczytu wzgórza. Kiedy ujrzeli krzyż, podskoczyli z radości - słońce przypalało ich jak na rożnie. Splunęli w dłonie, ujęli motyki i zaczęli kopać dół. Na pobliskim kamieniu położyli grube gwoździe o splaszczonych główkach. Mieli zrobić tylko trzy, ale wykuli aż pięć.

Kobiety i mężczyźni schwycili się za ręce tworząc łańcuch, żeby zagrozić przejście cieśli. Magdalena oderwała się od tłumy i zawisła wzrokiem na synu Marii, który piał się mozolnie pod górę. Jej serce przepełniały ból i smutek. Pamiętała, jak

bawili się wspólnie w dzieciństwie, kiedy on miał trzy lata, a ona cztery. Co to była za radość, co za niewypowiedziana słodycz! Po raz pierwszy przeczuli wtedy oboje istnienie tej mrocznej, nie zgłębionej do końca prawdy, że jedno z nich jest mężczyzną, a drugie kobietą i że ich ciała musiały tworzyć kiedyś jedną całość rozdartą potem przez jakiegoś okrutnego Boga. Ale ich ciała odnalazły się i próbowały połączyć na powrót. Im byli starsi, tym bardziej oczywiste i cudowne stawało się dla nich to, że jedno z nich jest kobietą, a drugie mężczyzną i spoglądali na siebie oniemiali z grozy, czekając niczym dwie dzikie bestie, aż wzmoże się ich głód i nadejdzie wreszcie godzina, kiedy stopią się w jedną całość i połączą to, co Bóg rozłączył. Ale którejś nocy w Kanie, gdy jej ukochany wyciągnął do niej dłoń, by wręczyć jej różę i przypieczętować ich zaręczyny, bezlitosny Bóg ruszył na nich z wysokości i raz jeszcze ich rozdzielił. Odtąd już nigdy...

Oczy Magdaleny napełniły się łzami. Ruszyła do przodu.

Cieśla przechodził z krzyżem tuż przed nią.

Pochyliła się nad nim. Wonnymi włosami musnęła jego nagie, okrwawione plecy.

- Rzymski pacholek! - warknęła zduszonym, ochrypłym głosem.

Drżała.

Młodzieniec odwrócił się i na ułamek sekundy skupił na niej obolałe spojrzenie. Jego zaciśnięte usta wykrzywiały konwulsyjne spazmy. Schylił natychmiast głowę, zanim udało się jej rozpoznać czy malowały się na nich ból, strach, czy też uśmiech.

Ciągle pochylona nad nim zapytała dysząc ciężko:

- Czy nie masz dumy? Czy nie pamiętasz? Jak możesz zniżyć, się do czegoś takiego!

Po chwili, jakby usłyszawszy jego odpowiedź, zawołała głośno:

- Nie, nie, biedaczysko, to nie Bóg nim kieruje lecz diabeł. Tymczasem tłum ruszył do przodu, żeby zagrozić mu drogę. Jakiś starzec podniósł kij i uderzył go, dwóch pastuchów, którzy przybyli tu z góry Tabor, aby razem z innymi obejrzyć cud, przygwoździło go do ziemi ościeniami. Barabasz czuł, jak siekiera, którą ściska w dłoni, unosi się i opada. Lecz gdy tylko stary rabin spostrzegł niebezpieczeństwo, zeskoczył z pleców rudobrodego i rzucił się w obronie bratanka.

- Zatrzymajcie się, moje dzieci! - zawołał. - Wielki to grzech stawać na drodze Bogu, nie czyńcie tego. Co jest zrządzone, musi się stać. Przepuście krzyż, bowiem to

Bóg go zesłał; pozwólcie, aby Cyganie przygotowali gwoździe, aby apostoł Adonai zawisł na krzyżu. Nie lękajcie się - ufajcie Bogu! Takie są jego prawa - nóż musi dotrzeć do samej kości, w przeciwnym razie nie nastąpi cud. Słuchajcie starego rabina, moje dzieci. Mówię prawdę. Człowiekowi nie mogą wyrosnąć skrzydła, dopóki nie stanie nad samą krawędzią przepaści!

Pasterze zabrali ościenie, kamienie wypadły z zaciśniętych dłoni, ludzie cofnęli się ustępując z drogi Bogu i synowi Marii, potykając się, ruszył dalej z krzyżem na plecach. Słychać było cykanie owadów w pobliskim gaju oliwnym i wesołe ujadanie zgłodniałego psa rzeźnika na szczycie wzgórza. W tłumie jakaś kobieta owinięta szczelnie purpurową chustą wydała z siebie okrzyk i zemdlała. Piotr gapił się na syna Marii z otwartymi ustami. Znał go. Dom Marii stał naprzeciwko jego domu, a jej starzy rodzice, Joachim i Anna, byli serdecznymi przyjaciółmi rodziców Piotra. Byli to bardzo pobożni ludzie. Aniołowie regularnie odwiedzali ich domostwo, a któregoś wieczoru sąsiedzi widzieli nawet samego Boga, jak przestępuje próg ich domu w przebraniu żebraka. Wiedzieli, że był to Bóg, bo dom zatrzęsł się w posadach jak w czasie trzęsienia ziemi, a dziewięć miesięcy później stał się cud: Anna, kobieta grubo po sześćdziesiątce, urodziła Marię. Piotr nie mógł mieć wówczas więcej niż pięć lat, ale pamiętał dobrze, jak wtedy świętowano, jakie podniecenie ogarnęło całą wioskę, jak mężczyźni i kobiety biegali, żeby złożyć po-: winszowania; niektórzy przynosili mąkę i mleko, inni daktyle i miód, jeszcze inni niemowlęce wyprawki - wszystko w prezencie dla kobiety w połogu i jej dziecka. Matka Piotra odbierała poród. Kiedy już było po wszystkim, wykąpała zanosząc się krzykiem niemowlę w podgrzanej wodzie z solą. I teraz syn Marii przechodził obok Piotra uginając się pod ciężarem krzyża, a ludzie opluwali go i obrzucali kamieniami. Serce drgnęło Piotrowi na ten widok. Takie było jego przeznaczenie. Bóg Izraela bez cienia litości wybrał właśnie jego, syna Marii, do robienia krzyży, na których mieli zawisnąć prorocy. On jest wszechwiedzący, pomyślał Piotr z dreszczem; mógł przecież wybrać mnie, ale to na syna Marii padł los, a ja uszedłem cało... Nagle jego strapione serce uspokoiło się i poczuł znieścacką głęboką wdzięczność dla syna Marii, który wziął jego grzechy na swoje barki.

Podczas gdy myśli te kłębiły się w głowie Piotra, cieśla przystanął zdyszany.

- Jestem zmęczony, zmęczony - wymamrotał. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu głazu lub człowieka, na którym mógłby się oprzeć, ale nie ujrzał nic prócz uniesionych pięści i tysięcy oczu wpatrzonych w niego z nienawiścią. I wtedy usłyszał w górze coś, co wydało mu się odgłosem skrzydeł: jego serce podskoczyło do

góry. Być może Bóg ulitował się nad nim w ostatniej chwili i zesłał swoich aniołów. Uniósł wzrok. Tak, to naprawdę łopotały skrzydła, lecz były to tylko skrzydła wron! Poczł przyplłw gniewu. Z maniackim uporem i na przekór wszystkiemu ruszył dalej na szczyt wzgórza. Kamienie obsunęły się pod jego stopą. Potknął się i byłby upadł na twarz, lecz Piotr rzucił się ku niemu w samą porę, by go podtrzymać. Wziął od niego krzyż i zarzucił go sobie na plecy.

- Pomogę ci - powiedział. - Jesteś zmęczony.

Syn Marii odwrócił się i popatrzył na rybaka, ale go nie poznał. Cała ta wędrówka zdawała mu się snem. Z jego ramion ktoś zdjął nagle bezlitosny ciężar i poczuł, że leci do nieba, tak jak w jednym ze swoich snów. To nie mógł być krzyż, pomyślał, to na pewno para skrzydeł! Ocierając pot i krew z twarzy, ruszył pewnym krokiem w ślad za Piotrem.

Powietrze było jak ogień liżący kamienie. Owczarki, które przyprowadzili ze sobą Cyganie, żeby nachleptały się krwi, rozciągnęły swoje spasiono cielska u stóp skały nad krawędzią dołu, który wykopali ich panowie. Ziajały, a z ich wywieszonych jęzorów kapala ślina. W piecu południa słyhać było pulsowanie krwi w głowach i bulgotanie rozgrzanych mózgów. W taki upał topniały wszystkie granice - rozsądek i głupota, krzyż i skrzydła. Bóg i człowiek - wszystko to mieszało się ze sobą.

Kilka litościwych kobiet ocuciło Marię. Otworzyła oczy i ujrzła swojego bosego, wychudzonego syna, który docierał wreszcie do szczytu. Ktoś szedł przed nim, dźwigając jego krzyż. Obróciła się z westchnieniem, jakby szukała pomocy. Kiedy ujrzła znajomych wieśniaków i rybaków, ruszyła w ich kierunku, szukając u nich wsparcia - za późno! Od strony koszar dobiegł dźwięk trąbki, pojawiło się więcej jeźdźców i zanim Maria zdążyła wspiąć się na skałę, żeby coś zobaczyć, kawalerzyści w hełmach z brązu i purpurowych tunikach jadący na swych dumnych, dobrze zadbanych koniach, które tratowały żydowski tłum, byli już na szczycie.

Zbuntowany zelota szedł z rękami związanyimi na plecach. Jego szaty były porozdzierane i splamione krwią, jego długie włosy przylgnęły przyklejone do ramion krwią i potem. Szedł z oczami utkwionymi przed siebie.

Ludzi ogarnęła na jego widok groza. Czy był to człowiek, czy też pod tymi łachmanami krył się anioł - a może szatan, którego zaciśnięte usta skrywały straszliwą, niewypowiedzianą tajemnicę? Stary rabin i reszta gawiedzi umówili się wcześniej, że aby dodać odwagi zelocie, kiedy tylko się pojawi zaczną śpiewać wszyscy razem na cały głos wojenny psalm "Niechaj rozpierzchną się moi wrogowie". Lecz

teraz słowa uwięzły im w gardłach. Czuli wszyscy, że temu człowiekowi nie potrzeba dodawać odwagi. Był ponad nią: niezwycięzony i niezłomny; wolność emanowała nawet z jego spętanych na plecach rąk. Patrzyli na niego ze zgrozą i milczeli.

Przed buntownikiem jechał konno centurion, z twarzą ogorzałą od orientalnego słońca. Ciągnął więźnia na sznurze przywiązany do siodła. Od dawna pogardzał Żydami. Od dziesięciu lat stawiał krzyże i wieszał ich na nich, przez dziesięć lat kneblował im usta kamieniami i ziemią - na próżno! Ledwo zdążył ukrzyżować jednego, tysiące innych stawały w rzędzie, czekając z niecierpliwością na swoją kolej, śpiewając bezwstydną psalmi swych starożytnych królów. Nie czuli lęku przed śmiercią. Mieli swojego okrutnego Boga, który chleptał krew ich pierworodnych synów; mieli swoje własne prawo, bestię o dziesięciu rogach, która pożerała ludzi. Jak mógł się do nich dostać? W jaki sposób ich podporządkować? Nie czuli lęku przed śmiercią, a kto go nie czuje - tak rozmyślał centurion tu, na Wschodzie - ten jest nieśmiertelny.

Ściągnął cugle, zatrzymał konia i omiótł tłum wzrokiem: zniszczone twarze, rozpalone oczy, niechlujne brody, tłuste, rozczochrane włosy. Splunął z obrzydzeniem. Gdyby tylko mógł stąd wyjechać! Gdyby mógł powrócić raz jeszcze do Rzymu i jego łaźni, teatrów, amfiteatrów i czystych kobiet! Pogardzał Wschodem wraz z jego smrodem, brudem i Żydami!

Cyganie wycierali spocone ciała. Zatknęli krzyż w dole wykopanym na szczycie wzgórza. Syn Marii siedział na kamieniu i patrzył na nich, na krzyż, na ludzi, na centuriona, który zsiadł z konia i stał przed tłumem; patrzył i patrzył, ale nie widział nic oprócz morza czaszek rozpościerającego się pod rozpalonym niebem. Piotr podszedł do niego i schylił się. Mówił coś, ale o uszy młodzieńca uderzało tylko wzburzone morze. Centurion skinął głową, żeby rozwiązano więźnia.

Oswobodzony zelota rozprostował zdętwiałe członki i zaczął się rozbierać. Magdalena prześlizgnęła się pod nogami koni i zaczęła zbliżać się w jego stronę, ale odegnał ją machnięciem ręki. Jakaś staruszka o wyniosłych, arystokratycznych manierach przepchnęła się bez słowa przez tłum i objęła go. Pochylił głowę i długo całował jej rękę. Potem przycisnął ją mocno do piersi i odwrócił głowę. Kobieta została jeszcze przez chwilę tam, gdzie stała, patrząc na niego oczami, w których nie było śladu łez.

- Masz moje błogosławieństwo - powiedziała w końcu i odeszła. Oparła się o skałę naprzeciwko, niedaleko owczarków, które leżały wyciągnięte w skąpym cieniu i dyszały ciężko.

Odbijając się mocno od ziemi, centurion wskoczył z powrotem na konia, żeby wszyscy mogli go dobrze widzieć i słyszeć. Wymachując biczem ponad głowami tłumu przemówił:

- Słuchajcie moich słów, Hebrajczycy! Będzie przemawiał Rzym. Cisza!

Wskazał kciukiem na zelotę, który ściągnął już z siebie łachmany i czekał w promieniach słońca.

- Ten człowiek, który stoi tu teraz nagi przed Imperium Rzymskim podniósł rękę na Rzym. Kiedy był jeszcze młody, zdjął z muru cesarskie orły, potem zbiegł w góry i nawoływał was wszystkich, żebyście się do niego przyłączyli i powstali przeciwko Rzymowi. Rozgłaszał, że nadszedł dzień, gdy z waszych wnętrzności narodzi się Mesjasz i zniszczy Rzym!... Cicho tam, przestańcie krzyczeć!... Bunt, morderstwo, zdrada: oto są jego zbrodnie. A teraz słuchajcie mnie, Hebrajczycy, posłuchajcie, o co was zapytam. Chcę, żebyście to wy wydali wyrok. Na jaką zasługuje karę?

Powiódł wzrokiem po ludziach w dole i czekał. Tłum wrzał.

Ludzie krzyczeli, przepychali się, opuścili wyznaczony kordonem obszar i ruszyli w stronę centuriona, podeszli aż pod kopyta jego konia - i zaraz cofnęli się z lękiem, odpływając z powrotem jak fala.

Centurion wpadł we wściekłość. Spiął konia i zbliżył się do tłumu.

- Pytam się was - ryknął - jaka kara dla buntownika, mordercy i zdrajcy - jaka kara?

Rudobrody rzucił się z pasją do przodu, tracąc panowanie nad sobą. Chciał krzyknąć "Niech żyje wolność!" i rozchylił już wargi, ale jego towarzysz Barabasz schwycił go i położył mu rękę na ustach.

Przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza. Rozlegał się tylko pomruk, podobny do szumu morskich fal. Nikt nie śmiał przemówić, wszyscy jęczeli cicho i wzdychali. Nagle ponad niespokojny szum wzbil się przenikliwy głos. Tłum odwrócił się, przejęty jednocześnie strachem i radością. To stary rabin raz jeszcze wspiął się na plecy rudobrodego i wznosząc do góry wychudzone ręce, jak gdyby chciał się modlić albo ściągnąć na ziemię klątwę, zawołał odważnie:

- Jaka kara? Królewska korona!



Z litości dla starca, ludzie wzniesli wrzawę, żeby zagłuszyć jego słowa, dzięki czemu nie dotarły do uszu centuriona.

- Co powiedziałaś, rabinie? - zawołał Rzymianin, przykładając rękę do ucha i spinając konia.

- Królewska korona! - powtórzył rabin najgłośniejszym jak tylko potrafił. Jego twarz promieniała, całe ciało wiło się jakby w ogniu: trząsał się, podrygiwał, tańczył na ramionach kowala: wyglądał, jakby chciał wzniesć się w powietrze i odfrunąć.

- Królewska korona! - wykrzyknął raz jeszcze, upojony tym, że stał się rzecznikiem swojego ludu i Boga, i rozpostarł ręce, jak gdyby wisiał na krzyżu.

Centurion wpadł w szal. Zeskoczył z konia, wyjął z siodła bicz i ciężkim krokiem ruszył w stronę tłumu. Przesuwając pod nogami kamienie, zbliżał się do nich w milczeniu, niczym rozjuszony zwierzę - bawół albo dzik. Tłum stał bez ruchu wstrzymując oddech. Raz jeszcze zaległa zupełna cisza. Słyszeć było tylko cykady w oliwnym gaju i zniecierpliwione wrony.

Postąpił dwa kroki, potem jeszcze jeden - i stanął. Odór bijący z otwartych ust i od spoconych, nie mytych ciał uderzył go jak obuchem. Żydzi! Podszedł jeszcze bliżej i stanął przed rabinem. Starzec spoglądał na niego z góry ze swego stanowiska na plecach kowala, z twarzą rozpromienioną w uśmiechu. Całe życie czekał na tę chwilę i oto nadeszła: oto on także miał zostać zabity, tak samo jak prorocy.

Centurion przymknął oczy i przyjrzał mu się. Z nadludzkim wysiłkiem powstrzymał rękę, która już, już wzniosła się, aby jednym uderzeniem roztrzaskać zbuntowaną głowę. Ale powściągnął gniew; zabicie tego człowieka nie leżało w interesie Rzymu. Ten przeklęty, niezłomny lud powstałby wtedy raz jeszcze i rozpoczął partyzancką wojnę, a nie było w interesie Rzymu, żeby jego ręka ponownie znalazła się w tym żydowskim gnieździe os. Panując nad swoją siłą, centurion owinął bicz dookoła ręki i zwrócił się do rabina ochryłym głosem:

- Rabinie, twoja twarz jest uznana za godną szacunku tylko dlatego, że ja tak postanawiam, tylko dlatego, że ja, Rzym, zechciałem nadać jej wartość, której sama w sobie nie posiada za grosz. I dlatego nie podniosę na ciebie bicia. Słyszałem, co powiedziałaś - jaki wydałaś wyrok. Teraz ja uczynię to samo.

Odwrócił się w kierunku Cyganów, którzy czekali po obu stronach krzyża:

- Ukrzyżować go! - ryknął.

- Wydałem wyrok - powiedział rabin niewzruszonym głosem, - i ty także, centurionie. Ale pozostaje ktoś najważniejszy, kto także musi go wydać.

- Cesarz?

- Nie... Bóg.

Centurion roześmiał się.

- Ja jestem ustami cesarza w mieście Nazarecie, a cesarz ustami Boga na tym świecie. Bóg, cesarz i Rufus wydali wyrok.

Po tych słowach odwinął z ręki bicz i ruszył na szczyt wzgórza, okładając z zimną furią kamienie.

Jakiś starzec wznosił ręce do nieba:

- Niech Bóg ześle grzech na twoją głowę, szatanie, i na głowy twoich dzieci i dzieci twoich dzieci!

Zakuci w brąz jeźdźcy otoczyli w tym czasie krzyż. W dole, kipiąc gniewem, ludzie wspięli się na palce, żeby lepiej widzieć. Prawie trzęśli się z bolesnej niepewności - czy stanie się cud? Kobiety widziały już w powietrzu różnokolorowe skrzydła. Klęczący na szerokich ramionach kowala rabin próbował dojrzeć coś pomiędzy kopytami koni i czerwonymi tunikami jeźdźców. Chciał widzieć co dzieje się ponad krzyżem i wokół niego. Patrzył bez słowa, z duszą przepojoną nadzieją i rozpaczą. Czekał. Stary rabin znał dobrze Boga Izraela. On był bezlitosny i miał swoje własne prawa, swój dekalog. Owszem, dotrzymywał danego słowa, ale nie spieszył się z tym, mierzył czas swoją własną miarą. Przez całe pokolenia jego Słowo wisiało tylko w powietrzu i nie zstępowało na ziemię. A gdy to wreszcie nastąpiło, biada, po trzykroć biada człowiekowi, który zdecydował się mu zaufać! Ileż to razy na stronach Pisma Świętego wybrańcy Boga byli mordowani - i czy On ruszył kiedy palcem, żeby ich ocalić? Dlaczego? Dlaczego? Czyż nie wypełniali jego woli? Czy też może taka była jego wola, aby ci wybrani ginęli? Rabin zadawał sobie to pytanie, ale nie śmiał go zgłębiać. "Bóg jest otchłanią - pomyślał - otchłanią. Lepiej nie podchodzić do niej za blisko".

Syn Marii siedział ciągle na krawędzi kamienia. Ścisnął drżące kolana obiema rękami i patrzył. Razem z rzymskimi strażnikami Cyganie chwycili zelotę i ciągnęli go, szarpali nim wśród przekleństw i śmiechu, starając się podciągnąć go na krzyż. Owczarki, które zrozumiały, co się święci, zerwały się z legowiska. Wyniosła stara kobieta zbliżyła się do krzyża.

- Odwagi, mój synu! - zawołała. - Nie jęcz, nie każ mi się za ciebie wstydzić!

- To matka zeloty - szepnął stary rabin - jego szlachetna matka z rodu Machabeuszy.

Pod ramionami buntownika przeciągnięto dwa grube sznury.

Cyganie zarzucili sznurowe drabinki na ramiona krzyża i powoli zaczęli podnosić skazańca. Jego ciało było masywne i ciężkie; nagle krzyż przechylił się, jakby miał się przewrócić. Centurion kopnął syna Marii, który wstał na chwiejnych nogach, ujął siekiere i poszedł umocnić krzyż u podstawy kamieniami i klinami.

Tego było dla Marii za wiele. Przejęta wstydem na widok ukochanego syna pomiędzy oprawcami, ruszyła przez tłum, przepychając się łokciami. Rybacy znad jeziora Genezaret odwracali od niej oczy; było im jej żal. Chciała wbiec pomiędzy konie, żeby schwycić syna i go odciągnąć, ale jakaś sąsiadka w podeszłym wieku zlitowała się nad nią i złapała ją za rękę.

- Mario - powiedziała - nie rób tego. Dokąd idziesz? Zabiją cię!

- Chcę zabrać stamtąd mojego syna - odpowiedziała Maria i wybuchnęła płaczem.

- Nie płacz, Mario - pocieszała ją stara kobieta. - Spójrz na tamtą kobietę. Stoi bez ruchu i patrzy, jak krzyżują jej syna. Niech jej widok doda ci otuchy.

- Nie płaczę tylko przez mojego syna, kumo; płaczę także i przez tę kobietę.

Stara kobieta, która bez wątpienia wiele wycierpiała w swoim życiu, pokręciła swoją łysiejącą głową.

- Lepiej być matką tego, który krzyżuje, niż ukrzyżowanego.

Ale Maria spieszyła się i nie słyszała jej słów. Ruszyła pod górę, prawie nic nie widząc załawionymi oczami. Cały świat zaczął płakać. Pośród gęstej mgły, która go otuliła, Maria odróżniała tylko konie, zbroje i ogromny, świeżo wyciosany krzyż, który wznosił się pod niebem. Jakiś jeździec obrócił się i zobaczył ją. Unosząc kopię nakazał jej ruchem głowy, żeby się cofnęła. Przystanąła. Pochylona spojrzała pod brzuchami koni i ujrzała swego syna. Klęczał ubijając siekiere kamienie wokół krzyża.

- Moje dziecko! - zawołała. - Jezus!

Jej okrzyk był tak rozdzierający, że przebił się przez tumult, parskanie koni i szczekanie zgłodniałych psów. Cieśla odwrócił się i ujrzał ją. Spochmurniał i powrócił do swojej pracy z jeszcze większą zaciętością.

Cyganie wspięli się na drabinki i rozciągnęli zelotę na krzyżu, podtrzymując go cały czas sznurami tak, żeby nie zsunął się w dół. Teraz ujęli gwoździe i zaczęli przybijać mu ręce. Ciężkie krople krwi trysnęły na twarz Jezusa. Porzucił siekiere, odskoczył ze zgrozą i wycofał się za konie, gdzie znalazł się obok matki tego, który miał wkrótce umrzeć. Cała krew spłynęła mu do wnętrza dłoni; nabrzmiałe żyły

pulsowały jak szalone - zdawało się, że mu zaraz pękną. Czuł na swoich dłoniach obolałe miejsca w kształcie główek od gwoździ.

Głos jego matki rozległ się raz jeszcze:

- Jezusie, moje dziecko!

Z krzyża potoczył się głęboki ryk; dziki krzyk, który dobiegał nie z gardła człowieka, ale z wnętrza ziemi:

- Adonai!

Ten krzyk wdarł się w jelita ludzi. Czy to oni krzyczeli?

A może ziemia? Albo człowiek na krzyżu, któremu wbijano pierwszy gwóźdź? Cały tłum był jak jeden człowiek, którego wieszano na krzyżu. Ludzie, ziemia, zelota - wszystko razem ryczało z bólu. Tryskająca krew obryzgała konie. Jedna duża kropka upadła na usta Jezusa. Była gorąca i słona.

Zachwiał się i byłby upadł, gdyby jego matka nie złapała go w porę w ramiona.

- Mój chłopcze - powiedziała raz jeszcze. - Jezusie...

Ale jej syn miał zamknięte oczy. W dłoniach, stopach i sercu czuł ból nie do zniesienia.

Wyniosła stara dama stała bez ruchu i patrzyła na cierpienie swego syna na dwóch skrzyżowanych deskach. Przygryzła usta i milczała. Kiedy usłyszała za sobą syna cieśli i jego matkę, poczuła gniew i odwróciła się. To był ten Żyd-odstępca, który zrobił krzyż dla jej syna i matka, która go urodziła. Dlaczego taki syn, zdrajca, miał żyć, kiedy jej syn wił się i wrzeszczał na krzyżu! Przepełniona krzywdą, wyciągnęła obie ręce w kierunku syna cieśli. Podeszła bliżej i stanęła przed nim. Podniósł oczy: kobieta była blada i patrzyła na niego błędnym, bezlitosnym wzrokiem. Opuścił głowę. Jej usta poruszyły się.

- Przeklinam cię - rzekła ochrypłym głosem - przeklinam cię synu cieśli. Oby cię ukrzyżowano tak samo, jak ty krzyżowałeś innych! Odwróciła się do jego matki:

- A ty, Mario, obyś zaznała takiego bólu, jakiego ja zaznaję!

Odwróciła głowę w stronę swojego syna. Magdalena obejmowała teraz krzyż u dołu i śpiewała pieśń pogrzebową dla zeloty; jej ręce dotykały jego stóp, jej włosy i ramiona zbryzgane były krwią.

Cyganie dobyli noży i zaczęli dzielić między siebie ubranie ukrzyżowanego, rzucając kości o łachmany. Wkrótce nie zostało nic oprócz białej chusty na głowę, nasiąkniętej dużymi kroplami krwi.

- Dajmy ją synowi cieśli - postanowili. - Biedaczysko, też się napracował.

Znaleźli go siedzącego w słońcu, zwiniętego w kłębek i drżącego na całym ciele.

- To twoja dola, cieślo - powiedział jeden z nich, rzucając mu zbrukaną krwią chustę. - Żebyś miał dużo dobrych ukrzyżowań!

- Razem z własnym, cieślo - powiedział drugi Cygan, klepiąc go ze śmiechem po plecach.

## ROZDZIAŁ V

Pójdźcie, dzieci! - zawołał stary rabin, rozpościerając szeroko ramiona, by zagarnąć oszołomiony tłum zrozpaczonych mężczyzn i kobiet.

- Pójdźcie! Odkryję przed wami wielką tajemnicę. Odwagi!

Biegli wąskimi uliczkami, a za nimi gnała konnica.

Gospodynie krzyczały i zamykały drzwi - znowu poleje się krew. Stary rabin upadł dwukrotnie; zaczął kaszleć i pluć krwią. Judasz i Barabasz wzięli go między siebie. Ludzie przybywali grupami i zziębnięci chronili się w synagodze. Stłoczyli się też na dziedzińcu i zaryglowali wrota prowadzące na ulicę.

Czekali aż rabin przemówi. Jakaż to pokrzepiającą serca tajemnicę mógł im wyjawić ten starzec w dzień takiej goryczy? .Od lat znosili niepowodzenia i ukrzyżowania. Apostołowie Boga bezustannie pojawiali się w Jeruzalem, nad Jordanem i na pustyni, zbiegali z gór odziani w łachmany i łańcuchy, z pianą na ustach - i wszyscy zostali ukrzyżowani.

Narastał gniewny pomruk. Gałęzie i palmy ozdabiające ściany świątyni, pentagramy, święte zwoje na pulpicie zapisane pompatycznymi słowami "naród wybrany", "ziemia obiecana", "królestwo niebieskie", "Mesjasz" - nic już nie przynosiło pocieszenia. Zbyt długo żyli nadzieją, która zaczęła zmieniać się w rozpacz. Bogu się nie spieszy, ale człowiekowi tak, a oni nie mogli już dłużej czekać. Nawet nadzieje namalowane na ścianach synagogi nie mogły ich teraz oszukać. Kiedyś, podczas czytania proroka Ezechiela, w rabina wstąpił Bóg. Skakał, krzyczał, płakał i tańczył, ale nic nie przynosiło mu ulgi. Słowa proroka stały się jego ciałem. Szukając ukojenia, rabin wziął pędzle i farby, zamknął się w synagodze i w boskim szale zaczął pokrywać ściany wizjami proroka. Były to bezkresne pustynie, czaszki i kości, stosy ludzkich szkieletów pod niebem czerwonym jak rozżarzone żelazo. Olbrzymia dłoń wychylała się z niebios i pochwyciwszy Ezechiela za kark, trzymała go w powietrzu. Wizja ta miała swój dalszy ciąg na drugiej ścianie. Tutaj Ezechiel stał zanurzony po kolana w kościach. Miał jaskrawo-zielone otwarte usta, z których wypływała wstęga zapisana czerwonymi literami: "Ludu Izraela, ludu Izraela, Mesjasz już nadszedł!" Kości składały się w szkielety, zabłocone zębate czaszki powstawały z ziemi, a straszliwa ręka wychylała się z nieba, trzymając w dłoni Nowe Jeruzalem - odbudowane, jasno oświetlone, całe w rubinach i szmaragdach!

Ludzie oglądali te obrazy i kręcili głowami, szepcząc coś do siebie. Rozgniewało to starego rabina.

- Cóż tak szepczecie? - zawołał do nich. - Czyż nie wierzycie w Boga naszych ojców? Jeszcze jeden ukrzyżowany - Zbawiciel jest o krok bliżej. Oto co znaczy ukrzyżowanie, wy, ludzie małej wiary!

Sięgnął po święty zwój z pulpitu i rozwinął go gwałtownie.

Słońce wdarło się przez otwarte okno; z wysoka nadleciał bocian i przysiadł na dachu domu naprzeciwno, jak gdyby i on chciał posłuchać. Ze schorowanej piersi wydarł się triumfalny, pełen szczęścia okrzyk:

- "Syjonie, dmij w zwycięskie trąby! Rozgłoście w Jeruzalem wesołą nowinę! Krzyczcie! Jahwe przyszedł do swego ludu. Powstań, Jeruzalem, w górę serca! Spójrzcie! Ze wschodu i zachodu Pan prowadzi waszych synów. Góry zrównane z ziemią, pagórki się rozpięchły, wszystkie drzewa rozlewają swe wonie. Jeruzalem przywdzieje szaty chwały. Izrael będzie szczęśliwy na wieki."

- Kiedy, kiedy? - rozległo się w tłumie.

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której dobiegł głos. Mały staruszek, chudy i pomarszczony jak rodzynek, wspiął się na czubki palców.

- Kiedy, kiedy, ojczu? - krzyczał.

Rabin gniewnie zwinął proroctwa.

- Spiesz ci się, Manasesie? - zapytał.

- Tak! - odparł mały staruszek, a łzy spływały mu po twarzy. - Nie mam czasu, wkrótce umrę.

Rabin wyciągnął ramiona i wskazał na Ezechiela otoczonego czaszkami.

- Patrz, Manasesie! Zmartwychwstaniesz!

- ówie ci, jestem stary i ślepy. Nie widzę.

Piotr przerwał tę rozmowę. Dzień miał się ku końcowi, a on nocami łowił ryby w jeziorze Genezaret i nie miał już wiele czasu.

- Ojczu, obiecałeś wyjawić tajemnicę, która pocieszy nasze serca. Jaka to tajemnica?

Wstrzymując oddech, wszyscy stłoczyli się wokół starego rabina. Z dziedzińca weszło tyle osób, ile tylko mogło się zmieścić. W gorącym powietrzu unosił się ostry zapach ludzkiego potu. Sługa wrzucił do kadzielnicy łożki cedrowej żywicy, aby odświeżyć powietrze.

Stary rabin wszedł na ławkę, żeby uniknąć uduszenia.

- Moje dzieci - rozpoczął, ocierając pot. - Krzyże wypełniają nam serca. Moja czarna broda posiwiła dawno temu, moja siwa broda pobielala, zęby mi powypadały. I ja wykrzykuję od lat słowa starego Manasesa: "Panie, jak długo jeszcze? Czy przyjdzie mi umrzeć nie ujrawszy Mesjasza?" Wciąż od nowa zadawałem to pytanie i któreś nocy stał się cud - Bóg mi odpowiedział. Nie, to nie był cud. Bóg odpowiada na każde pytanie, które mu stawiamy, ale ciała nasze są zbrukane i niemal głuche - nie słyszymy. Ale tej nocy usłyszałem - i to był ten cud.

- Co usłyszałeś? Opowiedz nam wszystko, ojcze - zawołał Piotr. Przepchnął się przez tłum i stanął przed rabinem. Starzec pochylił się, spojrzął na Piotra i uśmiechnął się.

- Bóg, Piotrze, jest rybakiem, tak jak ty. On także wyrusza na połów nocą, przy pełni księżyca, a tamtej nocy była pełnia - po niebie żeglował mlecznobiały księżyc, tak litościwy i dobry, że nie mogłem zamknąć oczu. Dusilem się w domu. Wąskimi uliczkami wyszedłem z Nazaretu, wspiałem się na wysoką skałę i skierowałem wzrok na południe - ku świętemu Jeruzalem. Księżyc nachylił się i spojrzął na mnie jak człowiek, z uśmiechem, i ja na niego patrzyłem - na jego usta, policzki, kąciki oczu - i westchnąłem. Czuję, że mówi do mnie, przemawia wśród nocnej ciszy, ale nic nie mogłem usłyszeć... Nie zadrżał nawet liść; bujna równina pachniała chlebem, mleko spływało z gór - z Taboru, Gilboa, z Karmelu... To noc Boga, pomyślałem. Ten księżyc w pełni to nocna twarz Boga. Takie będą noce w Nowym Jeruzalem. Gdy tylko o tym pomyślałem, łzy napłynęły mi do oczu. Ogarnęło mnie poczucie krzywdy i lęk.

- Jestem stary - krzyknąłem. - Czy przyjdzie mi umrzeć nie nacieszywszy oczu widokiem Mesjasza? Zerwałem się na równe nogi. Znowu ogarnęła mnie święta furia. Zdjąłem pas i całe odzienie, i stanąłem przed Bogiem, tak jak mnie matka wydała na świat. Chciałem, żeby zobaczył, jak się postarzałem, zwiędłem i skurczyłem, niczym liść figowca jesienią, jak naga łodyżka winnego grona oskubana przez ptaki. Chciałem, żeby mnie zobaczył, pożałował i zaczął działać!

Kiedy tak stałem nago przed Panem, poczułem, jak światło księżyca przenika moje ciało. Stałem się duchem - jednością z Bogiem, usłyszałem jego głos płynący nie z zewnątrz i nie z wysoka, ale z mojego wnętrza. Ze mnie! Prawdziwy głos Boga zawsze jest głosem wewnętrznym.

- Symeonie, Symeonie - usłyszałem. - Nie pozwolę ci umrzeć, zanim nie ujrzysz Mesjasza, zanim go nie usłyszysz i nie dotkniesz własnymi rękami!

- Panie, powtórz te słowa! - krzyknąłem.



- Symeonie, Symeonie, nie pozwolę ci umrzeć, zanim nie ujrysz Mesjasza, zanim go nie usłyszysz i nie dotkniesz własnymi rękami!

Ze szczęścia postradałem zmysły. Tańczyłem nago w blasku księżyca, klaskałem i tupałem. Nie wiem, jak długo trwał ten taniec - ułamek sekundy czy tysiąc lat, ale w każdym razie w końcu miałem już dosyć - znalazłem ukojenie. Ubrałem się, zapiąłem pas i zszedłem do Nazaretu. Koguty siedzące na dachach zaczęły piać, gdy tylko mnie dostrzegły. Niebo się śmiało, ptaki budziły, drzwi otwierały się, jak na moje powitanie. Mój nędzny domek lśnił aż po sam dach - drzwi, okna, wszystko - jak rubiny. Las, skały, ludzie i ptaki - wszystko wyczuwało wokół mnie obecność Boga. Sam centurion, ten krwio pijca, przystanął ze zdumienia.

- Co ci się stało, rabinie? - zapytał. - Wyglądasz jak zapalona pochodnia. Uważaj tylko, nie podpal Nazaretu!

Nic nie odpowiedziałem. Nie chciałem zbrukać sobie oddechu.

Latami przechowywałem głęboko ten sekret. Cieszyłem się nim w samotności, dumny i zazdrosny - i czekałem. Ale dziś, w tym czarnym dniu, gdy w nasze serca wbili nowy krzyż, nie potrafię już dłużej ustrzec tajemnicy. Ulituję się nad Izraelem. Dlatego muszę wyjawić wam tę radosną nowinę: on nadchodzi, jest już niedaleko. Pewnie zatrzymał się gdzieś przy studni, żeby napić się wody albo przy jakimś piecu chlebowym, żeby skosztować świeżo upieczonego chleba. Nieważne gdzie jest - pojawi się, bo Bóg tak powiedział, a co raz powiedział, tego nie odwoła. "Symeonie, nie umrzesz zanim nie ujrysz Mesjasza, zanim go nie usłyszysz i nie dotkniesz własnymi rękami!"... Czuję, jak z każdym dniem ubywa mi siła, ale im bardziej słabnę, tym bliższe jest nadejście Zbawiciela. Mam osiemdziesiąt pięć lat. Nie może dłużej zwlekać!

W tej chwili zerwał się łysy, zezowaty mężczyzna o twarzy przypominającej ostry, chudy pysk. Wyglądał jakby zapomniano dodać drożdży do ciasta, z którego powstał.

- A jeśli będziesz żył sto lat, ojciec? - przerwał. - A jeśli nigdy nie umrzesz? Znamy takie przypadki. Enoch i Eliasz wciąż jeszcze żyją!

Strzelał na wszystkie strony swymi małymi, chytrymi oczkami.

Rabin udawał, że nie słyszy, ale słowa, które wysyczał zezowaty, wbiły mu się głęboko w serce. Uniósł dłoń w dostojnym geście.

- Chcę zostać sam na sam z Bogiem, wyjdźcie wszyscy!

Miejsce opustoszało, tłum rozproszył się i stary rabin pozostał sam. Zamknął drzwi prowadzące na ulicę i zamyślił się głęboko, oparty o ścianę, na której prorok Ezechiel unosił się w powietrzu. "To Bóg" - pomyślał - "to Bóg wszechmogący - robi co mu się podoba. Czyżby ten łajdak Tomasz mógł mieć rację? Biada mi, jeśli Bóg postanowi, że mam żyć tysiąc lat! A jeśli postanowi, że mam być nieśmiertelny - wówczas Mesjasz... Czyż naród Izraela na próżno żywi nadzieję? Od tysięcy lat nosi słowo Boże w swym łonie, żywiąc je jak matka żywi płód. Nasze ciało i kości zostały pożarte - rozplynęliśmy się, żyjąc wyłącznie dla Syna Bożego. Ale teraz rozpoczął się poród; to krzyczy nasienie Abrahama. Uwolnij ich, Panie, uwolnij ich wreszcie! Ty jesteś Bogiem, ty możesz znieść wszystko - my nie. Litości!"

Rabin przechadzał się po synagodze. Dzień wreszcie miał się ku końcowi. Cienie przykryły obrazy i połknęły Ezechiela. Starzec dostrzegł otaczającą go smugę cienia i nagle przypomniało mu się wszystko, co widział i wycierpiał w życiu. Ileż to razy i z jaką tęsknotą biegał z Galilei do Jeruzalem i z Jeruzalem na pustynię w pogoni za Mesjaszem! Jednak za każdym razem krzyż kładł kres jego nadziejom, więc ze wstydem powracał do Nazaretu. Ale dzisiaj...

Ścisnął głowę rękami.

- Nie, nie - wyszeptał z przerażeniem. - Nie, nie, to niemożliwe! Od wielu dni i nocy jego umysł pulsował, jak gdyby miał się rozszczepić. Nawiedziła go nowa nadzieja, nadzieja przerastająca rozum - szaleństwo, pożerający go demon. Nie pierwszy to już raz; obłęd od wielu lat wbijał swe szpony w jego mózg. Walczył z nim, lecz on powracał. Nigdy jednak nie ośmielił się podejść w ciągu dnia; przychodził zawsze ciemną nocą lub w snach. Ale dzisiaj, dzisiaj - w południe, w biały dzień!

Rabin oparł się o ścianę i zamknął oczy. Znow ten sam obraz: syn Marii przechodzi dysząc tuż obok, z krzyżem na plecach, a wokół niego drży powietrze, tak jak drży pewnie wokół archaniołów...

O, podniósł wzrok. Nigdy jeszcze stary rabin nie widział tyle nieba w ludzkich oczach! Czy to może być on?

- Panie, Panie - szepnął. - Dlaczego mnie dręczysz? Dlaczego nie odpowiadasz?

Proroctwa jak błyskawice przecinały jego myśli. W jednej chwili głowa starca wypełniała się światłem, w następnej opadała w beznadziejną ciemność. Z jego otwartych wnętrzości wyszli patriarchowie. Wytrwały, twardy, poraniony naród prowadzony przez Mojżesza - rogatego przewodnika stada znow wyruszał w bezkresną podróż z Ziemi Niewoli do Ziemi Kanaan, a potem z Ziemi Kanaan do No-

wego Jeruzalem. Jednak w tej nowej wędrówce nie patriarcha Mojżesz wyznaczał szlak, ale ktoś inny - umysł rabina pulsował - ktoś inny, z krzyżem na ramionach...

Jednym skokiem dopadł drzwi i otworzył je. Wiatr uderzył go w twarz; odetchnął głęboko. Słońce zaszło, ptaki ucichły. Wąskie uliczki wypełniały cienie, ziemia była chłodna. Zamknął drzwi i wsunął ciężki klucz za pas. Na chwilę stracił odwagę, ale zaraz podjął decyzję. Z pochyloną głową ruszył w stronę domu Marii.

Maria siedziała na podwórzu swego domu i przędła. Na dworze było jeszcze jasno. Letnie światło powoli wycofywało się z oblicza ziemi, jakby nie chciało go opuścić. Mężczyźni powracali z pola, prowadząc do domów swoje woły. Ich żony rozpałały ogień, by przygotować wieczorny posiłek; woń palącego się drewna przenikała popołudniowe powietrze. Maria przędła, a jej myśli obracały się wraz z wrzecionem. Pamięć i wyobrażenia połączone w jedno: życie wydawało się jej na w pół prawdą, na w pół legendą. Drobne codzienne zajęcia wypełniały jej lata, aż nagle zjawiał się bez zaproszenia ten zdumiewający paw - ten cud - i okrył jej udręczoną egzystencję długimi, złocistymi skrzydłami.

- Zabierz mnie dokąd chcesz, Panie. Zrób ze mną, co ci się podoba. Ty wybrałeś mi męża, ty podarowałaś syna, ty dałeś mi cierpienie. Każesz mi krzyczeć - krzyczę; każesz mi milczeć - milczę. Czymże jestem, Panie? Garstką błota w twych dłoniach, a ty urabiasz mnie jak ci się podoba. Czyń co zechcesz. O jedno cię tylko błagam: Panie, miej litość dla mojego syna!

Śnieżnobiały gołąb sfrunął z dachu naprzeciwko, przez chwilę trzepotał skrzydłami nad głową Marii, a potem z godnością osiadł na kamykach podwórza i zaczął przechadzać się miarowo wokół jej stóp. Rozpostarł ogon, przekręcił głowę i spojrzał na Marię. Okrągłe oko błyskało w wieczornym świetle jak rubin. Patrzył na nią, przemawiał do niej. "Na pewno chce mi przekazać jakąś tajemnicę" - pomyślała. - "Och, gdyby tylko przyszedł tu stary rabin. Zna się na mowie ptaków i mógłby mi przetłumaczyć..." Spojrzała na gołębia i zrobiło się jej go żal. Porzuciła wrzeciono przyzywając ptaka czułym tonem, aż podskoczył w zachwycie i wylądował na jej kolanach. Przysiadł, opuścił skrzydła i zamarł w bezruchu, jakby cała jego tajemnica polegała na tym właśnie, że chciał dostać się na jej kolana.

Maria uśmiechnęła się pod przyjemnym ciężarem. Ach, gdybyż Bóg zawsze mógł z taką słodyczą zstępować na świat!

Przypomniała sobie poranek, kiedy razem z Józefem, jej narzeczoną, wspięli się na górę Karmel, niebiański szczyt proroka Eliasza, Chcieli błagać płomiennego

proroka, aby poprosił Boga o syna dla nich, syna, którego później poświęciliby łasce Eliasza. Tego samego dnia wieczorem mieli się pobrać, więc wyruszyli jeszcze przed świtem, w nadziei na błogosławieństwo ognistego proroka, którego radował każdy piorun. Była piękna jesień - na niebie ani śladu chmur. Ludzie podobni do mrówek zbierali swoje plony; w dzbanach gotował się winny moszcz, na krokwiach suszyły się sznury fig. Maria miała wówczas piętnaście lat, a jej przyszły mąż był siwym starcem, ale w twardej dłoni dzierzył łaskę, która miała niebawem zakwitnąć.

W samo południe dotarli na szczyt. Przyklękli i czubkami palców dotknęli ostrego, poplamionego krwią granitu. Ze skały wyfrunęła iskra i sparzyła dłoń Marii. Józef otworzył usta, aby przywołać dzikiego mieszkańca szczytu, ale zanim zdążył wypowiedzieć choć słowo, z niebios zstąpiły ryczące chmury gradowe, tworząc nad skałą wirujący lej. Gdy Józef rzucił się, by objąć narzeczoną i ukryć ją gdzieś w jaskini, Bóg cisnął przerażający grom, ziemia i niebo połączyły się w jedno, a Maria upadła zemdlona. Gdy odzyskała przytomność, rozejrzała się wokół i zobaczyła, że Józef leży twarzą na czarnym granicie - sparaliżowany...

Maria dotknęła gołębia siedzącego na jej kolanach. Pieściła ptaka ostrożnie, żeby go nie spłoszyć.

- Bóg w okrutnej postaci zstąpił na szczyt góry i przemówił do mnie w okrutny sposób - wyszeptała. - Ale co mi właściwie powiedział?

To pytanie często zadawał jej rabin, zdumiony ilością cudownych zdarzeń, które ją spotykały.

- Spróbuj sobie przypomnieć, Mario - mawiał. - Czasem tak właśnie Bóg przemawia do ludzi - za pomocą gromu. Spróbuj za wszelką cenę przypomnieć sobie, co powiedział, abyśmy mogli poznać los twojego syna.

- Rozległ się grzmot, ojcze. Przetoczył się przez niebo jak skrzypiący zaprzęg wołów.

- Ale co usłyszałaś spoza grzmotu?

- Masz rację, ojcze. Bóg przemówił spoza grzmotu, ale nie mogłam zrozumieć jego słów. Wybacz mi.

Pieszcząc gołębia, starała się przywołać w pamięci błyskawicę sprzed trzydziestu lat i rozszyfrować jej ukryte znaczenie.

Przymknęła oczy. W dłoni czuła maleńkie, ciepłe ciało gołębia i bicie jego serca. Nagle - nie wiadomo jak ani dlaczego - gołąb i błyskawica zlały się w jedno; tego była pewna - to bicie serca i grzmot - to Bóg! Krzyknęła i podskoczyła z przerażenia. Teraz

po raz pierwszy rozróżniała słowa ukryte wśród grzmotów, ukryte w gruchaniu gołębia: "Bądź pozdrowiona, Mario... Bądź pozdrowiona, Mario..." Bez wątpienia to właśnie mówił Bóg: "Bądź pozdrowiona, Mario"...

Odwróciwszy się, zobaczyła, że jej mąż stoi pod ścianą i porusza ustami. Było już ciemno, lecz on ciągle trzymał się i pocił. Podchodząc do drzwi, przeszła obok niego bez słowa. Chciała zobaczyć, czy przypadkiem nie wraca jej syn. Widziała, jak owinał sobie głowę zakrwawioną chustą ukrzyżowanego i ruszył w stronę równiny. Dokąd poszedł? Dlaczego się spóźnia? Czy znowu zostanie na polach aż do świtu?

Stojąc na progu zobaczyła, że zbliża się stary rabin. Dyszał ciężko i podpierał się swoją laską, a kosmyki siwych włosów na jego skroniach powiewały na wieczornym wietrze, który spływał z góry Karmel.

Maria odsunęła się z szacunkiem, żeby przepuścić rabina.

Schwycił dłoń Józefa i poklepał ją, ale nic nie powiedział - cóż mógł powiedzieć? Ciemne wody zalewały jego myśli. Zwrócił się do Marii.

- Oczy ci błyszczą, Mario. Co się stało? Czy Bóg znowu zstąpił?

- Ojcie, już wiem! - zawołała, nie mogąc dłużej się powstrzymać.

- Już wiesz! Ale co, w imię Boże?

- Wiem co powiedział Bóg, gdy cisnął gromem.

Rabin wzdrygnął się.

- Wielki jest Bóg Izraela - wykrzyknął, wznosząc w górę ramiona.

- Właśnie po to przybywam, Mario, żeby zapytać cię raz jeszcze. Dzisiaj, jak wiesz, ukrzyżowano kolejną moją nadzieję, a moje serce...

- Już wiem, ojcie - powtarzała Maria. - Kiedy siedziałam przedą dziś wieczorem, znowu myślałam o błyskawicy. I po raz pierwszy poczułam, że cichnie we mnie ten grzmot, a spoza niego usłyszałam spokojny, czysty głos, głos Boga: "Bądź pozdrowiona, Mario"!

Rabin opadł na stołek. Ściskając dłońmi skronie, zagłębił się w myślach. Po dłuższej chwili podniósł głowę.

- Nic więcej, Mario? Skup się dobrze, żebyś miała pewność. Los Izraela może zależeć od twoich słów.

Maria przestraszyła się na te słowa. Jej pierś zadrżała. Jeszcze raz wyteżyła umysł, aby dosłyszeć głos spoza grzmotu.

- Nie - wyszeptwała wreszcie, wyczerpana. - Nie, ojczu. Powiedział więcej, dużo więcej, ale nie słyszę. Staram się jak mogę, ale nie słyszę jego słów. Rabin położył dłonie na głowie Marii.

- Pość i módl się, Mario; nie rozpraszaaj myśli codziennymi obowiązkami. Czasem świetlista aureola, jasna jak błyskawica, porusza się dokoła twojej twarzy. Zastanawiam się, czy to istotnie światło? Nie umiem powiedzieć. Pość, módl się, a usłyszysz. "Bądź pozdrowiona, Mario"... Ta boska wieść zaczyna się łaskawie. Postaraj się przypomnieć, co było dalej.

Maria podeszła do półki z garnkami, żeby ukryć przed rabinem swoje poruszenie. Zdjęła z haczyka mosiężny kubek, nabrała zimnej wody, sięgnęła po garść daktyli i podała je starcowi.

- Nie jestem głodny ani spragniony, Mario - odparł. - Dziękuję. Usiądź, mam ci coś do powiedzenia.

Usiadła na najniższym stolku u jego stóp i uniosła głowę w oczekiwaniu. Starzec ważył w myślach słowa. To, co chciał powiedzieć było trudne - nadzieja delikatna jak pajęczyna i niepewna, więc nie potrafił znaleźć słów tak delikatnych i ogólnych, by nie dodały tej nadziei wagi, tym samym zmieniając ją w pewnik. Nie chciał przestraszyć matki.

- Mario - zaczął wreszcie. - Przed tym domem jak lew pustynny krąży tajemnica. Nie jesteś taka jak inne kobiety, Mario. Wyczuwasz to?

- Nie, ojczu - szepnęła. - Jestem taka jak inne. Kocham wszystkie kobiece troski i radości. Lubię pracować, gotować, chodzić po wodę do źródła, gawędzić wesoło z sąsiadkami, a wieczorem lubię usiąść na progu i przyglądać się przechodniom. A moje serce, ojczu, jest pełne bólu, jak serca wszystkich kobiet.

- Nie jesteś taka jak inne, Mario - powtórzył rabin uroczystym tonem, unosząc dłoń, jak gdyby chciał odsunąć wszelki sprzeciw. - A twój syn...

Rabin przerwał. Jakimi słowami wyrazić to, co najtrudniejsze? Spojrzał w górę, w niebiosa i słuchał. Jedne ptaki przygotowywały się do snu w gałęziach drzew, inne wstawały do życia. Koło obracało się nieustannie; dzień wsiąkał w ziemię pod stopami ludzi.

Rabin westchnął. Jakże szybko mijają dni, jak wściekle gnają! Świt, zmierzch, wędrówka słońca, wędrówka księżycy; dzieci dorastają, czarne włosy siwieją, morze pożera ląd, góry stają się nagie - a Ten, na którego czekają, wciąż nie nadchodzi!

- Mój syn? - zapytała Maria drżącym głosem. - Mój syn, ojczu?

- On nie jest taki jak inni - odparł śmiało rabin. Raz jeszcze rozważył słowa i podjął po chwili.

- Czasami nocą, gdy jest sam i myśli, że nikt go nie widzi, jego twarz lśni w ciemności. Niech mi Bóg wybaczy, Mario, ale wysoko w ścianie zrobiłem małą dziurkę. Wspinam się i stamtąd go obserwuję, podglądam co robi. Dlaczego? Ponieważ, przyznaję, jestem zupełnie zagubiony, moja wiedza na nic się nie przydaje, bezustannie rozkładałem zwoje świętych Ksiąg, ale nie potrafię pojąć, czym lub kim on jest. Podglądam więc z ukrycia co robi i w ciemności widzę to światło, które okala i pochłania jego twarz. To dlatego z dnia na dzień robi się coraz bledszy, dlatego ginie. To nie od choroby, postów czy modlitwy; nie, jego pochłania to światło.

Maria westchnęła. "Biada matce, która zrodziła syna niepodobnego do innych" - pomyślała. Ale nie odezwała się.

Starzec pochylił się nad nią i zniżył głos. Jego usta płonęły.

- Bądź pozdrowiona, Mario - powiedział. - Bóg jest wszechpotężny, a zamiary jego niezbadane. Twój syn jest być może...

Lecz nieszczęśliwa matka wykrzyknęła:

- Miej litość-nade mną, ojczy! Prorokiem? Nie, nie! A jeśli Bóg tak zapisał, to niech wymaże te słowa! Chcę tylko, by mój syn był taki jak wszyscy, ni mniej, ni więcej. Taki jak wszyscy... Niech robi koryta, kołyski, pługi i narzędzia domowe, jak kiedyś jego ojciec, a nie, jak teraz, krzyże, na których wieszają ludzi. Niech poślubi ładną, młodą dziewczynę, z posagiem, z szacownego domu, niech szczerze daje, płodzi dzieci, a potem co sobota wszyscy wyjdziemy na spacer - dzieci i wnuki - aby wszyscy mogli nas podziwiać.

Rabin wsparł się ciężko na swojej lasce i wstał.

- Mario - rzekł surowo. - Gdyby Bóg słuchał matek, zgnilibyśmy wszyscy w bagnie bezpiecznego, łatwego życia... Gdy będziesz sama, przemyśl wszystko, o czym mówiliśmy.

Zwrócił się do brata, by życzyć mu dobrej nocy. Szklisty wzrok Józefa był zamglony, język wysunął mu się z ust. Wpatrywał się w przestrzeń, usiłując coś powiedzieć. Maria pokręciła głową.

- Zmaga się tak od rana, a jeszcze się nie wyzwolił.

Podeszła do męża i otarła gąbką jego wykrzywione, zaślinione usta.

W tej samej chwili, gdy rabin wyciągnął do Marii rękę na pożegnanie, drzwi uchyliły się cicho i w progu stanął jej syn. Jego twarz lśniła w ciemności. Zakrwawiona

chusta oklejała mu włosy, ale noc przysłoniła wielkie łzy, które wciąż spływały mu po policzkach.

Przestąpił próg, rozejrzał się spieszenie dokoła, spostrzegł matkę i rabina, a w ciemności pod ścianą - szkliste oczy ojca.

Maria chciała zapalić lampę, ale rabin powstrzymał ją.

- Zaczekaj - szepnął. - Porozmawiam z nim.

Zebrał się na odwagę i podszedł do młodzieńca.

- Jezusie - powiedział z czułością, zniżając głos, by nie usłyszała go matka. - Jezusie, dziecko moje, jak długo jeszcze będziesz mu się opierał?

A wtedy cały dom zadrżał od dzikiego krzyku:

- Aż do śmierci!

W jednej chwili, jak gdyby opuściły go wszystkie siły, syn Marii osunął się na ziemię i z trudem zaczął łapać oddech. Rabin chciał nadal z nim rozmawiać. Pochylił się, lecz zaraz odskoczył w tył. Było to tak, jakby zbliżył się do ogromnego płomienia i oparzył sobie twarz. Bóg go otacza, pomyślał. Tak, to Bóg go otacza i broni do niego przystępu. Lepiej stąd pójść!

Wyszedł pogrążony w myślach. Drzwi zamknęły się, ale Maria nie śmiała zapalić lampy. Dzika bestia czyhała na nią w ciemności. Stojąc pośrodku domu, słuchała beznadziejnego bełkotu męża i jęków syna, który leżał na ziemi dysząc z przerażenia, jak gdyby ktoś go dusił. Ktoś - ale kto? Nieszczęsna matka wbiła paznokcie w policzki i znowu pytała Boga, skarżąc się i krzycząc:

- Przecież jestem matką, czy nie masz dla mnie litości?

Ale nikt jej nie odpowiedział.

Gdy stała tak niemo i bez ruchu, czując jak dygoce każda żyła w jej ciele, rozległ się triumfalny krzyk. Język sparaliżowanego mężczyzny uwolnił się i z wykrzywionych ust, sylaba po sylabie, popłynęło słowo rozbrzmiewające echem w całym domu: A-DO-NA-I! Ledwo starzec wypowiedział je, zapadł natychmiast w głęboki sen.

Maria zebrała się na odwagę i zapaliła lampę. W glinianym garnku gotowała się strawa. Podeszła do paleniska, przyklękła i zdjęła pokrywkę, by sprawdzić, czy nie trzeba dodać wody albo szczypty soli.



## ROZDZIAŁ VI

Niebo lśniło niebieskawą bielą. Miasto Nazaret spało pogrążone w sennych marzeniach. Gwiazda Poranna znaczyła godziny nad głowami śpiących, drzewa cytrusowe i oliwkowe spowijał różowo-błękitny woal. Głęboka cisza... Nie piał nawet kogut. Syn Marii otworzył drzwi. Pod oczami miał ciemnosine obwódki, ale jego dłonie nie drżały już. Otworzył drzwi i nie oglądając się do tyłu ani na matkę, ani na ojca opuścił na zawsze rodzinne progi. Po dwóch lub trzech krokach zatrzymał się. Wydawało mu się, że słyszy za sobą ciężkie stąpanie. Obejrzał się: nie było nikogo. Zapiął wysadzany gwoździami skórzany pas, zawiązał na głowie czerwoną chustę i ruszył wąską, krętą ścieżką. Jakiś pies zaszczekał na niego posepnie, a nad głową przeleciała sowa, przeczuwając zbliżający się dzień. W pośpiechu oddalił się od zaryglowanych drzwi i wszedł między ogrody i sady. Pierwsze ptaki zaczęły już kwilić poranne pieśni. W ogrodzie od strony kuchni starszy człowiek kręcił korbą studni. Wstawał dzień.

Nie miał sakwy, laski, ani sandałów, a czekała go długa droga. Musiał przejść przez Kanę, Tyberiade, Magdalę i Kafarnaum, potem obejść jezioro Genezaret i wyjść na pustynię. Słyszał, że jest tam klasztor dla prostych, cnotliwych ludzi: ubierali się na biało, nie jedli mięsa, nie pili wina, nigdy nie dotknęli kobiety - nie robili nic oprócz modlenia się do Boga. Znali się na ziołach i dolegliwościach ciała; byli też uczeni w tajemnych czarach i potrafili wygnać z duszy demony. Ileż to razy jego wuj rabin, nieustannie wzdychając, mówił mu o tym świętym klasztorze. Spędził tam 11 lat, modląc się i lecząc chorych. Niestety! Pewnego dnia uległ kusicielowi (przecież on też jest potężny!): ujrzał kobietę, porzucił świątobliwe życie, zrzucił zakonną szatę, ożenił się i dał życie Magdalenie. Dobrze mu tak! Bóg odwdzieczył się niewiernemu odpowiednią nagrodą...

- Tam właśnie pójdę - mruknął syn Marii, przyspieszając kroku. - Ukryję się w skrzydłach klasztoru.

Poczuł szaloną radość. Tak długo, od swych dwunastych urodzin, pragnął opuścić dom i rodziców, uciec przed upomnieniami matki, wrzaskami ojca i mało ważnymi codziennymi obowiązkami, które pożerały duszę; pragnął zostawić za sobą człowieczeństwo i skryć się na pustyni! W końcu dziś jednym ruchem porzucił wszystko, uwolnił się od ludzkiego krzyża i zamienił go na boski. Był uratowany.

Jego blada, rozgoryczona twarz nagle się rozpromieniła. Może ręce Boga trzymały go przez te wszystkie lata właśnie po to, by znalazł się tam, dokąd teraz zmierzał z własnej woli, bez boskiego przymusu? Czy oznaczało to, że jego pragnienia zaczynały się łączyć z pragnieniami Boga? Czyż nie było to największym i najtrudniejszym obowiązkiem człowieka? Czy nie takie było znaczenie szczęścia? Poczul ulgę. Żadnych koszmarów, żadnej walki i wrzasku. Tego ranka pojawił się przepełniony współczuciem Bóg i powiedział do niego:

- Chodźmy.

Otworzył drzwi, a teraz - jakież wspaniałe uczucie pojednania, co za szczęście!

- To zbyt wiele dla mnie - wymamrotał. - Podniosę wysoko głowę i zaśpiewam psalm zbawienia "Jesteś moim schronieniem i ucieczką Panie". Radość przepełniała mu serce, wylewała się na zewnątrz. Szedł dalej w słodkim brzasku poranka, otoczony przez Boże dobrodziejstwa - oliwki, winnice, pola pszenicy, a psalm radości wydobywał się z jego wnętrza i zdawał się wznosić do nieba. Uniósł wysoko głowę i otworzył usta, lecz nagle jego serce zamarło: wyraźnie usłyszał odgłos biegnących za nim stóp. Skrócił krok i nadstawił uszu. Podążające za nim stopy zwolniły, a potem się zatrzymały, tak samo jak on.

- Wiem kto to jest - wyszeptał drżącym głosem - wiem.

Zdobył się na odwagę i odwrócił gwałtownie, żeby zobaczyć prześladowcę zanim zniknie ... Nie było nikogo!

Na wschodzie niebo zrobiło się ciemnowiśniowe. Kłosa zboża dojrzały już do żniw; łodygi pochylały się w nieruchomym powietrzu jakby w oczekiwaniu na sierp. Na równinie nie było nikogo - ani zwierzęcia, ani człowieka. Tylko z oddali, z Nazaretu dochodziły oznaki życia. Nad jednym lub dwoma domami unosił się już pierwszy dym. Kobiety budziły się ze snu.

Poczul się nieco pewniej. Pomyślał, że lepiej nie tracić czasu i postanowił czym prędzej pobiec na drugą stronę wzgórza, żeby zgubić swoje niewidzialne towarzystwo. Zaczął biec.

Po przeciwległej stronie wzgórza pszenica wznosiła się na wysokość człowieka. To właśnie tu, na Równinie Galilejskiej, człowiek pierwszy raz zasiał pszenicę, a także zasadził winogrona, które wciąż pięły się tu po zboczach góry. Z oddali doleciał odgłos ciągniętego przez woły wozu. Osły podnosiły się z ziemi, wciągały nozdrzami powietrze, unosiły ogony i ryczały. Słyszał śmiech i rozmowy. Błysnęły naostrzone

sierpy, pojawiły się pierwsze żniwiarki. Słońce zalewało ich powabne ramiona, szyje i łydki swoimi promieniami.

Gdy kobiety dostrzegły w oddali biegnącego młodzieńca, wybuchnęły śmiechem.

- Hej, ty, kogo tak gonisz? - wołały. - A może to ciebie gonią?

Kiedy jednak zbliżył się do nich, rozpoznały go.

Przestały szczebiotać i zebrały się w gromadę.

- To ten rzymski pacholek! - wykrzyknęły. - Niech będzie przeklęty! Wczoraj widziałam, jak krzyżował...

- Spójrzcie, jaką ma skrwawioną chustę!

- To jego scheda po zelocie. Niech krew niewinnych spadnie na Jego głowę!

Wróciły czym prędzej do pracy, a śmiech zamarł im w gardłach.

Syn Marii przebiegł obok nich, minął pola pszenicy i znalazł się wśród winnic, które pokrywały łagodne zbocza góry. Gdy ujrzał drzewo figowe, zwolnił, żeby wziąć liść i powąchać go. Bardzo lubił zapach liści figowca: przypominał mu zapach ludzkiego ciała. W dzieciństwie często zamykał oczy i wąchał liście, wyobrażając sobie, że tuli się do piersi matki... W chwili, gdy się zatrzymał, by zerwać liść, zimny pot oblał mu całe ciało. Biegnące za nim stopy również stanęły. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Z wyciągniętymi ramionami rozejrzał się dokoła. Samotność. Nikogo oprócz Boga. Ziemia była mokra, z liści kapała rosa; w dziupli drzewa motyl próbował rozpostrzeć wilgotne skrzydła i wzbić się w powietrze.

Chciał krzyczeć. Może krzyk przyniesie mu ulgę? Za każdym razem, kiedy zostawał sam w górach czy na pustyni, jego serce wypełniało się silnym uczuciem... czego właściwie - radości? smutku? A może był to przede wszystkim strach? Zawsze, gdy czuł obecność Boga otaczającego go ze wszystkich stron, chciał wydobyć z siebie dziki krzyk, jak gdyby w rozpaczliwej próbie ucieczki. Czasami piał jak kogut; czasem wył jak głodny szakal; kiedy indziej jak chłostany pies. Teraz, gdy otworzył usta, dostrzegł motyla próbującego rozwinąć skrzydła. Pochylił się, podniósł go łagodnie i położył wysoko na liściu figowca skąpanego w promieniach słońca.

- Mój bracie - powiedział cicho i popatrzył na motyla ze współczuciem.

Ruszył znów w drogę, lecz natychmiast usłyszał za sobą stłumiony odgłos bosych stóp na wilgotnej ziemi. Na początku podróży, tuż po opuszczeniu Nazaretu, odgłos kroków był bardzo słaby i jak gdyby dochodził z oddali. Stopniowo stopy

nabierały odwagi i przybliżały się, "Wkrótce" - pomyślał z drżeniem syn Marii - "zrównają się ze mną".

- Panie - powiedział półgłosem - spraw, żebym dotarł szybko do klasztoru, zanim ta bestia rzuci się na mnie.

Blask słońca zalał teraz równinę, rozgrzewając ptaki, zwierzęta i ludzi. Na zboczach góry beczały owce, a pasterze grali na fujarkach: świat stał się swojski i bezpieczny. Niebawem, gdy tylko dotrze do tej wysokiej topoli po lewej stronie, zobaczy przed sobą Kanę, wesołą wioskę, którą tak kochał, ileż to razy, gdy był jeszcze wyrostkiem - zanim Bóg złapał go w swoje szpony - przychodził tu z matką na hałaśliwe jarmarki! Ile razy przyłączał się do innych, podziwiając dziewczęta z okolicznych wiosek, gdy tańczyły pod wysoką, gęsto ulistnioną topolą, a szczęśliwa ziemia drżała pod ich stopami. Dopiero potem, kiedy skończył dwadzieścia lat, stał pod tą topolą ciężko dysząc, z różą w dłoni...

Wzdrygnął się. Nagle ujrzał Ją, jak stoi jeszcze raz przed nim, złożona z tysiąca potajemnych pocałunków. W jej piersiach, po lewej i po prawej stronie, kryły się słońce i księżyc; dzień i noc wznosiły się i opadały pod jej przezroczystym stanikiem.

- Daj mi spokój - zawołał. - Oddałem się Bogu. Idę spotkać się z nim na pustyni.

Minął w pośpiechu topolę. Nagle jego oczom ukazała się Kana: przysadziste, pobielone domy, kwadratowe suszarnie, połączane kukurydzą i tykwami rozłożonymi na słońcu. Młode dziewczyny dekorowały swe domy, rozwieszając czerwoną paprykę na bawełnianych sznurkach.

Opuściwszy wzrok, ruszył przez tę pułapkę szatana tak szybko, jak potrafił. Nie chciał być widziany i nie chciał nikogo widzieć. Bose stopy tupwały głośno na kamieniach za jego plecami: też biegły.

Słońce wzniosło się wysoko; cała ziemia skąpana była teraz w blasku. Żniwiarki, pośpiewując wesoło, machały sierpami i kosiły łąny zboża. Wszędzie wokół rosły szybko stogi. Syn Marii pobłogosławił w pośpiechu obfite plony.

- Niech każdy kłos będzie tak duży, że wypełni worek!

Kana zniknęła za oliwnym gajem. Cienie skurczyły się wokół drzew: nadchodziło południe. Gdy syn Marii napawał oczy otaczającym go światem i Bogiem, słodki zapach świeżo upieczonego chleba uderzył go w nozdrza. Poczul głód, całe jego ciało podskoczyło z radości na myśl o pożywieniu. Tyle razy zdarzało mu się odczuwać głód, ale nigdy nie doświadczył tej słodkiej tęsknoty za chlebem! Lecz teraz...

Wciągnął nosem powietrze. Podążając za wonią przeszedł przez rów, płot, wszedł do winnicy i odkrył niską, szeroką chatę stojącą pod drzewem oliwkowym. Przez jej słomiany dach unosił się dym. W środku stała stara kobieta, pochylona nad ceglany piec. Miała zwinne ruchy, nos jak szpikulec i pozbawione rzęs oczy. Łaciaty, żółto-czarny pies stał u jej boku. Przednie łapy oparł na piecu i otworzył wygłodzony, zębaty pysk. Na odgłos kroków zaszczekał i rzucił się na intruza. Kobieta odwróciła się ze zdziwieniem. Gdy zobaczyła młodzieńca, jej oczy rozbliły. Ucieszona, że ktoś przerywa wreszcie jej samotność, oderwała się od pracy.

- Witaj - powiedziała. - Jesteś głodny? Skąd przybywasz, z Bożą pomocą?

- Z Nazaretu.

- Jesteś głodny? - spytała znów ze śmiechem. - Nos drży ci jak u charta.

- Tak, jestem głodny. Wybacz mi.

Ale stara kobieta była przygłucha i nie usłyszała jego słów.

- Co? - powiedziała. - Mów głośniej!

- Jestem głodny. Wybacz mi.

- Wybaczyc, dlaczego? Głodu nie trzeba się wstydzic, mój chłopcze, ani pragnienia, ani miłości. Wszystkie pochodzą od Boga. Nie wstydz się i podejdź bliżej.

Znów się roześmiała, odsłaniając swój jedyny, drogocenny ząb.

- Tutaj znajdziesz chleb i wodę. Miłość trochę dalej, w Magdali.

Wzięła w rękę jeden z bochenków chleba leżących na drewnianej ławce obok pieca.

- To jest bochenek, który zawsze chowamy dla przechodniów, gdy opróżnimy piec. Nazywamy go chlebem pasikoników. Jest twój, nie mój. Ukrój sobie kromkę i jedz.

Syn Marii uspokoił się. Usiadł na korzeniu starego drzewa oliwkowego i zaczął jeść. Jakież smakowity był ten chleb, jak odświeżająca woda i jakie słodkie dwie oliwki, które stara kobieta dała mu do chleba. Były smukłe i mięsiste jak jabłka! Jadł spokojnie czując, że ciało i dusza łączą się w jedno, że jednym ustami przyjmują chleb, wodę i oliwki, radując się nimi i pożywiając.

Pochylona nad piecem stara kobieta podziwiała go.

- Musiałeś być bardzo głodny - powiedziała ze śmiechem - Jedz. Jesteś młody, a masz jeszcze przed sobą długą drogę i kłopotów bez liku. Masz, jedz, wzmocnij swe siły, żebyś mógł przetrwać.

Odlamała kawałek z innego bochenka i dała mu jeszcze dwie oliwki. Chusta spadła jej z głowy, odsłaniając łysiejącą czaszkę. Zawiązała ją pospiesznie.

- Dokąd idziesz, z boską pomocą? - zapytała.

- Na pustynię.

- Gdzie? Mów głośniej!

- Na pustynię.

Stara wykrzywiła usta; jej oczy zrobiły się dzikie.

- Do klasztoru? - zawołała z niespodziewanym gniewem. - Dlaczego? Co masz tam do roboty? Nie szkoda ci młodości?

Milczał. Stara potrząsnęła łysą głową i zasyczała jak wąż.

- Pewnie chcesz odnaleźć Boga - dodała z przekąsem.

- Tak - odrzekł młodzieniec słabym głosem.

Kobieta kopnęła psa, który plątał się jej pod nogami i zbliżyła się do młodzieńca.

- Och, ty biedaku - zawołała - nie wiesz, że Bóg nie mieszka w klasztorach, ale w ludzkich domach! Tam gdzie jest mąż i żona jest i Bóg; gdziekolwiek są dzieci i drobne obowiązki, gotowanie, spory i pojednania tam też jest Bóg. Nie słuchaj tych eunuchów. Są jak zgniłe winogrona! Bóg, o którym ci mówię, Bóg z ludzkiego domostwa, nie z klasztoru, to jest prawdziwy Bóg. To jego powinieneś podziwiać. Drugiego zostaw tym leniwym, bezpłodnym idiotom na pustyni.

Im więcej mówiła, tym bardziej się zapalała. Skrzeczała długo: była to chwila jej zemsty. Potem uspokoiła się.

- Wybacz mi, mój chłopcze - rzekła dotykając ramienia młodzieńca - ale kiedyś miałam syna, był wspaniały, podobny do ciebie. Pewnego ranka stracił zmysły i odszedł do klasztoru na pustyni, do uzdrowicieli - niech spadną na nich wszystkie plagi i niech nikogo już nie ulecą! Straciłam go i teraz wkładam i wyciągam chleb z pieca, ale kogo mam karmić? Moje dzieci? Wnuki? Jestem uschniętym drzewem bez owoców.

Umilkła na chwilę, żeby otrzeć oczy, a potem mówiła dalej:

- Od lat wznoszę ręce do Boga. "Dlaczego go urodziłam?" - wołałam. - "Miałam jednego syna, dlaczego mi go zabrałeś?" Wołałam tak i wołałam, ale kto mógłby się spodziewać, że mnie usłyszysz! Jeden tylko raz widziałam, jak otwarły się niebiosy. To było o północy, na szczycie góry proroka Eliasza. Usłyszałam grzmiący głos: "Możesz

sobie krzyżeć, aż zachrypniesz". Potem niebo zamknęło się; wtedy po raz ostatni wezwałam Boga.

Syn Marii wstał, wyciągnął rękę, żeby pożegnać się z kobietą, ale ta cofnęła dłoń. Jeszcze raz syknęła jak wąż:

- To o pustynię chodzi, co! Też masz apetyt na piasek, tak? Gdzie masz oczy chłopcze? Nie widzisz winnic, kobiet, słońca? Mówię ci, idź do Magdali - tam jest twoje miejsce! Nie czytałeś nigdy Pisma? Bóg mówi: "Nie chcę postu i modłów, chcę mięsa!" Innymi słowy chce, byś płodził mu dzieci!

- Do widzenia - powiedział młody mężczyzna - niech Bóg zapłaci ci za chleb, którym mnie nakarmiłaś.

- Niech Bóg tobie wynagrodzi - powiedziała łagodnie stara - niech cię wynagrodzi za dobro, które mi uczyniłeś. Minęły lata od czasu, kiedy człowiek zatrzymał się w tej ruderze, a jeśli ktokolwiek tędy przechodził, zawsze był stary...

Przeszedł przez winnice, przeskoczył przez płot i znalazł się ponownie na głównej drodze.

- Nie znoszę widoku ludzi - rzekł do siebie. - Nie chcę ich oglądać; nawet chleb, który dają, to trucizna. Tylko jedna droga prowadzi do Boga: ta, którą dziś wybrałem. Przechodzi między ludźmi nie dotykając ich i kończy się na pustyni. Ach, kiedy tam wreszcie dotrę!

Słowa nie zdążyły jeszcze przebrzmieć, gdy za jego plecami rozległ się śmiech. Odwrócił się przestraszony. Bezustanny śmiech wstrząsnął powietrzem; syczący, złośliwy, wrogi śmiech.

- Adonai! Adonai! - wyrwało się z jego ściśniętego gardła.

Ze zjeżonymi włosami wpatrywał się w przepelnione śmiechem powietrze; potem rzucił się jak szalony przed siebie i natychmiast usłyszał odgłos stóp biegnących za nim.

- Zaraz mnie złapie, zaraz mnie złapie - szeptał i biegł.

Kobiety nadal żęły zboże. Mężczyźni zabierali snopki do młócenia; inni, w oddali, przesiewali ziarno. Ciepły wiatr porywał plewy i rozsiewał je po ziemi jak złoty pył, pozostawiając ciężkie ziarna na stosach. Przechodnie brali garść pszenicy, całowali ją i życzyli właścicielowi podobnych zbiorów za rok.

Daleko stąd, usadowiona między dwoma wzgórzami, imponująca, nowoczesna, pełna posągów, teatrów i umalowanych kobiet, znajdowała się bałwochwalcza Tyberiada. Jej widok przepelniał syna Marii strachem. Kiedyś, gdy był jeszcze

dzieckiem, poszedł tam ze swym wujem rabinem, którego wezwano, by wypędził złe duchy z pewnej dobrze urodzonej Rzymianki. Była najwyraźniej opętana przez diabła z łaźni, bo wychodziła zupełnie naga na ulice i zaczepiała przechodniów. Wraz z rabinem weszli do pałacu akurat w chwili, gdy napadł ją jej demon. Ścigana przez niewolników biegła w kierunku bramy wiodącej na ulicę. Rabin wyciągnął laskę i zatrzymał ją; gdy ujrzała chłopca, rzuciła się na niego. Syn Marii krzyknął i zemdleł; od tego momentu drżał zawsze na wspomnienie tego bezwstydnego miejsca.

- To miasto przekłęte przez Boga - mówił mu rabin. - Gdy będziesz tamtędy przechodził, idź szybko, spuść wzrok na ziemię i myśl o śmierci, albo patrz w niebo i myśl o Bogu. Jeśli chcesz mego błogosławieństwa, wybierz inną drogę, gdy podróżujesz do Kafarnaum.

Miasto śmiało się teraz w słońcu jak zuchwała dziewczka; ludzie wylewali się przez bramy pieszo i konno, na wieżach łopotały flagi z dwugłowym orłem i błyszcząły brązowe herby. Kiedyś syn Marii widział ścierwo kobyły na trzęsawisku opodal Nazaretu. Było wzdęte, a naciągnięta skóra wyglądała jak bęben. Armie krabów i żuków wędrowały po pełnym brudu i wnętrzości otwartym brzuchu; nad ścierwem unosił się rój wielkich zielonozłotych końskich much, a dwie wrony przyssały się ostrymi dziobami do dużych oczu. Padlina błyszczała. Gęsto zamieszkała, wydawała się wracać do życia: można było pomyśleć, że kobyła tarza się w wiosennej trawie, w pełni zadowolona, z czterema podkutymi kopytami wyciągniętymi w kierunku nieba.

- Tyberiada jest jak ta kobyła - powiedział syn Marii, nie mogąc oderwać wzroku od błyszczącego miasta - jak Sodoma i Gomora i jak grzeszna dusza człowieka.

Obok przejechał na ośle żwawy staruszek. Zobaczył Jezusa i zatrzymał się.

- Na co się gapisz, chłopcze? - spytał. - Nie znasz jej? To nasza nowa księżniczka: dziwka Tyberiada. Posiedli ją Grecy, Rzymianie, Beduini, Chaledończycy, Cyganie i Żydzi, a ona zawsze jest gotowa na więcej. Słyszysz co mówię? Zawsze gotowa na więcej. Jak dwa i dwa cztery!

Z sakwy przy siodle wyciągnął garść orzechów i poczęstował Jezusa.

- Wyglądasz na porządnego człowieka - powiedział. - I biednego. Weź je na drogę i nie zapomnij powiedzieć: niech Bóg błogosławi starego Zebedeusza z Kafarnaum!

Miał białą, trójkątną brodę, grube i lepkie wargi, krótki, byczy kark i czarne, ruchliwe, drapieżne oczy. Jego przysadziste, pękate ciało musiało swego czasu jeść, pić i całować bez umiaru i nadal dalekie było od zaspokojenia!



Na drodze zjawił się potężny, włochaty olbrzym. Miał rozchełstaną na piersiach koszulę i gołe kolana; w ręce trzymał zakrzywioną pasterską laskę. Zatrzymał się, odwrócił i nie pozdrawiając starego zwrócił się do syna Marii:

- Wasza wysokość nie jest chyba synem cieśli z Nazaretu? Nie jest chyba tym, który robi dla nas krzyże?

Dwie stare kobiety pracujące w polu obok drogi usłyszały te słowa i podeszły bliżej.

- Ja... - powiedział syn Marii. - Ja... - zaczął się wycofywać.

- Dokąd to? - krzyknął olbrzym, łapiąc go za ramię. - Tak łatwo nie uciekniesz! Rzymski pachołku, zdrajco - zabiję cię!

Ale krzepki staruszek złapał laskę i wytrącił ją z ręki pasterza.

- Stój, Filipie - powiedział. - Posłuchaj, co powie ci stary człowiek. Powiedz mi: wszystko na tym świecie dzieje się z woli Boga, prawda?

- Tak, Zebedeuszu, wszystko.

- Dobrze. W takim razie taka jest wola boska, żeby on robił krzyże. Zostaw go w spokoju. I jeszcze jedno: najlepiej nie mieszać się w sprawy Pana. Jak dwa i dwa to cztery.

Tymczasem syn Marii oswobodził się z uchwytu prostaka i zaczął biec. Dwie stare żniwiarki skrzeczały za nim wymachując szaleńczo sierpami.

- Zebedeuszu - rzekł olbrzym - chodźmy umyć ręce, bo dotykaliśmy tego pachołka; umyjmy usta, bo rozmawialiśmy z nim.

- Nie martw się o to - odrzekł stary - Nie stójmy tutaj. Chodź ze mną, spiesz się. Nie ma moich synów. Jeden poszedł do Nazaretu, żeby zobaczyć ukrzyżowanie - w każdym razie tak powiedział - drugi udał się na pustynię, żeby zostać świętym. Jestem tu sam z moimi łodziami rybackimi. Chodź, pomożesz mi wyciągnąć sieci, są już pewnie pełne ryb. Chodź, najesz się do woli!

Ruszyli. Stary był w dobrym nastroju.

- Pomyśl tylko, przez co musi przechodzić biedny Bóg - powiedział ze śmiechem. - Narobił sobie kłopotów, gdy stworzył świat. Ryba krzyczy: "nie oślepiaj mnie, nie pozwól mi wpaść w sieci!" Rybak woła: "oślepi rybę, Panie, niech wpadnie w moje sieci!" Kogo ma Bóg słuchać? Czasami wysłucha ryby, czasami rybaka - i tak się kręci ten świat!

Tymczasem syn Marii wszedł na stromą, górską ścieżkę, żeby ominąć Magdalenę. Nie chciał zbrukać się przejściem przez tę czarującą, gościnną lecz nikczemną wioskę

leżącą wśród daktylowców na skrzyżowaniu szlaków, gdzie dniem i nocą przesuwały się karawany, niektóre znad Eufratu i Pustyni Arabskiej zmierzając do Morza Wielkiego, inne z Damaszku i Fenicji udając się w kierunku delikatnego, zielonego koryta Nilu. U wejścia do wioski była studnia z zimną wodą, a na jej krawędzi siedziała uśmiechając się do kupców kobieta z odsłoniętymi piersiami. Uciekać, zmienić trasę, prosto w kierunku jeziora i dotrzeć na pustynię! Tam, w wyschniętej studni czekał na niego Bóg.

Gdy przypomniał sobie o Bogu, jego serce wezbrało i przyspieszył kroku. Słońce w końcu ulitowało się nad zniwiarkami i zaczęło zachodzić. Ochłodziło się. Kobiety kładły się na plecach na stertach siana, żeby odetchnąć i opowiedzieć sobie kilka sprośnych anegdot. Cały dzień pracowały w pocie tuż obok tak samo utrudzonych mężczyzn. Śmiech i żarty miały ich teraz ochłodzić.

Syn Marii usłyszał ich śmiech i wesoły gwar.

Zarumienił się, Z niecierpliwością wyczekiwał chwili, kiedy nie będzie już słyszał ludzkich głosów; zaczął zastanawiać się nad słowami krewkiego pasterza, Filipa.

- Nikt nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo cierpię - westchnął - nikt nie rozumie, dlaczego robię krzyże ani z kim walczę.

Przed chatą dwaj rolnicy otrzepywali przed myciem brody i głowy z warstwy plew. Musieli być braćmi. Ich stara matka rozkładała na stole skromny posiłek. Kukurydza piekła się na gorących węglach. Jej zapach unosił się w powietrzu.

Rolnicy zobaczyli syna Marii. Był tak wyczerpany i zakurzony, że poczuli dla niego litość.

- Dokąd biegniesz? - zawołali. - Wyglądasz jakbyś przychodził z daleka, a nie masz nawet torby. Zatrzymaj się na chwilę i zjedz kawałek chleba.

- I trochę kukurydzy - dodała matka.

- Napij się wina, żeby nabrać życia.

- Nie jestem głodny. Nic nie chcę, dziękuję - odrzekł syn Marii przechodząc obok nich. "Gdy dowiedzą się kim jestem - myślał - będzie im wstyd, że ze mną rozmawiali".

- Wypijemy trzy razy za twój upór - krzyknął do niego jeden z braci. - Nie w smak ci nasze towarzystwo, co?

Jezus już miał odpowiedzieć, że to on jest tym cieślą, który robi krzyże, ale ogarnął go strach, schylił głowę i poszedł swoją drogą.

Zmierzch chylił się nad światem jak miecz. Zanim wzgórza zdążyły się zaróżowić, czerwona ziemia spurpurowiała, po czym natychmiast szerniała, a światło, które wspinało się na szczyty drzew, wpadło do nieba i zniknęło. Ciemność zastała syna Marii na szczycie wzgórza. Stał tam wiekowy cedr. Nieustannie męczony i chłostany podmuchami wichrów trzymał się mocno skały twardymi korzeniami. Aromat pszenicy i palonego drewna unosił się nad równiną, a z chat ulatywały opary wieczornych posiłków.

Syn Marii był głodny i spragniony. Przez ułamek sekundy zazdrościł tym, którzy skończyli dzień pracy i wracali do swoich domów, śmiertelnie zmęczeni i wygłodzeni, widząc z daleka unoszący się dym i żony przygotowujące kolację.

Poczuł się nagle bardziej samotny niż lisy i orły; nawet one miały swoje gniazda, nory i ciepłe, ukochane istoty, które oczekiwały na ich powrót. On nie miał nikogo, nawet matki. Przykucnął u podnóża cedru i zwinął się w kłębek. Drżał z zimna.

- Panie - wyszeptał. - Dziękuję ci za wszystko; za samotność, za głód i chłód. Niczego mi nie brakuje.

Gdy jednak to powiedział, zobaczył całą niesprawiedliwość, jaką mu wyrządzano. Jak schwyte w pułapkę zwierzę rozejrzał się wokół, a usta zadrżały mu z gniewu i strachu. Dźwignął się na kolana i spojrzał w stronę ciemnej ścieżki. Nadal słyszał podążające za nim bosc stopy. Wspiwały się po kamieniach. Doszły do szczytu i wtedy, mimowolnie - sam przestraszył się dźwięku swojego głosu - syn Marii zawołał:

- Podejdz bliżej, moja pani. Nie chowaj się, jest noc, nikt cię nie zobaczy. Pokaż się!

Wstrzymał oddech i czekał.

Nie było odpowiedzi. Nic oprócz odwiecznych odgłosów nocy unoszących się słodko, spokojnie w powietrzu: świerszcze i pasikoniki, wzdychające kozodoje, a w oddali szczekające psy, które odkrywały w ciemności rzeczy niewidzialne dla człowieka. Wyciągnął szyję. Był pewien, że ktoś stoi pod cedrem, tuż naprzeciw niego.

- Moja pani... moja pani - wyszeptał przyciszonym, błagalnym głosem, usiłując zwabić ciemność. Czekał. Przestał drzeć. Pot spływał mu po czole i spod pach.

Uważnie słuchając wyteżał wzrok. W pewnej chwili zdawało mu się, że znów słyszy śmiech wijący się miękką smugą z ciemności, że powietrze zawirowało, okrzepło i stało się ludzką postacią, która natychmiast zniknęła.

Syn Marii wpatrywał się w noc. Nie krzychał już, nie wabił; po prostu klęczał pod cedrem z wyciągniętą szyją i czekał...

Skały kaleczyły mu kolana. Zmienił pozycję, opierając się o pień cedru i zamykając oczy. A potem, nie tracąc spokoju, nie krzyząc, ujrzał Ją. Nie była taka jak się spodziewał. Myślał, że przyjmie postać osamotnionej matki, z dłońmi na jego głowie, rzucającej na niego klątwę. Co to było? Drżąc cały, otworzył powoli oczy. Przed nim stało połyskujące ciało kobiety odzianej w zbroję z brązu. Zamiast ludzkiej głowy postać miała głowę orła o żółtych oczach i zakrzywionym dziobie trzymającym kawał mięsa. Patrzyła na syna Marii spokojnym, bezlitosnym wzrokiem.

- Nie jesteś taka jak się spodziewałem - wymamrotał. - Nie jesteś moją matką...  
Zmiłuj się i przemów do mnie. Kim jesteś?

Odczekał chwilę, po czym spytał ponownie. Nic. Nic oprócz żółtego blasku okrągłych oczu w ciemności. Nagle syn Marii zrozumiał.

- Klątwa! - krzyknął i padł twarzą na ziemię.

## ROZDZIAŁ VII

Ponad jego głową skrzyło się niebo, a pod stopami ziemia raniła go kamieniami i cierniami. Wyciągnął ramiona i zaczął szamotać się w konwulsyjnych jękach, jakby cała ziemia była jednym, wielkim krzyżem, na którym go wieszano.

Ciemność przesunęła się nad nim wraz z jej gwiazdami i nocnymi ptakami. Z każdej strony dolatywało szczekanie psów, które, posłuszne człowiekowi, strzegły na klepiskach dobytku swych panów. Było zimno. Jezusem wstrząsnął dreszcz. Na chwilę opanował go sen i poprowadził powietrzną promenadą ku odległym, ciepłym łądom, ale natychmiast rzucił go z powrotem na ziemię, na kamienie.

Koło północy usłyszał wesoły dźwięk dzwoneczków przesuwanego się u stóp wzgórz, a także posępną pieśń poganiacza wielbłądów. Słysząc było odgłosy rozmowy, ktoś westchnął, z głębi nocy doleciał czysty, świeży głos kobiety, ale wkrótce na drodze znowu zapanowała cisza.... W środku nocy minęła go Magdalena. Siedziała w złotym siodle na grzbiecie wielbłąda, jej twarz pokrywały bruzdy wyżłobione przez łzy, a makijaż na policzkach zamienił się w błoto. Z czterech stron świata przybyli do niej bogaci kupcy. Nie znalazłszy jej przy studni ani w domu wybrali wielbłąda z najbogatszą, kapiącą złotem uprzężą i posłali swego poganiacza, by przywiózł ją do nich galopem. Droga, którą przebyli, była niezwykle długa i niebezpieczna, lecz przez cały czas myśleli o ciele, które zastaną w Magdali i to dodawało im sił. Nie znaleźli go tam i dlatego wysłali poganiacza, a sami ustawili się w kolejce na dziedzińcu domu Magdaleny, gdzie teraz czekali siedząc, z zamkniętymi oczami.

Stopniowo dźwięk dzwoneczków rozbrzmiewający w nocnej ciszy stawał się coraz bardziej przytłumiony i melodyjny. Synowi Marii wydawało się, że dźwięczą teraz jak łagodny śmiech, jak szemranie strumieni wody, która tryskała w ciemnym lesie i wołała go pieszczotliwie po imieniu; łagodnie kołysany uwodzicielskim dźwiękiem dzwoneczków przy uprzęży wielbłąda, zapadł znów w sen.

Śniło mu się, że świat jest zieloną łąką pokrytą kwieciami, a Bóg pastuszkami o oliwkowej skórze i z dwoma krętymi rogami, które dopiero co wyrosły i były jeszcze miękkie. Bóg-pastuszek siedział koło zbiornika z wodą i grał na fujarce. Syn Marii jeszcze nigdy w życiu nie słyszał takiej słodkiej, zaczarowanej muzyki. Podczas gdy Bóg-pastuszek grał, ziemia, piędź po piędzi, drżała i poruszała się, stawała się kulista, ożywała, a łąkę zapełniły nagle pełne wdzięku jelenie o rogach w kształcie wieńca. Bóg

pochylił się i spojrział w wodę: zbiornik napełnił się rybami; podniósł oczy ku drzewom: ich liście zmieniły kolor i stały się rozświegotanymi ptakami. Grał coraz szybciej, melodia stawała się coraz gwałtowniejsza; dwa owady wielkości ludzi wynurzyły się spod ziemi i natychmiast zwarły w uścisku na wiosennej trawie. Złączone ze sobą turlały się z jednego krańca łąki na drugi, rozdzielały się, znowu łączyły, wybuchały nieprzyzwoitym śmiechem, szydziły z pastuszka i syczały. Chłopiec opuścił fujarkę i przyglądał się tej zuchwałej, sprośnej parze. Nagle jego cierpliwość wyczerpała się. Jednym ciosem pięty zmiażdżył swoją fujarkę i natychmiast wszystko zniknęło: jelenie, ptaki, drzewa i postać sklejoną z mężczyzny i kobiety.

Syn Marii krzyknął i obudził się, ale jego oczy od razu spostrzegły znikające w ciemnościach jego trzewi ciało mężczyzny złączone z ciałem kobiety. Przerażony, zerwał się na równe nogi.

- A więc taki brud tkwi we mnie, takie plugastwo!

Rozpiął nabijany gwoździemi rzemień, rzucił pod nogi ubranie, które miał na sobie i w milczeniu zaczął bezlitośnie biczować swoje uda, plecy i twarz. Trysnęła krew. Poczul ulgę.

Świtało. Gwiazdy pobladły, lodowaty wiatr przenikał go do szpiku kości. Cedr nad jego głową wypełnił się trzepotem skrzydeł i ptasim świergotem. Obrócił się. Powietrze było puste, w świetle dnia jego prześladowczyni o orlej głowie znów stała się niewidoczna.

"Muszę odejść, muszę stąd uciec" - pomyślał - "nie wolno mi iść do Magdali - niech będzie przeklęta! Nie zatrzymam się dopóki nie znajdę się na pustyni i nie ukryję w klasztorze. Tam zabiję swoje ciało i zamienię je w ducha".

Położył dłoń na sędziwym pniu cyprysu i pogłaskał go. Poczul, jak dusza drzewa unosi się z jego korzeni i rozprzestrzenia, docierając do najwyższych, najdelikatniejszych gałązek.

- Żegnaj, mój bracie - powiedział szeptem. - Ubiegłej nocy w twoim cieniu okryłem się hańbą. Wybacz mi.

Wyczerpany, pełen posepnych przeczuć zaczął schodzić ze wzgórza. Dotarł do głównej drogi. Równina budziła się ze snu, pierwsze promienie słońca napełniały złotem klepiska.

- Nie wolno mi iść przez Magdalę - mruknął znów. - Boję się. Przystanął, żeby zdecydować, w którą stronę powinien skręcić, by dojść do jeziora. Wybrał pierwszą

wąską ścieżkę po prawej stronie. Szedł śmiało, wiedząc, że Magdała leży po lewej, a jezioro po prawej stronie.

Maszerował uparcie przed siebie, a jego myśli rozbiegły się na wszystkie strony. Uciekał od Magdaleny, tej dziwki, do Boga, od krzyża do raj, od swej matki i ojca do odległych łądów i mór, do ludzi o niezliczonej mnogości twarzy: białych, żółtych i czarnych. Chociaż nigdy nie przekroczył granic Izraela, już od wczesnego dzieciństwa, od czasu gdy zamykał oczy w skromnej chacie swego ojca, jego umysł jak tresowany jastrząb ze złotymi dzwoneczkami przy rzemykach pędził od łądu do łądu, od oceanu do oceanu, skrzecząc z radości. Jastrząb nie polował na żadną zdobycz, a on sam. zapominał wtedy o swoim ciele, uwalniał się z niego, wstępował do nieba - i to było jego największym pragnieniem.

Maszerował z uporem. Kręta ścieżka wiła się wśród winnych krzewów, potem wznosiła ponownie, docierając do gajów oliwnych. Syn Marii pozwalał się jej prowadzić jak płynącej wodzie albo smutnemu, monotonnemu śpiewowi poganiacza wielbłądów. Cała ta droga wydawała mu się snem. Prawie nie dotykał nogami ziemi, jego stopy odciskały lekko swoją ludzką pieczęć, piętę i pięć palców, w ziemi. Drzewa oliwne kołysały ciężarnymi gałęziami i pozdrowiały go. Winne grona zaczynały już błyszczeć, ciężkie kiście zwieszały się w dół dotykając ziemi. Mijały go dziewczęta w białych chustach na głowach, o jędrnych, opalonych łydkach i pozdrowiały ze słodyczą w głosie: - Szalom! Pokój z tobą!

Czasami, gdy na ścieżce nie było żywej duszy, słyszał za sobą ciężkie kroki; postać z brązu rozblęskiwała w powietrzu i natychmiast gasła, a nad jego głową wybuchał znowu złośliwy śmiech. Ale nie tracił cierpliwości. Zbliżał się do wyzwolenia, wkrótce ujrzy przed sobą jezioro, a za błękitną wodą klasztor, zawieszony między czerwonymi skałami jak gniazdo sokoła.

Szedł dalej ścieżką, pozwalając myślom błądzić, gdy nagle zatrzymał się przestraszony. Przed nim, w zacisznej dolinie, rozpostarta pod palmami daktylowymi, leżała Magdała. Jego umysł oddalał się na pustynię ale stopy, wbrew woli, prowadziły go pewnym krokiem ku wyperfumowanej pustelni jego kuzynki Magdaleny, ku domowi skazanemu na potępienie w ogniu piekielnym.

- Nie, nie chcę tam iść, nie chcę! - wymamrotał przerażony.

Próbował zawrócić, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Opierało się jak chart, który poczuł w powietrzu zapach zwierzyny.

“Odejdę!” - postanowił raz jeszcze w głębi duszy, ale nawet nie drgnął. Widział czyste, pobielone domy i starą studnię z marmurową cembrowiną. Psy czekały, kury gdakały, kobiety śmiały się. Objuczone wielbłądy porozkładały się przy studni... “Muszę się z nią zobaczyć, muszę się z nią widzieć - słodki głos dobiegał z jego wnętrza - To konieczne. Bóg prowadził moje stopy - Bóg, nie ja sam - ponieważ muszę się z nią zobaczyć, upaść jej do nóg, błagać o przebaczenie. To moja wina, moja! Zanim wstąpię do klasztoru i włożę białą szatę muszę ją błagać o przebaczenie. W przeciwnym razie nie będzie dla mnie ratunku. Dzięki Ci, Panie, za to, że przywiódłeś mnie tu, gdzie nie chciałem przyjść!”

Poczuł się szczęśliwy. Zaciśnął mocniej pas i ruszył w dół do Magdali.

Stado wielbłądów leżało na brzuchach wokół studni. Skończyły jeść i teraz, nadal objuczone, powoli, cierpliwie przeżuwały swój pokarm. Musiały przybyć z dalekich, wonnych krain, bo cała okolica pachniała przyprawami.

Jezus zatrzymał się przy studni. Stara kobieta, która nabierała wody, podała mu swój dzban. Chciał zapytać, czy Maria jest w domu, ale za bardzo się wstydził. “Bóg przywiódł mnie do jej domu - pomyślał. - Na pewno ją tam zastanę”.

Ruszył w dół cienistą uliczką. W miasteczku było wielu cudzoziemców; niektórzy ubrani, w długie, białe dżelaby Beduinów, inni w kosztownych szalach z indyjskiego kaszmiru. Otworzyły się małe drzwi, wyszła z nich gruba matrona o tłustych pośladkach, z czarnym wąsem i wybuchnęła śmiechem na jego widok.

- No proszę! - zawołała. - Witaj, cieślo! A więc ty także przychodzisz odprawiać modły, w tej świątyni, co?

Zamknęła drzwi wstrząsana spazmami śmiechu.

Syn Marii poczerwieniał, ale zebrał się w sobie. “Muszę, muszę” - pomyślał - “muszę upaść jej do nóg i błagać o wybaczenie”.

Przyspieszył kroku. Jej dom, otoczony małym sadem drzew granatu, znajdował się na drugim krańcu wioski... Pamiętał go dobrze: zielone, jednoskrzydłowe drzwi ozdobione malowidłem przedstawiającym dwa splecione ze sobą węże: jeden z nich biały, drugi czarny - dzieło jednego z jej kochanków, Beduina; zaś nad progiem wizerunek dużej żółtej jaszczurki z nogami wyciągniętymi na boki tak, że wyglądała jak ukrzyżowana.

Zgubił drogę, cofnął się i wrócił na poprzednie miejsce.

Było już prawie południe. Przystanął w cieniu drzewa oliwnego, żeby złapać oddech. Minął go bogaty kupiec. Miał krótką, kędzierzawą, czarną brodę, ciemne oczy



w kształcie migdałów, pierścienie na palcach i wyglądał na arystokratę. Syn Marii poszedł za nim.

“To na pewno jeden z aniołów Bożych” - myślał idąc za kupcem i podziwiając szlachetną postawę jego młodego ciała i kosztowny, kaszmirowy szal, który otulał jego ramiona, wyszywany we wspaniałe ptaki i kwiaty. -“To na pewno jeden z aniołów Bożych, który zszedł na ziemię, by wskazać mi drogę”.

Cudzoziemski szlachcic szedł pewnym krokiem krętymi uliczkami. Wkrótce dotarli do zielonych drzwi z dwoma splecionymi wężami. Obok, na stołku, siedziała starucha. Piekła kraby na żelaznym ruszcie umieszczonym nad rozżarzonymi węglami. Przy ruszcie leżały prażone pestki dyni, a w dwóch głębokich, drewnianych talerzach zobaczył okrągłe paszteciki nadziewane mięsem i posypane suto pieprzem.

Młody szlachcic pochylił się, dał staruszce srebrną monetę i wszedł do środka. Syn Marii podążył za nim.

Na dziedzińcu siedzieli rzędem czterej kupcy: dwaj starcy z pomalowanymi brwiami i paznokciami i dwaj młodzi mężczyźni z czarnymi brodami i wąsami. Oczy całej czwórki były utkwione w małych, niskich i szerokich drzwiach prowadzących do izby Marii Magdaleny. Drzwi były zamknięte. Od czasu do czasu z wnętrza dobiegał jakiś okrzyk, śmiech, odgłos pieszczot albo skrzywienie łóżka - oczekujący przerywali wtedy pogawędkę i ciężko dysząc zmieniali pozycję. Beduin, który wszedł już dawno temu, ociągał się w środku ku zniecierpliwieniu czekających. Młody indyjski szlachcic zajął miejsce w kolejce; syn Marii usiadł za nim.

Na środku dziedzińca rosło ogromne drzewo granatu obsypane owocem, a po obu stronach drzwi wychodzących na ulicę stały wspaniałe cyprysy - jeden z pniem prostym jak miecz, drugi z szeroko rozwartymi gałęziami. Na drzewie granatu wisiała wiklinowa klatka z bogato ubarwioną kuropatką, która podskakiwała dziobiąc i kopiąc pręty klatki.

Kupcy żuli daktyle, które wydobywali ze swoich tobołów, albo gryźli nasiona gałki muszkatołowej, żeby osłodzić i odświeżyć swój oddech. Dla zabicia czasu zabawiali się rozmową. Obróciwszy się pozdrowili młodego szlachcica i spojrzeli lekceważąco na skromnie odzianego syna Marii, który usiadł na samym końcu. Starzec na przedzie westchnął.

- Nie ma większego cierpienia nad moje - oznajmił. - Oto siedzę tu przed wejściem, do raju, ale drzwi są zamknięte.

Młodzieniec, który nosił wokół kostek nóg złote obręcze, roześmiał się.

- Wożę przyprawy znad Eufratu na Wielkie Morze. Widzicie przed nami tę kuropatwę z czerwonymi szponami? Mam zamiar kupić Marię za ładunek cynamonu i pieprzu, zamknąć ją w złotej klatce i zabrać stąd. A więc moi krzepcy przyjaciele, róbcie szybko, co macie zrobić, bo to już ostatni całus, jaki dostaniecie.

- Dzięki ci, przystojny zuchu - przerwał mu w tym momencie drugi starzec, o śnieżnobiałej, namaszczonej wonnościami brodzie. Dłonie jego szczupłych, szlachetnych rąk były pomalowane barwnikiem z kory chinowca. - To, co nam właśnie powiedziałaś, uczyni ten dzisiejszy całus jeszcze przyjemniejszym.

Młody szlachcic opuścił ciężkie powieki. Górna część jego ciała kołysała się lekko w przód i w tył, a jego usta poruszały się jak w modlitwie. Już teraz, zanim jeszcze wszedł do rajy, zapadł w nie kończący się błogostan. Słyszał gdakanie kuropatwy, odgłosy pieszczot i skrzypienie wewnątrz zamkniętej izby; słyszał, jak starucha kładzie na ruszt żywe kraby, które potem skaczą na rozżarzone węgle.

"To jest raj" - rozmyślał ogarnięty uczuciem wielkiego znużenia - "to ten głęboki sen, który nazywamy życiem, ten sen, w którym śnimy o rajy. Nie ma innego rajy. Teraz mogę już wstać i odejść, nie potrzebuję już więcej radości".

Osilek w zielonym turbanie, który siedział przed nim, trącił go kolanem i roześmiał się.

- Książę Indii, a co na to wszystko twój Bóg?

Hindus otworzył oczy.

- Na co?

- No, na to, co jest tu przed tobą: mężczyźni, kobiety, kraby, miłość.

- To wszystko jest snem.

- No cóż, w takim razie uważajcie, zuchy - przerwał mu starzec z białą jak śnieg brodą, który modlił się przesuając paciorki długiego różańca z zielonego bursztynu. - Uważajcie, żebyście się nie obudzili!

Małe drzwi otworzyły się i z domu wyszedł Beduin. Zbliżał się powoli ze spuchniętymi oczami, oblizując wargi. Starzec, który był następny w kolejce, zerwał się na równe nogi, jakby był silnym, dwudziestoletnim chłopcem.

- Do widzenia, dziadku. Zlituj się nad nami i zrób to szybko! - zawołali trzej następni. Ale starzec już zdejmował pas i zmierzał w kierunku izby. Nie było czasu na gadanie! Wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

Wszyscy patrzyli z zazdrością na Beduina, ale nikt nie ośmielił się odezwać. Wyczuwali, że krążył gdzieś po bardzo głębokich wodach, daleko, daleko stąd i

rzeczywiście nawet na nich nie spojrział. Przeszedł, zataczając się, przez dziedziniec, dotarł do drzwi prowadzących na ulicę, o mały włos nie przewrócił rusztu staruchy i w końcu zniknął wśród krętych uliczek. Olbrzym w zielonym turbanie zaczął nagle opowiadać o lwach, morzach i odległych koralowych wyspach, żeby skierować ich myśli w inną stronę. Mijał czas. Co chwila rozlegał się powolny, cichy stukot bursztynowych paciorków. Oczy wszystkich były na powrót utkwione w niskich drzwiach. Starzec opóźniał się z wyjściem.

Indyjski szlachcic podniósł się z ziemi. Pozostali spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Dlaczego wstał? Czy chciał coś powiedzieć? Odchodził? ... Młodzieniec był szczęśliwy. Jego twarz błyszczała, policzki płonęły. Owinął się ciasno kaszmirowym szalem, uniósł dłoń do serca i ust, i odszedł. Jego cień spokojnie przesunął się przez próg.

- Pewnie się obudził - powiedział młodzieniec ze złotymi obręczami wokół kostek. Próbował wybuchnąć śmiechem, ale nagle ogarnął wszystkich dziwny strach i zaczęli czym prędzej, z niepokojem rozprawiać o zyskach i stratach, o aktualnych cenach, na rynkach niewolników w Aleksandrii i Damaszku. Wkrótce jednak wrócili do swojej bezwstydney rozmowy o kobietach i chłopcach, wysuwając języki, i oblizując wargi.

- Panie, o Panie - wyszeptał syn Marii - gdzie mnie przywiodłeś? Czegóż to jest przedsiónek? Czy mam siedzieć tu wśród tych ludzi? Panie, nie mogłeś mnie bardziej poniżyć! Daj mi siłę, abym to wytrzymał!

Przybysze poczuli głód. Jeden z nich zawołał i po chwili pojawiła się starucha, rozdzieliła między mężczyzn chleb, kraby i paszteciki z mięsem, a potem przyniosła dzban wina z daktyli. Skrzyżowali kolana, położyli na nich jedzenie i zaczęli ruszać szczękami. Jeden z nich, rozbawiony, cisnął dużą skorupą kraba w drzwi i zawołał:

- Szybciej dziadku, nie siedź tam cały dzień! - Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Panie, o Panie - wymamrotał znowu syn Marii - daj mi siłę, bym tu pozostał, aż nadejdzie moja kolej.

Starcowi z wypomadowaną brodą zrobiło się go żal.

- Hej, ty, piękny młodzieńcze - powiedział odwracając się ku niemu - nie jesteś głodny ani spragniony? Podejdz tu i przegryz coś, to ci doda sił.

- Tak, biedaku, lepiej coś zjedz - dodał ze śmiechem olbrzym w zielonym turbanie - nie chcemy, żebyś przyniósł wstyd męskiemu rodowi, kiedy nadejdzie twoja kolej.

Syn Marii oblał się szkarłatnym rumieńcem, spuścił głowę i nie odpowiedział.

- Ten też śni, - kontynuował starzec, strząsając okruchy chleba i kawałki kraba z brody. - Tak, na świętego Belzebuba, on też śni. Zaraz wstanie tak jak tamten i pójdzie sobie, wspomnicie moje słowa.

Syn Marii rozejrzał się z przerażeniem wokół. Czy ten indyjski szlachcic mógł mieć rzeczywiście rację? Czy to wszystko - dziedziniec, drzewo granatu, ruszt, kuropatwa, mężczyźni - było tylko snem? Może nadal leżał pod cedrem i śnił?

Odwrócił się w kierunku drzwi prowadzących na ulicę, jakby szukał pomocy i zobaczył swoją współtowarzyszkę podróży z głową orła, stojącą bez ruchu obok cyprysu, całą zakutą w brąz. Po raz pierwszy, odczuł na jej widok ulgę i poczuł się bezpieczny.

Z izby wyszedł starzec, chwytając z trudem powietrze, a do środka wszedł ogromny mężczyzna w zielonym turbanie. Po kilku godzinach przyszła kolej na młodzieńca ze złotymi pierścieniami wokół kostek, a potem na starca z różańcem z bursztynu. W końcu syn Marii został zupełnie sam na dziedzińcu i czekał.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Po niebie płynęły dwie chmury. Zatrzymały się, ciężkie od złota. Cienka warstewka mrozu opadła na drzewa, ziemię i twarze ludzi.

Starzec z różańcem z bursztynu wyszedł na dziedziniec.

Zatrzymał się przez chwilę na progu i otarł załzawione oczy, nos i oślinione usta, a potem powłókł się zgarbiony w kierunku wyjścia na ulicę.

Syn Marii wstał i odwrócił się ku cyprysowi.

Jego towarzyszka szykowała się, żeby ruszyć za nim. Chciał się do niej odezwać, błagać, by poczekała na zewnątrz, powiedzieć, że chce zostać sam, że nie ucieknie, ale wiedział, że jego słowa byłyby daremne i dlatego milczał. Zaciskając rzemień wokół pasa, podniósł oczy do nieba. Zawahał się przez chwilę, ale z wnętrza izby doleciał zachrypnięty, pełen złości głos:

- Jest tam jeszcze kto? Wejdz!

Był to głos Magdaleny. Zebrał się w sobie i ruszył naprzód. Drzwi były na wpół otwarte; wszedł z drzeniem do środka.

Magdalena leżała na plecach, zupełnie naga, złana potem; jej kruczoczarne włosy były rozrzucone na poduszce, a ręce splecione pod głową. Ziewała leżąc z twarzą

odwróconą do ściany. Trwające od świtu zapasy z mężczyznami wyczerpały ją. Jej włosy, paznokcie i każdy cal jej ciała wydzielaly zapachy wszystkich narodów świata, a ramiona, szyję i piersi pokrywały ślady ukąszeń.

Syn Marii spuścił wzrok. Zatrzymał się na środku izby, niezdolny iść dalej. Magdalena czekała bez ruchu z twarzą zwróconą do ściany. Nie usłyszała jednak zwykłego męskiego chrząkania, odgłosów rozbierania się, ani nawet sapania. Przestraszyła się, odwróciła gwałtownie twarz i krzyknęła. Chwyciła prześcieradło i owinięła nim ciało.

- Ty! Ty! - zawołała, zakrywając rękami usta i oczy.

- Mario - powiedział młodzieniec - przebacz mi!

Maria Magdalena wybuchnęła ochryplym, rozdzierającym serce śmiechem. Można by pomyśleć, że jej struny głosowe rozerwą się za chwilę na tysiąc kawałków.

- Mario - powtórzył młodzieniec - przebacz mi!

Zerwała się na kolana, nadal ciasno owinięta w prześcieradło i uniosła do góry pięść:

- Czy dlatego wszedłeś na mój dziedziniec, mój młody kawalerze? Czy dlatego wmieszałeś się między moich kochanków, by podstępnie wkraść się do mojego domu i sprowadzić tu na moje gorące łóżko Boga, tego czarnego luda? No cóż, mój przyjacielu, spóźniłeś się i to bardzo, a co się tyczy twego Boga, to nie chcę go - już raz złamał mi serce!

Lamentowała i mówiła bez przerwy, a jej wzburzona pierś falowała pod prześcieradłem.

- On złamał mi serce, złamał mi serce - zawodziła, a dwie wielkie łzy pojawiły się w jej oczach i zawisły na długich rzęsach.

- Nie bluźnij Mario. To moja wina, nie Boga. Dlatego właśnie przyszedłem: chcę cię błagać o przebaczenie.

Ale Magdalena wybuchnęła:

- Ty i ten twój Bóg macie taką samą gębę, jesteście jedną osobą i nie potrafie was rozróżnić. Czasami zdarza mi się myśleć o nim w nocy - a kiedy to robię - niech będą przeklęte te godziny - wtedy ma on twoją twarz, która pochyła się nade mną w ciemności, a gdy przypadkiem spotykam ciebie na ulicy - niech będą przeklęte te chwile - to zdaje mi się, że nadal widzę Boga, jak zwraca się wprost do mnie.

Uniosła pięść w powietrze.

- Nie zawracaj mi głowy Bogiem - zawołała. - Wynoś się stąd i nie pokazuj mi

się więcej na oczy. Jedna jest tylko dla mnie pociecha i schronienie - brud! Jedyna synagoga, do której chodzę po modlitwę i oczyszczenie - brud!

- Mario, posłuchaj mnie, pozwól mi mówić, nie wpadaj w rozpacz. Właśnie po to przyszedłem, moja siostrze: żeby cię wyciągnąć z brudu. Popełniłem wiele grzechów - jestem teraz w drodze na pustynię, by za nie odpokutować - wiele grzechów, Mario, ale najbardziej ciąży mi twoje nieszczęście.

Magdalena z wściekłością wyciągnęła swoje ostre paznokcie w kierunku niespodziewanego gościa, jak gdyby chciała rozdrapać mu policzki.

- Jakie nieszczęście? - wrzasnęła przeraźliwie. - Świetnie sobie radzę, tak - świetnie, nie potrzebuję współczucia waszej świątobliwości! Toczę własną walkę, zupełnie sama, i nie żądam pomocy ani od ludzi, ani od bogów czy diabłów. Toczę walkę o ratunek dla siebie i uratuję się!

- Ratunek? Przed czym, przed kim?

- Nie przed tym, o czym myślisz, nie przed brudem, niech go Bóg błogosławi! W nim pokładam moje wszystkie nadzieje - w brudzie. To moja droga do ocalenia.

- Brud?

- Tak, brud: hańba, plugastwo, to łóżko, to moje ciało pokryte śladami ukąszeń i wysmarowane śliną, potem i śluzem całego świata. Nie gap się na mnie takim zawistnym, baranim wzrokiem! Nie zbliżaj się do mnie, ty tchórzu! Nie chcę cię tu widzieć! Budzisz we mnie wstręt - nie dotykaj mnie! Żeby zapomnieć o jednym mężczyźnie, żeby się uratować, oddałam swe ciało wszystkim mężczyznom!

Syn Marii spuścił głowę.

- To moja wina - powtórzył zdławionym głosem i ścisnął kurczowo ramię, którym był opasany i na którym wciąż jeszcze widniały ślady jego krwi. - Przebac mi, siostrze moja. To moja wina, ale spłacę mój dług.

Dziki śmiech wydarł się znowu z gardła kobiety.

- Beczysz żałością: "To moja wina... to moja wina, siostrze moja... uratuję cię ..." ale nie, och, nie podnosisz głowy jak mężczyzna, by wyznać prawdę. Pożądasz mojego ciała, ale nie śmiesz tego powiedzieć, więc zaczynasz obwiniać moją duszę i mówić, że chcesz ją uratować. Jaką duszę, marzycielu? Duszą kobiety jest jej ciało. Wiesz o tym, wiesz, ale nie masz odwagi, by wziąć tę duszę w ramiona jak mężczyzna i pocałować ją - pocałować i uratować! Żal mi ciebie i jednocześnie nienawidzę cię!

- Jesteś opętana przez siedem diabłów, dziwko! - zawołał młodzieniec, który zrobił się purpurowy ze wstydu. - Siedem diabłów. Tak, twój nieszczęsny ojciec ma

rację.

Magdalena wzdrygnęła się. Ze złością zebrała włosy, zwinęła je i przewiązała czerwoną, jedwabną wstążką. Nie odzywała się przez dłuższy czas, ale w końcu poruszyła wargami.

- Nie siedem diabłów, synu Marii, nie siedem diabłów - siedem ran. Musisz wiedzieć, że kobieta jest jak zraniona łania. Nie zna innej radości niż lizanie własnych ran.

Jej oczy napełniły się łzami. Otarła je jednym ruchem ręki, a potem wybuchnęła z wściekłością:

- Po co tu przyszedłeś? Czego ode mnie chcesz, dlaczego tak sterczysz nad moim łóżkiem! Idź sobie!

Młodzieniec przybliżył się o krok.

- Mario, spróbuj cofnąć się pamięcią do czasów, gdy byliśmy jeszcze małymi dziećmi...

- Nic nie pamiętam. Co z ciebie za mężczyzna? Dalej pleciesz bzdury? Powinieneś się wstydzić! Nigdy nie miałeś dość odwagi, żeby stanąć o własnych siłach jak mężczyzna, zamiast szukać w kimś oparcia. Jeśli nie trzymałeś się fartucha swej matki, to trzymałeś się mnie lub Boga. Nie potrafisz stanąć o własnych siłach, bo się boisz. Nie masz dość odwagi, by zajrzeć w głąb własnej duszy - czy nawet własnego ciała, jeśli już o tym mowa - bo się boisz. Boisz się, boisz się! Biedaku, nienawidzę cię i żal mi ciebie. Kiedy tylko o tobie pomyślę, serce mi pęka.

Nie mogła już dłużej mówić i wybuchnęła płaczem. Chociaż ocierała oczy szybkimi ruchami ręki, łzy płynęły coraz obficie, rozmywając jej makijaż i brudząc prześcieradło.

Młodzieniec poczuł skurcz w sercu. Och, gdyby tylko mógł przestać bać się Boga, gdyby mógł pochwycić ją w ramiona, obetrzeć jej łzy, gładzić jej włosy, pocieszyć jej serce, a potem zabrać ją ze sobą i odejść stąd!

Gdyby był mężczyzną, tak właśnie musiałby postąpić, żeby ją uratować. Cóż ją obchodziły posty, modlitwy i klasztory? One nie były właściwym rozwiązaniem - jakże mogłyby uratować kobietę? Zabrać ją z tego łóżka, odejść stąd, otworzyć warsztat w jakiejś wiosce gdzieś daleko, gdzie mogliby żyć razem jak mąż i żona, mieć dzieci, cierpieć i radować się jak istoty ludzkie: to był sposób na ocalenie kobiety, sposób, w jaki mężczyzna mógł ocalić siebie razem z nią - jedyny sposób!

Zapadała noc. W oddali zagrzmiało, błyskawica przez szparę w drzwiach

rozświetliła siną twarz Marii, by po chwili pogrążyć ją znowu w ciemności. Słysząc było kolejne grzmoty, coraz głośniejsze. Duszne niebo zniżyło się, prawie dotykając ziemi.

Nagle młodzieniec poczuł ogromne znużenie. Kolana ugięły się pod nim i usiadł w kucki na podłodze. W nozdrza uderzył go przyprawiający o mdłości odór piżma, potu i kozłów. Pogładził dłonią szyję, żeby powstrzymać wymioty.

Usłyszał w ciemności głos Marii.

- Odwróć głowę w drugą stronę. Chcę wstać, żeby zapalić lampę. Jestem naga. .

- Pójdę sobie - powiedział cicho młodzieniec. Zebrawszy całą swoją siłę, wstał z podłogi.

Ale Maria udawała, że nie dotarły do niej jego słowa.

- Wyjrzyj na dziedziniec i jeśli jest tam ktoś jeszcze, powiedz mu, żeby sobie poszedł.

Młodzieniec otworzył drzwi i wystawił głowę na dwór.

Panowała tam ciemność. Duże, padające z rzadka, krople deszczu uderzały silnie w liście drzewa granatu, niebo wisiało nad ziemią gotowe runąć w dół. Starucha zabrała swój rozżarzony ruszt i schowała się na dziedzińcu, gdzie stała teraz przyklejona do pnia cyprysu. Ciężkie krople spadały coraz szybciej.

- Nie ma nikogo - powiedział młodzieniec i czym prędzej zamknął drzwi. Nawałnica rozszalała się na dobre.

Tymczasem Magdalena wyskoczyła z łóżka i okryła się ciepłym wełnianym szalem haftowanym w lwy i jelenie, który otrzymała tego ranka w prezencie od kochliwego Etiopczyka. Jej ramiona i lędźwie zdrząły z rozkoszy w miękkim cieple. Wspinając się na palce, zdjęła lampę z wieszaka na ścianie.

- Nie ma nikogo - powtórzył młodzieniec z nutą radości w głosie.

- A staruszka?

- Stoi pod cyprysem. Rozpętała się prawdziwa nawałnica.

Magdalena wybiegła na dziedziniec, odszukała w ciemności rozpalony ruszt i ruszyła w jego stronę.

- Babciu Noemi - powiedziała, wskazując na rygiel u bramy wyjściowej - weź swój ruszt i kraby i idź do domu. Zarygluję bramę. Dziś wieczorem nikogo już nie przyjmę!

- Masz w środku swojego kochasia, co? - zasyczała starucha, zła, że traci nocnych klientów.



- Tak - odparła Magdalena - on jest w środku. Idź już!

Zręcząc, starucha wstała i zebrała swoje naczynia.

- Prawdziwy piękniś z tego twojego obdartusa - mamrotała cicho bezzębnymi ustami ale Maria, której się spieszyło, wypchnęła ją na zewnątrz i zaryglowała bramę. Niebiosa otworzyły się, zalewając dziedziniec. Krzyknęła piskliwie z radości jak dziecko na widok pierwszego jesiennego deszczu. Gdy weszła do środka, jej szal był przemoczony do suchej nitki.

Młodzieniec stał na środku izby i nie potrafił podjąć decyzji: zostać czy odejść. Jaka była wola Boga? Tu było przyjemnie i ciepło, na zewnątrz hulał wiatr, padał deszcz i było zimno. Nie znał nikogo w Magdali, a Kafarnaum było daleko. Zostać czy odejść? Jego dusza kołysała się tam i z powrotem jak rozhuśtany dzwon.

- Jezusie, leje jak z cebra. Załóż się, że nic dziś nie jadłeś. Pomóż mi rozpalić ogień, ugotujemy coś.

- Pójdę sobie - powiedział młodzieniec, zwracając się ku drzwiom.

- Siadaj, zjemy coś razem! - rozkazała Magdalena. - Brzydzisz się na samą myśl o tym? Nie chcesz splugawić się jedząc razem z dziwką?

Młodzieniec wziął z kąta drewno na podpałkę i kilka grubszych polan. Pochylił się nad kamiennym obramowaniem kominka, przed dwoma żelaznymi stojakami na drwa, i rozpalił ogień.

W sercu Magdaleny zagościł spokój. Uśmiechając się, napełniła garnek wodą i postawiła na ogniu. Z worka wiszącego na ścianie wyjęła dwie pełne garście łuskanego bobu i wrzuciła do garnka. Potem uklękła przed płonącym ogniem i nasłuchiwała. Na dworze lało tak, jakby otworzyły się wszystkie niebieskie zapory.

- Jezusie - powiedziała cicho - pytałeś mnie, czy pamiętam, jak byliśmy dziećmi i bawiliśmy się razem ...

Ale młodzieniec, który tak jak Magdalena klęczał przed kominkiem, patrzył w ogień, błędząc myślami gdzieś daleko. Czuł się tak, jak gdyby dotarł już do klasztoru na pustyni, jakby włożył już białą szatę i zaczął przechadzać się w samotności, a jego serce było małą złotą rybką pływającą w spokojnych głębinach Boga. Na zewnątrz walił się świat; w jego duszy panowały pokój, miłość i poczucie bezpieczeństwa.

- Jezusie - powtórzył głos dobiegający z sąsiedztwa - pytałeś mnie, czy pamiętam, jak byliśmy dziećmi i bawiliśmy się razem...

Twarz Magdaleny promieniała w blasku płomieni jak rozżarzone żelazo. Ale młodzieniec, pogrążony w piaskach pustyni, nie słyszał jej.

- Jezusie - powiedziała znowu -kobieta - miałeś trzy lata, a ja byłam od ciebie o rok starsza. Do naszego domu prowadziły trzy stopnie, ja zwykle siadywałam na najwyższym i godzinami patrzyłam, jak usiłowałeś wejść na pierwszy stopień. Przewracałeś się i znowu wstawiałeś, a ja nawet nie kiwnęłam palcem, żeby ci pomóc. Chciałam, żebyś do mnie przyszedł, ale dopiero wtedy, gdy wiele wycierpisz.... Pamiętaj to? - Diabeł, jeden z siedmiu, kazał jej mówić do młodzieńca i kusić go.

- Po wielu godzinach udało ci się w końcu wspiąć na stopień. Potem usiłowałeś wejść na drugi, a potem na trzeci - gdzie ja siedziałam bez ruchu i czekałam na ciebie. A potem...

Młodzieniec zerwał się gwałtownie i wyciągnął rękę.

- Milcz - zawołał - nie mów więcej!

Twarz kobiety lśniła i migotała, płomienie lizały jej brwi, usta, podbródek i odkrytą szyję. Wzięła garść liści laurowych, wrzuciła je do ognia i westchnęła.

- Potem wzięłeś mnie za rękę, tak Jezusie, wzięłeś mnie za rękę - weszliśmy do środka i położyliśmy się na kamykach na podwórzu. Złączyliśmy podeszwy naszych stóp, czuliśmy, jak miesza się ciepło naszych ciał, jak wznosi się z naszych stóp do ud, z ud do lędźwi. Potem zamknęliśmy oczy i...

- Milcz! - zawołał znowu młodzieniec. Podniósł rękę, by zakryć jej usta, ale powstrzymał się - bał się dotknąć jej warg.

Kobieta westchnęła i mówiła dalej, zniżając głos do półszepotu.

- Nigdy w życiu nie poczułam takiej słodyczy.

Przerwała, a potem dodała:

- To właśnie tej słodyczy szukałam, Jezusie, od tej pory u różnych mężczyzn, ale jej nie znalazłam.

Młodzieniec schował twarz między kolanami.

- Adonai - powiedział półgłosem - Adonai, ratuj!

W ciepłej izbie panowały spokój i cisza, przerywane tylko bulgotaniem aromatycznego bobu w garnku i syczeniem ognia pożerającego drwa. Na zewnątrz męski żywioł - woda lała się z hukiem z nieba, a ziemia rozwarła swe uda i chichotała.

- Jezusie, o czym myślisz? - zapytała Magdalena, nie ośmielając się spojrzeć mu teraz w twarz.

- Myślę o Bogu - odpowiedział zdławionym głosem - o Bogu, Adonai . . .

Pożałował, że wypowiedział to święte imię w takim domu.

Magdalena skoczyła na równe nogi i zaczęła nerwowo chodzić od kominka do

drzwi. Opanowała ją wściekłość.

“Bóg jest największym wrogiem” - myślała - “tak, Bóg. Zawsze się wtrąca, jest zły, zawistny, nie pozwala człowiekowi być szczęśliwym”. Zatrzymała się u drzwi i nadstawiła ucha. Niebiosy ryczały. Zerwała się trąba powietrzna i owoce granatu uderzały o siebie nawzajem, gotowe pęknąć.

- Deszcz trochę zelżał - powiedziała.

- Pójdę sobie - odparł młodzieniec i wstał.

- Najpierw coś zjedz i nabierz sił. Dokąd możesz pójść o tej porze? Ciemno, że oko wykol i ciągle pada.

Rozłożyła na podłodze okrągłą matę ze ściany. Zdjęła garnek z ognia, otworzyła małą szafkę w ścianie i wyjęła z niej przypiekaną bułkę jęczmienną oraz dwa głębokie talerze z wypalanej gliny.

- To pokarm dziwek - powiedziała. - Jedz, ty wcielenie pobożności, jedz - jeśli nie napawa cię wstrętem.

Głodny młodzieniec bez wahania wyciągnął rękę. Kobieta zachichotała.

- Czy w ten sposób jadasz? - zasyzczała. - Nie odmówiwszy modlitwy? Czy nie powinienes przedtem podziękować Bogu, że zsyła chleb, bób i dziwki?

Jadło stanęło Jezusowi w gardle.

- Dlaczego mnie nienawidzisz, Mario? - zapytał. - Dlaczego mi dokuczasz? Posłuchaj, dziś wieczorem chcę połamać z tobą chleb, znowu staliśmy się przyjaciółmi. Zapomnij o dawnych urazach i przebacz mi. Po to właśnie przyszedłem.

- Jedz i przestań skomleć! Jeśli nie dostajesz przebaczenia, weź je sam! Jesteś mężczyzną.

Śmiejąc się uniosła rękę i podzieliła chleb.

- Niech będzie błogosławione imię Tego, który zsyła chleb, bób i dziwki na ten świat - a także pobożnych gości!

Kłęczeli tak naprzeciwko siebie pod lampą i nie odzywali się. Oboje byli głodni, oboje wiele tego dnia wycierpieli, więc jedli, by wzmocnić nadwątlone siły.

Na dworze deszcz zaczął ustawać. Niebo odczuło ulgę, ziemia napełniła się. Panowała cisza przerywana tylko chichotem strumyczków, które radośnie spływały w dół brukowanymi uliczkami wioski.

Skończyli jeść. W małej szafce była też odrobina wina, którą wypili, i kilka dojrzałych daktyli na deser. Przez jakiś czas oboje milczeli, wpatrując się w dogasający ogień. Ich myśli wznosiły się i opadały, tańczyły wraz z niknącymi płomieniami.

Zrobiło się zimno. Młodzieniec wstał i dołożył dREW do ognia. Magdalena wzięła kolejną garść liści laurowych i rzuciła je na drwa: aromatyczna woń wypełniła izbę. Podeszła do drzwi i otworzyła je. Wiatr rozpędził już chmury. Dwie duże, świeżo umyte i nieskazitelne gwiazdy świeciły olśniewająco nad dziedzińcem.

- Ciągłe pada? - zapytał młodzieniec, który znowu stał na środku izby i nie mógł się zdecydować.

Magdalena nie odpowiedziała. Rozwinęła matę, podeszła do swojego kufra, wyjęła zeń prześcieradła i grube wełniane koce - prezenty od swoich kochanków - i zrobiła posłanie przed kominkiem.

- Będziesz spał tutaj - powiedziała. - Na dworze jest zimno, wieje wiatr i zbliża się północ. Dokąd teraz pójdziesz? Zaziębisz się na śmierć. Będziesz spał tutaj: przy ogniu.

Młodzieniec wzdrygnął się.

- Tutaj?

- Boisz się? Nie obawiaj się, mój ty niewinny gołąbku, nie będę ci się naprzykrzać. Nie, nie będę cię kusić, nie tknę twego dziewictwa, mój ty pieszczochu - szkoda mojej fatygi!

Dołożyła jeszcze dREW do ognia i przykręciła knot lampy.

- Przyjemnych snów - powiedziała. - Jutro mamy oboje wiele do zrobienia. Ty wyruszysz znów w drogę szukać swego ocalenia, ja wyruszę w inną drogę, moją własną, i też będę szukać ratunku. Każde z nas pójdzie swoją drogą i już nigdy się nie spotkamy. Dobranoc.

Rzuciła się na swoje posłanie i wtuliła twarz w poduszkę.

Przez całą noc gryzła pościel, żeby powstrzymać krzyk i łzy. Bała się, że jeśli męczyzna śpiący koło kominka usłyszy ją, wystraszy się i odejdzie. Słuchała jego cichego, spokojnego oddechu; był jak dziecko trzymane przy piersi, a ona, lamentując cicho w głębi duszy, wydając ciche, długie westchnienia, leżała i kołysała go do snu jak matka.

Nazajutrz o świcie spod półprzymkniętych powiek zobaczyła, że wstaje, zaciska skórzany rzemień i otwiera drzwi. Zatrzymał się na progu. Chciał odejść i jednocześnie zostać. Odwrócił się, spojrział na łóżko i zrobił niepewny krok w jej stronę. Pochylił się - w pokoju wciąż panował mrok.- jakby chciał ją odszukać i dotknąć. Jego lewa dłoń była wciśnięta pod rzemień, prawą zakrywał usta i podbródek.

Kobieta leżała na plecach bez ruchu, rozpuszczone włosy zasłaniały jej nagie piersi. Obserwowała go przez rzęsy, drżąc na całym ciele.

Poruszył wargami:

- Mario...

Lecz gdy tylko usłyszał swój głos, przestraszył się. Jednym susem skoczył na próg, przeszedł przez dziedziniec i odryglował bramę wychodzącą na ulicę.

Dopiero wtedy - zeskoczywszy ze swego materaca i odrzuciwszy prześcieradła - dopiero wtedy Maria Magdalena wybuchnęła głośnym płaczem.

## ROZDZIAŁ VIII

Klasztor, zbudowany z czerwonych kamieni, wciśnięty był pomiędzy osłaniające go wielkie, czerwone skały, wszędzie obecne na pustyni rozciągającej się za jeziorem Genezaret. Północ ... Z nieba lał się strumieniami deszcz. Wyły hieny, wilki i szakale, a gdzieś w oddali ryczała para lwów, rozwścieczonych powtarzającymi się grzmotami. Białe, zimne pasma błyskawic oświeślały raz po raz tonący w nieprzeniknionych ciemnościach klasztor - wydawało się, że to Bóg chłoszcze go z Syjonu. Mnisi leżeli twarzą do ziemi w swoich celach, błagając Adonai, aby nie zsyłał po raz drugi potopu na ziemię. Czyż nie dał słowa patriarsze Noemu? Czyż nie rozciągnął tęczy od ziemi po niebiosa na znak przyjaźni?

Światło paliło się jedynie w celi opata Joachima. Siedział pod siedmioramiennym świecznikiem w wysokiej stalli z drewna cyprysowego i nasłuchiwał - chudy mężczyzna z białą brodą podobną do rzeki okrywającą skrzyżowane ręce. Oddychając płytko, zamknął oczy i słuchał Jana, młodego nowicjusza, który stał przy pulpicie i czytał ustępy z proroka Daniela.

“Rzekł Daniel: Ujrzałem swoją wizję w nocy. Oto cztery wichry nieba wzburzyły wielkie morze. Cztery ogromne bestie wyszły z morza, a jedna różniła się od drugiej. Pierwsza podobna była do lwa i miała skrzydła orle. Patrzałem, a oto wyrwano jej skrzydła, ją zaś samą uniesiono w górę i postawiono jak człowieka na dwu nogach, dając jej ludzkie serce. A oto druga bestia, zupełnie inna, podobna do niedźwiedzia, z jednej strony podparta, a trzy żebra miała w paszczy między zębami. Mówiono do niej: “Podnieś się! Pożeraj wiele mięsa!” Potem patrzałem, a oto inna bestia podobna do pantery, mająca na swym grzbiecie cztery ptasie skrzydła. Bestia ta miała cztery głowy; jej to powierzono władzę”.

Nowicjusz poczuł się niepewnie i przestał czytać. Nie słyszał już, żeby opat wzdychał i poruszony, wbijał paznokcie w stalle. Nie słyszał nawet jego oddechu. Czyżby umarł? Od wielu dni odmawiał przyjmowania pożywienia. Gniewał się na Boga i chciał umrzeć, co dał jasno do zrozumienia pozostałym mnichom - po to, by jego dusza mogła pozbyć się ciała i uwolniwszy się od tego ciężaru, mogła wznieść się do niebios i poszukać Boga. Chciał Mu złożyć skargę - dlatego musiał się z Nim zobaczyć i porozmawiać. Ale ciało było jak ołów, nie pozwalało wznieść się do niebios. Zdecydował więc, że zostawi je swojemu losowi w grobie, natomiast prawdziwy

Joachim uda się do nieba i poskarży Bogu. Był to jego obowiązek - czyż nie należał do Ojców Izraela? Ludzie mieli języki lecz nie umieli mówić. Nie potrafili stanąć przed Bogiem i opowiedzieć o swoim cierpieniu. Joachim potrafił - nie miał zresztą wyboru.

Nowicjusz odwrócił się i spojrział na oświetloną siedmioma płomieniami głowę opata, pokrytą dziobami niczym stare, zżarte przez robaki drewno, ogorzałą od słońca i wysuszoną postami. Jakże podobna była do przedwiecznych, zmytych deszczem czaszek zwierząt, które karawany napotykały czasami na pustyni! Jakie wizje przemknęły przez tę głowę, ileż razy otwierały się przed nią niebiosy, a jak często wnętrzości piekieł! Jego umysł był drabiną Jakuba, po której wstępowały i zstępowały nadzieje Izraela.

Otworzywszy oczy opat zobaczył, że nowicjusz, śmiertelnie blady, stoi przed nim. W świetle menory jasny meszek na jego policzkach połyskiwał w swym dziewictwie, a jego spojrzenie wyrażało ból.

Surowe oblicze opata złagodniało. Kochał tego dobrze zbudowanego młodzieńca, którego wyrwał z rąk jego ojca, starego Zebedeusza i sprowadził do klasztoru, aby poświęcić go Bogu. Lubił jego uległość i dzikość, jego ciche usta i nienasycone oczy, jego słodycz i inteligencję. "Pewnego dnia" - pomyślał - "ten chłopiec będzie rozmawiał z Bogiem i dokona tego, czego ja nie potrafię. I przemieni dwie rany, które mam na plecach, w skrzydła. Nie udało mi się unieść do niebios w moim życiu, lecz jemu na pewno się uda".

Chłopiec przyszedł kiedyś do klasztoru ze swoimi rodzicami, aby świętować Paschę. Opat, daleki krewny starego Zebedeusza, przyjął ich z radością i posadził przy swoim stole. Jan miał wtedy szesnaście lat. Gdy jadł, pochylony nad stołem, poczuł, jak oczy opata omiatają jego głowę, przenikają czaszkę sięgając mózgu. Przerażony, podniósł wzrok. Ich spojrzenia spotkały się ponad paschalnym stołem. Od tamtego dnia ani łódzie rybackie, ani jezioro Genezaret nie wystarczały chłopcu. Wzdychał i marniał w oczach, aż pewnego ranka, znużony tym wszystkim Zebedeusz, krzyknął:

- Nie myślisz wcale o łowieniu ryb, tylko o Bogu. A więc dalej, idź do klasztoru. Miałem dwóch synów. Bóg chciał, abym podzielił się nimi z Nim - niech się tak stanie! Niech się dzieje jego wola!

Opat wpatrywał się w chłopca, który stał przed nim. Chciał go zganić lecz gdy spojrział na niego, złagodniał.

- Dlaczego przestałeś czytać, moje dziecko? - zapytał. - Opuściłeś opis wizji Daniela w samym środku. Nie wolno tego robić. On jest prorokiem, a proroków

należy czcić.

Chłopiec spłonął się, rozwinął jeszcze raz pergaminowy zwój na pulpicie i zaczął czytać, monotonicznie, na tę samą, niezmienną nutę:

“Następnie patrzyłem i ujrzałem w nocnych widzeniach: a oto czwarta bestia, okropna i przerażająca, o nadzwyczajnej sile. Miała wielkie zęby z żelaza (i miedziane pazury); pożerała i kruszyła, deptając nogami to, co pozostawało. Różniła się od wszystkich poprzednich bestii i miała dziesięć rogów”.

- Przestań! - zawołał opat. - Wystarczy!

Krzyk przestraszył chłopca i święty tekst spadł na kamienną posadzkę. Nowicjusz podniósł go i, przykładając doń wargi, pocałował. Potem stanął w kącie celi z oczyma utkwionymi w przełożonego. Opat, wbijając paznokcie w stalle, krzychał:

- Danielu! Wszystkie twoje prorocтва spełniły się. Lew ze skrzydłami orła nadszedł i rozszarpał nas. Niedźwiedź, który żywi się hebrajskim mięsem, nadszedł i pożarł nas. Czterogłowy lampart nadszedł i pokąsał nas na wschodzie, zachodzie, północy i południu. Sromotna bestia o żelaznych zębach i dziesięciu rogach jest blisko. Nie nadeszła jeszcze, jeszcze nie nadbiegła. Całą niegodziwość i strach, które miałeś zesłać na nas, Panie, już zesłałeś - i dzięki Ci za to! Lecz przepowiedziałeś również dobro. Dlaczego go nie zesłałeś? Dlaczego, gdy chodzi o dobro, jesteś taki skąpy? Hojnie obdarowałeś nas nieszczęściami. Teraz daj nam obficie Twoje łaski! Gdzie jest Syn Człowieczy, którego nam obiecałeś?... Janie, czytaj dalej!

Chłopiec wyszedł z kąta, gdzie stał trzymając zwój pod szatą. Podeszedł do pulpitu i zaczął czytać. Lecz jego głos, tak jak głos opata, stał się zawzięty.

“Patrzyłem w nocnych widzeniach: a oto na obłokach nieba przybywa jakby Syn Człowieczy. Podchodzi do Przedwiecznego i wprowadzają Go przed Niego. Powierzono Mu panowanie, chwałę i władzę królewską, a służyły Mu wszystkie narody, ludy i języki. Panowanie Jego jest wiecznym panowaniem, które nie przemienie, a Jego królestwo nie ulegnie zagładzie”.

Opat nie mogąc się dłużej opanować, wstał i zrobił jeden krok, potem drugi w kierunku pulpitu. Potknął się i byłby upadł, gdyby nie udało mu się przytrzymać ręką pulpitu, przygniatając zwój.

- Gdzie jest Syn Człowieczy, którego nam obiecałeś? Daleś nam swoje słowo, czyż nie tak? Nie możesz teraz zaprzeczyć - tutaj jest wszystko zapisane! - W uniesieniu uderzył gniewnie ręką w prorocтво. - Tutaj jest wszystko zapisane! Janie, przeczytaj to jeszcze raz!



Lecz opat nie czekał. Zanim nowicjusz zdążył zacząć, starzec chwycił pismo, podniósł je wysoko ku światłu i zaczął głośno recytować z triumfem, nie patrząc w tekst:

“Powierzono Mu panowanie, chwałę i władzę królewską, a służyły Mu wszystkie narody, ludy i języki. Panowanie Jego jest wiecznym panowaniem, które nie przeminie, a Jego królestwo nie ulegnie zagładzie”. -

Położył zwój na pulpicie i spojrzął w ciemność za oknem.

- Więc gdzie jest ten Syn Człowieczy? - krzyknął, wpatrując się w czerni. - Już nie należy do Ciebie - obiecałeś go nam, jest więc nasz! Gdzież on jest? Dlaczego nie dasz mu swej potęgi, królestwa i chwały, tak by naród, naród Izraela mógł rządzić całym wszechświatem? Zesztywniały nam już karki od wpatrywania się w niebo, w oczekiwaniu, aż się otworzy. Kiedy? Kiedy? Tak, wiem - dlaczego wciąż do tego wracam - wiem dobrze, że dla Ciebie sekunda to tak, jak dla nas tysiąc lat. Dobrze. Ale jeśli jesteś sprawiedliwy, Panie, odmierzysz czas ludzką miarą, a nie boską. Oto czym jest sprawiedliwość.

Ruszył w stronę okna, ale kolana ugięły się pod nim; przystanął, wyrzucając ręce przed siebie, jak gdyby chciał znaleźć oparcie w powietrzu. Chłopiec podbiegł, aby go przytrzymać, ale opat gniewnie dał mu głową znak, żeby go nie dotykał. Zebrawszy resztki sił, doszedł do okna, oparł się o ścianę, po czym wychylił się tak daleko, jak tylko mógł. Ciemność... Błyskawice ukazywały się coraz rzadziej lecz deszcz wciąż jeszcze, niczym wodosпад, spływał na skały otaczające klasztor. Kaktusy, w które uderzył piorun, wydawały się wirować w powietrzu, przemienione w naród kalek - ich uniesione ku niebu kikuty były jak ramiona trędowatych.

Opat słuchał w napięciu. Z daleka dochodziło wycie dzikich zwierząt - zwierzęta nie były głodne lecz przestraszone. Blisko, niemal tuż nad nimi bestia ubrana w ogień i wiatr ryczała, zbliżając się w ciemności. Opat słuchał głosów pustyni; nagle wzdrygnął się. Jakaś niewidzialna postać weszła do jego celi. Rozejrzał się. Siedem płomyków na świeczniku migotało gwałtownie, jakby miały w każdej chwili zgasnąć. Dziewięć strun harfy, stojącej bezużytecznie w kącie, zadźwięczało dziko, jak gdyby szarpane z furią przez niewidzialną rękę, która usiłowała je zerwać. Opat zadrżał.

- Janie - powiedział cicho, rozglądając się wokół. - Podejdz tutaj, blisko mnie.

Chłopiec zerwał się z miejsca i zbliżył się do opata.

- Rozkazuj mi, ojcze - powiedział, padając na twarz.

- Janie, idź i zawołaj mnichów. Chcę im coś powiedzieć, zanim odejdę.

- Zanim odejdiesz, ojcze?

Chłopcem wstrząsnął dreszcz. Dostrzegł w powietrzu dwoje łopocących, czarnych skrzydeł, które wyrastały z pleców starca.

- Odchodzę - rzekł opat głosem, który wydawał się płynąć z drugiego brzegu. - Odchodzę! Czy nie zauważyłeś, jak gaśnie siedem płomieni? Nie słyszałeś, jak pękają struny harfy? Odchodzę, Janie. Biegnij i zwołaj mnichów, chcę z nimi mówić.

Chłopiec skinął głową i wyszedł. Opat stał bez ruchu na środku celi pod siedmioramiennym świecznikiem. Wreszcie mógł być sam na sam z Bogiem - mógł mówić otwarcie, bez obawy, że ktoś podsłucha. Spokojnie uniósł głowę - wiedział, że Bóg stoi tuż przed nim.

- Idę, już idę - powiedział do Niego. - Dlaczego wchodzisz do mojej celi, dlaczego próbujesz zgasić światło, zniszczyć harfę i złapać mnie? Idę do Ciebie, nie tylko dlatego, że Ty tak chcesz, ale również, że ja tego pragnę. Trzymam w ręku tablice, na których wyryte są skargi mojego ludu. Chcę Cię zobaczyć i rozmawiać z Tobą. Wiem, że nie słuchasz, albo przynajmniej udajesz, że nie słuchasz, ale ja będę walił w Twoje drzwi, aż otworzysz. A jeśli nie otworzysz - nie ma tutaj nikogo, więc mogę mówić otwarcie - roztrzaskam drzwi! Jesteś gwałtowny, kochasz gwałtownych ludzi - tylko ich nazywasz swoimi synami. Aż do tej chwili płakaliśmy i padaliśmy na twarz, mówiąc: "Bądź wola Twoja". Ale dłużej już nie wytrzymamy. Panie, jak długo mamy czekać? Jesteś gwałtowny, kochasz gwałtownych ludzi - staniemy się więc gwałtowni! Niech się teraz stanie nasza wola - nasza!

Mówiąc to opat cały czas nasłuchiwał i starał się wyłowić wszelkie dźwięki nadchodzące z pustyni. Deszcz ustał, grzmoty oddaliły się - teraz były jakby przytłumione, pobrzmiwały daleko na wschodzie. Siedem płomieni paliło się spokojnie nad głową starca.

Opat czekał w ciszy. Czekał długo, aż płomienie znów zamigoczą, a harfa zacznie pobrzmiwać strachem. Nic takiego się jednak nie stało. Potrząsnął głową.

- Ciało człowiecze jest przeklęte - szepnął. - To ciało zawsze przeszkadza, nie pozwalając duszy widzieć i słuchać Niewidzialnego. Zabij mnie, Panie. Chcę stanąć przed Tobą bez tej rozdzielającej nas ściany z ciała, żeby usłyszeć, kiedy przemówisz do mnie!

Drzwi do celi otworzyły się bezszelestnie i do środka zaczęli wchodzić na wpełnieniu mnisi, wszyscy ubrani na białło. Stanęli pod ścianą i czekali,

przypominając swoim wyglądem zjawy. Słyszeli ostatnie słowa opata, które sprawiły, że wstrzymali na chwilę oddech. "Rozmawia z Bogiem", mówili między sobą, "robi wymówki Bogu - zaraz porazi nas grom!" Stali pod ścianą, trzęsąc się ze strachu.

Opat wbił oczy w ciemność. Jego wzrok był błędny, nieobecny. Nowicjusz zbliżył się i padł na twarz.

- Już przyszli, ojcze - rzekł łagodnym głosem, nie chcąc przestraszyć starca.

Opat usłyszał głos chłopca. Odwrócił się i zobaczył pozostałych. Zaczął powoli chodzić po celi, dokładnie odmierzając kroki. Wyprostował swoje umierające ciało, jak tylko potrafił. Podeszedł do stali i wszedł na stojący przed nią niski stołek. Filakterium ze świętymi sentencjami, które znalazło się pod jego ręką, rozwinęło się. Nowicjusz rzucił się do przodu - zdołał je chwycić, zanim zostało zbrukane, dotykając ziemi, splamionej ludzkimi stopami. Opat wyciągnął rękę po stojącą obok stali laskę, inkrustowaną kością słoniową. Czując wzbierającą siłę podniósł głowę i obrzucił wzrokiem mnichów stojących pod ścianą.

- Bracia! - zaczął. - Wysłuchajcie moich słów, a są to już słowa ostatnie. Otwórzcie swoje uszy, a jeśli ktoś jest śpiący, niech wyjdzie. Będę mówił o trudnych rzeczach. Niech się zbudzą wszystkie wasze nadzieje i obawy, abyście mogli dać mi odpowiedź.

- Słuchamy, święty opacie - rzekł ojciec Habakuk, najstarszy spośród mnichów, kładąc rękę na sercu.

- To są moje ostatnie słowa, bracia. Jesteście oteźpiali, więc posłuszę się przypowieścią.

- Słuchamy, święty opacie - powtórzył ojciec Habakuk.

Opat kiwnął głową i powiedział tym razem ciszej:

- Najpierw pojawiły się skrzydła, a potem anioł.

Zamilkł, spojrzał kolejno na każdego z mnichów i potrząsnął głową.

- Bracia, dlaczego patrzycie na mnie w ten sposób - z otwartymi ustami? Ojciec Habakuku, podniosłeś rękę i poruszyłeś ustami, czy chcesz coś powiedzieć?

Mnich położył rękę na sercu.

- Rzekłeś, "Najpierw pojawiły się skrzydła, a potem anioł". Nigdy nie czytaliśmy tych słów w Piśmie, święty opacie.

- Jakże mogliście je czytać, ojcze? Niestety! Wasze umysły są wciąż zamroczone. Czytacie proroków, lecz wasze oczy potrafią dostrzec tylko litery. Ale co mówią te litery? Są one jak czarne kraty więzienne, gdzie duch dławi się od krzyku.

Pomiędzy literami i wierszami, wokół pustych marginesów, unosi się wolny duch. A ja unoszę się wraz z nim, przynosząc wam tę doniosłą nowinę: bracia, najpierw pojawiły się skrzydła, a potem anioł!

Ojciec Habakuk przemówił ponownie:

- Nasze umysły, święty opacie, są jak lampy, które zgasły. Wróć im światło, aby przypowieść otwarła się-przed nami i żebyśmy zobaczyli.

- Na początku, ojciec Habakuku, była tęsknota za wolnością. Wolność nie istniała, aż nagle, jakiś człowiek potrząsnął rękoma zakutymi w kajdany gwałtownie, jak gdyby miał skrzydła, a nie ręce. Potem zrobił to drugi i trzeci, a w końcu całe plemię.

Podniosły się radosne głosy:

- Plemię Izraela?

- Tak, bracia, plemię Izraela! To jest ta wielka i straszliwa chwila, w której dane jest nam żyć. Pragnienie wolności stało się nieznośne. Skrzydła uderzają dziko - nadchodzi wybawca! Tak, bracia, wybawca nadchodzi, ponieważ... Zaczekajcie! Ten anioł wolności - jak myślicie, z czego został stworzony? Z Bożego miłosierdzia i łaski? Z jego miłości? Sprawiedliwości? Nie! Ten anioł jest stworzony z cierpliwości, uporu i walki rodu ludzkiego!

- Kładziesz wielki nacisk na człowieka, święty opacie, obarczając go nieznośnym ciężarem - odważył się sprzeciwić stary Habakuk. - Czy pokładasz w nim aż takie zaufanie?

Opat zignorował tę uwagę. Jego myśli krążyły wokół Mesjasza.

- On jest jednym z naszych synów! - krzyknął. - Dlatego Pismo ( nazywa go Synem Człowieczym! Jak myślicie, po co tysiące mężczyzn i kobiet Izraela łączy się ze sobą z pokolenia na pokolenie? Aby pieścić się po plecach i łechtać po łądzwiach? Nie! Te miliony pocałunków były potrzebne, aby na świecie mógł się pojawić Mesjasz!

Opat uderzył energicznie laską o stalle.

- Miejcie się na baczności, bracia! On może przyjść w biały dzień, może nadejść w środku nocy. Bądźcie przygotowani: czyści, głodni, czujni. Biada wam, jeśli spotka was brudnych, sytych lub śpiących.

Mnisi zbili się w ciasną gromadę, nie wając się spojrzeć na opata. Czuli, jak nieokiełznany płomień, gorejący w jego głowie, wypełza i ogarnia ich.

Umierający starzec zszedł ze stalli i zbliżył się pewnym krokiem do przestraszonych mnichów. Wyciągnął laskę i dotknął nią każdego z nich.

- Miejcie się na baczności, bracia! - wołał. - Jeśli pragnienie ustanie choć na chwilę, skrzydła znów zamienią się w kajdany. Bądźcie czujni, walczcie. Niech pochodnia waszej duszy płonie dzień i noc. To wy musicie wykuć skrzydła! Ja odchodzę - śpieszę, aby mówić z Bogiem. Odchodzę... To są moje ostatnie słowa: Wy musicie wykuć skrzydła!

Jego oddech urwał się. Laska wypadła mu z ręki. Bez słowa opadł spokojnie, miękko na kolana, a potem osunął się cicho na podłogę. Nowicjusz krzyknął i podbiegł do przełożonego. Mnisi odsunęli się od ściany, pochylili i położyli opata na plecy. Ktoś zdjął świecznik i ustawił go przy zsiniałej, nieruchomej twarzy. Broda opata połyskiwała w świetle. Biała szata rozsunała się, ukazując zgrzebny habit z ostrymi żelaznymi haczykami, które otaczały zakrwawioną pierś i boki starca.

Ojciec Habakuk przyłożył ręce do serca opata. - Nie żyje - stwierdził.

- Nadeszło jego wybawienie - orzekł inny.

- Dwoje przyjaciół rozstało się, aby powrócić do swoich domów - szepnął trzeci.

- Ciało do ziemi, a dusza do Boga.

Kiedy tak rozmawiali, wydając polecenia, aby podgrzać wodę do umycia zwłok, opat otworzył oczy. Mnisi cofnęli się przerażeni, wpatrując się w niego. Jego twarz biła jasnym blaskiem, chude ręce o długich palcach poruszały się, a oczy wpatrywały z ekstazą w powietrze.

Ojciec Habakuk ukląkł i znów położył rękę na sercu opata.

- Bije - szepnął. - Nie umarł.

Odwrócił się do nowicjusza, który leżał u stóp starca i całował je.

- Wstań, Janie. Weź najszybszego wielbłąda i pędź do Nazaretu po starego rabina Symeona. On go wyleczy. Szybko! Zaraz wstanie dzień!

Nadchodził świt. Chmury rozproszyły się. Nasycona, zmyta deszczem ziemia błyszczała, spoglądając z wdzięcznością na niebiosa. Dwa krogulce wzbiły się w powietrze i zataczały kręgi nad klasztorem, żeby osuszyć skrzydła.

Wycierając łzy, nowicjusz poszedł do stajni i wybrał najszybszego wielbłąda: młode, smukłe zwierzę, z białą gwiazdką na czole. Szarpnął za grzywę: wielbłąd ukląkł. Jan dosiadł go z gardłowym okrzykiem. Zwierzę podniosło się raptownie i długimi krokami pogalopowało! w kierunku Nazaretu.

Poranek rozblęsnął nad jeziorem Genezaret. Woda skrzyła się w świetle słońca, zamulona przy brzegu zmyta w nocy ziemią, trochę dalej niebieskozielona, jeszcze dalej mlecznobiała. Rozwieszane żagle suszyły się w słońcu. Niektóre łodzie rybackie

już wypłynęły: rozpoczął się połów. Różowobiałe siewki kołysały się radośnie na wodzie. Czarne kormorany stały na skałach, wypatrując swymi okrągłymi oczyma ryb, które swawoliły wesoło pod powierzchnią wody. Na ładzie budziło się do życia mokre od deszczu Kafarnaum - koguty strzepywały krople wody z piór, osły ryczały, a cielęta muczały łagodnie. Wmieszana w tę kakofonię dźwięków, zrozumiała ludzka mowa stwarzała swojską, bezpieczną atmosferę.

Prawie dziesięciu rybaków stało na plaży cichej zatoczki ze stopami zanurzonymi w piasku, śpiewając cicho i zręcznie ciągnąc sieci. Górował nad nimi Zebedeusz, ich gadatliwy i kuty na cztery nogi pracodawca. Udawał, że każdego z nich kocha jak syna, litował się nad nimi, ale nie dawał im ani chwili wytchnienia. Płacił im dniówki, a jego wielkie, ruchliwe szczęki pilnowały, żeby nie odpoczywali nawet przez sekundę. Zabrzmiały dzwonki. Stado kóz i owiec kierowało się ku brzegowi. Psy szczekały. Ktoś gwizdał. Rybacy odwrócili się, żeby zobaczyć kto nadchodzi, ale stary Zebedeusz ruszył od razu na nich.

- To Filip ze swoim stadem - krzyknął poirytowany. - Na nas czeka robota.

Sam chwycił linę i udawał, że im pomaga.

Coraz więcej rybaków wyłaniało się z wioski. Szli obładowani sieciami. Za nimi podążały żony, które niosły na głowach prowiant na cały dzień. Opaleni chłopcy bez wahania chwyтали za wiosła. Co dwa lub trzy pociągnięcia robili przerwę na kęs suchego chleba, który trzymali w dłoniach. Filip wszedł na skałę, gdzie było go dobrze widać i zagwizdał. Chciał zaśpiewać, ale stary Zebedeusz zmarszczył z dezaprobatą brwi. Przyłożywszy dłoń do ust, krzyknął:

- Zostaw nas w spokoju, Filipie. Mamy robotę. Idź sobie stąd!

- Niech sobie gada z Jonaszem, który łowi tam dalej - burknął Zebedeusz. - A my, chłopcy, mamy pełno roboty! - jeszcze raz zawiązał supeł na linie i zaczął ciągnąć.

Rybacy powrócili do swojej smutnej, monotonnej pieśni i utkwili wzrok w zbliżających się bojach z czerwonej dyni.

Właśnie mieli wyciągnąć na plażę sieci pełne ryb, kiedy usłyszeli dochodzące z daleka, z równiny, posępne, przenikliwe głosy, podobne do tych, które zwykle towarzyszą pieśni pogrzebowej. Stary Zebedeusz nadstawił ciekawie uszu - jego ludzie wykorzystali nieuwagę pracodawcy i przestali pracować.

- Co się stało, chłopcy? - zapytał Zebedeusz, - To pieśń pogrzebowa - kobiety lamentują.

- Umarł jakiś wielki człowiek - odparł stary rybak. - Oby Bóg dał tobie,

Zebedeuszu, długie życie.

Zebedeusz zdążył już wspiąć się na skałę. Jego chciwy wzrok omiół równinę: kobiety i mężczyźni biegli na pola, padając i podnosząc się z głośnym lamentem. Porządek we wsi został naruszony. Kobiety biegły, rwąc sobie włosy z głowy. Za nimi szli w ciszy mężczyźni ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Co się stało? - zawołał Zebedeusz. - Dokąd idziecie? Dlaczego kobiety płaczą?

Pochód żałobny minął go bez słowa, kierując się ku klepisku.

- Hej, dokąd idziecie? Kto umarł? - wrzasnął Zebedeusz, machając rękoma. -

Kto umarł?

Krepy mężczyzna zatrzymał się, zdyszany.

- Pszenica! - odparł.

- Mów do rzeczy, człowieku. Jestem Zebedeusz, z którym ludzie nie żartują.

Kto umarł?

Odpowiedziały mu głosy ze wszystkich stron:

- Pszenica! Jęczmień! Chleb!

Stary Zebedeusz stał bez ruchu z otwartymi ustami. Nagle drgnął i klepnął się w pośladki - zrozumiał.

- To powódź - mruknął. - Zmyła plony z klepiska. Cóż, niech biedni narzekają - to nie moje zmartwienie.

Krzyki roznosiły się teraz po całej równinie. Kto żyw we wsi wyszedł z domu. Kobiety rzucały się na klepisko i tarzały w błocie pośpiesznie zbierając resztki pszenicy i jęczmienia, które ostały się w brzdach i koleinach. Ludziom Zebedeusza opadły bezradnie ręce - nie mieli siły, aby wyciągnąć sieci. Widząc, jak wpatrują się beczynn timerówninę, Zebedeusz wpadł we wściekłość.

- Do roboty! - ryknął schodząc ze skały. - Ciągnąć!

Ponownie chwycił linę, udając, że pracuje razem z nimi:

- Bogu niech będą dzięki, że jesteśmy rybakami, a nie rolnikami. Niech nadchodzą powodzie. Ryby znakomicie pływają i nie toną, to pewne, jak mi Bóg miły.

Nadbiegł Filip skacząc z kamienia na kamień. Chciał porozmawiać.

- Nowy potop, chłopcy! - krzyknął, stając przed rybakami. - Przestańcie na miłość boską, porozmawiajmy. To koniec świata. Zliczcie tylko nieszczęścia: przedwczoraj ukrzyżowaliśmy naszą wielką nadzieję, zelotę. Wczoraj Bóg otworzył bramy niebios i zesłał potop - akurat wtedy, gdy zboże na polach było dojrzałe -

zabierając nam chleb. A niedawno jedna z moich owiec urodziła dwugłowe jagnię. Mówię wam, to koniec świata! Na Boga! Przestańcie pracować i porozmawiajmy.

Stary Zebedeusz rozsierdził się.

- Wynoś się stąd do stu czartów, Filipie, i zostaw nas w spokoju! - krzyknął, czerwieniąc się ze złości. - Nie widzisz, że mamy robotę? Jesteśmy rybakami a ty pasterzem, więc niech rolnicy narzekają - co nas to obchodzi?... Zabierajcie się do roboty!

- Czy nie żal ci, Zebedeuszu, rolników, którzy umrą z głodu? - sprzeciwił się pasterz. - Oni są również Izraelitami, to nasi bracia. Wszyscy tworzymy jedno drzewo, którego korzeniami są ludzie pracujący na roli - jeśli oni uschną, ten sam los spotka i nas. I jeszcze jedno, Zebedeuszu - jeśli wymrzemy zanim przyjdzie Mesjasz, to kogo on będzie zbawiał? Odpowiedz mi, jeśli potrafisz!

Stary Zebedeusz dyszał z gniewu. Wyglądał jak gdyby za chwilę miał wybuchnąć.

- Dalej, idź stąd, w imię Boże. Wracaj do swego stada. Źle mi się robi od słuchania o Mesjaszu. Przychodzi jeden - ukrzyżowany. Przychodzi drugi - ukrzyżowany. A nie słyszałeś wiadomości, którą Andrzej przyniósł swemu ojcu, Jonaszowi? Wydaje się, że dokądkolwiek pójdziesz i gdziekolwiek się zatrzymasz, natkniesz się na krzyż. Lochy są przepelnione Mesjaszami. Dość już tego! Dawaliśmy sobie jakoś radę bez Mesjasza - tylko zawadza i tyle! Dalejże, przynieś mi trochę sera, a ja dam ci za to misę ryb. Ty dasz mnie, ja dam tobie - to jest prawdziwy mesjanizm!

Roześmiał się i odwrócił do swoich adoptowanych synów.

- Żwawo, chłopcy, a będziemy mogli rozpalić ogień, usmażyć ryby i najeść się do syta. Patrzcie - słońce stoi już o dobry sążeń wyżej, a my jeszcze nic nie zrobiliśmy.

Filip miał już wracać do swojego stada, kiedy coś go zatrzymało.

Na wąskiej ścieżce biegnącej wzdłuż brzegu jeziora pojawił się osioł, uginający się pod ciężarem pakunków, którymi był obładowany. Za nim szedł bosy rudobrody olbrzym z rozchełstaną koszulą. W rękę trzymał rozwidloną różgę, którą spieszenie poganiał zwierzę.

- Spójrzcie, to sam stary diabeł, Judasz Iskariota - powiedział pasterz. - Znów zaczął obchodzić wieś, żeby podkuwać muły i robić motyki. Chodźcie, ciekawe co nam powie nowego.

- A żeby go zaraza! - mruknął stary Zebedeusz. - Nie podobają mi się jego włosy. Słyszałem, że jego przodek, Kain, miał taką brodę.



- Ten nieszczęśnik urodził się na pustyni Idumei - powiedział Filip.

- Wychował się wśród lwów, więc lepiej nie wszczynaj z nim kłótni - dodał i przyłożywszy dwa palce do ust, gwizdnął na olbrzyma.

- Witaj Judaszu! - zawołał. - Cieszę się, że cię widzę. Zbliź się do nas, abyśmy mogli ci się lepiej przyjrzeć.

Rudobrody splunął i zaklął. Nie lubił ani pastucha, ani tego pasożyta, Zebedeusza - wprost ich nie znosił. Ale był kowalem, człowiekiem, którego inni potrzebują, więc podszedł do nich.

- Jakie nowiny przynosisz nam z wiosek, które już obszedłeś? - zapytał Filip. - Co się dzieje na równinie?

Rudobrody zatrzymał osła, ciągnąc go za ogon.

- Wszystko po staremu - odparł, śmiejąc się głucho. - Pan jest niezmiernie miłosierny i chwala Mu za to! Tak, On kocha swój naród! W Nazarecie krzyżuje proroków, a na równinę zsyła potop, zabierając swoim ludziom chleb. Czyż nie słyszycie tych zawodzeń? Kobiety lamentują nad pszenicą, jak gdyby to nie zboże było, lecz ich synowie.

- Cokolwiek czyni Bóg, jest słuszne - odparł Zebedeusz. Był rozdrażniony, gdyż przez tę rozmowę kulała praca. - Ufam Mu, cokolwiek robi. Kiedy wszyscy inni toną, a tylko mnie udaje się uciec, Bóg chroni mnie. Kiedy wszyscy inni wyratują się a ja utonę, wówczas Bóg chroni mnie również. Ufam Mu, mówię wam. To pewne, jak mi Bóg miły.

Kiedy rudobrody to usłyszał, zapomniał, że jest biednym robotnikiem, żyjącym z dnia na dzień, zależnym od każdego z tych ludzi. Jego złośliwa natura nie pozwoliła mu utrzymać języka za zębami i, nie zważając na słowa, wybuchnął:

- Ufasz Mu, Zebedeuszu, tylko dlatego, że Wszchemogący jest łaskawy dla ciebie i twoich spraw. Czcigodny Pan ma pięć łodzi do dyspozycji i rybaków, którzy pracują jak niewolnicy. Żywisz ich tak, żeby mieli dość sił do pracy i nie pomarli z głodu, podczas gdy Wasza Wielmożność napycha swoje kufry, spiżarnie i brzuch. Podnosisz ręce do nieba i mówisz: "Bóg jest sprawiedliwy. Ufam Mu! Świat jest piękny! Mam nadzieję, że się nigdy nie zmieni!" Dlaczego nie zapytasz zeloty, którego niedawno ukrzyżowano, po co za nas walczył? Albo chłopów, którym całoroczne plony Bóg odebrał w ciągu jednej nocy? Zapytaj ich! Tarzają się teraz w błocie, wybierając ziarno po ziarnie i płacząc. Albo zapytaj mnie. Obchodzę wsie i mam oczy i uszy sze-

roko otwarte na cierpienie Izraela. Jak długo? Jak długo jeszcze? Czy nigdy nie zadawałeś sobie tego pytania, Zebedeuszu?

- Prawdę mówiąc - odparł starzec - nie ufam rudzielcom. Pochodzisz od Kaina, który zamordował swojego brata. Idź do diabła, przyjacielu. Nie chcę rozmawiać z takimi jak ty.

Powiedziawszy to, odwrócił się do niego plecami.

Rudobrody klepnął osła rozwidloną różgą. Zwierzę uniosło łeb, szarpnęło jarzmo i ruszyło naprzód.

- Nic się nie bój, stary pasożycie - mruknął Judasz. - Mesjasz nadejdzie, aby wszystko naprawić.

Kiedy obszedł skały, odwrócił się i krzyknął:

- Jeszcze kiedyś o tym porozmawiamy, Zebedeuszu! Mesjasz nadejdzie pewnego dnia i załatwi się z każdym łajdakiem! Nie tylko ty ufasz Bogu. Do zobaczenia w dzień sądu!

- Idź do diabła, rudzielcu! - odparł Zebedeusz. Opasły brzuch wypełnionej rybami sieci wynurzył się z wody.

Filip stał niezdecydowanie pomiędzy dwoma mężczyznami. To, co powiedział Judasz, było prawdziwe i odważne. Pasterz często miał ochotę rzucić takie słowa w brzydką twarz starca, albo wbić mu je do głowy, ale nigdy nie starczyło mu odwagi. Ten zwyrodniały starzec był potężnym panem, tak na lądzie, jak i na wodzie. Był właścicielem wszystkich łąk, na których Filip wypasał swe kozy i owce - więc jak on mógł przeciwstawić się Zebedeuszowi? Trzeba być albo szaleńcem, albo bohaterem, a Filip nie był żadnym z nich. Po prostu dużo gadał. I nigdy niepotrzebnie nie ryzykował.

Dlatego też nie odezwał się słowem; gdy tamci dwaj kłócili się, stał z boku przestraszony i niezdecydowany. Rybacy wyciągnęli już sieci. Podszedł do nich i pomógł im napełnić kosze. Nawet Zebedeusz pracował stojąc po pas w wodzie i wydając ludziom polecenia.

Kiedy wszyscy podziwiali przepelnione kosze, zachwyceni obfитоścią, rozległ się nagle zza przeciwległej skały ochrypły głos rudobrodego:

- Hej, Zebedeuszu!

Stary Zebedeusz udawał, że nie słyszy.

Raz jeszcze rozległ się głos podobny do grzmotu:

- Hej, Zebedeuszu! Posłuchaj mojej rady i idź po swego syna Jakuba!

- Jakub! - zawołał wzburzony starzec. Jeśli chodzi o jego młodszego syna, krzywda już się stała: stracił go. Nie chciał stracić również i tego. Nie miał więcej synów, a tego jednego potrzebował do pracy. Zawołał więc zdenerwowanym głosem:

- Co chcesz mi powiedzieć o Jakubie, rudzielcu?

- Widziałem go na drodze, jak spoufalał się z tym cieślą, co robi krzyże. Oddawali się przyjacielskiej pogawędce.

- Jakim cieślą, niewierny psie? Mów jaśniej!

- Synem cieśli, który stawia krzyże w Nazarecie i krzyżuje proroków... Za późno! Biedny, stary Zebedeuszu - straciłeś również i Jakuba! Miałeś dwóch synów. Jednego porwał Bóg, a drugiego diabeł!

Stary Zebedeusz otworzył usta z wrażenia. Latająca ryba wyprysnęła z wody, przeleciała nad jego głową i zanurkowała z powrotem w jeziorze.

- Zły znak! Zły znak! - jęczał przerażony starzec. - Czy mój syn opuścił mnie tak po prostu jak ta latająca ryba, która zniknęła w toni?

Odwrócił się do Filipa i powiedział:

- Widziałeś latającą rybę? Nic, co się dzieje na świecie, nie jest bez znaczenia. Powiedz mi co znaczyła ta ryba? Wy, pasterze, wiecie...

- Gdyby to było jagnię, potrafiłbym ci powiedzieć, ojcze Zebedeuszu, nawet gdybym widział tylko jego grzbiet. Ale ryby to nie moja specjalność - odparł zły, ponieważ w przeciwieństwie do Judasza, nie miał odwagi, by mówić jak mężczyzna.

- Wracam do moich zwierząt - dodał i zarzuciwszy swój kij pasterski na ramię ruszył za Judaszem,, skacząc ze skały na skałę.

- Zaczekaj, bracie! - zawołał. - Chcę porozmawiać z tobą.

- Wracaj do swoich owiec, tchórze - powiedział mu rudobrody. - Wracaj do swoich owiec i nie wpychaj nosa w męskie sprawy. I nie nazywaj mnie "bratem". Nie jestem tobie bratem!

- Zaczekaj! Chcę ci coś powiedzieć! Nie złość się. Judasz zatrzymał się i popatrzył na niego z pogardą.

- Dlaczego nic nie mówiłeś? Boisz się go? Boisz się widząc, co się wokół dzieje, kto nadchodzi, dokąd Bóg nas prowadzi? A może jeszcze to do ciebie nie dotarło? Biedaku, czas się dopełnia, Król Żydowski zbliża się w swojej chwale. Biada tchórzom!

- Powiedz mi więcej Judaszu - błagał Filip. - Przeciągnij mnie przez rozżarzone węgle, wbij we mnie swoją rozwidloną różgą trochę szacunku dla samego siebie. Mam dość strachu.

Judasz podszedł do niego i chwycił go za ramię.

- Czy to płynie z głębi twego serca, Filipie? Czy też twoje słowa są puste?

- Mówię ci, mam dość. Czuję dziś obrzydzenie do siebie. Idź przodem, Judaszu, i pokaż mi drogę. Jestem gotów.

Rudobrody, rozejrzał się wkoło i zniżył głos:

- Filipie, potrafiłbyś zabić?

- Człowieka?

- Przecież nie owce!

- Nie zabiłem jeszcze człowieka, ale chyba bym potrafił... Tak, bez wahania. W zeszłym miesiącu sam powaliłem i zabiłem byka.

- Z człowiekiem pójdzie ci łatwiej. Przyłącz się do nas.

Filip wzdygnął się. Zrozumiał.

- Czy jesteś jednym z nich? Jednym z zelotów? - zapytał. Na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Słyszał dużo o tym straszliwym bractwie "Świętych Zabójców", jak ich zwano. Terroryzowali wszystkich od góry Hermon do Morza Martwego, a nawet dalej na południe, aż do Idumei. Uzbrojeni w żelazne drągi, liny i noże, chodzili po wsiach i miastach głosząc: "Nie płaćcie daniny niewiernym. Mamy tylko jednego Pana, Adonai. Zabijajcie każdego Żyda, który złamie święte Prawo, który śmieje się, rozmawia lub pracuje razem z wrogami naszego Boga, Rzymianami. Atakujcie, zabijajcie, oczyśćcie drogi, aby Mesjasz mógł przejść! Oczyśćcie świat i przygotujcie ulice - On nadchodzi!"

Nawiedzali wioski i miasta, aby zabijać w biały dzień, nie paktując z nikim, ani ze zdrazieckimi saduceuszami, ani z żadnymi krwi Rzymianami. Właściciele ziemscy, kapłani i święci dostojnicy drżeli przed nimi i rzucali na nich klątwy; to właśnie oni wzniecali powstania, ściągając do Izraela rzymskie wojsko i powodując powtarzające się regularnie masakry, w których przelano morze żydowskiej krwi.

- Czy jesteś jednym z nich? Jednym z zelotów? - powtarzał ściszym głosem Filip.

- Boisz się, mój odważny przyjacielu? - zapytał rudobrody, śmiejąc się z pogardą. - Nie musisz. Nie jesteśmy mordercami. Walczymy o wolność, Filipie, aby wyzwolić naszego Boga, aby uwolnić nasze dusze. Powstań. Nadeszła chwila, kiedy i ty możesz pokazać światu, że jesteś mężczyzną. Przyłącz się do nas.

Filip wpatrywał się w ziemię. Pożałował już, że tak otwarcie rozmawiał z Judaszem. "Odważne słowa nic nie kosztują - pomyślał - Przyjemnie jest siedzieć z

przyjacielem, jeść, pić, dyskutować o poważnych sprawach, mówić: «Zrobię to...» albo «Pokażę im...». Ale pilnuj się, Filipie. Ani kroku dalej, albo znajdziesz się w tarapatach".

Judasz pochylił się nad nim i przemówił zmienionym głosem. Na ramieniu Filipa położył teraz przyjaznym gestem swą ciężką dłoń.

- Czym jest życie człowieka? Co jest warte? Nic, jeśli nie jest wolne. Mówię ci, walczyliśmy o wolność. Przyłącz się do nas!

Filip milczał. Gdyby tylko mógł uciec! Lecz Judasz trzymał go mocno za ramię.

- Przyłącz się do nas! Bądź mężczyzną i zdecyduj. Masz nóż?

- Mam.

- Trzymaj go zawsze przy sobie, pod koszulą. Możesz go w każdej chwili potrzebować. Nadeszły ciężkie dni, bracie. Czy nie słyszysz sprężystego kroku, który rozbrzmiewa coraz bliżej? To Mesjasz. Nie może znaleźć zamkniętej drogi. Nóż jest w tym bardziej pomocny niż chleb. Popatrz na mnie!

Rozchylił koszulę. Na tle ciemnej skóry piersi Judasza błyszczało nagie, podwójne ostrze krótkiego sztyletu, jaki zwykle noszą Beduini.

- Gdyby nie ten postrzelony syn Zebedeusza, Jakub, zatopiłbym go dzisiaj w sercu zdrajcy. Wczoraj, nim opuściłem Nazaret, Bractwo skazało go na śmierć.

-Kogo?

- ... a ja wyciągnąłem los, który wyznaczył mnie na zabójcę.

- Kogo? - powtórnie zapytał Filip. Był przerażony.

- To moja sprawa - odpowiedział szorstko rudobrody. - Nie wtykaj nosa w nasze sprawy.

- Nie ufasz mi?

Judasz rozejrzał się, a następnie pochylił i chwycił Filipa za rękę.

- Słuchaj uważnie, co ci teraz powiem, Filipie. I nikomu ani pary z ust - albo już po tobie! Udaję się teraz na pustynię, do klasztoru. Mnisi mnie potrzebują - mam dla nich wykonać parę narzędzi. Za kilka dni - trzy lub cztery - znów będę przechodził obok twego obozowiska. Przemyśl dobrze to wszystko, co dziś usłyszałeś. Nic nie rozpowiadaj. Nie zdradź tajemnicy nikomu. Sam musisz podjąć decyzję. Jeśli jesteś mężczyzną i zdecydujesz właściwie, powiem ci na kogo planujemy zamach.

- Kto to jest? Czy go znam?

- Nie śpiesz się tak. Nie jesteś jeszcze jednym z nas - powiedział Judasz i wyciągnął swą ogromną dłoń. - Żegnaj, Filipie. Do dzisiaj byłeś niczym. Nikogo nie

obchodziło, czy żyjesz, czy nie. Ja też taki byłem - nikt - do dnia, kiedy stałem się członkiem Bractwa. Teraz jestem kimś innym - stałem się mężczyzną. Nie ma już rudobrodego Judasza, kowala, który harował jak niewolnik po to tylko, żeby zadbać o te stopy, ten brzuch i ten paskudny pysk. Teraz służę wielkim rzeczom - słyszysz? - wielkim. A ktokolwiek służy wielkim celom, nawet jeśli jest najmniejszym z maluczkich, staje się wielki. Rozumiesz? To wszystko, co mam ci do powiedzenia. Żegnaj!

Pognał osła i ruszył na pustynię.

Filip został sam. Opierając brodę na lasce, patrzył na Judasza, aż ten przeszedł na drugą stronę skał i zniknął.

"No, no. Dobrze mówi ten rudobrody" - pomyślał - "jak święty. Może trochę się przechwala, ale kogo to obchodzi! Wszystko jest w porządku tak długo, jak pozostaje to wśród słów. Ale jeśli on zacznie działać... Uważaj, Filipie. Pomyśl o swoich małych owieczkach. Ta sprawa wymaga zastanowienia. Najlepiej pozostawić rzeczy samym sobie -zaczekam i zobaczę, co się stanie".

Zarzucił laskę na ramię i, słysząc dzwonki swoich kóz i owiec, pośpieszył pogwizdując w kierunku stada.

Tymczasem przybrani synowie Zebedeusza rozpalili ogień i zaczęli podgrzewać wodę na zupę rybną. Gdy tylko zaczęła wrzeć, wrzucili do niej ryby, małże, jeżówce, oraz pokryty zielonymi glonami kamień, żeby nadać stawie zapach morza. Zgłodniali rybacy przysiedli wokół ognia i czekali niecierpliwie, rozmawiając cicho między sobą. Najstarszy z nich pochylił się do swego sąsiada i rzekł:

- To było wspaniałe, kiedy kowal wygarnął mu wszystko. Cierpliwości. Nadejdzie dzień, kiedy biedni staną się bogaczami, a bogacze stoczą się na dno. Oto, co znaczy sprawiedliwość.

- Uważasz, że tak się stanie? - zapytał drugi rybak, który od dziecka często zaznawał głodu. - Uważasz, że to kiedykolwiek stanie się na ziemi?

- Przecież jest Bóg, prawda? - odparł starzec. -I jest sprawiedliwy, czyż nie tak? Musi taki być, jeśli jest Bogiem. Więc Bóg jest sprawiedliwy! A zatem to się stanie! Wszystko, czego nam potrzeba to cierpliwość, synu, cierpliwość.

- Hej, co tam tak mamroczenie? - spytał gniewnie Zebedeusz, który usłyszał fragment ich rozmowy i stał się podejrzliwy. - Wystarczy, jak będziecie myśleć o swojej pracy, a nie o Bogu. On wie lepiej niż wy, jaki powinien być. Mój Boże, co oni jeszcze wymyślą?

Wszyscy umilkli natychmiast. Stary rybak wstał, chwycił drewnianą łyżkę i zamieszał zupę.

## ROZDZIAŁ IX

W tym samym czasie, kiedy przybrani synowie zarzucili na ramię sieci, a na jezioro opadł poranek tak czysty, jakby wyszedł wprost spod dłoni Stwórcy, syn Marii wędrował w towarzystwie Jakuba, starszego syna Zebedeusza. Zdążyli już zostawić Magdalę za sobą. Od czasu do czasu przystawali na chwilę, by pocieszyć kobiety rozpaczające nad stratą pszenicy, po czym ruszali w dalszą drogę. Jakuba również zaskoczyła burza. Spędził noc w Magdali, w domu przyjaciela; wstał przed świtem i udał się w drogę.

Brnął przez błoto w błękitnej poświacie, pragnąc jak najszybciej dotrzeć do jeziora Genezaret. Gorycz tego, czego doświadczył w Nazarecie, zaczęła już mijać. Ukrzyżowany zelota stał się odległym wspomnieniem i myśli Jakuba na powrót zajęły łodzie, rybacy i inne codzienne troski. Przeskakiwał wymyte przez deszcz wyboje. Drzewa ociekały wodą, na wpół uśmiechnięte, na wpół płaczące; niebo ponad nim śmiało się świergotem rozbudzonych ptaków - zanosilo się na piękny dzień. Dopiero gdy pojaśniało, zobaczył, jakie spustoszenia zrobiła ulewa. Zebrane już pszenica i jęczmień spływały teraz wraz z wodą na drogę; pierwsi rolnicy wraz z żonami wylegli na pola i rozpoczęli żałobną pieśń. Nagle dojrzał syna Marii, pochylonego nad dwiema starymi kobietami na spustoszonej klepisku.

Ścisnął mocno swój kij i zaklął. Ponownie stanął mu przed oczyma Nazaret, razem z krzyżem i wiszącym na nim zelotą - a tu - spójrzcie tylko! - ten oto oprawca oplakuje razem z kobietami zniszczoną pszenicę! Dusza Jakuba była surowa i niepokorna. Krzykliwy, drapieżny, bezlitosny - przejął wszystkie cechy charakteru po ojcu. W niczym nie przypominał swojej matki, Salome, zaiste świętej kobiety, ani Jana, swego łagodnego i miłego brata... Ściskając kij, gniewnie zbliżył się do klepiska.

Syn Marii, ze łzami ciekącymi po policzkach, właśnie podnosił się, by ruszyć w dalszą drogę. Dwie stare kobiety trzymały go za ręce, całując je i wzbraniając mu odejść. Któż mógłby dorównać temu nieznanemu w wyszukiwaniu kojących słów?

- Nie płaczcie, nie płaczcie, wróć - powtarzał im, stopniowo wyzwalając ręce z ich sędziwych dłoni.

Jakub stanął w miejscu z otwartymi ze zdumienia ustami. Oczy cieśli błyszczały, pełne łez. Spoglądały na przemian w zaróżowione, radosne niebiosa i na



pochylonych nieszczęściem ludzi, którzy tutaj, na ziemi, tarzali się w błocie i lamentowali.

- Czy to naprawdę on? - wyszeptał Jakub zakłopotany. - Jego twarz promienieje jak twarz proroka Eliasza!

Syn Marii dojrzał Jakuba, rozpoznał go i przyłożył dłoń do serca w geście powitania.

- Dokąd zmierzasz, synu Marii? - zapytał syn Zebedeusza, siląc się na słodki ton. Lecz nim mógł otrzymać odpowiedź, dodał: - Chodźmy razem. Droga jest długa i dobrze mieć kompana.

“Droga jest długa i dobrze mieć kompana” - powtórzył bezgłośnie syn Marii.

- Chodźmy - odparł i razem ruszyli brukowaną drogą do Kafarnaum.

Przez dłuższy czas szli w milczeniu. Lamenty kobiet rozbrzmiewały od strony każdego mijanego po drodze klepiska. Starzy mężczyźni, wsparci na kijach, patrzeli jak pszenica odpływa z wodą. Rolnicy stali bez ruchu, z pociemniałymi twarzami, pośrodku swoich огоłoconych i zdewastowanych pól. Niektórzy nic nie mówili; inni klęli.

- Ach, gdybyż istniał choć jeden człowiek, który byłby w stanie zagłodzić się na śmierć, aby ci ludzie nie poumierali z głodu! - westchnął syn Marii.

Jakub zerknął na niego kątem oka.

- Gdybyś mógł stać się pszenicą - zadrwił - żeby ludzie mogli cię jeść i w ten sposób ocaleć, zrobiłbyś to?

- Któż by tego nie zrobił? - odpowiedział pytaniem Jezus.

Jastrzębie oczy Jakuba zamigotały, a grube, wystające, usta poruszyły się.

- Ja - rzekł krótko.

Syn Marii milczał. Jego towarzysz poczuł się urażony.

- Dlaczego miałbym ginąć? - warknął. - To Bóg zesłał powódź. Cóż złego ja uczyniłem? - Spojrzał dziko w niebo. - Dlaczego Bóg to zrobił? Czym ludzie go urazili? Nie pojmuję - a ty, synu Marii?

- Nie pytaj, bracie: to grzech. Jeszcze parę dni temu ja również pytałem, lecz teraz rozumiem. To właśnie ten wąż zwiódł pierwsze istoty i spowodował, że Bóg wypędził nas z Raju.

- Jaki wąż?

- Zadawanie pytań.

- Nie pojmuję - powiedział syn Zebedeusza i przyspieszył kroku.

Przestało mu zależeć na towarzystwie cieśli; jego słowa ciążyły mu w sercu, a kiedy nic nie mówił, było to jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Dotarli do małego wzniesienia na równinie, skąd w oddali widać było lśniąca wody Genezaret. Łodzie wypłynęły już na jezioro i połów się rozpoczął. Słońce wznosiło się nad pustynią, wspaniałe w swej czerwieni. Na brzegu jeziora bogate miasto targowe błyszczało w całej swej bieli.

Jakub zobaczył w dali swoje łodzie i jego myśli od razu wypełniły ryby. Zwrócił się do niewygodnego towarzysza.

- Dokąd idziesz, synu Marii? - zapytał. - Spójrz, tam jest Kafarnaum.

Syn Marii skinął głową i nie odpowiedział. Wstydził się powiedzieć, że idzie do świątyni, by zostać świętym.

Jakub potrząsnął głową i zmierzył go wzrokiem. Nagle nawiedziła go złośliwa myśl.

- Wolisz nie mówić, czy tak? - warknął. - Robisz z tego tajemnicę, prawda?! Złapał swego towarzysza za brodę i uniósł jego głowę. - Spójrz mi w oczy. Powiedz: kto cię przysłał?

Syn Marii westchnął.

- Nie wiem, nie wiem - powiedział półgłosem. - Może Bóg, a może... - Zawahał się. Był tak przerażony, że słowo utknęło mu w gardle. A jeżeli rzeczywiście przysłał go diabeł?

Gorzki, pełen pogardy śmiech Jakuba przeciął te rozmyślenia. Złapał go mocno za ramię i potrząsnął gwałtownie.

- Centurion - syknął cicho - twój przyjaciel centurion - może to on cię przysłał?

Tak, na pewno tak było: centurion przysłał go jako szpiega. Nowi zeloci pojawili się przecież w górach i na pustyni. Schodzili do wiosek, potajemnie zbierali ludzi i mówili im o zemście i wolności. Żądny krwi centurion Nazaretu nasłał więc przekupionego żydowskiego szpiega na każdą wioskę. Ten człowiek, ten sprzedajny cieśla był z pewnością jednym z nich.

Ściągając brwi, Jakub odepchnął Jezusa od siebie.

- Posłuchaj mnie, synu cieśli - powiedział, zniżając głos - tu nasze drogi się rozdzielają. Ty możesz nie wiedzieć dokąd zmierzasz, ale ja wiem. Idź teraz, ale nie po raz ostatni widzisz mnie lub słyszysz o mnie. Gdziekolwiek pójdziesz, nieszczęśniku, podążę za tobą - i biada ci! To wszystko, co mam do powiedzenia; lecz zapamiętaj moje słowa, drogi, którą obrałeś, nie opuścisz żywy!

Wygłosiwszy to, pognął w dół po zboczu, nie podając ręki na pożegnanie.

Przybrani synowie Zebedeusza zdjęli miedziany kocioł z ognia i usiedli wokół niego. Starzec pierwszy zanurzył w nim drewnianą łyżkę. Wybrał największą rybę i zaczął jeść. Lecz najstarszy z rybaków powstrzymał go ruchem dłoni.

- Zapomnieliśmy odmówić modlitwę - przypomniał.

Stary Zebedeusz nie przestając żuć jadła, podniósł drewnianą łyżkę i zaczął dziękować Bogu Izraela za to, że zsyła ryby, ziarno, wino i oliwę, które żywią pokolenia Hebrajczyków i pozwolą im przetrwać do nadejścia dnia Pańskiego - kiedy to ich wrogowie zostaną rozproszeni, a wszystkie narody padną do stóp Izraela i będą go wielbić, zaś wszyscy bogowie padną do stóp Adonai i jego będą wielbić. - To dlatego jemy, Panie, to dlatego żenimy się i mamy dzieci, to dlatego żyjemy - wszystko dla Ciebie!

Wygłosiwszy to, połknął przezutą rybę.

Mistrz i jego ludzie jedli i rozkoszowali się owocami swojej pracy z oczami utkwionymi w jeziorze - matce, która ich żywiła - gdy nagle pojawił się przed nimi Jakub, dyszący i oblepiony błotem. Rybacy ścisnęli się, żeby zrobić mu miejsce, a stary Zebedeusz, który był w wesołym nastroju, krzyknął:

- Witaj, mój pierworodny! Dopisało ci szczęście, usiądź i jedz. Jakie wieści?

Żadnej odpowiedzi. Syn ukląkł obok ojca, ale nie wyciągnął ręki w stronę wonnego, parującego kotła. Stary Zebedeusz nieśmiało obrócił głowę i spojrzał na niego. Znał swego drażliwego, małomównego syna na wylot i bał się go.

- Nie jesteś głodny? - zapytał. - Jak ty wyglądasz? Z kim tym razem walczyłeś?

- Z Bogiem, diabłami i ludźmi - odparł gniewnie Jakub. - Nie jestem głodny!

"Aha, przyszedł zepsuć nam posiłek" - mruknął do siebie Zebedeusz, próbując zachować dobry nastrój i zmienić temat. Poklepał syna z miłością po kolanie.

- Hej, łobuzie - powiedział, mrugając do niego - z kim to rozmawiałeś po drodze?

Jakub wzdrygnął się.

- Wiadomość od szpiegów, tak? Kto ci powiedział? ... Z nikim nie rozmawiałem!

Wstał, wszedł po kolana do jeziora i umył się. Potem wrócił do ogniska, lecz widząc wokół same szczęśliwe twarze jedzących i śmiejących się rybaków, wybuchnął:

- Potraficie tylko żreć i pić, a w Nazarecie inni cierpią za was na krzyżu!

Nie mogąc dłużej znieść ich widoku, ruszył w stronę wsi, mrucząc coś pod nosem.

Stary Zebedeusz patrzył za nim.

- Moi synowie są jak ciernie w moim ciele - powiedział, potrząsając wielką głową. - Jeden zbyt łagodny i pobożny, drugi zbyt uparty: gdziekolwiek się znajdzie, zaraz zaczyna kłótnię. Ciernie ... Żaden z nich nie wyrósł na prawdziwego mężczyznę, który umie być łagodny i zarazem twardy; który czasem jest uprzejmy, a czasem kąśliwy jak pies; pół diabła, pół anioła - słowem - mężczyzna!

Z westchnieniem chwycił kolejną rybę, żeby odpędzić gorycz.

- Dzięki Bogu mamy ryby - powiedział - i jeziora, które ich dostarczają, i Boga, który dostarcza jezior.

- Jeżeli ty mówisz w ten sposób, to co dopiero ma powiedzieć stary Jonasz? - rzekł jeden ze starszych rybaków. - Biedaczysko siedzi co wieczór na skale, spogląda w stronę Jeruzalem i płacze za swym synem Andrzejem. On jest jednym z tych jasnowidzów. Mówią, że odkrył proroka i chodzi z nim po okolicy, żywiąc się tylko szarańczę i miodem i łapiąc ludzi; żeby zamoczyć ich w Jordanie niby po to, by obmyć ich z grzechów.

- A mówi się nam, że powinniśmy mieć synów, bo będzie z nich pożytek! - powiedział Zebedeusz. - Przynieś mi tykwę, człowieku. Jest w niej jeszcze trochę wina. Muszę poprawić sobie nastrój!

Usłyszeli ciężkie, powolne kroki i chrzęst kamieni. Jakaś ociężała bestia zdawała się zbliżać w gniewie. Stary Zebedeusz obrócił się.

- Witaj Jonaszu, dobry człowieku! - wykrzyknął. Wytarł mokrą od wina brodę, wstał z szacunkiem i zaofiarował mu swoje miejsce. - Właśnie dochodziliśmy do porozumienia z moimi synami i z rybami. Chodź, posil się z nami i powiedz co nowego u świętego Andrzeja, twego syna.

Stary rybak stanął przed nimi. Był niski i krępy, bosi i spalony słońcem; miał mętne, zmęczone oczy, ogromną głowę porośniętą kręconymi, siwymi włosami i skórę pokrytą czymś w rodzaju rybiej łuski. Nachylił się i wpatrywał we wszystkich po kolei, jakby kogoś szukając.

- Kogo szukasz, ojcie Jonaszu? - zapytał Zebedeusz. - Może jesteś zbyt zmęczony, by mówić?

Popatrzył na jego stopy, brodę, splątane, pełne ości i wodorostów włosy, na jego grube, popękane usta, które otwierały się i zamykały jak u ryby, nie wydając

dźwięku. Zebedeuszowi zachciało się śmiać, lecz nagle opanował go strach. Niemądre podejrzenie przebiegło mu przez głowę. Przerażony, wyciągnął przed siebie obie ręce, jakby chciał zagrozić Jonaszowi drogę.

- Mów! Czyżbyś był prorokiem Jonaszem? - wykrzyknął, skacząc na równe nogi. - Od tak dawna z nami, a ukrywałeś się przez cały ten czas? Zaklinam cię na imię Adonai: przemów! Pewnego razu słyszałem świętego opata z klasztoru, jak mówił o rekinie, który połknął proroka Jonasza i jak potem ryba zwymiotowała, a Jonasz wyskoczył z jej brzucha jak nowo narodzony. Jak mi Bóg miły, wyglądał wtedy tak samo jak ty: wodorosty wplątane we włosy na głowie i piersi, broda pełna maleńkich krabów. Bez obrazy, Jonaszu, ale idę o zakład, że jeżeli pomacam pod twoją brodą, znajdę tam kraby.

Rybacy wybuchnęli śmiechem, ale Zebedeusz nie przestawał wpatrywać się w starego przyjaciela z przerażeniem w oczach.

- Przemów, boży człowieku - powiedział do niego. - Czy jesteś prorokiem Jonaszem?

Stary Jonasz potrząsnął głową. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby połknęła go jakaś ryba. Chociaż kto wie? Po tylu latach zmagania z rybami, kto by wszystko spamiętał?

- To on, to on! - wołał stary Zebedeusz, strzelając oczami na wszystkie strony, jakby chciał rzucić się do ucieczki. Wiedział, że prorocy to dziwaczni ludzie, którym nie można ufać. Znikają w powietrzu, w morzu, w ogniu - a potem, kiedy człowiek się ich najmniej spodziewa - trach! - zjawiają się przed nim! Czyż Eliasz nie wznosił się w niebo dosiadając ognia? A mimo to wciąż żył i rządził; nie można wspiąć się na byle górę, żeby nie pojawił się tam od razu! To samo z Enochem: nieśmiertelny. A teraz oto prorok Jonasz. - "Udaje niewiniątko - powiedział do siebie Zebedeusz - udaje, że jest rybakiem, ojcem Piotra i Andrzeja. Lepiej traktować go uprzejmie: ci prorocy to dziwna, uparta banda i jeśli człowiek nie będzie się strzegł, może sobie napisać biedy".

Jego głos stał się słodki.

- Ukochany sąsiedzie, ojciec Jonaszu - rozpoczął - szukasz kogoś - czyżby Jakuba? Powrócił z Nazaretu, lecz był zmęczony i udał się do wsi. Jeżeli chcesz się czegoś dowiedzieć o swym synu Piotrze, to mówił, że ma się dobrze i że nie powinieneś się martwić: przybędzie wkrótce, przesyła ci najlepsze życzenia. Słyszysz mnie, Jonaszu? Daj mi jakiś znak.

Przemawiał do niego słodko i gładził go po twardych jak podeszwa ramionach. Kto wie, wszystko jest możliwe. Ten głupkowaty rybak może rzeczywiście być prorokiem Jonaszem. Lepiej mieć się na baczności!

Stary Jonasz pochylił się, wyłowił z kotła małego skorpiona morskiego, wpakował do ust i zaczął przeżuwać w całości, głośno chrupiąc.

- Idę - mruknął i odwrócił się od nich plecami. Znów zachrząściły kamienie. Mewa prześliznęła się nad jego głową, zatrzepotała skrzydłami i zawisła na moment w powietrzu, jakby dostrzegła kraba pod włosami rybaka. Wrzasnęła ochryple, najwyraźniej ze strachu, i odleciała.

- Uważajcie, chłopaki - powiedział stary Zebedeusz. - Założę się o własne prochy, że to prorok Jonasz. Lepiej niech dwóch z was pomoże mu pod nieobecność Piotra. Inaczej kto wie, co się z nami stanie?

Dwóch olbrzymów wstało i zwróciło się do niego na poły żartobliwie, na poły ze strachem.

- To będzie twoja wina, Zebedeuszu. Prorocy to dzikie bestie. Znienacka otwierają usta i pożerają człowieka do ostatniej kosteczki! Idziemy, żegnajcie!

Stary Zebedeusz przeciągnął się z zadowoleniem - nieźle dał sobie radę z prorokiem. Teraz zwrócił się do pozostałych przybranych synów. - Prędkiej, chłopcy, ruszajcie się, załadujcie ryby do koszy i idźcie do wszystkich wsi. Ale uważajcie, chłopcy są chytry; to nie rybacy - tylko myśmy lud Boży! Dawajcie jak najmniej ryb, a bierzcie jak najwięcej pszenicy (nawet zeszłorocznej), oleju, wina, kurczaków i królików. Rozumiecie? Proste - jak dwa i dwa jest cztery.

Przybrani synowie zerwali się i zaczęli napełniać kosze.

W dali, za skałami, pojawił się mężczyzna pędzący na wielbłądzie. Stary Zebedeusz przysłonił oczy dłonią.

- Hej, ludzie - krzyknął - spójrzcie tam - nie sądzicie, że to Jan, mój syn?

Jeździec wjechał na drobny piasek, zbliżając się w ich stronę.

- To on, to on! - wykrzyknęli rybacy. - Niech będzie pozdrowiony twój syn!

Jeździec mijał ich, pozdrawiając machnięciem dłoni.

- Janie - zawołał stary ojciec - skąd ten pośpiech? Dokąd zmierzasz? Zatrzymaj się na chwilę i pozwól się sobie przyjrzeć!

- Opat jest umierający; nie mam czasu.

- Co mu się stało?

- Nie chce jeść; pragnie umrzeć.

- Dlaczego? Dlaczego?

Lecz słowa jeźdźca porwał wiatr.

Stary Zebedeusz kaszlnął, pomyślał przez chwilę, po czym potrząsnął głową.

- Boże chroń nas przed świętością - skwitował.

Syn Marii przyglądał się, jak Jakub schodzi gniewnie wielkimi krokami w stronę Kafarnaum; po chwili opadł na ziemię z sercem przepelnionym żalem. Dlaczego on, który tak bardzo pragnął kochać i być kochanym, wzbudzał w ludzkich sercach tyle nienawiści? To była jego własna wina; nie Boga, nie ludzi, lecz jego własna. Dlaczego zachowywał się tak tchórzliwie, dlaczego wybierał jakąś drogę, a potem brakło mu odwagi, by iść nią do końca? Był kaleką, żalonym, tchórzem. Dlaczego nie śmiał pojąć Magdaleny za żonę i ocalić jej przed hańbą i śmiercią, a kiedy Bóg złapał go w szpony i nakazał mu wstać, dlaczego kurczowo trzymał się ziemi, nie chcąc się podnieść? Dlaczego teraz, odjęty strachem, szedł by ukryć się na pustyni? Czyżby sądził, że Bóg nie znajdzie go tam równie łatwo jak i gdziekolwiek indziej?

Słońce stało tuż nad jego głową. Lamenty wieśniaków ustały. Ci udręczeni ludzie przywykli już do klęsk: uświadomili sobie, że ich płacz nigdy nie zdał się na nic i ucichli. Od tysięcy lat cierpieli niesprawiedliwość i głód, ciskały nimi siły zarówno widzialne, jak i niewidzialne. Mimo to kuśtykali jakoś przez życie, wiążąc koniec z końcem i to nauczyło ich cierpliwości.

Zielona jaszczurka wyłoniła się spod pękatego krzaka. Chciała ogrzać się na słońcu. Kiedy ujrzała nad sobą przerażającą ludzką istotę, jej przepelnione strachem serce zaczęło walić tuż poniżej karku; po chwili zwierzę opanowało się, przylgnęło całą długością ciała do ciepłej skały, łypnęło okrągłym, czarnym jak węgiel okiem i spojrzało z ufnością na syna Marii, jakby witając go lub mówiąc - "widzę, że jesteś sam, więc dotrzymam ci towarzystwa". Uradowany, syn Marii wstrzymał oddech, by nie przestraszyć gościa. Patrząc na zwierzątko, czuł łomotanie własnego serca. Dwa czarne, czerwono nakrapiane motyle sfrunęły pomiędzy człowieka i zwierzę i zaczęły latać w kółko od jednego do drugiego, nie chcąc ich opuścić. Tańczyły radośnie, dokazując w słońcu, aż w końcu opadły na zakrwawioną chustę mężczyzny, jak gdyby chciały wyssać z niej krew. Czując ich pieszczoty na czubku głowy, przypomniał sobie szpony Boga i wydało mu się, że motyle skrzydła niosą mu identyczne przesłanie. Ach, gdyby tylko Bóg zawsze mógł zstępować do człowieka nie jako piorun ani drapieżny sęp, lecz w postaci motyla!

Ledwo połączył w myślach motyle i Boga, poczuł jak coś łaskocze go w podeszwy stóp. Spojrzał w dół i ujrzał rój tłustych, żółto-czarnych mrówek kroczących spiesznie pod jego stopą. Krzątając się w grupach po dwie lub trzy, dźwigały w swych pojemnych szczękach pszenicę, po jednym ziarnku. Ukradły je z równiny, prosto sprzed nosa ludziom, i niosły teraz do swego mrowiska, przez cały czas wielbiąc Wielkiego Boga Mrówek, który, wiecznie troszcząc się o swój mrówczy Lud Wybrany, zesłał powódź na równinę w najodpowiedniejszym momencie, akurat wtedy, gdy pszenica była zgromadzona na klepiskach.

Syn Marii westchnął. Mrówki to też boże stworzenia, pomyślał, tak jak ludzie, jaszczurki i cykady, które grają w gaju oliwnym, i szakale, które wyją nocą, i powodzie, i głód...

Usłyszał za sobą sapanie. Ogarnęło go przerażenie. Od dawna już nie pamiętał o swojej towarzyszce, ale ona nie zapomniała o nim. Siedziała teraz za nim i oddychała ciężko.

- Kłątwa to też boże stworzenie - szepnął.

Czuł się bez reszty ogarnięty oddechem Boga. Owiewał go, czasem ciepły i łaskawy, czasem dziki i bezlitosny. Jaszczurki, motyle, mrówki, Kłątwa - wszystko było Bogiem.

Odwrócił się w stronę drogi, skąd dobiegały głosy ludzi i dzwonki. Długa karawana wielbłądów, obładowanych drogocennymi towarami, mijala go, prowadzona przez skromnego osiołka. Z pewnością wyruszyła z Niniwy lub Babilonu, z bogatej rzecznej doliny patriarchy Abrahama, i przeszła przez pustynię z ładunkiem jedwabiu, korzeni, kości słoniowej, a może też niewolników i niewolnic ładowanych potem na kolorowe statki Wielkiego Morza.

Sznur karawany ciągnął się bez końca. "Cóż za bogactwa posiadają ci ludzie - pomyślał syn Marii - cóż za cuda!" Na samym końcu pojawili się bogaci, czarnobrodzi kupcy, ze złotymi kólkami w uszach, w turbanach i w luźnych białych burnusach. Przejeżdżali przed nim, kiwając się i kołysząc w takt chwiejnego truchtu wielbłądów..

Syn Marii zadrżał. Nagle przyszło mu do głowy, że zatrzymają się w Magdali. "Drzwi Magdaleny są otwarte dzień i noc, - powiedział do siebie - Muszę cię ocalić, Magdaleno - och, gdybym tylko mógł to zrobić! - ciebie, Magdaleno, nie plemie Izraela: jego nie mogę ocalić. Nie jestem prorokiem. Otwieram usta, ale nie mam pojęcia, co powiedzieć. Bóg nie namaścił moich ust rozżarzonymi węglami, nie rozpałił piorunem moich wnętrzności, abym pognał jak oszalały na ulice i zaczął



krzyczeć... Chcę, aby słowa były jego, nie moje: nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Ja po prostu otworzę usta, a on będzie mówił. Nie, nie jestem prorokiem; jestem prostym, zwyczajnym człowiekiem, który boi się wszystkiego: nie potrafię wyciągnąć cię z łoża hańby, Magdaleno, więc udaję się na pustynię, do klasztoru, by modlić się za ciebie. Modlitwa jest wszechmocna. Mówią, że w czasie wojen synowie Izraela zwyciężali, dopóki Mojżesz trzymał ręce wzniesione do nieba, a gdy tylko się zmęczył i opuścił je, zaczęli przegrywać... Magdaleno, będę trzymał ręce wzniesione ku niebu za ciebie dzień i noc

Spojrzał w górę, by sprawdzić, kiedy zajdzie słońce. Chciał iść dalej w ciemności, żeby ominąć Kafarnaum nie zauważony przez nikogo, a potem obejść jezioro i wyjść na pustynię. Nie mógł się już doczekać, kiedy dotrze na miejsce.

- Och, gdybym tylko potrafił chodzić po wodzie i mógł przejść prosto przez jezioro! – mruknął do siebie, wzdychając po raz kolejny.

Jaszczurka ciągle wygrzewała się na słońcu, przywarta do ciepłej skały. Motyle wzbijały się wysoko i zniknęły w jasności. Mrówki nadal przenosiły zbiory. Ładowały je do swoich spichlerzy, wracały spieszenie na pola i ponownie nadchodziły z nowym ładunkiem. Słońce zachodziło powoli. Przechodnie zdarzali się coraz rzadziej; cienie wydłużyły się; wieczór zapadał nad drzewami i nad ziemią, okrywając je pozłotą. Barwy na jeziorze zmieniały się nieustannie: woda czerwieniała, to znów stawała się jasnioletowa, w końcu ściemniała. Na zachodniej stronie nieba zawisła wielka gwiazda.

“Zaraz przyjdzie noc, - pomyślał syn Marii - czarna córka Boga przybędzie ze swą karawaną gwiazd”; gwiazdy wypełniły jego umysł, zanim jeszcze rozsypały się po niebie.

Już miał wstać i ruszyć w dalszą drogę, kiedy usłyszał za sobą dźwięk rogu. Ktoś wołał go po imieniu. Odwrócił się i w bladym świetle wieczoru ujrzał obładowanego ogromnym tobołem człowieka, który dawał mu znaki, wdrapując się na zbocze. “Kto to może być?” zapytał sam siebie, usiłując rozpoznać pod tobołem rysy twarzy podróżnego. Gdzieś już przedtem widział tę bladą twarz i krótką, rzadką brodę, i te cienkie, krzywe łydki. Nagle rozpoznał go.

- Czy to ty, Tomaszu? Znów chodzisz po wsiach?

Chytry, zezowaty handlarz stał przed nim, zdyszany. Postawił toból na ziemi i otarł pot z poznaczonego cętkami czoła i z małych, świńskich oczek, których dwuznaczny taniec nie pozwalał odgadnąć czy była w nich radość, czy kpina.

Syn Marii bardzo lubił tego człowieka. Często widywał go koło swojego warsztatu, gdy wracał z okolicznych wiosek z rogiem wepchniętym za pas. Zwykle, rzucał swój toból na ławkę i zaczynał opowiadać o wszystkim co widział. Szydlił, śmiał się i dogadywał; nie wierzył ani w Boga Izraela, ani w żadnego innego, boga. Oni wszyscy drwią sobie z nas każąc, byśmy zarzynali dzieci, palili dla nich wonne kadzidła i darli sobie gardła wysławiając ich piękno... Syn Marii słuchał go, czując ulgę w swoim ściśniętym sercu; podziwiał ten szelmowski umysł, który mimo całej biedy, mimo niewoli i nieszczęść jego ludu, znajdował dość siły, by pokonać niewolę i biedę śmiechem i kpina.

Tomasz też lubił syna Marii. Patrzył na niego jak na naiwną owieczkę, słabowitą i beczącą, szukającą Boga, by ukryć się w jego cieniu.

- Jesteś owieczką, synu Marii - powtarzał mu ciągle, wybuchając śmiechem - ale masz w sobie wilka i ten wilk cię pożre! - Potem wyciągał spod koszuli garść daktyli, owoc granatu lub jabłko, które ukradł z sadu, i częstował go.

- Dobrze, że cię widzę - wymamrotał, kiedy tylko złapał oddech. - Bóg cię kocha. Dokąd idziesz?

- Do klasztoru - odparł Jezus, wskazując na jezioro.

- A zatem po dwakroć dobrze, że cię widzę. Zawróć!

- Dlaczego? Bóg...

Lecz Tomasz nie wytrzymał.

- Bądź tak dobry i nie zaczynaj znowu o Bogu. Gdziekolwiek on wchodzi w grę, zanikają wszelkie granice. Możesz schodzić całe swoje życie, próbując do niego dotrzeć, ale błogosławiony jegomość nie zna umiaru. Więc zapomnij o nim i przestań mieszać go do swoich spraw. Posłuchaj mnie: musimy poradzić sobie z pewnym człowiekiem - z nieuczciwym, po siedmiokroć przebiegłym człowiekiem. Przede wszystkim, strzeż się Judasza Rudobrodego. Zanim opuściłem Nazaret, widziałem jak szeptali z matką ukrzyżowanego zeloty, później z Barabaszem i z dwoma czy trzema innymi jego przyjaciółmi, nożownikami z Bractwa. Słyszałem, jak wymawiali twoje imię, więc strzeż się, synu Marii: nie idź do klasztoru.

Lecz Jezus pochylił głowę.

- Każde żywe stworzenie jest w rękach Boga. On decyduje, kogo ocalić, a kogo stracić. Jak możemy mu się sprzeciwić? Pójdę i niech Bóg mi dopomoże!

- Pójdiesz? - krzyknął Tomasz gniewnie. - Ale właśnie teraz, właśnie teraz kiedy rozmawiamy, Judasz jest w klasztorze, z nożem ukrytym pod koszulą. Czy nosisz nóż?

Syn Marii zadrżał.

- Nie - powiedział. - Jakież miałbym z niego pożytek?

Tomasz zaśmiał się.

- Owieczka ... owieczka ... owieczka... - mruknął. Podniósł swój toból. - Żegnaj. Rób jak chcesz. Ja ci mówię, byś zawrócił, a ty mówisz: "pójdę!". Dobrze więc, idź - i pluj sobie potem w brodę, kiedy będzie za późno!

Z błyskiem w małych, zezowatych oczkach zaczął schodzić po zboczu, pogwizdując.

Noc zapanowała już na dobre. Ziemia pociemniała, jezioro rozpląnęło się w czerni; w Kafarnaum zapalono pierwsze lampy. Dienne ptaki pochowały głowy pod skrzydłami i zasnęły, a ich nocni bracia budzili się teraz ze snu i wylatywali na łów.

"Oto święta godzina, dobry czas by wyruszyć - pomyślał syn Marii. - Nikt mnie teraz nie zauważy - w drogę!"

Przypomniał sobie słowa Tomasza.

- Cokolwiek Bóg zrządzi, to się stanie - mruknął. - Jeżeli to Bóg popycha mnie, bym spotkał swego mordercę, pójdę czym prędzej i zostanę zabity. To przynajmniej jestem w stanie zrobić i zrobić.

- Odwrócił się i spojrzał za siebie.

- W drogę - powiedział do swej niewidzialnej towarzyszki i ruszył w stronę jeziora.

Noc była słodka, ciepła, wilgotna; łagodny wietrzyk wiał z południa. Kafarnaum pachniało rybami i jaśminem. Stary Zebedeusz ze swą żoną Salome siedzieli na dziedzińcu domu, pod wielkim drzewem migdałowym. Skończyli posiłek i gawędzili. Ich syn Jakub przewracał się z boku na bok na posłaniu. Nie mógł uwolnić myśli i serca od wspomnienia ukrzyżowanego zeloty, od najnowszej krzywdy, jaką Bóg wyrządził ludziom zabierając im pszenicę, i od obrazu syna Marii, który został sprzedajnym szpiegiem. Myśli te nie pozwalały mu spać, a paplanie ojca rozjuszało go jeszcze bardziej. Gotując się z wściekłości, skoczył na równe nogi, wyszedł na dziedziniec i przestąpił próg.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim z niepokojem matka.

- Nad jezioro, zaczerpnąć świeżego powietrza - warknął i znikł w ciemnościach.

Stary Zebedeusz potrząsnął głową i westchnął.

- Świat nie jest już taki jak dawniej, żono - powiedział. - Dziś młodych ludzi uwiera własna skóra. Nie są ani ptakami, ani rybami; przypominają latające ryby. Morze jest dla nich za małe, więc wzlatają w powietrze. Nie mogą tam długo wytrwać i pogrążają się z powrotem w morzu, a potem zaczynają od nowa. Postradali zmysły. Spójrz tylko na naszego syna Jana, twojego ulubieńca. Ciągnie mnie do klasztoru, mówi nam. Modlitwy, posty, Bóg ... Łódź rybacka jest dla niego za ciasna - jego dusza nie zmieści się w niej. A teraz, ten drugi, Jakub, o którym myślałem, że ma trochę oleju w głowie. Zapamiętaj moje słowa: on obiera ten sam kurs. Czyżbyś nie widziała dziś wieczorem, jak się podniecił, gotów wybuchnąć, i jak nasz dom stał się dla niego za mały? Dobrze, nie obchodzi mnie to, ale kto zajmie się moimi łodziami i ludźmi? Czy cały mój trud pójdzie na marne? Żono, martwię się; przynieś mi trochę wina i kawałek ośmiornicy dla poprawienia nastroju.

Stara Salome udała, że nie słyszy. Jej mąż wypił już za dużo. Próbowwała zmienić temat.

- Są młodzi - powiedziała. - Nie bierz sobie tego do serca. To przeminie.

- A niech tam, żono, dobrze mówisz! Masz głowę na karku. Po co siedzę tutaj i łamię sobie głowę? Zgadza się: są młodzi, to przeminie. Młodość jest jak choroba: przechodzi. Kiedy byłem młody, też czasami się podniecałem i przewracałem z boku na bok na łóżku. Myślałem, że szukam Boga; ale tak naprawdę szukałem żony - ciebie, Salome! Ożeniłem się i uspokoilem. Nasi synowie też tak zrobią, więc szkoda więcej gadać! No, już jestem spokojny... Przynieś mi kawałek ośmiornicy i troszkę wina, droga Salome - chcę wypić za twoje zdrowie!

W niedalekim sąsiedztwie, stary Jonasz siedział samotnie w swej chacie i naprawiał sieci przy świetle lampy. Naprawiał i naprawiał, lecz jego myśli nie krążyły wokół drogiej nieboszczki żony, która zmarła o tej porze rok temu, ani wokół syna - tego półgłówka Andrzeja, ani, wokół tego kompletnego bałwana o krowim mózgu, drugiego syna - Piotra, który ciągle krążył po tawernach Nazaretu, każąc swojemu staremu ojcu samotnie zmagać się z rybami? Nie! Myślał o słowach Zebedeusza i odczuwał wielki niepokój. Może naprawdę był prorokiem Jonaszem. Spojrzał na swoje ręce, stopy, uda: same łuski. Nawet jego oddech i pot pachniały rybami; nagle przypomniał sobie, że pewnego dnia, gdy płakał z powodu żony, jego łzy również zalatywały wonią ryb. Szczwany stary Zebedeusz miał też rację, mówiąc o krabach: od czasu do czasu naprawdę znajdował jakieś w swojej brodzie ... Może mimo wszystko

był prorokiem Jonaszem. Ach! To by wyjaśniało, dlaczego nigdy nie miał ochoty na rozmowę, dlaczego słowa trzeba było z niego wyciągać jak bosakiem, dlaczego wiecznie się potykał i przewracał, spacerując po suchym lądzie. Co innego, gdy zanurzył się w jeziorze: cóż to była za ulga, jaka radość! Wodą unosiła go na swym łonie, pieściła, lizła, mruzczała mu do ucha i przemawiała do niego, a on, jak ryba, odpowiadał jej bez słów, wydobywając z ust tylko bańki powietrza!

“Jestem prorokiem Jonaszem, nie ma wątpliwości, - powiedział do siebie. - Zostałem wskrzeszony - wieloryb znów mnie zwymiotował. Lecz tym razem mam trochę oleju w głowie: jestem prorokiem, w porządku, ale będę udawał, że jestem rybakiem i nie pisnę słowa nikomu; nie chcę na nowo znaleźć się w kłopotach"... Uśmiechnął się, zadowolony ze swego sprytu. “Pięknie sobie z tym poradziłem - pomyślał. - Patrzcie no, przez tyle lat nikt niczego nie zwietrzył, nawet ja sam, aż napatoczył się ten Zebedeusz. Dobrze, że otworzył mi oczy.

Położył sieci na podłodze, zatarł z zadowoleniem, ręce i otworzył spiżarnię. Wyjął tykwę wina, zadarł krótkie, grube, pokryte łuskami gardło i zaczął pić chichocząc.

W tej samej chwili, gdy w Kafarnaum dwóch zadowolonych mężczyzn piło wino, syn Marii szedł wzdłuż brzegu jeziora, pogrążony w myślach. Nie był całkiem sam: za sobą słyszał skrzypienie piasku. Na dziedzińcu przy domu Magdaleny zatrzymali się nowi kupcy i siedzieli teraz w kucki na bruku. Rozmawiali cicho, chrupali daktyle i piekli na ruszcie kraby, czekając na swoją kolej. W klasztorze zaś mnisi ułożyli opata na środku jego celi i czuwali przy nim. Ciągłe oddychał; jego wytrzeszczone oczy patrzyły w otwarte drzwi, a na wychudzonej twarzy malowało się napięcie: wydawał się wyteżać słuch.

Mnisi patrzyli na niego i szeptali między sobą.

- Nadśłuchuje, czy nie przyjechał z Nazaretu rabin, żeby go uzdrowić.
- Albo próbuje usłyszeć, czy nie zbliżają się czarne skrzydła archanioła.
- Może czeka na kroki nadchodzącego Mesjasza.

Szeptali tak i patrzyli na umierającego, a dusza każdego z nich była teraz gotowa do przyjęcia cudu. Wszyscy nadstawiali uszu, ale nie mogli usłyszeć niczego poza ciężkimi uderzeniami młota w kowadło. W odległym rogu dziedzińca kowal Judasz rozpalil ogień i pracował pośród nocy.

## ROZDZIAŁ X

Daleko, w Nazarecie Maria, żona Józefa, siedziała w swoim małym domku. Palila się lampa, drzwi były otwarte. Pospiesznie zwinęła węgę, którą uprzedła. Postanowiła obejść okoliczne wioski w poszukiwaniu syna. Zwijała, zwijała, ale nie potrafiła skupić się na pracy. Samotna i pozbawiona nadziei, w myślach przemierzała pola, odwiedzała Magdalenę i Kafarnaum, przeczesywała brzegi jeziora Genezaret. Szukała syna. Znowu uciekł; raz jeszcze Bóg szturchnął go swym ościeniem. "Czyż nie ma dla niego litości - pomyślała - czyż nie ma litości dla mnie? Co takiego mu zrobiliśmy? Czy taką radość i chwałę nam obiecywał? Boże, dlaczego sprawiłeś, że laska Józefa zakwitła i musiałam poślubić starca? Dlaczego cisnąłeś grom i zasiałeś w moim łonie tego marzyciela, tego nocnego Marka - jedynaka? Przez cały okres ciąży - sąsiadki przychodziły mnie podziwiać. - Mario, jesteś błogosławiona między niewiastami - mówiły. Rozkwitłam; byłam jak migdałowiec okryty kwieciami od korzeni, aż po najwyższe gałęzie.

- Kim jest ta kobieta przypominająca kwitnący migdałowiec? - pytali przejeżdżający kupcy i zatrzymawszy karawanę, zsiadali z wielbłądów, obrzucając mnie darami. Potem zniemacka powiał wiatr i zostałam ogołocona z liści. Ramionami zasłaniałam wyschłe piersi. Panie, stała się twoja wola: sprawiłeś że zakwitłam, dmuchnąłeś - i opadły płatki. Czy nie ma już dla mnie nadziei, Panie? Czy już nie zakwitnę?"

"Czy moje serce już się nie uciszy? - pytał jej syn następnego ranka. Obszedł jezioro dookoła i zobaczył przed sobą klasztor wciśnięty między zielono-czerwone skały. - W miarę jak zbliżam się do klasztoru, moje serce jest coraz bardziej niespokojne. Dlaczego? Czyż nie obrałem właściwej drogi, Panie? Przecież to właśnie ku temu świętemu ustroniu mnie popychałeś, czyż nie? Dlaczego więc nie chcesz wyciągnąć dłoni, aby pokrzepić moje serce?"

Dwóch mnichów w bieli pojawiło się przy wielkich wrotach klasztoru. Weszli na skałę i spoglądali w stronę Kafarnaum.

- Wciąż nic nie widać - powiedział jeden z nich, na wpół szalony garbus, którego pośladki niemal dotykały ziemi.

- Umrze zanim przyjadą - odparł drugi, wielki jak słoń mężczyzna o ustach od ucha do ucha jak u rekina. - Idź Jeroboamie, będę tu stał, póki nie ujrzę wielbłąda.

- Dobrze - ucieszył się garbus, ześlizgując się ze skały. - Pójdę popatrzeć jak umiera.

Syn Marii stał niezdecydowanie na progu klasztoru, a jego serce wahało się jak serce dzwonu: wejść czy nie?

Kolista krużganek wyłożony był kamiennymi płytami. Ani jedno drzewo nie zdobiło dziedzińca, ani ptak, ani kwiat. Dokoła rosły tylko dzikie kaktusy. Na obwodzie tej okrągłej, nieludzkiej pustyni znajdowały się cele wykute w skale jak grobowce.

Czy to jest królestwo niebieskie? - zastanawiał się syn Marii. Czy tutaj uciszy się moje serce?

Patrzył długo, nie mogąc się zdecydować czy przekroczyć próg. Dwa czarne psy pasterskie wyskoczyły z jakiegoś zakamarka i zaczęły ujadać.

Garbaty karzeł zauważył gościa i gwizdnięciem uciszył psy.

Potem odwrócił się i zmierzył przybysza wzrokiem od stóp do głów. Spojrzenie młodego mężczyzny wydało mu się zafrasowane; odziany był ubogo, stopy krwawiły. Zrobiło mu się go żal.

- Witaj, bracie - powiedział. - Jakież to wiatr przywiał cię na tę pustynię?

- Bóg! - odparł syn Marii głębokim, pełnym rozpaczu tonem.

Mnich poczuł lęk. Nigdy dotąd nie słyszał, by ludzkie wargi wymawiały imię Boże z takim przerażeniem. W milczeniu skrzyżował ramiona.

Po krótkiej przerwie gość mówił dalej:

- Przyszedłem zobaczyć się z opatem.

- Ty go może zobaczysz, ale on ciebie nie. Czego chcesz od niego?

- Nie wiem. Miałem sen... Przychodzę z Nazaretu.

- Sen? - ze śmiechem zapytał na wpół szalony mnich.

- Straszny sen, ojcie. Od tego czasu moje serce nie zaznało spokoju. Opat to święty; Bóg nauczył go tłumaczyć język snów i ptaków. Dlatego przyszedłem.

Nigdy przedtem nawet nie pomyślał, by przyjść do tego klasztoru i poprosić opata o wyjaśnienie znaczenia snu, który miał tej nocy, gdy skończył strugać krzyż: snu o dzikiej pogoni z rudobrodym na czele i biegnącymi za nim karłami z narzędziami tortur.

Teraz, gdy stał niezdecydowanie na progu, ów sen przemknął mu przez myśl jak błyskawica. "Mam! - zawołał w myśli. - Jestem tutaj z powodu tego snu, który Bóg zesłał, aby wskazać mi drogę, a opat mi go objaśni".

- Opat umiera - powiedział mnich. - Przychodzisz za późno, bracie. Wracaj.

- Bóg nakazał mi przyjść tutaj - odparł syn Marii. - Czy on mógłby oszukiwać swoje dzieci?

Mnich zarechotał. Wiele już przeżył i nie ufał Bogu.

- On jest władcą, czyż nie? Więc robi co mu się żywnie podoba. Gdyby nie był w stanie zadawać niesprawiedliwości, cóż z niego byłby za Wszechmocny? - Poklepał gościa po plecach. Miał to być gest pieśczośliwy, ale uderzenie ciężkiej łapy zabolowało.

- Dobrze już, nie martw się - powiedział. - Wejdz. Ja zajmuję się tu gośćmi.

Weszli w krużganki. Zerwał się wiatr, piach wirował nad kamienną posadzką. Wichura opasała słońce nieprzejrzystym kręgiem, powietrze pociemniało. Pośrodku dziedzińca ział otwór wyschłej studni. Kiedyś była w niej woda, teraz wypełniał ją piasek. Dwie jaszczurki grzały się na zardzewiałym obrzeżu.

Cela opata była otwarta. Mnich chwycił gościa za ramię.

- Zaczekaj tutaj, pójdę poprosić braci o pozwolenie. Nie ruszaj się.

Skrzyżował ręce na piersi i wszedł do środka. Psy siedziały po obu stronach drzwi do celi opata. Z wyciągniętymi szyjami węszyły w powietrzu, skowycząc żałośnie.

Opat leżał rozciągnięty pośrodku celi, stopami zwrócony do wejścia. Wokół niego drzemali oczekujący mnisi, wyczerpani całonocnym czuwaniem. Twarz konającego była napięta, a otwarte oczy utkwione w drzwiach. Siedmioramienny kandelabr stał przy jego twarzy, oświetlając lśniący łuk czoła, nienasycone oczy, orli nos, bladonie usta i długą siwą brodę, która sięgała pasa i zakrywała nagą, kościstą pierś. Mnisi wrzucili do glinianej kadzielnicy kadzidło zmieszane z suszonymi płatkami róż, by ich woń przenikała powietrze.

Mnich wszedł do środka, zapomniał po co przyszedł i przykucnął na progu pomiędzy dwoma psami.

Słońce prześwitywało przez drzwi, jakby próbując wejść i dotknąć stóp opata. Panowała cisza, nie licząc skowytu psów i wolnych, rytmicznych uderzeń młota w kowadło dobiegających z zewnątrz.

Gość czekał; czas ciągnął się w nieskończoność. Zapomnieli o nim. W nocy był przymrozek, lecz teraz, stojąc pod celą, syn Marii czuł w kościach cudowne ciepło porannego słońca.

Nagle ciszę przerwał głos mnicha pełniącego straż na skałach:

- Jada! Jada!



Mnisi przebudzili się i wybiegli, pozostawiając opata samego.

Syn Marii odważył się postąpić o dwa małe kroki naprzód i stanął w progu. Wewnątrz panował spokój śmierci, spokój nieśmiertelności. Blade, chude stopy opata lśniły, skąpane w słońcu. Pod sufitem brzęczała pszczoła; czarny, włochaty owad miotał się wokół siedmiu płomieni, przeskakując od jednego do drugiego, jakby wybierał sobie krematorium.

Nagle opat poruszył się. Podniósł głowę, wyężając wszystkie siły - i natychmiast oczy wyszły mu na wierzch, usta rozwarły się, a rozedrgane nozdrza chciwie wciągnęły powietrze. Syn Marii przyłożył dłoń do serca, ust i czoła w powitalnym geście.

Opat poruszył ustami:

- Przyszedłeś... przyszedłeś... przyszedłeś - wyszeptał tak cicho, że syn Marii nie usłyszał. Lecz na surowej, rozgoryczonej twarzy opata pojawił się uśmiech niewypowiedzianej słodyczy. Oczy i usta natychmiast się zamknęły, nozdrza przestały poruszać, a skrzyżowane na piersi ręce opadły na boki i pozostały już na ziemi, zwrócone dłońmi do góry.

Tymczasem na dziedzińcu przykłęły dwa wielbłądy. Mnisi rzucili się, by pomóc zejść staremu rabinowi.

- Żyje, żyje jeszcze? - pytał zatroskanym tonem młody nowicjusz.

- Jeszcze oddycha - odparł ojciec Habakuk. - Widzi i słyszy wszystko, ale nie może mówić.

Pierwszy wszedł rabin, za nim nowicjusz z drogocennymi pojemnikami zawierającymi maści uzdrawiające, zioła i magiczne amulety. Dwa czarne psy z ogonami wciśniętymi między nogi nawet nie odwróciły łbów. Z pochylonymi do ziemi szyjami skowyczały żałośnie, po ludzku.

Słyszac je, rabin pokręcił głową. "Spóźniłem się," - pomyślał, ale nic nie powiedział.

Ukląkł u boku opata, pochylił się nad nim i przyłożył dłoń do serca. Wargami niemal dotykał jego ust.

- Za późno - wyszeptał. - Spóźniłem się... Obyście długo żyli, ojcowie!

Mnisi z płaczem nachylali się, by ucałować zwłoki. Jak nakazywał obyczaj - według długości służby: ojciec Habakuk ucałował oczy, mnisi brodę i otwarte dłonie, a nowicjusze stopy. Jeden z nich sięgnął po laskę opata i położył ją przy świętych zwłokach.

Stary rabin ukląkł i przyglądał się zmarłemu, nie mogąc oderwać oczu. Skąd ten triumfalny uśmiech? Cóż znaczy ten tajemniczy blask wokół zamkniętych powiek? Jakież wieczne słońce, które nigdy nie zachodzi, dotknęło tej twarzy i już tam pozostało. Jakież to słońce?

Rozejrzył się dookoła. Mnisi, ciągle na klęczkach, składali hołd zmarłemu. Jan płakał z wargami przyklejonymi do stóp opata. Stary rabin przenosił pytający wzrok z jednego mnicha na drugiego i nagle jego oko spoczęło na synu Marii, który stał spokojnie w kącie celi z rękami założonymi na piersiach. Na jego twarzy wypisany był ten sam spokojny, triumfalny uśmiech.

- Adonai, Panie Zastępów - wyszeptał przerażony rabin. - Czy nigdy nie przestaniesz wodzić mego serca na pokuszenie? Pomóż mi teraz zrozumieć - i zdecydować!

Następnego dnia krwawe, wściekle czerwone, otoczone ciemnym pasem nawalnicy słońce wstało nad piaskami. Na pustyni zerwał się silny wschodni wiatr; świat pociemniał. Dwa czarne jak heban klasztorne psy próbowały szczekać, ale ich pyski wypełniły się piaskiem i umilkły. Przyklejone do ziemi wielbłądy zamknęły ślepia w oczekiwaniu.

Łańcuch mnichów, powoli, po omacku posuwał się naprzód, starając się nie upaść. Stłoczeni w rzędzie, szli pogrzebać opata, mocno trzymając w ramionach zwłoki, by nie porwał ich wiatr. Pustynia kołysała się, unosiła i opadała jak morskie fale.

- To wiatr pustynny, oddech Jahwe - szeptał Jan, opierając się całym ciałem o syna Marii. - Wysusza zielone liście i źródła, usta napętnia piaskiem. Pozostawimy święte zwłoki w jakimś zagłębieniu, żeby przykryły je fale piasku.

Gdy przestępowali próg klasztoru, z wirującej mgły wyłonił się rudobrody kowal z młotem na ramieniu, czarny i ogromny. Patrzył na nich przez chwilę i zaraz potem zniknął wśród piasku. Syn Zebedeusza dostrzegł olbrzyma i z przerażeniem złapał swego towarzysza za ramię.

- Kto to był? - zapytał cicho. - Widziałeś go?

Syn Marii nie odpowiedział. "Bóg układa wszystko doskonale i zgodnie ze swoją wolą - pomyślał. - Oto zetknął mnie z Judaszem - tu na pustyni, na samym krańcu ziemi. A więc, Panie, niech się stanie Twoja wola".

Szli razem pochyleni, zanurzając stopy w rozpalonym piasku.

Próbowali osłaniać usta i nozdrza brzegiem szat, ale drobny piasek już przeniknął do ich gardel i płuc. Nagle wiatr porwał ojca Habakuka, który szedł na przdzie - zakręcił nim i rzucił o ziemię. Oślepieni piaskiem mnisi przeszli obok niego. Świszczały piaski, dzwoniły kamienie; stary Habakuk krzyknął ochryple, ale nikt go nie słyszał.

“Dlaczego oddechem Jahwe nie mogłaby być chłodna bryza od Wielkiego Morza - pomyślał syn Marii. Chciał zapytać o to swego towarzysza, ale nie mógł otworzyć ust. - Dlaczego wiatr Boga nie mógłby napęłnić wyschłych studni wodą? Dlaczego Pan nie kocha zielonych liści, nie lituje się nad ludźmi? Ach, gdyby tylko znaleźć kogoś, kto się do niego zbliży, padnie mu do stóp i zanim zamieni się w pył, opowie o tym, jak cierpią ludzie, jak cierpi ziemia i zielone liście”.

Judasz stał nadal w niskich drzwiach odosobnionej celi, którą mnisi przeznaczyci na kuźnię. Pękając ze śmiechu, obserwował rozkołysany kondukt pogrzebowy, który to pojawiał się, to znikał. Spostrzegł człowieka, na którego polował i jego ciemne oczy zabłysły z radości.

- Wielki jest Bóg Izraela - wyszeptał. - Tak doskonale to wszystko układa! Przyprowadził tego zdrajcę prosto pod mój nóż.

Wszedł do środka, z zadowoleniem gładząc wąsy. Cella była ciemna, ale w kącie, w małym piecu, żarzyły się płonące węgle. Karłowaty mnich, pół-święty, pół-szaleniec, podsycił ogień. W ręku trzymał miechy.

Kowal był w dobrym nastroju.

- Hej, ojcie Jeroboamie - zawołał. - Czy to właśnie nazywają wiatrem Boga? Podoba mi się to bardzo. Gdybym był Bogiem, też bym tak wiał.

Mnich roześmiał się.

- A ja nie. Jestem zmęczony. - Odłożył miechy, żeby otrzeć pot z czoła i karku.

Judasz podszedł do niego.

- Zrobisz coś dla mnie, ojcie Jeroboamie? - zapytał. - Wczoraj do klasztoru przybył gość - młody człowiek z krótką czarną brodą, na wpół obłąkany, jak Wasza Czcigodność. Był boso, a na głowie miał zakrwawioną chustę.

- Ja pierwszy się z nim widziałem - odparł mnich z wyższością.

- Ale, mój drogi kowalu, on nie jest na wpół obłąkany - to prawdziwy wariat! Powiada, że miał sen i przybył z Nazaretu, żeby opat - niech spoczywa w spokoju - mu go objaśnił.

- A więc dobrze. Posłuchaj: ty zajmujesz się gośćmi, prawda? Zawsze gdy ktoś się pojawia, przygotowujesz mu celę, ścielesz łóżko, prowadzisz na posiłek?

- O tak, cóż innego miałbym robić! We wszystkim innym jestem do niczego, więc kazali mi zajmować się gośćmi. Pioreę, zamiatam i karmię przybyszów.

- Znakomicie! Wstaw dziś jego łóżko do mojej celi. Nie mogę spać sam, Jeroboamie - jak ci to wytłumaczyć? Mam koszmarne sny. Szatan przychodzi mnie kusić, boję się, że będę potępiony. Tylko słysząc obok siebie ludzki oddech - uspokajam się. Dalej, zrób to. Dam ci w prezencie nożyce do strzyżenia owiec, będziesz mógł przystrzyć sobie brodę. Możesz też strzyć mnichów - już nigdy nikt nie powie, że do niczego się nie nadajesz. Słyszysz, co mówię?

- Przynieś te nożyce!

Kowal wygrzebał z torby olbrzymie, zardzewiałe nożyce. Mnich porwał je, podniósł do światła, otworzył i zamknął z podziwem.

- Wielki jesteś, Panie, i cudowne są dzieła twoje - szepnął w osłupieniu.

- No i co? - zapytał Judasz i potrząsnął nimi mocno.

- Będziesz go miał dziś w nocy - odparł mnich, zabrał nożyce i wyszedł.

Żałobnicy wrócili już. Nie zaszli daleko, bo wiatr Boga przewracał ich i rzucał na ziemię. Znaleźli dół, złożyli weń zwłoki i zaczęli szukać ojca Habakuka, żeby odmówił modlitwę; nie było go nigdzie, więc stary rabin z Nazaretu nachylił się nad dołem i krzyknął do opuszczonego przez duszę ciała:

- Z prochu powstałeś, w proch się obracasz. Dusza twoja pierzchła, już cię nie potrzebuje. Ciało wypełniło swój obowiązek; pomogło duszy zstąpić na ziemskie wygnanie, chodziło po piachu i kamieniach, grzeszyło, cierpiało, tęskniło za niebem - swoją ojczyzną, i za Bogiem - swoim ojcem. Giń ciało - opat cię już nie potrzebuje.

Podczas mowy rabina warstwa drobnego piasku pokryła twarz, brodę i ręce opata. Widząc nadciągające znowu chmury piasku, mnisi rzucili się w powrotną drogę. Kiedy na wpół obłąkany Jeroboam porwał swoje nożyce i opuścił celę kowala, pozostali chronili się właśnie na powrót w klasztorze - oślepieni, ze spękanyimi wargami i poodcieranymi ramionami wnieśli starego Habakuka, którego znaleźli na wpół zakopanego w piasku.

Stary rabin otarł oczy, usta i kark wilgotną szmatą i przysiadł przed pustą stallą opata. Przez zaryglowane drzwi słyszał, jak oddech Boga wysusza i przesłania świat. W jego głowie, od skroni do skroni, kroczyli prorocy. W takim to właśnie ognistym

powietrzu wykrzykiwali do Boga, a gdy zbliżał się Pan Zastępów, tak samo zapewne płonęły im wargi i oczy.

- Oczywiście! Bóg jest palącym wiatrem, blaskiem błyskawicy, a nie kwitnącym sadem - wyszeptał. - Wiem przecież. A serce ludzkie to zielony liść. Bóg skręca łodygę, liść więdnie. Cóż możemy zrobić, jak postępować, aby złagodniał? Gdy dajemy mu ofiarne jagnięta, krzyczy: "Nie chcę ich, nie chcę ciała; tylko psalmy zaspokoją mój głód". A gdy otwieramy usta i zaczynamy śpiewać psalmy, krzyczy: "Nie chcę słów. Tylko ciało baranka, ciało syna jedyne go zaspokoją mój głód!"

Stary rabin westchnął. Myślenie o Bogu rozgniewało go i zmęczyło. Rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby się położyć. Wyczerpani brakiem snu mnisi rozeszli się do swoich cel, gdzie śnili o opacie. Przez czterdzieści dni jego duch miał błąkać się po klasztorze - wchodzić do cel, by zobaczyć co robią, udzielić im rady lub złącać. Kładli się więc, by odpocząć i zobaczyć opata we śnie. Stary rabin rozejrzał się dookoła. Nie zobaczył nikogo oprócz dwóch czarnych psów. Weszły, położyły się na kamiennej posadzce i żałośnie obwąchiwały opuszczoną stalle. Na zewnątrz wiatr wściekle kołatał do drzwi - on też chciał wejść.

Rabin kładł się już obok psów, kiedy dostrzegł syna Marii, który siedział nieruchomo w kącie, obserwując go. Sen natychmiast opuścił jego zmęczone powieki. Usiadł, zaniepokojony i skinął na bratanka. Młodzieniec zdawał się czekać na to zaproszenie. Zbliżył się z gorzkim uśmiechem na ustach.

- Usiądź, Jezusie - powiedział rabin. - Chcę z tobą porozmawiać.

- Słucham - odparł młodzieniec i ukląkł naprzeciwko. - Ja też chcę z tobą porozmawiać, wuju Symeonie.

- Czego tu szukasz? Twoja matka biegnie za tobą po wioskach i lamentuje.

- Ona szuka mnie, a ja szukam Boga. Nigdy się nie spotkamy - odparł młodzieniec.

- Nie masz serca. Nigdy nie kochałeś ojca ani matki tak jak inni ludzie.

- Tym lepiej. Moje serce jest jak rozżarzony węgiel, sparzy każdego, kto go dotknie.

- Co ci jest? Jak możesz tak mówić? Czego ci brakuje? - pytał rabin, wyciągając szyję, żeby lepiej przyjrzeć się synowi Marii. Oczy młodzieńca były pełne łez.

- Chłopcze, pożera cię ukryty ból. Wyznaj mi wszystko, a poczujesz ulgę. Boleść ukryta głęboko...

- Boleść? Tylko jedna? - przerwał młodzieniec, a gorzki uśmiech wykrzywił mu

twarz. - Nie jedna, wiele!

Ten rozdzierający serce wybuch przeraził rabina. Położył dłoń na kolanie młodzieńca, by dodać mu otuchy.

- Słucham cię, chłopcze - rzekł łagodnie. - Ukaż mi te cierpienia, otwórz swe wnętrze. One rosną w ciemności, lecz światło je zabija. Nie wstydz się, nie obawiaj - mów!

Ale syn Marii nie miał pojęcia, od czego zacząć, ani co powiedzieć; co ukryć głęboko w sercu, co wyznać, aby znaleźć ukojenie. Bóg, Magdalena, siedem grzechów, krzyże, ukrzyżowani - wszystko, co nosił w sobie, raniło jego wnętrze.

Rabin przyjrzał mu się błagalnie i poklepał go po kolanie.

- Nie możesz, moje dziecko? - zapytał w końcu cicho i czule. - Nie możesz?

- Nie, wuju Symeonie. Nie mogę.

- Czy osaczają cię pokusy? - zapytał jeszcze ciszej i czulej.

- Wiele pokus - odparł młodzieniec z lękiem. - Wiele.

- Gdy byłem młody, mój chłopcze - westchnął rabin - także wiele wycierpiałem. Bóg dręczył mnie i wystawiał na próby tak jak i ciebie: chciał sprawdzić, ile mogę znieść i jak długo. I ja także miałem wiele pokus. Niektórych się nie bałem - tych o okrutnym obliczu - ale inne, te łagodne i pełne słodczy przerażały mnie. I jak ci wiadomo, w poszukiwaniu wytchnienia przyszedłem, tak jak i ty, do tego klasztoru. Lecz Bóg nie zaprzestał pogoni i właśnie tutaj mnie dopadł. Zesłał pokusę w kobiecym przebraniu. Niestety, uległem jej - może tego chciał Bóg, może dlatego tak mnie dręczył - odtąd, jestem spokojny, i on także. Pogodziliśmy się i jesteśmy przyjaciółmi. Tak samo ty, moje dziecko, pogodzisz się z Bogiem - i będziesz uleczony.

Syn Marii potrząsnął głową.

- Chyba nie można tak łatwo mnie uleczyć - szepnął i umilkł. Rabin też milczał. Obaj oddychali głośno i szybko.

- Nie wiem od czego zacząć - powiedział młodzieniec, powstając. - Nigdy nie zacznę. Za bardzo się wstydzę!

Rabin przytrzymał go za kolano.

- Nie wstawaj - rozkazał. - Nie odchodź. Wstyd to także pokusa. Zwalcz ją i zostań! Zadam ci kilka pytań; ja będę pytał, a ty cierpliwie odpowiadaj... Dlaczego przyszedłeś do tego klasztoru?

- Aby się ocalić.

- Ocalić? Od czego? Od kogo?

- Od Boga.

- Od Boga! - krzyknął zaniepokojony rabin.

- Goni mnie, wbija mi gwoździe w głowę, serce i lędźwie. Chce mnie zepchnąć...

- Gdzie?

- W przepaść.

- Jaką przepaść?

- Jego własną. Mówi, że powinienem wstać i przemówić. Ale cóż ja mogę powiedzieć? "Daj mi spokój, nie mam nic do powiedzenia!" - krzychałem, ale nic z tego. "Aha, więc nie chcesz" - powiedziałem mu. - "No dobrze, to teraz ja ci pokażę - znienawidzisz mnie i zostawisz w spokoju..." Popadłem więc w grzech, popełniłem każdy z możliwych grzechów.

- Każdy z możliwych grzechów? - wykrzyknął rabin.

Młodzieniec nie słyszał, pełen bólu i oburzenia.

- Dlaczego wybrał mnie? Czy nie widzi, co kryje się w mej piersi? Wiją się tam węże, wiją i syczą, syczą i tańczą - wszystkie grzechy. A przede wszystkim...

Słowa utkwily mu w gardle. Umilkł, spocony.

- A przede wszystkim? - zapytał cicho rabin.

- Magdalena! - krzyknął Jezus, podnosząc głowę.

- Magdalena! - rabin pobladł.

- To moja wina, moja, że obrała tę drogę. To ja jako małe dziecko poznałem ją z uciechami cielesnymi - tak, przyznaję. Słuchaj, rabinie, jeśli chcesz, abym cię przeraził. Miałem wtedy ze trzy lata. Wśliznąłem się do twego domu, gdy nie było nikogo. Wziąłem Magdalenę za rękę, rozebraliśmy się i położyliśmy na ziemi, stykając się podeszwami nagich stóp. Ach, cóż to była za radość, jakież radosny grzech! Od tego czasu Magdalena jest zgubiona - nie może już żyć bez mężczyzny, bez mężczyzn.

Spojrzał na starego rabina, lecz ten skrył głowę między kolana i milczał.

- To moja wina, moja, moja! - krzyknął syn Marii, bijąc się w pierś.

- A to jeszcze nie wszystko! - ciągnął po chwili. - Już od dziecka, rabinie, nosiłem w sobie nie tylko diabła cudzołóstwa, ale i diabła pychy. Nawet gdy byłem zupełnym berbeciem - jeszcze dobrze nie chodziłem, trzymałem się ściany, żeby nie upaść, ale już krzychałem - "Boże, chcę być Bogiem! Boże, chcę być Bogiem! Boże, chcę być Bogiem!" A pewnego dnia, gdy niosłem kiść winogron, spotkałem Cyganke. Podeszła do mnie, przysiadła i schwyciła mnie za rękę. "Daj mi winogrona" - powiedziała - "a wywróżę ci przyszłość". Dałem jej winogrona. Nachyliła się i spojrzała

mi w dłoń. "Och, och" - zawołała - "widzę krzyże i gwiazdy." A potem zaczęła się śmiać. "Zostaniesz Królem Żydowskim!" - powiedziała i odeszła. A ja jej uwierzyłem i byłem pełen dumy. Od tego czasu, wuju Symeonie, nie jestem przy zdrowych zmysłach. Tobie pierwszemu to mówię, wuju Symeonie. Nikt dotąd o tym nie wiedział. Od tego dnia nie jestem przy zdrowych zmysłach.

Milczał przez chwilę, potem krzyknął:

- Jestem Lucyferem! Ja! Ja!

Rabin podniósł głowę i zatkał mu usta ręką.

- Zamilcz! - nakazał.

- Nie, nie zamilczę! - odrzekł umęczony młodzieniec. - Zacząłem mówić, już za późno. Nie będę milczał! Jestem kłamcą, hipokrytą, boję się własnego cienia, nigdy nie mówię prawdy - brak mi odwagi. Gdy widzę kobietę, rumienię się i schylam głowę, ale w moich oczach czai się pożądanie. Nie grabię, nie biję, nie zabijam - nie dlatego, że nie chcę, ale że się boję. Chcę się buntować przeciwko matce, centurionowi, Bogu - ale się boję. Boję! Boję! jeśli zajrzysz do mego wnętrza, zobaczysz strach, siedzi tam jak rozdygotany królik. Strach, nic więcej. On jest moją matką, mym ojcem i Bogiem.

Stary rabin schwycił młodzieńca za ręce i przytrzymał je w swoich, aby go uspokoić. Ale ciało Jezusa dygotało w konwulsjach.

- Nie bój się, dziecko - powiedział rabin pocieszająco. - Im więcej diabłów nosimy w sobie, tym większe mamy szansę, by stać się aniołami. Aniołem nazywamy skruszonego diabła, a więc nie trać wiary... Ale chciałbym zadać ci jeszcze jedno pytanie: Jezusie, czy kiedykolwiek spałeś z kobietą?

- Nie - odparł cicho młodzieniec.

- A nie chcesz?

Młodzieniec zarumienił się i nic nie powiedział, choć krew dziko pulsowała mu w skroniach.

- Nie chcesz? - powtórzył starzec.

- Chcę - odparł młodzieniec niemal bezgłośnie. Natychmiast jednak wzdrygnął się, jakby właśnie wróciła mu przytomność i zawołał:

- Nie, nie chcę, nie chcę!

- Dlaczego nie? - zapytał rabin, który nie umiał znaleźć innego lekarstwa na cierpienie młodzieńca.

Wiedział z doświadczenia i obserwacji tych wszystkich opętanych przez demony, którzy przychodzili do niego z przekleństwami i pianą na ustach krzycząc, że



świat jest dla nich za mały, że wraz z małżeństwem dla wielu z nich świat przestawał być tak ciasny; płodzili dzieci i uspokajali się.

- To dla mnie za mało - odparł spokojnie młodzieniec. - Potrzeba mi czegoś więcej.

- Za mało dla ciebie? - zawołał zdziwiony rabin. - Czego więc chcesz?

Młodzieniec zobaczył w myślach Magdalenę o dumnym kroku i długich nogach, jej obnażone piersi, oczy, usta i policzki pokryte różem. Śmiała się, jej zęby błyszczały w słońcu. W tańcu zmieniała się i mnożyła; syn Marii zobaczył teraz jezioro - chyba jezioro Genezaret - a wokół tysiące mężczyzn i kobiet - tysiące Magdalen o szczęśliwych, uniesionych w górę, lśniących w słońcu twarzach. Nie, to nie słońce, to on sam, Jezus z Nazaretu pochylał się nad tymi twarzami, to on był przyczyną ich szczęścia. Nie wiedział, czy byli upojeni radością, pożądaniem, czy zbawieniem - widział tylko ich szczęście.

- O czym myślisz? - zapytał rabin. - Dlaczego mi nie odpowiadasz?

Młody człowiek wybuchnął gwałtownie:

- Czy wierzysz w sny, wuju Symeonie? A ja tak; nie wierzę w nic innego. Pewnej nocy śniło mi się, że niewidzialni wrogowie przywiązali mnie do uschłego cyprysa. Od stóp do głów poprzebijany byłem długimi czerwonymi strzałami, z ran płynęła krew. Na głowę włożyli mi koronę uplecioną z cierni, a wśród cierni widniały ogniste litery: "Święty Błuźnierca". Jestem świętym błuźniercą, wuju Symeonie. Więc lepiej o nic mnie już nie pytaj, bo zacznę błuźnić.

- Dalej, dziecko, zaczynaj - odrzekł spokojnie starzec, biorąc go znów za rękę. - Zaczynaj błuźnić i ulżyj sobie.

- Jest we mnie diabeł, który krzyczy: "Nie jesteś synem cieśli, lecz króla Dawida! Nie jesteś człowiekiem, jesteś Synem Człowieka z proroctwa Daniela. I jeszcze więcej - jesteś Synem Boga! I więcej - jesteś Bogiem!"

Rabin słuchał, pochylony, a dreszcze przenikały jego wyniszczone ciało. Na spękanych wargach młodzieńca pojawiła się piana; język przylepiał mu się do podniebienia. Cóż więcej mógł jeszcze powiedzieć? Wszystko już wyznał, jego serce było puste. Wyrwał rękę z uścisku rabina i wstał. Potem zwrócił się do starca.

- Masz jeszcze jakieś pytania? - rzucił z przekąsem.

- Nie - odparł starzec czując, jakby uchodziły z niego wszystkie siły i wsiąkały w ziemię. W jego długim życiu udało mu się wywołać wiele diabłów z ludzkich ust. Opetani przychodzili z różnych stron, a on ich uzdrawiał. Ich diabły były jednak

niewielkie i łatwe do poskromienia: diabły kąpieli, gniewu, choroby. Lecz teraz... Jak walczyć z czymś takim?

Na zewnątrz wiatr Boga wciąż uderzał w drzwi, próbując wejść do środka. Poza tym było cicho, nawet szakal nie zawył, nawet wrona nie zaskrzeczała w powietrzu. Wszystkie żywe stworzenia zamilkły ze strachu, czekając, aż minie gniew Pana.

## ROZDZIAŁ XI

Syn Marii oparł się o ścianę i zamknął oczy. Czuł gorycz, piekielną gorycz w ustach. Rabin, z głową pomiędzy kolanami, medytował o piekle, diabłach i duszy człowieka... Nie, piekło ze swymi wszystkimi diabłami nie leżało w wielkiej dziurze pod powierzchnią ziemi; było w piersiach ludzi, w piersiach najbardziej sprawiedliwych, najbardziej cnotliwych. Bóg był w otchłani, człowiek był w otchłani - a rabin nie ośmielił się otworzyć swego serca, by spojrzeć na to, co spoczywa wewnątrz.

Milczeli przez jakiś czas. Głęboka cisza... Nawet dwa czarne psy pograżyły się we śnie zmęczone lamentowaniem nad zmarłym. Nagle z podwórza dobiegł słodki, przeszywający syk. Na wpół szalony Jeroboam, który usłyszał go pierwszy, podskoczył z wrażenia. Wiatrowi Jahwe zawsze towarzyszył ten słodki świst, a mnich nie posiadał się z radości za każdym razem, gdy dźwięk ten docierał do jego uszu. Słońce zachodziło, całe podwórze skąpane było w świetle, a na kamieniach obok wyschniętej studni oczy mnicha spostrzegły wielkiego, czarnego węża, pokrytego żółtymi wzorami. Podnosił swój nabrzmiały łeb, kręcił językiem i syczał. Mnich nigdy w życiu nie słyszał fletu grającego tak uwodzicielsko jak gardło tego węża. Od czasu do czasu, kiedy latem marzył o kobiecie, jawiła mu się w podobny sposób, w postaci węża pełzającego po jego macie, który wkładał mu język do ucha i syczał...

Dziś Jeroboam wyślizgnął się z celi i wstrzymując oddech zbliżał się do płonącego węża. Czuł jak ciepło płaza przenika jego ciało. Po chwili zewsząd zaczęły pojawiać się inne węże: z wyschniętej studni, z piasku, zza kaktusa. Jeden z błękitnym kapturem, inny zielony z dwoma rogami, jeszcze inne żółte, cętkowane, czarne. Szybko, jak strumień wody, podpełzły do pierwszego węża; okręcały się dokoła siebie, ocierały, lizały. Tym sposobem pośrodku podwórza wisiała węzowata kiść winogron,, a Jeroboam otworzył usta i ślinił się. Pomyślał, że to właśnie jest cielesna miłość. To za to Bóg wygnał mężczyznę i kobietę z raju ... Jego garbate ciało, które nigdy nie zaznało pocałunków, kołysało się w przód i w tył w rytmie węzowych ruchów.

Rabin usłyszał kuszący dźwięk, uniósł głowę i słuchał. "Wieje ognisty wiatr Boga - powiedział do siebie - a w samym jego środku parzą się węże. Pan dmucha, by spalić świat, a tu pojawiają się węże, żeby spółkować!" Przez chwilę umysł starego człowieka uległ pokusie i odpłynął. Lecz wkrótce rabin wzdrygnął się. "Wszystko

pochodzi od Boga - pomyślał - wszystko ma dwa znaczenia - jedno jawne, drugie ukryte. Prostacy pojmują tylko to, co oczywiste. Mówią: "To jest wąż" i ich myśli nie podążają dalej. Umysł, który mieszka w Bogu, zauważa to, co leży poza światem widzialnym, dostrzega ukryte znaczenia. Te węże pełzające pod drzwiami celi, które zaczęły syczeć natychmiast po spowiedzi syna Marii, na pewno mają ukryte znaczenie. Tylko jakie?"

Pulsowało mu w skroniach, gdy zwinął się w kłębek na ziemi.

Jakie to ma znaczenie? Zimny pot spływał po jego spalonej słońcem twarzy. Czasami spoglądał kątem oka na siedzącego obok bladego młodzieńca; chwilami zaś wsłuchiwał się uważnie, z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami w syczenie węży. Jakież jest to ukryte znaczenie?

Od swego dawnego mistrza, wielkiego egzorcysty Jozafata, który za jego czasów był opatem w klasztorze, nauczył się mowy ptaków. Potrafił tłumaczyć język jaskółek, gołębi i orłów. Jozafat obiecał mu, że nauczy go języka węzów, ale zabrał swoją tajemnicę do grobu. Te węże na pewno przekazywały dziś jakąś wiadomość. Jaką?

Zwinął się znowu na posłaniu i ścisnął głowę dłońmi. Skręcał się i wzdychał przez długi czas, a czarne i białe gromy rozdzierały jego umysł. Jakie znaczenie? Jaka wiadomość? Nagle krzyknął. Wstał z ziemi, wziął laskę opata i oparł się na niej.

- Jezusie - szepnęła cicho - co czujesz w sercu?

Młodzieniec nie słyszał. Był pogrążony w niewypowiedzianej błogości. Tego wieczoru, po tak wielu latach, podjął wreszcie decyzję: przemówił i wypowiedział się; po raz pierwszy zdobył się na to, by spojrzeć w ciemność swego serca i rozróżnić po kolei wszystkie węże, które w nim syczały. Nazwał je, a gdy tylko to zrobił, wydało mu się, że wypęzły z jego serca i uwolniły go.

- Jezusie, co czujesz w sercu? - powtórzył rabin. - Ulgę?

Pochylił się i wziął go za rękę.

- Chodź - powiedział delikatnie i położył palec na jego ustach.

Otworzył drzwi i przekroczyli próg. Zuchwałe węże, przyklejone jeden do drugiego i przytrzymujące się ziemi samymi ogonami, wznosiły się pośrodku ognistego wiru z piasku i tańczyły, zdane całkowicie na łaskę boskiego wiatru; od czasu do czasu, wyczerpane, zastygały w bezruchu. Syn Marii cofnął się na ich widok, ale rabin ścisnął jego dłoń, wyciągnął laskę i dotknął nim zbitych w kupę węży.

- Oto one - powiedział łagodnie, z uśmiechem obserwując młodzieńca. -

Uciekły.

- Uciekły - spytał zdumiony młodzieniec. - Skąd uciekły?

- Czujesz, że spadł ci ciężar z serca, prawda? To z niego uciekły.

Syn Marii spojrzał zmrużonymi oczami najpierw na uśmiechającego się doń rabina, a później na węże, które w jednej bryle przesuwały się teraz w kierunku wyschniętej studni. Położył dłoń na sercu i poczuł, że bije szybkim rytmem.

- Wracajmy do środka - rzekł rabin, biorąc go ponownie za rękę.

Weszli. Rabin zamknął drzwi.

- Chwała Panu - zawołał w uniesieniu.

Spojrzał na syna Marii i poczuł się dziwnie zakłopotany. "To cud - powiedział w myślach. - Życie tego chłopca, który stoi przede mną, to pasmo samych cudów...". W jednej chwili chciał położyć dłoń na głowie Jezusa i pobłogosławić go, w następnej paść przed nim i całować jego stopy. Ale opanował się. Czy Bóg nie oszukiwał go ciągle, aż do tej pory? Ile to już razy mówił mu, gdy z gór czy z pustyni przychodzili prorocy - "To jest Mesjasz"? Oszukał go za każdym razem; już, już serce rabina miało rozkwitnąć, a potem zawsze pozostawało pozbawionym kwiatów pniem. Dlatego starzec opanował się. "... Muszę go wpierw sprawdzić - pomyślał. - Te węże pożerały go. Teraz jego dusza jest oczyszczona. Może już powstać i przemówić do ludzi. Wtedy zobaczymy!".

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł Jeroboam ze skromną kolacją złożoną z owsianego chleba, oliwek i mleka. Zwrócił się do Jezusa:

- Przygotowałem ci posłanie w innej celi, żebyś miał towarzystwo.

Ale myśli obu gości były daleko i nie usłyszeli go. Z dna studni znów słychać było węże. Świszczały, jak opętane, z trudem łapiąc oddech.

- Żenią się - zachichotał mnich. - Wieje wiatr Boga, a one niech będą przeklęte! Nic sobie z tego nie robią i żenią się!

Popatrzył na starego mężczyznę i mrugnął do niego, ale rabin umaczał chleb w mleku i zaczął jeść. Chciał nabrać sił; pragnął, żeby chleb, mleko i oliwki dały mu mądrość do rozmowy z synem Marii. Karłowaty garbus przyglądał się najpierw jednemu, potem drugiemu, aż w końcu znudził się i wyszedł.

Obaj siedzieli naprzeciw siebie ze skrzyżowanymi nogami i jedli w milczeniu. W celi panował mrok. Stołki, stalla i pulpit opata lśniły niewyraźnie w ciemności. Wiatr na zewnątrz uspokajał się.

- Wiatr słabnie - powiedział w pewnym momencie rabin. - Bóg przyszedł i

odszedł.

Młodzieniec nie odpowiedział. "Wężę zniknęły - myślał - uciekły z mojej duszy. Może właśnie tego chciał Bóg; może dlatego przyprowadził mnie tu, na pustynię: żeby mnie wyleczyć. Dmuchał, wężę go usłyszały, wyszły z mego serca i uciekły. Chwała Panu!".

Rabin skończył jeść, podniósł ręce i podziękował Bogu.

Potem zwrócił się do swego towarzysza.

- O czym myślisz, Jezusie? Jestem rabinem z Nazaretu, słyszysz mnie?

- Słyszę, wuju Symeonie - powiedział młodzieniec wyrwany nagle z odrętwienia.

- Już czas, moje dziecko. Jesteś gotowy?

- Gotowy? Na co? - spytał Jezus, wzdrygając się.

- Dobrze wiesz na co, dlaczego pytasz? Gotowy, żeby wstać i przemówić.

- Do kogo?

- Do ludzi.

.- Co mam im powiedzieć?

- Nie martw się o to. Wystarczy, że otworzysz usta; Bóg tylko tego oczekuje od ciebie. Kochasz ludzkość?

- Nie wiem. Przyglądam się ludziom i współczuję im. To wszystko.

- Wystarczy, moje dziecko, to wystarczy. Wstań i przemów do nich. Nie uleczy to twoich smutków, ale im przyniesie ulgę. Może dlatego Bóg zesłał cię na świat? Zobaczymy!

- Dlatego Bóg zesłał mnie na świat? - powtórzył młodzieniec - Skąd to wiesz, ojcze? - Jego dusza opuściła ciało i zawisała w powietrzu w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Nie wiem. Nikt mi nie mówił, ale jest to możliwe. Kiedyś, gdy byłeś chłopcem, ulepiłeś z gliny ptaka. Gdy go głaskałeś i przemawiałeś do niego, wydawało się, że wyrosły mu skrzydła i odfrunął. Jezusie, moje dziecko, dusza ludzka jest w twoich rękach.

Młodzieniec podniósł się i otworzył ostrożnie drzwi.

Wystawił na zewnątrz głowę i nasłuchiwał. Wężę uciszyły się już zupełnie. Zadowolony, wrócił do starego rabina i powiedział.

- Daj mi swoje błogosławieństwo, ojcze, i nie mów już nic. Dość powiedziałeś; nie mogę więcej wysłuchać. Po chwili dodał: - Jestem zmęczony, wuju Symeonie. Idę spać.

Czasami Bóg zjawia się w nocy i wyjaśnia to, co zdarzyło się w ciągu dnia.

- ...Śpij dobrze, wuju Symeonie.

Jeroboam czekał na niego za drzwiami.

- Chodźmy - powiedział. - Pokażę ci twoje posłanie. Kim jesteś, chłopcze?

- Synem cieśli.

- Ja nazywam się Jeroboam. Mówią też na mnie Brat Pomylenieć albo Garbus.

Co z tego! Dalej gryzę suchą skorupę, którą dał mi Bóg.

- Jaką suchą skorupę?

- Nie rozumiesz, głupcze? - zaśmiał się garbus. - Swoją duszę! Jak ją przegryzę, wtedy dobranoc, przyjemnych snów - przyjdzie Charon i zrobi ze mną porządek.

Zatrzymał się i otworzył drzwi.

- Wejdz - powiedział. - Tam w rogu, po lewej stronie jest twoje posłanie! - pchnął go przez próg, parszając rubasznym śmiechem. - Śpij dobrze, mój chłopcze, przyjemnych snów. Tylko nie zdziw się, że śniesz o kobietach - one fruują w klasztorным powietrzu.

Pękając ze śmiechu, zatrzęsął z hukiem drzwi.

Syn Marii nie ruszał się. Ciemność. ... Z początku nic nie widział, ale stopniowo z mroku zaczęły się wyłaniać półprzeźroczyste, białe ściany; w niszy zamajaczył dzbanek. Nagle w kącie dostrzegł parę przyglądających się mu, błyszczących oczu.

- Dobry wieczór, przyjacielu - syn Marii powitał swego towarzysza, ale nie dostał odpowiedzi.

Zgarbiony, z podbródkiem opartym o kolana, ciężko oddychając, Judasz opierał się o ścianę i obserwował go. "Chodź...chodź...chodź..." - mamrotał w myślach, trzymając w ręce przy piersi nóż. "Chodź...chodź...chodź..." - szeptał obserwując zbliżającego się syna Marii. "Chodź..." - wabił go w myślach.

Przed oczami stanęła mu wieś, w której się urodził, Kariota w odległej Idumei. Pamiętał, że dokładnie w taki sam sposób jego wuj, egzorcysta, wabił szakale, króliki i kuropatwy, które chciał zabić. Kładł się na ziemi, wbijał oczy w ofiarę i syczał kusząco, błagalnie, rozkazująco: chodź...chodź...chodź... Zwierzę traciło głowę, zaczynało się czołgać w kierunku głosu z pochyloną głową, wstrzymując oddech. Nagle Judasz zaczął syczeć - najpierw łagodnie i czule, potem coraz silniej, rozkazująco; syn Marii, który już ułożył się do snu, podskoczył ze strachu. Kim jest ten obok? Kto tu syczy? W powietrzu wyczuł zapach rozdrażnionej bestii i zrozumiał.

- Judaszu, mój bracie, to ty? - zapytał cicho.

- Oprawco! - warknął Judasz, uderzając gniewnie piętą w ziemię.

- Judaszu, mój bracie - zawołał młodzieniec. - Oprawca cierpi bardziej niż ukrzyżowany.

Rudobrody wierzgnął ciałem tak, że znalazł się twarzą w twarz z synem Marii.

- Przysięgłem swoim braciom i matce ukrzyżowanego, że cię zabiję. Witaj, cieślo. Zasyczałem, a ty przyszedłeś.

Poderwał się na nogi, zaryglował drzwi i wrócił do kąta, gdzie zwinął się w kłębek, twarzą w stronę Jezusa.

- Słyszałeś co powiedziałem? Nie próbuj beczeć. Przygotuj się.

- Jestem gotów.

- Tylko bez krzyku! Zaraz będzie po wszystkim! Chcę się stąd wydostać, póki jest jeszcze ciemno.

- Cieszę się, że cię widzę, Judaszu, mój bracie. Jestem gotów. To nie ty syczałeś, Bóg syczał, a ja przyszedłem. To on ułożył wszystko w swej nieskończonej łasce. Przyszedłeś w samą porę, Judaszu, mój bracie. Dziś moje serce zostało oczyszczone: teraz mogę stanąć przed Bogiem. Zmęczyła mnie walka z nim, zmęczyło mnie życie. Oto moje gardło, Judaszu - jestem gotów.

Kowal stęknął i ściągnął brwi. Wcale mu się to nie podobało - dotknięcie bezbronno gardła napawało go obrzydzeniem. Chciał oporu, walki wręcz: śmierć miała przyjść na końcu - jak u prawdziwych mężczyzn - jako sprawiedliwa nagroda za walkę.

Syn Marii wyciągnął szyję i czekał. Kowal odepchnął go swą ogromną łapą.

- Dlaczego się nie opierasz? - warknął. - Co z ciebie za mężczyzna. Wstań i walcz!

- Nie chcę walczyć, Judaszu, mój bracie. Dlaczego miałbym stawiać opór? Chcę tego co ty; z pewnością Bóg chce tego samego - dlatego wszystko tak idealnie ułożył. Nie rozumiesz? W tym samym momencie wyruszyliśmy do tego klasztoru; gdy tylko tu przybyłem, moje serce zostało oczyszczone, przygotowałem się na śmierć; ty wzięłeś nóż, schowałeś się w tym kącie i przygotowałeś, by zadać mi cios, ja wszedłem. ... Jakich jeszcze innych znaków ci potrzeba, Judaszu, bracie mój?

Kowal nie odpowiedział. Gryzł wściekle wąsa, a gorąca krew rwała w jego żyłach, uderzała do głowy, rozgrzewała umysł, uciekała do stóp i po chwili wracała z powrotem.

- Dlaczego robisz krzyże? - wybuchnął w końcu.



Młody mężczyzna pochylił głowę. To była jego tajemnica - jak mógł ją zdradzić? Jak kowal miał dać wiarę snom, które Bóg mu zesłał, albo głosom, które słyszał, gdy był sam? Pazurami, które wbijały mu się w głowę i chciały go unieść do nieba, a on opierał się, bo nie chciał tam iść - jak Judasz mógłby to wszystko zrozumieć? To, że przywarł rozpaczliwie do grzechu jak do kotwicy, która trzymała go na ziemi.

- Nie mogę ci tego wyjaśnić, Judaszu. Przebaczone mi, mój bracie - powiedział ze skruchą - ale nie mogę.

Kowal zmienił pozycję, żeby lepiej widzieć twarz młodzieńca.

Patrzył na nią chciwie, potem cofnął się powoli i ponownie oparł o ścianę. "Co to za człowiek? - zapytał samego siebie. - Nie rozumiem. Zastanawiam się czy to diabeł, czy anioł go prowadzi. A może Bóg? W każdym razie niech będzie przeklęty! Najgorsza jest ta jego uległość! Nie potrafię zabijać jagniąt; ludzi - tak, ale nie jagnięta".

- Jesteś tchórzem, nędzny łotrze - wybuchnął. - Niech cię piekło pochłonie. Gdy dostaniesz policzek, zaraz nadstawiasz drugi. Widzisz nóż i już wyciągasz gardło. Mężczyzna nie może cię dotknąć bez obrzydzenia.

- Ale Bóg może - powiedział spokojnie syn Marii.

Kowal przekreślał w dłoni nóż, nie mogąc podjąć decyzji. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi świetlistą aureolę nad głową młodzieńca. Ogarnął go strach, a ręka rozluźniła się.

- Może jestem tępy - rzekł do syna Marii - ale mów - zrozumieć. Kim jesteś? Czego chcesz? Skąd pochodzisz? Co znaczą te opowieści o tobie: kwitnąca laska, błyskawice, czary, głosy, które rzekomo słyszysz w ciemności? Powiedz mi, jaka jest twoja tajemnica?

- Litości, Judaszu, mój bracie.

- Nad kim? Nad kim się tak litujesz? Nad sobą, nad swoim nieszczęściem? A może nad Izraelem? Mów! Nad Izraelem? Chcę, żebyś to powiedział, słyszysz? To, albo nic innego. Czy gryzie cię cierpienie Izraela?

- Cierpienie ludzi, mój bracie.

- Zapomnij o ludziach. Grecy, którzy mordowali nas przez tyle lat, to też ludzie. Tak samo Rzymianie, którzy mordują nas, plugawią świątynie i Boga. Po co się o nich martwić? Powinieneś myśleć o Izraelu; jeśli już się litujesz, lituj się nad Izraelem. Całą resztę niech piekło pochłonie!

- Ale ja lituję się nad szakalami, mój bracie Judaszu, i nad jaskółkami, i trawą.

- I nad mrówkami? - zaśmiał się rudobrody.

- Tak, nad nimi też. Wszystko to boże stworzenia. Gdy przyglądam się mrówce, widzę twarz Boga.

- A gdybyś mi się przyjrzał, synu cieśli?

- W twojej twarzy bardzo wyraźnie widzę Boga.

- I nie boisz się śmierci?

- Dlaczego miałbym się jej bać, Judaszu, mój bracie? Śmierć to nie drzwi, które się zamykają, lecz otwierają. A człowiek wchodzi w nie.

- Gdzie?

- Do Boga.

Judasz westchnął ze zniecierpliwieniem. "Nie można go złapać - pomyślał - nie można, bo nie boi się śmierci". Podpierając brodę dłonią, spoglądał na Jezusa i usiłował podjąć jakąś decyzję.

- Co zrobisz - zapytał - jeżeli cię nie zabiję?

- Nie wiem. Co zadecyduje Bóg. ... Chciałbym rozmawiać z ludźmi.

- I co im powiesz?

- Skąd mam wiedzieć? Otworzę usta, a Bóg będzie mówił.

Świetlista aureola wokół głowy młodzieńca pojaśniała; jego smutna, wycieńczona twarz rozbłysła jak błyskawica, a duże, czarne jak smoła oczy uwodziły Judasza swą niewypowiedzianą słodyczą. Rudobrody poczuł się zakłopotany i spuścił wzrok. "Nie zabiję go - pomyślał - jeżeli będę pewien, że tak pokrzepi serca Izraelitów, żeby powstali przeciw Rzymianom.

- Na co czekasz, Judaszu, mój bracie - spytał młodzieniec. - A może Bóg nie przysłał cię, żebyś mnie zabił, może pragnie czegoś innego, nieznanego nawet tobie i patrzysz na mnie, bo pragniesz odkryć co to takiego. Jestem gotów umrzeć, tak jak jestem gotów żyć. Decyduj!

- Nie spiesz się - odpowiedział Judasz z przygnębieniem. - Noc jest długa, mamy dużo czasu.

Po chwili jednak wykrzyknął jak oszalały.

- Nawet nie można z tobą rozmawiać! Pytam cię o jedno, a ty mówisz co innego: nie mogę cię przyskrzynić. Zanim cię zobaczyłem, byłem zdecydowany. Zostaw mnie w spokoju. Odwróć się w drugą stronę i śpij. Chcę być sam, żeby móc przetrwać to wszystko i coś postanowić.

Odwrócił się do ściany, złorzeczając pod nosem, zaś syn Marii leżał spokojnie na swoim posłaniu, ze skrzyżowanymi nogami.

“Czegokolwiek Bóg chce, wydarzy się” - pomyślał i z ufnością zamknął oczy.

Z gniazda w skale wynurzył się orzeł, zobaczył, że powietrzna trąba Boga oddaliła się, śmignął w przestworza, a potem zaczął czule przywoływać swoją towarzyszkę. Bóg odszedł, wołał; udało nam się po raz kolejny, najdroższa - chodź! Wysoko w górze otwory w suficie celi wypełniły się gwiazdami. Syn Marii był szczęśliwy, że może je oglądać. Przesuwały się powoli, znikwały, a na ich miejsce zjawiały się inne. Upływały godziny.

Judasz kręcił się i przewracał na swoim posłaniu. Czasami wstawał; dysząc i mamrocząc podchodził do drzwi po to tylko, żeby wrócić po chwili na posłanie. Syn Marii obserwował go spod półprzymkniętych powiek i czekał. “Czegokolwiek chce Bóg, wydarzy się” - myślał i czekał. Mijały godziny.

W pobliskiej stajni wielbłąd zarżał z przerażenia; musiał mu się przyśnić wilk albo lew. Wielkie, coraz to inne gwiazdy wspinały się zawzięcie na wschodnią stronę nieba, uporządkowane jak wojsko.

Nagle w głębokiej ciszy zapiał kogut. Judasz poderwał się. Jednym skokiem znalazł się przy drzwiach. Otworzył je gwałtownie i zamknął za sobą. Słysząc było ciężki odgłos jego bosych stóp na kamieniach.

Wtedy syn Marii odwrócił się i zobaczył swą wierną towarzyszkę podróży. Stała w kącie, wyprostowana i czujna.

- Wybacz mi, sestro - powiedział do niej. - Jeszcze nie nadszedł czas.

## ROZDZIAŁ XII

Tego dnia wiał ciepły, wilgotny wiatr, piętrząc wysokie fale na jeziorze Genezaret. Nadeszła jesień i ziemia pachniała liśćmi winorośli i przejrzalymi winogronami. Mężczyźni i kobiety wysypali się z Kafarnaum o świcie. Była pełnia winobrania; dojrzałe grona, pełne moszczu, leżały w oczekiwaniu na ziemi. Młode dziewczęta, skrzące się jak winogrona, zjadały całe kiście, nurzając twarze w soku. Młodzi mężczyźni, u szczytu swych sił witalnych, rzucali ukradkowe spojrzenia na chichoczące przy zbiorach dziewczęta. W każdej winnicy słychać było okrzyki i wybuchy śmiechu. Dziewczęta nabierały odwagi i dokuczały chłopcom, którzy podniecali się coraz bardziej i przysuwali coraz bliżej. Przebiegły diabeł winobrania biegał tam i z powrotem, podszczypując kobiety i zrywając boki ze śmiechu.

Drzwi przepastnego wiejskiego domu Zebedeusza były szeroko otwarte, a w całym obejściu aż huczało. Po lewej stronie podwórza stała prasa do winogron, do której wciąż wsypywano owoce z pełnych po brzegi koszy, dostarczanych z winnic przez młodych mężczyzn. Czterech olbrzymów, Filip, Jakub, Piotr i Nataniel - Wiejski szewc, prostoduszny człowiek o sile wielbłąda - myło swoje owłosione golenie, przed wejściem do prasy, gdzie mieli wygniatać grona nogami. Każdy biedak z Kafarnaum miał swoją małą winnicę, która dawała mu roczny zapas wina, i co roku korzystał z prasy Zebedeusza, wygniatał owoce nogami i zabierał swoją część winnego moszczu. A stary chciwiec Zebedeusz napełniał winem swoje słoje i baryłki dzięki prowizji, jaką pobierał za udostępnienie prasy. Dlatego siedział teraz na podwyższeniu, z długim kijem i kozikiem w rękach, i nacięciami liczył liczbę dostarczonych przez każdego koszy. Ich właściciele także liczyli w myślach: nie chcieli zostać oszukani przy podziale moszczu, który miał nastąpić za dwa dni. Stary Zebedeusz miał opinię zdziercy - nikt mu nie ufał, nie można było spuścić z niego oka. Wychodzące na podwórze okno domu było otwarte; w środku na kanapie leżała stara Salome, żona bogacza. Wyglądała na zewnątrz i słuchała tego, co działo się na podwórzu; dzięki temu mogła zapomnieć o katuszach, jakie cierpiała z powodu silnych bólów w kolanach i we wszystkich stawach. Za młodu musiała być niezwykle piękna - drobnej budowy ciała, wysoka, o oliwkowej skórze i dużych oczach: pochodziła z dobrego rodu. Rywalizowały o nią trzy wsie - Kafarnaum, Magdala i Betsaida. Trzech konkurentów wyruszyło w tym samym czasie i odnalazło jej starego ojca, zamożnego właściciela

okrętu. Każdy z nich przybył z bogatym orszakiem przyjaciół, karawaną wielbłądów i pełnymi po brzegi koszami. Chytry starzec skrupulatnie ocenił w myślach ciało, duszę i majątek każdego z nich i wybrał Zebedeusza, który ją poślubił. Dała mu wiele radości, ale teraz śliczna dziewczyna była już staruszką; jej piękność, zniszczona przez czas, uleciała, toteż od czasu do czasu, zwykle z okazji ważnych świąt, jej krzepki, ciągle jurny małżonek wyruszał nocą na obchód i zabawiał się z wdowami.

Tego dnia jednak twarz starej Salome promieniowała. Jan, jej ukochany syn, przybył poprzedniej nocy ze świętego klasztoru. Był rzeczywiście blady i chudy. Modlitwa i post wyniszczyły go. Postanowiła, że nie pozwoli mu już nigdy odejść. Będzie go karmić i poić, aż nabierze sił, a jego policzki znowu się zarumienia. "Bóg jest dobry - mówiła do siebie - wielbimy jego łaskę. Tak, On jest dobry, ale nie wolno mu żądać krwi naszych dzieci. Post z zachowaniem umiaru i modlitwa z zachowaniem umiaru: to powinno zadowolić zarówno Boga, jak i człowieka; właśnie tak powinno się to ustalić - rozsądnie". Spojrzała z niepokojem na drzwi, czekając na powrót Jana z winnicy, gdzie pomagał przy winobranii.

Na środku podwórza, pod ogromnym migdałowcem, który ugiął się pod ciężarem owoców, Judasz, rudobrody kowal, pochylał się w milczeniu i machał młotkiem, zakładając żelazne obręcze na baryłki do wina. Jeśli patrzyło się na niego z prawej strony, jego twarz miała wyraz posepny i pełen złośliwości; zaś lewa połowa wyrażała niepokój i smutek. Minęło już wiele dni, odkąd uciekł z klasztoru niczym złodziej. W tym czasie krążył po wioskach, zakładając obręcze na baryłki, które napełniano świeżym moszczem. Wchodził do domów, pracował, przysłuchiwał się rozmowom i rejestrował w pamięci słowa i czyny każdego człowieka, aby donieść o wszystkim Bractwu. Gdzież podział się dawny rudobrody - tamten kłótniwy awanturник! Od dnia ucieczki z klasztoru zmienił się nie do poznania.

- Niech cię diabli, Judaszu Iskarioto, otwórz gębę rudzielcu - wrzasnęła na niego Zebedeusz. - O czym tak rozmyślasz? Dwa i dwa to cztery - nie doszedłeś jeszcze do tego? Otwórz gębę, ty przeklęty łotrze, i powiedz coś! Mamy winobranie - to nie byle co! W taki dzień wszyscy się śmieją - nawet ponure czarne owce!

- Nie wódź go na pokuszenie, Zebedeuszu, - przerwał mu Filip. - Wrócił z klasztoru, zdaje się, że chce przywdziać habit. Nie słyszałeś o tym? Kiedy diabeł się zestarzeje, zostaje mnichem!

Judasz odwrócił się i posłał Filipowi jadowite spojrzenie, ale nie odezwał się. Nie znosił go. Nie był mężczyzną - nie, ten gaduła był mocny tylko w gębie. W

ostatniej chwili sparaliżował go strach i odmówił wstąpienia do Bractwa.

- Mam owce, usprawiedliwiał się - jakże mogę je zostawić?

Stary Zebedeusz wybuchnął śmiechem i zwrócił się do rudobrodego.

- Uważaj, łotrze - zawołał do niego. - Życie klasztorne to jak zakaźna choroba. Uważaj, żebyś się nie zaraził! Mój własny syn uniknął jej o włos. Moja staruszka, Bóg z nią, zachorowała i jej pieczoszek dowiedział się o tym. Skończył już poznawać zioła pod kierunkiem opata, więc wrócił do domu, żeby ją leczyć. Już jej nie opuści - wspomnisz moje słowa. Dokąd miałby pójść? Przecież nie jest szalony, prawda? Tam na pustyni jest głód, pragnienie, umartwienia - i Bóg. Tutaj zaś mamy jedzenie, wino, kobiety - i Boga. Bóg jest wszędzie. Po co szukać go na pustyni? Co ty na to, Judaszu Iskarioto?

Rudobrody machał młotkiem i nie odpowiadał. Cóż mógłby odpowiedzieć? Ten plugawy pies miał wszystko, czego tylko zapragnął. Jakże mógł zrozumieć kłopoty swoich bliźnich? Nawet Bóg, który ścierał innych z powierzchni ziemi jak pchłę, schlebiał i rozpieszczał tę świnię, tego pasożyta, tego dusigrosza, nie pozwalał, by spotkała go najmniejsza krzywda i ochraniał go jak chłodne płótno w lecie, jak wełniany płaszcz w zimie. Dlaczego? Co takiego w nim widział? Czy stary łajdak był pochłonięty troską o Izrael? Gdzież tam, nie kiwnąłby nawet palcem, żeby pomóc Izraelowi - kochał tych rzymskich zbrodniarzy, bo stali na straży jego majątku. Niech ich Bóg ma w opiece, mówił, bo oni utrzymują porządek. Gdyby ich nie było, zgraja łotrów rzuciłaby się na nas i tyle byśmy widzieli nasze majątki... Ale bez obawy, ty stary łajdaku, jeszcze nadejdzie ta godzina. To o czym zapomina i czego nie załatwia Bóg, o tym będą pamiętać zeloci, Bóg z nimi, oni to załatwią. Cierpliwości Judaszu i ani pary z gęby. Dzień Jahwe, Pana Zastępów nadejdzie!

Wzniósł swoje turkusowe oczy na Zebedeusza i ujrzał go pływającego na plecach we własnej krwi wypełniającej prasę do winogron. Całą twarz Judasza okrył uśmiech.

Tymczasem czterech olbrzymów wyszorowało już dokładnie nogi i wskoczyło do wnętrza prasy. Zapadając się po kolana, deptali i tratowali winogrona, pochylali się, by nabrać pełne garście owoców, które jedli łączywie, z brodami pełnymi zaplątanych łodyżek. Czasami tańczyli wszyscy razem, a czasem każdy z osobna skakał i wrzeszczał. Zapach moszczu upoił ich - choć nie był to jedyny powód: gdy spoglądali przez otwarte drzwi w stronę winnic, widzieli dziewczęta nachylające się, by zerwać winne grona, z pięknymi nogami odsłoniętymi powyżej kolan, zaś ich piersi, jak

dojrzałe kiście, kołysały się tam i z powrotem nad liśćmi winorośli.

Mężczyznom wewnątrz prasy mąciło się w głowie od tych widoków. A może wokół nie było żadnej prasy do winogron, ziemi ani winnicy, ale raj, gdzie sam Jahwe, Pan Zastępów, siedział na podwyższeniu z długim kijem i kozikiem, i zaznaczał dokładnie swoje zobowiązania wobec każdego: ile kto przyniósł koszy winogron i ile dzbanów wina za to dostanie, gdy za dwa dni umrze - ile dzbanów wina, ile garnków z jadem, ile kobiet!

- Na mój honor - warknął Piotr - gdyby w tej chwili przyszedł do mnie Bóg i powiedział mi: "Hej, Piotrze, mój mały Piotrze, jestem dzisiaj w doskonałym nastroju, proś mnie o co chcesz, a ja to spełnię. Czego chcesz?" - gdyby mnie tak zapytał, odpowiedziałbym: - Chciałbym wygniatać winogrona, Panie, wygniatać winogrona przez całą wieczność!

- Nie lepiej pić wino, durniu? - spytał go obraźliwie Zebedeusz.

- Nie, z głębi mego serca: wygniatać winogrona! - Nie śmiał się, jego twarz była poważna i zaabsorbowana. Przerwał na chwilę pracę i przeciągnął się w słońcu. Był nagi do pasa; nad sercem miał wytatuowaną dużą, czarną rybę. Pewien rzemieślnik, były więzień, wrył mu ją wiele lat temu za pomocą igły tak umiejętnie, że patrzącemu zdawało się, że ryba porusza ogonem i pływa radośnie, zaplątana w kędzierzawe włosy na piersi Piotra. Nad rybą znajdowała się mała kotwica z czterema skrzyżowanymi ramionami, z których każde było zakończone zakrzywionym haczykiem.

Filip przypomniał sobie swoje owce. Nie lubił orać ziemi, doglądać winnicy, ani wygniatać winogron.

- Na miły Bóg, Piotrze - sztydził - też znalazłeś sobie zajęcie - wygniatanie winogron przez całą wieczność! Ja poprosiłbym Pana, aby zamienił niebo i ziemię w zieloną łąkę pełną kóz i owiec. Doiłbym je i pozwalał, żeby mleko spływało po stokach gór. Płynęłoby jak rzeka i rozlewało się w jeziora na równinie, by ubodzy mogli się napić. Każdego wieczoru zbieralibyśmy się wszyscy - wszyscy pasterze, a z nami Bóg, naczelnny pasterz - rozpalilibyśmy ogień, piekli jagnię i snuli opowieści.- To jest właśnie raj!

- Bodajbyś zdechł, ty głupku! - mruknął Judasz i rzucił kolejne wściekłe spojrzenie na Filipa.

Młodzieńcy wchodzili i wychodzili z podwórza, nadzy, owłosieni, z kolorowymi przepaskami wokół bioder. Słuchali tych chaotycznych dyskusji i śmiali się. Oni także mieli swoją wizję raj, ale nie chcieli jej wyjawiać. Szufłami przesyrywali zawartość

koszy do wnętrza prasy, a potem jednym susem byli już za progiem; spieszyli się, żeby dołączyć do powabnych dziewcząt w winnicy.

Zebedeusz otworzył usta, żeby dorzucić jakąś mądrą uwagę, ale pozostał tak z rozdziawioną gębą, bo oto dziwny gość pojawił się w drzwiach i stał tam przysłuchując się rozmowie. Był bosy, ubrany w czarną kozłą skórę, okręconą wokół szyi; włosy miał potargane, a twarz żółtą jak siarka. Jego oczy były ogromne, czarne i płonące.

Praca ustała. Zebedeusz połknął swoje dowcipne powiedzonko; wszyscy zwrócili się ku drzwiom. Kim był ten żywy trup stojący na progu? Śmiech zamarł. W oknie pojawiła się stara Salome, spojrzała na przybysza i zawołała nagle:

- To, Andrzej!

- Na miłość Boską, Andrzej - zawołał Zebedeusz - jak ty wyglądasz! Czy wracasz do nas z zaświatów? A może właśnie się tam wybierasz!

Piotr wyskoczył z prasy, uściśnął w milczeniu dłoń brata, wpatrując się w niego z miłością i strachem. O Boże, czy to był Andrzej, Andrzej, ten pucułowaty młody bohater, zawsze pierwszy do pracy i do zabawy? Czy to był Andrzej, zaręczony kiedyś z jasnowłosą Ruth, najładniejszą dziewczyną we wsi? Pewnej nocy, gdy Bóg zesłał straszliwą burzę, Ruth i jej ojciec utonęli w jeziorze, a zrozpaczony Andrzej odszedł, wyrzekając się wszystkiego i oddając całkowicie w ręce Boga. "Kto wie - myślał wtedy - jeśli związę się z Bogiem, to może odnajdę w Nim Ruth". Najwyraźniej szukał swojej narzeczonej, a nie Boga.

Piotr wpatrywał się w niego z przerażeniem. Pamiętał, jak brat wyglądał, gdy oddawali go Bogu, i prosił w jakim stanie Bóg im go zwracał!

- Ejże - krzyknął do Piotra Zebedeusz. - Masz zamiar gapić się na niego i dotykać go przez cały dzień? Niech wejdzie do środka, jeszcze go tam na dworze wiatr przewróci! Wejź, Andrzej, mój chłopcze, pochyl się, weź trochę winogron i jedz. Mamy też chleb, chwalić Boga. Jedz i nabierz kolorów, bo gdy twój stary ojciec zobaczy cię w takim stanie to tak się przestraszy, że da nura z powrotem do wnętrza swojej ryby!

Andrzej uniósł swoją kościstą rękę.

- Nie macie wstydu? - zawołał. - Nie boicie się Boga? Świat ginie, a wy tutaj wygniatacie winogrona i śmiejecie się!

- Ratujcie nas wszyscy święci, jeszcze jeden przyszedł nas dręczyć! - gderał stary Zebedeusz rozgniewany. - Ty też nie zostawisz nas w spokoju, co? Mam już tego po dziurki w nosie, jeśli chcesz wiedzieć. Czy to właśnie głosi twój prorok Chrzciciel?



Jeśli tak, to powiedz mu, żeby zmienił melodię. Mówi, że nadszedł koniec świata, że otworzą się groby i wyjdą z nich umarli, mówi, że zstąpi Bóg - Powtórne Przyjście! - by otworzyć księgę, w której wszystko jest zapisane, a wtedy biada nam! Kłamstwa! Po trzykroć kłamstwa! Nie słuchajcie go chłopcy. Pracujcie dalej! Wygniatajcie winogrona!

- Żałujcie za grzechy! Żałujcie za grzechy! - wrzasnął syn Jonasza? Wyswobodził się z uścisku brata i stanął pośrodku podwórza, z palcem wzniesionym ku niebu.

- Andrzej, dla twojego własnego dobra - powiedział Zebedeusz - usiądź, jedz, napij się wina i opamiętaj się. Biedaku, głód odebrał ci rozum!

- To tobie dostatnie, wygodne i wolne od trosk życie odebrało rozum, Zebedeuszu, - odpowiedział syn Jonasza. - Ale ziemia rozstępuje się pod twoimi stopami: Pan ziemi pochłonie twoją prasę do winogron i twoje łodzie, a także ciebie i twój przeklęty brzuch!

Płonął gniewem. Wodził wzrokiem po wszystkich wokół i wołał:

- Zanim ten moszcz zmieni się w wino, nastąpi koniec świata! Nałóżcie włosiennice, posypcie głowy popiołem, bijcie się w piersi i wołajcie: "Zgrzeszyłem! Zgrzeszyłem!" Ziemia to drzewo, które zgniło, a Mesjasz nadchodzi z siekierą!

Judasz przestał walić młotkiem. Jego górna warga podniosła się, a ostre zęby zaśniły w słońcu. Zebedeusz miał już dość tej przemowy.

- Piotrze, na miłość Boską - zawołał - zabierz go i wyprowadź stąd! Robotka czeka. "On nadchodzi! On nadchodzi!", Czasami niesie ze sobą ogień, czasami księgę, w której wszystko jest zapisane, a teraz - co jeszcze! Siekierę. Dlaczego nie zostawicie nas w spokoju, wy oszuści, szalbierze! Ten świat trzyma się świetnie, świetnie powiadam! ... A więc chłopcy, wygniatajcie winogrona i nie obawiajcie się! Piotr czule poklepał brata po plecach, by go uspokoić.

- Ucisz się - szepnął do niego - ucisz się bracie, nie krzycz. Jesteś zmęczony drogą. Chodźmy do domu, odpoczniesz trochę, a ojciec odzyska spokój na twój widok. Wziął go za rękę i poprowadził powoli, ostrożnie, jakby prowadził ślepego. Poszli wąską uliczką i wkrótce zniknęli wszystkim z oczu.

Stary Zebedeusz wybuchnął śmiechem.

- Ech, nieszczęsny Jonaszu, mój biedny stary proroku połknięty przez rybę, nie chciałbym być na twoim miejscu za żadne skarby świata!

W tym momencie stara Salome uznała, że nadeszła jej kolej. Wciąż jeszcze

czuła na sobie palące spojrzenie wielkich oczu Andrzeja.

- Zebedeuszu, - powiedziała kręcąc swoją siwą głową - uważaj na to, co mówisz, stary grzeszniku. Nie śmieję się. Anioł stoi nad nami i zapisuje, wszystko zapisuje. Bóg odplaci ci tym samym za twoje drwiny.

- Matka ma rację - powiedział Jakub, który nie odzywał się aż do tej chwili. - O mały włos a spotkałoby cię to samo ze strony Jana, twój ulubieńca, a i teraz, moim zdaniem, nadal ci to grozi. Powiedzieli mi tragarze, że Jan nie pomaga w winobranii, tylko siedzi z kobietami i roztkliwia się nad Bogiem, postem i duszą nieśmiertelną. A więc ojczu, nie chciałbym być także i na twoim miejscu!

Zaśmiał się oschle. Nie mógł znieść swego leniwego, rozpieszczonego brata i zaczął z wściekłością wygniatać winogrona.

Krew uderzyła Zebedeuszowi do jego dużej głowy. On z kolei nie mógł znieść swego najstarszego syna - zbyt byli do siebie podobni. Zapewne wybuchłaby kłótnia, gdyby w tej samej chwili w drzwiach nie pojawiła się Maria, żona Józefa, z Nazaretu, wsparta na ramieniu Jana. Jej szczupłe stopy były pokrwawione i pokryte kurzem. Minęło już wiele dni, odkąd opuściła swój dom i z płaczem szła od wioski do wioski, szukając swego nieszczęsnego syna. Bóg odebrał mu rozum, jej syn zerwał ze zwyczajnym życiem. Wzdychając, Maria śpiewała pieśń żalobną za swego syna. Rozpytywała, wszędzie rozpytywała, czy ktoś go nie widział: - Jest wysoki, szczupły, chodzi boso, miał na sobie niebieską tunikę i czarny skórzany pas. Może widzieliście go? ... - Nikt go nie widział; dopiero teraz, dzięki młodszemu synowi Zebedeusza, udało się jej trafić na jego ślad. Był w klasztorze na pustyni. Przywdział biały habit, leżał na ziemi twarzą posadzki i modlił się... Jan, zdjęty litością, opowiedział jej to wszystko. Teraz, wsparta na jego ramieniu, wstąpiła na podwórze domu Zebedeusza, by trochę odpocząć przed wyruszeniem na pustynię. Stara Salome podniosła się majestatycznie.

- Witaj Mario, moja droga, - powiedziała. - Wejdz do środka.

Maria opuściła chustę na czoło, skłoniła głowę i przeszła przez podwórze ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ujawszy dłonie swojej starej przyjaciółki, zaczęła płakać.

- To wielki grzech, że płaczesz, moje dziecko, - powiedziała stara Salome. Posadziła ją na kanapie i sama usiadła obok. - Twój syn jest już bezpieczny, przebywa pod Bożym dachem.

- Wielka jest boleść matki, Salome, - odpowiedziała z westchnieniem Maria. - Bóg dał mi tylko jednego syna, a i tego naznaczył skazą.

Stary Zebedeusz usłyszał jej skargę (nie był złym człowiekiem, jeśli tylko nie przeszkadzano mu w osiągnięciu zysków) i zszedł ze swego podwyższenia, żeby ją pocieszyć.

- To ta jego młodość, Mario - powiedział - ta jego młodość. Nie martw się - to minie. Młodość, Bóg z nią, jest jak wino, ale w porę trzeźwiejemy i pozwalamy sobie nałożyć jarzmo bez wierzgania. Twój syn, Mario, też otrzeźwieje. Popatrz na mojego syna, tego, który tu stoi przed tobą; już zaczyna trzeźwieć, chwala Bogu.

Jan zaczerwienił się, ale nic nie odpowiedział. Wszedł do środka, aby przynieść kubek zimnej wody i kilka dojrzałych fig na poczęstunek dla gościa. Dwie kobiety siedziały obok siebie i dotykając się głowami rozmawiały o młodzieńcu, który został porwany przez Boga. Rozmawiały szeptem, by mężczyźni nie mogli ich usłyszeć i zakłócić swoimi uwagami tej głębokiej radości, jaką daje kobietom ból.

- Salome, twój syn mówi mi, że on nie przestaje się modlić, ciągle tylko leży plackiem na ziemi, aż zrogowaciały mu od tego ręce i kolana. Jan mówi też, że on nie bierze ust i marnieje w oczach. Zaczął widywać skrzydła w powietrzu. Zdaje się, że nawet odmawia przyjmowania wody, żeby tylko widzieć anioły. Salome, do czego może doprowadzić ta choroba? Nawet jego wuj, rabin, nie może go uleczyć, a pomyśl tylko, jak wielu innych ludzi opętanych przez diabły udało mu się uzdrowić. Salome, dlaczego Bóg mnie przeklął, co mu zrobiłam?

Położyła głowę na kolanach swej starszej przyjaciółki i zaczęła szlochać.

Po chwili zjawił się Jan z miedzianym kubkiem pełnym wody i pięcioma czy sześcioma figami na liściu figowca.

- Nie płacz - powiedział do Marii, kładąc owoce na jej kolanach. - Twarz twój syna promienieje świętym blaskiem. Nie wszyscy to zauważają, ale ja widziałem go pewnej nocy: widziałem jak blask lizał mu twarz, jakby ją spalał; strach mnie ogarnął na ten widok. A po śmierci opata, ojciec Habakuk śnił o nim każdej nocy. Mówi, że we śnie opat trzymał twego syna za rękę i prowadził go do celi. Wskazywał na niego wyciągniętym palcem, nic nie mówił, tylko się uśmiechał. W końcu ojciec Habakuk wyskoczył przerażony z łóżka i obudził pozostałych mnichów. Wszyscy razem usiłowali rozwikłać zagadkę tego snu. Co opat chciał im powiedzieć? Dlaczego wskazywał na przybysza i uśmiechał się? Nagle, przedwczoraj, w dniu, w którym opuściłem klasztor, Bóg oświecił mnichów i pojęli znaczenie snu. Zmarły nakazywał im, aby uczynili twego syna opatem. Bez chwili zwłoki, mnisi z całego klasztoru pobiegli i odszukali twego syna. Upadli mu do nóg i zawołali, że z woli Boga

powinien zostać opatem tego klasztoru. Ale twój syn odmówił. - Nie, nie taka jest moja droga, - powiedział. - Nie jestem godny, odejdę stąd! - W południe gdy opuszczałem klasztor, słyszałem jak krzyczał, odmawiając przyjęcia zaszczytu. Mnisi grozili, że zamkną go na klucz w celi i postawią strażników pod drzwiami, żeby nie mógł uciec.

- Gratuluję ci Mario, - powiedziała stara Salome, a jej postarzała twarz promieniała. - Szczęśliwa matko! Bóg nappełnił twoje łono swym tchnieniem, a ty nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy!

Kobieta umiłowana przez Boga pokręciła głową niepokieszona.

- Nie chcę, żeby mój syn został świętym - szepnęła. - Chcę, żeby był człowiekiem jak inni. Żeby się ożenił i dał, mi wnuki. Tak jest po bożemu.

- Tak jest po ludzku - powiedział cicho Jan, jakby wstydząc się swojego sprzeciwu. - To twój syn żyje teraz po bożemu.

Naraz usłyszeli głosy i śmiech od strony winnicy. Dwóch młodych tragarzy, z wypiekami na twarzach, wpadło na podwórze.

- Złe wieści, gospodarze - zawołali, pękając ze śmiechu. - Wygląda na to, że Magdała powstała. Ludzie chwycili za kamienie i ścigają swoją rusałkę, żeby ją zabić!

- Jaką rusałkę, chłopcy? - wrzasnęli mężczyźni, przerywając swój taniec w winogronowej prasie. - Magdalene?

- Tak, Magdalene, Bóg z nią! Powiedzieli nam o tym dwaj przejezdni handlarze mułów. Podobno herszt bandytów, Barabasz - ten, który wzbudza taką trwogę - opuścił Nazaret i napadł na Magdałę wczoraj, w sobotę.

- No i macie następnego! - warknął z wściekłością Zebedeusz. - Bodajby zdechł! Mówi, że jest zelotą i że uratuje Izrael. Niech zgnije w piekle ten plugawy łajdak z tym swoim zwierzęcym pyskiem!... I co dalej?

- No więc, szedł wieczorem koło domu Magdaleny i zobaczył tłum na jej dziedzińcu. Wyklęta pracowała w dzień świętego szabat! Takiej bezbożności nie mógł znieść. Wpada na dziedziniec, wyciąga zza pazuchy nóż, kupcy dobywają mieczy, wpadają też sąsiedzi, wszyscy rzucają się na siebie i w mgnieniu oka dziedziniec zamienia się w płataninę rąk i nóg. Dwóch z naszych odniosło rany, kupcy dosiedli wielbłądów i uciekli co sił w nogach. Barabasz wyważył drzwi, żeby znaleźć panią domu i zabić ją. Ale Magdaleny już nie było! Wymknęła się z klatki, uciekła nie zauważona przez tylne drzwi! Cała wieś rzuciła się w pościg, ale wkrótce zrobiło się ciemno i nie było żadnych szans, żeby ją znaleźć. Rankiem ludzie rozbiegli się we

wszystkie strony; szukali, aż wpadli na jej trop. Zdaje się, że znaleźli ślady jej stóp na piasku - szła do Kafarnaum!

- To będzie frajda jak tu przyjdzie, co chłopcy! - powiedział Filip, oblizując swoje wystające, kozie wargi. - Tylko jej brakowało w naszym rajku. Tak, zapomnieliśmy o Ewie; na pewno ją miło przywitamy! - Jej młyn jest otwarty także w szabat, niech ją Bóg zachowa! - powiedział prostak Nataniel, uśmiechając się głupio i zarazem przebiegle w gąszczu swojej brody. Przypomniał sobie, jak pewnego razu, w przeddzień szabatu, wykąpał się, ogolił i założył czyste ubranie. Wtedy nawiedziła go pokusa i wzięła za rękę. Poszli razem do Mag-dali, najkrótszą drogą do domu Magdaleny, niech ją Bóg zachowa. Była zima, interes szedł kiepsko i Nataniel pozostał w jej młynie przez cały szabat zupełnie sam - i meł. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Wielki grzech, ktoś mógłby powiedzieć. Tak, rzeczywiście, wielki grzech, ale przecież pokładamy całą naszą ufność w Bogu, a Bóg przebacza... Biedny, spokojny, udręczony, nieżonaty Nataniel spędził całe swoje życie przy małym warsztacie na rogu jednej z wiejskich uliczek, robiąc chodaki dla wieśniaków i grube sandały dla pasterzy. Co to było za życie! Dlatego też jeden raz, jeden cenny raz, w całym swoim życiu, rzucił to wszystko i zabawił się jak mężczyzna - nawet jeśli było to w szabat. Przecież Bóg to rozumie - i wybacza... Stary Zebedeusz miał nachmurzoną minę.

- Kłopoty! Kłopoty! - zrzędził. - Czy oni zawsze muszą załatwiać swoje sprawy na moim podwórzu? Najpierw prorocy, potem dziwki albo płaczący rybacy, a teraz Barabasze - tego już za wiele! - Zwrócił się do mężczyzn wygniatających winogrona. - A wy, moi dzielni chłopcy, zajmijcie się lepiej swoimi winogronami!

W domu stara Salome i Maria, żona Józefa, słysząc nowinę, spojrzały na siebie i bez słowa pochyliły głowy. Judasz obdarzył dzikim spojrzeniem starego Zebedeusza, zostawił swój młotek, podszedł do drzwi prowadzących na ulicę i oparł się o futrynę. Wszystko słyszał i zapisywał w pamięci.

Stał i nasłuchiwał. Po chwili dały się słyszeć liczne głosy i uniosła się w powietrzu chmura pyłu. Mężczyźni biegli, kobiety krzychały, "Łapać ją! Łapać ją!" i zanim trzech mężczyzn zdążyli wyskoczyć z wnętrza prasy, a stary chciwiec zsunął się ze swojego podwyższenia, na podwórze wpadła Magdalena w poszarpanym ubraniu, z wywieszonym językiem i upadła do nóg starej Salome.

- Ratunku! - zawołała. - Ratunku! Nadchodzą!

Stara Salome ulitowała się nad grzesznicą. Wstała, zamknęła okno i kazała synowi zaryglować drzwi.

- Przykucnij - rzekła do Magdaleny. - Schowaj się.

Maria, żona Józefa, pochyliła się i spojrzała na zbląkaną kobietę; patrzyła na nią ze współczuciem i ze zgrozą. Tylko uczciwe kobiety wiedzą, jak gorzki i śliski jest honor, toteż czuła dla niej litość. Lecz jednocześnie jej grzeszne ciało wydało się Marii dziką bestią, włochatą, mroczną i niebezpieczną. Ta bestia prawie porwała jej syna, gdy miał dwadzieścia lat, ale udało mu się umknąć. "Tak - pomyślała Maria z westchnieniem - uciekł od tej kobiety, ale nie od Boga..."

Stara Salome położyła rękę na rozpalonej głowie Magdaleny.

- Dlaczego płaczesz moje dziecko? - zapytała ze współczuciem w głosie.

- Nie chcę umierać - odparła Magdalena. - Życie jest dobre. Nie chcę umierać!

Maria, żona Józefa, także wyciągnęła do niej rękę. Nie bała się już i nie czuła do niej nienawiści.

- Nie lękaj się Mario - powiedziała dotykając jej dłoń. - Bóg ma cię w swojej opiece, nie zginiesz.

- Skąd wiesz, Mario? - zapytała Magdalena z błyskiem w oczach.

- Bóg daje nam czas, Magdaleno, czas na pokutę - powiedziała z przekonaniem matka Jezusa.

Trzy kobiety jednoczyły się w bólu, gdy nagle z winnic doleciały je okrzyki: - "Nadchodzą! Nadchodzą! Już tu są!" - Zanim stary Zebedeusz zdążył ponownie zejść ze swego podwyższenia, w drzwiach pojawili się ogromni, rozwścieczeni mężczyźni, a Barabasz, czerwony na twarzy i zlany potem, przekroczył z rykiem próg.

- Zebedeuszu - zawołał - wchodzimy do środka, z twoim pozwoleniem lub bez - w imię Boga Izraela!

Stary gospodarz zdołał tylko otworzyć usta, bo już w następnej chwili Barabasz jednym szarpnięciem wyrwał z zawiasów drzwi i chwycił Magdalenę za włosy.

- Na dwór, dziwko! Na dwór! - ryknął, wlokąc ją na podwórze.

W tym momencie do akcji wkroczyli mieszkańcy Magdali. Pochwycili nieszczęsną, zanieśli wśród gwizdów i wybuchów śmiechu do dołu koło jeziora i wrzucili do środka. Potem rozpierzchli się po okolicy i zaczęli zbierać kamienie w fartuchy i tuniki.

Stara Salome zeskoczyła z kanapy, nie zważając na męczące bóle i powlokła się na podwórze, żeby złać męża.

- Powinieneś się wstydzić - zawołała. - Pozwalasz tym awanturnikom wchodzić do swojego domu i porywać ci sprzed nosa kobietę, która błagała cię o litość.

Zwróciła się też do swojego syna Jakuba, który stał niezdecydowanie na środku podwórza.

- A ty - ty postępujesz tak samo jak twój ojciec. Wstydz się! Nie chcesz okazać się lepszym od niego? Chcesz dopuścić do tego, by zysk stał się także twoim Bogiem? No, rusz się, biegnij! Biegnij ratować tę kobietę, którą cała wieś chce zabić. Cała wieś! Co za hańba!

- Uspokój się, matko, już idę - odparł syn, który nie bał się nikogo na świecie z wyjątkiem własnej matki. Za każdym razem gdy złościła się na niego, oblatywał go strach; ten wściekły, surowy głos wcale nie należał do niej - był to pradawny, zahartowany przez pustynię głos upartego narodu Izraela.

Jakub odwrócił się i skinął głową na swoich dwóch towarzyszy, Filipa i Nataniela.

- Idziemy! - rzucił. Spojrzał w stronę baryłek szukając Judasza, ale kowal zniknął.

- Idę z wami - powiedział Zebedeusz, który bał się zostać sam na sam z żoną. Schylił się po kij i poszedł za synem.

Magdalena krzyczała wniebogłosy. Była cała poraniona; upadła i leżała w kącie dołu, ochraniając głowę rękami. Mężczyźni i kobiety stali wokół i patrzyli na nią ze śmiechem. Ludzie porzucali pracę w winnicach i zbiegali się zewsząd; młodzi mężczyźni pragnęli nasycić oczy widokiem tego sławnego ciała w półnagim i zakrwawionym stanie; dziewczęta przyszyły tu, ponieważ nienawidziły tej kobiety i zazdrościły jej, że miała wszystkich mężczyzn, podczas gdy one ani jednego.

Barabasz podniósł rękę, aby uciszyć tłum. Chciał ogłosić wyrok i dać sygnał do kamienowania, gdy pojawił się Jakub. Już chciał ruszyć na herszta bandytów, ale Filip chwycił go mocno za rękę.

- Dokąd idziesz? - zapytał. - Dokąd my wszyscy idziemy? Przecież jest nas tylko garstka przeciwko całej wsi. Nie mamy żadnych szans!

Ale Jakub nadal słyszał w głębi serca pełen wściekłości głos matki.

- Barabaszu - zawołał - posłuchaj ty zbójcu. - Przyszedłeś do naszej wsi zabijać ludzi, co? Zostaw tę kobietę w spokoju, sami ją osądzimy. Starszyzna z Magdali i Kafarnaum przybędzie tu, by ją osądzić razem z jej ojcem, rabinem z Nazaretu. Takie jest Prawo!

- Mój syn ma rację - dorzucił stary Zebedeusz, który właśnie przybył ze swoim grubym kijem. - On ma rację, takie jest Prawo!

Barabasz obrócił się na pięcie i stanął dokładnie naprzeciwko przybyszów.

- Starszyzna jest łasa na łapówki - zawołał - tak samo jak i Zebedeusz. Nie ufam im. Ja jestem Prawem, a jeśli któryś z was, zuchy, ma w sobie dość odwagi, niech wystąpi i zmierzy się ze mną!

Mężczyźni i kobiety z Magdali i Kafarnaum skupili się wokół Barabasza, a ich oczy pały żądzą, mordy. Ze wsi przybył oddział chłopców uzbrojonych w proce. Filip chwycił Nataniela za ramię i zrobił krok do tyłu. Potem zwrócił się do Jakuba.

- Idź, synu Zebedeusza, idź sam, jeśli chcesz - my zostajemy tutaj. Myślisz, że postradaliśmy rozum?

- Nie wstyd wam, tchórze?

- Nie, nie wstyd. No idź, idź sam.

Jakub odwrócił się do ojca, ale Zebedeusz zakaszłał tylko.

- Jestem stary - powiedział.

- Więc jak będzie? - drwił ze śmiechem Barabasz.

Stara Salome przyszła wsparta na ramieniu młodszego syna. Za nimi zjawiała się Maria, żona Józefa, z oczami pełnymi łez. Jakub odwrócił się, zobaczył matkę i zadrżał. Przed sobą miał przerażającego bandytę ze zgrają oszalałych wieśniaków, a za plecami - milczącą i wściekłą matkę.

- Więc jak? - ryknął znowu Barabasz, podwijając rękawy.

- Nie przyniosę im wstydu! - mruknął syn Zebedeusza. Zrobił krok naprzód. Barabasz natychmiast ruszył w jego stronę.

- Zabije go! - powiedział młodszy brat, próbując się wyswobodzić, żeby stanąć u boku Jakuba. Ale matka powstrzymała go.

- Bądź cicho - powiedziała. - Nie wtrącaj się.

W chwili gdy dwaj przeciwnicy już mieli wziąć się za bary, znad brzegu jeziora dobiegł radosny okrzyk: "Maran atha! Maran atha!" Zaraz potem stanął przed nimi ogorzały od słońca młodzieniec i chwytając z trudem powietrze zaczął wymachiwać ramionami.

- "Maran atha! Maran atha!" - wołał. - Pan nadchodzi!

- Kto nadchodzi? - zapytał tłum, otaczając go. - Kto? -

- Nasz Pan - odpowiedział młodzieniec i wskazał za siebie, w stronę pustyni.

- On jest tam!

Tłum odwrócił się. Zaczęło już zmierzchać i upał zelżał nieco. W oddali widać było mężczyznę wspinającego się na brzeg jeziora. Mężczyzna w białej szacie



wyciągnął rękę w stronę kwitnących oleandrów, zerwał czerwony kwiat i włożył go sobie do ust. Dwie mewy spacerujące po kamieniach rozeszły się na boki, żeby go przepuścić.

Stara Salonie podniosła siwą głowę i wciągnęła nosem powietrze.

- Kto tam idzie? - zapytała swego syna. - Wiatr się zmienił.

- Zaraz pęknie mi serce, matko - odparł chłopak. - To chyba on?

- Kto taki?

- Ciszej, nic nie mów!

- Kim są ci ludzie, którzy za nim idą? Wielkie nieba, przecież to cała armia.

- Matko, to biedacy, którzy zbierają resztki po winobranii. To nie żadna armia, nie obawiaj się.

I rzeczywiście, tłum obdartusów, który zaczął pojawiać się za plecami nieznajomego przybysza, wyglądał jak wojsko. Biedacy natychmiast rozbiegli się z workami i koszami po ogołoconych winnicach. Co roku w porze żniw, winobrania i zbioru oliwek gromady głodujących wyruszały z całej Galilei, żeby zbierać pszenicę, winogrona i oliwki, które właściciele ziemscy zostawiali dla biednych, zgodnie z prawem Izraela.

Nagle mężczyzna w bieli zatrzymał się. Widok tłumu przestraszył go. "Muszę odejść! - powiedział sam do siebie ogarnięty dawnym strachem. - To jest świat ludzi. Muszę stąd odejść, muszę wrócić na pustynię, gdzie jest Bóg..." Kolejny raz jego los zawisł na cienkiej nitce. Którędy powinien pójść - naprzód czy z powrotem?

Ludzie zebrani wokół dołu patrzyli na niego bez ruchu.

Jakub i Barabasz nadal stali naprzeciwko siebie z podwiniętymi rękawami. Nawet Magdalena uniosła głowę i nasłuchiwała. Życie? Śmierć? Co oznaczała ta cisza? Zmienił się wiatr. Nagle zaszczuta kobieta zerwała się na równe nogi, uniosła w górę rękę i zawołała:

- Ratunku!

Nieznajomy usłyszał jej głos, poznał go i zadrżał.

- To Magdalena! - szepnął. - Magdalena! Muszę ją ratować! Ruszył szybko w stronę tłumu z szeroko rozpostartymi ramionami.

Im bardziej zbliżał się do ludzi, widząc ich pełne gniewu oczy i posępne, udręczone, zawzięte twarze, tym większe odczuwał wzruszenie, a jego serce wzbierało głębokim współczuciem i miłością. "To właśnie jest lud - myślał. - Wszyscy oni są braćmi, tylko nie wiedzą o tym i dlatego cierpią. Gdyby wiedzieli, jakież zapanowałoby

święto, jak padaliby sobie w ramiona i całowali się, ile byłoby szczęścia!”

W końcu dotarł na miejsce, wszedł na skałę i otworzył szeroko ramiona. Z głębi serca wyrwało mu się jedno słowo, jedno radosne i triumfalne słowo:

- Bracia!

Zaskoczeni ludzie spojrzeli po sobie. Nikt nie odpowiedział.

- Bracia - zabrzmiał znowu triumfalny okrzyk. - Bracia, tak się cieszę, że znów was widzę.

- Ale my się nie cieszymy, rzymski pacholku! - odpowiedział mu Barabasz, podnosząc z ziemi ciężki kamień.

- Mój syn! - krzyknął ktoś rozdzierającym głosem. Maria podbiegła do przybysza i objęła go. Śmiała się, szlochała, pieściła go ale on, milcząc, wyswobodził się z jej objęć i ruszył w stronę Barabasza.

- Barabasz, bracie mój - powiedział. - Cieszę się, że cię widzę. Jestem przyjacielem, przynoszę radosną nowinę.

- Ani kroku dalej - ryknął Barabasz i zasłonił ciałem Magdalenę, żeby ukryć ją przed wzrokiem przybysza. Lecz kobieta usłyszała już ukochany głos i zerwała się na równe nogi.

- Jezusie - krzyknęła. - Ratuj!

Jednym susem Jezus znalazł się na krawędzi dołu. Magdalena zaczęła wspinać się w górę, chwytając skały palcami rąk i nóg. Jezus schylił się i podał jej rękę, wyciągając z dołu. Upadła na ziemię, cała zdyszana i zakrwawiona.

Barabasz podbiegł i postawił swoją ciężką stopę na jej plecach.

- Ona jest moja! - zawył, unosząc w górę kamień, który trzymał w ręce. - Zabiję ją - ona pogwałciła szabat! Śmierć!

- Śmierć! Śmierć! - zawyli z kolei ludzie, obawiając się, że ofiara może im się wymknąć.

- Śmierć! - zawołał też stary Zebedeusz, kiedy zobaczył, że oberwańcy otaczają szczerze przybysza. "Dziwne rzeczy zaczynają świtać w głowach tych żebraków - pomyślał - biada nam, jeśli pozwoli się im robić na co tylko mają ochotę".

- Śmierć! - zawołał ponownie, uderzając kijem o ziemię. - Śmierć!

Jezus powstrzymał uniesioną rękę Barabasza.

- Barabasz - powiedział spokojnym i pełnym smutku głosem - czy nigdy nie złamałeś żadnego z Bożych przykazań? Czy w ciągu całego życia nigdy niczego nie ukradłeś, nikogo nie zabiłeś, nie cudzołożyłeś, nie skłamałeś?

Odwrócił się w stronę wyjącego motłochu, przyglądając się każdemu z osobna.

- Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem!

Tłum poruszył się; ludzie zaczęli wycofywać się pojedynczo, żeby tylko uciec przed tym przeszywającym wzrokiem, który drażył ich pamięć i serce. Mężczyźni przypominali sobie wszystkie kłamstwa wypowiedziane w ciągu całego życia, niesprawiedliwe uczynki, które popełnili, i żony innych mężczyzn, z którymi cudzołożyli; kobiety zasłoniły się chustami, a kamienie, które trzymały w dłoniach, spadły na ziemię.

Kiedy stary Zebedeusz zobaczył, że syn Marii wychodzi zwycięsko z tej konfrontacji, wpadł we wściekłość. Jezus ponownie zwrócił się ku ludziom i wpatrywał w nich po kolei, zaglądając im głęboko w oczy.

- Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem!

- Ja - warknął Zebedeusz. - Barabasz, daj mi swój kamień. Niewinność nie zna strachu: ja rzucę pierwszy.

Barabasz był zachwycony. Dał mu kamień i odsunął się na bok. Zebedeusz stanął nad Magdaleną, trzymając kamień w zaciśniętej pięści i ważąc jego ciężar, żeby trafić prosto w głowę. Magdalena skuliła się u stóp Jezusa, lecz nie czuła strachu, wierząc, że tutaj jest już bezpieczna. Rozwścieczeni oberwańcy spojrzeli na starego Zebedeusza, a jeden z nich, najbardziej obszarpany ze wszystkich, skoczył naprzód.

- Hej, Zebedeuszu - zawołał - zapomniałeś, że jest jeszcze Bóg. Chcesz, żeby poraził ci rękę - nie boisz się? Przypomnij sobie - czy nigdy nie łamałeś praw biedaków? Nigdy nie wstępowałaś nocą do domu wdowy?

Słyszając to, stary grzesznik poczuł ciężar kamienia, który trzymał w ręce. Nagle krzyknął, jego ręką raptownie uschła i zwisała bezużytecznie u boku. Wielki kamień wysliznął się z jego dłoni i wypadł, miażdżąc palce u nogi. Oberwańcy krzyknęli z radości.

- Cud! Cud! Magdalena jest niewinna!

Barabasz dostał szału, jego ospowata twarz stała się purpurowa. Rzucił się na syna Marii, podniósł rękę i uderzył go w twarz. Ale Jezus spokojnie nadstawił drugi policzek.

- Uderz także w ten drugi, Barabasz, mój bracie - powiedział.

Ręka Barabasza zdrętwiała, a oczy wyszły mu z orbit. Kim był ten człowiek? Kim był - duchem, człowiekiem czy diabłem? Cofnął się osłupiały i patrzył na Jezusa.

- Uderz w drugi policzek, Barabasz, mój bracie - zachęcił go ponownie syn

Marii.

W tym momencie Judasz wynurzył się z cienia drzewa figowego, gdzie stał do tej pory, obserwując zajście. Widział wszystko, ale nie odzywał się. Było mu obojętne, czy Magdalena zostanie zabita czy nie, ale słuchał z przyjemnością, jak Barabasz i oberwańcy postawili się Zebedeuszowi i potępili jego grzechy. Kiedy zobaczył Jezusa na brzegu jeziora, ubranego w białą szatę, serce zabiło mu mocniej.

- Teraz wreszcie okaże się kim on jest, czego chce, jakie posłanie niesie ludziom - mruknął, nadstawiając swoje wielkie ucho. Jednak już sam początek, już pierwsze słowo - "Bracia" - zirykowało go i sprawiło, że zrobił kwaśną minę.

- Wciąż jeszcze nie nabrał rozumu - zrzędził. - Nie, nie jesteśmy wszyscy braćmi. Izraelici i Rzymianie nie są braćmi, nie są też nimi sami Izraelici. Saduceusze, którzy zaprzędają się Rzymowi, starszyzna wsi, która dba jedynie o interesy okupanta, oni nie są naszymi braćmi. Nie! Miałeś kiepski początek synu cieśli. Uważaj! Ale gdy zobaczył jak Jezus nadstawia drugi policzek, bez śladu gniewu, za to z doskonałą, nadludzką słodyczą, przestraszył się. "Kim jest ten człowiek?" - zawołał sam do siebie. - To ... to nadstawienie drugiego policzka: tylko anioł byłby zdolny do czegoś takiego, tylko anioł - lub pies.

Jednym susem dopadł jednak Barabasza i chwycił go za rękę, gdy ten już miał rzucić się na syna Marii.

- Nie ruszaj go - powiedział przytłumionym głosem. - Wracaj do domu.

Barabasz spojrział ze zdziwieniem na Judasza. Byli w tym samym bractwie, często ramię w ramię wkraczali do wsi i miast i zabijali zdrajców Izraela. A teraz...

- Ty też, Judaszu - wymamrotał - ty?

- Tak, ja. Idź już!

Barabasz stał na swoim miejscu. Judasz przewyższał go rangą w Bractwie, więc nie mógł mu się sprzeciwić ale, z drugiej strony, poczucie własnej godności nie pozwalało mu ustąpić.

- Idź! - rozkazał ponownie rudobrody.

Herszt bandytów spuścił głowę i rzucił dzikie spojrzenie na syna Marii.

- Nie uciekniesz przede mną - wymamrotał zaciskając pięści. - Jeszcze się spotkamy! -

Potem odwrócił się do swoich popleczników i rzucił bez przekonania:

- Idziemy.

## ROZDZIAŁ XIII

Słońce prawie już dotykało podwalin nieba. Gorączka dnia zelżała, wiatr ucichł, ostatnie promienie igrały na powierzchni jeziora. Kilka wciąż nie nasyconych bocianów stało na jednej nodze na skałach z oczami wbitymi w wodę.

Nędzarze patrzyli na syna Marii i czekali - nie chcieli odchodzić. Na co właściwie czekali? Zapomnieli o głodzie i nagości. Zapomnieli o złośliwości właścicieli ziemskich, którzy nie mieli tyle serca, by zostawić choćby kilka gron na winorośli i osłodzić ich gorzki los. Od samego rana przemierzali winnice z pustymi koszykami. To samo przy żniwach - chodzili z pola na pole z pustymi workami na ramionach: Co wieczór dzieci czekały na nich z pustymi brzuchami. Lecz teraz - nie wiedzieli dlaczego ani w jaki sposób - ich kosze nagle wydały się pełne. Spoglądali na stojącego przed nimi człowieka w bieli i nie potrafili odejść. Czekali. Na co? Sami nie wiedzieli.

Syn Marii również na nich patrzył. On także czekał. Czuł, że dusze tych ludzi przykute są do jego serca. Czego od niego chcą? Czego szukają? Cóż on mógł im dać, on, który sam nic nie miał? Spojrzał na nich raz i drugi i na chwilę stracił odwagę - znów chciał uciekać, ale powstrzymał go wstyd. Co się stanie z Magdaleną, która leży u jego stóp i obejmuje je kurczowo? A te liczne oczy wpatrujące się w niego z nadzieją - jak mógł pozostawić je bez otuchy? Pozostawić? Lecz dokąd ma pójść? Bóg jest wszędzie. Jego łaska popycha go, gdzie Mu się podoba - nie, to nie łaska, lecz moc, wszechmocna moc. Syn Marii czuł teraz, że ziemia jest mu domem - innego nie miał. Czuł, że ludzie są jego pustynią - innej nie było.

- Panie, bądź wola Twoja - szepnął, skłonił głowę i poddał się łasce Bożej.

Wśród biedaków podniósł się jakiś starzec i przemówił:

- Synu Marii, jesteśmy głodni, ale nie chleba oczekujemy od ciebie. Jesteś biedny, tak jak my. Powiedz coś, powiedz nam dobre słowo, a będziemy syci.

Pewien młodzieniec dodał nieśmiało:

- Synu Marii, dławi nas niesprawiedliwość. Nasze serca dłużej tego nie zniosą. Powiedziałeś, że przyniosłeś nam dobre słowo. Przekaż je nam, daj nam sprawiedliwość!

Syn Marii spojrział na tych ludzi. Usłyszał głos wolności i głodu i uradował się. Wydało mu się, że czeka na ten głos od lat. Głos wzywał go nareszcie. Odwrócił się do ludzi i rozłożył ramiona.

- Bracia - powiedział. - Chodźmy.

Zapanowała powszechna radość, jak gdyby wszyscy czekali na ten zew od lat, jak gdyby po raz pierwszy usłyszeli swoje prawdziwe imiona. Tłum zawołał razem:

- Chodźmy! W imię Boże!

Syn Marii szedł na przedzie. Reszta podążała za nim w zwartej grupie. Pełne rozpadlin wzgórze nad jeziorem zachowało jeszcze jasnozieloną barwę pomimo palącego żaru, który lał się z nieba przez cały dzień. Teraz, w słodczy wieczoru, wzgórze pachniało rumiankiem i cząbrem. Na jego szczycie znajdowała się kiedyś starożytna, pogańska świątynia, z której pozostały tylko ozdobne kapitele kolumn. Rybacy łowiący nocą widywali tam białego ducha, który siadywał na marmurowych ruinach, a pewnego razu stary Jonasz słyszał nawet, jak duch płacze... Szli w kierunku tego wzgórza jak zaczarowani - syn Marii na przedzie, a za nim jedna wielka rodzina nędzarzy.

Stara Salome odwróciła się do młodszego syna i powiedziała:

- Weź mnie na ramiona. My też pójdziemy. Chwyciła rękę Marii i dodała: - Nie płacz, Mario. Nie widzisz jasnego obłoku wokół twarzy twojego syna?

- Nie mam już syna, nie mam już syna - odparła Maria i zaczęła konwulsyjnie łkać. - Ci wszyscy biedacy mają synów, a ja nie mam żadnego. Ruszyła w stronę wzgórza, płacząc i lamentując. Teraz wiedziała już na pewno, że syn opuścił ją na zawsze. Kiedy podbiegła uścisnąć go i zabrać do domu, spojrzał na nią zdumiony, jak gdyby jej nie znał. A kiedy powiedziała mu: " Jestem twoją matką" wyciągnął rękę i odepchnął ją.

Stary Zebedeusz widział, jak jego żona wchodzi na wzgórze razem z tłumem. Z nachmurzoną miną chwycił łaskę i odwrócił się do swego syna i jego dwóch towarzyszy, Filipa i Nataniela. Wskazał na hałaśliwy, podniecony tłum.

- Niech piekło pochłonie te zagłodzone wrony! Lepiej kraczymy tak jak one, bo inaczej rozdziobią nas. Pójdźmy za nimi, ale trzymajmy się z tyłu. Pamiętajcie tylko: cokolwiek syn Marii im powie, my gwizdźmy. Słyszycie? Nie możemy pozwolić, żeby udało mu się zyskać posłuch wśród tych ludzi. No, ruszamy, miejcie oczy szeroko otwarte!

Powiedziawszy to, zaczął wchodzić na wzgórze. Szedł wolno, jak kulawy osioł.

W tej samej chwili pojawili się dwaj synowie Jonasza. Piotr trzymał brata pod rękę i przemawiał do niego cicho i łagodnie, żeby go nie zdenerwować. Ten był jednak wyraźnie wzburzony i wpatrywał się w motłoch stłoczony na wzgórzu i człowieka w

bieli, który mu przewodził.

- Kim oni są? Dokąd idą? - zapytał Piotr Judasza, który wciąż stał na ulicy pełen wahania.

- Syn Marii - odparł z szyderstwem rudobrody.

- A tłum za nim?

- Żebracy, którzy zbierają resztki w winnicach. Przyłgnęli do niego. Chyba prowadzi ich, żeby do nich przemówić. - Co on im może powiedzieć? Nie potrafi nawet odróżnić wiązki siana od pary osłów.

Judasz wzruszył ramionami i mruknął:

- Zobaczymy - po czym zaczął wspinać się na wzgórze.

Dwie śniade kobiety wracały z winnic, zmęczone i spocone. Każda z nich niosła na głowie kosz z gronami. Pozazdrościły tłumowi atmosfery braterstwa i postanowiły się przyłączyć, żeby miło spędzić czas. Ruszyły na wzgórze na końcu procesji.

Stary Jonasz, z siecią na ramionach, szedł z trudem w kierunku swojej chałupy. Był głodny i bardzo chciał znaleźć się już w domu. Kiedy zobaczył, że jego synowie wchodzić wraz z tłumem na wzgórze, przystanął i otworzył usta, wpatrując się w nich swymi okrągłymi, rybimi oczyma. Nie myślał o niczym. Nie zadawał sobie pytania, kto umarł, kto się żeni, ani dokąd zmierza tylu ludzi. Nie myślał o niczym. Po prostu patrzył z otwartymi ustami.

- Dalej, Jonaszu, rybi proroku, chodź z nami! - zawołał do niego Zebedeusz. - To uroczystość weselna. Wydaje się, że Maria Magdalena wychodzi za mąż. Dalej, dołącz do nas - idziemy się zabawić!

Jonasz poruszył grubymi wargami. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Uniósł ramię, żeby poprawić sieć na plecach i odszedł do domu, stąpając ciężko. Dużo później, kiedy był już prawie przy swojej chacie, jego umysł, po wielu wysiłkach, w końcu zdołał ubrać myśli w słowa:

- Idź do diabła, Zebedeuszu, ty durniu! - warknął, otworzył drzwi chałupy kopniakiem i wszedł do środka.

Kiedy Zebedeusz i jego towarzysze weszli na szczyt wzgórza, Jezus siedział ze skrzyżowanymi nogami na kapitelu kolumny. Nie zaczął jeszcze mówić; wydawało się, że czeka aż wszyscy przybędą. Przed nim tłoczyli się biedacy. Mężczyźni siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, kobiety stały za nimi. Wszyscy wpatrywali się w Jezusa. Chociaż słońce już zaszło, wierzchołek góry Hebron odbijał jeszcze ostatnie promienie, opóźniając nadejście zmroku.

Jezus skrzyżował ręce na piersi i patrzył jak światło zмага się z ciemnością. Czasami odwracał wzrok, by spojrzeć na zwrócone ku niemu twarze ludzi. Ich ciała były smutne, pomarszczone i wycieńczone głodem, a z oczu utkwionych w synu Marii wyzierał wyrzut, jak gdyby to on był winien ich nędzy.

Gdy tylko zobaczył Zebedeusza i jego ludzi, podniósł się i powiedział:

- Witajcie. Podejdźcie, proszę, bliżej. Nie mam silnego głosu, a chcę przemówić do was.

Zebedeusz wyszedł przed wszystkich jako starszy wioski i usiadł na kamieniu. Po jego prawej stronie usadowili się dwaj synowie oraz Filip i Nataniel. Po lewej zaś Piotr i Andrzej. Stara Salome i Maria, żona Józefa, stały z tyłu, wśród kobiet. Druga Maria, Maria Magdalena, leżała u stóp Jezusa, z twarzą zakrytą dłońmi. Judasz stał pod rosnącą z boku, przygarbioną i wychłostaną przez wiatr sosną. Kiedy patrzył przez gałęzie na syna Marii, w jego zimnych, stalowych oczach igrały mordercze błyski. Jezus drżał lekko, próbując zebrać się na odwagę. Tej właśnie chwili obawiał się od wielu lat. Oto nadeszła. Bóg zwyciężył i sprowadził go siłą tam, gdzie chciał - przed oblicza ludzi - aby skłonić go do mówienia. I cóż on mógł teraz powiedzieć? Przypomniał sobie te nieliczne radości, których zaznał w życiu, jak i mnogie smutki, spór z Bogiem, wszystko, co widział w samotnych wędrówkach - góry, kwiaty i ptaki, pasterzy, którzy ze szczęśliwym uśmiechem nieśli na ramionach zbłąkane owieczki, rybaków, którzy zarzucali sieci, chłopów, którzy siali, zbierali zboże, oddzielali ziarno od plew i zwozili je do domów. Niebiosy i ziemia wciąż otwierały się i zamykały w jego umyśle. Widział wszystkie cuda Boże i nie wiedział, które wybrać najpierw. Chciał je wszystkie ukazać, wszystkie! Jak pocieszyć niepocieszonych.? Ten świat, który wyłonił się przed jego oczami, był Bożą baśnią, pełną księżniczek i gnomów, tak jak opowieści, którymi pocieszała go babka, kiedy płakał. Teraz sam Bóg wychylił się z niebios, żeby opowiedzieć je ludziom. Uśmiechnął się i rozłożył szeroko ramiona.

- Bracia! - rzekł drżącym, wciąż niepewnym głosem. - Bracia, wybaczone mi, ale będę mówił przypowieściami. Jestem prostym, niepiśmiennym człowiekiem, biednym i pogardzanym jak wy. Moje serce jest wypełnione słowami, lecz mój umysł nie potrafi ich przekazać. Otwieram usta i, bez mojej woli, słowa układają się w przypowieści. Wybaczone.

- Słuchamy, synu Marii! - krzyknęli ludzie. - Słuchamy!

Jezus znów otworzył usta i powiedział:

- Oto siewca wyszedł siał. A gdy siał, niektóre ziarna padły na drogę, nadleciały



ptaki i wydziobały je. Inne padły na miejsca skaliste, gdzie niewiele miały ziemi i wnet powschodziły, bo gleba nie była głęboka. Lecz gdy słońce wzeszło, przypaliły się i uschły, bo nie miały korzeni. Inne znowu padły między ciernie, a ciernie wybujały i zagłuszyły je. Jeszcze inne padły w końcu na ziemię żyzną i plon wydały, jedno stokrotny, drugie sześćdziesięciokrotny, a inne trzydziestokrotny. Kto ma uszy do słuchania, niech słucha!

Nikt nie odezwał się słowem. Patrzyli na siebie oszołomieni. Tylko stary Zebedeusz, który szukał pretekstu, aby wykić Jezusa, podniósł się i rzekł:

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Dzięki Bogu mam uszy i słucham, ale mimo to nie rozumiem. Co chcesz nam powiedzieć? Czy nie możesz mówić trochę jaśniej? - dodał i roześmiał się sarkastycznie, z godnością przeczesując palcami swoją siwą brodę. - A może przypadkiem to ty jesteś tym siewcą?

- Tak - odparł z pokorą Jezus. - Jestem siewcą.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece! - krzyknął Zebedeusz i uderzył laską w ziemię. - A my mamy być skałą, cierniami i żyzną ziemią, na które rzucasz ziarno, co?

- Jesteście nimi - odpowiedział wciąż spokojnym głosem syn Marii.

Andrzej wyteżył słuch. Gdy patrzył na Jezusa, jego serce biło gwałtownie. Podobnie biło na brzegach Jordanu, kiedy pierwszy raz zobaczył Jana Chrzciciela, ubranego w zwierzęcą skórę, ogorzałego od słońca, zatraconego w modlitwie tak, że żywe wydawały się tylko jego wielkie oczy, podobne do płonących węgli, oraz krtań, z której wydobywał się głos: "Żałujcie za grzechy! Żałujcie za grzechy!" Kiedy tak krzyczał, na Jordanie powstawały wielkie fale, a karawany zatrzymywały się, gdyż wielbłądy nie mogły iść dalej. Lecz tutaj miał przed sobą innego człowieka, który uśmiechał się i mówił cichym, drżącym głosem jak nieopierzony ptaszek, próbujący zaśpiewać pierwszy raz. A jego oczy, zamiast palić, pieściły. Serce Andrzeja biło szybko jak wahadło między Jezusem a Janem Chrzcicielem.

Jan stopniowo odsuwał się od swego ojca i zbliżał do Jezusa. Był już niemal u stóp Nauczyciela, kiedy Zebedeusz zobaczył go i wpadł w jeszcze większy gniew. Miał już dość fałszywych proroków. Codziennie, jak rok długi, pojawiali się nowi prorocy, którzy brali na swoje barki ciężar tego świata. Każdy z nich oskarżał panów, kapłanów i królów, jak gdyby się wcześniej umówili. Chcieli zniszczyć to, co było trwałe i dobre na świecie. A teraz następny - bosy syn Marii! "Oj - pomyślał Zebedeusz - lepiej skrócić mu kark, póki jest jeszcze giętki i kruchy".

Odwrócił się, żeby poszukać zachęty w oczach pozostałych. Jakub, jego starszy

syn, zmarszczył czoło - trudno jednak odgadnąć czy był zagniewany, czy też zmartwiony. Jego żona, która stała znacznie bliżej Jezusa, wycierała łzy. Przeniósł spojrzenie na biedaków i przeraził się widząc, że wszyscy ci zagłodzeni nędzarze wpatrują się w syna Marii z otwartymi ustami, niczym pisklęta karmione przez matkę.

- A niech ich wszystkich zaraza! - jęknął, siadając obok syna. "Lepiej być cicho - skarcił się w duchu - inaczej wpakuję się w tarapaty".

Rozległ się cichy, wzruszony głos. Ktoś siedzący u stóp Jezusa zaczął mówić. Ludzie wyprostowali się, by lepiej widzieć. Był to młodszy syn Zebedeusza. Podpełzł do stóp Jezusa, podniósł głowę i powiedział:

- Jesteś siewcą, a my skałą, cierniami i żyzną ziemią. Lecz jakie ziarno trzymasz w ręku?

Jego pokryta meszkiem, dziewicza twarz, płonęła. Czarne oczy w kształcie migdałów wpatrywały się żarliwie w Jezusa, a jego białe, pulchne ciało drżało wyprostowane w oczekiwaniu. Miał przeczucie, że całe jego życie zależy od tej odpowiedzi, to życie i następne.

Jezus pochylił się, żeby lepiej słyszeć. Milczał dłuższy czas, wsłuchując się w swoje serce, by znaleźć właściwe słowa: proste, codzienne, nieśmiertelne. Gorący pot wystąpił mu na czoło.

- Jakie ziarno trzymasz w ręku? - powtórzył niecierpliwie syn Zebedeusza.

Jezus wyprostował się gwałtownie, rozłożył ręce i pochylił w stronę tłumu.

- Miłujcie się wzajemnie! - krzyknął głosem dochodzącym z głębi jego serca. - Miłujcie się wzajemnie!

Gdy to powiedział, poczuł, że serce ma puste i opadł wyczerpany na kapitel.

Podniósł się szept. Ludzie byli wzburzeni. Wielu potrząsało głowami. Niektórzy śmiali się.

- Co on powiedział? - pytał przygłuchy starzec.

- Że powinniśmy się wzajemnie miłować.

- To niemożliwe! - krzyknął starzec, wpadając w gniew: Niemożliwe, żeby ten co przymiera głodem, kochał tego, kto jest syty. Niemożliwe, żeby pokrzywdzony kochał tego, kto go krzywdzi. To niemożliwe! Idziemy do domu!

Judasz oparł się o sosnę i gniewnie tarł ręką brodę.

- A zatem, synu cieśli - powiedział sarkastycznie - przyszedłeś tu, żeby nam właśnie to powiedzieć? Czy to jest ta wspaniała nowina? Chcesz, byśmy kochali Rzymian, co? Mamy nadstawiać karki, tak jak ty swój policzek i mówić: "Drogi bracie,

proszę, zabij mnie"?

Jezus usłyszał szept, zobaczył zagniewane twarze, zimne oczy i zrozumiał. Poczł gorycz. Zebrał resztki sił i powstał.

- Miłujcie się wzajemnie! Miłujcie się wzajemnie! - powtarzał uparcie błagalnym głosem. - Bóg jest miłością! Ja również uważałem Go kiedyś za dzikiego i porywczego, również myślałem, że za jego dotknięciem góry dymią, a ludzie umierają. Uciekłem do klasztoru, aby się przed nim ukryć. Upadłem na twarz i czekałem. Teraz przyjdzie, pomyślałem. Spadnie na mnie jak grom. I przyszedł pewnego poranka, owiał mnie chłodną bryzą i powiedział: "Powstań, mój synu". Więc powstałem i poszedłem - oto jestem tutaj, przed wami!

Skrzyżował ręce i skłonił się całym ciałem, jak gdyby witał siedzących przed nim ludzi.

Stary Zebedeusz kaszlnął i splunął, zaciskając ręce na lasce.

- Bóg w chłodnej bryzie! - warknął rozwścieczony. - Idź do diabła, szarlatanie!

Syn Marii mówił dalej. Wszedł między ludzi, wpatrywał się w każdego z nich i przekonywał z rękoma uniesionymi ku niebu.

- On jest naszym Ojcem - mówił. - Złagodzi każdy ból, wyleczy każdą ranę. Im więcej cierpimy i przymieramy głodem na tym świecie, tym większa będzie nasza nagroda w niebie, tym...

Przerwał zmęczony, podszedł do kapitelu i usiadł.

- Najecie się, kiedy umrzecie! - rozległ się jakiś głos, wzbudzając powszechny śmiech.

Lecz Jezus, natchniony przez Boga, nie słyszał kpin.

- Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości! - krzyknął.

- Sprawiedliwość, to za mało - wtrącił jeden z tych, którzy przymierali głodem.

- Sprawiedliwość, to za mało. Chcemy chleba!

- Chleba również - rzekł Jezus i westchnął. - Chleba również... Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni. Błogosławieni ubodzy w duchu i ci, którzy cierpią. Do was, do ubogich w duchu i cierpiących należy królestwo niebieskie.

Dwie kobiety z koszami gron na głowach wymieniły szybkie spojrzenia, bez słowa zdjęły kosze i zaczęły, jedna po prawej stronie, druga po lewej, rozdawać kiście biednym. Magdalena wciąż leżała u stóp Jezusa. Nie śmiała unieść głowy i pokazać ludziom swej twarzy. Niepostrzeżenie całowała stopy nauczyciela ukryte w jej

włosach.

Jakub miał już dość; wstał i odszedł. Andrzej był wściekły.

Wyrwał się z uścisku brata i podszedł do Jezusa.

- Właśnie wróciłem znanąd Jordanu, z Judei - powiedział głośno. - Prorok, który tam naucza, głosi: "Ludzie to plewy, a ja jestem ogniem. Przybyłem, aby palić i oczyścić ziemię, gdyż Mesjasz może nadejść!" A ty, synu cieśli, ty nauczasz o miłości! Dlaczego nie rozejrzysz się wokół siebie? Wszędzie kłamcy, mordercy, złodzieje! Wszyscy są nieuczciwi - bogaci i biedni, prześladowani i prześladowcy, uczeni w Piśmie i faryzeusze - wszyscy, wszyscy! Ja także jestem kłamcą, ja także jestem nieuczciwy i taki jest mój brat, i gruby Zebedeusz - słyszy "miłujcie", a myśli o swoich łodziach i o tym, jak by tu wycisnąć jak najwięcej wina z gron.

Słyszając to, stary Zebedeusz wpadł w gniew. Żył nabrzmiały mu na zaczerwienionym karku. Podniósł laskę i ruszył naprzód, żeby uderzyć Andrzeja. Salome w samą porę chwyciła go za ramię.

- Wstydz się! Wstydz się! - powiedziała cicho. - Chodźmy lepiej do domu.

- Żaden bosy żebrak nie będzie się wywyższał w mojej okolicy! - ryknął z całej siły, żeby wszyscy go słyszeli. Dysząc z rozdrażnienia zwrócił się do syna Marii:

- A ty, cieślo, nie próbuj udawać przede mną Mesjasza - biada ci, biedaku, gdyż skończysz na krzyżu tak jak inni. Dzięki temu skończą się twoje kłopoty. Nie ciebie jednak mi żal, włóczęgo, ale twojej matki, która nie ma już innych dzieci.

Wskazał na Marię, która leżała na ziemi i uderzała głową o kamień.

Gniew starca nie wypalił się jeszcze. Walił laską w skalisty grunt i krzyczał:

- "Miłujcie się", powiada, "jesteście wszyscy braćmi", więc bierzcie, co chcecie, ja płacę! Lecz czy mogę miłować mego wroga? Czy mogę miłować żebraka, który włóczy się po moim podwórku i tylko czeka na okazję, aby się włamać i mnie okraść? "Miłujcie się", powiada - tylko posłuchajcie tego półgłówka! Niech żyją Rzymianie! Mówię wam, niech żyją, mimo że to poganie. Niech żyją! Oni przynajmniej utrzymują porządek.

Nędzarze stracili cierpliwość. Rycząc wściekle ruszyli na Zebedeusza. Nawet Judasz opuścił swe miejsce pod sosną. Stara Salome była przerażona. Uciszyła męża, kładąc mu rękę na ustach i odwróciła się do wzburzonego, groźnego tłumu, który się zbliżał.

- Nie słuchajcie go, dzieci. Gniew mąci mu w głowie i mówi co innego, niż myśli.

Zwróciła się do starca i powiedziała rozkazująco:

- Idziemy.

Skinęła też na swego ukochanego syna, który siedział uszczęśliwiony u stóp Jezusa.

- Chodź, synu - rzekła. - Ciemno już.

- Chcę zostać, matko - odparł młodzieniec.

Maria podniosła się z ziemi. Otarła łzy i ruszyła niepewnym krokiem do syna, żeby zabrać go do domu. Nieszczęsna kobieta była przerażona - przestraszyła ją zarówno miłość, którą biedacy okazali Jezusowi, jak i groźby starego bogacza.

- Błagam was na Boga, nie słuchajcie go - prosiła krążąc wśród biedaków. - On jest chory, chory...

Podeszła z drzeniem do Jezusa. Stał ze skrzyżowanymi rękoma, wpatrując się w jezioro.

- Chodź, synu - powiedziała czule. - Pójdziemy razem do domu.

Usłyszał jej głos, odwrócił się i spojrzał zdziwiony. Wydawał się pytać spojrzeniem, kim jest.

- Chodź, synu - powtórzyła i objęła go. - Dlaczego patrzysz na mnie w taki sposób? Czy nie poznajesz mnie? Jestem twoją matką. Chodź, twoi bracia czekają na ciebie w Nazarecie, a twój stary ojciec...

Syn potrząsnął głową i zapytał cicho:

- Jacy bracia? Moja matka i bracia są tutaj.

Wyciągnął rękę i wskazał na biedaków, ich żony oraz na rudowłosego Judasza, który stał bez słowa pod sosną i patrzył na niego gniewnie.

- A mój ojciec - dodał unosząc palec ku niebu - mój ojciec jest tam.

Oczy nieszczęsnej ofiary Bożego gromu napełniły się łzami.

- Czy jest na świecie bardziej nieszczęśliwa matka niż ja? Miałam jednego syna, jedyne, a teraz...

Stara Salome usłyszała rozdzierający serce płacz. Zostawiła męża, wróciła do Marii i chwyciła ją za rękę. Ale Maria nie chciała z nią odejść i raz jeszcze zwróciła się do syna:

- Idziesz? - krzyknęła. - Ostatni raz mówię: Chodź ze mną!

Czekała. Syn milczał. Znów utkwiał wzrok w jeziorze.

- Idziesz? - krzyknęła matka rozdzierającym serce głosem.

Podniosła rękę.

- Nie boisz się matczynej klątwy?

- Nie boję się niczego - odparł syn nie odwracając wzroku. - Nie boję się nikogo prócz Boga.

Twarz Marii wykrzywiła się w gniewie. Podniosła zaciśniętą pięść i już otwierała usta, by rzucić klątwę, gdy stara Salome powstrzymała ją.

- Nie rób tego! - krzyknęła. Objęła ją mocno i odciągnęła na bok. - Chodź moje dziecko. Pójdźmy stąd. Chcę ci coś powiedzieć.

Obie kobiety zaczęły schodzić w dół do Kafarnaum. Stary Zebedeusz, wciąż rozgniewany, siedł na przedzie i wyładowywał swą złość na cierniach.

Salome mówiła do Marii:

- Dlaczego płaczesz, moje dziecko? Nic nie widziałas?

Maria spojrzała na nią zdziwiona i przestała szlochać.

- Co miałam widzieć? - zapytała.

- Kiedy mówił, pojawiły się za nim błękitne skrzydła, tysiące błękitnych skrzydeł. Nie widziałas tego? Przysięgam ci, Mario, to były zastępy aniołów.

Zrozpaczona Maria potrząsnęła głową.

- Nie widziałam niczego - szepnęła. - Niczego... - Po chwili dodała: - Co mi po aniołach, Salome? Lepiej, żeby za nim były dzieci i wnuki, dzieci i wnuki, a nie anioły!

Lecz oczy starej Salome były wypełnione błękitnymi skrzydłami. Wyciągnęła rękę, dotknęła piersi Marii i szepnęła, jak gdyby powierzała jej wielki sekret:

- Błogosławiona jesteś, Mario, i błogosławiony owoc twojego żywota.

Maria była jednak niepokieszona. Potrząsnęła głową i znów ruszyła przed siebie, nie przestając szlochać.

Tymczasem rozwścieczeni nędzarze otoczyli Jezusa. Grozili mu, uderzali laskami o ziemię i wymachiwali w powietrzu pustymi koszykami.

- Śmierć bogaczom! - krzyczeli. - Dobrze mówisz, synu Marii - śmierć bogaczom!

- Poprowadź nas, a spalimy dom Zebedeusza.

- Nie, lepiej go nie palić - sprzeciwili się inni. - Lepiej włamać się i zabrać mu ziarno, oliwę, wino i kufry pełne kosztownych ubrań. Śmierć bogaczom!

Jezus rozpaczliwie protestował.

- Nie to wam powiedziałem! Nie to! - krzyczał. - Powiedziałem: "Bracia, miłujcie się!"

Lecz oszaleli z głodu biedacy - jakżesz mogli teraz zwracać uwagę na jego

słowa!

- Andrzej ma rację - krzyczeli. - Najpierw ogniem i toporem, a potem miłością.

Stojący obok Jezusa Andrzej usłyszał to, ale pogrążony w rozmyślaniach, nic nie odpowiedział. "Kiedy mówił nauczyciel na pustyni - rozważał w duchu - jego słowa spadały na głowy ludzi jak kamienie i miażdżyły je. A ten człowiek obok mnie rozdaje słowa jak chleb... Który z nich ma rację? Która z tych ścieżek prowadzi do zbawienia - przemoc czy miłość?"

Gdy tak rozmyślał, ktoś położył obie dłonie na jego głowie. Zobaczył obok siebie Jezusa. Jego palce były bardzo delikatne i takie długie, że wzięły w posiadanie całą głowę Andrzeja. Młodzieniec nawet nie drgnął. Czuł, jak do jego czaszki wlewa się niewypowiedziana słodycz, która obmywa mu mózg, dochodzi do ust, szyi i serca, a potem spływa przez łędwie do samych stóp. Całe jego ciało, całą jego duszę ogarnęła radość, która wniknęła głęboko, do samych korzeni jego istnienia. Czuł się jak spragnione drzewo, które ktoś podlał wodą. Nic nie mówił. Jakże pragnął, aby te ręce na jego głowie pozostały tam na zawsze! Dopiero teraz, po długim błędzeniu, znalazł w końcu bezpieczeństwo i spokój duszy.

Nieopodal Andrzeja stał Filip i prosty Nataniel, dwóch nierozłącznych przyjaciół. Sprzeczali się.

- Lubię go - mówił wysoki, chudy szewc. - Jego słowa są słodkie jak miód. Czy uwierzyłbyś, że kiedy go słuchałem, czułem smak pieczonego mięsa?!

Pasterz był innego zdania.

- On mi się nie podoba! Mówi jedno, a robi drugie. Głosi: "Miłujcie się!", a robi krzyże.

- Mówię ci, to już skończone, Filipie. Musiał przejść przez ten okres, okres krzyży. Teraz ma go już za sobą i idzie drogą, którą wytyczył mu Bóg.

- Chcę czynów! - zaprotestował Filip. - Moje owce zaczynają chorować. Niech najpierw przyjdzie i pobłogosławi je. Jeśli je wyleczy, uwierzę w niego. W przeciwnym razie może iść do diabła razem z takimi jak on. Dlaczego potrząsasz głową? Jeśli chce zbawić świat, niech zacznie od moich owiec.

Noc skryła w swoich objęciach jezioro, winnice i ludzkie twarze. Na niebie pojawił się Wóz Dawida. Czerwona gwiazda na wschodzie przypominała kroplę wina nad pustynią.

Jezus poczuł nagle zmęczenie i głód. Chciał być sam. Ludzie stopniowo przypominali sobie o powrotnej drodze, o domach i dzieciach, które na nich czekały.

Codziennie troski znów ich przygniotły. To, co ich spotkało, było jak błyskawica - pojawiło się na chwilę, porwało ich, po czym zgasło, pozostawiając znów na pastwę codziennych kłopotów. Ludzie wymykali się chyłkiem, pojedynczo lub parami jak dezernerzy.

Pogrążony w smutku Jezus leżał na starożytnym marmurze. Nikt nie podał mu ręki na pożegnanie. Nikt nie spytał go, czy jest głodny albo czy ma gdzie spać. Z twarzą zwróconą ku coraz bardziej ciemniejącej ziemi słyszał, jak pospieszne kroki oddalają się, a potem milkną. Nagle nastąpiła zupełna cisza. Podniósł głowę, lecz nie zobaczył nikogo. Ludzie odeszli. Wszystko wokół spowiła ciemność, widać było tylko gwiazdy na niebie. Czuł zmęczenie i głód. Dokąd mógłby pójść? Do których drzwi zapukać? Skulił się na ziemi - był smutny i rozczarowany.

- Nawet lisy mają nory, do których wracają na noc - powiedział cicho. - Ja nie mam nic. Zamknął oczy. Noc przyniosła ze sobą tak przejmujący chłód, że dygotał z zimna.

Nagle, spośród marmurów dobiegł go jęk i stłumiony płacz.

Otworzył oczy i zobaczył kobietę, która na czworakach posuwała się w jego kierunku. Kiedy znalazła się przed nim, rozplotła włosy i zaczęła nimi wycierać jego stopy, okrutnie pokaleczone przez kamienie. Rozpoznał ją po zapachu.

- Magdaleno, moja siostró - powiedział i położył rękę na jej ciepłej, pachnącej głowie. - Magdaleno, siostró, wracaj do domu i nie grzesz więcej.

- Jezusie, bracie mój - powiedziała, całując jego stopy. - Pozwól mi chodzić za tobą, w twoim cieniu, aż umrę. Teraz wiem, czym jest miłość.

- Wracaj do domu - powtórzył Jezus. - Kiedy nadejdzie godzina, przywołam cię.

- Chcę umrzeć za ciebie.

- Nie bądź niecierpliwa, Magdaleno. Godzina nadejdzie, ale jeszcze nie teraz. Przywołam cię, kiedy tak się stanie. Wracaj do domu.

Już miała się sprzeciwić, kiedy znów usłyszała jego głos, tym razem bardzo surowy:

- Idź!

Magdalena zaczęła schodzić ze wzgórze. Jeszcze przez chwilę słychać było jej lekki krok, który zamierał w oddali. Pozostał tylko unoszący się w powietrzu zapach jej ciała, rozwiewany przez nocną bryzę.

Syn Marii był teraz zupełnie sam, nad nim Bóg z twarzą czarną jak heban i usianą gwiazdami. Jezus wyteżał słuch, jak gdyby w rozgwieżdżonej ciemności chciał



usłyszeć jakiś głos. Czekał... Nic. Chciał otworzyć usta i zapytać Niewidzialnego: Panie, czy jesteś ze mnie zadowolony? - ale nie śmiał tego uczynić. Przeraziła go okalająca zewsząd nagła cisza. Na pewno nie jest zadowolony, pomyślał i wzdrygnął się. Dlaczego mnie winisz, Panie? Tyle razy mówiłem Ci, że nie potrafię przemawiać. Lecz Ty wciągałeś mnie w to coraz głębiej, czasami śmiejąc się, czasami marszcząc brew. A dziś rano w klasztorze, kiedy ścigali mnie mnisi, żebym został ich opatem - czego nie jestem godzien - i zamknęli wszystkie bramy, by uniemożliwić ucieczkę, Ty otworzyłeś mi malutkie drzwi, chwyciłeś szponami za włosy i przywlokłeś tutaj, przed ten olbrzymi tłum. "Mów", rozkazałeś, "nadeszła godzina". Lecz ja zacisnąłem mocno usta i nie mówiłem nic. Krzycałeś na mnie, ale nic nie powiedziałem. W końcu wyczerpała się Twoja cierpliwość i otworzyłeś moje usta. Nie ja sam, lecz Ty to zrobiłeś, siłą. Nie namaściłeś mi warg gorejącymi węglami, jak zwykle czynisz z ustami swych proroków, o nie, lecz miodem. I przemówiłem. Moje serce było poruszone gniewem i chciało mi się krzyżeć: - Bóg jest ogniem! - tak, właśnie tak, jak twój prorok, Chrzciciel -. Bóg jest ogniem! Nadchodzi! Nie ma schronienia dla nikczemnych i niesprawiedliwych! Nadchodzi!... To właśnie próbowało wykrzyżeć moje serce, lecz Ty namaściłeś moje wargi miodem i zmusiłeś mnie, abym krzyżał: "Miłujcie się! Miłujcie się!"

- Panie! - jęknął. - Nie potrafię walczyć z Tobą. Poddaję się. Bądź wola Twoja!

Ledwo to powiedział, poczuł ulgę. Opuścił głowę na piersi jak ospały ptak, zamknął oczy i zasnął. Zaraz też przyśniło mu się, że spod koszuli wyciągnął jabłko, rozpołowił je, wyjął pestkę i zasiał ją w ziemi. Nasienie zakiełkowało natychmiast. Krucha roślina przebiła twardą skorupę i wypuściła łodygę, z której wyrosły gałęzie, liście, kwiaty - a na końcu pojawiły się owoce: setki czerwonych jabłek...

Na kamieniach rozległy się kroki, człowieka. Sen Jezusa spłoszył się i zniknął. Syn Marii otworzył oczy i zobaczył, że ktoś przed nim stoi. Szczęśliwy, że nie jest już sam, bez słowa powitał ciepłą obecność drugiego człowieka.

Nocny gość podszedł bliżej i ukląkł.

- Musisz być głodny - powiedział. - Przyniosłem ci chleb, miód i ryby.

- Kim jesteś, bracie?

- Jestem Andrzej, syn Jonasza.

- Wszyscy mnie opuścili... Tak, to prawda, jestem głodny. Dlaczego akurat ty, bracie, o mnie pamiętałeś i przyniosłeś mi chleb, miód i ryby, wszystkie te dary Boże? Najbardziej upragniony dar to dobre słowo.

- Przynoszę ci je również - odparł Andrzej. Ciemność dodawała mu odwagi. Jezus nie widział jak młodzieńcowi trzęsą się ręce. Nie widział też, jak dwie łyży toczą się po jego bladych policzkach.

- Zaczynij więc od dobrego słowa - powiedział Jezus i z uśmiechem wyciągnął do niego rękę.

- Rabbi, mój Nauczycielu - szepnął syn Jonasza i pochylił się, by ucałować stopy Jezusa.

## ROZDZIAŁ XIV

Czas to nie pole, które da się wymierzyć w łanach, ani nie morze, którego miarą są mile; czas jest jak bicie serca. Jak długo trwały te zrękowiny? Dni? Miesiące? Lata? Syn Marii wędrował, radosny i pełen miłosierdzia, od wioski do wioski, od góry do góry; albo płynął z jednego brzegu jeziora na drugi, ubrany na biało jak pan młody. Jego narzeczoną była ziemia. Gdy tylko uniósł stopę, miejsce, po którym stąpił, zarastało kwiatami. Gdy spoglądał na drzewa, te obsypywały się kwieciami. Ledwo wszedł na pokład łodzi rybackiej, jej żagiel wypełniał się wiatrem. Ludzie słuchali go, a glina, z której ich ulepiono, zamieniała się w skrzydła. Przez cały okres tych zrękowin ktokolwiek podniósł kamień, znajdował pod nim Boga; ktokolwiek pukał do drzwi, temu otwierał Bóg; kto spojrzał w oczy przyjacielowi lub wrogowi, ten widział w jego źrenicach uśmiechniętego Boga.

Faryzeusze potrząsali z oburzeniem głowami.

- Jan Chrzciciel pości i płacze - mówili z matowym blaskiem w oczach - rzuca groźby, nie uśmiechy. A ty, gdziekolwiek odbywa się wesele, ty jesteś pierwszy do zabawy. Jesz, pijesz i śmiejesz się z innymi, a niedawno na weselu w Kanie tańczyłeś nawet z młodymi niewiastami. Jak ci nie wstyd? Kto kiedy słyszał, żeby prorok weselił się i tańczył?

Odpowiadał im z uśmiechem:

- Faryzeusze, bracia moi, nie jestem prorokiem lecz oblubieńcem.

- Oblubieńcem? - jęczęli faryzeusze, sprawiając wrażenie, jak gdyby zaraz mieli podrzeć na sobie szaty.

- Tak, bracia faryzeusze, oblubieńcem. Wybaczcie, ale nie umiem wam tego inaczej wytłumaczyć.

Odwracał się do swoich towarzyszy, Jana, Andrzeja i Judasza, do chłopów i rybaków, którzy porzucili swe pola i łodzie, żeby pójść za nim, zauroczeni pięknem bijącym z jego twarzy, i do kobiet, które przybyły z niemowlętami na rękach.

- Radujcie się, dopóki oblubieniec jest między wami - mówił im. - Przyjdą dni, gdy zostaniecie wdowami i sierotami, ale ufajcie Ojcu. Spójrzcie na ptaki w powietrzu. Nie orzą, nie sieją, a Ojciec Nasz karmi je. Popatrzcie na kwiaty. Nie przędą, nie tkają, a jakież król może ubrać się z równym przepychem? Nie myślcie o swoim ciele, o tym co będzie jadło i piło czy nosiło na sobie. Wasze ciało z prochu powstało i w proch się

obróci. Troszczcie się o królestwo niebieskie i o duszę swoją.

Judasz słuchał go ze zmarszczonymi brwiami. Nie dbał o królestwo niebieskie. Jego zmartwieniem było królestwo ziemskie - nie cała ziemia nawet, ale Izrael, na który nie składały się modlitwy i chmury; lecz ludzie i kamienie. Barbarzyńscy Rzymianie deptali jego ziemię. Wpierw trzeba było ich przepędzić, a dopiero potem myśleć o królestwie niebieskim.

Jezus dostrzegł zmarszczone czoło rudobrodego i odczytał ukryte myśli.

- Niebo i ziemia to jedno, Judaszu, bracie mój - mówił uśmiechając się do niego, - kamienie i chmury to jedno. Królestwo niebieskie nie wisi w powietrzu - jest w nas, w naszych sercach. O sercu właśnie mówię. Zmieńcie swoje serca, a niebo i ziemia padną sobie w objęcia, Izraelici i Rzymianie także - i zapanuje jedność.

Ale rudobrody ukrył tylko głębiej swoje oburzenie, z trudem zmuszając się do dalszej cierpliwości. "Ten człowiek nie wie, co mówi - mrucał pod nosem. - Żyje w świecie marzeń i pojęcia nie ma, co się wokół niego dzieje. Moje serce odmieni się tylko wraz ze światem wokół mnie. Dopiero gdy Rzymianie opuszczą ziemię Izraela, poczuję ulgę!"

Któregoś dnia młodszy syn Zebedeusza zwrócił się do Jezusa:

- Wybacz, Rabbi - powiedział - ale nie znajduję w sercu miłości dla Judasza. Kiedy się do niego zbliżam, z jego ciała bucha jakaś mroczna siła, jakby tysiące drobnych igieł; niedawno widziałem jak czarny anioł szeptał mu coś do ucha. "Ciekawe co mu powiedział?"

- Chyba wiem, co to było - westchnął Jezus.

- Co? Boję się, Rabbi. Co takiego?

- Dowiesz się we właściwym czasie. Sam nie wiem tego dokładnie.

- Dlaczego zabierasz go ze sobą, czemu pozwalasz, żeby był z tobą w dzień i w nocy? Dlaczego, gdy zwracasz się do niego, twój głos jest łagodniejszy, niż kiedy przemawiasz do nas?

- Tak musi być, Janie, mój bracie. On potrzebuje więcej miłości.

Andrzej nie odstępował nowego nauczyciela na krok; z każdym dniem świat wokół niego stawał się piękniejszy. Nie świat - jego własne serce! Jedzenie i śmiech nie były już grzechem, ziemia stwardniała pod jego stopami, niebo pochylało się nad ziemią jak ojciec, a dzień Pana nie był już dniem gniewu i pożogi, nie był końcem świata - lecz żniwami, winobraniami, weselem i tańcem: był nieustannym odradzaniem się dziewictwa ziemi. Każdy świt był jak powtórne narodziny; każdego

ranka Bóg odnawiał obietnicę, że ujmie świat w swoją świętą dłoń. Z upływem dni serce Andrzeja ukoilo się. Zaprzyjaźnił się ze śmiechem i jadem, jego blade policzki nabrały rumieńców. Wieczorami lub w południe, gdy wyciągali się pod jakimś drzewem, aby spożyć posiłek, lub gdy przyjaciele przyjmowali ich w swoim domu i Jezus, jak miał w zwyczaju, błogosławił i dzielił chleb, jelita Andrzeja natychmiast zamieniały go w miłość i śmiech. Tylko od czasu do czasu, gdy przypomniawszy sobie o rodzinie i przyjaciółach, wzdychał.

- Co się stanie z Jonaszem i Zebedeuszem? - zapytał któregoś dnia. Patrzył gdzieś daleko przed siebie, jakby ci dwaj starcy byli na samym końcu świata. - Co z Jakubem i Piotrem? Gdzie są teraz, może cierpią?

- Odnajdziemy ich wszystkich - odparł Jezus z uśmiechem. - Każdy z nich nas odnajdzie. Nie smuć się, Andrzeju. Dom Ojca jest wielki, starczy miejsca dla wszystkich.

Pewnego wieczoru Jezus przybył do Betsaidy. Dzieci wybiegły mu na powitanie z gałęziami oliwnymi i liśćmi palmowymi. Pootwierały się drzwi; kobiety powychodziły na próg i porzucając swoją pracę biegły za nim, aby usłyszeć Dobrą Nowinę. Synowie brali sparaliżowanych rodziców na barki, wnuki prowadziły niewidomych dziadków za ręce. Mężczyźni z nabrzmiałymi z wysiłku mięśniami ciągnęli opętanych do Jezusa, żeby mógł położyć dłoń na głowach biednych szaleńców i uleczyć ich.

Zdarzyło się tego dnia, że ulicami wioski wędrował akurat domokrążca Tomasz. Uginając się pod ciężarem nici, grzebieni, kosmetyków dla kobiet o cudownym działaniu, bransolet z brązu i kolczyków ze srebra, trąbił głośno i zachwalał swoje towary, gdy ujrzał go Jezus. Nagły podmuch wiatru i nie był już Tomaszem - zezowatym handlarzem. W dłoni trzymał ciesielską poziomnicę. Otaczał go tłum ludzi w jakimś odległym kraju. Robotnicy dźwigali kamienie i zaprawę, murarze budowali wielką świątynię, imponującą budowlę o marmurowych kolumnach, a Tomasz, majster z poziomnicą, biegał pomiędzy nimi, nadzorując pracę... Jezus mrugnął oczami, Tomasz również - i znalazł się przed nim ponownie, obładowany towarami na sprzedaż. W jego chytrych, zezowatych oczach tańczyły figlarne ogniki. Jezus położył dłoń na głowie handlarza.

- Pójdź ze mną, Tomaszu. Obdaruję cię innym towarem - przyprawami i ozdobami duszy. Będziesz jeździł z nimi po wszystkich zakątkach ziemi, zachwalając je i rozdając ludziom.

- Wolałbym sprzedać wpierw to, co mam - powiedział przebiegły handlarz tłumiąc śmiech. - A potem, cóż - zobaczymy jak to będzie. - I swoim przenikliwym głosem zaczął zachwalać grzebienie, nici i cudowne kosmetyki.

Pewien bogacz z wioski, stary, okrutny i nieuczciwy człowiek, stał na progu swego domu z rękami opartymi o futrynę i patrzył z zaciekawieniem na zbliżający się tłum. Dzieci biegnące na czele wymachiwały palmowymi liśćmi i oliwnymi gałązkami i pukały do drzwi wołając:

- Nadchodzi, nadchodzi - syn Dawida nadchodzi!

Za nimi szedł mężczyzna ubrany na biało, z włosami opadającymi na ramiona. Spokojny i uśmiechnięty, wyciągał ręce na lewo i prawo, jakby błogosławił mijane domy. Mężczyźni i kobiety, którzy podążali za nim, przepychali się, aby go dotknąć i zaczerpnąć jego siły i świętości. Za nimi zaś posuwali się ślepi i paralitycy, a z pootwieranych na oścież drzwi wychodzili bez przerwy nowi ludzie.

Stary bogacz zaniepokoił się.

- Któż to taki? - zapytał ściskając mocniej framugę, żeby motłoch nie wpadł do środka i nie splądrował mu domu. Ktoś przystanął i wyjaśnił mu:

- To ten nowy prorok, Ananiaszu. Mężczyzna w bieli, którego widzisz przed sobą dzierży w jednej ręce życie, w drugiej śmierć i rozdaje je komu tylko zechce. Dam ci dobrą radę, Ananiaszu: przypochleb mu się, potraktuj go dobrze.

Gdy stary Ananiasz usłyszał te słowa, przeląkł się nie na żarty. Wiele grzechów ciążyło mu na sumieniu i nie raz budził się w środku nocy spocony ze strachu. Miewał koszmary, w których smażył się zanurzony po szyję w piekielnym ogniu. Być może ten człowiek mógł mu pomóc? "W końcu wszystko na tym świecie jest czarną magią - pomyślał - a ten młodzieniec to jakiś czarnoksiężnik. Zastawię dla niego stół, poświęcę trochę grosza, żeby go nakarmić, a być może uczyni jakiś cud".

Z tym postanowieniem Ananiasz wyszedł na środek drogi i z ręką złożoną na sercu powiedział:

- Synu Dawida, jestem stary Ananiasz, grzesznik, a tyś jest święty. Kiedy dowiedziałem się, że masz zamiar zaszczyścić naszą wioskę wizytą, kazałem nakryć do stołu, żebyś mógł się przy nim posilić. Wejdz, proszę, jeśli łaska. Wszyscy wiemy, że to z naszego powodu - grzeszników - święci zstępują na ziemię, a dom mój spragniony jest świętości.

Jezus zatrzymał się.

- Cieszę mnie twoje słowa, Ananiaszu. Dobrze, że cię spotkałem.

Wszedł do domu bogacza. Niewolnicy ustawili stoły na dziedzińcu i przynieśli poduszki. Jezus spoczął na nich, a obok niego Jan, Andrzej, Judasz, a także chciwy Tomasz, który udawał, że jest jego uczniem tylko po to, żeby się najęść. Gospodarz zasiadł po przeciwnej stronie stołu, szukając w myślach sposobu, w jaki mógłby niezauważenie skierować rozmowę na temat snów i doprowadzić do tego, by egzorcysta przegnał jego koszmary. Przyniesiono jadło i dwa dzbany wina. Gawiedź stała przed domem i podglądała jak jedzą i rozprawiają o Bogu, pogodzie i winnicach. Gdy skończyli jeść i pić, służący przynieśli miski z wodą, w których goście umyli ręce i zaczęli zbierać się do odejścia. Ananiasz nie mógł już dłużej wytrzymać. "Wykosztowałem się, żeby go ugościć - pomyślał. - Najadł się i napił, a z nim cała jego świta. Czy nie powinien odplacić mi teraz?"

- Nauczycielu, dręczą mnie koszmary - powiedział. - Słyszałem, że uchodzisz za wielkiego egzorcystę. Zrobiłem dla ciebie co tylko mogłem, teraz niech Wasza Świątobliwość zrobi coś dla mnie. Ulituj się, proszę, i przegnaj moje złe sny. Powiadają, że potrafisz odegnąć złe moce przypowieścią, opowiedz mi więc jedną. Zrozumiem jej ukryte znaczenie i będę wyleczony. Wszystko na tym świecie to czary, nieprawdaż? Pokaż więc swoją sztukę.

Jezus uśmiechnął się i spojrział w oczy starca. Nie po raz pierwszy oglądał żarłoczne szczęki, tłusty kark i rozbiegane oczy tych, którzy są przesyleni jadłem. Widok ten zawsze przejmował go dreszczem. Ludzie ci jedli, pili i śmiali się sądząc, że cały świat należy do nich; kradli, tańczyli, łajdaczyli się i nie mieli pojęcia, że smażą się w ogniu piekielnym. Tylko bardzo rzadko, we śnie, otwierały im się oczy i widzieli... Jezus spojrział na starego żarłoka, na jego ciało, oczy, strach i raz jeszcze prawda, którą czuł w sobie, przybrała kształt opowieści.

- Nastaw uszu, Ananiaszu - powiedział - i otwórz serce, będę mówił.

- Nastawiłem uszu i otworzyłem serce. Słucham, chwała niech będzie Bogu.

- Pewnego razu, Ananiaszu, był sobie nieuczciwy i niesprawiedliwy człowiek. Jadł, pił i ubierał się w jedwab i purpurę, a nigdy złamanego grosza nawet nie dał swojemu sąsiadowi Łazarzowi, który głodował i trząsał się z zimna. Łazarz wczołgiwał się pod stoły, żeby zbierać okruchy i oblizywać kości, ale niewolnicy bogacza wyrzucali go stamtąd, więc siadał na progu, a psy lizaly jego rany. W końcu nadszedł wyznaczony dzień, w którym obaj umarli. Jeden poszedł do piekła, drugi udał się na łono Abrahama. Któregoś dnia bogacz podniósł w górę wzrok i ujrzał rozradowanego Łazarza na łonie Abrahama. "Ojczy Abrahama, Ojczy Abrahama!" zawołał, "Ześlij

Łazarza na dół, niech umoczy czubek palca i zwilży mi usta - przypiekam się żywcem!"  
Ale Abraham odpowiedział mu: "Przypomnij sobie, jak ty jadłeś i piłeś, i używałeś życia, a on cierpiał zimno i głód. Czy dałeś mu kiedyś choćby listek sałaty? Teraz jego kolej zażywać radości, a twoja byś smażył się na wieki wieków".

Jezus westchnął i umilkł. Stary Ananiasz stał z otwartymi ustami, czekając na ciąg dalszy. Miał spierzchnięte usta i zaschło mu w gardle. Patrzył na Jezusa błagalnym wzrokiem.

- Czy to wszystko? - zapytał drżącym głosem. - Czy to już cała przypowieść?

- Dobrze mu tak! - roześmiał się Judasz. - Kto objada się ponad miarę i za wiele pije na ziemi, ten wyrzyga wszystko w Hadesie.

Młodszy syn Zebedeusza nachylił się do Jezusa i szepnął:

- Rabbi, twoje słowa nie ulżyły memu sercu. Czyż nie powtarzałeś nam wiele razy, abyśmy przebacжали naszym wrogom? Uczyłeś nas, że należy kochać naszych wrogów, że jeśli skrzywdzą nas siedem lub siedemdziesiąt siedem razy, musimy odpłacać im siedem lub siedemdziesiąt siedem razy dobrocią. Tylko w ten sposób, mówiłeś, można pozbyć się nienawiści tego świata. A teraz... Czy Bóg nie może przebaczyć?

- Bóg jest sprawiedliwy - przerwał rudobrody, rzucając sarkastyczne spojrzenie na starego Ananiasza.

- Bóg jest nieskończoną dobrocią - poprawił go Jan.

- Czy to znaczy, że nie ma żadnej nadziei? - wyjąkał stary bogacz. - Czy to już koniec przypowieści?

Tomasz podniósł się, zrobił krok w stronę drzwi i przystanął.

- Nie, wielmożny panie, to nie koniec - zadrwił. - Jest jeszcze coś.

- Mów, moje drogie dziecko, a będziesz miał moje błogosławieństwo.

- Ów bogacz zwał się Ananiasz - rzucił Tomasz. Schwycił swój tobole z towarami i w mgnieniu oka był już na ulicy, zanosząc się głośnym śmiechem wespół z sąsiadami.

Staremu bogaczowi krew napłynęła do głowy; pociemniało mu w oczach, jakby już zaszło słońce.

Jezus wyciągnął dłoń i pogładził nią kędzierzawe włosy swego ukochanego towarzysza.

- Janie - powiedział - wszyscy mają uszy i słyszeli, wszyscy mają rozum i osądzili. Bóg jest sprawiedliwy, powiedzieli, i nie potrafili zrozumieć nic więcej. Lecz



ty masz także i serce i powiedziałaś: "Tak, Bóg jest sprawiedliwy, ale nie dosyć tego - jest także nieskończenie dobry". Ta przypowieść nie może wyglądać w ten sposób - musi mieć inne zakończenie.

- Wybacz, Rabbi - powiedział młodzieniec - ale tak właśnie podpowiedziało mi serce. Człowiek wybacz, powiedziałem sobie. Czy to możliwe, aby Bóg tego nie uczynił? Nie, to niemożliwe. Ta przypowieść to wielkie bluźnierstwo i nie może pozostać w takim kształcie. Musi mieć inne zakończenie.

- Ona ma inne zakończenie, umiłowany Janie - powiedział z uśmiechem Jezus.  
- Posłuchaj, Ananiaszu, a pokrzepię twe serce; słuchajcie wy, zgromadzeni na dziedzińcu, i wy, sąsiedzi, którzy śmiejecie się na ulicy. Bóg jest nie tylko sprawiedliwy, jest dobry, i nie tylko dobry, jest nam wszystkim Ojcem. Gdy Łazarz usłyszał słowa Abrahama, westchnął, i zwrócił się w myślach do Boga: "Boże, jak można być szczęśliwym w raju wiedząc, że dusza innego człowieka smaży się przez całą wieczność? Napój go, Panie, abym i ja nie czuł pragnienia. Zbaw go, Panie, abym i ja mógł być zbawiony. W przeciwnym razie ja również zacznę czuć piekielny ogień". Bóg usłyszał jego myśli i uradował się. "Umiłowany Łazarzu" powiedział, "zstąp na dół i ujmij dłoń tego spragnionego. Moje źródła są niewyczerpane. Przyrowadź go, aby mógł z nich pić i pokrzepić duszę i ty także pokrzep się razem z nim..." "Przez całą wieczność?" zapytał Łazarz. "Tak, przez całą wieczność" odparł Bóg.

Jezus wstał, nie mówiąc więcej ani słowa. Ziemię okrył mrok. Ludzie rozeszli się, mężczyźni i kobiety powrócili do swych nędznych chat, szepcząc do siebie. Ich serca były przepelnione. Zadawali sobie pytanie: czy słowo może nasycić człowieka? Tak, może - jeśli tylko niesie w sobie Dobrą Nowinę!

Jezus wyciągnął dłoń, żeby pożegnać się z Ananiaszem, ale ten upadł mu do stóp.

- Rabbi - wybełkotał - przebacz! - i wybuchnął płaczem.

Tej samej nocy, pod oliwnymi drzewami, gdzie ułożyli się na spoczynek, Judasz odnalazł syna Marii. Nie mógł zaznać spokoju. Musiał porozmawiać z nim i wyłożyć swe karty na stół, tak aby wszystko było jasne. Gdy w domu tego zbrodniarza, Ananiasza, ucieszył się z grożącej mu kary w piekle i klasnął w dłonie wołając "Dobrze mu tak!", Jezus popatrzył na niego kątem oka, ukradkiem, jakby go ganił; spojrzenie to nie dawało Judaszowi spokoju. Musiał rozmówić się z Jezusem i wyjaśnić wszystko. Nie lubił niedomówień i ukradkowych spojrzeń.

- Witaj - powiedział Jezus. - Czekałem na ciebie.

- Synu Marii, nie pasuję do twojej gromady - zaczął rudobrody bez ogródek. - Nie mam niewinności i dobroci Jana, twojego pupilka, i nie jestem roztrzepanym marzycielem jak Andrzej, który zmienia zdanie z najlżejszym podmuchem wiatru. Jestem dziką, bezlitosną bestią. Jestem nieślubnym dzieckiem, moja matka porzuciła mnie w lesie, gdzie piłem mleko wilczycy. Tam stałem się twardy, surowy i szczery. Jeśli kogoś kocham, zrobię dla niego wszystko; gdy kogoś nienawidzę, zabijam go.

Gdy mówił, jego głos stał się ochryply, a oczy miały w ciemności iskry. Jezus położył rękę na jego strasznej głowie, ale rudobrody strząsnął łagodną dłoń. Ciągnął dalej, ważąc każde słowo.

- Jestem nawet zdolny zabić kogoś, kogo kocham, jeśli zobaczę, że zbacza z drogi prawdy.

- Jaka jest droga prawdy, Judaszu?

- Wybawienie Izraela.

Jezus zamknął oczy i nie odpowiedział. Płomienie dwojga oczu, które buchały z ciemności, paliły go, tak jak i słowa Judasza. Czym był Izrael? Dlaczego tylko Izrael? Czyż nie byli wszyscy braćmi?

Rudobrody czekał na odpowiedź, ale syn Marii milczał. Judasz chwycił go za ramię i potrząsnął nim, jakby chciał go obudzić:

- Rozumiesz? - zapytał. - Słyszałeś, co powiedziałem?

- Tak, rozumiem - odparł Jezus otwierając oczy.

- Mówię ci to bez ogródek, bo chcę żebyś wiedział, kim jestem i czego pragnę, abyś nie miał co do mnie żadnych złudzeń. Wszyscy inni mogą sobie słuchać tego, co mówisz z otwartymi ustami, ale nie ja! Nie jestem niewolnikiem, jestem wolnym człowiekiem. Tak to wygląda i lepiej pamiętaj o tym.

- Ale wolność, Judaszu, jest właśnie tym, czego i ja chcę.

Rudobrody aż podskoczył. Chwytnąc Jezusa za ramię, wykrzyknął rozplamieniony:

- Chcesz wyswobodzić Izrael od Rzymian?

- Chcę wyswobodzić duszę od grzechu.

Judasz gwałtownie cofnął rękę z ramienia Jezusa i uderzył pięścią w pień oliwnego drzewa.

- Tu rozchodzą się nasze drogi - warknął, mierząc Jezusa nienawistnym spojrzeniem. - Najpierw trzeba uwolnić ciało od Rzymian, a potem duszę od grzechu. To jest właściwa droga. Czy ty nią pójdziesz? Domu nie stawia się od dachu, lecz od

fundamentów.

- Dusza jest fundamentem, Judaszu.

- Fundament to ciało - i od niego trzeba zacząć. - Uważaj, synu Marii. Już ci to raz powiedziałem, ale powtórzę raz jeszcze: uważaj, obierz właściwą drogę, powiadam ci. Jak myślisz, dlaczego chodzę za tobą? Może lepiej, żebyś się wreszcie dowiedział - po to, żeby wskazać ci drogę.

Andrzeja, który spoczywał pod sąsiednim drzewem, obudziły odgłosy tej rozmowy. Poznał głos swojego Nauczyciela i jeszcze jeden, ochryply od gniewu. Zadrzał jak złękciona sarna. Kto przyszedł tu w środku nocy, żeby rozgniewać Jezusa? Jego Nauczyciel wszędzie pozostawiał za sobą całe rzesze biednych, którzy go kochali. Ale jednocześnie pośród możliwych i starców wielu było takich, którzy go nienawidzili i pragnęli jego upadku. Może to ci przestępcy nasłali na niego zbójów? Podkraść się na czworakach w stronę, z której dobiegały głosy. Rudobrody usłyszał, że ktoś się zbliża i wstał z miejsca.

- Kto tam? - zawołał.

Andrzej poznał jego głos.

- To ja, Andrzej, Judaszu. - odparł.

- Idź spać, Andrzej, synu Jonasza. Mamy tu do pomówienia na osobności - rzucił krótko rudobrody.

- Idź spać, Andrzej, moje dziecko - powiedział również Jezus.

Judasz zniżył głos. Jezus czuł jego ciężki oddech na twarzy.

- Pamiętasz, jak wyjawilem ci na pustyni, że Bractwo zleciło mi, żebym cię zabił? W ostatniej chwili zmieniłem zamiar, schowałem nóż i uciekłem z klasztoru o świcie, jak złodziej.

- Dlaczego zmieniłeś zamiar, Judaszu, bracie? Byłem gotowy.

- Chciałem poczekać.

- Na co?

Judasz odpowiedział po chwili milczenia:

- Żeby się przekonać, czy jesteś Tym, na którego czeka Izrael.

Jezus wzdrygnął się. Oparty o pień drzewa, drżał na całym ciele.

- Nie chciałem w pośpiechu zabić Zbawiciela, o nie! - zawołał Judasz, ocierając czoło, które nagle pokryło się potem. - Rozumiesz? - zaryczał, jak gdyby ktoś trzymał go za gardło. - Rozumiesz - nie chcę!

Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Może nawet on sam tego nie wie, powiedziałem sobie. Lepiej zaczekać i przekonać się, co będzie mówił i czynił, a jeśli to nie on jest Tym, na którego czekamy, to zawsze nadarzy się jeszcze okazja, żeby się go pozbyć... Tak sobie właśnie powiedziałem, dlatego pozwoliłem ci ujść z życiem.

Dyszał ciężko, grzebiąc w ziemi dużym palcem u nogi. Nagle złapał Jezusa za ramię. Głos ochrypl mu z rozpacz.

- Nie wiem jak się do ciebie zwracać - synu Marii? synu cieśli? synu Dawida? Jak widzisz, ciągle nie wiem, kim jesteś, ale ty nie wiesz tego również. Ta niepewność nie może trwać dłużej. Nie patrz na innych - ci chodzą za tobą jak rozbeczane owce; nie zwracaj uwagi na kobiety, które podziwiają cię i wylewają łzy. W końcu to tylko kobiety - mają serca, ale brak im rozumu; nic nam po nich. To my dwaj musimy się dowiedzieć, kim jesteś i czy ten płomień, który nosisz w sobie, jest Bogiem Izraela, czy diabłem. Musimy! Musimy!

Jezus drżał.

- Cóż my możemy zrobić, Judaszu, mój bracie? Jak możesz dojść tej prawdy? Pomóż mi.

- Jest jeden sposób.

- Jaki?

- Pójdziemy do Jana Chrzciciela. On nam powie. Przecież krzyczy ciągle: "Nadchodzi! Nadchodzi!", prawda? Kiedy cię ujrzy, będzie wiedział, czy to o ciebie chodzi czy nie. Idźmy do niego - ty ukoisz swoje nerwy, a ja dowiem się, co mam uczynić.

Jezus pogrążył się w myślach. Ileż to razy doznawał już tego samego niepokoju, ile razy padał twarzą na ziemię wstrząsany konwulsjami, z pianą na ustach! Ludzie myśleli, że postradał zmysły, że opętał go diabeł i omijali go z daleka. Ale on był w siódmym niebie; jego umysł, wyzwolony ze swej klatki, wznosił się w górę i pukał do drzwi Boga, pytając: Kim jestem? Dlaczego się urodziłem? Co mam zrobić, żeby zbawić świat? Jaka jest najkrótsza droga - czy jest nią może moja własna śmierć?

Podniósł głowę. Judasz stał nad nim pochylony.

- Judaszu, bracie mój - powiedział - połóż się przy moim boku. Pan przyjdzie pod postacią snu i zabierze nas ze sobą. Jutro, jeśli Bóg tak zechce, wyruszymy o brzasku na poszukiwanie proroka z Judei i cokolwiek postanowi Bóg, tak się stanie. Jestem gotów.

- Ja również - powiedział Judasz i położył się obok niego.

Musieli być obaj zupełnie wycieńczeni, bo zasnęli od razu.

Następnego dnia o świcie Andrzej, który zbudził się pierwszy, znalazł ich pogrążonych w kamiennym śnie i wzajemnych objęciach.

Słońce padło na jezioro i rozjaśniło świat. Rudobrody szedł na przedzie torując drogę. Za nim podążał Jezus i jego dwaj wierni towarzysze, Jan i Andrzej. Tomasz, któremu zostały jeszcze towary na sprzedaż, pozostał w wiosce. "Podoba mi się, co mówi ten syn Marii - myślał przebiegły handlarz, głowiąc się jednocześnie, jakie korzyści może wyciągnąć z tej sytuacji. - Biedni będą jeść i pić do syta całą wieczność. Wspaniale, ale wprawdzie muszą umrzeć, a zanim to nastąpi, patrzcie co dzieje się z nami tu, na dole! Uważaj, Tomaszu, łajdaku, uważaj, żebyś nie ugrzązł w jednym miejscu. Najbezpieczniej mieć w koszu dwa rodzaje towarów: na samym wierzchu, na widoku, grzebienie i kosmetyki, a pod spodem, na dnie, dla klientów pierwszej klasy, królestwo niebieskie..." Chichocząc, zarzucił ponownie swój tobolek na ramię i o świcie, trąbiąc i wołając głośno, zaczął krążyć po uliczkach Betsaidy, zachwalając swe ziemskie towary.

W Kafarnaum Piotr i Jakub wstali o brzasku, żeby wybrać sieci. Były już pełne trzepoczących ryb, które mieniły się w słońcu. Kiedy indziej bardzo ucieszyliby się z połowu, lecz dzisiaj błędzili myślami daleko i milczeli. Nie odzywali się, ale w głębi ducha obaj prowadzili spory: to z losem, który od pokoleń wiązał ich z tym jeziorem, to znów sami ze sobą, z własnym wyrachowaniem, które nie pozwalało im zaznać wolności. Co to za życie! wołali do siebie. Zarzucać sieci, łapać ryby, jeść, spać i o brzasku każdego nowego dnia zaczynać ten sam nędzny żywot raz jeszcze - dzień w dzień, rok w rok, przez całe życie! Jak długo jeszcze? Czy tak mamy żyć i umrzeć? Nigdy dotąd o tym nie myśleli. Ich serca były zawsze spokojne, wykonywali to, co nakazywał im odwieczny obyczaj, bez narzekania. Tak żyli ich ojcowie i dziadkowie od tysięcy lat - nad tym samym jeziorem, szamocząc się z rybami. Któregoś dnia po prostu krzyżowali swe zeszywniałe ręce na piersi i umierali, a ich wnuki i prawnuki bez sprzeciwu robiły dalej to samo. Ale ostatnio wszystko, co ich otaczało, stało się nagle zbyt ciasne i zaczęły się dusić. Ich spojrzenia wędrowały daleko, hen, za jezioro. Dokąd? Ku czemu? Sami tego nie wiedzieli, czuli tylko, że się duszą.

I jakby nie dość było tej męczarni, każdego dnia pojawiali się wędrowcy z nowymi wieściami: gdzieś ożywały trupy, paralitycy zaczęli chodzić, a ślepi widzieć.

- Kim jest ten nowy prorok? - pytali wędrowcy rybaków. - Wasi bracia są razem z nim, więc na pewno to wiecie. Podobno nie jest synem cieśli z Nazaretu, ale synem

Dawida. Czy to prawda? - Piotr i Jakub wzruszali tylko ramionami i pochylali się nad sieciami. Mieli ochotę płakać, żeby sobie ulżyć. Czasem, gdy wędrowcy znikali na horyzoncie, Piotr zwracał się do swego towarzysza:

- Wierzysz w te cuda, Jakubie?

- Ciągnij sieci i bądź cicho - odpowiadał mu szorstko syn Zebedeusza i szarpnięciem przyciągał wyładowaną sieć do łodzi.

Tego dnia o świcie gościńcem przejeżdżał furman, który także przyniósł im nowe wieści.

- Powiadają, że ten nowy prorok ucztował w Betsaidzie, w domu starego sknery Ananiasza. Jak tylko skończył jeść i umył ręce, podszedł do Ananiasza i wyszeptał mu coś do ucha - nagle staremu poprzestawiało się w głowie, wybuchnął płaczem i zaczął rozdawać swój majątek biednym.

- Co on mu powiedział? - zapytał Piotr ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, daleko ponad jeziorem.

- Ba, gdybym to ja wiedział! - odparł furman ze śmiechem. - Wrze szczałbym te słowa do ucha każdemu bogaczowi, żeby i biednym coś się dostało od życia... Żegnajcie! - zawołał na odchodnym. - Dobrych połowów!

Piotr odwrócił się do swojego towarzysza, żeby rzucić jakąś uwagę, ale natychmiast zmienił zamiar. Co mógł mu powiedzieć? Czyż nie miał już i bez tego dosyć słów? Miał ochotę rzucić wszystko, wstać i pełen obrzydzenia odejść stąd na zawsze. O, tak, odejść stąd! Chata Jonasza stała się teraz dla niego za ciasna, podobnie jak cała ta przekłeta miednica - jezioro Genezaret! - To nie jest życie - mruknął. - To nie jest życie. Odchodzę!

Jakub odwrócił się.

- Co ty tam mamrociesz? - zapytał. - Nie ruszaj się!

- Nic, niech to wszystko diabli, nic - odparł Piotr i zaczął z wściekłością wybierać sieci.

W tej samej chwili na szczycie zielonego wzgórza, na którym Jezus przemawiał do ludzi po raz pierwszy, ukazała się sylwetka Judasza. Rudobrody trzymał zakrzywiony kij wystrugany z przydrożnego dębu i uderzał nim o ziemię przy każdym kroku. Zdyszany, zatrzymał się na chwilę na szczycie, żeby spojrzeć na świat w dole. Jezioro połyskiwało wesoło, pieszczone przez radosne słońce. Łodzie rybackie były jak czerwone i białe motyle. Ponad nimi płynęli uskrzydleni rybacy niczym mewy. Kafarnaum tętniło życiem w oddali. Słońce wzeszło już wysoko i świat pysznił się

pełnią swojego blasku.

- Patrzcie, tam jest Piotr! - zawołał Andrzej, pokazując ręką w stronę plaży, na której jego brat wybierał sieci.

- I Jakub! - dodał z westchnieniem Jan. - Ciągłe nie mogą uwolnić się od świata.

Jezus uśmiechnął się.

- Nie wzdychaj, kochany Janie - powiedział. - Połóżcie się tu wszyscy i odpocznijcie, a ja zejść na dół i ich przyprowadzę.

Zaczął schodzić w dół szybkim, sprężystym krokiem. "On jest jak anioł - pomyślał z uwielbieniem Jan. - Brak mu tylko skrzydeł..." Stąpając z kamienia na kamień, Jezus zszedł na dół. Gdy dotarł do brzegu, zwolnił i podszedł do rybaków pochylonych nad sieciami. - Stał za nimi i patrzył na nich przez dłuższą chwilę bez ruchu. Nie myślał o niczym, lecz czuł, że staje się coraz słabszy: jakaś siła opuszczała jego wnętrze. Wszystko zrobiło się nagle lekkie i uniosło w powietrze, popłynęło ponad jeziorem jak chmura. Dwaj rybacy także wzniesli się w górę, a ich pełna sieć uległa apoteozie: nie była to już zwykła sieć z rybami - na jej miejscu pojawili się ludzie, tysiące szczęśliwych, roztańczonych ludzi...

Nagle dwaj rybacy poczuli łaskotanie na czubkach głów i ogarnęło ich dziwne, słodkie odrętwienie. Podskoczyli i odwrócili się z lękiem. Za nimi stał bez ruchu Jezus i patrzył na nich w milczeniu.

- Wybacz, Rabbi - zawołał z udręką w głosie Piotr.

- Dlaczego, Piotrze? Cóż takiego uczynił, żebym ci musiał wybaczyć?

- Nic - burknął Piotr. Po czym wybuchnął nagle: - Czy ty to nazywasz życiem? Mam już tego dość!

- Ja również - zawołał Jakub i cisnął sieć na ziemię.

- Chodźcie - powiedział Jezus, wyciągając ku nim ręce. - Chodźcie, a sprawię, że ludzi a nie ryby łowić będziecie.

Ujął ich za ręce i stanął między nimi.

- Chodźmy - powiedział.

- Czy nie powinienem pożegnać się najpierw z ojcem? - zapytał Piotr, przypominając sobie o starym Jonaszu.

- Nie oglądaj się nawet, Piotrze. Nie mamy czasu. Ruszajmy!

- Dokąd? - Jakub przystanął nagle.

- Dlaczego pytasz? Dość pytań, Jakubie. Chodź!

Przez cały ten czas stary Jonasz pochylony nad paleniskiem gotował stawę, czekając na swego syna, Piotra, żeby zasiąść z nim razem do stołu. Tylko jeden syn mu pozostał, niech Pan Bóg ma go w swojej opiece. Piotr był roztroprnym mężczyzną i dobrym gospodarzem; drugiego syna, Andrzeja, starzec dawno już spisał na straty. Ten stale uganiał się jak nie za jednym szarlatanem, to za drugim, zostawiając starego ojca na pastwę samotności. Teraz prócz gotowania i zajmowania się domem - z tymi dwoma demonami musiał zmagać się od śmierci żony - Jonasz musiał jeszcze naprawiać sieci i siłować się z wiatrem. "Dobrze, że przynajmniej Piotr jest ze mną i dodaje mi sił, niech go Bóg błogosławi" - pomyślał Jonasz. Spróbował potrawy. Gotowe. Spojrzał na słońce. Było prawie południe.

- Głodny jestem - jęknął - ale nie zjem, dopóki Piotr nie wróci. - Skrzyżował ręce na piersi i czekał.

Położony nieopodal dom Zebedeusza był otwarty. W rogu podwórza zawalonego koszami i dzbanami stał kocioł do destylacji. Cały dom pachniał alkoholem: trwało właśnie ściąganie raki wydestylowanej ze skórek winogron i łożyczek pozostałych po pędzeniu wina. Stary Zebedeusz i jego żona jedli obiad przy małym stole pod ogołoconą winoroślą. Zebedeusz żuł jedzenie bezzębnymi dziąsłami i rozprawiał o tym, jak jeszcze bardziej rozwinąć interes. Już od dawna patrzył pożądliwie na dom swojego sąsiada, starego Nahuma. Nahum miał u niego długi, których nie był w stanie spłacić. W przyszłym tygodniu, jeśli Bóg pozwoli, Zebedeusz planował wystawić dom na licytację. Szykował się na to od dwóch lat: wreszcie będzie mógł wyburzyć oddzielający domy mur i poszerzyć w ten sposób swoje podwórze. Miał prasę do winogron, ale chciał kupić też prasę do oliwek, żeby cała wioska przychodziła do niego wyciskać olej i płacić prowizję, z której uzbierają się całoroczne zapasy. Ale gdzie pomieścić wtedy prasę do winogron? Za wszelką cenę musi zdobyć dom Nahuma...

Stara Salome słuchała jego słów, lecz myślami była przy swoim ukochanym synu, Janie. Gdzie mógł być teraz? Co to za rodzaj miodu skapywał z ust nowego proroka? Tak bardzo chciała ujrzeć go ponownie, usłyszeć, jak przemawia i zasiewa Boga w sercach ludzi. "Mój syn postąpił słusznie - pomyślała - obrał właściwą drogę i ma moje błogosławieństwo". Przypomniał się jej sen sprzed kilku dni. Śniła, że otwiera drzwi, zatrzaskuje je za sobą i opuszcza ten dom, prasę do winogron i pełne spizarnie, żeby pójść za nowym prorokiem. "Pobiegłam za nim bosa i głodna - pomyślała - i po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, czym jest szczęście".



- Słuchasz, co mówię? - warknął stary Zebedeusz, który dostrzegł, że żona patrzy nań nieobecny wzrokiem. - O czym ty myślisz?

- Słucham - odparła Salome, spoglądając na niego tak, jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu.

W tym momencie starzec usłyszał dobiegające z ulicy znajome głosy.

- To oni! - zawołał. Na widok mężczyzny w bieli, u którego boku szli jego dwaj synowie, rzucił się do drzwi i krzyknął z ustami ciągle jeszcze pełnymi jedzenia:

- Ejże, chłopaki! Dokąd to? Czy to tak się mija mój dom? Stójcie!

Nie zatrzymali się, tylko Piotr odpowiedział mu:

- Mamy coś do załatwienia, Zebedeuszu.

- Co takiego?

- To bardzo zawiła i skomplikowana sprawa - rzekł Piotr i wybuchnął śmiechem.

Starcowi oczy wyskoczyły z orbit.

- I ty także, Jakubie, ty także? - krzyknął przełykając nieprzeżute jedzenie. Z rozdartym gardłem wrócił do domu i spojrzał na żonę.

- Pożegnaj się ze swoimi synami, Zebedeuszu - powiedziała, potrząsając głową.  
- On ich zabiera ze sobą.

- Jakuba także? - zapytał starzec, nie wiedząc co ma o tym myśleć. - Przecież on miał swój rozum! To niemożliwe!

Salome siedziała w milczeniu. Cóż mogła mu powiedzieć? Jak wytłumaczyć? Straciła apetyt. Wstała od stołu i podeszła do drzwi, spoglądając na wesołą gromadę, która szła królewskim traktem wzdłuż Jordanu w stronę Jerozolimy. Podniosła swoją starą dłoń i cicho, tak aby nie usłyszał jej mąż, powiedziała:

- Błogosławię was wszystkich.

Opuszczając już wioskę, spotkali Filipa, który wypasał swoje owce nad brzegiem jeziora. Wdrapał się wysoko na szczyt czerwonej skały i wsparty na kiju wpatrywał się w swój czarny cień na seledynowej tafli jeziora w dole. Gdy usłyszał chrzęst kamyczków na biegnącej poniżej drodze, wyprostował się.

- Hej tam! - zawołał, rozpoznając przechodzących. - Nie widzicie mnie? Dokąd to zmierzacie?

- Do królestwa niebieskiego - odkrzyknął Andrzej. - Idziesz z nami?

- Andrzej, mów poważnie, proszę. Jeżeli wybieracie się na wesele do Magdali, to idę z wami. Nataniel mnie również zaprosił. Żeni swojego bratanka.

- A dalej z nami nie pójdiesz? - zawołał Jakub.
- Mam owce - odparł Filip. - Co ja z nimi zrobię?
- Powierz je opiece Boga - powiedział Jezus, nie odwracając się.
- Wilki je zjedzą!
- Niech więc je zjedzą! - zawołał Jan.

"Mój Boże, ci ludzie zupełnie powariowali" - pomyślał pastuch i zagwizdał na swoje stado.

Maszerowali przed siebie. Judasz, taszcząc zakrzywiony kij, szedł znowu na przedzie. Jemu spieszyło się najbardziej. Serca pozostałych przepęłniała radość. Gwizdali jak kosy i śmiali się na głos. Piotr podszedł do Judasza, który jedyny z nich wszystkich miał marsową minę. Nie gwizdał i nie śmiał się, czekając tylko niecierpliwie, aż wreszcie przybędą na miejsce.

- Judaszu, powiedz mi w końcu, dokąd idziemy - zagadnął go półgłosem Piotr. Połowa twarzy rudobrodego roześmiała się.

- Do królestwa niebieskiego.

- Przestań sobie żartować, na miłość boską, powiedz mi dokąd idziemy. Boję się zapytać Nauczyciela.

- Do Jerozolimy.

- Nie! Toż to trzy dni marszu! - zawołał Piotr, wrywając sobie siwe włosy. - Gdybym wiedział, zabrałbym z sobą sandały, bochenek chleba i tykwę wina, no i mój kostur.

Tym razem roześmiała się cała twarz rudobrodego.

- Ach, biedny Piotrze - powiedział - teraz już za późno na żale. Pożegnaj się ze swoimi sandałami, chlebem, winem i kosturem. Nic nie rozumiesz - zostawiliśmy za sobą świat, ląd i morze, i wznieśliśmy się w powietrze! - Pochylił się nad nim i powiedział mu do ucha: - Jest jeszcze czas... Wracaj!

- Jak mogę teraz zawrócić? - zapytał Piotr i rozłożył ręce, machając bezładnie we wszystkie strony, jak gdyby był czymś otoczony i dusił się. - To wszystko wydaje mi się teraz nie do zniesienia - powiedział, pokazując jezioro, rybackie łodzie i domostwa Kafarnaum.

- Mnie również! - rzekł rudobrody, potrząsając swoją potężną głową. - Przestań więc narzekać. Chodźmy!

## ROZDZIAŁ XV

Pierwsze wyczuły go wiejskie psy i zaczęły szczekać. Wkrótce po Magdali rozbiegły z głośnym krzykiem dzieci: - Nadchodzi, nadchodzi!

- Kto, chłopcy, kto? - pytali mieszkańcy, otwierając drzwi.

- Ten nowy prorok!

Młode i stare kobiety stanęły w drzwiach, mężczyźni porzucili swoje zajęcia, a chorzy skakali z radości, gotowi się czołgać, aby go dotknąć. Jego imię stało się już sławne w okolicy jeziora Genezaret. Epileptycy, ślepi i sparaliżowani, których uzdrowił, rozgłaszali jego talent i moc po okolicznych wioskach:

- Dotknął mych ociemniałych oczu i zobaczyłem światło.

- Gdy tylko kazał mi odrzucić kule i chodzić, zacząłem tańczyć.

- Całe armie demonów wyżerały mi wnętrzności. On podniósł rękę i nakazał: "Odejdźcie, idźcie do świń." Od razu wyskoczyły mi z jelit i wstąpiły w świnie, które pasły się na brzegu. Zwierzęta oszalały, włożyły jedna na drugą, wskakiwały do wody i tonęły.

Słyszając dobrą nowinę, Magdalena wyszła przed dom.

Nie wychodziła od dnia, gdy syn Marii kazał jej tu wrócić i nie grzeszyć więcej. Łzami obmywała swą duszę, starając się wyrzucić z myśli przeszłość i zapomnieć o wszystkim - o wstydzie, radościach, całonocnych czuwaniach - i narodzić się na nowo w dziewiczym ciele. Przez kilka pierwszych dni waliła głową o ziemię i rozpaczała, ale z czasem uspokoiła się. Ból ustąpił, dręczące ją koszmary odeszły i teraz co noc śniła, że Jezus zjawia się u niej jako gospodarz i siada na podwórzu pod kwitnącym granatem. Przybywa z daleka, więc jest zmęczony, zakurzony i rozczarowany ludźmi. Co wieczór Magdalena grzeje wodę, obmywa jego święte stopy, a potem osusza je rozpuszczonymi włosami. A on, odprężony, uśmiecha się i rozmawia z nią. Nigdy nie pamiętała jego słów, ale rano wyskakiwała z łóżka pogodna i ożywiona, a przez kilka ostatnich dni podśpiewywała jak szczygiełek, słodko i cicho, aby nie usłyszeli jej sąsiedzi. Teraz, słysząc krzyki dzieci, zerwała się; twarz - tak często kiedyś całowaną - zakryła chustą, odsłaniając jedynie oczy, otworzyła drzwi i wyszła mu na spotkanie.

Tego wieczoru we wsi panowało poruszenie. Dziewczęta stroiły się w biżuterię i przygotowywały lampy na wesele. Żenił się bratanek Nataniela. Ten pulchny, brązowy, przerośnięty młodzik o nosie jak maczuga był, podobnie jak jego wuj,

szewcem. Panna młoda, okryta welonem tak gęstym, że widać było zza niego tylko oczy i duże srebrne koła w uszach, siedziała pośrodku domu w ustawionym na podwyższeniu fotelu. Czekala na gości - szlachetnych mężczyzn i dziewczęta z zapalonymi lampami; czekała na rabina, który rozwinie zwoje Świętych Ksiąg i odczyta błogosławieństwo; czekała wreszcie na tę chwilę, gdy wszyscy rozejdą się, a ona zostanie sama ze swoim maczugonosym oblubieńcem.

Nataniel usłyszał krzyki dzieci - "Nadchodzi, nadchodzi!" - i wybiegł zaprosić przyjaciół na wesele. Siedzieli przy studni na skraju wioski, gasząc pragnienie wodą. Magdalena klęczała przed Jezusem. Umyła mu nogi, a teraz osuszała je włosami.

- Mój bratanek żeni się dziś wieczorem - oznajmił Nataniel. - Proszę, bądźcie tak dobrzy i przyjdźcie na wesele. Będziemy pić wino z winogron, które latem sam wygniatałem w domu Zebedeusza.

Zwrócił się do Jezusa: - Wiele słyszymy o twojej świętości, synu Marii. Uczyni mi ten zaszczyt i pobłogosław młodej parze, aby płodzili synów na chwałę Izraela.

Jezus wstał.

- Ciesz się ludzkie radości - odparł. - Chodźmy, przyjaciele.

Chwycił Magdalene za rękę i pomógł jej wstać.

- Przyłącz się do nas, Mario - powiedział.

Szedł przodem, w dobrym nastroju; lubił święta. Kochał rozpromienione ludzkie twarze; lubił patrzeć jak młodzi się pobierają i podtrzymują ogień płonący w palenisku. "Rośliny, owady, ptaki, zwierzęta, ludzie - wszystko jest święte - rozmyślał w drodze na wesele - bo wszystko stworzył Bóg. Po co żyją? By chwalić Boga. A więc niech żyją wiecznie!"

Przed zamkniętymi, bogato zdobionymi drzwiami stały już wykąpane dziewczęta w białych szatach. W dłoniach trzymały zapalone lampy i śpiewały stare weselne pieśni chwalcące pannę młodą, drwiące z pana młodego i wzywające Boga, by zechciał wejść i przyłączyć się do kompanii. Odbywa się wesele Izraelitów, a z ciał które złączą się tej nocy, może zrodzić się Mesjasz...Dziewczęta śpiewały, aby oszukać czas, bo pan młody spóźniał się. Czekaly, aż przyjdzie i otworzy drzwi, żeby rozpocząć uroczystość.

Gdy tak śpiewały, zjawił się Jezus ze swoją świtą. Panny odwróciły głowy. Na widok Magdaleny przerwały śpiew i cofnęły się, rzucając w jej stronę groźne spojrzenia. Co ta dziwka robi pośród dziewic? Dlaczego stary wójt jej nie zatrzymał? Wesele zostało zbrukane! Meżatki także zerkały na nią surowo. Rozszepcany tłum

gości, porządnych gospodarzy, falował pod zamkniętymi drzwiami. Lecz Magdalena jaśniała jak zapalona pochodnia. Stojąc u boku Jezusa czuła, że duszę ma znów dziewiczą, a usta nietknięte. Nagle tłum rozstał się i do Magdaleny podszedł wójt - maleńki, wychudzony, jadowny starzec. Trącił ją końcem laski i skinął głową, dając do zrozumienia, że powinna odejść.

Jezus czuł na dłoniach, twarzy i odkrytej piersi zjadły ludzki wzrok. Ciało zaczęło mu płonąć, jakby nakłuwane niezliczonymi, niewidzialnymi cierniami. Westchnął, patrząc na starego wójta, ucziwe żony, nachmurzonych mężczyzn i wzburzone dziewczęta. Jak długo jeszcze ludzie pozostaną ślepi, kiedy zrozumieją, że wszyscy są braćmi?

Pomruk narastał; w ciemnościach dały się słyszeć pierwsze pogroźki. Nataniel podszedł do Jezusa, ale Nauczyciel odsunął go delikatnie i przepychając się przez tłum, zbliżył się do dziewcząt. Lampy zakołysały się, a panny rozstały przed nim. Stał między nimi i podniósł rękę.

- Siostry moje, Bóg dotknął mych ust i powierzył dobre słowo, które mam wam przekazać w tę świętą noc weselną. Siostry moje, nadstawcie uszu, otwórzcie serca, a wy, bracia, uciszcie się, bo będę mówić!

Zakłopotany tłum zafalował. Mężczyźni wyczuli w jego głosie gniew, a kobiety smutek. Wszyscy umilkli. Słyszeć było, jak na dziedzińcu dwaj niewidomi muzykanci stroją lutnie. Jezus podniósł rękę.

- Siostry moje, jak wyobrażacie sobie królestwo niebieskie? Jest ono jak wesele. Bóg to pan młody, a dusza człowiecza - jego oblubienica. Wesele odbywa się w niebie, a zaproszony jest na nie cały rodzaj ludzki. Wybaczcie mi, bracia, lecz Bóg przemawia do mnie przypowieściami i tak samo ja będę do was mówić.

Otóż w pewnej wsi miało się odbyć wesele. Dziesięć panien wzięło swe lampy i wyszło na spotkanie pana młodego. Pięć z nich było roztropnych i zabrało naczynia z oliwą. Pozostałe były nierozsądne i nie wzięły zapasu oliwy. Stały przed domem pana młodego w oczekiwaniu, ale on spóźnił się i wkrótce zmorzył je sen. O północy rozległ się krzyk: "Pan młody nadchodzi! Biegnijcie go powitać!" Panny skoczyły napełniać lampy, które już wygasły. Ale pięć panien nierozsądnych nie miało już oliwy. "Użycie nam trochę oliwy, siostry", prosiły panien roztropnych, "bo lampy nam wygasają". A panny roztropne odparły: "Nie mamy dla was oliwy, musicie po nią pójść." Kiedy panny nierozsądne pobiegły po oliwę, przybył pan młody i panny roztropne weszły do domu, a drzwi zamknięto.

Nieco później wróciły panny nierozsądne z zapalonymi lampami i zaczęły stukać do drzwi. "Otwórzcie nam!", krzyczały i prosiły. A panny roztropne tylko się śmiały. "Dobrze wam tak", mówiły, "Teraz drzwi są zamknięte. Idźcie sobie!". Ale tamte płakały, błagając: "Otwórzcie drzwi! Otwórzcie drzwi! Otwórzcie drzwi!" A wtedy...

Jezus przerwał. Jeszcze raz przyjrzał się staremu wójtowi, gościom, uczciwym gospodyniom i pannom z zapalonymi lampami. Uśmiechnął się.

- A wtedy? - zagadnął Nataniel, który słuchał z otwartymi ustami. Jego prosty, powolny umysł zaczął się ożywiać.

- Co wtedy, Rabbi, jak to się skończyło?

- A co ty byś zrobił, Natanielu? - zapytał Jezus, obezwładniając go spojrzeniem swych dużych oczu. - Co byś zrobił na miejscu pana młodego?

Nataniel milczał. Nie był jeszcze zupełnie pewien, jak powinien postąpić. Najpierw pomyślał, że pewnie kazałby im odejść. Drzwi zostały przecież zamknięte, tak jak nakazuje prawo. Ale zrobiło mu się ich żal i pomyślał, że wpuściłby je do środka.

- Co ty byś zrobił, Natanielu, na miejscu pana młodego? - powtórzył Jezus, a jego natarczywy wzrok powoli i uprzejmie pieścił twarz szewca.

- Otworzyłbym drzwi - odparł Nataniel cicho, aby nie usłyszał go stary wójt. Nie potrafił opierać się dłużej oczom syna Marii.

- Gratuluję ci, przyjacielu - powiedział radośnie Jezus i wyciągnął dłoń w geście błogosławieństwa. - W tym momencie, choć jeszcze żywy, wkroczyłeś do raj. Pan młody zrobił tak, jak powiedziałaś: polecił służbie otworzyć drzwi. "To jest wesele", zawołał. "Jedźmy, pijmy i weselmy się. Otwórzcie drzwi pannom nierozsądnym i obmyjcie im stopy, bo bardzo się nabiegały."

Na długich rzęsach Magdaleny wzbierały łzy. Ach, gdyby tylko mogła ucałować usta, które wyrzekły te słowa! Nataniel jaśniał od stóp do głów, jakby już był w raj. Ale stary, zawzięty wójt uniósł, swą laskę.

- Sprzeciwiasz się prawu, synu Marii - zaskrzeczał.

- To prawo sprzeciwia się memu sercu - odparł spokojnie Jezus.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy pojawił się pan młody - wykąpany, pachnący, w zielonym wieńcu na gęstych, kędzierzawych włosach. Wypił już trochę, co wprawiło go w świetny humor, a jego nos wyglądał oszalamiająco. Jednym pchnięciem otworzył drzwi. Za nim weszli goście, a z nimi Jezus prowadzący Magdalenę za rękę.

- Które panny są nierozsądne, a które roztropne? - Piotr cicho zwrócił się do Jana. - Zrozumiałeś co z tego?

- Tyle, że Bóg jest naszym ojcem - odparł syn Zebedeusza.

Nadszedł rabin i odprawił ceremonię. Potem państwo młodzi usiedli na środku, a goście ustawili się rzędem, by życzyć im poczęcia syna, który wybawi Izrael z niewoli. Później zagrały lutnie; goście tańczyli i pili, a Jezus wraz z towarzyszami tańczył i pił razem z nimi. Mijały godziny, a gdy wstał księżyc, ruszyli w dalszą drogę. Była już jesień, ale za dnia upał nie lżał ani na chwilę, toteż przyjemnie było wędrować w wilgotnym chłodzie nocy.

Ruszyli ku Jerozolimie. Pili wino, więc teraz wszystko wydawało im się odmienione. Optymizm napęczał ich ciała i dusze, szli jak uskrzydleni. Po lewej płynął Jordan, a po prawej, łagodna i żyzna, leżała w blasku księżyca równina Zabulon, znowu w tym roku zmęczona i zadowolona po wypełnieniu obowiązku, który od wieków powierzał jej Bóg: obowiązku rodzenia wysokich zbóż, napęczenia winnic winogronami, a drzew oliwnych oliwkami. Teraz, zmęczona i zadowolona, równina odpoczywała jak matka po urodzeniu dziecka.

- Bracia, cóż to za radość! - powtarzał wciąż Piotr w niezmiennym zachwycie nad nocnym marszem i słodyczą przyjaźni. - Jawa to czy sen? Czy ktoś nas zaczarował? Czuję, że pęknę, jeśli nie zaśpiewam.

- Wszyscy razem! - zawołał Jezus. Wyprzedził ich, uniósł głowę i zaczął pierwszy. Głos miał słaby, ale przyjemny i pełen żarliwości. Z prawej i lewej zabrzmiały głosy Jana i Andrzeja, miękkie i melodyjne. Z początku tylko te trzy wysokie głosy wibrowały pieśnią. Były tak słodkie, że serce zamierało - wydawało się, że nie utrzymają długo swojego tonu, że z pewnością zakręci im się w głowie od takiej słodyczy. Ale głosy płynęły z jakiegoś bardzo głębokiego źródła i za każdym razem, gdy już miały się załamać, podejmowały pieśń na nowo. Nagle - z jaką radością i siłą! - powietrze zadrżało od triumfalnych, męskich barytonów Piotra, Jakuba i Judasza, i wszyscy razem, choć każdy po swojemu, wzniesli w niebo radosny psalm o świętej wędrownicy:

*Nie ma nic słodszego  
Nad wspólną wędrownicę braci.  
To jak święta oliwa,  
Co sphywa z brody Aarona;*

*To jak rosa Hermonu,  
Co spada na góry Syjonu.  
Bóg im błogosławi  
I zsyła życie wieczne.*

Mijały godziny. Gwiazdy poblady i wzeszło słońce. Zostawiwszy za sobą czerwoną ziemię Galilei, stąpali po czarnej ziemi Samarii. Judasz przystanął.

- Pójdźmy inną drogą - zaproponował. - To przeklęty kraj heretyków. Przejdźmy mostem przez Jordan i idźmy drugim brzegiem. Grzechem jest dotykać tych, którzy naruszają prawo. Ich Bóg jest zatruty, tak jak ich woda i chleb. Matka mówiła mi, że kęs chleba z Samarii to jak kęs wieprzowiny. Chodźmy inną drogą.

Jezus wziął spokojnie Judasza za rękę i dalej szli razem.

- Judaszu, bracie - zwrócił się do niego. - Gdy człowiek czysty dotyka zbrukanego, oczyszcza się. Nie zaprzeczaj. To dla nich tutaj przyszliśmy, dla grzeszników. Na cóż moglibyśmy się przydać ludziom prawym? Tutaj, w Samarii, dobre słowo może zbawić duszę - dobre słowo, Judaszu, dobry uczynek, uśmiech do przechodnia. Rozumiesz?

Judasz rozejrzał się chyłkiem wokół, czy nie słyszą go inni.

- To nie jest właściwa droga - powiedział cicho. - Nie, to nie jest właściwa droga. Ale póki nie odnajdziemy zdziczałego pustelnika, będę cierpliwy. On cię osądzi. Tymczasem idź dokąd chcesz, rób co ci się podoba, ja cię nie opuszczę.

Oparł zakrzywioną łaskę na ramionach i samotnie ruszył naprzód.

Pozostali szli dalej pogrążeni w rozmowie. Jezus mówił im o miłości, Ojcu, królestwie niebieskim. Wyjaśnił im, które dusze są pannami nierozsądnymi, a które roztroprnymi; co znaczą lampy i oliwa; kim jest pan młody i dlaczego nie dość, że panny nierozsądne weszły do jego domu, to jeszcze służba obmyła ich zmęczone stopy. Czterej towarzysze słuchali, chłonąc każde słowo, a ich serca wzbierały pewnością. Teraz grzech wydawał im się podobny do panny nierozsądnej, która stoi z wygasłą lampą u drzwi Pana, płacząc i błagając...

Wciąż szli. Niebo nad nimi zachmurzyło się, oblicze ziemi pociemniało. W powietrzu pachniało deszczem.

Przybyli do pierwszej wioski u stóp Garizim, świętej góry praojców. Przy wejściu do wioski znajdowała się stuletnia studnia Jakuba, otoczona palmami i trzciną. To tutaj patriarcha przychodził ze swymi owcami po wodę. Liny od lat



ocierając się o kamienną cembrowinę, wyłobiły w niej rowki.

Jezus poczuł zmęczenie. Jego poranione przez kamienie stopy krwawiły.

- Zostanę tutaj - powiedział. - Wy idźcie do wioski i pukajcie do drzwi. Znajdziecie dobrą duszę, która da nam w jałmużnie bochen chleba, a jakaś kobieta z pewnością przyjdzie naczepać dla nas wody do picia. Miejcie wiarę w Boga i ludzi.

Ruszyli w piątkę, ale Judasz rozmyślił się po drodze.

- Nie idę do tej zatrutej wioski - powiedział. - I nie będę jadł ich zatrutego chleba. Zostanę tu, pod tym figowcem i zaczekam na was.

Jezus ułożył się pośród trzciny. Chciało mu się pić, ale studnia była głęboka - jak miał zaspokoić pragnienie? Pochylił głowę i oddał się rozmyślaniom. Wyznaczył sobie trudną drogę. Ciało miał słabe, był zmęczony, kolana uginały się pod nim, brakowało mu już sił dla podtrzymania duszy. Upadał, ale zaraz Bóg owiewał go życiodajnym, chłodnym wietrzykiem; wstawał i szedł dalej. Jak długo jeszcze? Aż do śmierci? Jeszcze dłużej?

Gdy tak rozmyślał o Bogu, człowieku i śmierci, poruszyły się trzciny i do studni podeszła kobieta z dzbanem na głowie. Była młoda, w uszach miała kolczyki, a na ramionach bransolety. Postawiła dzban na cembrowinie. Jezus patrzył przez trzciny, jak opuszcza wiadro na linie, którą przyniosła ze sobą, nabiera wody i napełnia dzban. Poczul jeszcze większe pragnienie.

- Kobieto - powiedział, wynurzając się spomiędzy trzciny. - Daj mi się napić.

Jego nagle pojawienie zaskoczyło kobietę.

- Nie bój się - powiedział. - Jestem uczciwym człowiekiem. Chce mi się pić, daj mi wody.

- Jakże to - odparła - ty, Galilejczyk - poznaję po twym odzieniu - prosisz mnie, Samarytanke, o wodę?

- Gdybyś wiedziała kim jest ten, co mówi do ciebie "Kobieto, daj mi wody", upadłabyś mu do stóp i prosiła o wodę nieśmiertelności.

- Nie masz wiadra ani liny, a studnia jest głęboka. Jak miałbyś nabrać tej wody? - zdziwiła się kobieta.

- Kto pije wodę z tej studni, wkrótce poczuje pragnienie - odpowiedział Jezus. - Ale kto napije się mojej wody, nigdy już nie będzie spragniony.

- Panie - powiedziała wówczas kobieta. - Daj mi tej wody, bym nigdy już nie czuła pragnienia i nie musiała chodzić co dzień do studni.

- Idź, przyprowadź męża - powiedział Jezus.

- Nie mam męża, panie.

- Słusznie mówisz, bo miałaś już pięciu, a ten, z którym jesteś teraz, nie jest twoim mężem.

- Panie, czy jesteś prorokiem? - zapytała kobieta z uwielbieniem. - Czy wiesz wszystko?

Jezus uśmiechnął się.

- Chcesz mnie o coś zapytać? Mów śmiało.

- Tak, panie, chciałabym, żebyś dał mi odpowiedź na jedno pytanie. Do tej pory nasi ojcowie czcili Boga na świętej górze Garizim. Teraz wy, prorocy, twierdzicie, że powinniśmy oddawać mu cześć tylko w Jerozolimie. Kto ma rację? Gdzie jest Bóg? Oświeć mnie.

Jezus pochylił głowę i milczał. Ta udręczona troską o Boga grzesznica głęboko poruszyła jego serce. Usiłował znaleźć odpowiednie słowa, by ją pocieszyć. Nagle twarz mu pojaśniała.

- Kobieto, to co ci powiem, ukryj głęboko w sercu. Nadejdzie dzień - już nadszedł - gdy ludzie nie będą czcili Boga ani na tej górze, ani w Jerozolimie. Bóg jest duchem, a duchowi trzeba oddawać cześć s duszy.

Kobieta nachyliła się zmieszana i przyjrzała Jezusowi z niepokojem.

- Czy ty jesteś... - zaczęła powoli, drżącym głosem. - Czy...

- A na kogo czekacie?

- Ty wiesz. Dlaczego chcesz, bym wymówiła jego imię? Przecież je znasz, a moje wargi są grzeszne.

Jezus skłonił głowę na pierś. Wydawało się, że słucha swego serca, jak gdyby ono miało dać mu odpowiedź. Kobieta nachylała się nad nim w gorączce.

Gdy tych dwoje milczało w strapieniu, rozległy się radosne głosy apostołów. Nadchodzili, triumfalnie wymachując bochenkiem chleba. Widząc Nauczyciela w towarzystwie nieznajomej, zatrzymali się. Jezus ucieszył się na ich widok, bo teraz nie musiał już odpowiadać na straszliwe pytanie kobiety. Skinął na towarzyszy.

- Chodźcie - zawołał. - Ta dobra kobieta przysłała ze wsi, zesłał ją Bóg, aby nabrała dla nas wody.

Podeszli wszyscy z wyjątkiem Judasza, który stał z boku, by nie zatruć się wodą z Samarii.

Kobieta przechyliła dzban i spragnieni mężczyźni zaczęli pić. Potem znowu napełniła dzban, zręcznie umieściła go sobie na głowie i odeszła w stronę wsi,

milcząca i zamyślona.

- Rabbi, co to za kobieta? - zapytał Piotr. - Rozmawiałeś z nią, jakbyście znali się od lat.

- To jedna z moich sióstr - odparł Jezus. - Poprosiłem ją o wodę, bo chciało mi się pić, ale to ona zaspokoila swe pragnienie.

Piotr podrapał się po twardej czaszce.

- Nic nie rozumiem - wyznał.

- Nie szkodzi! - odparł Jezus, klepiąc przyjaciela po siwej głowie. - Nie bądź niecierpliwy, z czasem zrozumiesz. A teraz jedźmy, bo jesteśmy głodni!

Wyciągnęli się pod palmami. Andrzej zaczął opowiadać, jak weszli do wioski, prosząc o jałmużnę:

- Pukaliśmy do domów, ale wszędzie nas przeganiali. Wreszcie, na drugim końcu wsi, malutka staruszka otworzyła drzwi, rozejrzała się uważnie, czy nikt nie widzi, dała nam ukradkiem bochenek chleba i zaraz zamknęła drzwi. Porwaliśmy chleb i przybiegliśmy co sił w nogach.

- Szkoda, że nie wiemy, jak nazywa się ta staruszka - powiedział Piotr. - Moglibyśmy poprosić Boga, żeby o niej nie zapomniał.

- Nie przejmuj się tym, Piotrze - zaśmiał się Jezus. - Bóg zna jej imię.

Jezus wziął chleb, pobłogosławił go, podziękował Bogu za to, że zesłał staruszkę, od której go dostali, a potem podzielił bochenek na sześć dużych kawałków, po jednym dla każdego. Judasz odtrącił laską swoją porcję i odwrócił twarz.

- Nie jadam samarytańskiego chleba - powiedział. - Nie jadam wieprzowiny.

Jezus nie dyskutował z nim. Wiedział że Judasz ma twarde serce i trzeba czasu, żeby je zmiękczyć - czasu, sprytu i miłości.

- A my go zjemy - zwrócił się do pozostałych. - Samarytański chleb staje się chlebem galilejskim, gdy jedzą go Galilejczycy, a wieprzowina zmienia się w ciało ludzkie, gdy jedzą ją ludzie. A więc, w imię Boże!

Śmiejąc się, czterej towarzysze jedli z apetytem.

Samarytański chleb był równie pyszny jak każdy inny. Po posiłku skrzyżowali ramiona i posnęli zmęczeni - wszyscy z wyjątkiem Judasza, który walił kijem w ziemię, jak gdyby chciał ją wychłostać. "Lepszy głód niż hańba - pomyślał - i poczuł się lepiej".

Pierwsze krople deszczu spadły na trzciny. Śpiący przebudzili się i zerwali na równe nogi.

- To pierwszy deszcz - powiedział Jakub. - Ziemia ugasi swoje pragnienie.

Kiedy rozważali, czy nie poszukać schronienia w jakiejś jaskini, zerwał się pomocny wiatr i przegonił chmury. Niebo rozjaśniło się. Ruszyli w dalszą drogę.

Figi, które nie spadły jeszcze z drzew, lśniły w wilgotnym powietrzu. Granaty uginały się pod ciężarem owoców. Przyjaciele wyciągali ręce i zrywali je, żeby się posilić. Rolnicy podnosili głowy, patrząc ze zdumieniem na Galilejczyków. Czego szukają w Samarii? Dlaczego zadają się z Samarytanami, jedzą ich chleb, zrywają owoce z ich drzew? Lepiej niech szybko zejdą im z oczu.

Pewien starzec nie mógł dłużej znieść tego widoku. Wyszedł z sadu i stanął przed nimi.

- Hej, Galilejczycy! - krzyknął. - Wasze niegodziwe prawo rzuca cień przekleństwa na uświęconą ziemię, po której stąpacie. Co tutaj robicie? Wynoście się!

- Idziemy do Jeruzalem, oddać cześć Bogu - odparł Piotr, stanął przed starcem i wypiął pierś.

- Tutaj winniście się modlić, odstępcy od wiary, na Garizim, górze, po której stąpał Bóg - zagrmiał starzec. - Nie czytaliście Świętych Ksiąg? To tutaj, u stóp Garizim, pod dębami, Bóg objawił się Abrahamowi. Pokazał mu góry i równiny od góry Hebron po Idumęę i ziemię Madian i rzekł: "Oto Ziemia Obiecana, kraina mlekiem i miodem płynąca. Przyrzekłem, że ci ją dam i tak też się stanie". Uścisnęli sobie dłonie na znak zawartej umowy. Słyszycie, Galilejczycy? Tak mówią Święte Księgi. Dlatego każdy, kto pragnie oddawać cześć Bogu, powinien robić to tutaj, w tym świętym kraju, a nie w Jeruzalem, gdzie mordują proroków!

- Każdy kraj jest święty, starcze - powiedział spokojnie Jezus. - Bóg jest wszędzie, a my wszyscy jesteśmy braćmi.

- Samarytanie i Galilejczycy też? - zapytał starzec ze zdumieniem.

- Tak - i Judejczycy także. Wszyscy!

Starzec gładził brodę w zamyśleniu, mierząc Jezusa wzrokiem od stóp do głów.

- A Bóg i diabeł? - zapytał wreszcie, zniżając głos, aby nie usłyszały go niewidzialne moce.

Jezus przeraził się. Nigdy dotąd nikt go nie zapytał, czy łaska Boża jest tak wielka, że pewnego dnia Bóg przebaczy nawet Lucyferowi i przyjmie go z powrotem do królestwa niebieskiego.

- Nie wiem, starcze - odparł. - Nie wiem. Jestem człowiekiem i troszczę się o ludzi. Reszta należy do Boga.

Starzec zamilkł. Wciąż gładził brodę w zamyśleniu, patrząc jak dziwni wędrowcy mijają go parami i znikają wśród drzew.

Zapadła noc, zerwał się zimny wiatr. Znaleźli jaskinię, w której schronili się przytuleni do siebie, żeby utrzymać ciepło. Zostało im jeszcze po kawałku chleba, więc mieli co jeść. Rudobrody nazbierał drzewa i rozpałił ognisko. To ożywiło przyjaciół, którzy usiedli w kręgu, wpatrzeni w płomień. Słyszeli świst wiatru, wycie szakali i stłumiony odgłos dalekich grzmotów nad górą Garizim. Nad wejściem do jaskini widać było dużą gwiazdę, która dodawała im otuchy, póki nie zakryły jej chmury. Zamknęli oczy i oparli głowy o ramiona swoich towarzyszy. Jan dyskretnie okrył plecy Jezusa wełnianym płaszczem i wszyscy usnęli, przytuleni do siebie jak nietoperze.

Następnego dnia znaleźli się w Judei. Zauważyli, że rosną tu inne drzewa. Po obu stronach drogi stały teraz żółtostone topole, uginające się od owoców drzewa świętojańskie i stare cedry. Górzysta okolica była skalista i wysuszona. Nawet chłopci pojawiający się w niskich, ciemnych drzwiach domostw wydawali się jak wyciosani z kamienia. Gdzieś tam pomiędzy skał wyrastał skromny i wdzięczny, błękitny dziki kwiat. Czasami w tej samotnej głuszy rozlegał się w głębokim wąwozie krzyk kuropatwy - "Pewnie znalazła łyk wody" - ucieszył się Jezus słysząc ten krzyk i poczuł w dłoni miękką, ptasią pierś.

W miarę jak zbliżali się do Jerozolimy, okolica wyglądała coraz groźniej. Bóg też był inny. Tutaj ziemia nie śmiała się tak jak w Galilei, a i sam Bóg wyciosany był z kamienia jak tutejsze wsie i ich mieszkańcy. Niebo, które w Samarii przynajmniej na chwilę zesłało deszcz, by odświeżyć ziemię, tutaj przypominało rozpalone do czerwoności żelazo. Przyjaciele dyszeli, maszerując przez ten wielki piec. Gdy znów zapadła noc, ujrzeli wykute w skałach wielkie, czarne grobowce. Tysiące ciał przodków rozkładały się wewnątrz i powtórnie zamieniały w kamień. Ukryli się w pustych grobowcach i wcześniej poszli na spoczynek, by odzyskać siły przed jutrzejszym wejściem do miasta.

Tylko Jezus nie spał. Chodził wśród grobowców, wsłuchując się w noc. W sercu miał niepokój. Słyszał w sobie tajemnicze głosy, wielki płacz, jak gdyby płacz tysięcy cierpiących... Około północy wiatr uspokoił się i noc ucichła. Wtedy w powietrzu rozległ się rozdzierający serce krzyk. W pierwszej chwili Jezus pomyślał, że to głodny szakal, ale zaraz z przerażeniem zrozumiał, że było to jego własne serce.

- Dobry Boże - wyszeptał. - Któż to, tak we mnie krzyczy? Kto tak płacze?

Znużony, wszedł do jednego z grobowców, skrzyżował ramiona i zdał się na

łaskę bożą. O świcie miał sen. Był z Marią Magdaleną i oboje spokojnie, bezgłośnie unosili się nad wielkim miastem, muskając tylko dachy. Gdy dotarli na skraj miasta, otwarły się drzwi ostatniego domu i stanął w nich olbrzymi starzec. Miał długą brodę i błękitne oczy, błyszczące jak gwiazdy. Spod zawiniętych rękawów wystawały ubłocone ręce. Podniósł głowę i widząc, że przelatują nad nim, zawołał:

- Stójcie, chcę wam coś powiedzieć.

Zatrzymali się.

- Co takiego, starcze? Słuchamy.

- Mesjasz to ten, kto kocha cały świat. Mesjasz to ten, kto umiera z miłości do całego świata.

- Tylko tyle? - zapytała Magdalena.

- Czy to ci nie wystarczy? - krzyknął gniewnie starzec.

- Możemy wejść do twojego warsztatu? - zagadnęła.

- Nie. Nie widzicie, że całe ręce mam w glinie? Lepię Mesjasza.

Jezus ocknął się gwałtownie. Jego ciało istotnie nic nie ważyło i czuł, że naprawdę lata. Budził się dzień. Jego towarzysze już wstali i wodzili wzrokiem od skały do skały, od pagórka do pagórek, ku Jerozolimie.

Wyruszyli, by dotrzeć tam jak najprędzej. Szli i szli, ale zdawało się, że góry cofają się przed nimi, a droga wydłuża.

- Chyba nigdy nie dotrzemy do Jeruzalem, bracia - powiedział Piotr z rozpaczą.

- Co się z wami dzieje? Nie widzicie? Miasto oddala się od nas.

- Miasto zbliża się do nas - odpowiedział mu Jezus. - Odwagi, Piotrze. Z każdym naszym krokiem ono zbliża się do nas o krok. Tak jak Mesjasz.

- Mesjasz? - zagadnął Judasz, odwracając się gwałtownie.

- Mesjasz nadchodzi - oznajmił Jezus głębokim głosem. - Dobrze wiesz, Judaszu, bracie mój, czy idziemy po niego we właściwym kierunku. Jeśli dokonamy jakiegoś dobrego lub szlachetnego czynu, jeśli powiemy komuś dobre słowo, Mesjasz przyspiesza kroku i zbliża się do nas. Jeśli jesteśmy nieuczciwi i źli, jeśli boimy się wszystkiego, Mesjasz odwraca się do nas plecami i oddala. Mesjasz jest jak ruchome Jeruzalem, bracia. Miasto Jeruzalem spieszy się, tak jak i my. Chodźmy szybko, to je znajdziemy! Miejcie wiarę w Boga i nieśmiertelnego ducha człowieka!

Zachęceni, przyspieszyli kroku. Judasz znowu szedł przodem ze szczęściem na twarzy. "Dobrze mówi - pomyślał. - Tak, syn Marii ma rację. Stary rabin wykrzykuje to samo: zbawienie zależy od nas samych. Jeśli będziemy trwać z założonymi rękoma,

ziemia Izraela nigdy się nie wyzwoli. Jeśli wszyscy chwycimy, za broń, ujrzymy wolność".

Mówił tak dalej do siebie, aż nagle przystanął zmieszany.

- Kim jest Mesjasz? - wyszeptał. - Kim on jest? A może to cały naród?

Krople potu zaczęły spływać mu po rozpalonym czole. A może to cały naród? Przyszło mu to do głowy po raz pierwszy i zaniepokoił się. "Czy Mesjasz może być całym narodem? - pytał sam siebie. - W takim razie po co nam ci wszyscy prawdziwi i fałszywi prorocy? Dlaczego szukamy w bólu, po omacku, próbując znaleźć tego, który jest Mesjaszem? Tak jest: naród to Mesjasz, - ja, ty, my wszyscy. Musimy tylko chwycić za broń!"

Ruszył dalej, wymachując pałą w powietrzu. Bawił się tą nową myślą, gdy nagle krzyknął. Przed nim, na podwójnym szczycie góry lśniło święte Jeruzalem - piękne, dumne i białe. Nie zawołał na pozostałych. Chciał jak najdłużej cieszyć się tym widokiem w samotności. Pałace, wieże i bramy zamkowe błyszcząły w źrenicach jego błękitnych oczu. W samym środku miasta, strzeżona przez Boga, stała świątynia ze złota, cedru i marmuru.

Pozostali dołączyli do niego i także zakrzyknęli z radości.

- Chodźcie, wyśpiewajmy urodę naszej Pani - zaproponował Piotr, obdarzony dobrym głosem. - Gotowi - wszyscy razem!

Cała piątka zaczęła tańczyć wokół Jezusa, który stanął nieruchomo pośrodku i zaintonował świętą pieśń:

*Cieszyłem się, gdy rzekli mi*

*"Wstań i wejdź do domu Pana"*

*I stanąłem u twych progów.*

*O, Jeruzalem.*

*Jeruzalem, dzielna forteco,*

*Pokój twym wieżom,*

*Szczęście pałacom,*

*Tobie, mym braciom i towarzyszom Pokój, pokój, o, Jeruzalem!*

## ROZDZIAŁ XVI

Cała Jerozolima - ulice, dachy domów, place - wystrojona była na zielono. Odbywało się wielkie święto jesieni i mieszkańcy postawili tysiące namiotów z gałęzi oliwek i winogron, konarów palmy, sosny i cedru, zgodnie z nakazem Boga Izraela, aby upamiętnić czterdzieści lat spędzonych przez ich praojców w dziczy, w namiotach. Było już po żniwach i winobranii, rok miał się ku końcowi; ludzie zawiesili swoje grzechy na karku czarnego, tłustego kozła i rzucając w niego kamieniami wygnali go na pustynię. Czuli teraz wielką ulgę. Oczyszczili swoje dusze i rozpoczynał się nowy rok; Bóg otwierał kolejną księgę i przez osiem dni mogli teraz jeść i pić w zielonych namiotach i wyśpiewywać chwałę Pana, który pobłogosławił plony i zesłał kozła, żeby zabrać z ich dusz grzechy. Kozioł był też swojego rodzaju Mesjaszem przysłanym przez Boga: zdechł z głodu na pustyni, a wraz z nim przepadły grzechy, które dźwigał.

Szerokie dziedzińce świątyni spływały krwią. Każdego dnia zarzynano stada ofiar. Święte miasto cuchnęło mięsem, odchodami i tłuszczem ociekającym z pieczeni. Uświęcone powietrze rozbrzmiewało rogami i trąbami. Ludzie za dużo jedli, za dużo pili, a ich dusze stawały się ociężałe. Pierwszego dnia były tylko psalmy, modlitwy i czolo-bitność; niewidzialny Jahwe przechadzał się radośnie wśród namiotów i też świętował, jedząc, pijąc i wycierając brodę. Lecz drugiego lub też trzeciego dnia nadmiar mięsa i wina uderzył ludziom do głów. Zaczęły się sprośne żarty, śmiech i lubieżne, karczemne pieśni, a mężczyźni i kobiety kopulowali bezwstydnie w świetle dnia, początkowo w namiotach, a potem otwarcie na drogach i zielonej trawie. Wszędzie kręciły się słynne dziwki z Jerozolimy, umalowane i wysmarowane pachnącymi olejkami. Prości wieśniacy i rybacy, którzy przybyli z krańców Ziemi Kanaan, żeby podziwiać świętość nad świętościami wpadali z zachwytem w ich ramiona. Nigdy nie śniło im się nawet, że pocałunek może mieć tak wspaniały smak, że może być taką sztuką.

Wstrzymując oddech, Jezus przemykał pośpiesznie, z gniewem w oczach przez ulice, między pijanymi do nieprzytomności, tarzającymi się po ziemi ludźmi. Smród, plugastwa i bezwstydnym śmiech przyprawiały go o mdłości.

- Szybko, szybko! - poganiał swych towarzyszy. Kroczył przed siebie, obejmując jednym ramieniem Jana, a drugim Andrzeja.

Piotr zatrzymywał się nieustannie, zaczepiany przez pielgrzymów z Galilei,



którzy proponowali mu wino, jedzenie i zabawiali rozmową. Co chwila przywoływał Judasza; Jakub też dołączał do nich, żeby nie dawać napotkanym powodów do obrazy. Trzech towarzyszy na przedzie spieszyło się. Ciągłe poganiali maruderów.

- Dobry Boże, Nauczyciel nie pozwala nam nawet tchu zaczerpnąć - zrzędził Piotr, wprawiony już w świąteczny nastrój. - Ale się wpakowaliśmy.

- Dopiero się obudziłeś, mój biedny Piotrze? - zauważył Judasz, potrząsając głową. - Myślisz, że przyszliśmy tu dla zabawy? Sądzisz, że idziemy na wesele?

Biegnąc usłyszeli ochryply głos dobiegający z jednego z namiotów:

- Piotrze, synu Jonasza, wszawy Galilejczyku - przechodzisz tak blisko, że prawie zderzamy się głowami, a ty tego nie zauważasz. Zatrzymaj się i napij. Może przejrzyysz wtedy na oczy!

Piotr rozpoznał głos i zatrzymał się.

- Witaj! Miło cię widzieć Szymonie, parszywy Cyrenejczyku!

Zwrócił się do swych dwóch towarzyszy:

- Tym razem nie możemy uciec, chłopcy; zatrzymajmy się i napijmy. Szymon to znany opój, właściciel słynnej oberży przy Bramie Dawida. Zasługuje na to, by go powiesić i zatknąć jego głowę na palu, ale to porządny człowiek i nie powinniśmy mu odmawiać.

Szymon był naprawdę dobrym człowiekiem. W młodości opuścił Cyrenę i otworzył gospodę. Za każdym razem, gdy Piotr był w Jerozolimie, nocował w jego domu. Jedli, pili, rozmawiali, czasami śpiewali, a czasami się sprzeczali, lecz zawsze godzili się i znów pili razem, a potem Piotr owijał się grubym kocem, kładł na ławce i zasypiał. Szymon siedział teraz przed namiotem z winorośli, pod pachą trzymał dzbanek, a w ręce kubek z brązu. Pił samotnie.

Dwaj przyjaciele padli sobie w ramiona. Obaj byli na wpół pijani i każdy czuł taką miłość do drugiego, że ich oczy wypełniły się łzami. Gdy ustały powitalne okrzyki, uściski i toasty, Szymon wybuchnął śmiechem.

- Założę się o swoje kości, że idziesz się ochrzcić - powiedział. - Dobrze robisz, masz moje błogosławieństwo. Sam też się ochrzciłem i nie żałuję tego. To niezła rzecz.

- Zauważyłeś jakąś poprawę? - zapytał Judasz, który jadł, lecz nie pił nic. Coś go dręczyło.

- Cóż ci mam powiedzieć, przyjacielu? Minęło wiele lat od tego czasu. Woda i ja to dwie skrajności. Jestem stworzony do wina. Woda jest dobra dla żab. Ale pewnego dnia powiedziałem sobie: a może iść się ochrzcić? Cały świat to robi i z pewnością

wśród nowo oświeconych znajdzie się kilku, którzy piją wino. Niemożliwe, żeby wszyscy byli durniami, więc będę miał nowych znajomych i nowych klientów. Wszyscy znają moją oberżę. ... Krótko mówiąc, poszedłem. Ten prorok to dzikus, nieoswojone zwierzę, trudno w ogóle go opisać. Płomienie buchają mu z nosa, że Boże uchowaj! Złapał mnie za kark i zanurzył w wodzie aż po brodę. Wrzeszczałem. Chciał mnie utopić, niewierny! Ale wytrzymałem, wyszedłem z wody i oto jestem!

- Zauważyłeś jakąś poprawę? - powtórzył Judasz.

- Przysięgam ci na moje wino, że ta kąpiel dobrze mi zrobiła, naprawdę, bardzo dobrze. Poczulem ulgę. Chrzciciel powiedział, że uwolniłem się od grzechów. Między nami mówiąc, chyba uwolniłem się od kilku fałd ciała, bo gdy wyszedłem z Jordanu na powierzchni wody pływała warstwa tłuszczu.

Wybuchnął śmiechem, napełnił kubek i wypił, zachęcając do tego samego Piotra i Jakuba. Potem napełnił kubek i zwrócił się do Judasza:

- A ty, kowalu, nie pijesz? To wino, błogosławiony idioto, nie woda.

- Nigdy nie piję - odparł rudobrody, odsuwając kubek.

- Jesteś jednym z nich? - zapytał Szymon niskim głosem.

- Tak, jednym z nich - powiedział Judasz i ruchem ręki uciął rozmowę.

Przechodzące obok dwie wymalowane kobiety zatrzymały się na chwilę i mrugnęły do czterech mężczyzn.

- I żadnych kobiet? - zapytał zdumiony Szymon.

- Żadnych kobiet - odpowiedział sucho Judasz.

- A zatem co, biedaku? - krzyknął Szymon, który nie mógł już tego znieść. - Powiedz mi, w takim razie, po co Bóg stworzył wino i kobiety? Żeby zmarnować swój czas, czy żebyśmy my tracili nasz?

W tej chwili nadbiegł Andrzej.

- Chodźcie szybciej - zawołał. - Nauczyciel się spieszy.

- Jaki Nauczyciel? - spytał oberżysta. - Ten ubrany na biało, bosonogi?

Ale jego trzech towarzysze już odeszli i zdumiony Szymon patrzył na ich plecy, stojąc przed swoim namiotem, z pustym kubkiem w dłoni i dzbanem pod pachą.

- Pewnie jeszcze jeden Chrzciciel, kolejny wariat. Pojawiają się ostatnio jak grzyby po deszczu. Wypijmy za jego zdrowie - powiedział napełniając kubek. - Niech Bóg da mu trochę rozumu!

Tymczasem Jezus i jego towarzysze dotarli do wielkiego dziedzińca świątyni. Zatrzymali się, obmyli dłonie, stopy i usta, żeby wejść do środka i pomodlić się.

Rozejrzeli się wokół: cała świątynia była wypełniona ludźmi i zwierzętami; ocienione arkady, kolumny z białego i błękitnego marmuru udekorowano złocistymi gałązkami winorośli, a po wszystkich stronach stały szopy, namioty, wozy, sprzedawcy wina, rzeźnicy. Wokół rozległy się krzyki i śmiech; dom Pana śmierdzał potem i brudem.

Jezus zakrył sobie dłonią nos i usta. Nigdzie dookoła nie było Boga.

- Nie znoszę waszych świąt, gardzę nimi. Odór tłustych cieląt, które zarzynacie dla mnie, przyprawia mnie o mdłości. Zabierzcie ode mnie zgielek waszych psalmów i lutni - nie był to już głos proroka czy Boga, ale płacz z głębi jego serca. Nagle poczuł się słabo. Wszystko zniknęło. Niebiosa otwarły się i wyszedł z nich anioł o ognistych włosach, tnąc stopami powietrze. Dym i płomień unosiły się z jego włosów; usiadł na czarnej skale pośrodku dziedzińca i wymierzył swój miecz w kierunku dumnej, wysadzanej złotem świątyni.

Jezus zachwiał się. Oparł się na ramieniu Andrzeja. Gdy otworzył oczy, zobaczył świątynię i hałaśliwych ludzi. Anioł skrył się w jaskrawym świetle. Jezus wyciągnął rękę do swych towarzyszy.

- Wybaczcie - powiedział. - Nie mogę tego znieść, zemdleję. Chodźmy.

- Bez modlitwy? - zgorszył się Jakub.

- Modlimy się w naszych duszach, Jakubie - odparł Jezus. - Ciało każdego z nas to świątynia.

Odeszli. Przodem szedł Judasz, uderzając swoją laską o ziemię. "Nie może znieść brudu, krwi i krzyku - myślał. - To nie on jest Mesjaszem".

Na ostatnim stopniu świątyni leżał zdziczały, trzęsący się faryzeusz; całował zachłannie marmur i jęczał. Wokół jego ramion i karku zwiślały grube sznury z talizmanami, na których widniały przerażające wersety z Pisma. Kolana miał zrogowaciałe jak u wielbłąda od nieustannego korzenia się przed Bogiem; jego twarz, kark i piersi pokryte były otwartymi, krwawiącymi ranami: za każdym razem, gdy powalał go boski gniew, chwycił ostry kamień i kaleczył się.

Andrzej i Jan szybko stanęli przed Jezusem, chroniąc go przed widokiem faryzeusza. Piotr podszedł do Jakuba i powiedział mu do ucha:

- Znasz go. To Jakub, najstarszy syn cieśli Józefa. Sprzedaje talizmany; co dwie minuty dopada go zły duch i rzuca nim o ziemię.

- Czy to ten, co tak gorliwie chwali Pana? - zapytał Jakub, zatrzymując się na chwilę.

- Tak. Mówi, że przynosi hańbę swojej rodzinie.

Wyszli przez Złote Wrota świątyni, przeszli przez dolinę Cedronu i ruszyli w kierunku Morza Martwego. Minęli znajdujący się po lewej stronie ogród i gaj oliwny Getsemani. Niebo nad ich głowami było białe i rozpalone. Dotarli do Góry Oliwnej. Świat stał się trochę słodszy. Z każdego liścia na drzewach oliwkowych sączyło się światło. Wrony całymi stadami, jedna po drugiej, sunęły w stronę Jerozolimy.

Podtrzymując Jezusa ramieniem, Andrzej opowiadał o swoim poprzednim mistrzu, Chrzycielu. Im bardziej zbliżali się do jego jaskini, tym silniej wyczuwał ze strachem lwi oddech proroka.

- To prawdziwy Eliasz. Zszedł z Góry Karmel, żeby jeszcze raz uleczyć duszę człowieka. Pewnej nocy widziałem na własne oczy ognisty krąg nad jego głową; innym razem zobaczyłem, jak kogut przyniósł mu do zjedzenia rozżarzony węgiel. Pewnego dnia zdobyłem się na odwagę i zapytałem: - "Czy ty jesteś Mesjaszem?" Wzdrygnął się, jakby postawił stopę na wężu. "Nie - odparł z westchnieniem. - Jestem wołem, który ciągnie pług. Mesjasz jest ziarnem".

- Dlaczego od niego odszedłeś, Andrzeju?

- Chciałem znaleźć to ziarno.

- Znalazłeś?

Andrzej przycisnął gwałtownie rękę Jezusa do swego serca i zaczerwienił się.

- Tak - szepnął tak cicho, że Jezus nie usłyszał.

Schodzili wolno w dół, w kierunku Morza Martwego, z trudem łapiąc oddech. Słońce oblewało ich głowy płomieniem. Przed nimi wznosiła się wysoka góra Moab, niczym spieczona słońcem ściana. Za nią, białe jak wapno, stały Góry Idumei. Droga stawała się coraz bardziej stroma i kręta. Wchodzili w głęboką studnię; wszyscy wstrzymali oddech.

"Schodzimy do piekła" - myśleli i zdawało się im, że czują zapach smoły i siarki.

Światło oślepiało ich. Posuwali się po omacku do przodu kalecząc sobie stopy, a ich oczy zdawały się płonąć. Usłyszeli dzwoneczki od uprząży: obok przechodziły dwa wielbłądy - nie, nie wielbłądy, był to miraż, który zaraz roztopił się w gwałtownym upale.

- Boję się - wyszeptał młodszy syn Zebedeusza. - To piekło.

- Odwagi - odpowiedział mu Andrzej. - Nie słyszałeś, że raj jest w samym sercu piekła?

- Raj?

- Wkrótce go ujrzysz.

W końcu słońce zaczęło zachodzić. Góra Moab stała się ciemno-purpurowa, a Góry Idumei - różowe, przynosząc ukojenie oczom mężczyzn. Nagle, na zakręcie drogi znów przejrżeli wyraźnie na oczy i poczuli, jakby ich ciała znalazły się w zimnej wodzie. Cóż to za łąki pojawiły się niespodziewanie tuż przed nimi, pośród piasków? Skąd wzięły się te rozradowane wody i granaty obciążone owocami, i białe, zacienione wioski? W powietrzu poczuli nagle zapach jaśminu i róży.

- Jerycho - zawołał radośnie Andrzej. - Mają tu najśłodsze daktyle na całym świecie i najcudowniejsze róże: gdy uschną, wystarczy tylko zanurzyć je w wodzie, żeby odżyły.

Zapadła raptownie noc. Zapaliły się pierwsze lampy.

- Podróżować, patrzeć jak zapada zmrok, przybywać do wsi, widzieć, jak pojawiają się pierwsze lampy i nie mieć nic do jedzenia, ani miejsca do spania i zdać się na łaskę Boga, i dobroć ludzi - dla mnie to najwspanialsza i najczystsza radość na świecie - powiedział Jezus przystając, by nasycić się w pełni tą świętą chwilą.

Psy we wsi poczuły zapach obcych i zaczęły szczekać. Gdzieś otwierały się drzwi, zapalone lampy przeszukiwały ciemność, po czym wracały do środka. Podróżnicy podchodzili do każdego domu, pukali i dostawali kromkę chleba albo garść granatów lub zielonych oliwek. Zebrali te dary Boga i człowieka, ułożyli się w rogu sadu, posilili i natychmiast zapadli w sen. Przez całą noc słyszeli w swych snach jak pustynia poruszała się, kołysząc ich do snu niczym morze. Tylko Jezus słyszał w swoim śnie trąby i walące się mury Jerycha.

Było już prawie południe, kiedy przyjaciele, śmiertelnie bladzi, z językami na wierzchu, dotarli do przekłętego Morza Martwego. Ryby, które docierały tu z biegiem Jordanu ginęły, gdy tylko dotknęły morskiej wody; kilka przysadzistych drzew na brzegach wyglądało jak stojące kości. Woda była jak ołów, gęsta, nieruchoma. Gdyby ktoś świątobliwy pochylił się nad nią, dostrzegłby dwie zgniłe dziwki, Sodomę i Gomorę, obejmujące się na czarnym dnie.

Jezus wszedł na skałę i popatrzył w dal: pustka. Ziemia płonąła, góry roztopiły się. Wziął za rękę Andrzeja i zapytał go:

- Gdzie jest Jan Chrzciciel? Nikogo nie widzę... zupełnie nikogo...

- Tam, za trzcinami rzeka się uspokaja - wyjaśnił Andrzej. - Woda tworzy basen i tam prorok chrzci wodą. Chodźmy go poszukać. Znam drogę.

- Jesteś zmęczony, Andrzej. Zostań z innymi. Pójdę sam.

- On jest nieokrzesany, pójdę z tobą, Rabbi.

- Chcę iść sam, Andrzeju. Zostań tu.

Ruszył w kierunku trzciny, a serce biło mu mocno. Położył na nim dłoń, żeby je uspokoić. Z pustyni wyłoniło się kolejne stado krów i pobiegło w pośpiechu w stronę Jerozolimy.

Nagle usłyszał, że ktoś za nim idzie. Odwrócił się i zobaczył Judasza.

- Zapomniałeś o mnie - powiedział rudobrody uśmiechając się zjadliwie. - To najtrudniejsza chwila i chcę być wtedy z tobą.

- Chodź - rzekł Jezus.

Poszli w milczeniu, Jezus z przodu, Judasz za nim. Odsuwali na bok trzciny i zanurzali stopy w ciepłym mule rzeczonym. Czarny wąż wpełzł na skałę i uniósł łeb. Patrzył na nich małymi, przebiegłymi ślepiami i syczał; jedną połowę ciała miał przyklejoną do skały, a drugą uniesioną. Jezus zatrzymał się na chwilę i pomachał do węża przyjaźnie dłonią, jak gdyby witając się z nim. Judasz zamierzył się swoją dębową laską, ale Jezus wyciągnął rękę i powstrzymał go.

- Nie rób mu krzywdy, Judaszu, mój bracie - powiedział. - On też spełnia swój obowiązek - kasa.

Było przeraźliwie parno, a południowy wiatr, który wiał z Morza Martwego, niósł ze sobą ciężki odór gnijącej padliny. Jezus usłyszał dziki, szorstki głos. Od czasu do czasu udawało mu się rozróżnić kilka słów. "Ogień ... topór ... jałowe drzewo ...", a potem głośniejsze: "Żałuj! Żałuj!" Niespodziewanie rozległy się krzyki i lament:

Jezus szedł wolno przed siebie, jakby podchodził do jaskini dzikiego zwierza. Odsuwał na bok trzciny: hałas narastał. Nagle zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć - zobaczył go stojącego na cienkich jak trzcina nogach na skałę, która wznosiła się ponad wodami Jordanu. Czy to był człowiek, szarańcza, anioł Głodu, a może archanioł Zemsty? Jedna po drugiej fale ludzkich okrzyków rozbijały się na skałach - byli tam Etiopczycy z pomalowanymi paznokciami i rzęsami, Babilończycy z ciężkimi, mosiężnymi pierścieniami w nosach i Izraelici z długimi, tłustymi bokobrodami. Trzęsąc się na wietrze jak trzcina i tocząc pianę z ust, Chrzciciel krzyczał:

- Żałujcie! Żałujcie! Nadszedł dzień Pana! Tarzajcie się po ziemi, gryźcie piasek, skowyczcie! Pan powiedział: "Tego dnia rozkażę słońcu zejść w południe; zmiażdżę nowy księżyc i pograżę niebo i ziemię w ciemności. Wasz śmiech zamienię w łzy, a pieśni w lament. Dmuchnę, a wasze ręce, stopy, nosy, uszy i włosy spadną na ziemię".

Judasz zbliżył się i wziął Jezusa za ramię.

- Słyszysz? Słyszysz? Patrz! Tak przemawia Mesjasz! On jest Mesjaszem!

- Nie, Judaszu, mój bracie - odpowiedział Jezus. - Ten, kto trzyma topór i mówi w ten sposób, tylko toruje drogę dla Mesjasza. Pochylił się, podniósł zielony liść i wsunął go między zęby.

- Ten, kto toruje drogę jest Mesjaszem! - warknął rudobrody. Popchnął Jezusa, żeby wyszedł z trzciny i pokazał się.

- Idź, niech cię zobaczy - rozkazał. - On osądzi.

Jezus zrobił kilka niepewnych kroków, potknął się i zatrzymał, wpatrzony w proroka. Cała jego dusza stała się badawczym okiem, które spoczęło na niewidzialnej sylwetce, sunąc od patykowatych nóg do rozognionej głowy. Chrzciciel odwrócony był plecami. Poczul na ciełe przenikliwe spojrzenie i ogarnął go gniew; odwrócił się i zmrużył jastrzębie oczy, żeby lepiej widzieć. Kim był ten ubrany na białą, cichy, nieruchomy mężczyzna wpatrujący się w niego? Gdzieś już go kiedyś widział. Gdzie? Kiedy? Próbował usilnie przypomnieć sobie. Może we śnie? Często śnili mu się mężczyźni ubrani podobnie jak ten, na białą. Nigdy nic nie mówili, patrzyli tylko na niego i machali dłońmi, jak gdyby na powitanie lub na pożegnanie. Później miał poranny kogut i rozplywali się w świetle dnia. Nagle, nadal wpatrzony w białą postać, Chrzciciel krzyknął głośno. Przypomniawszy sobie: pewnego dnia, dokładnie w południe położył się na brzegu rzeki, żeby poczytać proroka Izajasza. Zupełnie niespodziewanie kamienie, woda, ludzie, trzciny i rzeka zniknęły; powietrze wypełniły ogień, trąby i skrzydła, słowa proroka otwarły się jak wrota i stanął w nich Mesjasz. Pamiętał, że ubrany był na białą, szczupły, spalony słońcem, bosy i tak jak ten mężczyzna trzymał w zębach zielony liść!

Ascetyczne oczy wypełniły radość i strach. Zbiegł ze skały i podszedł, wyciągając swój guzowaty kark.

- Kim jesteś, kim? - zapytał, a jego straszliwy głos drżał.

- Nie znasz mnie? - spytał Jezus podchodząc jeden krok bliżej. Jego głos także drżał: wiedział, że jego los zależy od odpowiedzi Chrzciciela.

“To on, on” - myślał Chrzciciel. Serce łomotało mu jak oszalałe, ale nie potrafił, nie mógł zdobyć się na odwagę. Jeszcze bardziej wyciągnął szyję:

- Kim jesteś? - zapytał ponownie.

- Nie czytałeś Pisma? - odpowiedział Jezus słodkim, ale przepełnionym skargą głosem, jak gdyby strofując go. - Nie czytałeś proroków? Co mówi Izajasz? Zwiastun,

nie pamiętasz?

- To ty, ty? - wyszeptał asceta. Położył dłonie na ramionach Jezusa i spojrzał mu w oczy.

- Przyszedłem... - powiedział Jezus z wahaniem, potem zatrzymał się nie mogąc oddychać i nie będąc w stanie mówić dalej. Było to tak, jakby wysuwał do przodu stopę i sprawdzał, czy może zrobić kolejny krok, żeby nie upaść.

Dziki prorok pochylił się nad nim i przyglądał w milczeniu. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek słyszał już te wspaniałe, przerażające słowa, które wyszły z ust Jezusa.

- Przyszedłem... - powtórzył syn Marii tak cicho, że nawet Judasz, który stał za nimi z nadstawionymi uszami, nic nie usłyszał. Tym razem prorok wzdrygnął się. Zrozumiał.

- Co? - powiedział, a włosy stanęły mu na głowie. Nad nimi przeleciała wrona, krzyząc ochryple jak tonący człowiek, który śmieje się i szydzi z czegoś. Chrzciciela ogarnęła złość. Pochylił się, żeby podnieść kamień i rzucić nim w ptaka. Wrona odleciała, ale nadal jej wypatrywał, próbując zdobyć trochę czasu, żeby odzyskać spokój.

- Witaj - powiedział. Spojrzał na syna Marii, ale w jego oczach nie było miłości. Serce Jezusa zadrzało. Czy brzęczało mu w uszach, czy prorok naprawdę go powitał? Jeśli to prawda, jakież to zdumiewające, jakie radosne i jakie zatrważające!

Chrzciciel rozejrzał się wokół, omiół wzrokiem rzekę Jordan, trzciny i ludzi, którzy klęcząc w błocie wyznawali swoje grzechy. Przyjrzał się swemu królestwu i pożegnał się z nim. Potem zwrócił się do Jezusa:

- Teraz mogę już odejść.

- Jeszcze nie. Najpierw musisz mnie ochrzcić - głos Jezusa stał się pewny, zdecydowany.

- Ja? To ty musisz mnie ochrzcić, Panie.

- Nie mów tak głośno. Mogą nas usłyszeć. Mój czas jeszcze nie nadszedł. Chodźmy!

Judasz wyteżał słuch, ale doszedł go jedynie szmer, wesoły szmer, jak gdyby łączyły się dwa wartkie strumienie wody.

Tłum zebrany na brzegu rozstał się przed nimi. Kim był ten pielgrzym, który po zdjęciu białej szaty zaśnie jak słońce? Kim był ten człowiek, który nie wyznając swoich grzechów, wszedł do wody tak dostojnym i pewnym krokiem? Obaj mężczyźni skierowali się do strumienia. Chrzciciel wszedł na skałę wystającą nad powierzchnię



wody. Jezus stał obok niego, pogrążony w rzece aż do podbródka.

Kiedy Chrzciciel podniósł dłoń, by oblać twarz Jezusa wodą i pobłogosławić go, ludzie podnieśli krzyk. Rzeka Jordan przestała nagle płynąć. Ławice wielokolorowych ryb nadciągnęły z różnych stron, otoczyły Jezusa i zaczęły tańczyć, falując płetwami i potrząsając ogonami, a z dna rzeki podniósł się włochaty elf pod postacią prostego, starego człowieka owiniętego wodorostami, pochylił się nad trzcinami i z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczyma przyglądał się z radością i strachem temu, co się działo.

Ludzie oniemieli ze zdziwienia na widok takich cudów. Wielu upadło twarzą do ziemi, żeby zakryć oczy. Inni trzęśli się w gorączce. Jakiś mężczyzna, widząc wyłaniającego się z rzeki starego człowieka pokrytego błotem, zawołał: "Duch Jordanu!" i zemdlął.

Chrzciciel napełnił głęboką muszlę i drżącą ręką zaczął polewać wodą twarz Jezusa.

- Niech będzie ochrzczony sługa Boży... - zaczął, ale przerwał nie wiedząc, jakie ma nadać imię.

Obrócił się, żeby zapytać Jezusa, ale gdy wszyscy wspinali się na palce, żeby usłyszeć imię, rozległ się odgłos skrzydeł zstępujących z nieba i białopióry ptak - ptak czy jeden z serafinów? - przeszył powietrze lotem strzały i usiadł na głowie chrzczonego. Przez chwilę siedział bez ruchu, a potem okrążył głowę trzykrotnie. W powietrzu rozbrzły trzy świetliste wieńce, a ptak krzyknął, jakby wymawiał ukryte, nie słyszane nigdy przedtem imię. Niebiosa zdawały się odpowiadać na nieme pytanie Chrzciciela.

Ludziom brzęczało w uszach i kręciło się w głowach. Uderzeniom skrzydeł towarzyszyły słowa. Głos Boga czy ptaka? Dziwny był ten cud.

Jezus naprężył całe ciało usiłując coś usłyszeć. Miał uczucie, jakby wymawiano jego prawdziwe imię, ale nie potrafił nic zrozumieć. Słyszał jedynie rozbijające się fale, skrzydła i jakieś wielkie, gorzkie słowa. Podniósł oczy. Ptak wzniósł się już w górę i zamienił w światło w świetle.

Chrzciciel, który przez wiele lat spędzonych na pustyni w okrutnej samotności nauczył się rozumieć język Boga, był jedynym, który zrozumiał. "Chrzczę dzisiaj - wyszeptał do siebie cały rozdygotany - sługę Bożego, Syna Bożego, nadzieję ludzkości!"

Nakazał wodom Jordanu, żeby na powrót rozpoczęły swój bieg. Sakrament

spełnił się.

## ROZDZIAŁ XVII

Słońce nadeszło od strony pustyni jak lew i dobijało się do wszystkich drzwi Izraela. Z każdego żydowskiego domu wznosiła się ku niebu gniewna poranna modlitwa do nieugiętego Boga Izraelitów:

- Wysławiamy i wychwalamy cię Boże nasz i ojców naszych, wszechmogący i straszliwy, jesteś naszą pomocą i podporą. Bądź pochwalony, Nieśmiertelny, bądź pochwalony obrońco Abrahama. Któż może się mierzyć z twoją potęgą, o królu, który zabijasz, wskrzeszasz z martwych i przynosisz wybawienie? Bądź pochwalony, Wybawco Izraela! Zniszcz, skrusz i rozprosz naszych wrogów, ale zrób to szybko, póki jeszcze żyjemy!

Wschód słońca zastał Jezusa i Jana Chrzciciela siedzących nad Jordanem w zagłębieniu urwistej skały. Przez całą noc trzymali w swych rękach świat, zastanawiając się co z nim zrobić. Czasami jeden brał go w swoje ręce, czasami drugi. Twarz jednego była surowa i zdecydowana: jego ręce unosiły się w górę i opadały, jakby rzeczywiście trzymał w nich siekierę i uderzał. Twarz drugiego zaś była łagodna i niezdecydowana, a oczy pełne litości.

- Czy miłość nie wystarcza? - zapytał.

- Nie - odpowiedział gniewnie Chrzciciel. - Drzewo zgniło. Bóg zawołał na mnie i dał mi siekierę, którą przyłożyłem do korzeni. Zrobiłem to, co do mnie należało. Teraz ty spełnij swój obowiązek: weź siekierę i uderz!

- Gdybym był ogniem, paliłbym; gdybym był drwalem, uderzyłbym. Ale jestem sercem i kocham.

- Ja też jestem sercem i dlatego właśnie nie mogę znieść niesprawiedliwości, bezwstydu i podłości. Jak możesz kochać niesprawiedliwych, podłych i bezwstydnym? Uderz! Jednym z największych obowiązków człowieka jest gniew.

- Gniew? - zapytał Jezus, a jego serce zaprotestowało. - Czyż nie jesteśmy wszyscy braćmi?

- Braćmi? - powtórzył Chrzciciel z przekąsem. - Myślisz, że miłość to droga, którą wskazuje nam Bóg - miłość? Spójrz tam - wyciągnął swoją kościstą, owłosioną rękę i wskazał na Morze Martwe, które cuchnęło jak gnijąca padlina. - Czy kiedykolwiek pochylłeś się nad nim, by zobaczyć te dwie nierządnice, Sodomę i Gomorę na jego dnie? Bóg zapłonął gniewem, spuścił z nieba ogień i tupnął w ziemię:

suchy ląd stał się morzem i pochłonął Sodomę i Gomorę. Taką drogę wskazuje nam Bóg - idź nią. Co mówią prorocтва?

“W dzień Pański z drzew popłynie krew, kamienie domów ożyją, powstaną i zabiją mieszkańców!” Dzień Pański nadchodzi, już jest blisko. Ja pierwszy go dostrzegłem. Wydałem okrzyk, wziąłem bożą siekierę i przyłożyłem ją do korzeni świata. Wołałem i wołałem, wzywałem ciebie byś przyszedł. Przyszedłeś i teraz ja odejdę.

Chwycił ręce Jezusa, jakby wkładał w nie ciężką siekierę. Jezus cofnął się ze strachem.

- Błagam cię o jeszcze trochę cierpliwości - powiedział.

- Nie spiesz się. Pójdę porozmawiać z Bogiem na pustyni. Tam można wyraźniej usłyszeć jego głos.

- Tak jak głos kusiciela. Uważaj - szatan czyha na ciebie, jego wojsko stoi w pogotowiu. On bardzo dobrze wie, że ty oznaczasz jego życie lub śmierć. Zaatakuje cię z całą swoją wściekłością i słodyczą. Uważaj. Pustynia pełna jest słodkich głosów - i śmierci.

- Słodkie głosy i śmierć nie mogą mnie oszukać, przyjacielu. Zaufaj mi.

- Ufam. Biada mi, gdyby tak nie było! Idź, porozmawiaj z szatanem, porozmawiaj też z Bogiem i zdecyduj. Jeśli jesteś Tym, na kogo czekałem, to Bóg już podjął decyzję i nie możesz uciec. Jeśli Nim nie jesteś, to co mnie obchodzi, jeśli zginiesz? Ruszaj i zobaczymy co przyniesiesz. Ale pospiesz się, nie chcę, by świat został zupełnie sam.

- Ta dzika gołębicą, która trzepotała nade mną skrzydłami, kiedy mnie chrzciliś: co powiedziała?

- To nie była gołębicą. Nadejdzie dzień, kiedy usłyszysz słowa, jakie wypowiedziała. Ale aż do tego czasu będą wisiały nad tobą jak miecze.

Jezus wstał i wyciągnął rękę.

- Żegnaj umiłowany Zwiastunie - powiedział drżącym głosem - żegnaj, być może na zawsze!

Chrzciciel przycisnął swoje usta do ust Jezusa i trwał tak przez chwilę. Jego wargi były jak rozżarzone węgle, które przypaliły wargi Jezusa.

- Tobie oddaję ostatecznie moją duszę - powiedział, ściskając mocno delikatną dłoń. - Jeśli jesteś Tym, na kogo czekałem, wysłuchaj moich ostatnich wskazówek, bo myślę, że już nie ujrzę cię na tej ziemi, już nigdy.

- Słucham - szepnął Jezus i zadrżał. - Jakich wskazówek?

- Zaczynij używać innych słów, wzmocnij siłę swoich ramion, uczyni swe serce bardziej stanowczym. Twoje życie jest ciężkie. Widzę krew i ciernie na twym czole. Wytrzymaj, mój bracie i zwierchniku, odwagi! Masz przed sobą dwie drogi: ludzką, która jest równa jak stół i Bożą, która wznosi się stromo. Wybierz tę trudniejszą! Żegnaj! I niech cię nie smuć rozstania. Twój obowiązek to nie płacz, lecz uderzanie. Uderzaj! Niech nie zadrży ci ręka! Oto twoja droga. Obie drogi są córkami Boga, nie zapominaj o tym. Ale najpierw urodził się Ogień, a dopiero potem Miłość. Dlatego zaczynijmy od Ognia. Naprzód, życzę ci powodzenia!

Słońce było wysoko. W pobliżu pojawiły się karawany przybywające z Pustyni Arabskiej z nowymi pielgrzymami w kolorowych turbanach na ogolonych głowach. Niektórzy mieli talizmany w kształcie półksiężyca wykonane z kłów dzika, które nosili zawieszane na szyi; inni przybywali z małymi posążkami z brązu przedstawiającymi boginie o szerokich biodrach; jeszcze inni nosili naszyjniki z zębów swoich wrogów. Pielgrzymi byli dzikusami ze wschodu, którzy przybywali, by przyjąć chrzest. Chrzciciel zobaczył ich, wydał przeraźliwy okrzyk i pognął w dół ze skały. Wielbłądy przykłękały w błocie Jordanu, a głos wołający na pustyni rozbrzmiewał powtarzając bezlitośnie:

- Żałujcie, żałujcie za grzechy. Nadszedł dzień Pański.

Tymczasem Jezus odnalazł swoich towarzyszy. Siedzieli na brzegu rzeki, niemi i cierpiący, czekając na jego powrót. Już od trzech dni i trzech nocy nie pojawił się wśród nich; minęły już trzy dni i trzy noce, odkąd Chrzciciel przestał chrzczyć, żeby z nim porozmawiać. Mówił i mówił, a Jezus słuchał z pochyloną głową. Co mu takiego mówił, pochylając się nad nim jak sęp; dlaczego jeden z nich był taki gwałtowny, a drugi tak posepny? Judasz chodził tam i z powrotem, sapiąc z wściekłości. Gdy tylko zapadła noc, zakradł się pod skałę, żeby podsłuchać rozmowę. Szepotali dotykając się niemal twarzami. Judasz nadstawił uszu, ale zdołał usłyszeć jedynie szmer, wartki szmer, jakby odgłos płynącej wody. Jeden mówił, a drugi wysłuchiwał, napełniał się jak dzban winem. Rudobrody ześliznął się ze skały i znów zaczął przechadzać się nerwowo w ciemności.

- Powiniennem się wstydzić, powiniennem się wstydzić - narzekał - że pozwalałem im zastanawiać się nad Izraelem pod moją nieobecność! Chrzciciel powinien mnie powierzyć swoją tajemnicę, powinien mnie dać siekierę. Tylko ja czuję boleść Izraela. To ja potrafię posługiwać się siekierą, a nie on, ten jasnowidz. Bezczelnie ogłasza, że

wszyscy jesteśmy braćmi, zranieni i ci, którzy zadają rany, Izraelici, Rzymianie i Grecy, niech ich diabli wezmą!

Położył się u podnóża skały, z dala od innych towarzyszy. Usnął na chwilę i wydawało mu się, że słyszy głos Chrzciciela i pojedyncze, oderwane słowa: "Ogień", "Sodoma i Gomora", "Uderz!". Zerwał się na równe nogi. Jednakże na jawie nie słyszał nic oprócz nocnych ptaków, szakali i szmeru rzeki Jordan w trzcinach. Zszedł nad rzekę i zanurzył w wodzie głowę, żeby ugasić płonący w niej ogień.

- Przecież kiedyś musi zejść z tej skały - mruknął. - Zejdzie, a wtedy poznam jego tajemnicę, czy mu się to podoba czy nie!

Kiedy zobaczył zbliżającego się Jezusa, zerwał się na równe nogi, podobnie jak pozostali towarzysze. Wybiegli mu z radością na spotkanie, dotykali jego ramion, pleców, głaskali go, a oczy Jana napełniły się łzami - czoło Mistrza przecinała teraz głęboka bruzda.

Piotr nie mógł się powstrzymać.

- Rabbi - zapytał - dlaczego Chrzciciel rozmawiał z tobą dniami i nocami? Co ci powiedział, że jesteś taki smutny? Twoja twarz się zmieniła.

- Jego dni są policzone - odpowiedział Jezus. - Zostańcie z nim wszyscy i przyjmijcie chrzest. Ja odchodzę.

- Dokąd idziesz, Rabbi? - zawołał młodszy syn Zebedeusza, chwytając Jezusa za tunikę. - Pójdziemy wszyscy z tobą.

- Idę na pustynię, gdzie nie potrzebuję towarzystwa. Idę tam, by rozmawiać z Bogiem.

- Z Bogiem? - krzyknął Piotr, zakrywając twarz. - W takim razie nigdy nie wrócisz!

- Wrócę - powiedział z westchnieniem Jezus. - Muszę wrócić. Świat wisi na cienkiej nitce. Bóg powie mi co robić i wtedy wrócę.

- Kiedy? Ile dni cię znów nie będzie? Znowu nas zostawiasz! - wołali wszyscy, przytrzymując go, żeby nie odszedł.

Tylko Judasz stał na uboczu, milczał i patrzył na nich z pogardą.

- Owce... owce... - gderał. - Dziękuję Bogu Izraela, że uczynił mnie wilkiem.

- Bracia, wrócę, jeśli taka będzie wola Boga. Żegnajcie. Zostańcie tu i czekajcie na mnie. A do tego czasu - do widzenia!

Bracia stali jak obrócenii w kamień i patrzyli za nim, kiedy powoli odchodził w stronę pustyni. Nie stąpał tak jak przedtem, prawie nie dotykając stopami ziemi, ale

ciężko, z rozwagą. Zerwał trzcinę, by się nią podpierać, wszedł na most, przystanął na środku i spojrzął w dół. Zobaczył pielgrzymów zanurzonych w mulistych wodach rzeki, ich spalone słońcem twarze lśniły radośnie. Naprzeciwko, na drugim brzegu, inni nadal bili się w piersi i wyznawali grzechy, wpatrując się płonącymi oczami w Chrzciciela i czekając aż da znak, że nadeszła ich kolej, by zanurzyć się w świętej wodzie. Surowy asceta, zanurzony po pas w Jordanie, chrzcił ludzi całymi gromadami, a potem, gniewnie, bez miłości, popychał ich w stronę brzegu, skąd nadciągały na ich miejsce następne tłumy. Jego spiczasta, czarna jak węgiel, broda lśniła w słońcu, podobnie jak jego kędzierzawe włosy, które nigdy nie były strzyżone; z szerokich, imponujących, wiecznie otwartych ust wydobywały się stale gromkie okrzyki.

Jezus powiódł wzrokiem po rzece, ludziach, po widocznym w oddali Morzu Martwym, górach Arabii i pustyni. Nachylił się i zobaczył swój cień, który falując odpływał wraz z nurtem rzeki w stronę Morza Martwego.

“Jak przyjemnie byłoby - pomyślał - usiąść na brzegu rzeki i patrzeć na wodę płynącą do morza, w której odbijają się drzewa, ptaki, chmury, a w nocy gwiazdy; jak przyjemnie byłoby płynąć razem z nią i nie być tak pochłoniętym troską o świat”.

Otrząsnął się, odpędził pokusę, oderwał się od mostu i szybko zniknął za nagimi skałami. Rudobrody stał na brzegu i przez cały czas miał go na oku. Ruszył za nim i dogonił na samym skraju nie kończącego się morza piasku.

- Synu Dawida, zatrzymaj się! - zawołał. - Dlaczego mnie tak zostawiasz?

Jezus odwrócił się.

- Judaszu, mój bracie - powiedział błagalnym tonem - nie podchodź bliżej. Muszę być sam.

- Chcę poznać twoją tajemnicę! - powiedział Judasz, podchodząc bliżej.

- Nie spiesz się tak. Poznasz ją we właściwym czasie. Teraz mogę ci tylko powiedzieć, Judaszu, mój bracie: raduj się, wszystko idzie dobrze!

- “Wszystko idzie dobrze” - to dla mnie za mało. Słowa nie zaspokoją głodu wilka. Może ty o tym nie wiesz ale ja wiem.

- Jeśli mnie miłujesz, bądź cierpliwy. Spójrz na drzewa. Czy spieszą się, by wydać dojrzały owoc?

- Nie jestem drzewem, jestem człowiekiem - sprzeciwił się rudobrody podchodząc jeszcze bliżej. - Jestem człowiekiem, a człowiek to istota, której się spieszy. Kieruję się własnymi prawami.

- Judaszu, prawo Boże jest jednakowe i dla ludzi i dla drzew.

Rudobrody zazgrzytał zębami.

- A jak się nazywa to prawo? - zapytał z przekąsem.

- Czas.

Judasz stał bez ruchu, zacisnąwszy pięści. Nie przyjmował tego prawa. Działo zbyt powoli, a on nie miał chwili do stracenia. W głębi duszy przestrzegał innego prawa, swego własnego, które było przeciwieństwem prawa Czasu.

- Bóg żyje wiele lat - zawołał. - Jest nieśmiertelny i dlatego może cierpliwie czekać. Ale ja jestem człowiekiem, istotą, której się spieszy. Nie chcę umrzeć, nie ujrzawszy tego, o czym teraz myślę. Chcę to nie tylko ujrzeć, ale też dotknąć własnymi rękami!

- Zobaczysz to - odpowiedział Jezus, uspokajając go ruchem dłoni.

- Zobaczysz to i dotkniesz Judaszu, mój bracie - nie trać wiary. Do widzenia! Bóg czeka na mnie na pustyni.

- Pójdę z tobą.

- Pustynia jest za mała dla dwóch osób. Wracaj.

Rudobrody warknął i obnażył zęby jak pies pasterski, który słyszy głos swego pana. Spuścił głowę, odwrócił się na pięcie i pomaszerował ciężko przez most, rozmawiając sam ze sobą. Przypomniawszy sobie, jak włóczył się po górach z Barabaszem - niech go Bóg ma w swej opiece! - i innymi buntownikami. Jak dziko i swobodnie czuli się wtedy! Jakim doskonałym przywódcą bandytów był Bóg Izraela! Taki przywódca był mu potrzebny. Dlaczego poszedł za tym jasnowidzem, który bał się krwi i wołał: Miłość! Miłość! jak podniecona panienka? "Ale cierpliwości - pomyślał Judasz - zobaczymy z czym wróci z pustyni!" Jezus wkroczył na pustynię. Im głębiej w nią wchodził, tym silniej czuł, że wdziera się do jaskini lwa. Zadrżał, nie ze strachu, ale z ciemnej, niewytlumaczalnej radości. Czuł się szczęśliwy. Dlaczego? Nie potrafił tego wyjaśnić. Nagle przypomniał sobie - przypomniał sobie sen, który śnił mu się pewnej nocy, gdy był jeszcze dzieckiem i dopiero zaczynał mówić. Wydawało mu się, że było to tysiące lat temu: najwcześniejszy sen, jaki zdołał sobie przypomnieć. Dostał się do głębokiej jaskini i znalazł tam lwicę, która urodziła i karmiła swe lwiątko. Kiedy ją zobaczył, poczuł głód i pragnienie, położył się i zaczął ssać wraz z lwiątkami. Potem wydawało mu się, że wyszli wszyscy razem na łąkę i zaczęli bawić się w słońcu, lecz gdy tak baraszkowali, pojawiła się Maria, jego matka, ujrzała go razem z lwami i krzyknęła. Obudził się i odwrócił z gniewem do matki, która spała obok niego. "Dlaczego mnie obudziłaś? - zawołał do niej. - Byłem z moją matką i braćmi!"



- "Teraz rozumiem dlaczego jestem szczęśliwy - pomyślał. - Wchodzę do jaskini mojej matki, jaskini lwicy, samotności..."

Usłyszał niepokojące syczenie węży, niewidzialnych duchów pustyni i gorącego wiatru, który hulał między skałami.

Jezus nachylił się i przemówił do swojej duszy:

- Duszo moja, tutaj okaże się, czy jesteś nieśmiertelna czy nie.

Usłyszał za sobą kroki i nadstawił uszu. Słysząc było skrzypienie piasku. Ktoś szedł w jego stronę spokojnie, pewnie. "Zapomniałem. o niej - pomyślał i wzdrygnął się - widać ona nie zapomniała o mnie. Idzie ze mną, moja matka idzie ze mną..." Bardzo dobrze wiedział, że była to Klątwa, ale już od bardzo dawna nazywał ją w myślach matką.

Maszerował dalej, zmuszając się, żeby myśleć o czymś innym. Przypomnił sobie dziką gołębicę. Wydawało mu się, że w jego duszy uwięziony jest dziki ptak - a może to po prostu dusza usiłowała się wydostać? Może ta dzika gołębicą, która szczebiotała i krążyła nad jego głową w czasie chrztu, była niczym innym jak jego własną duszą, nie ptakiem ani serafinem, ale jego własną duszą.

Znalazł więc odpowiedź. Uspokojony, ruszył dalej. Słyszał za sobą skrzypienie kroków na piasku, ale jego serce biło już regularnie, mógł przynajmniej znieść wszystko z godnością. "Dusza ludzka - pomyślał - jest wszechmocna, może przyjąć każdą postać, jaką tylko zechce. W tamtej chwili zamieniła się w ptaka i latała nade mną..." Gdy jednak maszerował spokojnie dalej, nagle krzyknął i zatrzymał się. A może gołębicą była tylko złudzeniem, brzęczeniem w uszach, zawirowaniem powietrza? - przypomniał sobie, jak jego ciało lśniło, świetliste i wszechmocne niczym sama dusza; jak słyszał to, co chciał usłyszeć i widział to, co chciał zobaczyć... Budował zamki na piasku.

- O Boże, o Boże - mruknął - teraz, gdy będziemy sami, powiedz mi wreszcie prawdę, nie oszukuj mnie. Mam już dość słuchania głosów rozbrzmiewających w powietrzu.

Szedł naprzód, a słońce też posuwało się razem z nim. W końcu dotarło na szczyt nieba, tuż nad jego głową. Gorący piasek parzył go w stopy. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu cienia i wtedy usłyszał nad sobą trzepotanie skrzydeł i zobaczył stado wron krążących nad dołem, w którym leżała jakaś cuchnąca, czarna padlina.

Podszedł bliżej, wstrzymując oddech. Wrony obsiadły ścierwo szarpiąc je

szponami i dziobami. Na widok człowieka odrzuciły ze złością, każda z kawałkiem mięsa w szponach. Krążyły w powietrzu, nakłaniając intruza, żeby odszedł. Jezus pochylił się, zobaczył rozpruty brzuch, czarną, do połowy zdartą skórę, krótkie, sękaty rogi i sznur amuletów wokół przegniłej szyi.

- Koziół! - powiedział półszepceniem i wzdrygnął się. - Święty koziół, który nosił grzechy ludzi. Przeganiano go z wioski do wioski, z góry na górę, aż w końcu szedł na pustyni.

Nachylił się, wykopał rękami głęboki dół w piasku i pochował w nim ścierwo.

- Mój bracie - powiedział - byłeś niewinny i czysty jak każde zwierzę. Ale tchórzliwi ludzie obarczyli cię swoimi grzechami i zabili. Gnij w spokoju i nie miej do nich żalu. Ludzie, biedne, słabe istoty, nie mają odwagi, by samemu zapłacić za swoje grzechy: obarczają nimi tego, kto jest bez grzechu. Bracie mój, zapłać za ich grzechy. Zegnaj!

Ruszył w dalszą drogę, ale po chwili zatrzymał się zaniepokojony. Zawołał machając ręką:

- Do zobaczenia!

Wrony rzuciły się za nim w szaleńczy pościg. Pozbawił je smacznej padliny więc teraz podążały za nim czekając, aż on z kolei zginie i pęknie mu brzuch. Jakim prawem postąpił wobec nich tak niesprawiedliwie? Czyż to nie sam Bóg nakazał wronom karmić się padliną? Teraz jemu przyjdzie za to zapłacić!

Nadchodziła wreszcie noc. Zmęczony Jezus przykucnął na skale, dużej i okrągłej jak kamień młyński.

- Dalej już nie pójdę - wyszeptał. - Na tej skale postawię mój bastion i stoczę tutaj swoją bitwę.

Ciemność spłynęła nagle z nieba, uniosła się z ziemi, okryła świat. A wraz z ciemnością przyszedł mróz. Szczękając zębami, Jezus owinał się w swoją białą szatę, zwinął w kłębek i zamknął oczy. Ledwo je zamknął, przestraszył się. Przypomniawszy sobie wrony, z każdej strony słyszał wycie głodniałych szakali; czuł, że pustynia grasuje wokół niego jak dzikie zwierzę. Wystraszył się i otworzył ponownie oczy. Niebo wypełniło się gwiazdami i to dodało mu otuchy. "Przybyli serafini, żeby dotrzymać mi towarzystwa - powiedział sam do siebie - to świetliste istoty o sześciu skrzydłach, które śpiewają psalmy wokół Bożego tronu, ale są tak daleko, tak bardzo daleko, że nie możemy ich usłyszeć". Światło gwiazd oświeciło jego umysł i zapomniał o głodzie i chłodzie. On także był żywą istotą, przelotnym światłem wskazującym

drogę w ciemności; on także śpiewał hymny na cześć Boga. Jego dusza to mała latarnia morska, pokorna, biednie ubrana siostra aniołów... Rozmyślając o swym szlachetnym pochodzeniu, nabrał otuchy i ujrzał swoją duszę stojącą razem z aniołami wokół tronu Boga i wtedy spokojnie, już bez obaw zamknął oczy i zasnął.

Kiedy się obudził, zwrócił twarz ku wschodowi i zobaczył słońce, straszliwy piec górujący nad piaskami. "To jest twarz Boga" - pomyślał, zasłaniając dłonią oczy, by nie oślepnąć od blasku.

- Panie - szepnął - jestem ziarnkiem piasku, które mówi, oddycha i kocha cię - kocha cię i nazywa Ojcem. Nie mam innej broni niż; miłość. Z nią przychodzę na swoją bitwę. Pomóż mi!

Podniósł się. Wokół skały, na której spał, zakreślił trzcina koło.

- Nie opuszczę tego klepiska - powiedział głośno, żeby niewidzialne moce czyhające na niego mogły go usłyszeć - nie opuszczę tego klepiska, dopóki nie usłyszę głosu Boga. Ale muszę usłyszeć go wyraźnie, nie zadowolę się tym, co zwykle: niewyraźnym brzęczeniem, świergotem, czy hukami grzmotu. Chcę, żeby przemówił do mnie wyraźnie, ludzką mową i żeby powiedział mi, czego ode mnie żąda i co mogę, co muszę zrobić. Dopiero wtedy wstanę i odejdę z tego klepiska, by wrócić do ludzi, jeśli taka będzie jego wola, albo umrzeć, jeśli tego zażąda. Zrobię to, czego zechce, ale muszę wiedzieć co to jest. W imię Boże!

Ukląkł na skale z twarzą zwróconą ku słońcu, ku wielkiej pustyni.! Zamknął oczy, przegrupował myśli, które nadal krążyły wokół Nazaretu, Magdali, Kafarnaum, studni Jakuba i rzeki Jordan, i zaczął ustawiać je w szyku bojowym. Przygotowywał się do bitwy.

Z napiętymi mięśniami szyi i zamkniętymi powiekami pogrążył się w sobie. Słyszał ryk wody, szelest trzciny i lament ludzi. Znad Jordanu dolatywały falami okrzyki, wyrażające paniczny strach i odległe nierealne nadzieje. Pierwsze powtórzyły się w jego umyśle owe trzy długie noce, które spędził na skale z surowym ascetą. W pełnej zbroi pospieszyły na pustynię, aby przyłączyć się do walki u jego boku.

Pierwsza noc skoczyła na niego jak potworna skrzydlata szarańcza z okrutnymi, żółtymi jak pszenica oczami, oddechem jak smród Morza Martwego i dziwnymi, zielonymi literami na odwłoku. Trzymała go kurczowo, jej skrzydła zaczęły wściekle młócić powietrze. Jezus krzyknął i odwrócił się. Obok niego stał Chrzciiciel i w głębokiej ciemności wskazywał swoją kościstą ręką w stronę Jerozolimy.

- Spójrz. Co widzisz?

- Nic.

- Nic? Przed tobą jest święte Jeruzalem, ta nierządnicą. Nie widzisz jej? Chichocze siedząc na tłustych kolanach Rzymianina. Pan woła: "Nie chcę jej. Czy to jest moja żona? Nie chcę jej!" Ja także szczekam, jak pies u stóp Pana: "Nie chcę jej!" Obchodzę wkoło jej wieże i mury i szczekam na nią: "Dziwka: Dziwka!" Spójrz na jej cztery obronne bramy! W pierwszej siedzi Głód, w następnej Strach, w trzeciej niesprawiedliwość, a w czwartej, północnej, Podłość. Wchodzę do środka, chodzę tam i z powrotem jej ulicami, podchodzę do mieszkańców i przyglądam się im badawczo. Popatrz na ich twarze: trzy są nalane, tłuste, przesycone, a trzy tysiące wychudzone z głodu. Kiedy ginie świat? Kiedy trzech możnych objada się do przesyty, a lud w liczbie trzech tysięcy umiera z głodu. Spójrz jeszcze raz na te twarze. Na wszystkich widać strach, ich nozdrza drżą, bo czują dzień Pański. Przypatrz się kobietom. Nawet najuczciwsza spogląda ukradkiem na swego niewolnika, oblizuje wargi i kiwa na niego głową:

- Chodź!

Odkrywam dachy ich pałaców. Spójrz. Król trzyma na kolanach żonę swego brata i pieści jej nagość. Co mówi Pismo? "Ten, kto spogląda na nagość żony brata swego - powinien umrzeć!" To nie on, kazirodczy król, zostanie zabity ale ja, asceta. Dlaczego - ponieważ nadszedł dzień Pański!

Przez całą pierwszą noc Jezus siedział u stóp Chrzciciela i obserwował jak Głód, Strach, niesprawiedliwość i Podłość wchodzi i wychodzi przez cztery otwarte bramy Jerozolimy. Nad świętą nierządnicą zbierały się chmury, ciężkie od gniewu i gradu.

Drugiej nocy Chrzciciel ponownie wyciągnął swoją podobną do trzciny rękę i gwałtownie przeciął czas i przestrzeń.

- Słuchaj. Co słyszysz?

- Nic.

- Nic! Czy nie słyszysz Niekczemności, tej suki, która wspięła się bezczelnie aż do nieba i szczeka u drzwi Pana? Czy nie odwiedzałeś Jeruzalem, czyż nie widziałeś skamlących kapłanów, arcykapłanów, uczonych w Piśmie i faryzeuszy, którzy otaczają świątynię? Ale Bóg nie będzie już dłużej znosił zuchwalstwa na ziemi. Powstał, stąpa ciężkimi krokami po stokach gór i nadchodzi. Przed nim kroczy Gniew, a za nim trzy suki niebieskie: Ogień, Trąd i Szaleństwo. Gdzie jest świątynia ze swymi dumnymi, inkrustowanymi złotem kolumnami, które podtrzymywały ją i głosiły: Jestem

wieczna! Wieczna! Wieczna! A teraz - w popiół obrócona świątynia i jej kapłani, arcykapłani, uczeni w Piśmie i faryzeusze; popiołem stały się ich święte amulety, ich jedwabne szaty i złote pierścienie! Popiół! Popiół! Popiół!

- Gdzie jest Jeruzalem? Unoszę w górę zapaloną latarnię, szukam w górach, w ciemności Pańskiej, wołam, "Jeruzalem! Jeruzalem!" Pustka, zupełna pustka:,nawet wrona nie odpowiada - wrony nażarły się i odleciały. Brodzę po kolana w czaszkach i kościach, łyzy napływają mi do oczu ale odpycham kości i odsuwam je od siebie. Śmieję się, pochylam, wybieram najdłuższą kość, robię z niej flet i wysławiam chwałę Pana.

Przez całą drugą noc Chrzyciel śmiał się, stał w Bożej ciemności i podziwiał Ogień, Trąd i Szaleństwo. Jezus chwycił kolana proroka.

- Czy świat nie może być zbawiony poprzez miłość? - zapytał. - Poprzez miłość, radość, miłosierdzie?

Chrzyciel nawet się nie odwrócił, by na niego spojrzeć i odpowiedział:

- Nie czytałeś Pisma? Zbawiciel miażdży nasze lędźwie, łamie nasze zęby, spuszcza z nieba ogień i pali pola - wszystko po to, byzasiać. Wyrywa z korzeniami chwasty, ciernie i pokrzywy. Jak zdołasz wykorzenieć fałsz, podłość i niesprawiedliwość z tego świata, jeśli nie wytepisz kłamców, niesprawiedliwych i nikczemnych? Ziemia musi zostać oczyszczona - nie lituj się nad nią - musi zostać oczyszczona, przygotowana pod zasiew nowego ziarna.

Minęła druga noc. Jezus nie odzywał się. Czekał na trzecią: być może wtedy głos proroka złagodnieje.

Trzeciej nocy Chrzyciel kręcił się i wiercił niespokojnie na skale. Nie śmiał się, nie odzywał, tylko patrzył na Jezusa pełnym bóleści wzrokiem, badał jego ramiona, ręce, dłonie i kolana, kręcił głową i nadal milczał, wciągając nosem zapach powietrza. Jego oczy w blasku gwiazd świeciły czasami zielonym blaskiem, czasami żółtym, a pot zmieszany z krwią spływał po jego spieczonym słońcem czole. W końcu, o brzasku, kiedy padły na nich białe promienie świtu, wziął Jezusa za rękę, zajrzał mu w oczy i zmarszczył brwi.

- Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, gdy wynurzyłeś się z trzciny nad Jordanem i podszedłeś prosto do mnie - powiedział - moje serce podskoczyło jak młode cielę. Czy możesz sobie wyobrazić, jak podskoczyło serce Samuela, gdy po raz pierwszy zobaczył rudego pasterza bez zarostu, Dawida? Tak samo skoczyło moje serce. Ale serce to ciało, które kocha ciało, więc mu nie ufam. Zeszłej nocy badałem cię, obwąchiwałem, jakbym widział cię pierwszy raz, ale nie uspokoilem się. Patrzyłem na

twoje ręce. To nie były ręce drwala, Zbawiciela. Zbyt delikatne, zbyt litościwe. Jakże mogą wymachiwać siekierą? Zajrzałem w twoje oczy. To nie były oczy Zbawiciela - zbyt dużo w nich współczucia. Wstałem i westchnąłem. "Panie - wyszeptałem - twoje drogi są mroczne i kręte; możesz posłać białego gołębia, żeby spalił świat i obrócił go w popiół. Patrzymy w niebo oczekując gromu, orła lub wrony - a ty dajesz nam białego gołębia. Po co pytać, sprzeciwiać się? Rób co chcesz". - Otworzył ramiona i uściśnął Jezusa; pocałował go w prawe, a potem w lewe ramię. - Jeśli jesteś Tym, na kogo czekałem - powiedział - to nie przyszedłeś w takiej postaci, jaką sobie wyobrażałem. A więc czy na próżno przyniosłem siekierę i przyłożyłem ją do korzeni drzewa? Czy może miłość też potrafi władać siekierą? - Zastanawiał się przez chwilę. - Nie potrafię tego ocenić - mruknął w końcu. - Umrę nie rozumiejąc nic. Nieważne, taki widać mój los: ciężki, lecz lubię go! - Uściśnął dłoń Jezusowi. - Idź, życzę ci powodzenia. Idź, porozmawiaj z Bogiem na pustyni. Ale wracaj szybko, żeby świat nie został zupełnie sam.

Jezus otworzył oczy. Rzeka Jordan, Chrzciiciel, chrzczeni pielgrzymi, wielbłądy i lamenty ludzi - wszystko nagle stanęło w ogniu i zostało zdmuchnięte. Teraz rozciągała się przed nim pustynia. Słońce stało wysoko i prażyło niemilosiernie: kamienie parowały jak bochenki chleba. Poczul, jak głód skręca mu wnętrzości.

- Jestem głodny - wymamrotał patrząc na kamienie - jestem głodny!

Przypomniał sobie chleb, który dała im stara Samarytanka. Jakże był wyborny! Słodki jak miód! Przypomniał sobie miód, oliwki i daktyle, którymi częstowano go, kiedy przechodził przez jakąś wioskę, i świętą wieczerzę, którą spożyli gdy, klęcząc nad brzegiem jeziora Genezaret, zdjęli z żelaznego paleniska ruszt, na którym leżały rzędem pachnące ryby. A potem przyszły mu na myśl figi, winogrona i owoce granatu, wstrząsając nim jeszcze bardziej.

Gardło miał wyschłe i spieczone z pragnienia. Ileż to rzek płynęło na świecie! Tyle wody mknęło od skały do skały, przetaczało się z jednego krańca Izraela na drugi, wpadało do Morza Martwego i ginęło - a on nie mógł wypić nawet kropli! Myśl o tym tylko powiększyła jego pragnienie. Zakręciło mu się w głowie i zatrzepotał powiekami. Dwa przebiegłe diabły w postaci młodych królików wyłoniły się z gorącego piasku, stanęły na tylnych nogach i zaczęły tańczyć. Odwróciły się, zobaczyły pustelnika, pisnęły z radości i zaczęły kicać w jego stronę. Wskoczyły mu na kolana, a potem na ramiona. Jeden był chłodny jak woda, drugi ciepły i pachnący jak chleb, ale gdy tylko wyciągnął zgłodniałe ręce, by je schwytać, dały susa i rozpląnęły się w powietrzu.

Zamknął oczy i zaczął ponownie zbierać myśli rozproszone uczuciem głodu i pragnienia. Pojawił się w nich Bóg: nie był już głodny ani spragniony. Pomyślał o zbawieniu świata. Ach, gdyby tylko dzień Pański mógł nadejść z miłością! Czyż Bóg nie był wszechmocny? Dlaczego nie uczyni cudu i nie dotknie ludzkich serc, by rozkwitły? Przecież co roku na święto Paschy nagie łądygi, łąki i ciernie otwierały się pod jego dotknięciem. Gdyby tylko pewnego dnia ludzie mogli się zbudzić z duszami w rozkwicie!

Uśmiechnął się. Świat zakwitł w jego myślach. Kazirodczy król został ochrzczony, a jego dusza oczyszczona. Odprawił swoją szwagierkę, Herodiadę, która wróciła do swego męża. Arcykapłani i ludzie szlachetnie urodzeni otworzyli swoje spiżarnie i skrzynie, rozdali swoje dobra ubogim, a ci z kolei mogli znowu oddychać z ulgą i wygnali ze swych serc nienawiść, zazdrość i strach... Jezus spojrział na swoje ręce. Siekiera, którą przekazał mu Zwiastun, zakwitła: teraz trzymał w dłoni kwitnącą gałąź migdałowca.

Dzień zakończył się uczuciem ulgi. Jezus położył się na skale i zasnął. Przez całą noc słyszał we śnie płynącą wodę, tańczące małe króliki, dziwny szelest i czuł dwa, obwąchujące go, wilgotne nozdrza. Zdawało mu się, że około północy podszedł do niego z ciekawością; głodny szakał. Sprawdzał czy ma przed sobą padlinę i przez dłuższą chwilę nie mógł się zdecydować. A Jezus, w swoim śnie, odczuwał dla niego litość. Pragnął otworzyć swoją pierś i dać mu jeść, ale powstrzymał się. Musi zachować swoje ciało dla ludzi.

Zbudził się przed świtem. Sieć wielkich gwiazd pokrywała niebo, powietrze było błękitne i lekkie. "O tej porze - pomyślał - pieją koguty, budzą się wioski, ludzie otwierają oczy i spoglądają przez szczeliny w sufitach na jasność, która raz jeszcze nadeszła. Po chwili budzą się niemowlęta, zaczynają wrzeszczeć, a ich matki podchodzą, żeby podać im pełne piersi..." Przez chwilę świat falował ponad pustynią wraz z ludźmi, domami, kogutami, niemowlętami i matkami - wszystko to było tkane z porannego mrozu i bryzy. Zaraz wstanie zgłodniałe słońce i pożre całą okolicę! Serce pustelnika przestało na moment bić. "Gdybym tylko mógł sprawić, by ten mróz trwał wiecznie! - pomyślał. - Ale umysł Boga jest otchłanią, straszliwą przepaścią. Osądza świat, niszczy go w chwili, gdy ten już ma wydać owoc, a potem sadi nowy". Przypomnił sobie słowa Chrzciela: "Kto wie, może miłość niesie siekierę..." i zadrżał. Spojrział na pustynię. Czerwona jak krew kołysała się pod promieniami słońca, które weszło gniewnie w otocze burzy. Wiał wiatr, w nozdrza uderzył go

zapach smoły i siarki. Pomyślał o Sodomie i Gomorze - o pałacach, teatrach, tawernach, nierządnicach - zatopionych w smole. Abraham zawołał:

- Ulituj się, Panie, nie pal ich. Czyż nie jesteś dobry? Ulituj się nad swymi stworzeniami.

Ale Bóg odpowiedział mu:

- Jestem sprawiedliwy, spalę ich wszystkich!

Czy to była więc ta Boża droga? Jeśli tak, to wielkie jest zuchwalstwo serca, tej miękkiej grudki, która sprzeciwia się głośno... Co jest naszym obowiązkiem? - zapytał sam siebie. Musimy spoglądać w dół, szukać śladów Boga na ziemi i podążać za nimi. Spoglądam w dół i wyraźnie widzę odcisk stopy Boga na Sodomie i Gomorze. Całe Morze Martwe to ślad stopy Boga. Bóg stąpał, a pałace, teatry, tawerny, burdele - cała Sodomia i Gomora - pograżyły się aż na dno. Gdy nadejdzie powtórnie cała ziemia - królowie, arcykapłani, faryzeusze, saduceusze - wszystko pójdzie na dno.

Zaczął krzyczeć nie zdając sobie z tego sprawy. Owładnęła nim wściekła furia. Zapominając, że kolana nie są w stanie go utrzymać, próbował się podnieść, wyruszyć w drogę Bożym szlakiem, ale upadł bez tchu na wznak.

- Nie mogę, nie widzisz tego? - zawołał wznosząc oczy ku płonącym niebiosom.

- Nie mogę, dlaczego mnie wybrałeś? Nie wytrzymam!

Gdy tak wołał, zobaczył przed sobą na piasku czarną masę: kozła z wyprutymi wnętrznościami i nogami wyciągniętymi sztywno w górę. Przypomniawszy sobie, jak pochylił się i zobaczył w jego ołowianych ślepiach własną twarz.

- To ja jestem tym kozłem - wyszeptał. - Bóg umieścił go na mojej drodze, żeby pokazać mi kim jestem i dokąd zmierzam... Nagle zaczął szlochać.

- Nie chcę... Nie chcę... Nie chcę być sam. Pomóż mi!

W tej samej chwili, gdy szlochał tak pochyłony, powiała przyjemna bryza; smród smoły i padliny ulotnił się, a słodki zapach wypełnił cały świat. Pustelnik usłyszał plusk wody, brzęk bransolet i śmiech zbliżający się z oddali w jego kierunku. Poczul się odświeżony i pokrzepiony. Podniósł wzrok. Na kamieniu przed sobą zobaczył węża z oczami i piersiami kobiety, który oblizywał wargi i przyglądał się mu. Pustelnik cofnął się z przerażeniem. Wąż, kobieta, a może przebiegły demon pustyni? Taki sam wąż owinał się wokół zakazanego drzewa w raju i skusił pierwszego mężczyznę i kobietę, by spłodzili grzech... Usłyszał śmiech i słodki, przymilny głos kobiety:

- Zrobiło mi się ciebie żal, synu Marii. Wołałeś: "Nie chcę być sam. Pomóż mi!"



Ulitowałam się nad tobą i przybyłam. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Nie chcę cię! Nie wołałem cię! Kim jesteś?

- Twoją duszą.

- Moją duszą! - zawołał Jezus i przerażony zamknął oczy.

- Tak, twoją duszą. Boisz się być sam. Twój pradziad Adam miał takie same obawy. On także wołał o pomoc. Jego ciało i dusza połączyły się i z jego żebra powstała kobieta, żeby mu towarzyszyć.

- Nie chcę cię! Nie chcę! Pamiętam o jabłku, które dałaś Adamowi. Pamiętam anioła z mieczem!

- Pamiętasz i dlatego cierpisz, wołasz i nie możesz odnaleźć swej drogi. Ja ci ją wskażę. Daj mi rękę. Nie oglądaj się za siebie, nie przypominaj sobie niczego. Spójrz, jak moje piersi wskazują ci drogę. Idź za nimi, mój małżonku. One doskonale znają drogę.

- Chcesz mnie także zaprowadzić do słodkiego grzechu i piekła. Nie pójdę. Moja droga jest inna.

Wąż zachichotał szyderczo i pokazał ostre, jadowite kły.

- Chcesz iść śladami Boga, śladami orła - ty robaku! Ty, syn cieśli, chcesz nosić grzechy całego rodzaju ludzkiego! Czy nie wystarczają ci twoje własne grzechy? Zuchwalcze, jakim prawem myślisz, że twoim obowiązkiem jest zbawienie świata! "Ona ma rację,... ona ma rację..." - pomyślał pustelnik wstrząsany drżeniem. - To zuchwalstwo!"

- Zdradzę ci pewną tajemnicę, synu Marii - powiedział wąż słodkim głosem, z błyskiem w oczach. Spłynął ze skały jak woda i zaczął pełznąć, bogato zdobiony, w jego stronę. Dotarł do stóp Jezusa, wspiął się na kolana, zwinął w kłęb, a potem prostując gwałtownie sięgnął jego ud, lędźwi, piersi, aż w końcu oparł się na jego ramieniu. Wbrew swojej woli, pustelnik skłonił głowę, żeby go wysłuchać. Wąż oblizwał językiem ucho Jezusa. Jego głos był kuszący i daleki, zdawał się dolatywać z Galilei, znad jeziora Genezaret.

- Magdalena... Magdalena... Magdalena...

- Co? - zapytał Jezus i wzdrygnął się. - Co z Magdaleną?

- ... to Magdalenę musisz uratować! - zasyczał wąż rozkazującym tonem. - Nie ziemię - zapomnij o ziemi. To ją, Magdalenę, musisz uratować!

Jezus próbował strząsnąć węża ze swojej głowy, ale ten posunął się tylko naprzód; jego język nadal wibrował w uchu Jezusa.

- Jej ciało jest piękne, chłodne i doświadczone. Miały ją wszystkie narody, ale od czasu waszego dzieciństwa Bożą ręką zapisane było, że przeznaczona jest tobie. Weź ją! Bóg stworzył mężczyznę i kobietę tak, by pasowali do siebie jak klucz do zamka. Otwórz ją, wasze dzieci siedzą stłoczone razem i zdrętwiały wewnątrz niej i czekają, byś wyrwał je z odrętwienia. Wtedy wstaną, wyjdą na świat i będą spacerować w świetle słońca... Słyszysz co do ciebie mówię? Podnieś wzrok, daj mi jakiś znak. Skiń tylko głową, mój kochany, a w tejże godzinie prześlę ci, na nowym łożu, twoją żonę.

- Moją żonę?

- Twoją żonę. Spójrz, jak Bóg poślubił tę nierządnicę Jerozolimę. Miały ją wszystkie narody, ale on zaślubił ją, bo chciał uratować. Spójrz, jak prorok Ozeasz poślubił nierządnicę Gomer, córkę Didlaima. Tak samo Bóg rozkazuje ci spać z Marią Magdaleną, twoją żoną, mieć z nią dzieci i uratować ją.

Waż przycisnął swoje twarde, chłodne i krągłe piersi do piersi Jezusa i powoli, okrężnym ruchem, owijał się wokół niego. Jezus pobladł, zamknął oczy, ujrzał jędrne, dobrze zbudowane ciało Magdaleny posuwające się węzowym ruchem wzdłuż brzegów jeziora Genezaret, zobaczył, jak spojrzała w kierunku rzeki Jordan i westchnęła. Wyciągnęła rękę - szukała go, a jej łono pełne było dzieci, jego dzieci. Wystarczyło mrugnąć kątem oka, dać znak i natychmiast - jakie szczęście! Jak zmieniłoby się jego życie, jak stałoby się ludzkie! To była właściwa droga, tak! Wróciłby do Nazaretu, do domu swej matki, pojednałby się ze swymi braćmi. Zbawić świat, umrzeć za rodzaj ludzki - to tylko szaleństwo młodości, obłąd. Ale dzięki Magdalenie, niech Bóg ma ją w swojej opiece, zostanie wyleczony, wróci do swego warsztatu, podejmie na nowo swoje ukochane rzemiosło, znowu będzie robił pługi, kołyski i koryta, będzie miał dzieci i stanie się mężczyzną, głową rodziny. Wieśniacy będą go szanować i wstawać z miejsc na jego widok. Będzie pracował przez cały tydzień, a w sobotę będzie chodził do synagogi w czystej odzieży utkanej dla niego z lnu i jedwabiu przez żonę Magdalenę, w kosztownej chuście na głowie i ze złotą obrączką ślubną na palcu; w synagodze będzie miał miejsce pośród starszyzny, usiądzie i będzie słuchał spokojnie i obojętnie, podczas gdy kipiący gniewem, na wpół obłąkani faryzeusze i uczeni w Piśmie będą pocili się i męczyli nad odczytywaniem Pisma. Będzie chichotał i patrzył na nich ze współczuciem. Dokąd ich to zaprowadzi, tych żalonych teologów! On odczytał Pismo spokojnie, ale nieomylnie biorąc sobie żonę, płodząc dzieci, robiąc pługi, kołyski i koryta...

Otworzył oczy i ujrzał pustynię. Gdzie się podział dzień! Słońce znowu chyliło się ku horyzontowi. Wąż, z piersią przylepioną do piersi Jezusa, czekał. Syczał cicho, kusząco; w wieczorne powietrze popłynęła czuła, rzewna kołysanka. Cała pustynia kołysała go i śpiewała mu jak matka.

- Czekam... Czekam... - zasyczał lubieżnie wąż. - Już noc. Zimno mi. Zdecyduj się. Skiń głową, a otworzą się przed tobą bramy raj. Zdecyduj się, mój kochany. Magdalena czeka...

Pustelnika sparaliżował strach. Już miał otworzyć usta, by powiedzieć "tak", gdy poczuł, że ktoś spogląda na niego z góry. Przerażony uniósł głowę i zobaczył w powietrzu dwoje oczu, jedynie dwoje oczu, czarnych jak noc, i dwie białe brwi, które poruszały się i dawały mu znaki: "Nie! Nie! Nie!" Serce Jezusa ścisnął skurcz. Spojrzał ponownie w górę, błagalnie, jakby chciał zawołać: "Zostaw mnie w spokoju, udziel mi swej zgody, nie gniewaj się!" Ale oczy nabrały okrutnego wyrazu, a brwi zadrgały groźnie.

- Nie! Nie! Nie! - zawołał wtedy Jezus, a dwie wielkie łzy spłynęły z jego oczu.

W tej samej chwili wąż zwinął się, odkleił od niego i wybuchnął ze stłumionym hukiem. W powietrzu zawisł smród.

Jezus upadł na twarz. Jego usta, nozdrza i oczy były pełne piasku. W głowie miał pustkę. Zapominając o głodzie i pragnieniu, szłochał - szłochał, jak gdyby jego żona i wszystkie dzieci umarły, a całe jego życie legło w gruzach.

- Panie, Panie - wyszeptał gryząc piasek. - Ojczy, czy nie masz litości? Bądź wola Twoja: ile razy już ci to mówiłem, ile razy jeszcze powiem? Przez całe życie będę drżał, opierał się i powtarzał: Bądź wola Twoja!

W ten sposób, szepcząc i łykając piasek, zapadł w sen, a gdy zamknęły się oczy jego ciała, otworzyły się oczy duszy i ujrzał zjawę w postaci węża, tak grubego jak ciało człowieka i tak długiego, że rozciągał się z jednego krańca nocy na drugi. Wąż leżał rozwinięty na piasku, a jego szeroka, jasnoczerwona paszcza była otwarta. Naprzeciwko paszczy skakała drżąca, bogato ubarwiona kuropatwa, na próżno usiłująca rozwinąć skrzydła i uciec. Posuwała się naprzód chwiejnym krokiem, wydając ciche, słabe piski, a jej pióra były zjeżone ze strachu. Nieruchomy wąż z rozwartą szeroko paszczą wlepił w nią ślepią. Nie spieszył się; był pewny swojej zdobyczy. Kuropatwa zbliżała się stopniowo, prosto ku jego paszczę, potykając się na swych ugiętych nóżkach. Jezus stał bez ruchu i patrzył, drżąc tak samo jak kuropatwa. O świcie ptak dotarł w końcu na miejsce. Drżąc nadal rozejrzał się szybko dookoła,

jakby szukając pomocy, a potem nagle wyciągnął szyję i wszedł do środka głową naprzód, ze złączonymi nogami. Paszcza zamknęła się. Jezus wciąż widział kuropatwę, tę kulkę z pierza i mięsa, i jej czerwone nóżki, przesuwającą się stopniowo w kierunku brzucha potwora.

Prerażony zerwał się na równe nogi. Pustynia była morzem wzburzonych, różowych fal.

Wschodziło słońce.

- To Bóg - wyszeptał, wstrząsany drżeniem. - A kuropatwa to...

Załamał mu się głos. Nie miał siły dokończyć. Szepnął tylko w głębi duszy: .

- ... dusza człowieka. Kuropatwa to dusza człowieka!

Godzinami rozważał tę myśl. Wzeszło słońce i rozpalilo piasek; przeniknęło jego czaszkę, przedostało się do jego wnętrza i spaliło mu umysł, gardło i pierś. Jego wnętrzności wisały jak winogrona pozostawione na krzakach po jesiennym winobraniu. Język przywarł mu do podniebienia, skóra schodziła płatami odsłaniając kości, a końce jego palców stały się zupełnie sine.

W jego wnętrzu czas skurczył się do uderzeń serca i rozrósł do rozmiarów śmierci. Nie odczuwał już ani głodu, ani pragnienia; nie pożywał już żony ani dzieci. Cała jego dusza skupiła się w jego oczach. Widział - i to było wszystko: widział. W samo południe jego wzrok stał się zamglony, świat zniknął, a gdzieś przed nim rozwarła się gigantyczna paszcza, której dolną szczękę stanowiła ziemia, a górną niebo. Trzęsąc się cały, powlókł się powoli w stronę rozwartej paszczy, z szyją wyciągniętą do przodu...

Dnie i noce mijały jak błyski białych i czarnych błyskawic. Raz o północy przyszedł lew i stanął przed nim, wstrząsając dumnie grzywą. Przemówił ludzkim głosem: "Witaj w moim legowisku, zwycięski asceto. Pozdrawiam człowieka, który pokonał drugorzędne cnoty, płytkie radości i szczęście! Nie lubimy tego, co łatwe i pewne, nasze oczy spoglądają na to, co trudne do osiągnięcia. Magdalena nie wystarczy nam: chcemy zaślubić całą ziemię. Oblubieńcu, panna młoda już wzdycha, palą się lampy niebieskie i przybyli goście: chodźmy."

- Kim jesteś?

- Tobą - głodnym lwem z wnętrza twego serca i lędźwi, który grasuje nocą wokół owczarni, królestw tego świata i rozważa, czy skoczyć do środka i jeść czy nie. Gnam z Babilonu do Jerozolimy, z Jerozolimy do Aleksandrii, z Aleksandrii do Rzymu wołając: "Jestem głodny, wszystko jest moje!" O świcie wracam z powrotem

do wnętrza twojej piersi i kurczę się: przerażający lew staje się jagnięciem. Udaję pokornego ascetę, który niczego nie pragnie, któremu wystarcza do życia ziarno pszenicy, łyk wody i naiwny, usłużny, łasy na pochlebstwa Bóg, dobrotliwy Ojciec. Ale ukradkiem, w głębi serca, wstydzę się, staję się zawzięty i tęsknię do zmroku, kiedy będę mógł zrzucić swoją owczą skórę i znowu zacząć ryczeć, wędrować nocą i deptać moimi czterema łapami Babilon, Jerozolimę, Aleksandrię i, Rzym.

- Nie wiem kim jesteś. Nigdy nie pragnąłem królestwa z tego świata. Wystarczy mi królestwo niebieskie.

- Nie wystarczy. Oszukujesz się, przyjacielu. Ono ci nie wystarcza. Nie ośmielasz się wejrzeć w głąb siebie, w głąb swoich łędźwi i serca - aby mnie tam znaleźć... Dlaczego patrzysz na mnie podejrzliwie i źle o mnie myślisz? Czy sądzisz, że jestem kusicielem, wysłannikiem tego, który przyszedł, by cię sprowadzić, na złą drogę? Ty głupi pustelniku, jaką siłę może mieć pokusa przychodząca z zewnątrz? Fortecę można zdobyć jedynie od środka. Jestem najgłębszym głosem twojej najskrytszej jaźni; jestem lwem ukrytym w tobie. Okryłeś się skórą jagnięcia, by omamić ludzi, abyś mógł ich pożreć. Przypomnij sobie, jak byłeś małym chłopcem i chaldejska czarodziejka spojrzała na twoją dłoń. "Widzę wiele gwiazd - powiedziała - wiele krzyży. Zostaniesz królem". Dlaczego udajesz, że o tym zapomniałeś? Pamiętaj o tym w dzień i w nocy. Powstań, synu Dawida, i wejdź do swego królestwa!

Jezus słuchał z pochyloną głową. Stopniowo rozpoznawał ten głos, stopniowo przypominał sobie, że słyszał go czasami w snach i raz, kiedy w dzieciństwie pobił go Judasz i raz jeszcze, przy innej okazji, kiedy odszedł z domu i wałęsał się dniami i nocami po polach, nękanym głodem, a potem wrócił ze wstydem, witany gwizdami braci, kulawego Szymona i pobożnego Jakuba, którzy stali w drzwiach. Wtedy rzeczywiście usłyszał w głębi siebie ryczącego lwa... A parę dni temu zaledwie, gdy zaniósł krzyż na miejsce ukrzyżowania zeloty i mijał wzburzony tłum, który patrzył nań z odrazą i rozstępował się przed nim, lew w jego wnętrzu znowu zerwał się na równe nogi z taką siłą, że aż przewrócił go na ziemię.

I teraz, w tę godzinę zagubioną pośród nocy - spójrzcie tylko! Ryczący lew wyszedł z jego wnętrza i stanął przed nim. Ocierał się o niego, znikał i znowu się pojawiał, jakby wchodząc i wychodząc z niego, i uderzał go swawolnie ogonem... Jezus czuł, że jego serce dziczeje coraz bardziej. "Lew ma rzeczywiście rację - pomyślał. - Mam już dość tego wszystkiego. Mam już dość głodowania, zabawy w udawanie pokory, nadstawiania drugiego policzka tylko po to, by mnie w niego bito. Mam już

powyżej uszu przypochlebiania się temu Bogu-ludożercy i nazywania go Ojcem po to, by się udobruchał; mam już dość słuchania, jak moi bracia mnie przeklinają, jak moja matka szlocha, jak mężczyźni śmieją się, gdy przechodzę obok nich; mam dość chodzenia boso i tego, że nie mogę kupić sobie miodu, wina i kobiet, które widzę, gdy mijam bazar; dość tego, że jedynie we śnie znajduję w sobie odwagę, by zażądać ich od Boga i obejmować puste powietrze! Obrzydło mi to wszystko! Powstanę i chwycę miecz moich przodków - czyż nie jestem synem Dawida? - i wkroczę do mego królestwa. Lew ma rację. Dość złudzeń i bujania w obłokach i królestw niebieskich. Kamienie, ziemia i ciało - to jest moje królestwo!

Wstał. Znalazł siłę, by zerwać się na równe nogi, zacząć przypasywać sobie bez końca niewidzialny miecz i zaryczeć jak lew. Był gotowy.

- Naprzód! - zawołał. Odwrócił się, ale lew zniknął. Usłyszał nad sobą tętniący śmiech i głos:

- Patrz!

Światło błyskawicy jak ostrze noża przecięło noc i zamarło w bezruchu. Oświetliło miasta z murami i wieżami, domami, drogami, placami, ludźmi, a także otaczające równinę góry i morze. Po prawej stronie był Babilon, po lewej Jerozolima i Aleksandria, a na drugim brzegu morza - Rzym. Znów usłyszał głos:

- Patrz!

Jezus podniósł wzrok. Anioł o złotych skrzydłach spadł z nieba głową w dół.

Słysząc było lament: w czterech królestwach ludzie unosili ku niebu ręce, które zaraz opadały, pożarte przez trąd. Otwierali usta, by wołać o pomoc, ale opadały im wargi, pożarte przez trąd. Ulice zapełniły się rękami, nosami i wargami.

Podczas gdy Jezus wołał z rękami wzniesionymi ku górze:

- Litości, Panie, ulituj się nad rodzajem ludzkim! - drugi anioł o cętkowanych skrzydłach, z dzwoneczkami u stóp i szyi, spadł z nieba głową w dół. Nagle na całej ziemi rozległ się rubaszny rechot: ogarnięci szaleństwem trędowaci biegali bezładnie. To, co pozostało z ich ciał wybuchowało salwami śmiechu.

Jezus, wstrząsany dreszczem, zatkał sobie uszy, żeby tego nie słyszeć. A wtedy trzeci anioł, o czerwonych skrzydłach, spadł z nieba jak kometa. Trysnęły cztery fontanny ognia, cztery słupy dymu wzniosły się w górę, a gwiazdy zgasły z braku powietrza. Powiał lekki wietrzyk i rozproszył wyziewy. Jezus spojrział. Cztery królestwa zmieniły się w cztery garście popiołu. Ponownie zabrzmiał głos:

- Oto, nieszczęsny człowieku, są królestwa tego świata, na podbój których

chciałeś wyruszyć, a oto są moje trzy umiłowane anioły: Trąd, Szaleństwo i Ogień. Nadszedł dzień Pański - mój dzień, mój!

Z ostatnim hukiem grzmotu błyskawica zniknęła.

Świt zastał Jezusa z twarzą zanurzoną w piasku. W ciągu nocy musiał stoczyć się ze swego kamienia i szlochać, szlochać, bo jego oczy były spieczone i zapuchnięte z bólu. Rozejrzał się wokół siebie. Czy ten nie kończący się piasek mógł być jego duszą? Pustynia ruszyła się, nabierała życia. Słyszał piskliwe okrzyki, śmiech, szloch. Małe zwierzęta podobne do królików, wiewiórek i łasic, wszystkie z rubinowymi oczami, skakały w jego stronę. "To Szaleństwo - pomyślał. - Szaleństwo przybyło, by mnie pożreć". Krzyknął i zwierzęta zniknęły; archanioł z półksiężycem zawieszonym na szyi i radosną gwiazdą na czole wyrósł przed nim, wysoki jak wieża, i rozpostarł swoje zielone skrzydła.

Jezus osłonił oczy przed oślepiającym blaskiem.

- Archanioł - wyszeptał.

Archanioł zwinął skrzydła i uśmiechnął się.

- Nie poznajesz mnie? - zapytał. - Nie pamiętasz mnie?

- Nie, nie! Kim jesteś? Odsuń się, archaniele. Oślepiasz mnie.

- Pamiętasz, jak byłeś małym dzieckiem, które jeszcze nie umiało chodzić? Trzymałeś się kurczowo drzwi waszego domu lub odzieży twojej matki, aby nie upaść i wołałeś w głębi duszy, wołałeś głośno: "Boże, uczyn mnie Bogiem! Boże, uczyn mnie Bogiem! Boże, uczyn mnie Bogiem!"

- Nie przypominaj mi o tym beczelnym bluźnierstwie. Pamiętam je!

- To ja jestem tym głosem wołającym w głębi ciebie. To ja wtedy krzychałem, nadal krzyczę, ale ty boisz się i udajesz, że nie słyszysz. Jednakże teraz mnie wysłuchasz, czy ci się to podoba czy nie. Nadeszła godzina. Wybrałem cię zanim się urodziłeś - ciebie, z całego rodzaju ludzkiego. To ja działałam i jaśnieję w tobie, ja nie dopuszczam do tego, byś oddawał się drugorzędnym sprawom, płytkim radościom i szczęściu. Zobacz, jak przepędziłem kobietę, która przyszła za tobą na tę pustynię, gdzie cię przywiodłem. Potem przyszły królestwa, a ja przepędziłem je. Ja to zrobiłem, nie ty. Mam dla ciebie los o wiele ważniejszy, o wiele trudniejszy.

- Ważniejszy... trudniejszy...?

- Czego pragnąłeś w dzieciństwie? Stać się Bogiem. I oto kim się staniesz!

- Ja? Ja?

- Nie wzbraniaj się, nie lamentuj. Oto kim się staniesz, kim już się stałeś. Jak

myślisz, jakie słowa wypowiedziała nad tobą ta gołębica nad Jordanem?

- Powiedz mi! Powiedz mi!

- "Jesteś moim synem, moim jedynym synem!" To była wiadomość, którą przyniosła ci ta dzika gołębica. Ale to nie była dzika gołębica, lecz archanioł Gabriel. Dlatego pozdrawiam cię: Synu, jedyny Synu Boży!

Dwa skrzydła trzepotały w piersi Jezusa. Poczul, że na jego czole płonie wielka, zbuntowana gwiazda poranna. W jego wnętrzu zrodził się krzyk: "Nie jestem człowiekiem, ani aniołem, ani twoim niewolnikiem, Adonai - jestem twoim synem. Zasiądę na twoim tronie, aby sądzić żywych i umarłych. W prawej ręce będę trzymał kulę - świat - i będę się nią bawił. Zrób mi miejsce, abym mógł usiąść!"

Usłyszał w powietrzu salwy śmiechu. Jezus wzdrygnął się i anioł zniknął.

Krzyknął przeraźliwie:

- Lucyfer! - i upadł twarzą na piasek.

- Jeszcze się spotkamy - powiedział drwiący głos. - Pewnego dnia znowu się spotkamy - już wkrótce!

- Nigdy, nigdy, szatanie! - wrzasnął Jezus, z twarzą ukrytą w piasku.

- Wkrótce! - powtórzył głos. - Podczas święta Paschy, nieszczęśniku!

Jezus zaczął płakać. Ciepłe krople łez spadały na piasek, obmywając, opłukując i oczyszczając jego duszę. Pod wieczór powiała chłodna bryza, słońce przestało prażyć i zabarwiło widoczne w oddali góry na różowo. Syn Marii usłyszał miłosierny rozkaz, a niewidzialna ręka dotknęła jego ramienia.

- Wstań, nadszedł dzień Pański. Biegnij i zanieś ludziom tę wieść: Nadchodzę!



## ROZDZIAŁ XVIII

Jakże szybko przeszedł przez pustynię, osiągnął Morze Martwe, okrążył je i dotarł do pól uprawnych, nad którymi unosiły się oddechy i zapach potu orzających ludzi! Nie wędrował sam - skąd zresztą mógłby wziąć tyle siły? Podtrzymały go dwie niewidzialne postacie. Niewielka chmura, która pojawiła się nad pustynią, powiększyła się i pociemniała, zakrywając niebo. Grzmot wypełnił hukiem okolicę. Spadły pierwsze krople deszczu. Zrobiło się tak ciemno, że nie widać było drogi. Nagle bramy niebios otwarły się i na ziemię chlusnął ulewny deszcz. Jezus złożył dłonie, poczekał, aż wypełnią się wodą i napił się. Zatrzymał się, aby wybrać kierunek marszu. Powietrze rozdarła błyskawica. Na chwilę ziemia pokazała swe blade, niebiesko-żółte oblicze, które później ponownie zakryła ciemność. Która droga prowadziła do Jerozolimy, a która do Jana Chrzciciela? Co się dzieje z jego towarzyszami, czekającymi na niego przy rzece?

- Boże - wyszeptał. - Oświeć mnie. Wskaż mi drogę błyskawicą - ledwo to wyrzekł, piorun rozpołowił przed nim niebo. Bóg dał mu znak. Jezus pewnie ruszył we wskazanym kierunku.

Lało jak z cebra. Wody niebios łączyły się z rzekami i jeziorami, niczym mężczyzna z kobietą. Sięgały Jezusa, popychały go ku ludzkości. Szedł ciężko, brnąc w błocie, przedzierając się przez gałęzie i korzenie, omijając doły. W świetle błyskawicy zobaczył drzewo granatu, które ugięło się pod ciężarem owoców. Zerwał jeden z nich: jego dłoń zabarwiła się kolorem rubinów. Zjadł owoc i poczuł się odświeżony. Zerwał następny, potem jeszcze jeden. Jadł i błogosławił rękę, która zasadziła to drzewo. Pokrzepiwszy się, ruszył w drogę. Szedł w ciemności. Czy to był dzień? Może noc? Stopy miał tak ciężkie od błota, że wydawało mu się, iż wraz z nimi podnosi za każdym krokiem całą ziemię. Nagle, gdy rozbłysła kolejna błyskawica, zobaczył przed sobą, wysoko na wzgórzu, małą wioskę. Na krótką chwilę ukazał się rząd białych domów. Radość wypełniła mu serce. W domach siedzieli ludzie - jego bracia. Zapragnął dotknąć ludzkiej ręki, odetchnąć powietrzem wydychanym przez innych ludzi, jeść chleb, pić wino, rozmawiać. Przez tyle lat wołał samotność, wędrówki wśród pól i w górach, rozmowy z ptakami i dzikimi zwierzętami. Lecz teraz jakąż radość sprawi mu dotyk ludzkiej ręki!

Przyśpieszył kroku i zaczął wchodzić na wzgórze po wybrukowanej drodze.

Znalazł nowe siły, ponieważ wiedział dokąd prowadzi droga, którą wskazał mu Bóg. Gdy dotarł na szczyt, chmury rozproszyły się i wyjrzał skrawek nieba z zachodzącym słońcem. Słyszał, jak w wiosce pieją koguty, szczekają psy, a kobiety przekrzykują się wzajemnie. Z kominów unosił się niebieski dym. Czuł zapach płonącego drewna.

- Błogosławiony niech będzie człowiek - rzekł cicho, kiedy mijał pierwszy dom w wiosce i usłyszał ludzkie głosy.

Kamienie, woda i domy lśniły - nie, nie lśniły, wydawały się uśmiechać. Wysuszona ziemia zaspokoila swe pragnienie. Potop wystraszył zarówno zwierzęta, jak i ludzi. Lecz wszystko uspokoiło się, kiedy chmury zaczęły się rozpraszać odsłaniając granatowe niebo, słońce, które zniknęło, znów się pokazało i stary porządek powrócił na świat. Przemoknięty, ale szczęśliwy Jezus szedł wąskimi uliczkami, którymi woda spływała w dół wzgórza. W pewnej chwili zobaczył młodą dziewczynę prowadzącą na pastwisko kozę z dużymi wymionami.

- Jak się nazywa ta wioska? - zapytał z uśmiechem.

- Betania.

- A w które drzwi mam zapukać, żeby znaleźć schronienie? Jestem tu obcy.

- Wejdz tam, gdzie znajdziesz otwarte drzwi - odparła dziewczyna ze śmiechem.

"Wejdz tam, gdzie znajdziesz otwarte drzwi. Dobra, gościnna wioska" - pomyślał.

Jezus ruszył na poszukiwanie otwartych drzwi. Alejki zamieniły się w potoki, z których wystawały tylko największe kamienie. Jezus szedł naprzód, skacząc z kamienia na kamień. Drzwi domu, na który się natknął, były czarne od deszczu i zamknięte. Skręcił za pierwszym rogiem i zobaczył małe, szeroko otwarte drzwi w kolorze indygo. Stała w nich niska, gruba dziewczyna. Miała podwójny podbródek i wydatne wargi. Wewnątrz domu można było dojrzeć w bladym świetle jeszcze jedną młodą kobietę. Siedziała przy krośnie. Tkała podśpiewując sobie cicho.

Jezus podszedł do domu, zatrzymał się na progu i położył rękę na sercu w geście, powitania.

- Jestem obcy. Pochodzę z Galilei - rzekł. - Jestem głodny i przemoczony i nie mam gdzie spać. Jestem uczciwym człowiekiem. Pozwólcie mi spędzić tę noc w waszym domu. Zobaczyłem, że drzwi są otwarte i wszedłem. Wybaczcie mi.

Dziewczyna odwróciła się, wciąż trzymając w ręku pokarm dla kur. Spokojnie

zmierzyła go wzrokiem i uśmiechnęła się.

- Jesteśmy na twoje usługi - powiedziała. - Witaj. Wejź.

Druga kobieta przestała tkać i pojawiła się na podwórku. Była chuda i blada.

Nad uszami miała związane czarne warkocze. Jej oczy były duże i smutne, otoczone gęstymi rzęsami. Na kruchej szyi wisiał sznur z turkusów - był to amulet chroniący od uroku. Spojrzała na gościa i zarumieniła się.

- Nie ma z nami naszego brata, Łazarza. Poszedł nad Jordan, ochrzcić się.

- I co z tego, że go nie ma? - powiedziała grubsza kobieta. - Nie zje nas przecież. Wejź dalej, dobry człowieku. Nie słuchaj jej - ona się boi własnego cienia. Poprosimy mieszkańców wioski, aby dotrzyмали ci towarzystwa. Przyjdzie też starszyzna, żeby dowiedzieć się kim jesteś, dokąd idziesz i jakie nowiny nam przynosisz. Proszę więc, wejź w nasze skromne progi. Co ci się przytrafiło? Czy jest ci zimno?

- Jestem przemoczony, głodny i niewyspany - odparł Jezus, przechodząc przez próg.

- Nie bój się, zaradzimy temu - powiedziała kobieta. - Na imię mi Marta, a to jest moja siostra Maria. A jak ciebie zwą?

- Jezus z Nazaretu.

- Jesteś dobrym człowiekiem? - roześmiała się Marta, przekomarzając się z nim.

- Tak, dobrym - odparł ze ściągniętą twarzą. - Tak dobrym jak tylko potrafię, Marto, moja siostrko.

Wszedł do chaty. Marta zapaliła lampę i powiesiła ją na haku oświetlając pokój i jego nieskalane, bielone ściany. W pomieszczeniu stały dwie skrzynie z drewna cyprysowego, ozdobione płaskorzeźbami, kilka stołków oraz długie, drewniane podwyższenie z materacami i poduszkami, które ciągnęło się wzdłuż ściany. W jednym rogu były krosna, a w drugim dwa gliniane garnki na oliwki i oliwę. Dzban z zimną wodą stał na półce, na prawo od wejścia. Obok niego wisiał długi, lniany ręcznik. Dom pachniał drzewem cyprysowym i pigwą. Przy przeciwległej ścianie znajdowało się szerokie, wygaszone palenisko, wokół którego wisiały naczynia kuchenne.

- Rozpalę ogień, żebyś mógł się wysuszyć. Usiądź - Marta znalazła stołek i postawiła go przed paleniskiem. Potem wybiegła na podwórko i powróciła z naręczem gałązek winorośli i wawrzynu oraz dwiema szczapami drewna oliwkowego. Przykucnęła, ułożyła stos z drew i podpaliła go.

Jezus również przysiadł. Oparł głowę na dłoniach i patrzył. "Ileż świętości - pomyślał - kryje się w układaniu drewna i zapalaniu ognia w chłodny dzień! Płomień jest jak dobra siostra, która ogrzewa człowieka. Pomyśleć tylko: do obcego domu wchodzi głodny i zmęczony wędrowiec, a dwie dopiero co poznane siostry opiekują się nim tak troskliwie..." Łzy stanęły Jezusowi w oczach.

Marta wstała, poszła do spiżarni i przyniosła chleb, miód i mosiężny dzban pełen wina. Położyła to wszystko u stóp obcego, mówiąc:

- To na początek. Za chwilę przygotuję ciepłą strawę, żebyś nabrał sił. Pewnie przybyłeś z daleka.

- Z krańców ziemi - odparł. Pochylił się niecierpliwie nad chlebem i miodem.

Jakież wspaniałe dary! Jakież rarytasy! Jakże wspaniałomyślny jest Bóg, że zsyła je ludziom. Jadł i jadł, błogosławiąc Pana.

W tym czasie Maria, która stała obok lampy, patrzyła w ciszy najpierw na ogień, później na nieoczekiwanego gościa, wreszcie na swoją siostrę, która uszczęśliwiona tym, że w jej domu jest mężczyzna i może służyć, nie posiadała się wprost z radości.

Jezus uniósł dzban z winem i spojrzał na obie kobiety.

- Moje siostry, Marto i Mario - rzekł. - Musiałycie słyszeć o potopie w czasach Noego. Wszyscy ludzie byli grzeszni i utonęli, z wyjątkiem tych kilku prawych, którzy weszli na arkę i uratowali się. Mario i Marto, przysięgam wam, że jeśli nastąpi jeszcze jeden potop i jeśli to ode mnie będzie zależało, kto ma wejść na nową arkę, zaproszę was tam, siostry, ponieważ dziś wieczorem do waszych drzwi zapukał bosy, biednie odziany nieznajomy, a wyście zapaliły dlań ogień i ogrzały go; dałyście mu chleba i nakarmiłyście go; powiedziałyście mu dobre słowo i królestwo niebieskie zstąpiło do jego serca. Piję wasze zdrowie, siostry: Bardzo się raduję, że was spotkałem.

Maria zbliżyła się i usiadła u jego stóp.

- Nie mogę się nasłuchać twego głosu, człowieku - powiedziała i zarumieniła się. - Powiedz coś jeszcze.

Marta umieściła garnek nad ogniem, nakryła stół i przyniosła zimnej wody ze studni na podwórku. Potem wysłała młodego sąsiada po trzech starszych w wiosce prosząc go, aby im powiedział, że byłaby bardzo rada, gdyby zechcieli zajrzeć do jej domu, gdzie razem z siostrą goszczą nieznajomego.

- Powiedz coś jeszcze - powtórzyła Maria, kiedy Jezus umilkł.

- Co chcesz, abym powiedział, Mario? - spytał Jezus. Delikatnie dotknął jej

warkoczy i dodał: - Milczenie jest dobre. Ono mówi wszystko.

- Milczenie nie wystarcza kobiecie. Biedne kobiety potrzebują dobrego słowa.

- Nie słuchaj jej. Nawet dobre słowo nie wystarczy kobiecie - wtrąciła Marta, która dolewała oliwy do lampy, aby świeciła jasnym światłem, gdy nadejdzie starszyzna, żeby prowadzić z gościem dysputy. - Nawet dobre słowo nie wystarczy biednym kobietom. Kobieta chce słyszeć, że dom drży pod stopami jej męża. Kobieta chce dziecka, które by ssało jej pierś, przynosząc ukojenie. Ona chce wielu rzeczy, Jezusie z Galilei, ale co wy, mężczyźni, możecie o tym wiedzieć!

Próbowała się roześmiać, ale nie mogła. Miała już trzydzieści lat i wciąż jeszcze była panną.

Nikt się nie odzywał - wszyscy słuchali trzasku ognia i bulgotania wrzącej stawy. Oczy dwóch kobiet i mężczyzny zatopiły się w płomieniach.

W końcu odezwała się Maria:

- Gdybyś tylko mógł wiedzieć, o czym kobieta myśli, gdy tka! Gdybyś wiedział, pożałowałbyś jej, Jezusie z Nazaretu.

- Wiem, o czym myśli - odparł z uśmiechem Jezus. - Ja również byłem kiedyś kobietą, w innym życiu, i też tkalem.

- I o czym myślałeś?

- O Bogu. O niczym innym, Mario, tylko o Bogu. A ty?

Maria nie odpowiedziała, ale zaczęła oddychać szybciej. Marta usłyszała ich rozmowę i westchnęła, ale milczała. Po chwili jednak nie mogła już dłużej wytrzymać.

- Nie bój się - rzekła zmienionym, ochrypłym głosem. - Maria i ja, i wszystkie niezamężne kobiety na świecie, myślimy o Bogu. Trzymamy go na kolanach, jak gdyby był naszym mężem.

Jezus pochylił głowę i milczał. Marta zdjęła garnek z ognia. Wieczera była gotowa. Poszła do spiżarni po gliniane talerze.

- Chcę ci coś powiedzieć, coś, co przyszło mi pewnego razu do głowy, kiedy tkalam - powiedziała Maria. Mówiła cicho, nie chciała, żeby usłyszała ją siostra. - Myślałam wtedy o Bogu i przemówiłam do Niego: "Boże, jeśli raczysz kiedykolwiek wejść do naszego domu, będziesz jego Panem, a my gośćmi". A teraz... - załkała i umilkła.

- Co teraz? - zapytał Jezus, pochylając się ku niej.

Marta weszła z talerzami do pokoju.

- Nic - szepnęła Maria i wstała.

- Chodźcie jeść - rzekła Marta. - Starsi przyjdą lada moment. Nie możemy pozwolić, żeby czekali aż skończymy posiłek.

Wszyscy troje usiedli, krzyżując nogi. Jezus wziął chleb, podniósł go wysoko i błogosławił tak serdecznie i z takim namaszczeniem, że zdziwione siostry wpatrywały się w niego, nie mogąc wykrztusić słowa. Były przerażone widząc, jak jego twarz promienieje, a otaczające go powietrze drga, jakby od ognia.

Maria wyciągnęła rękę i krzyknęła:

- Boże! Ty jesteś Panem tego domu, a my gośćmi. Spełnimy każde Twoje żądanie.

Jezus opuścił głowę, aby nie zauważyły, jak bardzo jest zakłopotany. To był ten pierwszy krok, ten pierwszy raz, kiedy został rozpoznany przez ludzkie serce.

Wstali od niskiego stołu w chwili, gdy w drzwiach stanął olbrzymi starzec. Jego broda spływała jak rzeka. Miał twarde, silne ramiona i włochatą jak u barana pierś. W rękę trzymał zakrzywioną laskę, sięgającą mu nad głowę, której używał nie do podpierania lecz po to, aby okładać nią innych i utrzymywać porządek w wiosce.

- Witaj w naszym skromnym domu, ojcie Melchizedechu - powiedziały siostry i ukłoniły się.

Wszedł, a za nim pokazał się na progu drugi starzec. Był chudy i miał pociągłą, końską twarz. Powypadały mu już wszystkie zęby lecz w jego oczach płonął ogień; nie można było patrzeć w nie dłużej niż chwilę. Podobno gruczoły z jadem są umieszczone tuż za oczami węża. Za oczami tego mężczyzny był płomień, a za nim wypaczony, perwersyjny umysł.

Kobiety powitały go i ukłoniły się. On również wszedł do środka, odsłaniając trzeciego starca, który był ślepy, niski i gruby. Przed sobą trzymał laskę, która zastępowała mu oczy. Starzec był dobroduszny. Uwielbiał żartować, a kiedy sądził innych mieszkańców wioski, nie miał serca ich karać. "Nie jestem Bogiem - zwykły mówić - kto sądzi innych, będzie osądzony. Nie kłóćcie się, dzieci, bo inaczej będę miał kłopoty na tamtym świecie!" Czasami pokrywał straty pokrzywdzonych z własnej kieszeni. Innym razem sam szedł do więzienia, aby ocalić winowajcę. Niektórzy nazywali go głupcem, inni - świętym. Stary Melchizedech nie mógł znieść jego widoku. Jednocześnie nie mógł nic poradzić na jego dziwactwa - miał do czynienia z człowiekiem, który wywodził się z kapłańskiego rodu Aarona i który był najbogatszy w wiosce.

- Marto - powiedział Melchizedech, którego laska sięgała powyżej. - Gdzie jest

ten obcy, który przyszedł do naszej wioski?

Jezus podniósł się ze swojego miejsca przy kominie, gdzie obserwował w milczeniu ogień.

- To ty? - zapytał starzec, przypatrując się mu uważnie.

- Tak, to ja - odparł Jezus. - Pochodzę z Nazaretu.

- Galilejczyk? - wysepleniał drugi, jadowity starzec. - Nic dobrego nie można znaleźć w Nazarecie. Tak mówi Pismo.

- Nie mów tak, ojcie Samuelu - wtrącił ślepiec. - To prawda, że Galilejczycy są gadułami, idiotami i wiejskimi nudziarzami, ale są przy tym uczciwi. Nasz gość jest uczciwym człowiekiem. Słyszę to w jego głosie.

Zwrócił się do Jezusa.

- Witaj, moje dziecko.

- Jesteś kupcem? - spytał Melchizedech. - Co sprzedajesz?

Gdy starsi wymieniali uwagi, do chaty weszli powszechnie szanowani posiadacze ziemscy. Dowiedzieli się o przybyciu obcego, przywdziali najlepsze szaty i przyszli powitać go i zapytać, skąd pochodzi oraz usłyszeć, co ma do powiedzenia. Przekroczywszy próg domu, usiedli ze skrzyżowanymi nogami za trójką starszych.

- Nic nie sprzedaję - odparł Jezus. - Kiedyś byłem w swojej wiosce cieślą, ale przestałem pracować, opuściłem dom mojej matki i poświęciłem swe życie Bogu.

- Dobrze zrobiłeś, uciekając od świata, moje dziecko - powiedział ślepiec. - Ale uważaj, wplątałeś się, biedaku, w układ ze złym diabłem, jakim jest ten Bóg. Jak uciekniesz od Niego? - dodał i wybuchnął śmiechem.

Gniew wezbrał w starym Melchizedechu, kiedy to usłyszał. Nie odezwał się jednak ani słowem.

- Mnich? - syknął zjadliwie drugi starzec. - A może jesteś jednym z tych lewitów, co? A może zelotą? Fałszywym prorokiem?

- Nie, ojcie - odparł zakłopotany Jezus. - Nie, nie!

- Kim zatem jesteś?

Wiejskie kobiety, przywdziawszy najlepszą biżuterię, wchodziły do chaty, aby obejrzeć sobie obcego i żeby on mógł je zobaczyć. Jaki to człowiek? Młody czy stary? Przystojny? Co sprzedaje? A może stara się o rękę jednej z tych pięknych, lecz starzejących się dziewcząt, Marty lub Marii? Minęły już wieki, odkąd obejmował je mężczyzna - biedactwa zwariują od tego!... Chodźmy zobaczyć!

Włożyły na siebie ozdoby, przyszły i stanęły za mężczyznami.

- Kim zatem jesteś? - powtórzył stary wąż.

Jezus poczuł nagle chłód i wyciągnął ręce w kierunku ognia. Jego wciąż wilgotne ubranie parowało. Na chwilę zamilkł i pogrążył się w myślach. "To dobra okazja, żeby przemówić - pomyślał - dobra okazja, aby głosić słowo, które Pan mi powierzył i zbudzić Boga, który drzemie w tych mężczyznach i kobietach gubiących swe dusze w żądzach. Pytają mnie, co sprzedaję. Odpowiem: królestwo niebieskie, zbawienie duszy, wieczne życie. Niech zostawią ostatnie ubranie, aby kupić tę Wielką Perłę". Rozejrzał się szybko wokół i zobaczył twarze oświetlone ogniem i bladym światłem lampy. Twarze chciwe, chytne, twarze postarzałe od drobnych dręczących je trosk, twarze ściągnięte ze strachu. Zrobiło mu się ich żal; chciał powstać i przemówić, ale był bardzo zmęczony. Od tak wielu dni nie spał w ludzkim domu, nie złożył głowy na poduszce. Znużony, oparł się o osmoloną ścianę przy palenisku i zamknął oczy.

- Ojcowie, on jest zmęczony - wtrąciła Maria i błagalnie spojrzała na starców. - Nie męczcie go.

- Dobrze! - burknął Melchizedech. Oparł się na lasce i zaczął wstawać, aby wyjść. - Masz zupełną rację, Mario. Rozmawialiśmy z nim, jakbyśmy mieli go osądzić. Zapominamy - zwrócił się do drugiego starca - ty zapominasz, ojcze Samuelu, że aniołowie często przybywają na ziemię w przebraniu żebraków, w skromnej tunice, bez laski, sakiewki i butów - tak jak ten człowiek. Dlatego powinniśmy odnosić się do obcego tak, jakby był aniołem. Tak po prostu nakazuje zdrowy rozsądek

- To jest też po prostu głupie - rzucił ślepiec i roześmiał się. - Mówię wam, że musimy każdego uważać za anioła, w tym także starego Samuela!

Żmijonosy wpadł w gniew. Już miał otworzyć usta, ale pohamował się i zmienił zdanie. Ten ślepy chciwiec był bogaty. Mógł mu się przydać pewnego dnia. Najlepiej udawać, że się niczego nie słyszy - to również nakazywał po prostu zdrowy rozsądek.

Ogień oświetlał łagodnie włosy, zmęczoną twarz i nagą pierś Jezusa, rzucając niebieskie promienie na jego falującą, kruczoczną brodę.

- Jest cudowny, choć taki biedny - mówiły cicho między sobą kobiety. - Zwróciłyście uwagę na jego oczy? Jeszcze takich słodkich oczu nie widziałam, są słodsze nawet od oczu mego męża, gdy mnie trzyma w ramionach.

- Nigdy nie widziałam takiego dzikusa - wtrąciła inna kobieta.

- Wzbudza strach i przerażenie. Czuję się, jakbym miała za chwilę wszystko rzucić i uciec, gdzie pieprz rośnie.

- A widziałaś, moja droga, jak Marta pożera go wzrokiem? Biedactwo, pewnie



odchodzi od zmysłów.

- Ale on też ukradkiem spogląda na Marię - powiedziała kolejna kobieta. - Te dwie siostrzyczki pokłócą się jeszcze dziś wieczorem. Zapamiętajcie moje słowa. Jestem ich sąsiadką, na pewno usłyszę krzyki.

- Idziemy - powiedział rozkazująco Melchizedech. - Niepotrzebnie traciliśmy czas przychodząc tutaj. Gość jest śpiący. Wstańcie, starsi, idziemy do domu! - zaczął laską rozpychać mężczyzn i kobiety, torując sobie przejście.

Lecz gdy dotarł do drzwi, na podwórku zabrzmiały szybkie kroki i po chwili do środka wtargnął blady mężczyzna. Wyczerpany rzucił się na podłogę przed paleniskiem, z trudem łapiąc oddech. Przerażone siostry pochyliły się nad nim i objęły go.

- Bracie! - pytały z przejęciem. - Co ci się stało? Kto cię ściga?

Melchizedech zatrzymał się i dotknął przybysza laską.

- Łazarzu, synu Menachema - rzekł. - Jeśli przynosisz złe wieści, niech kobiety wyjdą, a mężczyźni zostaną, żebyśmy mogli je usłyszeć.

- Król pojmał Jana Chrzciciela i ściał go! - wyrzucił z siebie Łazarz jednym tchem.

Wstał roztrzęsiony. Miał żółtą cerę koloru gleby. Jego policzki były pomarszczone jak dynia. Jasnozielone oczy błyszczały w blasku ognia podobne do oczu dzikiego kota.

- A jednak ten wieczór nie poszedł całkiem na marne - rzekł z zadowoleniem ślepiec. - W czasie, który upłynął od poranka, kiedy się zbudziliśmy, do tej chwili, kiedy zamierzamy iść spać, coś się w końcu wydarzyło - świat drgnął. Usiądźmy zatem na stołkach i posłuchajmy. Lubię nowiny, nawet te złe.

Pochylił się nad Łazarzem i dodał:

- Mów, dobry człowieku. Opowiedz nam kiedy, jak i dlaczego wydarzyło się to nieszczęście? Mów po kolei i nie śpiesz się - to pomoże nam wypełnić czas. Weź głęboki oddech... Słuchamy.

Jezus zerwał się na równe nogi. Spojrzał na Łazarza. Jego usta drżały. To był nowy znak od Boga. Ten, który przyszedł przed nim, odszedł teraz ze świata. Przygotował drogę i odszedł, wypełniwszy swe zadanie. Nie był już potrzebny. "Nadeszła moja godzina, nadeszła moja godzina..." - pomyślał Jezus i wzdrygnął się. Nic jednak nie powiedział, tylko utkwiał wzrok w bladozielonych ustach Łazarza.

- Zamordował go, prawda? - jęknął stary Melchizedech i ze złością uderzył

laską w podłogę.

- Do czego to doszło, skoro kazirodczy lubieżnik zabija świętych i deprawuje ascetów! To koniec świata!

Kobiety, zdjęte strachem, zaczęły krzyczeć. Ślepcowi zrobiło się ich żal.

- Przesadzasz, Melchizedechu - powiedział. - Świat tkwi mocno w posadach. Kobiety, nie bójcie się.

- Gardło świata zostało podcięte - jęknął Łazarz i zapłakał. - Uciszone głos wołający na pustyni. Kto teraz wstawi się u Boga za nami grzesznymi? Świat jest osierocony.

- Nie wolno podnosić ręki na władzę - syknął drugi starzec. - Nieważne, co doczesna władza robi, zamknij oczy i nie patrz - wystarczy, że Bóg patrzy. Chrzciciel powinien był pilnować własnego nosa. Dobrze mu tak.

- Nie jesteśmy niewolnikami! - ryknął Melchizedech. - Powiedz mi, po co Bóg dał nam ręce? Powiem ci po co. Abyśmy mogli je wznieść przeciw tyranom!

- Uciszcie się, ojcowie, nie wiemy jeszcze, jak stało się to zło - rzekł poirytowany ślepiec. - Mów, Łazarzu!

- Właśnie szedłem się ochrzcić wraz z innymi - zaczął Łazarz. - Miałem nadzieję, że dzięki temu moje zdrowie się polepszy. Wiecie, że ostatnio nie czułem się dobrze. Właściwie, to zaczęło mi się nawet pogarszać. Cierpię na zawroty głowy, dostaję wytrzeszczu oczu, a nerki...

- Dobrze już, dobrze, wszyscy o tym wiemy - przerwał ślepiec. - Mów do rzeczy!

- Przybyłem nad Jordan i znalazłem się przy moście, gdzie ludzie zbierają się do chrztu. Usłyszałem zawodzenia i płacz, i pomyślałem: "To nic. Pewnie ludzie z płaczem spowiadają się ze swoich grzechów." Poszedłem trochę dalej i oto co zobaczyłem: mężczyźni i kobiety leżeli twarzą do ziemi, tarzając się w błocie i lamentując. Zapytałem: "Co się stało, bracia? Dlaczego płaczecie?"

"- Zamordowano proroka."

"- Kto to uczynił?"

"- Ten zbrodniarz i grzesznik, Herod!"

"- Jak, kiedy?"

"- Był pijany, kiedy jego bezwstydną pasierbica, Salome, tańczyła przed nim nago. Jej uroda doprowadziła starego lubieżnika do szału. Posadził ją na swych kolanach i zapytał co chce dostać od niego. Połowę królestwa? Pokręciła głową. Czego więc chce? Powiedziała, że głowy Jana Chrzciela. Dostaniesz ją, odparł i przyniósł jej

głowę proroka na srebrnym talerzu".

Wyczerpany długą przemową Łazarz znów padł na podłogę. Nikt się nie odzywał. Światło lampy zamigotało i zaczęło przygasać. Marta podniosła się i dołała oliwy. W pomieszczeniu zrobiło się jaśniej.

- To koniec świata - powtórzył Melchizedech po dłuższej chwili. Cały czas głaskał w milczeniu swą brodę i rozmyślał nad niesprawiedliwością i bezwstydem tego świata. Często dochodziły go z Jerozolimy pogłoski o bałwochwalcach bezczeszczących świątynię. Codziennie rano kapłani składali ofiarę z byka i dwóch jagniąt nie Bogu Izraela, ale temu bezbożnemu, ohydnemu cesarzowi rzymskiemu. Bogacze otwierali rano drzwi i widząc na progu ludzi, którzy w nocy umarli z głodu, podnosili swe jedwabne szaty i przechodzili nad ciałami, aby paradować pod arkadami wokół świątyni... Melchizedech rozważył wszystko w myślach i zdecydował: to naprawdę koniec świata.

Zwrócił się do Jezusa:

- A ty, co ty sądzisz o tym wszystkim?

Jezus odpowiedział głosem, który nagle nabrał takiej głębi, że wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego:

- Przychodzę z pustyni, gdzie je zobaczyłem. Tak, trzy anioły opuściły już niebiosa i opadły na ziemię. Widziałem je na własne oczy, na skraju nieba. Nadchodzą. Pierwszy z nich to Trąd, drugi Szaleństwo, trzeci, najbardziej bezlitosny, Ogień. I usłyszałem głos: "Synu cieśli, zbuduj arkę dla wszystkich cnotliwych mężów, jakich znajdziesz, lecz zrób to szybko!" Dzień Pański nadszedł już - to mój dzień. Nadchodzę!

Trzech starców wrzasnęło. Mężczyźni wstali z podłogi, na której siedzieli ze skrzyżowanymi nogami. Szczękali zębami. Kobiety, oniemiałe z wrażenia, zawróciły w stronę drzwi. Maria i Marta podeszły do Jezusa i stanęły obok niego, szukając ochrony. Czyż nie przysiągł im, że zabierze je na arkę? Nadszedł czas.

Stary Melchizedech otarł skronie mokre od potu.

- Obcy mówi prawdę - krzyknął. - Prawdę! Teraz posłuchajcie mnie, bracia: kiedy wstałem dziś rano, otworzyłem Pismo, jak zawsze to robię, i natknąłem się na ustęp z proroka Joela: "Dmijcie w róg na Syjonie, a wołajcie na górze mej świętej! Niech zadrżą wszyscy mieszkańcy kraju, bo nadchodzi dzień Pański, bo jest już bliski dzień ciemności i mroku, dzień obłoku i mgły. Przed Nim ogień pożerający, za Nim płomień gorejący. Wygląd ich podobny do wyglądu koni, a będą biec jak rumaki, co

skaczą po szczytach gór, jak turkot rydwanów i jak szum płomieni ognia, co pożera ściernisko... Wielki bowiem będzie dzień Pański!" Przeczytałem to straszne przesłanie dwa lub trzy razy i zacząłem je powtarzać chodząc boso po podwórku. Potem upadłem na twarz i krzyknąłem: "Panie, jeśli zamierzasz nadejść wkrótce, daj mi znak. Muszę się przygotować. Muszę pożałować biednych, otworzyć me spiżarnie i zapłacić za moje grzechy. Ześlij piorun, głos lub człowieka, aby mnie ostrzec, abym był gotów!"

Zwrócił się do Jezusa:

- Tyś jest znakiem. Bóg Ciebie zesłał. Czy mam jeszcze trochę czasu? Kiedy niebiosa się otworzą, moje dziecko?

- Każda sekunda, która mija, ojciec - odparł Jezus - jest jak niebiosa, które się otwierają. Z każdą chwilą Trąd, Szaleństwo i Ogień są coraz bliżej. Ich skrzydła dotykają już moich włosów.

Łazarz otworzył szeroko swe bladezielone oczy i wpatrywał się w Jezusa.

Niepewnie zrobił krok do przodu.

- Czy ty może jesteś Jezusem z Nazaretu? - spytał. - Mówią, że kiedy kat chwycił topór, aby ściąć głowę Chrzciciela, prorok wyciągnął rękę w kierunku pustyni i krzyknął: "Jezusie Nazarejczyku, zostaw pustynię i wracaj do ludzkości. Wracaj! Nie opuszczaj świata!" Jeśli ty jesteś Jezusem z Nazaretu, błogosławiona niech będzie ziemia, po której stąpasz. Mój dom jest uświęcony. Jestem ochrzczony i uleczony. Pozwól mi ucałować twe stopy!

Powiedziawszy to, rzucił się na podłogę do stóp Jezusa.

Szczwany, stary Samuel szybko się zebrał w sobie. Wahał się przez chwilę, ale zaraz podjął decyzję. "Znajdujemy w prorokach to, czego pragnie nasze serce - pomyślał. - Na jednej stronie Pan jest rozgniewany na swój lud i podnosi pięść, by go zgnieść. Na następnej, jest słodki i dobry jak miód. Znajdujemy proroctwo, które pasuje do naszego porannego nastroju - więc lepiej nie zaprzętać sobie tym wszystkim myśli..." Potrząsnął swą końską głową i uśmiechnął się pod wąsem, ale nic nie powiedział. Niech ludzie się boją. Strach jest pożyteczny. Bez niego mogłoby być już po nas. Biedaków jest przecież więcej i mają silniejsze mięśnie... Milczał więc i patrzył z pogardą na Łazarza, który całował stopy gościa i przemawiał do niego.

- Rabbi, jeśli Galilejczycy, których spotkałem nad Jordanem są Twymi uczniami, to mam dla Ciebie wieści od nich. Powiedzieli, że zamierzają odejść i czekać na Ciebie w Jerozolimie, przy Bramie Dawida, w karczmie Szymona Cyrenejczyka. Przeraziło ich zamordowanie proroka i uciekli, aby się ukryć. Zaczęły się

prześladowania.

Tymczasem kobiety zaczęły już ciągnąć swoich mężów do wyjścia. Zrozumiały wszystko. "Ten obcy - mówiły między sobą - miał oczy węża. Spójrzy na człowieka i ten raz dwa popada w szaleństwo. Powie słowo i świat się wali. Lepiej stąd uciekać".

Ślepcowi zrobiło się ich żal.

- Odwagi, moje dzieci! - krzyknął. - Słyszymy o potwornych rzeczach, ale nie bójcie się. Wszystko spokojnie powróci na swoje miejsce - zobaczycie. Świat jest solidnie zbudowany - ma dobre podstawy i będzie trwał tak długo jak Bóg. Nie słuchajcie tych, których widzicie. Słuchajcie mnie, ślepcę, który widzi lepiej niż wy wszyscy. Ród Izraela jest nieśmiertelny. Tak zapisano w przymierzu z Bogiem: Bóg przyłożył swą pieczęć i dał nam w posiadanie całą ziemię. Więc nie bójcie się! Już prawie północ - chodźmy spać! - Starzec wysunął laskę przed siebie i ruszył ku drzwiom.

Na początku wyszła starszyzna, za nią reszta mężczyzn, a na końcu kobiety.

Siostry przygotowały posłanie dla gościa na drewnianym podwyższeniu. Maria wyjęła ze swego kufra jedwabne i lniane prześcieradła przeznaczone na jej noc poślubną. Marta przyniosła atlasową kołdrę z pierza, którą przechowywała nietkniętą przez tyle lat, oczekując tej długo upragnionej nocy, kiedy kołdra przykryje ją i jej męża. Przyniosła również wonne zioła - bazylię i miętę, napełniając nimi obficie poduszkę.

- Będzie dziś spał jak oblubieniec - westchnęła Marta. Maria również westchnęła, ale nie powiedziała nic na głos.

- Nie słuchaj, Boże - szepnęła do siebie. - Świat jest dobry, mimo mych westchnień. Tak, dobry. Lecz boję się samotności i podoba mi się nasz gość...

Siostry weszły do małego pokoju w głębi domu i położyły się na swych twardych matach. Mężczyźni spali na drewnianym podwyższeniu, zwrócenii do siebie stopami. Łazarz był szczęśliwy. Jaka aura świętości i piękna ogarnęła cały dom! Oddychał spokojnie i głęboko, dotykał nogami świętych stóp i czuł tajemniczą siłę, boską pewność, która rozchodziła się po całym ciele. Nerki już go nie bolały, a serce przestało kołatać jak oszalałe. Krew płynęła spokojnie, kojąc całe cierpiące na żółtaczkę ciało.

"Oto prawdziwy chrzest - pomyślał. - Tej nocy ja, ten dom, moje siostry - wszyscy zostaliśmy ochrzczeni. Rzeka Jordan podeszła pod nasz dom".

Ale jak mogły jego siostry zamknąć oczy?! Lata minęły odkąd obcy spał w ich

domu. Goście zwykle nocowali u któregoś z wioskowych notabli. Nigdy nie przychodzili do ich skromnej, leżącej na uboczu chaty. A poza tym, ich dziwny, chory brat, stronił od towarzystwa. Lecz dzisiaj, co za niespodziewana radość! Nozdrza im drżały, wdychając powietrze. Nawet ono się zmieniło, tak pięknie pachniało - nie bazylią ani miętą lecz mężczyzną.

- Powiedział, że Bóg go wysłał, żeby zbudował arkę i obiecał nam, że nas na nią zabierze. Śpisz, Mario?

- Nie śpię - odparła Maria. Trzymała w dłoniach pełne bólu piersi.

- Drogi Boże - ciągnęła Marta. - Niech koniec świata nadejdzie jak najszybciej, żebyśmy mogły razem z nim wejść na tę arkę. Mogę mu służyć, mnie to nie przeszkadza. A ty, Mario, zostaniesz jego towarzyszką. Arka pożegluje w nieskończoność, ja będę mu wiecznie służyła, a ty wiecznie siedziała u jego stóp. Tak wyobrażam sobie raj. A ty, Mario?

- Ja również - odpowiedziała Maria i zamknęła oczy.

Rozmawiały wzdychając raz po raz. Tymczasem Jezus usiadł na posłaniu, choć wciąż pogrążony był w głębokim śnie. Wydawało mu się, że w ogóle nie kładł się spać, lecz stał w rzece Jordan. Woda zmyła pustynny piasek z jego ciała, a cnoty i występki ludzkości z jego duszy - przywracając jej czystość. Śnił, że wyszedł z rzeki i ruszył zieloną ścieżką, po której nikt jeszcze nie stąpał. Wszedł do gęsto zadrzewionego sadu, pełnego kwiatów i owoców. I wydawało mu się, że nie był już sobą, Jezusem z Nazaretu, lecz Adamem, pierwszym człowiekiem, którego stworzył Bóg. Właśnie wyszedł z rąk Pana - jego ciało było wciąż ze świeżej gliny. Leżał na kwitnącej trawie i suszył się w słońcu, żeby kości stwardniały, twarz nabrała rumieńców, a siedemdziesiąt dwa stawy stały się na tyle mocne, by mógł powstać i iść przed siebie. Gdy tak dojrzywał w słońcu, nad jego głową śpiewały ptaki. Fruwały z drzewa na drzewo i paradowały w wiosennej trawie. Rozmawiały między sobą, świergotały i przypatrywały się z ciekawością nowemu stworzeniu. Każdy z nich miał coś do powiedzenia, a on rozumiał ich język i cieszył się, że je słyszy.

Paw, dumnie rozpostarłszy pióra, spacerował tam i z powrotem, rzucając ukradkowe, kuszące spojrzenia na Adama rozciągniętego na ziemi i mówiąc do niego: "Kiedyś byłem kurą, ale zakochałem się w aniele i stałem się pawiem. Czy jest jakiś piękniejszy ptak ode mnie? Nie ma!"

Nad nim przefrunęła turkawka. Uniosła głowę ku niebu i krzyknęła: "Miłość! Miłość! Miłość!" Słysząc też było drozda: "Ze wszystkich ptaków tylko ja śpiewam i

fruwam w największy mróz". Jaskółka przechwalała się: "Gdyby nie ja, nie zakwitłyby drzewa". Skowronek mówił: "O świcie, kiedy wzlatuję ze śpiewem w niebo, żegnam się z moimi dziećmi, bo nigdy nie wiem czy powrócę z tych trel." Słowik tłumaczył się: "Nie patrz na mnie teraz, kiedy jestem tak ubogo ubrany. Ja także miałem kiedyś duże, kolorowe skrzydła, ale zamieniłem je na piękny głos". Nadszedł również długodzioby kos i usiadł na ramieniu dopiero co stworzonego człowieka. Pochylił się nad jego uchem i szepnął cicho, jak gdyby powierzał mu największy sekret: "Drzwi niebios i piekieł są uchylone. Wyglądają tak samo - są zielone i piękne. Uważaj, Adamie! Uważaj! Uważaj!"

Naraz, kiedy w jego umyśle rozbrzmiewała o świcie pieśń kosa, Jezus obudził się.

## ROZDZIAŁ XIX

Wielkie rzeczy zdarzają się wówczas, gdy Bóg zmiesza się z człowiekiem. Bez człowieka Bóg nie potrafiłby rozmyślać z sensem o swych stworzeniach na ziemi, nie mógłby badać, z lękiem, a mimo to zuchwale, granic swej roztropnej wszechmocy. Nie miałby serca, by użalać się nad troskami innych i walczyć o wykształcenie tych cnót i zalet, których albo nie chciał, albo bał się, albo zapomniał stworzyć. Jednakże to On tchnął swój oddech w człowieka, dając mu moc i odwagę, by prowadził dalej dzieło stworzenia.

Jednakże człowiek bez Boga, bezbronny w chwili narodzin, dawno zostałby starty z powierzchni ziemi przez głód, strach i zimno, a nawet gdyby przetrwał to wszystko, pełzałby tylko jak ślimak między lwami i wszami. A gdyby po mozolnej walce zdołał stanąć na dwóch nogach, to i tak nigdy nie udałoby mu się wyrwać z mocnych, serdecznych objęć jego matki, małpy... Rozmyślając o tym, Jezus był przekonany silniej niż kiedykolwiek, że Bóg i człowiek mogą zespolic się ze sobą.

Wyruszył wcześniej rano drogą prowadzącą do Jerozolimy. Bóg był po jego lewej i po prawej stronie. Mógł niemal dotknąć go łokciami. Podróżowali razem, obaj w tym samym celu. Świat zszedł na manowce. Zamiast piąć się do nieba, zstępował do piekła. Dlatego Jezus tak się spieszył. Pokonywał drogę wielkimi krokami, nie mogąc się doczekać, kiedy spotka swoich towarzyszy i z nimi u boku rozpocznie walkę. Wznoszące się z Morza Martwego słońce, ptaki śpiewające w promieniach nowego światła, drżące liście drzew, biała wstęga drogi, która biegła pod mury Jerozolimy, ciągnąc go ze sobą - wszystko to ponaglało: "Szybciej! Szybciej! Znikamy z tego świata!"

- Wiem, wiem - odpowiedział Jezus. - Wiem - już idę!

Tego samego ranka, tuż po wschodzie słońca, jego towarzysze przemykali się w cieniu bezludnych o tej porze zaułków Jerozolimy. Rozproszeni w pary - Piotr z Andrzejem, Jakub z Janem i Judasz samotnie na przedzie - biegli rozglądając się chyłkiem na boki, czy nikt ich nie śledzi. Gdy wyrosła przed nimi Brama Dawida prowadząca do fortecy, skręcili w pierwszą uliczkę na lewo i wśliznęli się do karczmy Szymona Cyrenejczyka.

Otyły, zgarbiony karczmarz dopiero co wstał ze swego siennika niezupełnie jeszcze rozbudzony. Oczy i nos miał czerwone i opuchnięte. Poprzedniego wieczora



długo pił wino, śpiewał, kłócił się z podchmielonymi gośćmi i poszedł spać bardzo późno. Teraz, ospały i rozdrażniony, wycierał z kontuaru resztki wczorajszej uczy. Choć był już na nogach, ciągle jeszcze spał i zdawało mu się, że to we śnie czyści kontuar z gąbką w dłoni. Gdy tak kołatał się pomiędzy snem a jawą, usłyszał, jak do karczmy wchodzi zdyszani goście. Obrócił się. W oczach ciągle miał piasek, w ustach gorycz, a w brodzie pełno łusek od prażonych pestek dyni.

- Kto tam, u diabła? - warknął. - Zostawcie mnie w spokoju! Wcześniej to się przychodzi zjeść i popić, co? Nie mam dziś nastroju. Wynocha!

Stopniowo jednak wracała mu świadomość i w końcu rozpoznał swego starego przyjaciela Piotra i resztę Galilejczyków. Podeszedł do nich, przyjrzał im się dobrze i wybuchnął śmiechem.

- Co też za znajome gęby ja tu widzę! Schowajcie języki, chłopaki. Złapcie się za guziki od portek, zanim wam poopadają ze strachu. Dumna z was gromadka, moi mężni Galilejczycy!

- Na miłość boską, Szymonie, nie stawiaj całego świata na nogi swym wrzaskiem - odpowiedział Piotr, kładąc mu dłoń na ustach. - Zamknij drzwi. Król zabił Jana Chrzciciela. Czy ty nic jeszcze nie wiesz? Odciął mu głowę i położył na tacy.

- A co miał zrobić? Chrzciciel musiał mu porządnie zbrzydnać z całą tą historią z jego szwagierką. Kogo to obchodzi! Jest królem, niech sobie robi, co mu się podoba. A poza tym - tak między nami - dla mnie to też było zawracanie głowy, to jego nawoływanie do skruchy. Ja chcę tylko, żeby mnie wszyscy zostawili w spokoju!

- Ale powiadają, że teraz przyjdzie kolej na wszystkich ochrzczonych - ustawi się ich pod miecz. A my jesteśmy ochrzczeni. Nie rozumiesz?

- Kto wam się kazał chrzczyć, matyły? Dobrze wam tak!

- Ale ty też zostałeś ochrzczony, barania głowo! - ofuknął go Piotr. - Sam nam powiedziałeś. Więc czego na nas wrzeszczysz?

- To nie to samo, ty handlarzu rybami z bożej łaski. Nie jestem ochrzczony. Wy to nazywacie chrztem? Wskoczyłem do wody i popływałem sobie. Wszystko, co ten fałszywy prorok wykrzykiwał, wpadało mi jednym uchem i wylatywało drugim; każdy, kto ma trochę oleju w głowie, tak by tego słuchał. Ale wy, głupcy... Ci szarlatani mówią wam, że możecie wydoić kozła do rzeszota, a wy jesteście pierwsi, żeby w to uwierzyć. Kazał wam nurkować do wody - a wy plusk! Skaczecie po zapaleniu płuc i śmierć. Mówią wam, żeby nie zabijać pcheł w szabat - że to wielki grzech. Więc ich nie zabijacie, a one was owszem. Nie płacić podatku pogłównego! I nie płaciecie, a tu

ciach! I po waszej głowie. I dobrze wam tak! A teraz siadajcie i napijcie się. Przyda wam się na uspokojenie nerwów, a mnie na przebudzenie.

W głębi karczmy majaczyły dwie ogromne beczki. Na jednej czerwoną farbą namalowany był kogut, na drugiej ciemnoszarą - świnia. Szymon napełnił dzban winem z beczki z kogutem, znalazł sześć kubków i wypłukał je w mętnej wodzie. Zapach wina uderzył go w nozdrza i rozbudził na dobre.

W drzwiach karczmy pojawił się ślepiec. Umieścił kostur między kolanami i zaczął stroić swoją zabytkową lutnię, kaszłąc jednocześnie i plując, co stanowiło część przygotowań do śpiewu. Był to Eliakim, który za młodu powoził wielbłądem. Jednakże któregoś dnia w południe, gdy przemierzał pustynię, zobaczył nagą kobietę, kąpiącą się w dole wypełnionym wodą pod drzewem daktylowym. Zamiast odwrócić się w drugą stronę, bezwstydnym łobuz wlepił wzrok w piękną beduinę. Miał pecha, gdyż za skałą przykucnął jej mąż, rozpalający ogień. Gdy ujrzał wielbłąda i zaraz obok jeźdźca, napawającego wzrok nagością jego żony, rzucił się na niego z dwoma rozżarzonymi węglami, które zgasił w oczodołach śmiałka. Od tamtego dnia Eliakim oddał się śpiewaniu psalmów i hymnów. Obchodził karczmy i domy Jerozolimy ze swą lutnią, czasem śpiewając na chwałę Bogu, a czasem na cześć nagości kobiet. Ludzie dawali mu kawałek suchego chleba, garść daktyli, parę oliwek i odprawiali go dalej.

Nastroił lutnię, chrząknął i zaczął śpiewać z trubadurskim kunsztem swój ulubiony psalm:

*Zmiłuj się nade mną, Panie,  
albowiem wielkie jest twoje miłosierdzie.  
Albowiem nie ma granic twoje  
współczucie, zmaż grzech z mojego sumienia.*

W tym momencie pojawił się karczmarz z dzbanem wina i kubkami. Gdy usłyszał psalm, wpadł w szal.

- Dość! Dość! - wrzasnął. - Następny zawraca mi głowę! Zawsze ta sama śpiewka: "Zmiłuj się nade mną... zmiłuj się nade mną..." Idźże do diabła. Czy to ja zgrzeszyłem? Ja podniosłem wzrok na cudzą żonę w kąpieli? Bóg dał nam oczy, żebyśmy ich nie otwierali - nie rozumiesz tego jeszcze? Zresztą, dobrze ci tak. Jazda, wynocha stąd! Idź naprzykrzać się komu innemu.

Ślepiec ponownie ujął swój kostur, wsadził lutnię pod pachę i odszedł bez

słowa.

- "Zmiłuj się nad nami, o Panie..." - zawodził jęklonie rozsierdzony karczmarz. - Dawid robił oczy do cudzych żon, ten ślepy idiota tak samo - i teraz my musimy przez to cierpieć... Ach, Boże, gdybyż tylko wszyscy zostawili mnie wreszcie w spokoju!

Nalał w końcu wina do kubków. Wypili. Karczmarz napełnił ponownie swoje naczynie i wychylił je do dna.

- Idę teraz wsadzić dla was łeb jagnięcia do pieca. Pierwsza klasa! Matka ukradłaby go z ust dziecku! - Pobiegł na podwórze, gdzie stał niewielki piec, który sam zbudował. Przyniósł gałązki i pędy winorośli, rozpałił ogień i włożył do pieca brytwanę z łbem jagnięcia, po czym powrócił do reszty towarzystwa. Był spragniony wina i rozmowy.

Jego towarzysze byli jednak w ponurym nastroju. Stłoczeni przy ogniu wymamrotali ledwie parę słów i pogrążyli się w milczeniu. Wyglądali, jakby stąpali po rozżarzonych węglach. Ciągłe zerkali w stronę wejścia, gotowi w każdej chwili zerwać się na równe nogi. Judasz wstał, podszedł do drzwi i stanął w progu. Mdlilo go na widok tych tchórzy, których strach odmienił nie do poznania. Patrzcie, jak biegli, jak szybko dotarli do Jerozolimy znad Jordanu i jak zaszyli się w tej karczmie na uboczu, z sercami na ramieniu! Strzygąc uszami jak króliki, wiercili się na tyłkach, gotowi w każdej chwili do ucieczki... "Niech was diabli, dzielni Galilejczycy - pomyślał. - Dzięki ci, Boże Izraela, że nie stworzyłeś mnie na ich podobieństwo. Urodziłem się na pustyni, jestem wykuty z beduińskiego granitu, a nie z miękkiej gleby Galilei. Łasiliście się do niego wszyscy, zasypywaliście go obietnicami i pocałunkami - a teraz: »Oby nie zawiodły mnie nogi!« - myślicie tylko o tym, żeby ratować skórę. Ale ja - dzikus, diabeł, zabijaka - ja go nie opuszczę. Będę czekał tu, dopóki nie powróci z pustyni jordańskiej, żeby usłyszeć, co powie. Dopiero wtedy zdecyduję. Nie dbam o własną skórę. Jedna tylko rzecz leży mi na sercu - cierpienie Izraela".

Z głębi karczmy dobiegła go przyciszona sprzeczka. Odwrócił głowę.

- Chyba powinniśmy wrócić do Galilei - tam jest bezpiecznie - powiedział Piotr. - Nie zapominajcie o naszym jeziorze, chłopcy! - Westchnął. Ujrzał swoją zieloną łódź płynącą ponad błękitną falą i jego serce przepełniło się tęsknotą. Ujrzał kamyki, oleandry, sieci wypełnione rybami. Do oczu napłynęły mu łzy.

- Chodźmy - powiedział. - Dalej, chodźmy!

- Obiecaliśmy mu, że zaczekamy na niego w tej karczmie - zauważył Jan. - Powinniśmy dotrzymać słowa.

- To się da załatwić - powiedział Piotr. - Poprosimy Cyrenejczyka, żeby powiedział mu, jak przyjdzie, że...

- Nie, nie! - zaprotestował Andrzej. - Jak możemy zostawić go samego w tym zdziczałym mieście? Zaczekamy na niego tutaj.

- A ja wam mówię, że powinniśmy wracać do Galilei - powtórzył z uporem Piotr.

Jan złapał swych towarzyszy za ręce.

- Bracia - zwrócił się do nich błagalnie - przypomnijcie sobie ostatnie słowa Chrzciciela. Wzniósł ramiona ponad miecz kata i wykrzyknął: "Jezusie z Nazaretu, opuść pustynię! Ja odchodzę. Wróć do ludzi. Przyjdź, nie opuszczaj świata!" Te słowa, przyjaciele, mają głębokie znaczenie. Niech mi Bóg przebaczy, jeśli powiem bluźnierstwo, ale...

Serce mu zamarło. Andrzej ścisnął jego rękę.

- Mów, Janie. Cóż to za straszne przeczucie, którego nie śmiesz wyjawić?

- A może nasz Mistrz jest... - wyjąkał.

- Czym?

Głos Jana był zdławiony, zdyszany i pełen grozy:

- ...Mesjaszem!

Zadrżeli wszyscy. Mesjaszem! Byli z nim tyle czasu i ta myśl nigdy nie przyszła im do głowy! Z początku brali go za dobrego człowieka, świętego, który niósł miłość światu, potem za proroka, nie opętanego jak dawni prorocy, ale pogodnego i łagodnego. Przybliżał królestwo niebieskie ku ziemi, innymi słowy, niósł ludziom sprawiedliwość i wygodne życie pełne zadowolenia. Nazwał odwiecznego Boga Izraela "Ojcem" i gdy tylko to uczynił, srogi i uparty Jahwe złagodniał i wszyscy stali się jego dziećmi... Ale teraz, cóż to za słowo wymyknęło się z ust Jana - Mesjasz! Znaczyło to tyle, co miecz Dawida, wszechmoc Izraela, wojna! I oni, jego pierwsi wyznawcy, byli wielkimi panami, tetrarchami i patriarchami wokół jego tronu! Był zatem jak sam Bóg na tronie otoczonym przez aniołów i archaniołów! A oni, jego uczniowie, byli boskimi etnarchami i patriarchami na ziemi! Ich oczy zaczęły błyszczeć.

- Cofam to, co powiedziałem! - zawołał Piotr, oblewając się gwałtownie rumieńcem. - Nigdy go nie opuszczę!

- Ani ja!

- Ani ja!

- Ani ja!

Judasz splunął ze złością i walnął pięścią w drzwi.

- Przekłęci wyznawcy! - krzyknął na nich. - Dopóki myśleliście, że jest chory i słaby, nie mogliście się doczekać, żeby uciec. Co innego teraz, gdy zwąchaliście wielkość i sławę - "Nigdy go nie opuszczę!" Pewnego dnia każdy z was go zdradzi - zapamiętajcie sobie moje słowa - a ja jeden pozostanę mu wierny. Szymonie Cyrenejczyku, bądź mi świadkiem!

Karczmarz słuchał ich i chichotał pod sumiastym wąsem. Teraz zwrócił uwagę Judasza.

- Ha, spójrzcie tylko na nich! I oni chcą zbawić świat! Złowił w powietrzu zapach dolatujący z pieca.

- Łeb się pali! - zawołał i jednym susem wybiegł na podwórze.

Wstrząśnięci towarzysze patrzyli na siebie.

- Więc to dlatego Chrzciciel zamarł na jego widok - powiedział Piotr, pukając się w czoło.

Ich myśli nie mogły już przestać się mnożyć.

- A widzieliście tę gołębicę nad jego głową, kiedy przyjmował chrzest?

- To nie była gołębica - to był błysk światła.

- Nie, nie! - gołębica. Gruchała.

- Nie gruchała, tylko mówiła. Na własne uszy słyszałem jak woła: "Święty! Święty! Święty! Święty!"

- To był Duch Święty - powiedział Piotr. - Duch Święty zstąpił na ziemię, a my wszyscy skamienieliśmy, tak było. Chciałem zrobić krok i podejść bliżej, ale noga mi zdrętwiała - nie mogłem się poruszyć! Chciałem zawołać, ale nie mogłem otworzyć ust. Wiatr zamarł, trzciny, rzeka, ludzie i ptaki - wszystko zamieniło się w marmur ze strachu. Tylko ręka Chrzciciela się poruszała: powoli, powoli dopełniała aktu chrztu.

- Ja nic nie widziałem i niczego nie słyszałem - powiedział Judasz rozwścieczony. - Wasze oczy i uszy były pijane.

- Ty, rudobrody, nic nie widziałeś, bo nie chciałeś zobaczyć - odparował Piotr.

- A wasza wielmożność, ryżobrody, zobaczył, bo chciał widzieć. Miałeś apetyt na Ducha Świętego, no i go ujrzałeś. Więcej, teraz wmawiasz to także tym półgłówkom. To ty będziesz odpowiedzialny za to wszystko.

Jakub gryzł przez cały czas paznokcie, słuchając bez słowa. Dłużej jednak nie mógł się już powstrzymać.

- Spokojnie - powiedział - nie bądźcie wszyscy tacy zapalczywi. Porozmawiajmy

w spokoju. Naprawdę sądzicie, że Chrzciciel wypowiedział te słowa, zanim ścięli mu głowę? Mnie się to wydaje mało prawdopodobne. Przede wszystkim, który z nas był tak blisko, żeby to usłyszeć? A poza tym, jest jeszcze jedna rzecz: gdyby nawet pomyślał w ten sposób, to nigdy nie powiedziałby tego na głos, w obawie, że król dowie się i wyśle szpiegów, żeby wywiedzieć się, kto to taki ten Jezus na pustyni, a potem złapać go i ściąć. Jak mawia mój ojciec, dwa i dwa jest cztery. Więc nie rozpalajcie się za bardzo.

Piotr rozzłościł się.

- Diabła tam, dla mnie dwa i dwa może być czternaście! Niech logika i rozum mówią sobie, co chcą. Daj nam coś do picia, Andrzeju. Zamroczymy myśli, żeby lepiej widzieć na oczy!

Do karczmy wpadł wysoki, niezdarny, bosi mężczyzna o zapadniętych policzkach. Był owinięty białym prześcieradłem, a na szyi miał zawieszony amulet. Położył rękę na piersi w geście pozdrowienia.

- Żegnajcie, bracia, odchodzę; idę na spotkanie Stwórcy. Czy macie dla mnie jakieś poruczenia?

Nie czekając na odpowiedź, wypadł pędem z karczmy i wbiegł do sąsiedniego domu. W tym momencie pojawił się karczmarz z tacą, wypełniając izbę wspaniałą wonią. Rzucił okiem na wybiegającego szaleńca i zawołał za nim:

- Przyjemnej podróży! Przekaż mu od nas ukłony! - Roześmiał się. - Ha, nie da się ukryć, że koniec świata już nadszedł; roi się od maniaków wszelkiej maści. Ten na przykład twierdzi, że zobaczył Boga w nocy dwa dni temu, kiedy wyszedł wysikać się przed dom. Od tamtej pory nie raczy już żyć jak inni. Odmawia nawet jadła! "Zostałem zaproszony do nieba - mówi - tam się najem." Ubrał się w całun i biegnie od jednych drzwi do drugich. Przyjmuje zlecenia, żegna się i wychodzi. Widzicie, co się dzieje, kiedy człowiek zbliży się za bardzo do Boga. Uważajcie, chłopcy - mówię to dla waszego dobra - nie zbliżajcie się do niego zbyt blisko. Ja wielbię jego chwałę, ale z daleka. Na odległość.

Postawił tacę z łebem na środku stołu. Jego usta, oczy i uszy śmiały się do niej.

- Świeża głowa! - zawołał. - Oto wasz Jan Chrzciciel! Jedzcie do woli!

Jan poczuł mdłości i odsunął się od stołu. Andrzej zamarł z ręką wyciągniętą w powietrze. Łeb spoglądał na nich z tacy zamglonymi, szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami.

- Szymonie, ty kundlu! - zawołał Piotr. - Obrzydzisz nam ten łeb i nie będziemy

mogli go dotknąć! Jakże mam mu teraz wydłubać oczy? Chętnie zjadłbym je na przystawkę, ale teraz to byłoby tak, jakbym jadł oczy Chrzciciela.

Karczmarz wybuchnął śmiechem.

- Nie martw się, drogi Piotrze - powiedział. - Zjem je sam - ale wpierw ten delikatny jęczor, który krzychał: "Żałujcie za grzechy! Nadszedł koniec świata!" Niestety, jego własny koniec nadszedł jeszcze prędzej.

Wyjął nóż, odciął jęczor i połknął go za jednym razem. Popił winem i popatrzył z dumą na swoje beczi.

- W porządku, chłopaki. Żal mi was. Zmienię temat, żebyście przestali myśleć o głowie Chrzciciela i zaczęli jeść to jagnię... Wobec tego, powiedzcie mi, kto namalował tego pięknego koguta i świnię, które możecie podziwiać tam, na beczkach? Wasz szacowny gospodarz, własnymi rękami, moi panowie, ot co! A potraficie odgadnąć, dlaczego akurat koguta i świnię? Gdzieżby tam, tacy przygłupi Galilejczycy! W takim razie muszę rozwikłać dla was tę zagadkę i oświecić wasze nędzne mózdzki!

Piotr zerknął na łeb jagnięcia i oblizał się, ale nadal nie śmiał wyciągnąć ręki, żeby wydłubać oczy i zjeść je. Nie przestawał myśleć o Chrzcicielu. Oczy proroka miały ten sam wyraz, kiedy spoglądały na ludzkość.

- Słuchajcie zatem! - ciągnął karczmarz - i oświećcie, jak powiadam, swoje maciupęńkie mózdzki. Gdy Bóg stworzył świat (i po co się właściwie jego świątobliwość tak męczył?), obmył ręce z błota, zawołał wszystkie stworzenia i zapytał: "Słuchajcie, ptaki i wszystkie zwierzęta, jak wam się podoba świat, który zbudowałem? Czy jest w nim coś, co wam nie odpowiada?" Cała hałastra z miejsca zaczęła kwiczeć, beczeć, muczeć, miauczeć i ćwierkać: "Nie! Nie! Nie!"

"Dzięki wam - powiedział Bóg. - Przyznać muszę, że i ja nie znajduję w nim żadnej skazy. Zasłużyłem na gratulacje". Nagle dostrzegł, że kogut i świnia milczą z opuszczonymi głowami. "Ejże, świnio! - zawołał - i ty, wielmożny kogucie, dlaczego to nic nie mówicie? Może ten świat, który stworzyłem, wam nie odpowiada? Może czegoś w nim brakuje?" Ale zwierzęta nadal milczały. Rzecz jasna, to diabeł syczał im do ucha: "Powiedzcie mu, że w istocie brakuje niskopnącej rośliny dającej grona, z których wyciska się wino."

"Słuchajcie no, dlaczego nic nie mówicie?" - zawołał Bóg ponownie, podnosząc swą olbrzymią dłoń. I wtedy ujrzął, że kogut i świnia, którym diabeł dodał odwagi, podnoszą wreszcie głowy. "Mistrzu, cóż my możemy powiedzieć? Gratulujemy ci - twój świat jest - odpukać - doskonały. Ale brakuje w nim jednej rzeczy - niskopnącej

rośliny dającej grona, z których wyciska się wino".

"A więc to tak? Już ja wam pokażę, lajdaki - powiedział rozgniewany Bóg. - Chciecie, żebym dał wam wino, tak? Pijaństwo, bijatyki i wymioty? Niech się narodzi winorośl!" Zakasał rękawy, wziął trochę gliny, ulepił z niej pęd winorośli i zasadził go. "Kto wypije za dużo - powiedział - niech usłyszy moją klątwę: oby miał mózdzek jak kogut i ryj jak świnia!"

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem, zapominając o Chrzcicielu i rzuciło się na pieczony łeb; przewodził im Judasz, który rozłupał czaszkę i nappełnił dłonie jagnięcym mózdzkiem. Gdy karczmarz ujrzał to spustoszenie, przestraszył się. "Nie zostawię mi ani kosteczki" - pomyślał.

- Słuchajcie, chłopaki - zawołał - to miło, że jecie i pijecie, ale nie zapomnijcie o świętej pamięci Janie Chrzcicielu. Ach, jego biedna - głowa!

Zamarli wszyscy, z kawałkami mięsa w dłoniach, a Piotr, który przeżuwał właśnie oko i już miał je przełknąć, zakrztusił się. Ogarnął go wstręt, lecz jednocześnie żał mu było wypluć tak smaczny kąsek. Co robić? Tylko Judasz nie przejął się wcale. Karczmarz nappełnił szklanki.

- Oby jego imię na długo pozostało w naszej pamięci. Niestety, jego odcięta głowa... Ale wasze zdrowie, chłopcy!

- I twoje również, stary lisie - powiedział Piotr, przełykając oko.

- Nie martwcie się - odpowiedział karczmarz. - Ani trochę się nie boję. Nie wścibiam nosa w cały ten boski interes i gdzieś mam zbawienie świata! Jestem karczmarzem, a nie aniołem, czy archaniołem, jak te, które tak wielbicie. Przynajmniej tego udało mi się uniknąć. - To mówiąc porwał z tacy resztę pieczonej głowy.

Piotr otworzył usta, ale nagle odebrało mu mowę: w progu karczmy stał potężny mężczyzna i zaglądał do środka. Jego skóra pokryta była krostami, a w oczach czaił się obłęd. Biesiadnicy cofnęli się w głąb izby. Piotr schował się za szerokimi plecami Jakuba.

- Barabasz! - zawołał Judasz. - Wejź do środka.

Barabasz ugiął swój gruby kark i gdy dojrzał w półmroku uczniów, jego szpetna twarz wykrzywiła się w ironicznym uśmiechu.

- Tak się cieszę, że was znalazłem, owieczki. Pół świata schodziłem za wami.

Karczmarz wstał z pomrukiem niezadowolenia od stołu i przyniósł dla niego puchar.



- Tylko ciebie nam tu brakowało - mruknął. Żywił do niego urazę, bo zawsze, gdy Barabasz zjawiał się w karczmie, upijał się i wszczynął awantury z przechodzącymi obok rzymskimi żołnierzami, przysparzając mu nie lada kłopotów. - Tylko nie zaczynaj znowu swoich sztuczek, świński kogucie!

- Dopóki niewierni deptą ziemię Izraela, będę miał pięści zawsze gotowe do walki, wbij to sobie dobrze do głowy. Przynieś lepiej jadła, zawszona wywłoko.

Karczmarz podsunął w jego stronę tacę z kośćmi.

- Jedz, masz zęby jak pies - skruszą kości.

Barabasz jednym haustem opróżnił puchar, podkręcił węża i zwrócił się do swych towarzyszy:

- A gdzie to podziwia się dobry pasterz, moje owieczki? Mam z nim stary rachunek do wyrównania. - Oczy mu zabłyśły złowrogo.

- Jesteś pijany, a jeszcze nie zacząłeś pić - skarcił go Judasz. - Twoje mężne wyczyny przysporzyły nam już dość kłopotów.

- Co ty masz przeciwko niemu? - ośmielił się zapytać Jan. - To święty człowiek. Kiedy stąpa po ziemi, uważa, żeby nie nadepnąć mrówki.

- Żeby mrówka jego nie nadepnęła, chciałeś powiedzieć. To tchórz, a nie mężczyzna.

- Wyrwał Magdalenę z twoich szponów i wciąż nie możesz się z tym pogodzić - rzucił w przypływie odwagi Jakub.

- Wszedł mi w drogę - warknął Barabasz, którego oczy powlekły się mgłą. - Wszedł mi w drogę i zapłaci za to.

Judasz schwył go za ramię i odciągnął na stronę. Przez chwilę przemawiał do niego ściszone głośnie, ze złością wyrzucając z siebie słowa.

- Co ty tutaj robisz? Dlaczego opuściłeś góry Galilei? Przecież Bractwo wybrało je na twoją kryjówkę. Nie masz przydziału do Jeruzalem.

- Walczymy o wolność czy nie? - zaprotestował z gniewem Barabasz. - Jeśli tak, to wolno mi robić, co tylko przyjdzie mi do głowy. Przybyłem tu, żeby przekonać się na własne oczy, co to za jeden ten Chrzyciel i czym są właściwie te jego znaki i wielkie cuda. Pomyślałem sobie, że może to na niego czekasz. Jeśli tak, to niech przybędzie, od razu obejmie przywództwo i rozpocznie rzeź. Spóźniłem się. Odciepli mu już głowę... Judaszu, jesteś moim dowódcą - co masz mi do powiedzenia?

- Mówię, że powinieneś stąd odejść. Nie mieszaj się do nie swoich spraw.

- Ja mam odejść? Mówisz poważnie? Przyszedłem tu z powodu Chrzyciela, a

wpadłem na trop syna cieśli. Szukam go wieki całe, a teraz, gdy Bóg podsuwa mi go pod sam nos, ty mówisz, że mam go znowu stracić?

- Odejdź - rozkazał mu Judasz. - To moja sprawa. Ty się do tego nie mieszaj.

- Co zamierzasz? Bractwo pragnie jego śmierci, jeśli chcesz wiedzieć. To szpieg Rzymian: płacą mu, żeby wykrzykiwał o królestwie niebieskim i odwracał uwagę ludzi od ziemi i naszej niedoli. A ty... Co zamierzasz?

- Nic. Mam własne rachunki do wyrównania. No już, wynocha!

Barabasz obrócił się i rzucił ostatnie spojrzenie zgromadzonym przy stole, którzy siedzieli, nadstawiając uszu.

- Do zobaczenia wkrótce, owieczki - zawołał z przekąsem. - Nikt tak łatwo nie ujdzie Barabaszowi. Zobaczycie, porozmawiamy jeszcze o tym. - Odszedł w kierunku Bramy Dawida.

Karczmarz mrugnął do Piotra.

- Dał mu rozkazy - powiedział cicho. - To ci dopiero Bractwo. Zabijają jednego Rzymianina, a Rzymianie dziesięciu Izraelitów. Nie dziesięciu, piętnastu! Nie mieszajcie się do tego, chłopaki!

Pochylił się ku Piotrowi i wyszeptał mu do ucha:

- Posłuchaj, nie ufajcie Judaszowi Iskariocie. Ci rudobrodzi...

Urwał, bo rudobrody siadał właśnie z powrotem przy stole.

Jan wstał zakłopotany, podszedł do drzwi i rozejrzał się. Nigdzie ani śladu Nauczyciela. Nowy dzień rozpoczął się na dobre, ulice zaroily się ludźmi. Poza Bramą Dawida były tylko kamienie i popiół, ani jednego zielonego listka - nic oprócz sterczących pionowo białych kamieni nagrobnych. Powietrze cuchnęło psim i wielbłądzim ściernem. Dzikość tego otoczenia przestraszyła Jana. Wszystko tutaj było z kamienia: kamienne twarze ludzi, kamienne serca, kamienny Bóg, którego czcili. Gdzie był ów Miłosierny Ojciec, którego przyniósł im ich Nauczyciel? Och, gdyby tylko ukochany Mistrz pojawił się wreszcie, gdybyż mogli wrócić do Galilei!

Piotr wstał. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Bracia, chodźmy stąd! On nie przyjdzie.

- Słyszę, jak się zbliża - wyszeptał nieśmiało Jan.

- Gdzie go słyszysz, jasnowidzu? - zapytał Jakub, którego niewiele obchodziły fantazje brata. Podobnie jak Piotr nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy znów swoje łódzie i jezioro. - Gdzie go słyszysz, możesz mi to powiedzieć?

- W sercu - odparł młodszy brat. - Tam zawsze wszystko słyhać i widać

najpierw.

Jakub i Piotr wzruszyli ramionami, ale karczmarz oburzył się.

- Nie drwijcie z niego! Chłopak ma rację. Słyszałem już raz, jak ktoś to mówił... A taka arka Noego, to według was co? Jasne, że ludzkie serce! W środku siedzi Bóg i wszystkie stworzenia. Kiedy wszystko inne idzie na dno, ono pływa po powierzchni ze swoim ładunkiem. Serce człowieka wie wszystko - tak, nie śmiecie się - wszystko.

Zagrzmiały trąby, podniosła się wrzawa, a ludzie na ulicy rozstąpili się na boki. Słyszając to, zgromadzeni w karczmie dopadli ze strachem drzwi. Ujrzeni pięknych, zwinnych młodzieńców, niosących lektykę udekorowaną złotem. W środku, gładząc się po brodzie, leżał otyły jegomość odziany w jedwab, ze złotymi kolczykami i twarzą spoconą od nieróbstwa.

- To Kajfasz, arcykapłan-lubieżnik - powiedział karczmarz.

- Zatkajcie nosy, chłopaki. Ryba zaczyna śmierdzieć od głowy. - Zacisnął palcami nos i splunął. - Niosą go do ogrodu, gdzie będzie żarł, pił i zażywał uciech ze swoimi kobietami i chłoptasiami. Do licha, gdybym tylko był Bogiem... Świat wisi na włosku. Przeciąłbym go -jak mi Bóg miły - przeciąłbym i pozwolił mu stoczyć się do piekła.

- Chodźmy - powtórzył Piotr. - Tu nie jest bezpiecznie. Moje serce też ma oczy i uszy, i woła do mnie: "Idźcie! Odejdźcie stąd, nędzne stworzenia!"

Powiedział, że słyszy swoje serce i gdy to mówił, naprawdę je usłyszał. Przerażony, aż podskoczył i złapał za kij, który znalazł w kącie. Na ten widok pozostali także podskoczyli, jak gdyby jego przerażenie było zaraźliwe.

- Szymonie, znasz go. Jeśli przyjdzie, powiedz mu, że poszliśmy do Galilei - polecił Piotr.

- A kto mi zapłaci? - zaniepokoił się karczmarz. - Łeb, wino...

- Wierzysz w życie po śmierci, Szymonie Cyrenejczyku? - zapytał Piotr.

- Pewnie, że tak.

- W takim razie daję ci słowo, że tam ci zapłacę. Jeśli chcesz, dam ci to nawet na piśmie.

Karczmarz podrapał się w głowę.

- Co, nie wierzysz w życie pozagrobowe? - zapytał Piotr, robiąc surową minę.

- Wierzę, Piotrze. Niech to diabli, wierzę - ale żeby aż tak bardzo...

## ROZDZIAŁ XX

Gdy tak rozmawiali, na próg padł błękitny cień. Wszyscy podskoczyli. W drzwiach stał Jezus. Stopy miał zakrwawione, odzienie ubłocone, twarz zmienioną nie do poznania. Któż to - ich słodki Mistrz czy okrutny Chrzciel? Włosy spadały mu w strąkach na ramiona, skóra była spalona słońcem i ogorzała, policzki zapadnięte, a oczy tak powiększone, że zdawały się zajmować całą twarz. Z mocno zaciśniętymi pięściami wyglądał teraz zupełnie jak Chrzciel. Uczniowie patrzyli na niego z otwartymi ustami. Czyż ci dwaj ludzie stali się jednym?

"To on zabił Chrzciela, on, on" - myślał Judasz odsuwając się, aby pozwolić przejść niepokojącemu przybyszowi. Patrzył, jak Jezus przekracza próg, jak surowo wpatruje się w każdego z nich, jak zagryza wargi... "Wszystko, wszystko mu zabrał - myślał Judasz - zagrabił jego ciało, ale czy wziął także duszę i nieokiełznane słowa? Zaraz przemówi, a wtedy się okaże..."

Przez chwilę siedzieli bez ruchu. Nastrój w gospodzie zmienił się. Właściciel przykucnął w kącie i wytrzeszczał oczy na Jezusa, który stąpał powoli, zagryzając wargi, z nabrzmałymi żyłami na skroniach. Nagle rozległ się jego dziki, ochryply głos. Towarzysze zadrżeli, bo nie przemówił własnym głosem, ale głosem straszliwego proroka, Chrzciela.

- Chcieliście odejść?

Nikt nie odpowiedział. Stali jeden za drugim, tworząc rodzaj wału obronnego.

- Chcieliście odejść? - powtórzył gniewnie. - Mów, Piotrze!

- Rabbi - zaczął Piotr niepewnie. - Jan usłyszał w sercu twe kroki i właśnie mieliśmy wyjść ci na powitanie.

Jezus zmarszczył brwi, opanowując rozgoryczenie i złość.

- Chodźmy - powiedział, kierując się ku drzwiom.

Zobaczył Judasza, który stał z boku, obrzucając go twardym spojrzeniem błękitnych oczu.

- Idziesz, Judaszu? - zagadnął.

- Będę z tobą aż do śmierci. Wiesz o tym.

- To nie dosyć! Słyszysz? Nie dosyć. Po śmierci też!... Chodźmy!

Spomiędzy antałków wina wyskoczył właściciel gospody.

- Powodzenia, chłopcy - zawołał. - Baba z wozu, koniom lżej! Szczęśliwej

podróży, Galilejczycy, a kiedy nadejdzie ten wielki dzień i wstąpicie do raju, nie zapomnijcie o winie, którym was częstowałem - i o głowie!

- Masz moje słowo - odparł Piotr z poważną, zboląłą twarzą. Wstyd mu było, że ze strachu skłamał przed Nauczycielem. Gniewna mina Jezusa z pewnością świadczyła o tym, że przejrzał jego kłamstwo. W myślach karcił siebie: "Piotrze, tchórze, kłamco, zdrajco. Kiedy staniesz się mężczyzną? Kiedy pokonasz strach? Kiedy przestaniesz kręcić się jak wiatrak?"

Piotr stanął w drzwiach gospody, czekając, w którą stronę skieruje się jego Mistrz.

Lecz Jezus nie ruszał się, nadstawiał uszu i słuchał gorzkiej, monotonnej pieśni śpiewanej wysokimi, załamującymi się głosami po drugiej stronie Bramy Dawida. To śpiewali trędowaci. Leżeli w kurzu i pyłe, wyciągając do przechodniów kikuty ramion, cicho wyśpiewując majestat Dawida i łaskę Bożą, dzięki którym mogą zapłacić za grzechy już na ziemi, aby w przyszłym życiu załsnąć jak wieczne słońce.

Jezus poczuł rozgoryczenie. Zwrócił się w stronę miasta. Sklepy, warsztaty i gospody były otwarte, ulice wypełniły się ludźmi. Jakże biegają i krzyczą, jak bardzo się poca! Słyszał straszliwy hałas koni, ludzi, rogów i trąb. Święte miasto wydało mu się straszną, chorą bestią, zarażoną trądem, szaleństwem i śmiercią.

Hałas uliczny narastał, ludzie ciągle biegali w różne strony. "Do czego im tak spieszno? - zamyślił się Jezus. Dlaczego bieżną, dokąd idą? - Westchnął ciężko. - Wszyscy, wszyscy do piekła!"

Martwił się. Czy powinien zostać tutaj, w tym mieście kanibali, wspiać się na dach świątyni i krzyczeć: "Żałujcie za grzechy, nadszedł dzień Pana!"

Tym nieszczęsnym, zdyszonym, biegającym po ulicach ludziom bardziej potrzeba skruchy i pocieszenia niż pogodnym rybakom i oraczom z Galilei. "Zostanę tutaj - pomyślał Jezus. - Tutaj po raz pierwszy zapowiem zniszczenie świata i nadejście królestwa niebieskiego".

Andrzej nie umiał opanować smutku. Podszedł do Jezusa.

- Rabbi - powiedział. - Pojmali i zabili Chrzciciela!

- To bez znaczenia - odparł spokojnie Jezus. - Chrzciciel miał dosyć czasu, by spełnić swój obowiązek. Miejmy nadzieję, Andrzej, że i nam go starczy!

Zobaczył, że oczy dawnego ucznia Zwiastuna napełniają się łzami.

- Nie smuć się, Andrzej - powiedział, klepiąc go po ramieniu. - On nie umarł. Umierają tylko ci, którzy przybyli za późno, by osiągnąć nieśmiertelność, a on się nie

spóźnił. Bóg dał mu czas.

Gdy wypowiadał te słowa, spłynęło na niego oświecenie. Zaprawdę wszystko na tym świecie zależne jest od czasu. Z czasem wszystko dojrzeje. Jeśli masz czas, uda ci się przemienić ludzką glinę w ducha, a wtedy śmierć ci niestraszna. Jeśli nie masz czasu, szczęsniesz... "Dobry Boże - błagał w myślach Jezus - daj mi czas, tylko o to cię proszę, daj mi czas..." Czuł, że ma w sobie jeszcze dużo gliny, dużo ludzkich przywar. Wciąż jeszcze odczuwał gniew, strach, zazdrość; gdy myślał o Magdalenie, oczy zachodziły mu mgłą, a poprzedniej nocy ukradkiem przyglądał się Marii, siostrze Łazarza...

Zaczerwienił się ze wstydu i błyskawicznie podjął decyzję: opuści to miasto.

Godzina jego śmierci jeszcze nie wybiła, nie jest jeszcze gotowy... "Dobry Boże - poprosił znowu - daj mi czas, czas i tylko czas..." Skinął na towarzyszy.

- Chodźcie, bojownicy, wracamy do Galilei. W imię Boże!

Towarzysze biegli nad jezioro Genezaret jak obolałe, zgłodniałe konie powracające do ukochanej stajni. Rudobrody Judasz znowu prowadził, pogwizdując. Od lat nie czuł w sercu takiego zadowolenia. Twarz Nauczyciela, jego głos i gwałtowność, którą przejawiał odkąd wrócił z pustyni, cieszyły go ogromnie. "To on zabił Chrzciciela - powtarzał Judasz w duchu. - Przyjął go w swoje ciało - baranek i lew połączone w jednym. Czy Mesjasz może być jednocześnie barankiem i lwem, jak starożytne potwory?..." Szedł przed siebie pogwizdując i czekał. "To milczenie nie potrwa długo - myślał. - Którejś nocy, zanim dojdziemy nad jezioro, otworzy usta i przemówi, wyjawi nam swój sekret: co robił na pustyni, czy zobaczył Boga Izraela i o czym z nim rozmawiał. A wtedy będę mógł osądzić."

Minęła pierwsza noc. Jezus w milczeniu patrzył w gwiazdy, otoczony zmęczonymi, śpiącymi towarzyszami. Błękitne oczy Judasza migotały w ciemności. Obaj z Jezusem nie spali całą noc usadowieni naprzeciwko siebie, ale żaden nie odezwał się ani słowem.

O świcie wyruszyli w dalszą drogę. Pozostawili za sobą skały Judei i dotarli do białej ziemi Samarii. Studnia Jakuba stała opuszczona - żadna kobieta nie przyszła zaczerpnąć dla nich wody. Szybko przebyli ziemię heretyków i ujrzeli ukochane góry - pokryty śniegiem szczyt Hermonu, wdzięczną górę Tabor, święty Karmel.

Zaczęło się ściemniać. Położyli się pod gęstymi konarami cedru i obserwowali zachód słońca. Jan zmówił modlitwę wieczorną: "Otwórz przed nami swe drzwi, Panie. Kończy się dzień, słońce zachodzi i znika. Stajemy u twoich drzwi, Panie -

otwórz je. Prosimy cię, o Wieczny, przebacz nam. Prosimy cię, o Wieczny, zmiłuj się nad nami. Zbaw nas, o Wieczny!"

Powietrze było ciemnoniebieskie. Słońce zniknęło już z nieba, ale jeszcze nie wzeszły gwiazdy. Ziemię otaczało puste niebo. Zręczne dłonie Jezusa o długich palcach połyskiwały biało na tle ziemi w półmroku, w którym rozbrzmiewała jeszcze modlitwa wieczorna. Słyszał, jak rozdygotane ręce ludzi stukają rozpaczliwie do zamkniętych drzwi Pana. Ludzie stukają i krzyczą; cóż tak wykrzykują?

Zamknął oczy, żeby lepiej słyszeć. Dienne ptaki powróciły już do gniazd, a nocne jeszcze spały. Wieś leżała wciąż daleko stąd, nie słyhać było ani odgłosów ludzkiej krzątaniny, ani szczekania psów. Towarzysze zmówili wieczorne modlitwy, ale nie byli senni i święte słowa nie znalazły odzewu w ich duszach. Tylko Jezus słyszał wewnątrz siebie, jak ludzie stukają do drzwi Pana - do jego serca. Stukają do jego ciepłego, człowieczego serca wołając "Otwórz! Otwórz! Ocal nas!"

Jezus dotknął swej piersi, jak gdyby i on sam pukał do swego serca błagając, by się otwarło. A gdy tak męczył się sądząc, że nikt go nie widzi, poczuł na plecach czyjś wzrok. Odwrócił się. To Judasz wpatrywał się w niego chłodnymi, palącymi oczyma. Jezus wzdrygnął się. Ten rudobrody to dumna, nieokiełznana bestia. Ze wszystkich towarzyszy on był mu najbliższy i najbardziej odległy zarazem. Wydawało się, że tylko przed nim musi się tłumaczyć. Wyciągnął prawą rękę.

- Judaszu, bracie mój - powiedział. - Popatrz, co trzymam w dłoni?

Judasz wyciągnął szyję, by lepiej dojrzeć w półmroku.

- Nic - odparł. - Nic nie widzę.

- Wkrótce zobaczysz - powiedział z uśmiechem Jezus.

- Ja widzę królestwo niebieskie - rzucił Andrzej.

- A ja ziarno - dodał Jan. - Rabbi, pamiętasz co mówiłeś nam nad jeziorem, gdy po raz pierwszy otwarłeś usta, żeby przemówić do nas? Siewca wyszedł zasiać swe ziarno...

- A ty, Piotrze? - zagadnął Jezus.

- Mistrzu, cóż mogę powiedzieć? Jeśli zapytam oczu - nie widzę nic, jeśli zapytam serca - widzę wszystko. A umysł mój waha się między tymi dwoma jak serce dzwonu.

- Jakubie?

- Nic. Wybacz, Mistrzu, ale nic nie masz w dłoni.

- Patrz! - zawołał Jezus i gwałtownie podniósł ramię.

Gdy wznosił je wysoko i z całą mocą opuścił, towarzysze przelękli się. Twarz Judasza była lśniąca ze szczęścia i czerwona jak burak. Złapał dłoń Jezusa i ucałował ją.

- Rabbi! - krzyknął. - Widziałem! Widziałem! To topór Chrzciciela!

Ale natychmiast poczuł złość i wstyd, że nie potrafił pohamować radości. Opanował się i oparł o pień cedru. Rozległ się głos Jezusa, spokojny i uroczysty.

- Przyniósł mi go i położył u stóp chorego drzewa. Po to się narodził: by przynieść mi topór, więcej nie mógł zrobić. Przyszedłem, schyliłem się, podniosłem topór - po to się narodziłem. Oto początek mojej powinności: ściąć chore drzewo. Myślałem, że jestem jak pan młody, w dłoni mam kwitnącą gałąź migdałowca, ale przez cały czas byłem w istocie drwalem. Pamiętajcie, jak tańczyliśmy i przechadzaliśmy się po Galilei, głosząc urodę świata, jedność nieba i ziemi i to, że bramy rajy wkrótce rozstąpią się dla nas? To był sen, przyjaciele. Teraz się obudziliśmy.

- Więc królestwo niebieskie nie istnieje? - zawołał przerażony Piotr.

- Istnieje, Piotrze - ale w nas samych. W nas jest królestwo niebieskie, a na zewnątrz - królestwo szatana. Te dwa walczą ze sobą. Wojna! Wojna! Nasz pierwszy obowiązek to zgładzić szatana tym oto toporem.

- Jakiego szatana?

- Świat, który nas otacza. Odwagi, przyjaciele - zaprosiłem was na wojnę, nie na wesele. Wybaczcie mi, bo sam o tym nie wiedziałem. Ale jeśli którykolwiek z was myśli o żonie, dzieciach, polach, o szczęściu - niech odejdzie! Nie ma się czego wstydzić. Niech wstanie, pożegna się z nami spokojnie i odejdzie z naszym błogosławieństwem. Jest jeszcze czas.

Umilkł i powiódł wzrokiem po towarzyszach. Żaden się nie poruszył. W czarnych gałęziach cedru, jak olbrzymia kropla wody, wisiała Gwiazda Wieczorna. Nocne ptaki budziły się, rozprostowując skrzydła. Z gór powiewał chłodny wietrzyk. I nagle, wśród tej słodkiej wieczornej ciszy, Piotr zerwał się z krzykiem:

- Rabbi, w tej wojnie będę z tobą aż do śmierci!

- To chępliwie słowa, Piotrze, nie podobają mi się. Ciężka droga przed nami. Ludzie powstaną przeciwko nam, Piotrze - bo któż pragnie dla siebie zbawienia? Czy zdarzyło się kiedyś, by jakiś prorok powstał, chcąc zbawić lud i nie został przez ludzi na śmierć ukamienowany? Idziemy trudną drogą. Za wszelką cenę trzymaj się swej duszy, Piotrze - ona nie może uciec. Ciało jest słabe, nie ufaj mu... Słyszysz? Do ciebie



mówię, Piotrze.

Oczy Piotra napełniły się łzami.

- Nie wierzysz we mnie, Rabbi? - wyszeptał. - Człowiek, na którego patrzysz w ten sposób, któremu nie ufasz - pewnego dnia umrze za ciebie.

Jezus pogładził kolano Piotra.

- To możliwe... możliwe... - mruknął. - Wybacz mi, drogi Piotrze.

Zwrócił się do pozostałych:

- Jan Chrzciciel chrzczył wodą. Zabili go. Ja będę chrzczył ogniem. Chcę wam to dzisiaj jasno powiedzieć, abyście wiedzieli i nie skarżyli się, gdy nadejdą dla nas ciężkie czasy. Zanim ruszymy, powiem wam dokąd zmierzamy: ku śmierci; a potem - ku nieśmiertelności. Oto nasza droga. Jesteście gotowi?

Towarzysze zdrętwieli. Ten głos brzmiał surowo. Mistrz nie śmiał się już i nie weselił. Wzywał ich do broni. A więc droga do królestwa niebieskiego to droga do śmierci? Czy nie ma innej drogi? Są prostymi ludźmi, biednymi, najemnymi robotnikami, nie umieją czytać ani pisać - a świat jest bogaty i wszechpotężny - jakże mogą zbrojnie stanąć przeciwko niemu? Gdyby tylko aniołowie przyszli im z nieba z pomocą! Ale żaden z uczniów nie widział jeszcze, by aniołowie chodzili po ziemi, pomagając biednym i wzgardzonym. Milczeli więc, po cichu rozważając niebezpieczeństwo. Judasz przyglądał się im kątem oka i chichotał z wyższością. On jeden nie musiał niczego rozważać. Pójdzie na wojnę, wzgardziwszy śmiercią, nie troszcząc się ani o ciało, ani tym bardziej o duszę. Miał tylko jedną namiętność, dla niej z największą radością zniszczyłby samego siebie.

Wreszcie Piotr otworzył usta i przemówił pierwszy.

- Rabbi, czy aniołowie przyjdą nam z nieba z pomocą?

- To my jesteśmy aniołami Boga na ziemi, Piotrze - odparł Jezus. - Innych aniołów nie ma.

- Ale czy sądzisz, że sami damy radę, Mistrzu? - spytał Jakub.

Jezus wstał; nos drżał mu u nasady.

- Odejdźcie! - krzyknął. - Opuśćcie mnie!

- Ja cię nie zostawię, Rabbi! - zawołał Jan. - Będę z tobą do śmierci!

- I ja, Rabbi - dołączył się Andrzej, chyląc mu się do kolan.

Dwie duże łzy spłynęły po policzkach Piotra, ale nic nie powiedział. Jakub, postawny młody mężczyzna, pochylił głowę ze wstydem.

- A ty, Judaszu, bracie mój? - zapytał Jezus widząc, że rudobrody milczy i

dzikim wzrokiem wpatruje się w pozostałych.

- Ja nie zawracam sobie głowy słowami - wyrzucił Judasz. - I nie becę jak Piotr. Jestem z tobą, dopóki trzymasz topór. Gdy go porzucisz i ja ciebie porzucę. Wiesz dobrze, że nie za tobą podążam, a za tym toporem.

- Nie wstyd ci mówić tak do naszego Mistrza? - zawołał Piotr. Ale Jezus był zadowolony.

- Judasz ma rację. Przyjaciele, ja sam podążam za toporem.

Wszyscy wyciągnęli się na ziemi, wspierając się o pień cedru. Na niebie mnożyły się gwiazdy.

- Od tej chwili - zaczął Jezus - ruszamy na wojnę pod Bożym sztandarem, na którym wyszyte są krzyż i gwiazda. Bóg z nami! - Umilkli. Każdy z nich powziął swoją decyzję. Męstwo wypełniało ich serca.

- Raz jeszcze przemówię do was przypowieścią - oznajmił Jezus towarzyszom, których w końcu połknęła ciemność. - To będzie ostatnia przypowieść przed bitwą... Wiedźcie, że ziemia stoi na siedmiu kolumnach, kolumny na wodzie, woda na chmurach, chmury na wiatrach, wiatry na burzy, a burza na piorunie. A piorun, jak topór, spoczywa u stóp Boga.

- Nie rozumiem - zarumienił się Jan.

- Janie, synu Pioruna! - odparł Jezus, gładząc włosy ukochanego towarzysza. - Zrozumiesz, kiedy się zestarzejesz i zostaniesz pustelnikiem na wyspie, a niebo otworzy się nad tobą i umysł ci zapłonie!

Zamilkł. Po raz pierwszy tak jasno zrozumiał, czym jest Boży piorun - płonącym toporem złożonym u stóp Pana. A na tym toporze zawieszona są, jak sznury koralu, burze, wiatr, chmury i woda - cała ziemia. Choć od lat żył wśród ludzi i czytał Święte Księgi, nikt nigdy nie wyjawiał mu tej strasznej tajemnicy - że piorun to Syn Boży, Mesjasz. To właśnie Mesjasz oczyści świat.

- Przyjaciele - zaczął, a Piotr spostrzegł dwa płomienie, niczym rogi nad jego czołem. - Jak wiecie, udałem się na pustynię, aby spotkać się z Bogiem. Byłem głodny i spragniony, gotowałem się z gorąca. Skuliłem się na skale i wzywałem Boga. Fala za falą osaczały mnie diabły. Najpierw diabły cielesne, potem diabły umysłu, na koniec wszechpotężne diabły serca. Ale ja miałem przed sobą Boga, jak tarczę z brązu, a piasek wokół mnie wkrótce zappełnił się szczątkami pazurów, kłów i rogów. I wtedy rozległ się w górze donośny głos: "Powstań, weź topór, który przyniósł ci Zwiastun i uderz!"

- Czy nikt nie będzie zbawiony? - wykrzyknął Piotr.

Ale Jezus nie usłyszał go.

- Nagle moje ręce stały się ciężkie - mówił dalej - jakby ktoś wcisnął w nie topór. Chciałem wstać, ale głos znów przemówił: "Synu cieśli, nadchodzi nowy potop, nie wody lecz ognia. Zbuduj nową arkę, wybierz ludzi pobożnych i wprowadź ich na nią!" Przyjaciele! Arka gotowa, drzwi jeszcze otwarte. Wchodźcie!

Wszyscy się ożywili. Przysunęli się bliżej do Jezusa, jak gdyby to on był arką, na którą chcieli wejść.

- A potem głos rozległ się znowu: "Synu Dawida, gdy tylko zgasną płomienie i zarzucisz kotwicę w Nowym Jeruzalem, wejdź na tron przodków i rządz ludzkością! Stara ziemia zniknie, starego nieba nie będzie. Nad głowami świętych rozciągną się nowe niebiosy. Gwiazdy i oczy ludzi zaświecą siedem razy jaśniej niż przedtem."

- Rabbi - zawołał znów Piotr. - My wszyscy, którzy walczyliśmy razem z tobą, nie możemy umrzeć, póki nie ujrzymy tego dnia i nie zasiądziemy wokół twego tronu!

Lecz Jezus nie słyszał. Pochłonięty płomiennym widzeniem z pustyni, mówił dalej:

- Głos z wysoka przemówił po raz ostatni: "Synu Boży, przyjmij moje błogosławieństwo!"

Synu Boży! Synu Boży! - zakrzyknęli w duchu, lecz nikt nie śmiał się odezwać.

Na niebie rozbłysły wszystkie gwiazdy. Tej nocy wisiały nisko, w pół drogi między niebem a ziemią.

- A teraz, Rabbi - spytał Andrzej. - Gdzie rozpoczniemy naszą walkę?

- Z nazaretańskiej ziemi Bóg ulepił moje ciało - odparł Jezus. - Dlatego moim obowiązkiem jest rozpocząć tę wojnę w Nazarecie. Tam moje ciało musi rozpocząć przemianę w ducha.

- A potem pójdziemy do Kafarnaum - zaproponował Jakub. - Ocalimy moich rodziców.

- A później do Magdali - dorzucił Andrzej. - Po biedną Magdalenę. Ją też weźmiemy na arkę.

- A potem obejdziemy cały świat - krzyknął Jan, wskazując na wschód i zachód.

Piotr usłyszał ich i zaczął się śmiać: - Ciekaw jestem, co będzie z naszymi brzuchami. Co będziemy jeść na arce? Proponuję, żeby zabrać tylko te zwierzęta, które da się zjeść. Na miłość boską, co nam po lwach i komarach? Był głodny, więc myślał o jedzeniu. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

- Potrafisz myśleć tylko o wieczerzy - skarcił go Jakub. - Mówimy tutaj o zbawieniu świata.

- Wy myślicie tak samo - zaproponował Piotr. - Tylko nie chcecie się przyznać. Ja mówię szczerze co przyjdzie mi do głowy, dobre czy złe. Mój umysł wciąż się obraca, a ja razem z nim. To dlatego plotkarze nazywają mnie Wiatrakiem. Mam rację, czyż nie, Rabbi?

Twarz Jezusa rozjaśniła się w uśmiechu. Przypomniał sobie starą historyjkę.

- Dawno, dawno temu był sobie stary rabin, który szukał kogoś, kto będzie umiał dąć w róg tak głośno i umiejętnie, że usłyszą go wierni i przyjdą do synagogi. Ogłosił więc, że wszyscy trębacze mają się zgłosić na przesłuchanie, a on sam wybierze najlepszego. Zjawili się pięciu najlepszych, każdy wziął róg i dął. Kiedy skończyli, rabin zapytał każdego z nich: "O czym myślisz, gdy dmiesz w róg, moje dziecko?" Pierwszy odparł: "Myślę o Bogu." Drugi: "O oswobodzeniu Izraela." Trzeci: "O głodujących." Czwarty: "O sierotach i wdowach." Ostatni zaś, najbardziej obdarty z całej piątki, stał w kącie i nic nie mówił. "A ty dziecko? - zagadnął go rabin. - O czym myślisz kiedy dmiesz w róg?" "Ojciec - odparł tamten, okrywając się rumieńcem. - Jestem biedny, nie umiem pisać ani czytać, a mam cztery córki. Nie mogę dać im posagów, żeby powychodziły za mąż tak jak inne dziewczęta. Więc gdy dmę w róg, mówię sobie: Boże, ty widzisz, jak dla ciebie trudzę się i znoję. Proszę, ześlij czterech mężów dla moich czterech córek!" "Masz moje błogosławieństwo - odrzekł rabin. - Ciebie wybieram!"

Jezus zwrócił się do Piotra ze śmiechem:

- Masz moje błogosławieństwo, Piotrze. Ciebie wybieram. Myślisz o jedzeniu, więc mówisz o jedzeniu. Gdy myślisz o Bogu, mówisz o Bogu. Brawo! Dlatego zwać cię Wiatrakiem. Ciebie wybieram. Jesteś wiatrakiem młyna mielącego ziarno na chleb, którym pożywią się ludzie.

Mieli jeden kawałek chleba, który Jezus podzielił. Każdemu dostał się tylko kęs, ale nauczyciel pobłogosławił chleb, więc się nasycili. Potem posnęli, wsparci nawzajem o swoje ramiona.

Nocą wszystko śpi, odpoczywa i rośnie - nawet kamienie, woda i dusze. Gdy towarzysze przebudzili się rankiem, ich dusze rozrosły się i napęliły ciała pewnością i radością.

Wyruszyli przed świtem. Powietrze było chłodne, na jesiennym niebie zbierały się chmury. Przelatywały spóźnione żurawie, za nimi jaskółki kierujące się na

południe. Uczniowie maszerowali beztrąsko: niebo i ziemia łączyły się ze sobą w ich sercach; nawet najmniejszy kamyczk lśnił przepelniony Bogiem.

Jezus kroczył sam na przodzie, rozmyślając wciąż o łasce Bożej. Wiedział, że w końcu spalił za sobą mosty i nie może już zawrócić. Podążał za swoim losem. Będzie tak, jak postanowi Bóg... Jego los? Nagle znowu usłyszał tajemnicze kroki, które od dawna podążały za nim bezlitośnie. Nadstawił uszu i słuchał. Kroki były szybkie, ciężkie, zdecydowane. Tym razem jednak wyprzedzały go i prowadziły... "Tak jest lepiej - pomyślał. - Teraz już nie zabłądę..."

Z radością wydłużył krok. Zdawało mu się, że niewidzialny przewodnik przyspiesza, więc i on przyspieszył. Szedł przed siebie, szepcząc "Naprzód, naprzód!", potykał się o skały, przeskakiwał rowy, biegł. Nagle krzyknął. Poczł straszliwy ból w dłoniach i stopach, jakby przebijano je na wylot gwoździami. Upadł na skałę, zlany zimnym potem. Przez chwilę kręciło mu się w głowie. Ziemia uciekła mu spod stóp, przed nim rozciągał się ciemny, wzburzony ocean. Płynęła po nim dzielnie tylko jedna czerwona łódeczka o żaglach wydętych do granic wytrzymałości... Jezus wpatrywał się w nią z uśmiechem.

- To moje serce - wyszeptał. - To moje serce... Zawrót głowy ustąpił, ból ustał, a gdy nadeszli uczniowie, Jezus siedział spokojnie na skale i uśmiechał się do nich.

- Naprzód, chłopcy, szybciej! - zawołał wstając.

## ROZDZIAŁ XXI

Mówi się, że szabas to dobrze odżywiony chłopiec odpoczywający u Boga na kolanach. Razem z nim odpoczywają wody, ptaki nie budują gniazd, a ludzie nie pracują. Ubierają się, stroją i idą do synagogi patrzeć, jak rabin rozwija zwój z Prawem Bożym napisanym czerwonymi i czarnymi literami i słuchać, jak uczeni badają każde słowo, każdą sylabę i odkrywają - bardzo umiejętnie - wolę Boga.

Dziś jest szabas. W tej chwili wierni opuszczają synagogę w Nazarecie, oczy ciągle mają zamglone wizjami, które stary rabin Szymon przed nimi wywołał. Światło w ich oczach jest tak silne, że co chwilę potykają się jak ślepcy. Powoli rozchodzą się po placu i przechadzają pod daktyłowcami, żeby odzyskać równowagę.

Dziś rabin otworzył Pismo na chybił trafił. Wypadło na proroka Nahuma. Zdając się znów na przypadek, położył palec na następującym tekście: "Oto są na górach nogi zwiastuna, ogłaszającego radosną wieść o pokoju".

Stary rabin przeczytał te słowa dwukrotnie, a potem zawołał:

- To Mesjasz! Już nadchodzi. Rozejrzyjcie się, popatrzcie w głąb siebie. Wszędzie są znaki jego nadejścia. W nas: gniew, wstyd, nadzieja i krzyk: "Mamy już dość!" ... I na zewnątrz: patrzcie! Szatan siedzi na tronie Wszechświata. Na jednym kolanie trzyma i pieści zgniłe ciało człowieka, na drugim jego wszeteczną duszę. Nadszedł czas, o którym mówili prorocy. Otwórzcie Pismo. Co oni mówili? "Gdy Izrael zostanie strącony z tronu, a nasza święta ziemia zdeptana zostanie stopami barbarzyńców nadejdzie koniec świata!" Co jeszcze mówi Pismo: "Ostatni król będzie rozpustny, bezprawny, bezbożny; jego dzieci będą grzeszne, a korona zsunie się z głowy Izraela". Ten rozpustny król to Herod! Widziałem go na własne oczy, gdy wezwał mnie do Jerycha, żebym go uleczył. Zabrałem z sobą tajemne zioła, znam się na tym, i poszedłem. Poszedłem i od tego dnia nie mogę jeść mięsa, bo widziałem jego gnijące ciało; nie mogę pić wina, bo widziałem jego krew wypełnioną robactwem. Nawet po trzydziestu latach czuję w nosie jego odór... Zmarł, jego ciało zgniło. Przyszli jego synowie: powierzchowne, bezwartościowe męty. Korona królewska zsunęła się z ich głów...

- Proroctwa zostały spełnione: koniec świata jest blisko! Nad całym Jordanem rozlega się głos: "Nadchodzi!" W nas rozlega się głos: "Nadchodzi!" Dziś otworzyłem Pismo i litery ułożyły się w całość i zawołały: "Nadchodzi!". Zestarzałem się, mam

słaby wzrok, wypadają mi zęby, trzęsą się nogi. Cieszę się! Cieszę się, bo Bóg dał mi słowo. Powiedział: "Szymonie, nie umrzesz dopóki nie zobaczysz Mesjasza". Im bardziej zbliżam się do śmierci, tym bliższa jest chwila nadejścia Mesjasza. Odwagi, moje dzieci. Nie ma niewolnictwa, szatana, Rzymian. Jest tylko Mesjasz i już nadchodzi! Mężczyźni, chwytajcie za broń: to wojna! Kobiety, zapalcie lampy: nadchodzi pan młody! Nie znamy godziny - może to być dzisiaj, a może jutro. Bądźcie czujni! Słyszę, jak kamienie w górach przesuwają się pod jego stopami. Nadchodzi! Wyjdźmy na zewnątrz, może go zobaczymy!

Ludzie wyszli ze świątyni i rozproszyli się pod palmami daktylowymi. Słowa rabina były bardzo chaotyczne i jego słuchacze próbowali o nich zapomnieć, żeby wygasły płomienie, które rozpały i mogli zająć się codziennymi troskami. Gdy przechadzali się, oczekując niecierpliwie południa, kiedy wreszcie będą mogli wrócić do domów i rozmawiając, kłócąc się i jedząc zapomnieć święte słowa - w podartej szacie, bosy, z rozświetloną twarzą pojawił się syn Marii. Czterech uczniów podążało za nim skromnie; pochód zamykał ciemnooki, nietowarzyski, rudobrody Judasz.

Mieszczanie byli zdumieni. Skąd wzięła się ta hołota - i czy to nie jest syn Marii na przedzie?

- Patrzcie, jak idzie. Wyciąga ramiona i macha nimi jak skrzydłami. Bóg pomieszał mu zmysły i próbuje fruwać.

- Wchodzi na kamień i gestykuje. Będzie przemawiał.

- Chodźmy, zabawimy się!

Jezus rzeczywiście wszedł na kamień pośrodku placu. Ludzie zgromadzili się wokół niego rozweseleni, że pojawił się ten jasnowidz. Teraz będą mogli zapomnieć o słowach rabina. Powiedział im: "To wojna. Bądźcie czujni. On nadchodzi!" Od lat śpiewał im do uszu ten hymn i mieli go już dosyć. Teraz, dzięki Bogu, syn Marii pomoże im odzyskać spokój umysłu.

Jezus machał ramionami, każąc im zebrać się wokół siebie. Przestrzeń wypełniła się brodami, jarmuškami i prążkowanymi szatami. Niektórzy żuli daktyle, żeby oszukać głód, inni nasiona słonecznika, a najstarsi i najbardziej bogobojni odmawiali różaniec, odmierzając modlitwy niewielkimi węzłami błękitnego płótna zawierającymi tekst z Pisma.

Oczy Jezusa rozblęły. Mimo że stał przed tak dużym tłumem nie bał się. Otworzył usta.

- Bracia - krzyknął - otwórzcie uszy i serca i posłuchajcie moich słów. Izajasz

mówił: "Otrzymałem ducha od Boga, wybrał mnie, bym przyniósł Dobrą Nowinę biednym, wysłał mnie, żebym ogłosił wolność niewolników, a światło dla niewidomych!" Nadszedł ten dzień, bracia. Bóg Izraela wysłał mnie, bym przyniósł Dobrą Nowinę. Namaścił mnie na pustyni, skąd przychodzę! Powierzył mi wielką tajemnicę. Otrzymałem ją i przeszedłem przez równiny i góry - nie słyszeliście moich kroków na wzgórzach? - przyszedłem do wioski, w której się urodziłem, żeby ogłosić po raz pierwszy szczęśliwe wieści. Jakie szczęśliwe wieści? Nadeszło królestwo niebieskie.

Stary człowiek z dwoma garbami jak wielbłąd podniósł w górę różaniec i zarechotał:

- Mętne są twoje słowa, synu cieśli, mętne i bez pokrycia. "Królestwo niebieskie", "sprawiedliwość", "wolność" i "bierzcie co chcecie". Mam dość! Cuda, cuda! Chcę, żebyś coś zrobił, tu, teraz. Może jakieś cuda, żebyśmy uwierzyli. Jeśli nie, to zamknij się!

- Wszystko jest cudem - odparł Jezus. - Jakich jeszcze chcesz cudów? Rozejrzyj się: nawet najmniejsze źdźbło trawy ma swego anioła stróża, który stoi przy nim i pomaga mu rosnąć. Jakim cudem jest niebo usiane gwiazdami! A gdy zamkniesz oczy, jakim cudem jest świat wewnątrz nas! Jakimż usianym gwiazdami niebem jest nasze serce!

Słuchacze zdziwieni zwracali się do siebie:

- Czy to nie syn Marii? Jak on może mówić z taką pewnością?

- Diabeł przemawia jego ustami. Gdzie są jego bracia, żeby go związali, by nikogo nie pogryzł?

- Znów otwiera usta, cicho!

- Nadszedł dzień Pana, bracia. Jesteście gotowi? Zostało wam tylko kilka godzin. Zawołajcie biednych i podzielcie swój dobytek. Jakie znaczenie mają dobra tego świata? Nadchodzi ogień, który je strawi! Przed królestwem niebieskim, królestwo ognia. W dniu Pana kamienie domów bogaczy podniosą się i zniszczą mieszkańców; złoto w skrzyniach majątnych spoci się, a na nich samych spłynie pot i krew biednych. Otworzą się niebiosa, wyleje się z nich powódź i nad płomieniami pojawi się nowa arka. Mam klucze, otworzę arkę i dokonam wyboru. Bracia z Nazaretu, zaczynam od was. Jesteście pierwszymi, których zapraszam. Chodźcie, wejdźcie. Płomienie Boga zaczęły się już zniżać!

- Ho, ho, ho! Syn Marii przyszedł nas zbawić! - zaszumiał tłum wśród



wybuchów śmiechu. Część ludzi schyliła się, wzięła w dłonie kamienie i czekała.

Na skraju placu pojawił się biegnący człowiek. Był to pasterz Filip. Wyruszył, jak tylko usłyszał o przybyciu swoich przyjaciół. Miał zapuchnięte i czerwone oczy, jakby płakał, i zapadnięte policzki. Tego samego dnia, kiedy pożegnał się z Jezusem i jego towarzyszami mówiąc do nich żartobliwie: "Nie idę, mam owce, co mam z nimi zrobić?" napadli na niego bandyci z Libanu i ograbili, zostawiając mu tylko jego pasterską laskę. Zatrzymał ją i chodził od wsi do wsi, z jednej góry na drugą, zdetronizowany król, szukając swego stada. Przeklinał i straszył, ostrzył nóż i mówił, że wybiera się do Libanu. W nocy, kiedy był zupełnie sam, płakał... Teraz przybiegł, by przyłączyć się do starych przyjaciół i opowiedzieć im o swoim cierpieniu. Miał nadzieję, że wszyscy razem wyruszą do Libanu. Usłyszał śmiech i gwizdy. "Co się tu dzieje - powiedział do siebie. - Dlaczego się śmieją?" Podszedł bliżej.

Jezusa ogarnęła złość.

- Z czego się śmiejecie? - krzyknął. - Dlaczego podnosicie kamienie, żeby uderzyć Syna Człowieczego? Dlaczego przechwalacie się swoimi domami, lasami oliwnymi i winnicami? Proch, popiół! I wasi synowie i córki: popiół! Płomienie zstąpią z gór, żeby pożreć wasze owce!

- Jakie płomienie, jakie owce? - wymamrotał Filip z podbródkiem opartym na lasce. - Co to za płomienie nam teraz przynosi?

Jezus mówił, a na placu pojawiała się coraz więcej ludzi z ubogiej dzielnicy. Słyszeli o proroku biedoty i przybiegli. Mówiono, że w jednej ręce miał płomienie niebiańskie, które spalą bogatych, a w drugiej wagę do rozdzielenia ich dóbr wśród biednych. Był nowym Mojżeszem, przynosił nowe, bardziej sprawiedliwe Prawo. Oczarowani ludzie stali i słuchali go. Nareszcie to nastąpiło! Nadeszło królestwo biednych!

Ale kiedy Jezus znowu otworzył usta, by przemówić, czworo ramion złapało go i ściągnęło z kamienia. Związano go szybko grubym powrozem. Jezus obrócił się i zobaczył synów Józefa, swych własnych braci; kulawego Szymona i pobożnego Jakuba.

- Idź do domu, do środka! - krzyczeli ciągnąc go. - Opętał cię diabeł!

- Nie mam domu. Puśćcie mnie. To jest mój dom; to są moi bracia - wołał Jezus wskazując na tłum.

- Do domu, do domu! - krzyczeli ludzie. Ktoś rzucił kamieniem. Zranił czoło Jezusa: popłynęła pierwsza kropla krwi. Stary z dwoma garbami skrzeczał:

- Śmierć, śmierć! To czarownik, rzuca na nas klątwę, wzywa ogień i on nadejdzie!

- Śmierć! Śmierć - dało się słyszeć ze wszystkich stron.

Piotr wystąpił do przodu.

- Wstyd - krzyknął. - Co on wam zrobił? Jest niewinny!

Młody, rosły mężczyzna rzucił się na niego:

- Wygląda na to, że jesteś po jego stronie! - zawołał i złapał go za gardło.

- Nie, nie jestem! - krzyczał Piotr usiłując się uwolnić.

Pozostała trójka towarzyszy Jezusa była śmiertelnie przerażona. Jakub i Andrzej stali w gotowości, oceniając swoje siły. Oczy Jana wypełniły się łzami. Lecz Judasz rozsunał tłum ramionami, odsunął braci od Jezusa i rozwiązał powróż.

- Wynocha - warknął - albo będziecie mieli ze mną do czynienia!

- Idź do swojego miasta, jeżeli chcesz wydawać rozkazy - zapiszczał kulawy Szymon.

- Wydaję rozkazy tam, gdzie jestem, kuternogo! - rzekł i odwrócił się do pozostałych uczniów. - Nie wstyd wam wypierać się go już teraz? Naprzód! Weźcie go do środka, żeby nikt nie mógł go dotknąć!

Skarceni czterej uczniowie czuli się zawstydzeni. Ubodzy i obdarci podskoczyli do przodu krzycząc:

- Bracia, jesteśmy z wami! Zabijmy ich!

- Ja też jestem z wami - rozległ się dziki głos. Filip rozsunał tłum laską. - Ja też idę!

- Witaj Filipie - odpowiedział mu rudobrody. - Chodź z nami! Biedni i pokrzywdzeni - wszyscy razem!

Mieszczan, gdy zobaczyli, że biedota buntuje się przeciwko nim ogarnęła wściekłość. Syn cieśli naopowiadał im o odwróceniu ustalonego porządku świata. Czy nie powiedział, że przynosi nowe Prawo? Śmierć! Śmierć!

Tłum zafalował i zaatakował, niektórzy laskami, inni nożami, część kamieniami. Stary garbus trzymał się z boku i zagrzewał walczących. Przyjaciela Jezusa schronili się za drzewami na skraju placu, inni wybiegli na otwartą przestrzeń. Jezus stanął pomiędzy dwoma wrogimi obozami. Rozłożył ramiona zawołał:

- Bracia! Bracia!

Nikt go jednak nie słuchał. Ciskano już wściekle kamieniami i słychać było jęki pierwszych rannych.

Z wąskiej ulicy wybiegła jakaś kobieta. Na twarzy miała purpurową chustę odsłaniającą jedynie jej usta i duże czarne oczy wypełnione łzami.

- Na miłość boską, nie zabijajcie go! - krzyknęła wysokim głosem.

- Maria, jego matka! - rozległo się w tłumie.

Jednak w tym stadium rozjuszenia nie mogli się nad nią litować.

- Śmierć! Śmierć! - wyli. - Przyszedł, żeby zamieszać ludziom w głowach, żeby wywołać bunt, żeby rozdzielić to co mamy między bosonogich biedaków. Śmierć!

Rozpoczęła się już walka. Dwaj synowie Józefa skowycząc tarzali się po ziemi. Jakub zranił obu, trafiając kamieniami prosto w głowy. Judasz stał przed Jezusem z wyciągniętym sztyletem nie pozwalając nikomu się zbliżyć. Filipowi przypomniały się jego owce. Nie mogąc się powstrzymać wymachiwał na oślep swą laską.

- W imię Boga - dał się słyszeć głos Marii - on jest chory! Postradał zmysły. Miejcie dla niego litość!

Ale jej krzyk utonął w ogólnym zgiełku. Judasz złapał najsilniejszego z mężczyzn, przystawił mu nóż do gardła, ale Jezus w porę odciągnął rudobrodego.

- Judaszu, mój bracie - wykrzyknął. - Bez krwi! Żadnej krwi!

- A co, woda? - odparł wściekle rudobrody. - Zapomniałeś, że niesiesz topór? Nadszedł czas!

Podniecony razami, które otrzymał, nawet Piotr zrobił się wojowniczy. Złapał duży kamień i rzucił się na starców.

Maria weszła w sam środek walki i zbliżyła się do swego syna. Wzięła go za rękę.

- Moje dziecko - powiedziała - co się z tobą stało? Jak mogłeś się tak poniżyć? Chodź do domu, zmień szaty, umyj się i nałóż sandały. Jesteś cały brudny, mój synu.

- Nie mam domu - odpowiedział. - Nie mam matki. Kim jesteś?

Matka zaczęła płakać. Wbiła paznokcie w policzek i nic już nie powiedziała.

Piotr rzucił swój kamień. Zmiażdżył stopę starego człowieka z podwójnym garbem. Ofiara zawyla z bólu i oddaliła się utykając w kierunku domu rabina. W tym momencie pojawił się dyszący rabin. Usłyszał zgiełk i poderwał się od stołu, gdzie z twarzą pogrążoną w Piśmie usiłował zrozumieć wolę Boga. Usłyszawszy tumult, wziął pastorał i pobiegł zobaczyć co się dzieje. Po drodze spotkał kilku rannych i dowiedział się wszystkiego. Rozsunął tłum i dotarł do syna Marii.

- Co to znaczy, Jezusie? - powiedział surowo. - Czy to ty, zwiastunie miłości? Czy taką miłość przynosisz? Nie wstyd ci?

Zwrócił się do tłumu.

- Wracajcie do domów, moje dzieci. To mój siostrzeniec. To chory, nieszczęśliwy człowiek; choruje od wielu lat. Nie miejcie do niego urazy za to, co powiedział i przebaczcie mu. To nie on przemawia, ale ktoś, kto używa jego ust.

- Bóg! - zawołał Jezus.

- Cicho bądź - warknął rabin i dotknął go z dezaprobatą pastorałem.

Jeszcze raz zwrócił się do tłumu:

- Zostawcie go w spokoju, moje dzieci. Nie miejcie do niego żalu, bo nie wie, co mówi. Wszyscy - biedni i bogaci - jesteśmy dziećmi Abrahama. Nie kłóćcie się między sobą. Jest już południe, wracajcie do domów. Wyleczę tego nieszczęśnika.

Po czym powiedział do Marii:

- Idź do domu Mario. Wkrótce tam będziemy.

Matka obrzuciła swego syna pełnym miłości ostatnim spojrzeniem, jak gdyby żegnała go na zawsze. Westchnęła i zniknęła w wąskich uliczkach.

Podczas tych morderczych zmagañ chmury zasnuły niebo. Zanosilo się na odświeżający ziemię deszcz. Zerwał się wiatr. Zaszleściły spadłe z drzew liście platana i figowca. Plac opustoszał.

Jezus odwrócił się do Filipa i wyciągnął rękę.

- Witaj, Filipie, mój bracie - powiedział.

- Cieszę się, że cię widzę - odpowiedział Filip, ściskając rękę Jezusa i podając mu laskę. - Oprzyj się na niej.

- Chodźcie, przyjaciele - powiedział. - Otrząśnijcie pył ze stóp. Żegnaj Nazarecie!

- Pójdę z wami do krańca wioski, żeby nikt was nie niepokoił - powiedział stary rabin.

Wziął Jezusa za rękę i poszli przodem. Rabin czuł, jak dłoń Jezusa płonie w jego uścisku.

- Synu - powiedział - nie bierz na siebie trosk innych. Zniszczą cię.

- Nie mam żadnych swoich trosk, ojcze. Niech zniszczą mnie troski innych.

Dotarli do krańca Nazaretu. Dostrzegli sady, a za nimi pola. Idący z tyłu uczniowie zatrzymali się, żeby przemyć rany w strumieniu. Razem z nimi szło wielu biedaków i paralityków, a także dwóch ślepców - wszyscy rozmawiali i czekali aż nowy prorok dokona cudów. Byli podekscytowani i weseli, jakby wracali z wielkiej bitwy.

Czterej uczniowie szli w milczeniu. Niespokojni, pospiesznie zbliżali się do

Jezusa, szukając pocieszenia. Nazaret, miasto Mistrza przyjęło ich nieprzyjaźnie: wielka kampania zaczęła się niefortunnie! "A jeśli wygnają nas z Kany - myśleli - i z Kafarnaum i z wszystkich miast i wsi wokół jeziora Genezaret, co się wtedy z nami stanie? Dokąd pójdziemy? Komu będziemy głosić słowo Boże? Skoro naród izraelski nas nie chce, do kogo się zwrócimy? Do niewiernych?"

Spoglądali na Jezusa, ale żaden nie otworzył ust, żeby przemówić. Jezus zobaczył jednak strach w ich oczach i wziął Piotra za rękę.

- Piotrze, człowieku małej wiary - powiedział - czarny potwór o błyszczącej sierści siedzi pomarszczony i trzęsący się w twoich źrenicach. To strach, Piotrze, strach. Boisz się?

- Kiedy jestem daleko od ciebie, tak, wtedy się boję. Dlatego podchodzę blisko, dlatego wszyscy podchodzimy blisko. Przemów do nas i uspokój nasze serca.

Jezus uśmiechnął się.

- Gdy zagłębiam się w swoją duszę - powiedział - nie wiem jak i dlaczego prawda zawsze wychodzi ze mnie w formie przypowieści. Tak więc, przyjaciele, raz jeszcze przemówię do was w ten sposób: Wielki szlachcic nakazał kiedyś przygotować wystawny obiad z okazji małżeństwa swego syna. Gdy tylko zarżnięto byki i nakryto stoły, rozesłał służbę, żeby ogłosili zaproszonym: "Wszystko jest gotowe. Jeśli taka wasza wola, przyjdźcie na wesele". Ale każdy z zaproszonych znalazł pretekst, żeby nie przybyć: "Kupiłem ziemię, której muszę doglądać" - powiedział jeden. "Sam się właśnie ożeniłem i nie mogę przyjść" - powiedział drugi. "Kupiłem dziesięć wołów i muszę je wypróbować" - wykręcił się następny. Służba wróciła i powiedziała panu: "Nikt z zaproszonych nie może przyjść. Wszyscy mówią, że są zajęci". Szlachcic rozzłościł się. "Biegnijcie szybko na pola i rozdroża, zbierzcie biednych, kulawych, ślepych i przyprowadźcie ich tutaj. Zaprosiłem przyjaciół, ale odmówili. Dlatego wypełnię dom nie zaproszonymi, niech jedzą, piją i cieszą się z wesela mego syna".

Jezus zamilkł. Zaczął spokojnie, ale im dłużej mówił, tym natarczywiej myślał o Nazarejczykach i Żydach, a gniew przysłał mu oczy. Uczniowie spoglądali na niego ze zdumieniem.

- Kim są zaproszeni, kim nie proszeni, co to za małżeństwo? Wybacz, Mistrzu, ale nie rozumiemy - powiedział Piotr drapiąc się w głowę.

- Zrozumcie - odrzekł Jezus - że wzywam zaproszonych, by weszli na arkę, a oni odmawiają, bo, jak mówią, mają pola, winnice i żony, a ich oczy, uszy, usta, nosy i dłonie to dziesięć wołów, które orzą - co orzą? Bezdenną otchłań!

Westchnął. Patrząc na uczniów, poczuł się zupełnie zagubiony.

- Mówię - wymamrotał - ale do kogo? Do pustki. Jestem jedynym, który słucha. Kiedy na pustyni wyrosną uszy, które będą mnie słuchały?

- Wybacz nam, Mistrzu - powtórzył Piotr - ale na razie nie rozumiemy. Bądź cierpliwy, zrozumiemy.

Jezus odwrócił się i spojrział na rabina, lecz stary człowiek patrzył na ziemię. Wyczuwał straszliwe, ukryte znaczenie i jego stare, pozbawione rzęs oczy wypełniły się łzami.

Na końcu Nazaretu, przed drewnianą szopą stał urzędnik, który pobierał opłaty. Wszyscy kupcy, którzy wjeżdżali lub wyjeżdżali z wioski musieli płacić Rzymianom podatek. Był niski, krępy, wrogo nastawiony; miał żółte, miękkie dłonie, niebieskawe palce i czarne paznokcie; miał długie owłosione uszy i głos wysoki jak u eunucha. Cała wieś uważała, że jest odpychający i nienawidziła go. Nikt nie chciał podać mu ręki, a każdy, kto przechodził obok szopy, patrzył w drugą stronę. Czyż Pismo nie mówiło: "Naszym obowiązkiem jest płacić podatki tylko Bogu, nie człowiekowi"? Był celnikiem, zbierającym podatki w służbie tyranowi. Deptał Prawo, zarabiał nielegalnie. Powietrze wokół niego było zatrute na siedem mil.

- Ruszajcie się szybko, chłopcy - powiedział Piotr. - Wstrzymajcie oddech. Odwróćcie wzrok!

Jezus przystanął. Mateusz stojący przed szopą trzymał w ustach gęsie pióro. Oddychał szybko, nie bardzo wiedząc co zrobić. Bał się zostać tam gdzie stał, a nie chciał wchodzić do szopy. Od dawna pragnął ujrzeć z bliska nowego proroka, który twierdził, że wszyscy ludzie są braćmi. Czy to nie on powiedział: "Bóg bardziej kocha skruszonego grzesznika niż tego, który nigdy nie grzeszył"? A innego dnia czy nie powiedział: "Przyszedłem na świat nie dla sprawiedliwych lecz dla grzeszników" i czyż z nimi nie rozmawiał i nie jadł? A kiedy indziej kiedy zapytano go: "Jakie jest prawdziwe imię Boga?" odpowiedział: "Miłość".

Przez wiele dni i nocy Mateusz rozmyślał nad tymi słowami, powtarzając z westchnieniem "Kiedy go zobaczę? Kiedy padnę do jego stóp?" A teraz, kiedy stał przed nim, wstydził się podnieść wzrok i choćby popatrzeć. Stał bez ruchu z opuszczoną głową i czekał. Na co czekał? Prorok odejdzie za chwilę i utraci go na wieki.

Jezus zrobił krok w jego kierunku i powiedział: "Mateuszu" głosem tak cichym i słodkim, że celnik poczuł, jak jego serce taje i odważył się podnieść wzrok. Jezus stał

przed nim i wpatrywał się w niego. Był łagodny, a jednocześnie potężny: urzędnik poczuł ulgę, jego serce uspokoiło się, a umysł rozjaśnił. Trząsał się, ale teraz oblało go i ogrzało słońce. Jaka to była radość, jaka pewność, jaka przyjaźń! Czy świat był zatem taki prosty, a zbawienie takie łatwe?

Mateusz wszedł do środka, zamknął swoje księgi, nie zapisaną schował pod pachę, wsunął kałamarz za pas, a gęsie pióro za ucho. Później zamknął szopę na klucz i wyrzucił go do ogrodu. Gdy skończył, podszedł na trzęsących się nogach do Jezusa. Zatrzymał się. Powinien zbliżyć się jeszcze czy nie? Czy nauczyciel poda mu rękę? Podniósł oczy i spojrzał na Jezusa, jak gdyby błagając go o litość.

Jezus uśmiechnął się i podał mu rękę.

- Witaj, Mateuszu. Chodź ze mną.

Uczniowie poczuli się zakłopotani i przeszli na jedną stronę drogi. Stary rabin pochylił się do ucha Jezusa.

- Moje dziecko - rzekł - to celnik! To wielki grzech. Musisz słuchać Prawa.

- Ojczy - odparł Jezus. - Słucham swego serca.

Wyszli z Nazaretu. Minęli sady i dotarli do pól. Wiał zimny wiatr. W ciemności błyszczała góra Hermon pokryta pierwszym śniegiem.

Rabin raz jeszcze ujął Jezusa za rękę. Chciał z nim porozmawiać, zanim się rozstaną. Ale co mógł powiedzieć? Od czego powinien zacząć? Jezus twierdził, że na pustyni Bóg wyposażył go w ogień i ziarno. Powiedział, że spali ten świat i zasadzi nowy... Rabin przyglądał mu się ukradkiem. Miał mu wierzyć? Czy Pismo nie mówiło, że wybraniec Boga będzie pogardzany i odrzucony przez ludzi tak jak wyschnięte drzewo, które wyrosło wśród kamieni? Dlatego było możliwe, że ten człowiek jest tym Wybranym ...

Rabin pochylił się w kierunku Jezusa.

- Kim jesteś? - zapytał łagodnie i tak cicho, żeby inni nie słyszeli.

- Jesteś ze mną od moich narodzin, wuju, i jeszcze mnie nie poznałeś?

Serce starego zamarło.

- To więcej niż mogę pojąć - wymamrotał - dużo więcej niż mogę pojąć umysłem ...

- A sercem?

- Moje dziecko, nie słucham swego serca. Prowadzi ono do otchłani.

- Do otchłani Boga - zbawienia - powiedział Jezus, patrząc na starego człowieka ze współczuciem, a po chwili dodał - ojczy, pamiętasz sen, jaki miał prorok Daniel w

Babilonie o narodzie izraelskim? Bóg Ojciec siedział na tronie, jego szaty były białe jak śnieg, włosy na głowie jak biała wełna owcy. Tron zrobiony był z płomieni, a u jego stóp płynęła rzeka. Wtedy otwarły się niebiosa i kto zstąpił na chmurach? Pamiętasz, ojcze?

- Syn Człowieczy - odpowiedział stary rabin, który myślał o tym śnie od wieków. Czasami nawet go śnił.

- A kto jest Synem Człowieczym, ojcze?

Pod rabinem ugięły się nogi. Spojrzał z przerażeniem na młodzieńca.

- Kto? - wyszeptał wpatrując się w usta Jezusa. - Kto?

- Ja - odpowiedział spokojnie Jezus i położył dłoń na głowie rabina, jakby go błogosławił.

Stary człowiek chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił otworzyć ust.

- Żegnaj, ojcze - powiedział Jezus. - Musisz być szczęśliwym człowiekiem, bo Bóg dotrzymał słowa i uznał cię godnym zobaczenia przed śmiercią tego, co pragnąłeś ujrzeć przez całe swoje życie.

Rabin wpatrywał się w niego zmrużonymi oczami. Co go otaczało: trony, skrzydła i Syn Człowieczy na chmurze? Czyżby śnił? A może to prorok Daniel? Czy otwierały się przed nim drzwi przyszłości, umożliwiając mu jedno krótkie spojrzenie? Nie stał teraz na ziemi lecz w chmurach; a ten młodzieniec, który uśmiechał się i trzymał go za rękę nie był synem Marii, był Synem Człowieczym!

Czując, że kręci mu się w głowie, wsparł się na pastorałe, żeby nie upaść. Potem patrzył na Jezusa, który trzymając swą pasterską laskę przesuwiał się pod jesiennymi drzewami. Niebo pociemniało; deszcz nie mógł już dłużej utrzymać się w chmurach: zaczęło padać. Ubranie starego rabina przemokło i przykleiło się do ciała. Woda spływała mu po włosach. Choć trząsał się, trwał nadal w bezruchu na środku drogi. Jezus ze swymi uczniami zniknął już za drzewami, a stary rabin wciąż stał na wietrze i deszczu, i póki mógł śledził wzrokiem, jak obdarci i bosonodzy szli wciąż przed siebie. Dokąd zmierzali? W jakim kierunku? Czy tym bosonogim, niepiśmiennym biedakom uda się rozpalić świat? Wyroki boskie są niezbadane. ...

- Adonai - wyszeptał. - Adonai ...

A łzy zaczęły spływać mu po policzkach.



## ROZDZIAŁ XXII

Rzym rozsiadł się na narodach i rozpostarłszy szeroko swoje wszechmocne i nienasycone ramiona, zagarnia łodzie, karawany, bogów i towary z całego świata i ze wszystkich mórz. Nie wierząc w żadnego boga, nieustraszony Rzym z ironicznym pobłażaniem przyjmuje wszystkich bogów na swój dwór: bogów dalekiej Persji, kraju czcicieli ognia; Mitrę, syna Ormuzda, którego obliczem jest słońce, siedzącego na świętym byku przeznaczonym na ofiarę; Izydę z opływającego mlekiem kraju nad Nilem, która wiosną szuka na kwitnących polach czternastu kawałków ciała swego męża i brata - Ozyrysa, poćwiartowanego przez Tyfona; pięknego Adonisa z Syrii, wśród rozdzierających serce lamentów; Attisa z Frygii, leżącego na marach i pokrytego zwiędłymi fiołkami; Asztarte z bezwstydnej Fenicji, boginkę, która ma tysiąc mężów: wszystkich bogów i diabłów Azji i Afryki; a z Grecji cały Olimp, którego szczyt ginie w chmurach, i cały mroczny Hades.

Rzym gości wszystkich bogów; zbudował drogi, uwolnił morza od piratów, a lądy od bandytów, przyniósł światu pokój i porządek. Nad nim nie stoi nikt, nawet Bóg. Pod nim - wszyscy. Bogowie i ludzie: wszyscy są obywatelami i niewolnikami Rzymu. Czas i Przestrzeń to bogato zdobione zwoje pergaminu, które Rzym trzyma zwinięte w swej pięści. "Jestem wieczny - przechwała się - głaszcząc dwugłowego orła, który zwinąwszy splamione krwią skrzydła, odpoczywa u stóp swego pana". "Jakież splendor, jaka niezmacona radość, gdy jest się wszechmocnym i wiecznym" - myśli Rzym i szeroki uśmiech pojawia się na jego tłustej, mięsistej, pokrytej świeżym różem twarzy.

Uśmiecha się z zadowoleniem... i zapomina. Dla kogo otworzył szlaki lądowe i morskie, dla kogo trudził się przez tyle stuleci, by zapewnić pokój i bezpieczeństwo? Nigdy nawet nie przychodzi mu to na myśl. Zwycięzał, ustanawiał prawa, bogacił się, rozciągał swoje panowanie na cały świat - dla kogo, dla kogo?

Dla bosego człowieka, który w tej chwili, wraz z podążającym za nim tłumem oberwańców, idzie pustą drogą z Nazaretu do Kany. Nie ma gdzie spać, co jeść ani w co się ubrać. Wszystkie jego spizarnie, konie i bogate jedwabie są nadal w niebie - ale już niedługo.

Trzymając w dłoniach pasterską laskę, maszeruje na pokrwawionych nogach wśród kurzu i kamieni. Czasami zatrzymuje się, opiera na lasce i w milczeniu wodzi

wzrokiem po górach. Wpatruje się w światłość ponad szczytami, spogląda ku Bogu, który zasiada wysoko i strzeże ludzi. Unosi laskę, pozdrawia go, a potem znów podejmuje swoją wędrówkę...

Jezus i jego towarzysze w końcu dotarli do Kany. Przy studni, na skraju wioski młoda, blada kobieta z nabrzmiałym ciężą łonem radośnie czerpała wodę i napełniała nią swój dzban. Poznali ją. Była to ta dziewczyna, na której ślubie byli w lecie. Życzyli jej wtedy, żeby powiła syna.

- Nasze życzenie spełniło się - powiedział Jezus z uśmiechem.

Dziewczyna zarumieniała się i zapytała, czy nie chce im się pić. Nie byli spragnieni, więc postawiła dzban na głowie, weszła do wioski i zniknęła im z oczu.

Piotr wysunął się na czoło i zaczął pukać do wszystkich drzwi, biegając od progu do progu. Popadł w dziwne upojenie. Tańczył i wołał:

- Otwierać! Otwierać!

W drzwiach pojawiały się kobiety. Zapadała noc, rolnicy wracali ze swych pól.

- O co chodzi, przyjacielu? - pytali ze zdziwieniem. - Dlaczego walisz w nasze drzwi?

- Nadszedł dzień Pański - odpowiadał Piotr. - Ludzie, potop! Przynosimy nową arkę. Niech wszyscy, którzy wierzą w Pana, wejdą do środka. Słuchajcie! Nasz Mistrz ma klucz. Pospieszcie się!

Kobiety ogarniał strach. Mężczyźni zbliżali się do Jezusa, który siedział teraz na kamieniu i końcem swojej laski rysował na ziemi krzyże i gwiazdy. Chorzy i kulawi z całej wioski zebrali się wokół niego.

- Rabbi, dotknij nas, a będziemy uzdrowieni. Powiedz nam dobre słowo, a zapomnimy, że jesteśmy ślepi, chromi i trędowaci.

Wysoka, starsza kobieta w czerni, o szlachetnym wyglądzie, zawołała:

- Miałam syna, a oni go ukrzyżowali. Wskrześ go z martwych!

Kim była ta starsza kobieta szlachetnego rodu? Zdziwieni rolnicy odwrócili się. Nikt z ich wioski nie został ukrzyżowany. Rozglądali się, żeby odkryć skąd dobiega ten głos - ale kobieta rozplynęła się w szarości zapadającego zmroku.

Pochylony nad ziemią Jezus rysował krzyże i gwiazdy, i słuchał dźwięku wojennej trąbki, który płynął z przeciwnego wzgórza. Słysząc było też ciężki, rytmiczny marsz i nagle w świetle zachodzącego słońca zabłysły tarcze i helmy z brązu. Wieśniacy odwrócili się; ich twarze sposepniały.

- Ten przeklęty łowca wraca z polowania. Znów wyruszył łapać buntowników.

- Przywiózł swoją sparaliżowaną córkę do naszej wioski, żeby - jak mówi - uleczyło ją tu czyste powietrze. Ale Bóg Izraela ma księgę, w której wszystko jest zapisane i niczego nie przebacza. Pogrzebią ją tu w kananejskiej ziemi!

- Uciszczone się, nieszczęśnicy - on już tu jest!

Minęło ich trzech jeźdźców. W środku jechał Rufus, setnik z Nazaretu. Spinając konia ostrogą podjechał do tłumu wieśniaków.

- Po co się tu gromadzicie? - zawołał unosząc w górę swój bat. - Rozejście się! - Jego twarz była naznaczona cierpieniem. Przez kilka ostatnich miesięcy postarzał się; włosy zaczynały mu siwieć. Złamały go ból i żal, dręczące go od chwili, gdy jego jedyna córka pewnego ranka obudziła się sparaliżowana. Rozpędzając konno wieśniaków, kątem oka zauważył Jezusa siedzącego na uboczu, na kamieniu. Twarz pojaśniała mu nagle. Spiął ostrogą konia i zbliżył się.

- Synu cieśli - powiedział - a więc wróciłeś z Judei - witaj! Szukałem cię. - Zwrócił się do wieśniaków. - Mam mu coś do powiedzenia. Wynoście się! - Popatrzył na uczniów i biedaków, którzy szli za nim od Nazaretu; rozpoznał kilku z nich i zmarszczył brwi.

- Synu cieśli - powiedział - pomagalesz krzyżować innych, uważaj, żebyś sam nie został ukrzyżowany. Nie mieszaj się z tymi ludźmi, nie macz im w głowach. Ja mam ciężką rękę, a Rzym jest wieczny.

Jezus uśmiechnął się. Wiedział bardzo dobrze, że Rzym nie jest wieczny ale nie odezwał się ani słowem.

Wieśniacy rozeszli się z pomrukiem. Stanęli w pewnej odległości z oczami wlepionymi w trzech buntowników, wysokiego starca z rozwidloną brodą i jego dwóch synów, zakuty w łańcuchy i prowadzonych przez legionistów. Wszyscy trzej mieli wysoko uniesione głowy i spoglądali ponad hełmami rzymskich żołnierzy, starając się ujrzeć tłum, ale nic nie widzieli, nic z wyjątkiem Boga Izraela, który trwał w powietrzu wyprostowany i gniewny.

Judasz rozpoznał ich. Kiedyś walczył razem z nimi ramię przy ramieniu.

Kiwnął głową, ale oni, oślepieni Bożym majestatem, nie zauważyli go.

- Synu cieśli - powiedział setnik, pochylając się nisko na swoim wierzchowcu. - Niektórzy bogowie nienawidzą nas i zabijają; inni nie raczą spojrzeć w dół, by nas zauważyć; jeszcze inni, przyjaźni i pełni miłosierdzia, leczą choroby nieszczęśliwych śmiertelników. Synu cieśli, do której z tych kategorii należy twój Bóg?

- Jest tylko jeden Bóg - odpowiedział Jezus. - Nie bluźnij, setniku!

Rufus pokręcił głową:

- Nie zamierzam wdawać się z tobą w religijne dysputy - powiedział. - Nienawidzę Żydów i - mam nadzieję, że nie poczujesz się urażony tym, co powiem - wy wszyscy nieustannie mówicie o Bogu. Chciałem cię spytać tylko o jedno: czy twój Bóg może... - przerwał. Było mu wstyd, że musi zniżać się do tego, żeby prosić Żyda o przysługę.

W jego umyśle pojawił się jednak obraz wąskiego, panieńskiego łóżka z nieruchomym, bladym ciałem młodej dziewczyny o dużych zielonych oczach, które patrzyły na niego, patrzyły i błagały...

Wyrzucił pychę z serca i pochylił się jeszcze niżej w siodle.

- Synu cieśli, czy twój Bóg może uzdrawiać chorych? - patrzył z bólem w oczach na Jezusa. - Czy może? - zapytał ponownie widząc, że Jezus milczy.

Jezus powoli podniósł się z kamienia, na którym siedział i podszedł do jeźdźca.

- "Ojcowie zjedli kwaśne winogrona, a ich dzieciom zdrętwiały zęby". Takie jest prawo mojego Boga.

- To niesprawiedliwe! - zawołał setnik i wzdrygnął się.

- Nie, sprawiedliwe! - zaprzeczył mu Jezus. - Ojciec i syn wyrastają z jednego korzenia. Razem wznoszą się do nieba, razem zstępują do piekła. Jeśli uderzysz jednego, obaj odnoszą rany; jeśli jeden z nich popełni błąd, obaj zostaną ukarani. Ty, setniku, ścigasz nas i zabijasz, a Bóg Izraela zsyła na twoją córkę paraliż.

- To harde słowa, synu cieśli. Raz słyszałem przypadkiem, gdy przemawiałeś w Nazarecie, a słowa, które wtedy wypowiadałeś wydawały mi się zbyt słodkie jak dla Rzymianina. Ale teraz...

- Wtedy królestwo niebieskie było słowami, teraz zaś jest końcem świata. Od czasu, gdy mnie słyszałeś, setniku, Sprawiedliwy Sędzia zasiadł na swym tronie, otworzył księgi, w których wszystko jest zapisane i wezwał Sprawiedliwość, która przybyła z mieczem w dłoni i stanęła u jego boku.

- A więc twój Bóg to tylko jeszcze jeden z tych bogów, których ogranicza sprawiedliwość! - zawołał w podnieceniu setnik. - Czy nie ma nic prócz sprawiedliwości? Czym więc było to nowe przesłanie miłości, które głosiłeś zeszłego lata w Galilei? Mojej córce nie jest potrzebna Boża sprawiedliwość, ona potrzebuje Bożej miłości. Szukam Boga, który jest ponad wszelką sprawiedliwość i który może uzdrowić moje dziecko. Dlatego poruszyłem niebo i ziemię w całym Izraelu, żeby cię znaleźć.... Miłość - słyszysz? Miłość, nie sprawiedliwość.

- Bezlitosny, rzymski setniku: kto wkłada te słowa w twoje okrutne usta?  
- Cierpienie i miłość do mojego dziecka. Szukam Boga, który uzdrowi moje dziecko, abym mógł w niego uwierzyć.

- Błogosławieni ci, którzy wierzą w Boga, nie żądając cudów.

- Tak, błogosławieni. Ale ja jestem twardym człowiekiem i trudno mnie przekonać. Widziałem wielu bogów w Rzymie - mamy ich tam tysiące w klatkach - wszyscy mi obrzydli!

- Gdzie jest twoja córka?

- Tutaj. Jest w ogrodzie, w najwyższej części wioski.

- Chodźmy.

Setnik zebrał siły i zeskoczył z konia. On i Jezus maszerowali na przedzie. Za nimi, w pewnej odległości, szli uczniowie, a jeszcze dalej, tłum wieśniaków. Zza tylnej straży oddziału wyłonił się niezmiernie uszczęśliwiony Tomasz. Chodził za żołnierzami i sprzedawał im z ogromnym zyskiem swoje towary.

- Hej, Tomaszu - zawołali do niego uczniowie - nadal nie chcesz z nami pójść, co? Zaraz zobaczysz cud i uwierzysz.

- Muszę go najpierw zobaczyć - odpowiedział Tomasz - i dotknąć.

- Czego dotknąć, ty szczywany handlarzu?

- Prawdy.

- Czy prawda ma ciało? Co ty wygadujesz, durniu!

- Jeśli nie ma ciała, to na co mi ona? - odparł rozbawiony Tomasz.

- Muszę dotykać rzeczy. Nie ufam oczom ani uszom; ufam tylko swoim rękoma.

Dotarli do najwyższej położonej części wioski i weszli do przestronnego, pobielanego domu.

Na białym łóżku leżała dziewczynka lat około dwunastu; jej zielone oczy były szeroko otwarte. Kiedy ujrzała swego ojca, twarz rozjaśniła się. Jej dusza zadrżała gwałtownie, próbując na próżno unieść sparaliżowane ciało; radość zniknęła. Jezus pochylał się nad nią i ujął za rękę. Całą swoją moc skupił w dłoni - całą swoją moc, miłość i litość. Wbijając bez słowa wzrok w dwoje zielonych oczu czuł, jak jego dusza przepływa wartko z koniuszków palców w dziewczęce ciało. Dziewczynka spojrzała na niego żarliwie; jej wargi rozchyliły się w lekkim uśmiechu.

Uczniowie weszli na palcach do pokoju; Tomasz wparował jeden z pierwszych, razem ze swym workiem towarów na plecach i rogiem za pasem. Wieśniacy rozbiegli się po ogrodzie i wąskiej drodze. Wszyscy wstrzymywali oddech i czekali. Setnik stał

oparty o ścianę, patrzył na swoją córkę i usiłował ukryć ból.

Stopniowo policzki dziewczynki zaczęły różowieć, jej pierś uniosła się, a całe ciało ogarnęło słodkie uczucie mrowienia, które biegło od ręki do serca, a z serca aż do samych pięt. Jej wnętrzości poruszyły się jak liście topoli w lekkim wietrze. Jezus poczuł, że ręka dziewczynki pulsuje niczym serce i powraca do życia w jego uścisku. Dopiero wtedy otworzył usta i przemówił.

- Wstań, moja córko! - rozkazał łagodnie.

Dziewczynka poruszyła się spokojnie, jak gdyby wychodząc z odrętwienia; przeciągnęła się jakby budziła się ze snu, po czym, opierając się ręką o łóżko, uniosła ciało - i jednym susem znalazła się w ramionach ojca. Zezowate oczy Tomasza wyszły z orbit. Wyciągnął rękę i dotknął dziewczynki, najwidoczniej pragnął się upewnić, że jest prawdziwa. Uczniowie byli zdumieni i przerażeni. Tłum, który tłoczył się dookoła, wrzasnął z przestachem, a potem natychmiast oniemiał. Słysząc tylko orzeźwiający śmiech dziewczynki, kiedy ścisnęła i całowała swojego ojca.

Judasz podszedł do Mistrza; na jego twarzy malowały się gniew i złość.

- Trwonisz swoją moc na niewiernych. Pomagasz naszym wrogom. Czy to jest ten koniec świata, który nam przyniosłeś? Czy to są te płomienie? - Ale Jezus, unoszący się gdzieś daleko w mrocznych niebiosach, nie słyszał nic. Widok dziewczynki wyskakującej z łóżka przestraszył go bardziej niż kogokolwiek innego. Uczniowie, nie mogąc opanować radości, utworzyli koło i tańczyli wokół niego. Więc jednak dobrze zrobili, porzucając wszystko i podążając za nim! Był prawdziwym prorokiem: czynił cuda. Tomasz ważył w myślach: na jednej szali leżały jego towary, na drugiej królestwo niebieskie. Szale wahały się przez jakiś czas, aż w końcu znieruchomiały. Królestwo niebieskie przeważało. Tak, to ryzyko bardzo się opłacało: dając pięć, mogę zyskać tysiąc. A więc naprzód, w imię Boże! Podszedł do Mistrza.

- Rabbi - powiedział - przez wzgląd na twoją cenną osobę, rozdaję moje towary ubogim. Nie zapominaj o tym jutro, gdy przyjdzie królestwo niebieskie. Poświęcam wszystko, żeby pójść za tobą, bo dzisiaj ujrzałem i dotknąłem prawdy.

Jezus był wciąż daleko. Słyszał go, ale nie odpowiedział.

- Zatrzymam tylko mój róg - ciągnął dalej były handlarz - abym mógł w niego dać i zwoływać ludzi. Nasz towar jest nowy i wieczny - i dajemy go za darmo!

Setnik podszedł do Jezusa, z córką w ramionach.

- Boży człowieku - powiedział - przywróciłeś do życia moją córkę. Co mogę dla ciebie uczynić?

- Uwolniłem twoją córkę z pęt szatana - odpowiedział Jezus. - Ty, setniku, uwolnij tych trzech buntowników z pęt Rzymu.

Rufus spuścił głowę i westchnął.

- Nie mogę - wyszeptał ze smutkiem - naprawdę nie mogę. Złożyłem przysięgę cesarzowi Rzymu, tak jak ty złożyłeś przysięgę Bogu, którego wielbisz. Czyż można łamać przysięgę? Proś mnie o coś innego, o co tylko chcesz. Pojutrze wyruszam do Jerozolimy i chcę spełnić twoją prośbę zanim stąd wyjdę.

- Setniku - odpowiedział Jezus - pewnego dnia spotkamy się w świętym Jeruzalem w trudnej godzinie. Wtedy poproszę cię o przysługę. A do tego czasu bądź cierpliwy.

Położył rękę na jasnych włosach dziewczynki i trzymał ją tam przez długi czas. Zamknął oczy i poczuł ciepło jej głowy, miękkość włosów, dziewczęcą słodycz.

- Moje dziecko - powiedział w końcu, otwierając oczy - powiem ci coś i chciałbym, żebyś tego nigdy nie zapomniała. Weź swego ojca za rękę i wprowadź go na prawdziwą drogę.

- Jaka jest prawdziwa droga, boży człowieku? - zapytała dziewczynka.

- Miłość.

Setnik wydał rozkazy. Przyniesiono jedzenie i picie. Zastawiono stoły.

- Bądźcie moimi gośćmi - powiedział do Jezusa i uczniów. - Dziś wieczorem będziecie jedli i pili w tym domu, bo świętuję powrót do życia mojej córki. Od lat nie zaznałem szczęścia. Dzisiaj moje serce przepelnione jest radością. Witajcie! Pochylił się do Jezusa.

- Mam wielki dług wdzięczności wobec Boga, którego wielbisz - powiedział. - Chciałbym wysłać go do Rzymu razem z innymi bogami.

- On sam tam dotrze - odpowiedział Jezus i wyszedł na dziedziniec, żeby zaczerpnąć powietrza.

Zapadła noc. Na niebie zaczęły pojawiać się gwiazdy. W dole, w maleńkiej wiosce płonęły lampy i błyszczały oczy ludzi. Tego wieczoru wszyscy rozmawiali o jeden ton wyżej niż zwykle, wyczuwając, że sam Bóg, niczym łagodny lew, nawiedził ich wioskę.

Zastawiono stoły. Jezus usiadł pośród swoich uczniów i połamał chleb, ale nie odzywał się. Jego dusza ciągle trzepotała niespokojnie skrzydłami, jakby uniknęła właśnie ogromnego niebezpieczeństwa lub dokonała wielkiego i niespodziewanego wyczynu. Uczniowie siedzący wokół niego także milczeli, ale ich serca skakały z

radości. Wszystkie te końce świata i królestwa niebieskie nie były tylko mrzonkami i czczym gadaniem lecz prawdą, a ten bosy młodzieniec o śniadej cerze, siedzący obok nich, który jadł, mówił, śmiał się i spał jak inni ludzie to prawdziwy apostoł Boga.

Kiedy skończyli posiłek i ich gospodarze położyli się spać, Mateusz ukląkł pod lampą i wyciągnął zza pazuchy czysty notatnik, wyjął zza ucha pióro, pochylił się nad kartkami i trwał tak przez długi czas, zatopiony w myślach. Jak powinien zacząć? Od czego? Bóg postawił go obok tego świętego człowieka, żeby wiernie zapisywał słowa, które wypowiadał i cuda, których dokonywał; one nie mogły zaginać - przyszłe pokolenia musiały je poznać, by wybrać swoją drogę zbawienia. Takie było zapewne zadanie, które powierzył mu Bóg. Umiał czytać i pisać, dlatego spoczywała na nim wielka odpowiedzialność: miał zanotować swym piórem wszystko co mogłoby zginąć i uczynić to wiecznym. Niech uczniowie czują do niego wstręt, niech brzydzą się przebywać w towarzystwie byłego celnika. Pokaże im, że nawrócony grzesznik więcej jest wart niż człowiek, który nigdy nie zgrzeszył.

Zanurzył pióro w kałamarzu z brązu i usłyszał z prawej strony szelest skrzydeł. Miał wrażenie, że przybył anioł i dyktował mu do ucha. Pewnymi i szybkimi ruchami ręki zaczął pisać: "Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama. Abraham był ojcem..."

Pisał i pisał, aż wschodnia strona nieba rozjarzyła się niebiesko-białym światłem i rozległo się pianie pierwszego koguta.

Odeszli z Kany wraz z Tomaszem i jego rogiem na czele. Tomasz zadął i obudził wioskę.

- Żegnajcie - zawołał - do zobaczenia wkrótce, w królestwie niebieskim.

Za nim szedł Jezus ze swymi uczniami, a na końcu tłum oberwańców i ułomnych z Nazaretu, powiększony o nowych przybyszów z Kany. Ludzie ci czekali. Przecież nie może o nas zapomnieć - mówili między sobą. - Przyjdzie ta błogosławiona godzina, kiedy zwróci się także do nas i uwolni od głodu i chorób.... W tyle, za pochodem szedł Judasz. Objuczony kilkoma sakwami, które znalazł po drodze, zatrzymywał się przed każdymi drzwiami i rozmawiał z gospodyniami na poły błagalnym, na poły surowym tonem.

- My pracujemy dla was biedaków, żebyście mogli zostać zbawieni. Wy zaś możecie nam pomóc, chroniąc nas przed śmiercią z głodu. Trzeba wam wiedzieć, że nawet święci muszą jeść, żeby mieć siłę do zbawiania rodzaju ludzkiego. Trochę chleba, sera, rodzynek, daktyli, garść oliwek: nieważne co dajecie, Bóg wszystko



zapisuje i odpłaci wam na tamtym świecie. Dajesz jedną oliwkę, a on odpłaci ci całym gajem oliwnym.

A jeśli któraś gospodyni zwlekała z otwarciem spiżarni, krzyczał na nią:

- Dlaczego jesteś taka skąpa, moja pani? Jutro lub pojutrze, albo nawet dziś wieczorem, otworzą się niebiosa, ogień spadnie na ziemię i pochłonie wszystko co twoje, z wyjątkiem tego, co nam dasz. Jeśli zostaniesz ocalona, nieszczęsna istoto, to tylko dzięki temu chlebowi, oliwkom i butelce oliwy, które mi dałaś!

Przestraszone kobiety otwierały spiżarnie i zanim Judasz dotarł do krańca wioski, jego sakwy pękały w szwach.

Był początek zimy i ziemia drżała z chłodu. Wiele drzew było zupełnie nagich i zziębniętych. Inne, błogosławione przez Boga - palma daktyłowa, cyprys i drzewa oliwne - stały w tej samej strojnej szacie i zimą i latem. Podobnie jest z ludźmi: wszyscy biedacy byli zziębnięci jak nagie drzewa.... Jan okrył Jezusa swoją wełnianą szatą i drżąc z zimna nie mógł doczekać się, kiedy dotrą do Kafarnaum, gdzie otworzy pełne skrzynie swojej matki. Stara Salome utkała w życiu wiele szat, a jej serce było szlachetne i hojne. Jan rozda ciepłą odzież swoim towarzyszom, i nie będzie przejmował się zrządzeniem tego dusigrosza - starego Zebedeusza. W gruncie rzeczy to Salome, ze swą słodyczą i uporem, rządziła całym domem.

Filipowi także było spieszo. Myślał o swym serdecznym przyjacielu Natanielu, który przez cały dzień siedział zgarbiony zszywając i łatając sandały i pantofle. Marnował w ten sposób swoje życie. Kiedy miał znaleźć czas, by wznieść swoje myśli do Boga, by oprzeć drabinę Jakubową o niebo i wspiąć się po niej do góry? "Och, kiedyż wreszcie tam przybędę - myślał Filip - i wyjawię biedakowi tę wielką tajemnicę, żeby i on mógł zostać zbawiony!"

Skęcili, pozostawiając Tyberiadę za sobą po swej lewej stronie - Tyberiadę, miasto wzgardzone przez Boga, razem z jego tetrarchą skazanym na potępienie w ogniu piekielnym za zamordowanie Chrzciciela. Mateusz podszedł do Piotra, aby wypytać go o rzekę Jordan i Chrzciciela; chciał wszystko zapisać, zdarzenie po zdarzeniu. Ale Piotr odsunął się od niego i odwrócił twarz, by nie czuć na sobie oddechu celnika. Mateusz posmutniał i wcisnął pod pachę częściowo zapisany notatnik. Wlókł się z tyłu i spotkawszy dwóch woźniców, którzy jeździli do Tyberiady i z powrotem, wypytywał ich, jak doszło do tej niegodziwej zbrodni, żeby opisać to w swojej księdze. Czy to prawda, że tetrarcha upił się i że jego pasierbica Salome tańczyła przed nim nago? Mateusz musiał poznać wszystkie szczegóły, żeby uwiecznić

je na papierze.

Właśnie dotarli do dużej studni na skraju Magdali. Chmury zakryły słońce: blada ciemność pokryła oblicze ziemi. Czarne smugi deszczu połączyły niebo i ziemię.... Magdalena podniosła wzrok ku otworom w dachu i zobaczyła, jak niebo staje się czarne.

- Już prawie zima - szepnęła do siebie - muszę się spieszyć.

Zakręciła szpulką i zaczęła czym prędzej prząść wyborną wełnę, którą kupiła. Zamierzała utkać z niej ciepły płaszcz dla swego ukochanego, by chronił go przed zimnem. Od czasu do czasu spoglądała w stronę dziedzińca i podziwiała swoje ogromne drzewo granatu uginające się pod ciężarem owoców. Strzegła granatów i nie zrywała ich; przyrzekła sobie, że da je wszystkie Jezusowi. "Nieskończone jest miłosierdzie Boga - myślała. - Pewnego dnia mój ukochany będzie znowu przechodził tą wąską uliczką, a wtedy wezmę całe naręczce owoców i złożę u jego stóp. Wtedy on schyli się, weźmie jeden owoc i pokrzepi się...." Przędąc i spoglądając co jakiś czas z dumą na drzewo, zastanawiała się nad swoim życiem. Jego początkiem i końcem był Jezus, syn Marii. Ile smutku, ile radości doznała od niego! Dlaczego ją opuścił, otwierając drzwi jej domu tamtej ostatniej nocy po to tylko, by wymknąć się jak złodziej? Dokąd poszedł? Czy nadal zmagał się z cieniami, zamiast kopać ziemię, strugać drewno czy łowić ryby w morzu; zamiast pojąć żonę (kobiety to przecież także istoty Boże!) i spać obok niej? Ach, gdyby tylko przechodził raz jeszcze przez Magdalę, by mogła pobiec i złożyć swoje orzeźwiający owoce granatu u jego stóp!

Gdy tak rozmyślała, obracając szpulkę swymi szybkimi i zręcznymi palcami, usłyszała okrzyki i ciężkie kroki na ulicy oraz głos rogu. Hejże! Czyż to nie zezowaty Tomasz, domokrażca? Chwilę potem rozległ się przenikliwy głos.

- Otwierać, otwórzcie wasze drzwi! Przyszło do was królestwo niebieskie!

Magdalena zerwała się na równe nogi, a jej serce podskoczyło z radości. Przyszędł! Przyszędł! Całym jej ciałem wstrząsały na przemian zimne i gorące dreszcze. Wybiegła na dwór bez chusty na głowie, z włosami opadającymi na ramiona. Przebiegła przez dziedziniec i stanęła na stopniach bramy prowadzącej na ulicę. Ujrzała Pana. Wydała radosny okrzyk i upadła mu do nóg.

- Rabbi, Rabbi, - przymilała się - witaj!

Zapomniała o owocach granatu i swoim przyrzeczeniu. Obejmowała święte kolana, a jej czarnoniebieskie włosy, które ciągle jeszcze pachniały dawnymi, przeklętymi perfumami, rozsypały się po ziemi.

- Rabbi, Rabbi, witaj - przymlała się i ciągnęła go delikatnie ku swemu ubogiemu domowi.

Jezus pochylił się, wziął ją za rękę i podniósł z ziemi. Zawstydzony i oczarowany trzymał ją tak, jak niedoświadczony oblubieniec trzyma swoją oblubienicę. Całe jego ciało radowało się wraz z duszą. To nie Magdaleny podnosił z ziemi, ale duszę ludzką, której był oblubieńcem. Magdalena zadrżała, zarumieniła się i rozrzuciła swe włosy na piersiach, by je zakryć. Wszyscy spoglądali na, nią ze zdziwieniem. Jak przywiędła i pobladła! Wokół oczu miała czerwone obwódki, a jej stanowcze, pełne usta uschły jak nie podlewany kwiat. Kiedy szli z Jezusem ramię obok ramienia, wydawało im się, że śnią. Zamiast chodzić po ziemi płynęli przed siebie w powietrzu. Czy to był ślub? Czy cały ten tłum oberwańców, który podążał za nimi wypełniając ulicę, był orszakiem weselnym? A drzewo granatu na dziedzińcu, uginające się pod ciężarem owoców: czy było dobrym duchem, boginką ogniska domowego, a może prostą, po trzykroć szczęśliwą kobietą, która urodziła synów i córki, i stała teraz na środku swego dziedzińca i podziwiała ich?

- Magdaleno - powiedział cicho Jezus - odpuszczone ci są wszystkie twoje grzechy, ponieważ wiele umiłowałaś. - Pochyliła się ku niemu, uszczęśliwiona. Chciała powiedzieć, jestem dziewicą! Ale była tak rozradowana, że nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Pobiegła, ogołociła z owoców drzewo granatu, napełniła nimi swój fartuch i usypała kopiec z chłodnych, czerwonych owoców u stóp swego ukochanego. Potem stało się dokładnie to, czego tak żarliwie pragnęła. Jezus schylił się, wziął jeden owoc, otworzył go, napełnił dłonie pestkami i pokrzepił się. Potem przyszła kolej na jego uczniów. Każdy pochyłał się, brał świeży owoc granatu i jadł.

- Magdaleno - powiedział Jezus - dlaczego patrzysz na mnie takim bolesnym wzrokiem, jakbyś żegnała się ze mną?

- Mój ukochany, witałam się i żegnałam z tobą w każdej chwili od dnia moich narodzin. - Mówiła tak cicho, że jedynie Jezus i Jan, którzy stali blisko niej, mogli ją usłyszeć.

Po chwili milczenia mówiła dalej.

- Muszę patrzeć na ciebie, ponieważ kobieta wywodzi się z ciała mężczyzny i ciągle nie może oddzielić się od niego. Ale ty musisz spoglądać w niebo, ponieważ jesteś mężczyzną, stworzonym wprost przez Boga. Dlatego pozwól mi patrzeć na siebie, moje dziecko. - Wypowiedziała te doniosłe słowa - moje dziecko - tak cicho, że

nawet Jezus jej nie słyszał. Jej pierś wezbrała i poruszyła się, jakby karmiła nią swego syna.

Przez tłum przebiegł szmer. Przybyła nowa grupa kalek, która zajęła cały dziedziniec.

- Rabbi - powiedział Piotr - ludzie narzekają i niecierpliwą się.

- Czego chcą?

- Dobrego słowa, cudu. Spójrz na nich.

Jezus odwrócił się. W niespokojnej atmosferze nadchodzącej nawałnicy zobaczył mnóstwo na wpół otwartych, pełnych tęsknoty ust i oczu, które wpatrywały się w niego z wyrazem bólu. Przez tłum przepchnął się jakiś starzec. Nie miał rzęs: jego oczy wyglądały jak dwie rany. Wokół jego chudej jak u szkieletu szyi wisiało dziesięć amuletów: każdy z nich zawierał jedno z Dziesięciu Przykazań. Oparł się na swojej rozwidlonej lasce i stanął w przejściu.

- Rabbi - powiedział tonem, w którym brzmiały skarga i ból - mam sto lat. Na mojej szyi wisi stale przede mną Dziesięć Przykazań Bożych. Nigdy nie przekroczyłem żadnego z nich. Co roku udaję się do Jeruzalem i składam w ofierze baranka świętemu Panu Zastępów. Zapalam świece i palę wonne kadzidło. W nocy, zamiast spać, śpiewam psalmy. Czasami spoglądam na gwiazdy, czasami na góry i czekam, czekam aż Pan zstąpi z nieba, abym mógł go zobaczyć. To jedyna nagroda, jakiej pragnę. Czekam tak już od wielu lat, ale na próżno. Jestem już jedną nogą w grobie, a ciągle jeszcze go nie ujrzałem. Dlaczego, dlaczego? Wielka jest moja krzywda, Rabbi. Kiedy ujrzę Pana, kiedy zaznam spokoju?

Jezus uśmiechnął się.

- Starcze - odpowiedział - pewnego razu, we wschodniej części ważnego miasta stał marmurowy tron. Siedziało na nim tysiąc królów ślepych na prawe oko, tysiąc ślepych na lewe i tysiąc królów, którzy widzieli na dwoje oczu. Wszyscy wołali do Boga, aby ukazał się im tak, by mogli go zobaczyć, ale wszyscy umarli nie doczekawszy się tego. Kiedy królowie poumierali, przyszedł biedak, bosy i głodny, i usiadł na tronie. "Boże - wyszeptał - oczy człowieka nie mogą patrzeć prosto w słońce, bo jego blask je oślepia. Jakże więc, o Wszechmocny, mogę patrzeć wprost na ciebie? Ulituj się, Panie, opanuj swoją potęgę, przyćmij blask swego majestatu, abym ja, ubogi i chory, mógł cię zobaczyć." A wtedy - słuchaj, starcze! - Bóg stał się kawałkiem chleba, kubkiem zimnej wody, ciepłą tuniką, chatą i siedzącą przed chatą kobietą, która karmiła piersią niemowlę. Biedak wyciągnął ręce i uśmiechnął się ze szczęścia. "Dzięki

Ci, Panie - wyszeptał. - Zniżyłeś się do mnie. Stałeś się chlebem, wodą, ciepłą tuniką i moją żoną, i synem, abym mógł cię ujrzeć. I ujrzałem cię. Chylę przed tobą czoło i wielbię twoją umiłowaną twarz o wielu obliczach!"

Nikt się nie odezwał. Starzec westchnął jak bawół i wysuwając do przodu swoją rozwidloną łaskę, zniknął w tłumie. Po chwili, młody mężczyzna, który ożenił się niedawno, podniósł w górę pięść i zawołał:

- Powiadają, że przynosisz ogień, żeby spalić świat - żeby spalić nasze domy i dzieci. Czy to jest ta miłość, którą podobno nam przynosisz? Czy to jest ta sprawiedliwość: ogień?

Oczy Jezusa napełniły się łzami. Litował się nad tym młodym nowożeńcem.

Zaprawdę, czy taka była sprawiedliwość, którą im przyniósł: ogień? Czy nie było innego sposobu, aby dostąpić zbawienia?

- Powiedz nam wyraźnie, co mamy robić, aby dostąpić zbawienia! - zawołał pewien bogacz, przepychając się łokciami do przodu, żeby z bliska usłyszeć odpowiedź, bo miał przytępiony słuch.

- Otwórzcie wasze serca - zagrzmiął Jezus - otwórzcie wasze spiżarnie, rozdajcie swój majątek ubogim! Przyszedł dzień Pański! Kto ze skąpstwa zostawia sobie bochenek chleba, słoje oliwy lub kawałek ziemi na swe ostatnie godziny, odkryje, że ten chleb i ten słoje, i ta ziemia ciągną go za szyję do piekła.

- W uszach mi huczy - powiedział bogacz. - Wybacz, że odejdę, ale kręci mi się w głowie.

Odszedł z wściekłością w stronę swojej bogatej willi.

- Coś takiego! Rozdać swój majątek temu parszywemu motłochowi! Czy to jest sprawiedliwość? Niech go piekło pochłonie! - Oddalał się mamrocząc do siebie i przeklinając.

Jezus patrzył, jak tamten znika mu z oczu.

- Szeroka jest brama prowadząca do piekła - powiedział - szeroka i usłana kwiatami droga. Brama do królestwa Bożego jest wąska, a droga wiedzie pod górę. Dopóki żyjemy, mamy możliwość wyboru, bo życie oznacza wolność. Ale gdy przyjdzie śmierć, nic nie możemy już zrobić i nie ma już ratunku.

- Jeśli chcesz, żebym w ciebie uwierzył - zawołał mężczyzna wsparty na kulach - uczyni cud i ulecz mnie. Czy mam wejść do królestwa niebieskiego kulawy?

- A ja trędowaty?

- A ja jednoręki?

- A ja ślepy?

Kalecy ruszyli do przodu jak jeden mąż i stanęli groźnie tuż przed Jezusem. Tracąc panowanie nad sobą, zaczęli krzyczeć. Ślepy starzec uniósł swoją laskę.

- Ulecz nas - zawył - albo nie odejdiesz żywy z naszej wioski!

Piotr wyrwał laskę z rąk starca.

- Z taką duszą, na pewno nigdy nie ujrzysz światła, nawet gdybyś miał sokoli wzrok!

Zbici w gromadę kalecy stawali się coraz bardziej zapalczywi. Uczniowie stanęli obok Jezusa gotowi do bójki. Przerazona Magdalena wyciągnęła rękę, żeby zaryglować drzwi, ale Jezus powstrzymał ją.

- Magdaleno, moja siostró - powiedział - żalosne jest to pokolenie - składa się wyłącznie z ciała. Nałogi, grzechy i tłuszcz zniszczyły ich dusze. Odsuwam ciało, kości i jelita, żeby znaleźć duszę i nie znajduję niczego. Cóż, jedyne lekarstwo to ogień!

Zwrócił się do tłumu. Jego wzrok był teraz oschły i bezlitosny.

- Tak jak wypala się pola przed zasiewem, aby dobre ziarno mogło wzrastać, tak Bóg spali ziemię. Nie będzie miał litości dla cierni, wyki, czy estragonu. To właśnie oznacza sprawiedliwość. Żegnajcie!

Zwrócił się do Tomasza.

- Zadmij w swój róg. Odchodzimy stąd! - Wyciągnął do przodu swoją laskę. Odrętwiali ludzie rozstąpili się, gdy przechodził przez tłum. Magdalena wbiegła do swojego domu, chwyciła chustę i porzucając przędzę, gliniany garnek na obramowaniu kominka i nie nakarmiony drób na podwórku rzuciła klucz na środek drogi, a potem, nie oglądając się za siebie, w milczeniu, z chustą owiniętą ciasno wokół głowy podążyła za synem Marii.

## ROZDZIAŁ XXIII

Wczesną nocą przybyli do Kafarnaum. Nawałnica przetoczyła się obok; północny wiatr zepchnął ją na południe.

- Przenocujemy w naszym domu - powiedzieli synowie Zebedeusza. - Starczy miejsca dla wszystkich. Tutaj będzie nasz obóz.

- A stary Zebedeusz? - spytał Piotr i roześmiał się. - Nie dałby kropli wody nawet aniołowi.

Jan zarumienił się.

- Zaufajmy naszemu Mistrzowi - rzekł. - Zobaczycie, że odmieni serce Zebedeusza swoim oddechem.

Jezus nie słyszał tych słów. Szedł na czele, mając przed oczyma ślepców, kulawych i trędowatych... "Gdybym tylko mógł dmuchnąć na każdą duszę - pomyślał - i krzyknąć: »Zbudź się!«. A ozdrowiałe ciało stałoby się rozbudzoną duszą!"

Kiedy wchodzili do dużego, targowego miasta, Tomasz przyłożył róg do ust. Nie zdążył jednak zadać, bo Jezus wyciągnął rękę i rzekł:

- Nie. Jestem zmęczony... Rzeczywiście, twarz miał bladą, a oczy podkrążone. Magdalena zapukała do pierwszych drzwi i poprosiła o kubek wody. Jezus wypił i odzyskał siły.

- Jestem ci winien kubek zimnej wody, Magdaleno - rzekł do niej z uśmiechem.

Przypomniał sobie, co powiedział Samarytance przy studni Jakuba i dodał:

- Odplącę ci kubkiem wody nieśmiertelności.

- Dałeś mi go dawno temu, Rabbi - powiedziała Magdalena rumieniąc się.

Minęli dom Nataniela. Drzwi były otwarte, a gospodarz stał na podwórku pod drzewem figowym. Oblamywał hakiem uschłe gałązki. Filip czym prędzej odłączył się od grupy i wszedł na dziedziniec.

- Natanielu - rzekł. - Chcę ci coś powiedzieć. Przestań zajmować się tym drzewem.

Wszedł do domu. Nataniel podążył za nim. Zapalił lampę.

- Zapomnij o lampie, drzewach figowych i chacie - powiedział Filip. - Chodź z nami.

- Dokąd?

- Dokąd? Nic nie słyszałeś? Zbliży się koniec świata! Dziś, jutro niebiosa

otworzą się i świat spali się na popiół. Szybko, wejdź na arkę i uratuj się.

- Jak?

- Dołącz do syna Marii, potomka Dawidowego, naszego Mistrza z Nazaretu. Właśnie powrócił z pustyni, gdzie rozmawiał z Bogiem. Mówili o zniszczeniu i zbawieniu świata. Bóg położył swą rękę na głowie naszego Rabbiego i rzekł: "Idź i Wybierz tych, którzy mają być zbawieni. Ty jesteś nowy Noe. Popatrz; oto klucz do arki, abys mógł ją otworzyć i zamknąć", po czym dał mu klucz ze złota. Wisi teraz na jego szyi, ale ludzkie oko nie może go dojrzeć.

- Mów jaśniej, Filipie. Nic nie rozumiem. Kiedy te wszystkie cuda się wydarzyły?

- Mówię ci, wszystko to stało się na pustyni nad Jordanem. Zabili Chrzciciela i jego dusza wstąpiła w ciało naszego Rabbiego. Nie poznałbyś go. Zmienił się: zdziczał, a z jego rąk syją się teraz iskry. Niedawno w Kanie dotknął sparaliżowanej córki centuriona z Nazaretu i dziewczynka natychmiast wstała i zaczęła tańczyć. Tak właśnie, zaczęła tańczyć, przysięgam na naszą przyjaźni Nie mamy chwili do stracenia. Chodź!

Nataniel westchnął i powiedział:

- Słuchaj, Filipie, tak dobrze mi się wiedzie, tyle mam zamówień... Popatrz na te wszystkie sandały i buty, które czekają na wykończenie. Interes świetnie się rozwija... - z tęsknotą rozejrzał się wokoło, popatrzył na swe ukochane narzędzia, na stółek, na którym siadywał i łątał buty, a potem na szydło, dratwę i drewniane gwoźdźki. Westchnął jeszcze raz i rzekł: - Jakże mam to wszystko zostawić?

- Nie martw się, w niebie dostaniesz narzędzia ze złota. Będziesz naprawiał złote sandały aniołów. Będziesz miał niezliczone zamówienia przez całą wieczność. Będziesz szył i odpruwał, nie zabraknie dla ciebie pracy. Wystarczy tylko, że podejdziesz do mojego Mistrza i powiesz: "Idę z tobą!" - nic więcej. "Idę z tobą, dokądkolwiek pójdziesz, choćby do piekła!". To właśnie wszyscy poprzysięgliśmy.

- Do piekła! - powiedział szewc i wzdygnął się. Mimo że był potężnym mężczyzną, serce miał zajęcze.

- Tak się tylko mówi, biedaku - uspokoił go pasterz. - To poprzysięgliśmy, ale nie bój się, kroczymy ku wiecznemu życiu, a nie ku wiecznemu potępieniu. Ten człowiek, przyjacielu, nie jest zwykłym człowiekiem. To Syn Człowieczy!

- To nie to samo, co?

- Nie to samo? Nie wstyd ci mówić w ten sposób? Nigdy nie czytałeś proroka



Daniela? "Syn Człowieczy" znaczy tyle co "Mesjasz", czyli "Król"! Już wkrótce zasiądzie na tronie wszechświata, a my, znaczy ci, co byli na tyle sprytni, by przyłączyć się do niego, my będziemy również uhonorowani i obsypani złotem. Nie będziesz, już chodził boso. Założysz złote sandały, a aniołowie pochyłą się, by ci je zawiązać. Mówię ci, Natanielu, to dobra transakcja. Nie zmarnuj tej okazji. Dodam tylko, że Tomasz też przyłączył się do nas. Ten łajdak wyczuł pismo nosem, oddał ostatnią koszulę biednym i poszedł z nami. Ty również chodź z nami. Jezus jest teraz w domu Zebedeusza. Pójdźmy tam razem!

Nataniel nie mógł się jednak zdecydować.

- Pamiętaj, Filipie, że to był twój pomysł - wydusił z siebie w końcu. - I ostrzegam cię. Jeśli droga będzie trudna, opuszczę was. Jestem gotów na wszystko, tylko nie na ukrzyżowanie.

- Dobrze, dobrze - powiedział Filip. - Jeśli do tego dojdzie, obaj odejdziemy. Myślisz, że ja już zupełnie postradałem zmysły?... No więc jak? Zgoda? Idziemy?

- Niech będzie. W imię Boże! - rzekł i zamknął drzwi. Włożył klucz pod koszulę i ruszył ramię w ramię z Filipem do domu Zebedeusza.

Jezus i uczniowie ogrzewali się przed ogniem, podczas gdy stara Salome krzątała się uradowana po domu. Wszystkie jej dolegliwości zniknęły. Była niezmiernie dumna ze swoich synów i z tego, że usługiwała świętemu człowiekowi, który sprowadzi na ziemię królestwo niebieskie. Jan podszedł do matki i szepnął jej coś do ucha. Wskazał wzrokiem uczniów i uprzytomnił jej, że wszyscy drżą z zimna - byli wciąż ubrani w letnie szaty. Matka uśmiechnęła się, otworzyła skrzynie i wyciągnęła z nich wełniane ubrania. Potem, spiesząc się przed powrotem męża, rozdała je uczniom. Najgrubszą szatę, ze śnieżnobiałej wełny, narzuciła czule na ramiona Jezusowi.

Jezus odwrócił się do niej i rzekł z uśmiechem:

- Bądź błogosławiona, matko Salome. Godne to i sprawiedliwe, że i dbasz o ciało. Ciało jest wielbłądem, którego dosiada dusza, aby przebyć pustynię. Zatem dbaj o nie, by trwało długo.

Do domu wszedł stary Zebedeusz i spojrzał na niespodziewanych gości. Powitał ich bez entuzjazmu i usiadł w kącie. Ci złodzieje (tak ich bowiem nazywał w myślach) wcale mu się nie podobali. Kto ich tutaj zaprosił? Po co przyszli? A na domiar złego jego rozrzutna żona przygotowała dla nich taką ucztę! Niech przeklęty będzie dzień, w którym objawił się światu ten fanatyk! Nie dosyć, że stracił obu synów, to jeszcze

musiał wieść nie kończące się kłótnie ze swoją żoną idiotką, która brała ich stronę. "Dobrze postąpili - mówiła. - Ten człowiek to prawdziwy prorok - zostanie królem, wyrzuci Rzymian i zasiądzie na tronie Izraela. Wtedy Jan zajmie miejsce po jego prawej, a Jakub po lewej stronie i będą wielkimi panami, a nie zwykłymi rybakami. A może myślisz, że mają zmarnować swoje życie na wodzie?" Dzień i noc musiał Zebedeusz wysłuchiwać tego, i to od tej starej idiotki, która tupiała nogami i wrzeszczała wniebogłosy. Czasem przeklinał i rozwaliał wszystko, co znalazło się w zasięgu jego rąk. Kiedy indziej znów ulegał rozpaczom i włóczył się jak szaleniec brzegiem jeziora. W końcu zaczął pić. A teraz jeszcze to - ci wszyscy przestępcy wprowadzili się do jego domu, dziewięć nienasyconych gąb. I jeszcze przyprowadzili ze sobą tę dziwkę, Magdalę, którą dotykało z tysiąc mężczyzn. Usiedli sobie wokół stołu i nie raczyli nawet odwrócić się i spojrzeć na niego, na pana domu, nie mówiąc już o tym, że nie zapytali o pozwolenie. I na co mu przyszło! Czy to dla tych pasożytów on i jego dziadowie harowali przez tyle lat? Wpadł w gniew i zerwał się na równe nogi.

- Chwileczkę, moi panowie. Czyj to dom, mój czy wasz? Jak mi Bóg miły, powiedzcie mi, proszę!

- To dom Boży - odparł Piotr, który wypił już trochę i był w dobrym nastroju.

- Boży, Zebedeuszu. Nie słyszałeś ostatnich wieści? Nic nie jest twoje czy moje - wszystko należy do Boga.

- Prawo Mojżeszowe... - zaczął Zebedeusz, ale Piotr przerwał mu od razu.

- Co ja słyszę? Prawo Mojżeszowe? To już skończone, Zebedeuszu, koniec, kropka. Teraz mamy prawo Syna Człowieczego, rozumiesz? Wszyscy jesteśmy braćmi! Nasze serca odmieniły się, a wraz z nimi prawo. Teraz mamy prawo dla całej ludzkości. Cały świat jest Ziemią Obiecaną. Granice znikły! Ja, człowiek, którego przed sobą widzisz, Zebedeuszu, ruszę w świat głosić Słowo Boże różnym ludom. Dotrę do Rzymu - tak, nie śmieję się, do Rzymu, chwycę cesarza za gardło, zrzucę go z tronu i sam na nim zasiądę! Dlaczego nie! Rabbi powiedział, że nie jesteśmy już rybakami, jakich znasz. Nie łapiemy ryb. Łowimy ludzi. I jeszcze rada dla sprytnych: pochlebiajcie nam, ponieważ pewnego dnia - a nadejdzie on szybko - będziemy wielkimi panami. Dacie nam dzisiaj suchy kawałek chleba, a my odpłacimy wam za parę dni koszem pełnym bochenków chleba! I to jakiego - chleba nieśmiertelności! Choćbyście go ciągle jedli i tak całego nie zjecie.

- Biedaku, przecież za takie gadanie ukrzyżują cię - mruknął Zebedeusz ze swojego kąta, kiedy usiadł z powrotem. Słuchając słów Piotra, zaczął się bać. "Lepiej

trzymać język za zębami - pomyślał. - Nigdy nie wiadomo, co się stanie. Świat jest kulą, która się obraca. Możliwe, że pewnego dnia ci szaleńcy... Lepiej więc uważać!"

Brodaci uczniowie roześmiali się. Doskonale wiedzieli, że Piotr stroi sobie żarty. Ale w głębi ducha, mimo że wypili jeszcze za mało, aby rozwiązały im się języki, w głębi ducha myśleli o tym samym. Władza, blask, wysoka ranga, jedwabne szaty, złote pierścienie, góry jadła i świat pod ich stopami - tym właśnie było dla nich królestwo niebieskie.

Stary Zebedeusz wypił trochę wina dla odwagi i rzekł:

- A ty, Nauczycielu, nic nie powiesz? To ty rozpętałeś to wszystko, a teraz siedzisz, jak mysz pod miotłą, podczas gdy inni męczą się za ciebie. Słuchaj, czy możesz mi powiedzieć, w imię Boże, dlaczego mam pozwolić, aby rozgrabiono moje dobra i nie pisnąć przy tym ani słowa?

- Zebedeuszu - odparł Jezus - był kiedyś bogacz, który zbierał zboże, winogrona i oliwki, napełniał swe dzbany, jadł, a potem leżał na plecach na swoim podwórku. "Posiadasz wiele - mówił do siebie - dlatego jedz, pij i wesel się!" Gdy tylko to wypowiedział, usłyszał głos z nieba: "Głupcze, tej nocy oddasz swą duszę piekłu. Co wówczas zrobisz z tymi wszystkimi bogactwami, które zgromadziłeś?" Zebedeuszu, masz uszy, więc słuchaj co mówię. Masz umysł, więc spróbuj pojąć znaczenie moich słów. Niech ten głos z niebios będzie zawsze nad tobą, dzień i noc, Zebedeuszu!

Stary kutwa spuścił głowę. Nie odezwał się więcej.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich Filip. Za nim pojawił się wielki, niezdarny Nataniel, podobny do łodygi fasoli. Jego serce nie było już rozdarte - podjął decyzję. Zbliżył się do Jezusa, pochylił się i ucałował mu stopy.

- Nauczycielu - powiedział. - Chcę być z tobą aż do śmierci.

Jezus położył rękę na wielkiej, bawolej głowie z kręconymi włosami.

- Witaj, Natanielu. Robisz sandały dla wszystkich, a sam chodzisz boso. Jestem z tego wielce rad. Przyłącz się do mnie! - Umieścił go po swojej prawej stronie i dał mu kawałek chleba i kubek wina.

Nataniel zjadł chleb i wypił wino. Natychmiast poczuł, jak moc ogarnia jego kości i duszę. Wino opromieniło jego umysł, niczym słońce. Wino, chleb i dusza zespoliły się w jedno.

Siedział jak na rozżarzonych węglach. Chciał przemówić, ale był nieśmiały.

- Mów, Natanielu - powiedział Mistrz. - Otwórz swe serce i ulży sobie.

- Rabbi, chcę abyś wiedział, że zawsze byłem biedny. Żyłem i jadłem z dnia na

dzień i nigdy nie miałem czasu studiować Prawa. Jestem ślepy, Rabbi. Przebacz mi... Chcę, abyś o tym wiedział. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia i czuję się lepiej.

Jezus pieszczotliwie dotknął szerokich ramion dopiero co oświeconego mężczyzny.

- Nie wzdychaj, Natanielu - rzekł, śmiejąc się. - Dwie ścieżki wiodą do Boga: jedna z nich prowadzi poprzez rozum, druga przez serce. Posłuchaj tej historii:

“Biedak, bogacz i rozpustnik umarli tego samego dnia i w tej samej godzinie pojawili się na sądzie bożym. Żaden z nich nigdy nie studiował Prawa. Bóg zmarszczył brwi i spytał biedaka:

- Dlaczego nie studiowałeś za życia Prawa?

- Panie - odparł biedak. - Byłem ubogi i głodny. Harowałem dzień i noc, aby wyżywić moją żonę i dzieci. Nie miałem czasu.

- Czy byłeś biedniejszy niż mój sługa Hillel? - zapytał rozgniewany Bóg. - On nie miał pieniędzy, aby zapłacić za wejście do synagogi, więc wszedł na dach i słuchał przez okienko, jak objaśniano Prawo. Zaczął padać śnieg, ale on był tak pochłonięty słuchaniem, że nie zauważył tego. Kiedy rabin wszedł rano do synagogi, zobaczył, że jest w niej ciemno. Spojrzał na okienko w dachu i odkrył, że jest przysłonięte ciałem człowieka. Wszedł na dach, usunął śnieg i wyciągnął Hillela. Wziął go na ręce, zniósł na dół i rozpałił ogień. Położył zmarznięte ciało przy ogniu i przywrócił je do życia. Potem pozwolił Hillelowi przychodzić codziennie do synagogi za darmo. Hillel został słynnym rabinem, o którym słyszał cały świat. I co na to powiesz?

- Nic, mój Panie - szepnął biedak i zaczął płakać.

Bóg zwrócił się do bogacza:

- A ty, dlaczego ty nie studiowałeś za życia Prawa?

- Byłem zbyt bogaty. Miałem wiele sadów, wielu niewolników, wiele trosk. Jak mogłem znaleźć czas na Prawo?

- Czy byłeś bogatszy - powiedział z przekąsem Bóg - niż syn Harsoma, Eleazar, który odziedziczył tysiąc wiosek i tysiąc statków? Ale on zostawił to wszystko, kiedy się dowiedział o mędrca wyjaśniającym Prawo. Co powiesz na swoją obronę?

- Nic, Panie - jęknął bogacz i również zapłakał.

Bóg zwrócił się do hulaki:

- A ty, mój piękny, dlaczego nie studiowałeś Prawa?

- Byłem bardzo przystojny i wiele kobiet szalało za mną. Wśród tylu przyjemności, jakże mogłem znaleźć czas, aby czytać Prawo?

- Czy byłeś przystojniejszy niż Józef, którego kochała żona Putifara? Był tak piękny, że mówił do słońca: »Świeć, słońce, abym mógł błyszczeć twym blaskiem.« Kiedy jednak otworzył Prawo, litery otworzyły się przed nim jak drzwi, w których pojawiła się jasna prawda przybrana w ogień. Co powiesz na to?

- Nic, Panie - szepnął hulaka i również zapłakał.

Bóg klasnął w dłonie i przywołał z raju Hillela, Eleazara i Józefa. Kiedy nadeszli, rzekł:

- Osądźcie tych mężczyzn, którzy z powodu ubóstwa, bogactwa i urody nie studiowali Prawa. Mów, Hillelu, osądź biedaka.

- Panie - powiedział Hillel. - Jakże mogę go potępić? Wiem, czym jest nędza i wiem, czym jest głód. Wybacz mu Panie!

- Teraz ty, Eleazarze - rzekł Bóg. - Tam stoi bogacz. Przekazuję go pod twój sąd.

- Panie - odparł Eleazar. - Jakże mogę go potępić? Wiem, czym jest bogactwo - to śmierć! Przebacz mu, Panie!

- Twoja kolej, Józefie. Bądź sędzią dla tego przystojnego hulaki.

- Panie, jakże mogę go potępić? Wiem, jak ciężko jest zwalczyć pokusy, które czyhają na piękne ciało. Odpuść mu, Panie!" ,

Jezus przerwał, uśmiechnął się i spojrzał na Nataniela. Ten jednak czuł się niepewnie.

- I cóż Bóg uczynił? - zapytał.

- To, co ty byś zrobił na Jego miejscu - odparł ze śmiechem Jezus.

Prosty szewc również się roześmiał.

- To znaczy, że jest mi przebaczone! - krzyknął i uściskał mocno ręce Mistrza. - Rabbi! Rozumiem już. Mówiłeś, że dwie ścieżki prowadzą do Boga, jedna przez rozum, druga przez serce. Ja poszedłem ścieżką serca i znalazłem Ciebie!

Jezus wstał i podszedł do drzwi. Podniósł się silny wiatr, wzniesając wysoką falę na jeziorze. Gwiazdy błyszczały na niebie, niczym niezliczone ziarnka piasku. Przypomniały Jezusowi pustynię - Nauczyciel wzdrygnął się i zamknął drzwi.

- Noc to wspomniały dar Boga - powiedział. - Jest jak matka - przychodzi cicho i delikatnie okrywa człowieka swym płaszczem. Na czole kładzie mu chłodną dłoń i zmywa troski dnia z ciała i duszy. Bracia, czas oddać się w objęcia nocy.

Stara Salome usłyszała go i podniosła się. Magdalena również wstała z kąta przy palenisku, gdzie pochylona wsłuchiwała się ze szczęśliwym uśmiechem na twarzy, w głos Ukochanego. Kobiety rozłożyły maty i przyniosły koce. Jakub wyszedł

na podwórko i po chwili wrócił z naręczem szczap oliwkowych, które wrzucił do ognia. Jezus stał wyprostowany na środku izby, z twarzą zwróconą ku Jerozolimie. Uniósł ręce w górę i dźwięcznym głosem odmówił wieczorną modlitwę:

- Panie, prosimy Cię, otwórz nam swoje wrota. Dzień odchodzi, słońce zachodzi i znika... O, Wieczny, posłuchaj, jak pukamy do Twoich wrót. Błagamy Cię, przebacz nam. Błagamy Cię, zmiłuj się nad nami! Wybaw nas!

- I ześlij nam dobre sny, Panie - dodał Piotr. - Niech zobaczę we śnie, Panie, jak moja stara, zielona łódź zamienia się w nową, błyszcząca, z czerwonym żaglem! - wypił za dużo i zaczęła go ponosić fantazja.

Jezus położył się na środku, a wokół niego uczniowie. Zapełnili cały dom.

Zebedeusz i jego żona nie mogli znaleźć miejsca dla siebie i wraz z Magdaleną wyszli do szopy. Starzec narzekał. Pozbawiono go wygod. Zwracając się w gniewie do żony, powiedział głośno, tak aby Magdalena usłyszała:

- Coś podobnego! Żeby banda obcych wyrzuciła mnie z mojego własnego domu! Za kogo oni nas mają?!

Lecz staruszka tylko odwróciła się do ściany i nic nie odpowiedziała.

Tej nocy Mateusz znów nie spał. Ukucnął pod lampą, wyciągnął częściowo zapełnione stronice i zaczął opisywać, jak Jezus przyszedł do Kafarnaum i jak przyłączyła się do nich Magdalena. Nie zapomniał też o przypowieści Mistrza, zaczynającej się od słów: "Żył kiedyś bardzo bogaty człowiek..."

Gdy skończył pisać, zgasił światło i poszedł spać. Położył się z dala od innych; uczniowie nie przyzwyczaili się jeszcze do jego oddechu.

Piotr natychmiast zasnął. Gdy tylko zamknął oczy, z nieba spłynął anioł, delikatnie otworzył jego skronie i wszedł do wnętrza głowy pod postacią snu. Piotr śnił:

"Na brzegu jeziora zgromadził się wielki tłum. Nauczyciel był tam również i podziwiał, wraz z innymi, nowiutką łódź, całą zieloną, z czerwonym żaglem, która unosiła się na falach. Na dziobie błyszczał wielki wizerunek ryby, takiej samej jak ta wytatuowana na piersi Piotra.

- Do kogo należy ta piękna łódź? - spytał Jezus.

- Do mnie - z dumą odparł Piotr.

- Piotrze, zgromadź uczniów i wypłyńcie na jezioro, abym mógł podziwiać twą odwagę!

- Z przyjemnością, Rabbi - powiedział Piotr. Odwiązał cumę. Uczniowie

wskoczyli do łodzi. Od rufy wiał pomyślny wiatr - żagiel wydał się i śpiewając wesoło, wypłynęli na otwarte morze.

Nagle pojawiła się trąba powietrzna. Łódź zakręciła się w kółko, trzeszcząc przeraźliwie. W każdej chwili mogła się rozpaść. Zaczęła przeciekać i wypełniać się wodą. Przerażeni uczniowie leżeli plackiem na pokładzie i lamentowali. Piotr chwycił się masztu i zawołał:

- Rabbi, pomóż nam!

Nagle w otaczającej go ciemności, zobaczył ubranego na biało nauczyciela, który szedł w ich kierunku po wodzie. Uczniowie podnieśli głowy, zauważyli go i trzęsąc się ze strachu, zaczęli krzyczeć:

- Duch! Duch!

- Nie bójcie się - powiedział Jezus. - To ja!

Piotr rzekł:

- Panie, jeśli to naprawdę jesteś ty, spraw, abym ja również mógł chodzić po wodzie.

- Chodź do mnie! - rozkazał Jezus.

Piotr wyskoczył z łodzi, stanął na falach i zaczął iść. Lecz kiedy spostrzegł wokół siebie wzburzoną toń, zmartwiając ze strachu i pogrążył się w wodzie.

- Panie, ratuj mnie! - krzyknął. - Tonę!

Jezus wyciągnął rękę i wyrwał go z otchłani.

- Człowieku małej wiary - rzekł. - Dlaczego się przestraszyłeś? Czy nie ufasz mi? Patrz!

Jezus uniósł rękę i powiedział:

- Uciszcie się! - i natychmiast wiatr przestał wiać, a fale się uspokoiły.

Piotr wybuchnął płaczem. I tym razem jego dusza, wystawiona na próbę, zawiodła sromotnie.

Obudził się z głośnym krzykiem. Brodę miał mokrą od łez. Usiadł na macie, oparł się o ścianę i westchnął.

Mateusz, który jeszcze nie zasnął, usłyszał go.

- Dlaczego wzdychasz, Piotrze? - zapytał.

Piotr chciał udać, że nie usłyszał pytania. Nie miał ochoty na rozmowę z celnikami. Ale sen dławił go i czuł, że musi go z siebie wyrzucić, bo inaczej nie znajdzie wytchnienia. Dlatego podpełzł do Mateusza i zaczął opowiadać. Im dłużej opowiadał, tym bardziej ubarwiał swój sen. Mateusz słuchał pilnie i skwapliwie

zapamiętywał każdy szczegół. Jutro o brzasku, jeśli Bóg pozwoli, utrwali sen na piśmie.

Piotr skończył, lecz jego serce wciąż tłukło się w piersi jak łódź we śnie.

Nagle zadrżał ze strachu.

- Czy naprawdę Mistrz mógłby przyjść po mnie w nocy i zabrać mnie na otwarte wody, aby poddać mnie próbie? Nigdy w życiu nie widziałem bardziej wzburzonego jeziora, prawdziwszej łodzi, ani nie odczułem tak bardzo strachu. Może to nie był sen... Jak myślisz, Mateuszu?

- Na pewno to nie był sen. Ten cud wydarzył się naprawdę - odparł Mateusz i zaczął powtarzać w pamięci całą historię w formie, w jakiej mógłby ją zapisać. Było to niezwykle trudne, ponieważ nie miał zupełnej pewności, czy zdarzyło się to naprawdę, czy tylko we śnie. Był to i sen i prawda. Cud wydarzył się, ale nie na tej ziemi, nie na tym jeziorze. Gdzieś indziej. Tylko gdzie?

Zamknął oczy, żeby odpowiedzieć sobie na to pytanie. Zanim jednak znalazł odpowiedź, zapadł w sen.

Następnego dnia lało jak z cebra i wiał silny wiatr, więc rybacy nie mogli wypłynąć. Zamknęli się w swoich chatkach i naprawiali sieci, rozmawiając o dziwnym gościu w domu Zebedeusza. Wydawało im się, że był wskrzeszonym Janem Chrzcicielem. Zaraz po ścięciu Chrzciciel pochylił się, podniósł głowę, umieścił ją na szyi i zniknął w okamgnieniu. Potem, żeby Herod nie mógł go znów schwytać, wszedł w syna cieśli z Nazaretu. Można było dostać kręcka od patrzenia na niego - nie wiadomo czy to jeden człowiek, czy dwoje ludzi? Jeśli spojrzało mu się prosto w twarz, uśmiechał się, jak zwykły śmiertelnik. Ale gdy spojrzeć z boku, jedno z jego oczu sypało gniewnymi iskrami, a w drugim tliła się łagodna zachęta. Ledwo jednak człowiek zbliżył się do niego, zaczynało mu wirować w głowie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje, opuszczał rodzinę i podążał za nim.

Stary rybak usłyszał to i potrząsnął głową.

- To się przytrafia tylko tym, co nie chcą się ożenić - powiedział. - Tacy to myślą tylko, jakby tu zbawić świat. Sperma uderza im do głowy i niszczy mózg. Na Boga, żeńcie się, wyżyjcie się na kobietach i płódźcie dzieci, żeby odnaleźć spokój!

Stary Jonasz usłyszał nowiny o przybyciu Jezusa poprzedniego wieczoru i czekał w swej chacie. "Tak nie może być - pomyślał. - Na pewno moi synowie przyjdą sprawdzić, czy jeszcze żyję". Czekał całą noc, rozbudzał w sobie nadzieję i tracił ją. Rano włożył na nogi wysokie buty, które uszył sobie na ślub i które nosił tylko od



wielkiego święta, narzucił na siebie nasączone oliwą, rozdarte płótno i ruszył w deszczu do domu swego przyjaciela, Zebedeusza. Drzwi zastał otwarte, więc wszedł do środka.

W izbie płonął ogień. Przed nim siedziało ze skrzyżowanymi nogami około dziesięciu mężczyzn i dwie kobiety. Rozpoznał jedną z nich - była to stara Salome. Druga kobieta była młoda. Widział ją już, lecz nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Dom tonął w półmroku. Rozpoznał swoich dwóch synów, Piotra i Andrzeja, kiedy odwrócili się na chwilę i ich twarze oświetlił blask ognia. Nikt jednak nie usłyszał, jak Jonasz wchodzi i nikt go nie witał. Wszyscy słuchali z otwartymi ustami kogoś, kto siedział naprzeciwko drzwi. O czym on mówił? Stary Jonasz również otworzył usta i zamienił się w słuch. Docierały do niego tylko pojedyncze słowa: "sprawiedliwość", "Bóg", "królestwo niebieskie". Wciąż to samo, rok w rok! Miał już tego dość! Zamiast wyjaśniać, jak złapać rybę, naprawić żagiel, uszczelnić łódź, albo co zrobić, żeby zawsze było ciepło, sucho i nie brakło człowiekowi jedzenia, oni prawili o niebiosach! Niech to diabli, czy naprawdę nie mieli nic do powiedzenia o ziemi i morzu? Stary Jonasz wpadł w gniew. Zakasłał, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Bez skutku. Tupnął swą wielką nogą - znów na próżno. Wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrywali się w usta bladego mówcy.

Tylko stara Salome odwróciła głowę. Mimo że patrzyła na niego, nie widziała niczego i nikogo.. Jonasz zrobił krok do przodu i przykucnął przed paleniskiem, tuż za synami. Wyciągnął swą dużą rękę, położył ją Piotrowi na ramieniu i potrząsnął. Piotr odwrócił się, zobaczył ojca, położył palec na ustach nakazując ciszę i znów odwrócił głowę ku Jezusowi, jak gdyby nie rozpoznał Jonasza, rodzzonego ojca, którego nie widział od miesiący. Starzec najpierw poczuł smutek, a potem gniew. Zdjął buty, które i tak zaczęły go uwierać, i chciał nimi rzucić w twarz Nauczyciela, aby go wreszcie uciszyć i porozmawiać z dziećmi. Zamachnął się potężnie, kiedy nagle ktoś położył mu rękę na ramieniu i powstrzymał go. Odwrócił się i zobaczył starego Zebedeusza.

- Wstań Jonaszu - szepnął jego przyjaciel. - Wejdzmy dalej, do drugiej izby. Mam ci coś do powiedzenia.

Stary rybak wepchnął buty pod pachę i poszedł za Zebedeuszem. Weszli do drugiej izby i usiedli razem na skrzyni należącej do Salome.

- Jonaszu - zaczął Zebedeusz niepewnym głosem; wypił za dużo wina, próbując utopić w alkoholu swój gniew. - Jonaszu, mój przyjacielu, nie oszczędzał cię los. Miałeś dwóch synów - postaw na nich krzyżyk. Ja również miałem dwóch synów i

postawiłem na nich krzyżyk. Wydaje mi się, że ich ojcem jest Bóg, więc po co mam to zmieniać? Patrzą na nas, jak gdyby pytali: "Kim jesteście, starcze?"... Biedny Jonaszu, to koniec świata!

- Na początku ja też wpadłem w gniew - ciągnął Zebedeusz. - Miałem ochotę chwycić za harpun i wyrzucić ich z domu. Ale potem doszedłem do wniosku, że niczego to nie zmieni, więc zamknąłem się w swojej skorupie i oddałem im klucze. Moja żona trzyma ich stronę. Starzeje się już, biedaczka! Nie warto się nawet odzywać Jonaszu - to właśnie chciałem ci powiedzieć. Po co się okłamywać? Jak mi Bóg miły, nie jesteśmy im już potrzebni.

Jonasz włożył znów buty i narzucił na siebie płótno. Potem spojrzał na Zebedeusza, żeby się przekonać, czy ten doda coś jeszcze. Widząc, że nie ma takiego zamiaru, Jonasz otworzył drzwi. Popatrzył na niebo, popatrzył na ziemię: ciemno, choć oko wykol, zimno, mokro...

- Nie jesteśmy im już potrzebni - jęknął. - Nie jesteśmy im już potrzebni... - powtórzył i rozbryzgując błoto ruszył z powrotem do swej chaty.

Kiedy Jonasz ciężko dysząc wracał do domu, syn Marii wyciągnął rękę do ognia, jak gdyby modlił się do Bożego ducha, który ukryty w płomieniach daje ludziom ciepło. Jego serce otworzyło się - podniósł rękę do góry i przemówił:

- Nie myślcie, że przyszedłem obalać prawa i proroków. Nie przybyłem obalać dziesięciu przykazań, ale uzupełnić je. Widzieliście na tablicach Mojżeszowych napisane: "Nie zabijaj!" A ja powiadam wam, że każdy kto się gniewa na brata i podnosi rękę na niego, lub choćby powie mu przykre słowo, będzie strącony do piekieł! Widzieliście na tablicach Mojżeszowych napisane: "Nie cudzołóż!" A ja powiadam wam, że każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już w swoim sercu dopuścił się cudzołóstwa. Nieczyste spojrzenie zawiedzie lubieżnika do piekła!

- Stare prawo nakazuje wam szanować ojca i matkę. A ja powiadam: Nie zamykajcie serc swoich w domu waszych rodziców. Niech wyjdą stamtąd i wejdą do wszystkich domów, niech rozprzestrzenia się w całym Izraelu, od góry Hermon do pustyni Idumei, a nawet dalej - na wschód i zachód, na cały wszechświat. Bóg jest naszym ojcem, a Ziemia matką. Są w nas i Niebo, i Ziemia. Czczyć ojca i matkę znaczy tyle co czczyć Niebiosą i Ziemię.

Stara Salome westchnęła i rzekła:

- Twe słowa, Rabbi, są surowe i bolesne dla matki.

- Słowo Boże jest zawsze surowe - odparł Jezus.

- Weź moich dwóch synów - powiedziała cicho stara matka i skrzyżowała ręce.  
- Weź ich - należą do ciebie.

Jezus usłyszał słowa opuszczonej matki i miał wrażenie, że ktoś zawiesił mu na szyi wszystkich synów i wszystkie córki świata. Przypomnił sobie czarnego kozła, którego widział na pustyni. Z szyi zwierzęcia zwisały niebieskie amulety, w których zamknięto wszystkie grzechy ludzkie. Bez słowa pochylił się ku Salome, jak gdyby mówiąc: "Oto moja szyja - zawieś na niej swych synów..."

Wrzucił do ognia garść gałązek winorośli. Ogarnęły je płomienie. Przez dłuższą chwilę Jezus patrzył, jak ogień z sykiem pochłania gałązki. Potem odwrócił się do uczniów.

- Kto kocha swego ojca i matkę bardziej niż mnie, nie jest wart pójść za mną. Kto kocha swego syna lub córkę bardziej niż mnie, nie jest wart pójść za mną. Stare przykazania już nam nie wystarczą. Ani stare miłości.

Przerwał na chwilę, ale wkrótce ciągnął dalej:

- Człowiek jest granicą, miejscem, gdzie kończy się ziemia, a zaczynają niebiosy. Lecz ta granica jest ciągle w ruchu, dąży ku niebiosom. Wraz z nią przesuwają się przykazania Boże. Biorę przykazania z tablic Mojżeszowych i uzupełniam je, przybliżam je ku niebu.

- Czy zatem wola Boża się zmienia, Rabbi? - spytał zaskoczony Jan.

- Nie, ukochany Janie. To serce człowieka się zmienia, rozszerza się i jest zdolne zawrzeć w sobie więcej boskości.

- A więc naprzód! - krzyknął Piotr, wstając z podłogi. - Dlaczego wciąż siedzimy? Ogłośmy nowe przykazania światu!

- Może poczekamy, aż przestanie padać? - zadrwił Tomasz.

Wzburzony Judasz potrząsnął głową.

- Wpierw musimy wypędzić Rzymian - powiedział. - Musimy uwolnić nasze ciała, zanim uwolnimy dusze - trzeba zachować porządek. Nie zaczynajmy budować domu od dachu. Najpierw musimy położyć fundamenty.

- Fundamentem jest dusza, Judaszu.

- A ja mówię, że ciało!

- Jeśli nasze dusze się nie odmieniają, Judaszu, świat zewnętrzny również się nie zmieni. Wróg jest w nas, Rzymianie są w nas, zbawienie zaczyna się od naszego ducha!

Judasz wstał gwałtownie, gotując się z wściekłości. Tak długo tłumił w sobie

uczucia, słuchał i słuchał, nic nie mówiąc, ale dłużej nie mógł już wytrzymać.

- Najpierw wyrzucimy Rzymian! - krzyknął. - Najpierw Rzymianie!.

- Ale jak ich wyrzucić? - zapytał Nataniel, który poczuł się niepewnie i spoglądał niespokojnie w stronę drzwi.

- Powiedz nam, jak, Iskarioto?

- Rozpętamy powstanie! Przypomnij sobie Machabeuszy! Wypędzili Greków. Teraz nasza kolej. Nowi Machabeusze wypędzą Rzymian. Potem, kiedy wszystko znów będzie w naszych rękach, możemy dyskutować o bogatych i biednych, prześladowanych i prześladowcach.

Nikt się nie odezwał. Uczniowie nie byli pewni za czym głosem podążać. Wpatrywali się w Nauczyciela i czekali. Jezus zamyślony spoglądał na płomienie. Kiedyż wreszcie ludzie zrozumieją, że w obu światach: widzialnym i niewidzialnym tylko jedna rzecz istnieje naprawdę: dusza!

Z podłogi podniósł się Piotr i rzekł:

- Ja tam nic nie rozumiem z tych zawyłych dyskusji. Doświadczenie nam powie, czym są te wasze fundamenty. Poczekajmy i zobaczymy co się stanie. Mistrzu, pozwól nam pójść między ludzi i w twoim imieniu głosić Dobrą Nowinę. Kiedy wrócimy, omówimy te sprawy jeszcze raz.

Jezus podniósł głowę i spojrzał na uczniów. Kiwnął na Piotra, Jana i Jakuba. Podeszli do niego, a on kładąc ręce na ich głowach, powiedział:

- Idźcie z moim błogosławieństwem. Głoście ludziom Dobrą Nowinę. Bóg będzie was chronił swą dłonią i nic wam się nie stanie. Bez jego woli nawet wróbel nie spadnie z nieba, a wy jesteście warci wiele wróbli. Bóg z wami! Wracajcie szybko i oby tysiące dusz zawisły na waszych szyjach. Jesteście moimi apostołami.

Trzech apostołów otrzymało błogosławieństwo. Otworzywszy drzwi, wyszli w burzę, i każdy ruszył swoją drogą.

Mijały dni. Podwórze Zebedeusza rano wypełniało się ludźmi i pustoszało wieczorem. Chorzy, kulawi i opętani przez diabła nadchodzili zewsząd. Jedni płakali, inni wpadali w gniew i krzyczeli na Syna Człowieczego, aby dokonał cudu i wyleczył ich. Czyż nie po to Bóg go posłał? Niech w takim razie wyjdzie do nich na podwórze!

Słyszając ich żądania dzień po dniu, Jezus posmutniał. Wychodził na podwórze, dotykał i błogosławił każdego, mówiąc:

- Moi bracia, są dwa rodzaje cudów: cuda ciała i cuda duszy. Nawróćcie się i oczyśćcie swoje dusze, a ciało również będzie oczyszczone. Dusza jest jak drzewo -

choroba, zdrowie, raj i piekło są jej owocami.

Wielu uwierzyło i gdy tylko uwierzyli, krew natychmiast ożywiała ich zdrętwiałe ciała. Odrzucali kule i zaczęli tańczyć. Ślepi, gdy Jezus kładł rękę na ich martwych oczach, czuli jak światło wypływa z koniuszków jego palców. Unosili powieki i krzyczeli z radości, bo mogli oglądać świat.

Mateusz trzymał pióro w pogotowiu, a oczy i uszy miał szeroko otwarte. Zapisywał każde słowo na papierze, nic mu nie umknęło. W ten sposób, krok po kroku, powstawała Ewangelia - Dobra Nowina. Wypuściła korzenie, potem gałęzie i stała się drzewem, które wyda owoce dla narodzonych i jeszcze nie narodzonych. Mateusz znał Pismo na pamięć. Zauważył, że powiedzenia i uczynki Nauczyciela były dokładnie takie, jakie przepowiedzieli prorocy wieki wcześniej. A jeśli czasami proroctwa i życie Jezusa nie pokrywały się ze sobą, było tak dlatego, że umysł człowieka nie mógł zrozumieć ukrytego znaczenia świętego tekstu. Słowo Boże miało siedem znaczeń i Mateusz usiłował ustalić, do którego z nich dopasować nowe wydarzenia. Nawet jeśli czynił to czasem za wszelką cenę, Bóg i tak mu wybaczy! Nie tylko wybaczy, On tego pragnie. Czyż za każdym razem, kiedy Mateusz chwycił za pióro, nie przychodził doń anioł i nie śpiewał mu do ucha, co miał pisać?

Dzisiaj Mateusz rozumiał po raz pierwszy, gdzie zacząć i jak opisać życie i czasy Jezusa. Przede wszystkim trzeba napisać, gdzie się urodził, kim byli jego rodzice i przodkowie aż do czternastego pokolenia. Urodził się w Nazarecie, w biednej rodzinie cieśli Józefa. Jego matką jest Maria, córka Joachima i Anny....Mateusz chwycił za pióro i cicho poprosił Boga, aby go natchnął i dodał mu siłę. Lecz kiedy zaczął pięknie kaligrafować pierwsze słowa na papierze, ręka zeszywniała mu nagle. To anioł ją przytrzymał. Słyszał, jak skrzydła gniewnie uderzają w powietrze, a głos grzmi mu do ucha: "Nie syn Józefa! Nie pamiętasz, co mówi Izajasz? - »Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna«. Napisz tak: Maria była dziewicą. Archanioł Gabriel nawiedził jej dom, zanim zbliżył się do niej jakikolwiek mężczyzna i rzekł: »Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą«! I natychmiast stała się brzemienną... Słyszysz? To masz napisać. I nie w Nazarecie. Nie, on się nie urodził w Nazarecie. Nie zapomnij, co mówi prorok Micheasz: »A ty, Betlejem Efrata, najmniejsze jesteś wśród plemion judzkich! Z ciebie mi wyjdzie Ten, który będzie władał w Izraelu, a pochodzenie Jego od początku, od dni wieczności!« Jezus urodził się w Betlejem, w stajence. Co mówi psalmista: »Wziął Go ze stajni, gdzie jagnięta ssaly owce, aby uczynić Go pasterzem stada Jakuba«! Dlaczego przestałeś pisać? Pisz - natchnąłem cię!

Lecz Mateusz wpadł w gniew. Odwrócił się ku niewidzialnym skrzydłom i powiedział cicho, tak, aby nie usłyszeli go śpiący uczniowie:

- To nieprawda. Nie chcę tego pisać. Nie będę pisać!

Usłyszał nad sobą drwiący śmiech i głos, który mówił: "Jak możesz rozumieć, co jest prawdą, ty prochu marny? Prawda ma siedem warstw. Najwyżej zasiada prawda Boża, która nie jest w niczym podobna do prawdy ludzkiej. Tę prawdę, Mateuszu Ewangelisto, tę prawdę, którą szepczę tobie do ucha masz pisać... Pisz zatem: »I trzech Mędrcy, idąc za wielką gwiazdą, przyszli oddać dziecieniu pokłon...«

Z czoła Mateusza spływał pot.

- Nie będę tego pisał! Nie będę! - krzyczał, ale jego dłoń zapisywała szybko, wbrew jego woli, słowa anioła.

Jezus usłyszał przez sen krzyki Mateusza i otworzył oczy. Zobaczył, że pochyła się nad czymś i dysząc ciężko pisze z furią, przyciskając pióro do papieru tak, że w każdej chwili mogło się złamać.

- Mateuszu, bracie - rzekł cicho. - Dlaczego jęczysz? Kto się unosi nad tobą?

- Nie pytaj mnie, Rabbi - odparł wciąż przebiegając piórem po papierze. - Śpieszę się. Idź lepiej spać.

Jezus był pewien, że to Bóg unosi się nad Mateuszem. Zamknął oczy, żeby nie przeszkadzać świętemu uniesieniu.

## ROZDZIAŁ XXIV

Mijały dni i noce. Wschodził i zachodził jeden księżyc, po nim następny. Deszcz, chłód, ogień w palenisku; pobożne wieczory w domu starej Salome... Biedni i pokrzywdzeni z Kafarnaum przychodzili tu co wieczór po pracy, aby posłuchać nowego Pocieszyciela. Przybywali biedni i niepokieszeni, a wracali do swych nędznych chat bogaci i ukojeni. On przesadzał ich winnice, przenosił ich łodzie i radości z ziemi do nieba; tłumaczył im, o ile pewniejsze jest niebo od ziemi. Serca nieszczęśników wypełniała cierpliwość i nadzieja. Nawet dzikie serce Zebedeusza spokorniało. Stopniowo, powoli słowa Jezusa przenikały do jego wnętrza i odurzały jego umysł. Świat wokół niego zbladł, a ponad głową unosił się nowy, zbudowany z wieczności i nieprzemijającego bogactwa. W tym nowym świecie Zebedeusz z synami i starą Salome, a nawet jego pięć łodzi i pełne kufry, miały żyć wiecznie. "Dlatego najlepiej nie narzekać" - myślał na widok tylu nieproszonych gości przebywających pod jego dachem w dzień i w nocy, zasiadających za jego stołem. Prędzej czy później, musiało nadejść zadośćuczynienie.

W połowie zimy nadeszły słoneczne, bezwietrzne dni. Słońce jaśniało, ogrzewając nagie kości ziemi. Oszukało nawet drzewo migdałowe rosnące na środku Zebedeuszowego podwórza, które myśląc, że nadeszła już wiosna zaczęło wypuszczać pąki. Zimorodki czekały na te ciepłe, miłosierne dni, aby złożyć jaja na skałach. Wszystkie pozostałe ptaki niosły się wiosną, ale nad zimorodkami zlitował się Bóg i obiecał im, że pozwoli zimą słońcu przygrzać mocniej przez kilka dni tylko dla nich. Teraz te morskie słowiki radośnie fruwały nad jeziorem Genezaret i jego kamienistymi brzegami i swym szczebiotem dziękowały Bogu za to, że raz jeszcze dotrzymał słowa.

W czasie tych cudownych dni pozostali uczniowie wypłynęli łodziami i rozeszli się w stronę pobliskich wiosek, chcąc także wypróbować swych skrzydeł. Filip i Nataniel wyruszyli łądem do znajomych chłopów i pasterzy, aby głosić między nimi słowo Boga. Andrzej i Tomasz wypłynęli na jezioro, aby złowić rybaków. Judasz udał się samotnie w kierunku góry, żeby rozładować swój gniew. Wiele rzeczy, które robił Mistrz podobało mu się, lecz niektórych po prostu nie mógł znieść. Czasem ustami Jezusa przemawiał gromko nawiedzony Chrzciiciel, ale kiedy indziej był to znów ten sam syn cieśli, który cienkim głosem wołał: Miłość! Miłość!... Jaka miłość,

jasnowidzu? Świat choruje na gangrenę i potrzebuje noża - ot co!

Tylko Mateusz pozostał w domu. Nie chciał się nigdzie ruszać, bo Nauczyciel mógł w każdej chwili przemówić, a on nie mógł pozwolić, aby jego słowa poszły w zapomnienie; mógł dokonać jakiegoś cudu i on, Mateusz, musiał zobaczyć to na własne oczy, aby później opisać innym. A poza tym, dokąd miałby pójść, z kim porozmawiać? Nikt nie zechciałby go słuchać, bo kiedyś był nędznym celnikiem. Dlatego pozostał w domu i ze swojego kąta obserwował ukradkiem Jezusa, który siedział w cieniu pączkującego drzewa migdałowego. Na próżno Mateusz nadstawiał swoich wielkich uszu, żeby złowić jakieś słowo. Mógł tylko patrzeć na surową i pełną cierpienia twarz Mistrza i jego rękę, muskającą od czasu do czasu włosy Magdaleny.

Był szabas i z okolicznych wiosek wczesnym rankiem wyruszyli pielgrzymi - chłopci z Tyberiady, rybacy z Genezaret, pasterze z gór - aby usłyszeć, jak prorok mówi im o rajach, piekle, nieszczęsnej ludzkości i boskim miłosierdziu. Ponieważ świeciło słońce i był wspaniały dzień, chcieli zabrać go na zielone zbocze góry, gdzie mogliby słuchać go leżąc na ciepłej trawie i może nawet zdrzemnąć się słodko na wiosennej darni. Zastawszy zamknięte drzwi, zebrali się na drodze i wołali Nauczyciela, żeby do nich wyszedł.

- Magdaleno, moja siostrze - powiedział Jezus - przyszli po mnie ludzie.

Ale Magdalena, zatopiona w jego oczach, nic nie słyszała. Ze wszystkiego, co mówił do niej od tak długiego czasu, nie słyszała ani słowa. Cieszyła się wyłącznie brzmieniem jego głosu. Ten głos mówił jej wszystko. Nie była mężczyzną - nie potrzebowała słów. Kiedyś zapytała go:

- Rabbi, dlaczego opowiadasz mi o przyszłym życiu? Nie jesteśmy mężczyznami, nie czujemy potrzeby innego, wiecznego życia - jesteśmy kobietami i dla nas jedna chwila z mężczyzną, którego kochamy, jest wiecznym rajem, jeden moment z dala od niego - wiecznym piekłem. To tu, na ziemi, my, kobiety, przeżywamy wieczność.

- Magdaleno, moja siostrze - powtórzył Jezus - przyszli po mnie ludzie. Muszę iść.

Wstał i otworzył drzwi. Droga pełna była rozgnionych oczu, rozkrzyczanych ust i jęków chorych, których przyniesiono na rękach... Magdalena pojawiła się w drzwiach i zakryła ręką usta, żeby nie krzyknąć.

- Ci ludzie to dzikie bestie, dzikie krwiożercze bestie, które go pożrą - powiedziała cicho, patrząc, jak idzie spokojny na czele rozwrzeszczanego tłumu.



Jezus zmierzał długimi, spokojnymi krokami w stronę góry piętrzącej się ponad jeziorem; góry, na której niegdyś rozpostarł ramiona przed wielkim tłumem i zawołał: Miłość! Miłość! Ale od tamtego czasu jego umysł rozgorzał. Pustynia utwardziła jego serce, ciągle czuł na swoich ustach wargi Chrzciciela jak dwa rozpalone węgle. Proroctwa wybuchały w nim raz po raz; boskie, nieludzkie wrzaski powracały do życia, gdy widział trzy córki Boga: Trąd, Szaleństwo i Ogień, przedzierające się przez niebiosy, aby zstąpić na ziemię.

Gdy dotarł do szczytu wzgórze i otworzył usta, żeby przemówić, w jego sercu zbudził się prorok i zaczął krzyczeć:

- Straszliwa armia nadciąga z rykiem z odległych krańców ziemi, nadchodzi szybkim krokiem. Żaden z wojowników nie potyka się ze zmęczenia, żaden nie jest senny - oni nigdy nie śpią. Ani jeden pas nie zwisa luźno, nie jest zerwany ani jeden rzemyk przy bucie. Ich strzały są ostre, cięciwy ich łuków napięte. Ich rumaki mają kopyta twarde jak kamień, koła rydwanów wirują jak powietrzne trąby. Armia zbliża się, rycząc groźnie jak lwica. Tego, kogo złapie, podnosi w zębach i nikt już nie może go uratować!

- Co to za armia? - zawołał jakiś starzec, którego siwe włosy stały dęba.

- Co to za armia? Nie wiecie tego, głusi, ślepi, bezmyślni ludzie? - Jezus podniósł rękę ku niebu. - To armia Boga, nędznicy! Z daleka boscy wojownicy wydają się aniołami, ale z bliska są jak ogień. Ja sam wziąłem ich za aniołów zeszłego lata, tu, na tej właśnie skale, gdzie teraz stoję, i wołałem: Miłość! Miłość! Ale Bóg pustyni otworzył mi oczy. Ujrzałem. To płomienie! "Nie zniosę tego dłużej!" - woła Bóg. - Zstępuję na ziemię!" Już słyszeć biadolenie w Jeruzalem i w Rzymie, w górach i we wnętrzach grobowców. Ziemia oplakuje swe dzieci. Aniołowie Boga zstępują na osmolone pola i szukają w świetle lamp, gdzie był Rzym, gdzie Jeruzalem. Rozkruszają w palcach popiół, wachają go i mówią: "To musiał być Rzym, a to Jeruzalem" - i rzucają popiół na wiatr.

- Czy nie ma żadnego ratunku? - zawołała jakaś młoda matka, przyciskając do piersi dziecko. - Nie chodzi o mnie, lecz o mojego syna.

- Jest! - odpowiedział jej Jezus. - W czasie każdej powodzi Bóg buduje arkę i umieszcza w niej zarodek przyszłego świata. Ja mam do niej klucz!

- Kto ma być tym zarodkiem? Kogo ocalisz? Czy jest jeszcze czas? - zawołał inny starzec, któremu trzęsła się broda.

- Przed sobą mam wszechświat i wybieram z niego. Po jednej stronie ci

wszyscy, którzy za wiele jedli, pili i całowali. Po drugiej głodujący i uciemienieni. Ich właśnie, głodujących i uciemienionych, wybieram. Oni są kamieniami, na których wybuduję Nowe Jeruzalem.

- Nowe Jeruzalem? - zawołali ludzie. Ich oczy błyszczały.

- Tak, Nowe Jeruzalem. Sam tego nie wiedziałem, dopóki Bóg nie wyjawiał mi tej tajemnicy na pustyni. Wpierw płomień, dopiero potem miłość. Najpierw świat obróci się w popiół, a potem Bóg zasadzi nową winnicę. Nie ma lepszego nawozu niż popiół.

- Nie ma! - powtórzył jak echo jakiś ochryply, radosny głos, który przypominał jego własny, tyle że był głębszy i weselszy. Jezus obrócił się zaskoczony do tyłu i ujrzał Judasza. Przeląkł się; twarz rudobrodego miotła błyskawice, jak gdyby dosięgły jej już płomień.

Judasz rzucił się naprzód i uściśnął rękę Jezusa.

- Rabbi - wyszeptał z nieoczekiwaną czułością - mój Rabbi...

Nigdy w życiu Judasz nie zwracał się do nikogo tak czule. Poczł wstyd. Pochylił się i udał, że o coś pyta, chociaż sam nie wiedział właściwie o co, po czym znalazł mały, kielkujący kwiatek zawilca i wyrwał go z korzeniami.

Wieczorem, gdy Jezus wrócił i znowu usiadł na stołku przed paleniskiem wpatrzony w ogień, poczuł nagle, że Bóg w jego sercu gniewa się i nie pozwala mu już dłużej zwlekać. Ogarnęły go smutek, rozdrażnienie i wstyd. Znow przemawiał dzisiaj, miotając płomień nad głowami ludzi. Prości rybacy i chłopci z początku słuchali go z lękiem, ale wnet odzyskali rezon i uspokoili się. Wszystkie te groźby były dla nich jak bajka i niektórzy zasnęli nawet na rozgrzanej murawie, ukołysani brzmieniem jego głosu.

Obserwował w milczeniu ogień. Magdalena stała w kącie izby i patrzyła na niego. Chciała coś powiedzieć, ale brakło jej śmiałości.

Czasem słowa kobiety radują mężczyznę, kiedy indziej go rozwścieczają. Magdalena wiedziała o tym dobrze i milczała.

Było zupełnie cicho. Dom pachniał rybą i rozmarynem. Okno wychodzące na podwórze było otwarte. Gdzieś niedaleko musiały kwitnąć drzewa niespliku, bo ich zapach, słodki i gryzący, wpadał do izby razem z wieczorną bryzą.

Jezus wstał i zamknął okno. Wszystkie te wiosenne wonie zalatywały pokusą - nie była to właściwa atmosfera dla jego duszy. Nadszedł czas, by stąd odejść i znaleźć bardziej odpowiednie powietrze. Bogu spieszyło się.

W otwartych drzwiach stanął Judasz, omiatając spojrzeniem wnętrze izby. Ujrzał Nauczyciela ze wzrokiem wbitym w ogień, przycupniętą w kącie Magdalene, Zebedeusza, który chrapał we śnie, a pod lampą chroboczącego po papierze pisarza, który stawiał kleks za kleksem... I to miała być ta ich wielka kompania? Czy w ten sposób zamierzali podbić świat? Jeden jasnowidz, jeden urzędas, jedna niezbyt cnotliwa niewiasta, paru rybaków, jeden szewc, jeden handlarz - i wszyscy siedzą beczynn timerze w Kafarnaum! Judasz skulił się w kącie. Stara Salome nakryła już do stołu.

- Nie jestem głodny - mruknął - spać mi się chce. - Zamknął oczy, żeby nie patrzeć na siadających do stołu. Przez drzwi wpadła ćma. Okrążyła płomień lampy, zatrzepotała we włosach Jezusa, po czym zaczęła fruwać po pokoju.

- Będziemy mieli gościa - powiedziała stara Salome. - Ucieszy nas jego widok.

Jezus pobłogosławił chleb, podzielił go i zaczęli jeść. Milczeli. Stary Zebedeusz, którego zbudzono na kolację, czuł, że dusi się od zalegającej ciszy. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

- Mówcie coś, chłopaki! - powiedział, uderzając pięścią w stół. - Co się stało? Milczycie jakbyśmy czuwali tu nad jakimś trupem. Nie wiecie, że gdy trzech czy czterech ludzi siada do stołu i je nie rozmawiając o Bogu, to tak jakby brali udział w stypie? Powiedział mi to kiedyś ten stary rabin z Nazaretu - niech go Bóg błogosławi - i zapamiętałem to sobie do dziś. Więc mówże, synu Marii! Wybacz, że nazywam cię synem Marii, ale ciągle nie wiem, jak się do ciebie zwracać. Jedni wołają na ciebie "synu cieśli", inni "synu Dawida", "Synu Boży", "Synu Człowieczy". Istny mętnik. Najwyraźniej świat nie może się zdecydować.

- Stary Zebedeuszu - odparł Jezus - wokół tronu Boga fruują niezliczone zastępy aniołów. Ich głosy są jak srebro, jak złoto, jak czysta woda w potoku. Wszystkie sławią imię Boga, ale z daleka. Żaden nie śmie zbyt blisko zbliżyć się do niego - z wyjątkiem jednego anioła.

- Jakiego? - zapytał Zebedeusz otwierając szeroko oczy, na dnie których połyskiwało wino.

- Anioła milczenia - odpowiedział mu Jezus i zamilkł.

Gospodarz zakrztusił się, napełnił swój puchar winem i opróżnił go jednym haustem. "Coś kiepski ma dzisiaj nastrój - pomyślał. - To tak jakby siedzieć przy stole z lwem..." Ledwo myśl ta przeszła mu przez głowę, zląkł się i wstał od stołu.

- Pójdę poszukać starego Jonasza; porozmawiamy sobie jak ludzie - powiedział, kierując się w stronę drzwi. W tej samej chwili z podwórza dobiegł odgłos

lekkich kroków.

- To nasz gość - powiedziała Salome, podnosząc się z miejsca. Wszyscy odwrócili głowy. W progu stał stary rabin z Nazaretu.

Jakże się postarzał i skurczył! Nie zostało z niego nic prócz paru kości owiniętych w spieczoną słońcem skórę - tyle tylko, żeby jego dusza miała się czego trzymać i nie odfrunęła do nieba. W ostatnim czasie rabin nie mógł spać, a kiedy czasem udało mu się usnąć, zawsze nad ranem nawiedzał go ten sam dziwny sen: aniołowie, płomienie... i Jerozolima pod postacią zranionej, ryczącej bestii, która wdrapywała się na górę Syjon; Parę dni temu, o świcie, znów przyśnił mu się ten sam sen - i tym razem nie wytrzymał. Wskoczył z łóżka, opuścił dom, dotarł do pól i przemierzył równinę Esdrelonu. Przed nim wyrosła góra Karmel, po której stapał niegdyś Bóg. Z pewnością na jej szczycie stał prorok Eliasz. To on ciągnął ku sobie rabina i dodawał mu sił, aby piał się do góry. Gdy starzec dotarł na szczyt, słońce już zaszło. Wiedział, że na świętym szczycie stoją jak ołtarz trzy pionowe skały i że wokół nich leżą kości i rogi ofiarnych zwierząt. Lecz gdy podszedł bliżej i podniósł wzrok, z gardła wyrwał mu się okrzyk: kamienie zniknęły! Tego wieczoru na szczycie stało trzech potężnych mężów. Ich szaty były białe jak śnieg, a ich twarze jaśniały blaskiem. W środku stał Jezus, syn Marii. Po jego lewej stronie stał prorok Eliasz, ściskając w dłoniach rozżarzone węgle; po prawej Mojżesz z zakrzywionymi rogami, trzymając dwie tablice zapisane płonącymi literami... Rabin upadł na twarz. "Adonai! Adonai!" - wyszeptał, drżąc cały. Wiedział, że Eliasz i Mojżesz nie umarli i że mieli pojawić się ponownie na ziemi w straszliwym dniu Pana. Był to znak, że nadszedł koniec świata. Pojawili się - stali przed nim! - rabin trząsł się ze strachu. Podniósł wzrok. Przed nim, połyskując w mroku, stały trzy olbrzymie skały skąpane w promieniach słońca.

Od wielu lat wertował Pismo Święte; od wielu lat karmił się słowami Jahwe. Potrafił odkryć znaczenie ukryte pod tym, co widzialne i niewidzialne - i teraz zrozumiał. Podniósł z ziemi swoją laskę - skąd w tym rozklekotanym ciele tyle sił? - i wyruszył do Nazaretu, Kany, Magdali, Kafarnaum - wszędzie - w poszukiwaniu syna Marii. Podobno Jezus powrócił z Pustyni Judejskiej; rabin wędrował jego śladami i w całej Galilei słyszał układane przez chłopów i rybaków legendy o nowym proroku: o tym, jakich dokonał cudów; o słowach, które wypowiedział; o kamieniu, na którym stanął, aby przemówić i który pokrył się nagle kwieciami... Raz zagadnął napotkanego na drodze starca. Ten uniósł ręce ku niebu i rzekł:

- Byłem ślepy. On dotknął moich powiek i przywrócił mi wzrok. Chociaż

pouczył mnie, żebym nikomu o tym nie mówił, chodzę od wioski do wioski i opowiadam o tym każdemu.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie on teraz jest, starcze?

- Zostawiłem go w domu Zebedeusza, w Kafarnaum. Spiesz się, żebyś go tam zastał, zanim wstąpi do nieba.

Stary rabin szedł szybkim krokiem i tuż po zmroku dotarł do domu starego Zebedeusza. Wszedł do środka, a stara Salome zerwała się, żeby go powitać.

- Salome - powiedział stary rabin, przekraczając próg - pokój temu domowi i oby bogactwa Abrahama i Izaaka nie omijały jego właścicieli. Odwrócił się i zamarł na widok Jezusa.

- Wiele ptaków przefrunęło nad moja głową, niosąc wieści o tobie - powiedział.

- Moje dziecko, droga, po której kroczysz, jest trudna i niezwykle długa. Bóg z tobą!

- Amen - odparł Jezus grobowym tonem.

Stary Zebedeusz położył rękę na sercu i powitał gościa.

- Cóż za wiatr przywiał cię do mojego domu, ojcze? - zapytał.

Ale rabin, być może nie słysząc go, bez słowa usiadł przy ogniu. Choć był zmęczony, zmarznięty i głodny nie miał ochoty na jedzenie. Przed nim rozpościerały się dwie lub trzy drogi i nie mógł się zdecydować, którą wybrać. Po co tu przybył? Żeby opowiedzieć o swoim widzeniu Jezusowi, A jeśli nie pochodziło ono od Boga? Dobrze wiedział, że kusiciel potrafi przywdziać czasem maskę Boga. Jeżeli wyjawি Jezusowi to, co widział, jego duszą może zawładnąć demon pychy. Wówczas byłby stracony. Może więc powinien strzec swojej tajemnicy i towarzyszyć Jezusowi wszędzie, gdzie ten się uda? Ale czy uchodzi, żeby on, rabin z Nazaretu, wędrował u boku tego najzuchwalszego z buntowników, człowieka, który chełpił się, że przyniesie nowe prawo? Czyż dopiero co nie minął Kany, w której panowało zamieszanie z powodu czegoś, co Jezus tam powiedział i co było sprzeczne z Prawem? Podobno w święty szabas Jezus spacerował przez pola i ujrzał kogoś przy oczyszczaniu rowów i nawadnianiu ogrodu.

- Człowieku - zwrócił się do niego - jeśli wiesz, co robisz, niechaj spłynie na ciebie radość; jeśli nie wiesz, obyś był przeklęty, albowiem łamiesz Prawo.

Gdy stary rabin to usłyszał, zaniepokoił się. "Ten buntownik jest niebezpieczny - pomyślał. - Miej się na baczności, Szymonie, żebyś przypadkiem nie został potępiony na stare lata!"

Jezus podszedł i usiadł obok niego. Judasz leżał na klepisku z zamkniętymi

oczami. Mateusz udał się na swoje stanowisko pod lampą i czekał z piórem w dłoni. Ale Jezus milczał. Patrzył w ogień, który trawił drewno i słyszał, jak rabin dyszy ciężko obok, jak gdyby ciągle był w drodze.

Tymczasem stara Salome posłała łóżko dla znużonego gościa. Był starcem i potrzebował miękkiego siennika i poduszki. Przy łóżku postawiła też mały dzbanek z wodą, żeby nie dręczyło go w nocy pragnienie. Zebedeusz zrozumiał, że gość nie przyszedł do niego w odwiedziny. Wziął laskę i wyszedł poszukać Jonasza, żeby odetchnąć trochę w ludzkim towarzystwie - w jego domu były same lwy. Magdalena i Salome zostawiły Jezusa i rabina samych. Czuli, że mężczyźni mają do omówienia jakieś tajemne i ważne sprawy.

Ale Jezus i rabin milczeli. Obaj wiedzieli doskonale, że słowa nigdy nie są w stanie opróżnić serca człowieka i przynieść mu ulgi. Może to uczynić tylko cisza, dlatego milczeli. Mijały godziny. Mateusz zasnął z piórem w dłoni, a Zebedeusz, nasyciwszy się rozmową, wrócił do domu i położył obok swojej starej żony. Była północ. Rabin w końcu nasycił się milczeniem. Wstał.

- Powiedzieliśmy sobie dziś wiele, Jezusie - wyszeptał. - Dokończymy naszą rozmowę jutro. - Poczłapał zmęczony do łóżka.

Słońce weszło i stało już wysoko na niebie. Było prawie południe, lecz rabin wciąż jeszcze nie otworzył oczu. Jezus udał się nad jezioro, żeby porozmawiać z rybakami. Wdrapał się do łodzi Jonasza, by pomóc mu w połowie. Judasz wałęsał się w pobliżu, bez celu, samotnie, jak pasterski pies.

Stara Salome pochyliła się nad rabinem, żeby sprawdzić, czy oddycha. Oddychał.

- Chwała Bogu, żyje - powiedziała półgłosem. Właśnie miała odejść, gdy starzec otworzył oczy i widząc ją pochyloną nad sobą, zrozumiał jej obawy.

- Nie lękaj się, Salome - powiedział. - Żyję. Nie mogę jeszcze umrzeć.

- Oboje się postarzeliliśmy - powiedziała Salome surowo. - Oddaliśmy się coraz dalej od ludzi i coraz bardziej zbliżamy do Boga. Nikt nie zna dnia ani godziny. To grzech mówić: "Nie mogę jeszcze umrzeć".

- Nie mogę jeszcze umrzeć, droga Salome - upierał się rabin. - Bóg Izraela dał mi słowo. "Nie umrzesz, Szymonie, dopóki nie ujrzysz Mesjasza" - tak powiedział.

Naraz jego oczy rozszerzyły się ze strachu. Czy to możliwe, że już widział Mesjasza? Czy to możliwe, że był nim Jezus? Czy widzenie na Karmelu było znakiem od Boga? Jeśli tak, to nadszedł na niego czas! Oblał go zimny pot. Nie wiedział czy się

radować, czy zacząć jęczeć. W jego duszy panowała radość: przyszedł Mesjasz! Ale jego słabowite ciało nie chciało umierać. Dysząc ciężko, wstał, powlókł się w stronę drzwi i usiadłszy w progu, w ciepłych promieniach słońca, pogrążył się w myślach.

Jezus wrócił po zmierzchu, wyczerpany. Łowili z Jonaszem przez cały dzień. Łódź była pełna ryb i Jonasz nie posiadał się ze szczęścia. Otworzył nawet usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zamiar i brnąc po kolana w masie trzepoczących ryb spojrzął na Jezusa i roześmiał się.

Tego samego wieczoru, z okolicznych wiosek powrócili uczniowie. Przykucnęli wokół Jezusa i zaczęli opowiadać mu o wszystkim, co ujrzeli i uczynili. Siłąc się na dar wymowy oznajmiali chłopom i rybakom, że nadchodzi dzień Pański. Ich słuchacze dalej jednak naprawiali w spokoju sieci albo kopali ziemię w ogrodach. Od czasu do czasu potrząsali głowami i mówili: "Ano zobaczymy... zobaczymy...", po czym zmieniali temat.

Podczas tych opowieści niespodziewanie powrócili trzej apostołowie. Judasz, który siedział w milczeniu na uboczu, nie mógł powstrzymać się na ich widok od śmiechu.

- Kto was tak urządził, apostołowie? - zawołał. - Biedaczyska, musieliście dostać niezłe lanie!

W istocie, prawe oko Piotra było spuchnięte i łzawiło; Jan miał podrapane policzki, a Jakub utykał.

- Rabbi - westchnął Piotr - słowo Boże niesie z sobą wiele kłopotów, naprawdę wiele.

Roześmiali się wszyscy, tylko Jezus spojrzął na nich z powagą.

- Dostaliśmy niezłe lanie - ciągnął Piotr, który chciał jak najszybciej zrzucić to, co mu leżało na sercu. - Z początku chcieliśmy się rozdzielić, ale ponieważ baliśmy się iść w pojedynkę, więc połączyliśmy się na nowo i zaczęliśmy głosić słowo Boże. Ja wchodziłem na głąz albo na jakieś drzewo pośrodku wioski i klaskałem w dłonie albo gwizdałem na palcach, żeby zwołać ludzi. Gdy w tłumie było wiele kobiet, przemawiał Jan. To dlatego ma podrapaną twarz. Gdy przeważali mężczyźni, przemawiał Jakub swoim niskim głosem, a kiedy ochryplł, ja ciągnąłem dalej. Co mówiliśmy? To samo, co ty mówisz. Ale obrzucali nas zgniłymi cytrynami i wygwizdywali, bo ponoć nieśliśmy im zagładę tego świata. Rzucali się na nas z pięściami i paznokciami - no i patrzcie tylko, jak nas urządzili!

Judasz znów wybuchnął głośnym śmiechem, ale Jezus odwrócił się i jednym

spojrzeniem zamknął mu zuchwałę usta.

- Wiem, że wysyłam was jak baranki pomiędzy wilki - powiedział. - Będą was zniesławiać, kamienować i odsądzać od czci i wiary, bo wypowiedacie wojnę nieprawości; będą was lżyć, mówić, że chcecie obalić wiarę, rodzinę i ojczyznę, bo nasza wiara jest czystsza, nasz dom obszerniejszy, a naszą ojczyzną jest cały świat! Bądźcie gotowi na wszystko, przyjaciele. Pożegnajcie się z chlebem, uciechami i bezpieczeństwem. Ruszamy na wojnę!

Nataniel odwrócił się i spojrzał zaniepokojony na Filipa, ale ten zrobił gest, jak gdyby chciał powiedzieć: "To nic, on tylko tak mówi, żeby nas wypróbować".

Stary rabin był bardzo zmęczony. Położył się z powrotem do łóżka, ale umysł miał szeroko otwarty: widział i słyszał wszystko. Zdecydował się i przyniosło mu to ukojenie. W jego duszy rozległ się rozkazujący głos - jego własny?, Boga?, a może ich obu jednocześnie? - "Szymonie, gdziekolwiek on pójdzie, ty masz mu towarzyszyć!"

Piotr chciał mówić dalej. Miał jeszcze więcej do opowiedzenia, ale Jezus wyciągnął rękę.

- Dość! - powiedział.

Wstał. Przed jego oczami wyrosła Jerozolima: dzika, przepelniona krwią i stojąca u kresu rozpacz, graniczącej z nadzieją. Kafarnaum zniknęło razem ze swymi prostymi rybakami i chłopami. Jezioro Genezaret wsiąkło w jego serce. Dom Zebedeusza skurczył się - ściany przybliżyły się do siebie, prawie dotykając jego ciała. Poczul, że się dusi. Podszedł do drzwi i otworzył je.

Dlaczego zatrzymał się w tym miejscu, jadł i pił, pozwalał, aby rozpalano dla niego ogień i podawano mu jadło w południe i wieczorem? Marnował tylko swój czas. Czyż w ten sposób zamierzał zbawić świat? Czy nie powinien się wstydzić?

Wyszedł na podwórze. Wiał ciepły wiatr, niosąc ze sobą zapach drzew wypuszczających liście. Gwiazdy były jak sznury pereł na szyi i ramionach nocy. Poniżej, u jego stóp, pulsowała ziemia, jak gdyby niezliczone usta ssaly mleko z jej piersi.

Odwrócił twarz na południe, w stronę świętej Jerozolimy. Wydawało się, że nasłuchuje uważnie i usiłuje dojrzeć w ciemności jej twardą twarz ze splamionych krwią kamieni. Podczas gdy jego myśli, żarliwe i zrozpaczone, płynęły jak rzeka, mijając górę i równinę, i już-już miały dotknąć świętego miasta, nagle wydało mu się, że widzi ogromny cień, który porusza się pod drzewem migdałowym na podwórzu. Coś ciemniejszego od nocy podniosło się znienacka w czarnym powietrzu. Była to jego



olbrzymia towarzyszka podróży. Pośród nocnej ciszy z łatwością rozróżniał jej głęboki oddech, ale nie odczuwał już lęku. Czas przyzwyczaiał go do tego. Czekał, aż w końcu cichy, spokojny głos dobiegający spod drzewa migdałowego rozkazał bez pośpiechu: "Chodźmy!"

Między drzewami pojawił się zakłopotany Jan. Wydawało mu się, że usłyszał jakiś głos w ciemności.

- Rabbi - wyszeptał - z kim rozmawiasz?

Jezus nie odpowiedział: wszedł do domu i wyciągnął rękę po pasterski kij stojący w kącie.

- Przyjaciele - powiedział - chodźmy!

Ruszył w stronę drzwi, nie oglądając się, żeby sprawdzić, czy ktoś podąża za nim.

Stary rabin wyskoczył z łóżka, zapiął pas i porwał swoją laskę.

- Idę z tobą, moje dziecko - zawołał i pierwszy ruszył w stronę drzwi.

Stara Salome przestała prząść i podniosła się z miejsca. Odłożyła kądziel na bok i oznajmiła:

- Ja też idę: Zebedeuszu, zostawiam ci klucze. Żegnaj! - Odpięła klucze, które miała przymocowane przy pasie i oddała je mężowi. Potem owinęła się szczelnie chustą, rozejrzała po domu i pożegnała go skinieniem głowy. W piersiach poczuła nagle serce dwudziestoletniej dziewczyny.

Magdalena także wstała, milcząca i szczęśliwa. Poruszeni uczniowie podnieśli się i popatrzyli po sobie.

- Dokąd idziemy? - zapytał Tomasz, wsadzając swój róg za pas.

- W środku nocy? Po co ten pośpiech? Nie możemy poczekać do jutra? - spytał Nataniel, zerkając z wyrzutem na Piotra.

Ale Jezus długimi krokami przemierzył już podwórze i skierował się na południe.

## ROZDZIAŁ XXV

Świat zadrżał w posadach, bo zadrżało serce człowiecze, zgniecione pod kamieniami zwanymi Jerozolimą, pod przepowiedniami, słowami o Powtórny Przyjściu, anatemami; faryzeuszami i saduceuszami, pod sytymi bogaczami i głodnymi biedakami, pod Bogiem Jahwe, z którego brody i wąsów od wieków spływała w otchłań krew rodzaju ludzkiego. Nieważne gdzie go dotknąć, Bóg podnosił krzyk. Jeśli powiedzieć mu dobre słowo, wołał: "Chcę mięsa!" i groził pięścią. A jeśli zaś złożyć mu w ofierze baranka lub syna pierworodnego, wołał: "Nie chcę mięsa! Serca rozdierajcie, nie szaty! Ciało przemieńcie w ducha, a ducha w modlitwę i rzućcie ją na wiatr!"

Serce człowiecze było przygniecione sześćset trzynastoma przykazaniami Prawa Hebrajskiego i tysiącami przykazań niepisanych - a jednak nie drgnęło. Księga Rodzaju, Księga Liczb, Księga Sędziów, Księgi Królewskie - nic nie pomogło. A potem nagle i nieoczekiwanie powiał lekki wiatr - ziemski, nie niebiański - i zadrżały wszystkie jego komory. Natychmiast sędziowie, królowie, prorocтва, anatemy, faryzeusze, saduceusze i kamienie zwane Jeruzalem - wszystko zaczęło pękać, sypać się i walić w gruzy - najpierw w sercach, potem w myślach, a wreszcie i na samej ziemi. Wyniosły Jahwe raz jeszcze przypasał skórzany fartuch rzemieślnika, raz jeszcze pochwycił poziomice i miarę, zstąpił na ziemię i osobiście pomógł ludziom zniszczyć przeszłość i zbudować przyszłość. Ale przede wszystkim rozpoczął budowę świątyni żydowskiej w Jerozolimie.

Codziennie Jezus stawał na poplamionym krwią chodniku. Patrzył na przeladowaną świątynię i czuł, że serce mu wali, jak gdyby chciało rozwalić jej ściany. A jednak stała, lśniąc w słońcu jak złotorogi, strojny w wieńce byk. Ściany aż po dach wyłożone były białym marmurem w niebieskie żyłki. Zdawało się, że świątynia żegluje po wzburzonym oceanie. Miała trzy piętra: pierwsze, największe, przeznaczone było dla bałwochwalców, drugie dla ludu Izraela, a najwyższe dla dwudziestu tysięcy lewitów, którzy sprząтали i czyścili jej wnętrze, zapalali i gasili lampy. Siedem rodzajów kadzidła paliło się dniem i nocą. Nad świątynią unosił się dym tak gęsty, że kichały wszystkie kozy w promieniu siedmiu mil.

Skromna arka zawierająca Prawo Mojżesza, arka przodków, którą wędrujący praojcowie przenieśli przez pustynię, stała na szczycie Syjonu. Zapuściła korzenie,

wypuściła pędy, przystroiła się w drewno cyprysowe, marmur i złoto - i stała się świątynią. Dziki pustynny Bóg początkowo nie chciał zamieszkać w budynku, ale tak bardzo polubił woń drewna cyprysowego i kadzidła, smak mordowanych zwierząt, że któregoś dnia przekroczył próg świątyni.

Minęły dwa miesiące odkąd Jezus przybył do Kafarnaum. Codziennie przyglądał się świątyni i codziennie zdawało mu się, że widzi ją pierwszy raz, jak gdyby co rano spodziewał się, że budynek rozpadł się nocą i będzie można go zdeptać. Nie chciał dłużej patrzeć na świątynię; już się jej nie lękał. Zniszczył ją w swoim sercu. Któregoś dnia, gdy stary rabin zapytał, dlaczego nie wchodzi do środka, żeby się pomodlić, Jezus potrząsnął głową i powiedział:

- Latami krążyłem wokół świątyni, a teraz ona krąży wokół mnie.

- Jezusie, to chępliwe słowa - ostrzegł go rabin, opuszczając sędziwą głowę na pierś. - Nie boisz się?

- Gdy mówię "ja" - odparł Jezus - nie mówię o tym ciełe, które jest tylko prochem. Nie mówię o synu Marii, bo i on jest prochem - z małą iskierką ognia. Gdy słowo "ja" pada z moich ust, mówię o Bogu.

- To jeszcze gorsze bluźnierstwo! - zawołał, rabin, zasłaniając twarz.

- Nie zapominaj że jestem Świętym Bluźniercą - zaśmiał się Jezus.

Pewnego dnia rozgniewał się, widząc, jak uczniowie stoją przed imponującym budynkiem i otwierają usta z podziwu.

- Zdumiewa was ta świątynia, prawda? - rzucił z przekąsem. - Ile lat ją budowano? Dwadzieścia? A ilu robotników? Dziesięć tysięcy? Zniszczę ją w trzy dni. Przypatrzcie się dobrze, bo to ostatni raz. Pożegnajcie się z nią, bo nie ostanie się kamień na kamieniu!

Uczniowie cofnęli się z przerażeniem. Czy Nauczyciel oszalał?

Ostatnio stał się dziwnie gwałtowny i uparty. Wiały nad nim niezwykle, niepewne wiatry. Czasami jego twarz lśniła jak wschodzące słońce i wszystko wokół niego budziło się do życia; to znów spoglądał ponuro, z rozpaczą w oczach.

- Nie żal ci, Rabbi? - spytał odważnie Jan.

- Czego?

- Świątyni. Dlaczego chcesz ją zburzyć?

- Żeby postawić nową. W trzy dni postawię nową, ale najpierw ta musi zniknąć.

Uderzył o chodnik kijem pasterskim, który dostał od Filipa. Teraz wiał nad nim wiatr gniewu. Spojrzał na faryzeuszy, którzy potykali się i ranili o ściany, udając

oślepionych potężnym blaskiem Boga.

- Hipokryci! - krzyknął do nich. - Gdyby Bóg chwycił nóż i otworzył wasze serca, wypęłyby z nich węże i skorpiony albo wylałyby się nieczystości!

Faryzeusze wpadli we wściekłość słysząc te słowa i w duszy poprzysięgli zatkać nieustraszone usta ziemią. Stary rabin zasłonił Jezusowi usta dłonią.

- Igrasz ze śmiercią? - spytał go pewnego dnia ze łzami w oczach. - Nie wiesz, że skrybowie i faryzeusze biegają wciąż do Piłata, żądając twej głowy?

- Wiem, ojciec - odparł Jezus. - Ale wiem jeszcze coś więcej, coś więcej...

Nakazał Tomaszowi dąć w róg, wspiął się na podwyższenie Portyku Salomona i raz jeszcze zaczął głosić: "Nadszedł dzień Pański, nadszedł dzień Pański!" Wołał tak codziennie od wschodu do zachodu słońca, czekając aż niebo otworzy się i buchnie ogniem; wiedział dobrze, że głos ludzki ma w sobie wielką siłę. Krzykniesz "Przyjdź" do ognia lub deszczu, do piekła lub raju - a one już tu są. Tak właśnie Jezus wzywał ogień, który miał oczyścić ziemię i otworzyć drogę Miłości. Miłość zawsze chętnie stąpa po popiołach...

- Rabbi - spytał go kiedyś Andrzej. - Dlaczego już się nie śmiejesz, dlaczego nie jesteś radosny jak dawniej? Dlaczego stajesz się coraz bardziej okrutny?

Jezus nie odpowiedział. Cóż miał powiedzieć i jakże Andrzej miał to pojąć w swoim naiwnym sercu? "Jeśli ma powstać nowy świat - pomyślał - to ten trzeba zburzyć od podstaw. Stare Prawo należy zniszczyć - i ja je zniszczę. Na tablicach serca należy wyryć nowe Prawo i ja je wyryję. Poszerzę Prawo tak, by obejmowało przyjaciół i wrogów, Żydów i bałwochwalców: Dziesięć Przykazań zakwitnie! Po to przyszedłem tu, do Jeruzalem. To tutaj otworzy się niebo. Co zstąpi z wysokości - wielki cud czy śmierć? To zależy od Boga. Ja jestem gotów wstąpić do nieba lub spaść w dół, do piekieł. Panie, decyduj!"

Zbliżało się święto Paschy. Wiosenna słodycz nieoczekiwanie obmyła twarde oblicze Judei. Otwarły się drogi na lądzie i morzu, i z czterech stron żydowskiego świata zaczęli napływać wierni. Ryczące piętra świątyni cuchnęły ludźmi, mordowanymi zwierzętami i łajnem.

Przed Portykiem Salomona zebrała się wielka rzesza obdartych i kulawych.

W ich bladych, zgłodniałych twarzach płonące oczy ze złością spoglądały na dobrze odżywionych saduceuszy, bogatych, wesołych mieszczan i ich żony obwieszane złotymi bransoletkami.

- Jak długo jeszcze będziecie się śmiać? - ryknął ktoś w tłumie. - Wkrótce

poderżniemy wam gardła. Nauczyciel mówi: biedni zabiją bogatych i podzielą się ich mieniem.

- Źle usłyszałeś, Manasesie - warknął blady mężczyzna o oczach i włosach owcy. - Nie będzie już biednych i bogatych, staną się jednym. Oto co znaczy królestwo niebieskie.

- Królestwo niebieskie - przerwał niezgrabny, wysoki i chudy człowiek - znaczy, że Rzymianie się stąd wyniosą. Z nimi nie może przecież być żadnego królestwa niebieskiego.

- Nic nie zrozumiałeś ze słów Nauczyciela, Aaronie - odparł sędziwy mężczyzna z zajęczką wargą, trzęsąc łysą głową. - Izraelici i Rzymianie, Grecy, Chaldejczycy i Beduini nie istnieją. Wszyscy jesteście braćmi!

- Wszyscyśmy popiołem! - zawołał ktoś inny. - Ja tak to rozumiem, słyszałem na własne uszy. Nauczyciel powiedział: "Otworzą się niebiosy. Pierwszy potop był z wody, a ten będzie z ognia. Wszyscy - biedni i bogaci, Izraelici i Rzymianie - obrócą się w popiół!"

- "I zadrży drzewo oliwne, ale parę oliwek ostanie się na szczycie wśród najwyższych gałęzi." Tak powiedział prorok Izajasz... Odwagi, ludzie. To my jesteśmy tymi oliwkami. Musimy tylko trzymać się blisko Nauczyciela, żeby nam nie uciekł. - Słowa te wypowiedział człowiek o skórze koloru osmalonego garnka i okrągłych wytrzeszczonych oczach, którymi wpatrywał się w białą, zakurzoną drogę do Betanii.

- Spóźnia się dzisiaj - jęknął. - Spóźnia się... Uważajcie, chłopcy! Nie pozwólcie mu uciec!

- Dokąd miałby uciec? - zapytał starzec z zajęczką wargą. - Bóg kazał mu walczyć w Jeruzalem, więc tutaj będzie walczył!

Słońce stało pośrodku nieba. Chodniki parowały, a odór wzmagął się w upale.

Zjawił się faryzeusz Jakub, obwieszony amuletami. Opowiadał o mocy każdego z nich z osobna: ten leczy ospę, kolkę i różę, ten przegania demony, najmocniejszy i najdroższy zgładzi twoich wrogów... Spostrzegł obdartusów i kaleki i rozpoznał ich. Jadowite usta zaskrzeczały złośliwie: "Idźcie do diabła!" Splunął trzykrotnie w powietrze, aby się ich pozbyć.

Podczas gdy biedacy sprzeczali się między sobą, naginając słowa Nauczyciela do własnych pragnień, stanął przed nimi olbrzymi, sędziwy mężczyzna z długą laską. Był spocony i zakurzony, a jego okrągła, nie pomarszczona jeszcze twarz lśniła radością.

- Melchizedech! - zawołał stary z zajęczą wargą. - Jakież dobre wieści z Betanii?  
Twarz masz taką radosną!

- Ludzie, cieszcie się i radujcie! - krzyknął czcigodny starzec i zaczął obejmować wszystkich płacząc ze wzruszenia.

- Człowiek wstał z martwych! Widziałem na własne oczy. Wyszedł z grobu i chodził! Dali mu wody i pił! Dali mu chleba, a on jadł i mówił!

- Kto? Kto zmartwychwstał? - pytali wszyscy, obstąpiwszy starego wodza. Wieść rozniosła się po sąsiednich arkadach, zbiegli się ludzie; podeszło także kilkunastu lewitów i faryzeuszy. Przechodzący obok Barabasz także posłyszał zgiełk i przyłączył się do tłumu.

Melchizedech był zachwycony widząc, że tylu ludzi czeka na jego słowa. Wsparł się na lasce i z dumą opowiadał:

- Łazarz, syn Eliachima. Zna go kto? Umarł parę dni temu i został pochowany. Minął dzień, dwa, trzy - zapomnieliśmy o nim. Nagle czwartego dnia ktoś krzyczy na ulicy. Wybiegam przed dom i widzę Jezusa, syna Marii z Nazaretu, a u jego stóp dwie siostry oplakujące brata. "Nie umarłby, gdybyś ty był przy nim, Rabbi - krzyczały, zawodząc i rwąc włosy z głowy. - Wyprowadź go z Hadesu, Rabbi. Wezwij go, a przyjdzie!"

Jezus chwycił je za ręce i podniósł z ziemi. "Chodźmy" - powiedział.

Biegliśmy wszyscy za nim, aż dotarliśmy do grobu. Tam Jezus zatrzymał się.

Krew uderzyła mu do głowy, oczy uciekły w głąb czaszki, widać było tylko białka. Ryknął, jakby byk w nim zamieszkał, i zdjął nas wszystkich strach. Potem, ciągle dygocząc, wydał dziki, dziwny okrzyk, jakby nie z tego świata. Tak pewnie krzyczą archaniołowie, kiedy się rozgniewają. "Łazarzu! - krzyknął - Wychodź!" W tym momencie słyszymy, jak ziemia pęka w grobie. Grobowiec zaczyna się ruszać - ktoś go pcha od spodu. Obleciał nas strach... Nigdy nie bałem się śmierci tak jak tego zmartwychwstania. Przysięgam, że gdyby ktoś zapytał, co wołałbym zobaczyć - lwa czy zmartwychwstanie - powiedziałbym, że lwa.

- Panie, zmiłuj się nad nami! Panie, zmiłuj się nad nami! - wołali ludzie z płaczem. - Mów, mów, ojcze Melchizedechu!

- Kobiety krzyczały, wielu mężczyzn schowało się za skały, a pozostali trzęśli się ze strachu. Płyta grobowca uniosła się powoli. Ujrzyliśmy dwie żółte ręce, potem głowę - całą pozieleniałą, spękaną i ubrudzoną, a wreszcie szkieletowate, spowite w całun ciało. Postać wysunęła jedną nogę, potem drugą i wyszła na zewnątrz. To był

Łazarz.

Stary wódz przerwał i szerokim rękawem otarł pot z czoła. Wokół niego rozlegało się wycie tłumu. Jedni płakali, inni tańczyli.

Barabasz wznosił wielką owłosioną łapę.

- Kłamstwa! Kłamstwa! - krzyknął. - Rzymianie mu zapłacili i zaplanował to razem z Łazarzem. Precz ze zdrajcami!

- Zamknij gębę! - ryknął dziko ktoś z tyłu. - Jacy Rzymianie?

Odwrócili się i zaraz cofnęli. Do Barabasza zbliżał się centurion Rufus z wzniesionym wysoko biczem. Błada, jasnowłosa dziewczyna złapała go za ramię. Przez cały czas słuchała starego Melchizedecha, a z jej zielonych oczu płynęły łzy. Barabasz wśliznął się w tłum i zniknął, a za nim biegł faryzeusz Jakub ze swymi amuletami. Dogonił go za kolumną; tam pochylili głowy i zaczęli szeptać: bandyta zbratał się z faryzeuszem.

Pierwszy przemówił Barabasz:

- Myślisz że to prawda? - zapytał niespokojnie.

- Co?

- To, co mówią: że on wskrzesił zmarłego.

- Słuchaj uważnie tego, co ci powiem. Jestem faryzeuszem, a ty zelotą. Dotychczas zawsze twierdziłem, że tylko modlitwy, posty i Święte Prawo ocalą Izraela. Lecz teraz...

- Co teraz? - zagadnął zelota z błyskiem w oku.

- Teraz, zeloto, zaczynam myśleć jak ty. Modlitwy i posty nie wystarczą. Tutaj potrzebny jest nóż. Rozumiesz?

Barabasz zarechotał.

- Mnie o to pytasz? Nóż to najlepsza modlitwa. No i co?

- Zaczniemy od niego.

- Od kogo? Mów jaśniej.

- Od Łazarza. Przede wszystkim musimy ponownie złożyć go w grobie. Jak długo ludzie go będą oglądać, tak długo będą mówić: "Już nie żył, ale syn Marii go wskrzesił." W ten sposób rozniesie się sława fałszywego proroka... Masz rację Barabasz, Rzymianie płacą mu, żeby krzyczał: "Nie dbajcie o ziemskie królestwo, patrzcie w niebo!" A gdy my będziemy wpatrywać się w niebo, oni siądą nam na karku. Rozumiesz?

- I co dalej? Jego też chcesz wykończyć, mimo że jest twoim bratem?

- Nie jest moim bratem, nie chcę go! - krzyknął faryzeusz, udając że rozdziera szaty. - Weź go sobie!

To powiedziawszy, wyszedł zza kolumny i dalej zachwalał swoje talizmany.

Dobrze ustawił tego Barabasza, pochlebiał sobie.

Tłum biedaków zebranych przed Portykiem Salomona stracił już nadzieję, że ujrzy Jezusa i zaczął się rozchodzić. Stary Melchizedech kupił dwa białe gołębie, aby złożyć je w ofierze Bogu Izraela i podziękować mu za to, że ulitował się nad swym ludem i po tak długim czasie zesłał nowego proroka.

Kamienie płynęły, w jaskrawym świetle trudno było dostrzec ludzką twarz.

Nagle na drodze do Betanii pojawił się obłok kurzu i rozległy się radosne okrzyki: to nadchodzili mieszkańcy wioski. Pierwsze pojawiły się dzieci z gałązkami palm i wawrzynu. Za nimi, z rozjaśnioną twarzą szedł Jezus, a z tyłu uczniowie, tak spoceni i zaczerwienieni, jakby to oni sami wskrzesili Łazarza. Na samym końcu maszerowali ochrypli od krzyku mieszkańcy Betanii. Wszyscy śpieszyli do świątyni. Jezus wbiegł na drugie piętro, przeskakując po dwa stopnie. Twarz i ręce lśniły mu tak silnym światłem, że nikt nie mógł zbliżyć się do niego. Stary rabin, biegnący za nim co tchu razem z całym tłumem, spróbował przekroczyć niewidzialny krąg otaczający Mistrza, ale cofnął się zaraz jak oparzony.

Jezus właśnie opuścił piec Boga i krew gotowała się w nim jeszcze. Nadal nie mógł ani nie chciał uwierzyć w to, co się stało. Czyżby tak wielka była potęga ducha, że wystarczyło krzyknąć: "Chodźcie!", aby poruszyć góry? Czy siła ducha może otworzyć grób i wskrzesić umarłych, w trzy dni zniszczyć świat i w trzy dni go odbudować? Lecz jeśli istotnie jest ona tak wszechpotężna, to cały ciężar potępienia - albo zbawienia - spoczywa na barkach ludzi, zlewają się granice między tym co boskie i ludzkie... Jezusowi pulsowały skronie od tych przerażających, niebezpiecznych myśli.

Zostawił spowitego w całun Łazarza nad grobem i w niezwykłym pośpiechu udał się do jerozolimskiej świątyni. Po raz pierwszy tak silnie doświadczył uczucia, że musi nadejść koniec tego świata, a nowe Jeruzalem powstanie z grobów. Ten beznadziejnie zepsuty świat podobny był do Łazarza. Nadszedł już czas zawołać: "Powstań, świecie!" - to jego obowiązek. Najbardziej przerażające było jednak to, co Jezus właśnie sobie uświadomił: że starczy mu na to siły. Nie może już się dłużej opierać mówiąc: "Nie potrafię". Potrafi - a jeśli świat nie zostanie zbawiony, to cały grzech spadnie na niego.

Krew uderzyła mu do głowy. Wszędzie widział oczy uciskanych i ubogich,



którzy w nim pokładali całą swą nadzieję. Z dzikim krzykiem wskoczył na podwyższenie, a ludzie zgromadzili się wokół niego. Byli wśród nich także bogaci i syci, z krzywymi uśmieszkami na twarzach. Jezus odwrócił się, zobaczył ich i podniósł pięść do góry.

- Słuchajcie, bogacze - krzyknął. - Zbliża się koniec niesprawiedliwości, podłości i głodu! Bóg dotknął mych warg rozżarzonym węglem, więc wołam: jak długo jeszcze będziecie się wylegiwać na łożach z kości słoniowej, na miękkich materacach? Jak długo będziecie karmić się ciałami ubogich i spijać ich pot, krew i łzy? Mój Bóg krzyczy: "Nie zniosę tego dłużej!" Ogień jest blisko, umarli wstają z grobów, nadchodzi koniec świata!

Dwóch olbrzymich biedaków schwyciło go i uniosło wysoko w górę. Tłum dookoła powiewał liśćmi palmowymi. Nad rozpłomienioną głową proroka unosiła się para.

- Nie pokój, ale miecz wam przynoszę. Zasieję w domu niezgodę, dla mnie syn stanie przeciwko ojcu, córka przeciwko matce, synowa przeciw teściowej. Kto idzie za mną, musi porzucić wszystko. Ten, kto na ziemi szuka zbawienia, straci życie. A ten, kto dla mnie straci to życie, zdobędzie żywot wieczny.

- Co mówi Prawo, buntowniku? - rozległ się dziki krzyk. - Co mówią Święte Księgi, Lucyferze?

- Co mówią wielcy prorocy Jeremiasz i Ezechiel? - odparł Jezus z błyskiem w oku. - Zniosę prawo wyryte na tablicach Mojżeszowych i w sercu każdego człowieka wryję nowe. Usunę serce z kamienia i dam mu prawdziwe, a w nim zasieję nową Nadzieję! Niosę miłość, otwieram cztery Boże bramy: Wschód, Zachód, Północ i Południe, dla wszystkich narodów. Miłość Boża to nie przedmieście - ona ogarnia cały świat! Bóg nie jest Izraelitą, lecz Duchem nieśmiertelnym!

Stary rabin ukrył twarz w dłoniach. Chciał krzyczeć: "Jezusie, milcz, to wielkie bluźnierstwo!", ale było za późno. Już słyhać było dzikie okrzyki radości. Ubodzy wyli z zachwytu. Lewici gwizdali, a faryzeusz Jakub darł szaty i spluwał w powietrze. Stary rabin dał za wygraną i odszedł szlochając z rozpacz. "Jest skończony, skończony! - szeptał. - Cóż to za diabeł, jakież to bożek tak w nim krzyczy?"

Szedł przed siebie, potykając się ze zmęczenia. W ciągu ostatnich dni i tygodni, gdy podążał za Jezusem, starając się zrozumieć, kim jest Nauczyciel, jego wyniszczone ciało zupełnie osłabło. Została tylko spalona słońcem skóra spowijająca kości, w których drzemała w oczekiwaniu dusza. Czy ten człowiek jest Mesjaszem, którego

przyrzekł mu Bóg? Wszystkie cuda, które uczynił Jezus mogły być równie dobrze dziełem szatana, bo on potrafi nawet wskrzeszać zmarłych. Tak więc rabin nie mógł osądzić na podstawie cudów i słów. Szatan to podstępny i niezwykle potężny archanioł. Aby oszukać rodzaj ludzki, byłby w stanie nagiąć swoje słowa i czyny do świętych prorocत्व. To dlatego rabin nie mógł spać i prosił Boga, żeby zlitował się nad nim i dał mu wyraźny znak... Jaki znak? Rabin wiedział dobrze: śmierć, własną śmierć. Zadrżał na myśl o takim znaku.

Potykał się, idąc w obłoku kurzu. Na szczycie wzgórza pojawiła się zalana słońcem Betania. Dysząc, rozpoczął wspinaczkę.

Drzwi domu Łazarza stały otworem. Betańczycy wchodzili, by zobaczyć i dotknąć wskrzeszonego mężczyzny, posłuchać jak oddycha, sprawdzić czy mówi i czy naprawdę żyje - czy nie jest przypadkiem duchem! Łazarz, znużony i milczący, siedział w najciemniejszym kącie, bo dokuczało mu światło. Nogi, ręce i brzuch miał spuchnięte i zielonkawe, jak czterodniowe zwłoki. Z nabrzmiałej, spękanej twarzy sączyła się żółtawobiała ciecz, plamiąc biały całun, który przylgnął mu do ciała i trudno go było zerwać. Z początku straszliwie cuchnął i każdy, kto podszedł bliżej, zatykał nos, ale stopniowo odór ustępował i teraz Łazarz pachniał już tylko ziemią i kadzidłem. Co jakiś czas wyciągał zaplątane we włosach i brodzie żdźbła trawy. Marta i Maria oczyszczały brata z ziemi i drobnych robaków. Współczujący sąsiad przyniósł mu kurczaka, którego stara Salome teraz gotowała, żeby napoić zmartwychwstałego bulionem i dodać mu sił. Wieśniacy przychodzili popatrzeć na Łazarza i trochę z nim porozmawiać. Na ich pytania odpowiadał lakonicznym "tak" lub "nie". Potem z okolicznych miast i wsi zaczęli przybywać inni. Zjawił się też stary, ślepy wójt. Wyciągnął dłoń i dotknął chciwie Łazarza.

- Dobrze ci było w Hadesie? - zapytał ze śmiechem. - Szczęściarz z ciebie, Łazarzu. Poznałeś wszystkie sekrety podziemnego świata. Ale nikomu o nich nie mów, biedaku, bo wszyscy powariujemy. - Nachylił się mu do ucha i pół żartem, pół z trwogą, zapytał: - Robaki, co? Nic, tylko robaki? - Czekał dość długo na odpowiedź, ale Łazarz milczał. Ślepiec wpadł w złość, wziął laskę i wyszedł.

Magdalena stała w drzwiach, wyglądając na drogę do Jerozolimy. Jej serce łkało jak niemowlę. Miała ostatnio straszne sny - śnił się jej ślub Jezusa, co oznaczało śmierć. Ubiegłej nocy śniła, że Jezus był latającą rybą. Rozpostarł płetwy, wyskoczył z wody i upadł na ziemię. Miotał się konwulsyjnie na kamienistej plaży, próbując znowu rozłożyć płetwy. Dusił się, oczy zaszły mu mgłą. Spojrzał na nią, więc

śmiertelnym wysiłkiem próbowała schwycić go i wrzucić do oceanu, ale gdy się schyliła i wzięła go do ręki, był już martwy. Kiedy płakała, oblewając go łzami, urósł w jej ramionach i z ryby stał się martwym człowiekiem.

- Nie pozwolę mu wrócić do Jerozolimy, nie pozwolę... - westchnęła i wpatrywała się dalej w białą drogę, na wypadek gdyby się tam pojawił.

Jezus nie pojawił się jednak na drodze do Jerozolimy. Zamiast niego Magdalena ujrzała swego starego ojca. Szedł przygarbiony, potykając się o kamienie. "Biedny staruszek - pomyślała. - Jest w tak okropnym stanie, dlaczego chodzi wszędzie za nowym Nauczycielem jak wierny, stary pies? Słyszę w nocy, jak wstaje, wychodzi na podwórze, pada na twarz i woła do Boga: »Pomóż mi, daj znak!« Ale Bóg pozwala mu tak się dręczyć, karze go z miłości - i to jest dla niego jedynym pocieszeniem"... Patrzyła, jak ojciec wspina się na wzniesienie, podpierając się laską. Często przystawał, spoglądał ku Jerozolimie i rozkładał ramiona, łapiąc oddech... Podczas tych dni spędzonych razem w Betanii ojciec i córka zapomnieli o przeszłości i zaczęli rozmawiać ze sobą. Rabin przebaczył jej widząc, że porzuciła złą drogę. Wiedział, że łzy zmywają wszystkie grzechy, a Magdalena często płakała.

Starzec stanął bez tchu przed chatą. Magdalena odsunęła się, żeby zrobić mu przejście, ale on przystanął i błagalnym gestem złapał ją za rękę.

- Magdaleno, dziecko moje - powiedział. - Jesteś kobietą, twoje łzy i pieszczoty mają wielką moc. Padnij mu do stóp, błagaj, by nie wracał do Jeruzalem. Skrybi i faryzeusze byli dziś jeszcze bardziej rozwścieczeni. Widziałem, jak namawiali się między sobą, a trucizna płynęła im z ust. Chcą jego śmierci.

- Śmierci! - krzyknęła Magdalena, czując, że serce jej zamiera. - Ale czy on może umrzeć, ojcze?

Stary rabin spojrział na córkę i gorzko się uśmiechnął.

- Zawsze mówimy tak o tych, których kochamy - szepnął i umilkł.

- Przecież nasz Rabbi nie jest zwyczajnym człowiekiem, nie, nie jest! - powiedziała z rozpaczą Magdalena. - Nie jest, nie jest! - powtarzała, żeby oddalić lęk.

- Skąd wiesz? - zapytał starzec.

Serce mu podskoczyło; wierzył w kobiecą intuicję.

- Wiem - odparła Magdalena. - Nie pytaj dlaczego, ale jestem tego pewna. Nie obawiaj się, ojcze. Któż ośmieliłby się go tknąć, teraz gdy wskrzesił Łazarza?

- Teraz gdy wskrzesił Łazarza, oni tym bardziej szaleją. Przedtem słuchali jego kazań i wzruszali ramionami. Ale teraz, gdy wszyscy wiedzą o cudzie, w ludzi wstąpiła

odwaga i krzyczą "To Mesjasz, on wskrzesza zmarłych, ma boską moc - przyłączmy się do niego." Dzisiaj biegli za nim z gałązkami palmowymi. Kalecy wygrażali kulami, ubodzy podnosili głowy. Na taki widok szal wstępuje w skrybów i faryzeuszy. "Jeśli damy mu jeszcze trochę czasu, będziemy skończeni" - mówią i biegną od Annasza do Kajfasza, od Kajfasza do Piłata - kopią mu grób... Magdaleno, dziecko moje, upadnij mu do stóp, nie pozwól mu już nigdy iść do Jeruzalem. Musimy wszyscy wrócić do Galilei!

Przypomniał sobie ponurą, ospowatą twarz.

- Magdaleno, po drodze widziałem Barabasa, twarz miał posepną jak Charon. Gdy usłyszał moje kroki, ukrył się w krzakach. To zły znak!

Nagle osłabł i córka musiała wnieść go do środka. Podsunęła mu stołek, a sama uklękła u jego boku.

- Gdzie jest teraz? - zapytała. - Gdzie go zostawiłeś, ojczy?

- W świątyni. Krzyczy i ciska z oczu gromy - jeszcze podpali tę świętą budowlę!

A co mówi - Boże, jak on bluźni! Twierdzi, że zniesie Prawo Mojżeszowe i ustanowi nowe prawo. Nie spotka się z Bogiem na górze Synaj - a w swoim własnym sercu!

Starzec zniżył głos i powiedział drżącym tonem:

- Czasami, dziecko, boję się, że tracę rozum. A może Lucyfer... - zaczął.

- Milcz! - nakazała Magdalena, zasłaniając starcowi usta.

Rozmawiali jeszcze, gdy w drzwiach stanęli uczniowie. Magdalena skoczyła w ich stronę, ale nie było z nimi Jezusa.

- A Rabbi? - zapytała żałośnie. - Gdzie jest Rabbi?

- Nie bój się - odparł ponuro Piotr. - Zaraz przyjdzie.

Podeszła do nich Maria, która zostawiła brata, żeby porozmawiać z uczniami. Ich twarze były ponure, zafrasowane, a spojrzenia pochmurne. Maria oparła się o ścianę.

- Gdzie Rabbi? - wyszeptała słabym głosem.

- Wkrótce nadejdzie, Mario, już idzie - odparł Jan. - Czyż opuścilibyśmy go, gdyby coś się stało?

Posepni uczniowie rozpięzchli się po całym domu. Mateusz wyciągnął spod koszuli swoje papiery i przygotował się do pisania.

- Mów, Mateuszu - powiedział stary rabin. - Powiedz coś, a otrzymasz moje błogosławieństwo.

- Ojczy - zaczął Mateusz. - Przed chwilą, gdy szliśmy razem, centurion Rufus

dogonił nas u bram Jerozolimy i zawołał: - Stać! Mam dla was rozkazy!

Oniemieliśmy ze strachu, ale Rabbi spokojnie podał Rzymianinowi dłoń i powiedział:

- Witaj, przyjacielu. Czego chcesz ode mnie?

- Nie ja, a Piłat - odpowiedział Rufus. - To on chce cię widzieć. Proszę, chodź ze mną.

- Już idę - rzekł Jezus spokojnie i zawrócił ku Jerozolimie.

Przypadliśmy do niego, krzyżując:

- Dokąd idziesz, Rabbi? Nie pozwolimy ci odejść!

Centurion stanął między nami i powiedział:

- Nie bój się. Daję słowo, że Piłat źle ci nie życzy.

- Idźcie, nie lękajcie się. - zwrócił się do nas Mistrz. - Godzina jeszcze nie wybiła.

- Pójdę z tobą, Mistrzu, nie opuszczę cię - przerwał Judasz.

- Dobrze, chodź - powiedział Mistrz. - I ja ciebie nie opuszczę.

I odeszli w stronę Jerozolimy, Jezus z centurionem, a za nimi, jak pies pasterski, szedł Judasz.

Podczas opowieści Mateusza uczniowie zbliżyli się w milczeniu i uklękli na podłodze.

- Wyglądacie na zmartwionych - powiedział rabin. - Coś przed nami ukrywacie.

- Mamy inne zmartwienia, ojcze. Inne zmartwienia... - wymamrotał Piotr i umilkł.

Istotnie przed chwilą w drodze do Betanii wstąpiły w nich demony zła. Oto rozpoczęło się wskrzeszanie umarłych - najwyraźniej zbliża się dzień Pana, Mistrz wstąpi na swój tron; tak więc nadszedł dla nich czas podziału łupów.

I to właśnie stało się przyczyną ich kłótni.

- Ja usiądę po jego prawej ręce - mnie kocha najbardziej - mówił jeden.

Pozostali wystąpili z krzykiem.

- Nie, mnie! Mnie!

- Mnie!

- Mnie!

- Ja pierwszy nazwałem go "rabbi" - powiedział Andrzej.

- A do mnie częściej przychodzi w snach niż do ciebie - sprzeciwił się Piotr.

- To mnie nazywa "ukochanym" - przerwał Jan.

- Mnie też!

- I mnie!

W Piotrze zawrzała krew.

- Odsuńcie się wszyscy! - krzyknął. - Czyż nie powiedział mi zaledwie wczoraj: "Piotrze, jesteś opoką, na której zbuduję Nowe Jeruzalem"?

- Nie powiedział "Nowe Jeruzalem"! Tu mam wszystko zapisane - zawołał Mateusz, dotykając notatek schowanych pod koszulą.

- Więc co powiedział, gryzmoło? Ja tak usłyszałem! - rzucił ze złością Piotr.

- Powiedział: "Ty jesteś Piotr czyli skała, i na tej skale zbuduję mój kościół". "Mój kościół", nie "Jeruzalem" - to duża różnica!

- A co jeszcze mi przyrzekł? - zawołał Piotr. - Dlaczego nic nie mówisz? Bo to nie po twojej myśli, co? A o kluczach? No mów!

Mateusz niezbyt chętnie sięgnął po notatki, rozłożył je i przeczytał:

- "I tobie dam klucze do królestwa niebieskiego"...

- Dalej! Czytaj dalej! - krzyknął Piotr triumfalnie.

Mateusz przełknął ślinę i znowu pochylił się nad notatkami:

- "A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie"... Masz, to wszystko!

- I to ci się wydaje taką błahostką? Ja - słuchajcie wszyscy! - ja dzierżę klucze; to ja otwieram i zamykam bramy raj. Wpuszczę was, jeśli zechcę - a jeśli nie, to nie!

W tym momencie uczniów ogarnął szal i z pewnością doszłoby do bójki, gdyby nie to, że byli już tak blisko Betanii. Wstydziła się wieśniaków, więc pohamowali swój gniew. Ich twarze były jednak wciąż ponure.

## Rozdział XXVI

Tymczasem Jezus szedł obok centuriona, a Judasz, jak wierny pies pasterski podążał za nimi. Weszli w wąskie, kręte uliczki Jerozolimy i podążali w stronę wieży, która była pałacem Poncjusza Piłata.

Pierwszy przemówił centurion:

- Mistrzu - powiedział wzruszony. - Moja córka doskonale się czuje i ciągle o tobie myśli. Za każdym razem, gdy dowiaduje się, że będziesz przemawiał do ludzi, wymyka się chyłkiem z domu, żeby cię słuchać. Dziś musiałem przytrzymać ją mocno za rękę. Słuchaliśmy cię razem w świątyni: chciała biec i całować twoje stopy.

- Dlaczego jej nie pozwoliłeś? - zapytał Jezus - Wystarczy jedna chwila, żeby ocalić duszę człowieka. Dlaczego zmarnowałeś tę chwilę?

"Rzymska dziewczyna całująca stopy Żyda!" - pomyślał Rufus ze wstydem, ale nic nie powiedział.

Utorował sobie drogę przez tłum krótkim biczem, który trzymał w ręce. Było tak gorąco, że ciało zdawało się puchnąć, zaś w powietrzu unosiły się całe chmury much. Centurionowi robiło się niedobrze, gdy oddychał żydowskim powietrzem. Mieszkał w Palestynie od wielu lat, ale jeszcze nie przywykł do tutejszych ludzi... Przechodzili teraz przez pokryty słomianymi matami bazar. Było tu chłodniej; zwolnili kroku.

- Jak możesz rozmawiać z tą sforą psów? - zapytał centurion.

Jezus poczerwieniał.

- To nie psy - powiedział - ale dusze, iskry Boga. Bóg to ogień, centurionie, a każda dusza, to iskra, którą powinienesz szanować.

- Jestem Rzymianinem - odrzekł Rufus - i mój Bóg także. Otwiera nowe szlaki, buduje koszary, doprowadza wodę do miast, przywdziewa zbroję z brązu i wyrusza na wojnę. On nas prowadzi. Ciało i dusza, o których tyle rozprawiasz, to dla nas jedno, a nad nimi tkwi piętno Rzymu. Gdy umieramy, nasza dusza i ciało umierają razem, ale pozostawiamy po sobie naszych synów. To jest właśnie nieśmiertelność. Natomiast to, co mówisz o królestwie niebieskim dla nas brzmi jak baśń.

Po chwili przerwy mówił dalej:

- My, Rzymianie, stworzeni zostaliśmy by rządzić ludźmi, a ludźmi nie rządzi miłość.

- Miłość nie jest bezbronna - odrzekł Jezus, przyglądając się zimnym, niebieskim oczom centuriona, jego gładko wygolonym policzkom i grubym dłoniom o krótkich palcach. - Miłość też wojuje i zwycięża.

- Wtedy to już nie jest miłość - odpowiedział centurion.

Jezus pochylił głowę. "Muszę znaleźć nowe bukłaki - pomyślał - jeśli mam nalewać nowe wino. Nowe bukłaki, nowe słowa..."

W końcu dotarli na miejsce. Wznosząca się przed nimi wieża była jednocześnie pałacem i fortecą, która strzegła w swoim wnętrzu wyniosłego, rzymskiego namiestnika, Poncjusza Piłata. Pogardzał on Żydami i zawsze, gdy przechadzał się ulicami Jeruzalem bądź gdy był zmuszony rozmawiać z Hebrajczykami, trzymał przy nosie perfumowaną chusteczkę. Nie wierzył ani w bogów, ani w ludzi - nie wierzył w Poncjusza Piłata, ani w cokolwiek innego. Na jego karku zawsze wisiał wspaniały, złoty łańcuch ze złotą brzytwą, której używał, żeby upuścić sobie krwi, kiedy tylko poczuł się zbyt utrudzony jedzeniem, pić czy rządzeniem lub gdy popadł w niełaskę cesarza. Często słyszał, jak Żydzi wzywają swego Mesjasza, żeby przyszedł ich oswobodzić; śmiał się z tego. Pokazywał na swoją brzytwę i mawiał do żony: "Patrz, to jest mój wyzwoliciel, mój Mesjasz". Ale ona odwracała bez słowa głowę.

Jezus zatrzymał się przed wielkimi wrotami wieży.

- Centurionie - powiedział - jesteś mi winien przysługę, pamiętasz? Nadszedł czas, bym tego zażądał.

- Jezusie z Nazaretu, tobie zawdzięczam całą radość życia - odrzekł Rufus. - Mów, zrobię co w mojej mocy.

- Jeśli zostanę pojmany, wtrącony do więzienia, jeśli mnie zabiją - nie rób nic, żeby mnie ocalić. Dasz mi słowo?

Przechodzili właśnie przez wrota. Strażnicy podnieśli dłonie i zaszalutowali centurionowi.

- I ty to nazywasz przysługą? - zdumiał się Rufus. - Nie rozumiem was, Żydów. Przed drzwiami Piłata stało dwóch potężnych czarnych strażników.

- Tak, to przysługa, centurionie - odparł Jezus. - Dajesz słowo?

Rufus kiwnął głową do strażników, żeby otworzyli drzwi.

Pograżony w lekturze Piłat siedział na tronie ozdobionym płaskorzeźbami orłów. Był kędzierzawy, gładko ogolony, miał niskie czoło, zimne, szare oczy i wąskie usta. Podniósł głowę i popatrzył na stojącego przed nim Jezusa.

- Ty jesteś Jezusem z Nazaretu, królem żydowskim? - syknął złośliwie,



przykładając do nosa perfumowaną chusteczkę.

- Nie jestem królem - odpowiedział Jezus.

- Co? Czyż nie jesteś Mesjaszem i czy nie na Mesjasza czekali twoi rodacy przez tyle pokoleń - czekali, żeby ich oswobodził, żeby zasiadł na tronie Izraela i wyrzucił nas, Rzymian? Dlaczego w takim razie mówisz, że nie jesteś królem?

- Moje królestwo nie znajduje się na ziemi.

- A zatem gdzie: na wodzie, w powietrzu? - zapytał Piłat, wybuchając śmiechem.

- W niebie - odrzekł spokojnie Jezus.

- Świetnie - powiedział Piłat. - Niebo możesz wziąć w prezencie, ale nie dotykaj ziemi!

Zdjął z kciuka gruby pierścień, podniósł go pod światło i przyjrzał się czerwonemu kamieniowi. Wryta była na nim czaszka otoczona słowami: "Jedz, pij i wesel się, bo jutro umrzesz".

- Żydzi są odrażający - powiedział. - Nigdy się nie myją, a ich Bóg jest podobny do nich samych: długowłose, nie umyty, dyszący, dumny i mściwy jak wielbłąd.

- Musisz wiedzieć, że ten Bóg podniósł już swoją dłoń nad Rzymem - powiedział Jezus, równie spokojnie jak poprzednio.

- Rzym jest nieśmiertelny - odparł Piłat ziewając.

- Rzym to wielki posąg, który prorok Daniel widział w swej wizji.

- Posąg? Jaki posąg? Wy, Żydzi, gdy czegoś pragniecie na jawie, zaraz widzicie to we śnie. Żyjcie i umieracie z jakimiś wizjami.

- Tak właśnie człowiek rozpoczyna swą kampanię - od wizji. Stopniowo cienie stają się grubsze, gęstsze, duch staje się ciałem i zstępuje na ziemię. Prorok Daniel miał widzenie i ono się spełni - duch przyoblecze się w ciało i zstąpi na ziemię, żeby zniszczyć Rzym.

- Jezusie z Nazaretu, podziwiam twoją śmiałość - a może to głupota? Wygląda na to, że nie boisz się śmierci i dlatego jesteś taki odważny... Podobasz mi się. Opowiedz mi wobec tego o widzeniu Daniela.

- Pewnego dnia prorok Daniel zobaczył olbrzymi posąg. Miał głowę ze złota, tors i ramiona ze srebra, a brzuch i uda z brązu. Jego golenie były z żelaza, ale stopy, od spodu, z gliny. Nagle, jakaś niewidzialna dłoń cisnęła kamień w gliniane stopy i roztrzaskała je; a wtedy cały posąg - złoto, srebro, brąz i żelazo - runął na ziemię... Ta niewidzialna dłoń Poncjusza Piłacie to Bóg Izraela, ja jestem kamieniem, a posągiem

Rzym.

Piłat znów ziewnął.

- Przejrzałem cię, Jezusie z Nazaretu, żydowski królu - powiedział zmęczonym głosem. - Obrażasz Rzym, bo chcesz mnie rozgniewać, żebym cię ukrzyżował i zrobił z ciebie kolejnego bohatera. Bardzo sprytnie wszystko przygotowałeś. Jak słyszę, zacząłeś nawet wskrzeszać umarłych: tak, przecierasz szlak. Później w ten sam sposób twoi uczniowie będą głosić, że nie umarłeś, że zmartwychwstałeś i wstąpiłeś do nieba. Ale spóźniłeś się, draniu. Twoje sztuczki są przestarzałe, lepiej wymyśl coś innego. Nie zabiję cię, nie zamierzam zrobić z ciebie bohatera. Nie staniesz się Bogiem - wybij sobie ten pomysł z głowy.

Jezus nie powiedział nic. Przez otwarte okno obserwował świątynię Pana, która lśniła w słońcu jak zwierzę otoczone wielobarwnym tłumem ludzi wchodzących i wychodzących przez jej otwarte, czarne szczęki. Piłat zabawiał się swoim delikatnym złotym łańcuszkiem i też się nie odzywał. Wstydził się prosić o przysługę Żyda, ale obiecał żonie i teraz nie miał wyboru.

- To wszystko? - spytał Jezus i odwrócił się w kierunku drzwi.

Piłat wstał.

- Nie odchodź - powiedział. - Mam ci coś do powiedzenia - dlatego cię tu wezwałem. Moja żona twierdzi, że śnisz się jej co noc. Przez ciebie boi się nawet zamknąć oczy. Podobno skarżysz się jej, że twoi ziomkowie, Annasz i Kajfasz pragną twojej śmierci i błagasz ją, by przekonała mnie, abym nie pozwolił cię zabić. Wczoraj w nocy krzyczała, obudziła się z przerażeniem i zaczęła płakać. Ona chyba lituje się nad tobą. (Nie wiem dlaczego: nie wtrącam się do tych babskich spraw). Rzuciła się na kolana i błagała, bym cię wezwał i kazał ci uchodzić z tego miasta. Jezusie z Nazaretu, powietrze w Jeruzalem nie służy ci. Wracaj do Galilei! Nie chcę używać siły - mówię do ciebie jak do przyjaciela. Wracaj do Galilei!

- Życie to wojna - odpowiedział Jezus tym samym spokojnym tonem - wiesz o tym, bo sam jesteś żołnierzem i Rzymianinem. Nie wiesz jednak, że dowódcą jest Bóg, a my jego żołnierzami. Od chwili narodzin człowieka Bóg pokazuje mu ziemię, a na ziemi miasta, wsie, góry, morza, pustynie i mówi do niego: "Tu poprowadzisz wojnę!". Namiestniku Judei, pewnej nocy Bóg złapał mnie za włosy, podniósł w górę, zaniósł do Jeruzalem, postawił przed świątynią i powiedział: "Tu poprowadzisz wojnę!" Nie jestem dezertorem, namiestniku Judei - tu będę prowadził swoją wojnę!

Piłat wzruszył ramionami. Żałował, że prosił Żyda o przysługę i jeszcze wyjawiał

mu rodzinny sekret. Jak to miał w zwyczaju, zrobił gest, który przypominał mycie rąk.

- Rób jak chcesz - powiedział. - Ja umyвам ręce. Odejdź!

Jezus podniósł w górę ramiona i odwrócił się. Gdy przechodził przez próg, usłyszał szydery głos Piłata:

- Hej, Mesjaszu, jakież to straszliwe wieści przynosisz temu światu?

- Ogień - odrzekł Jezus, znowu bardzo spokojnie - ogień, który oczyści ziemię.

- Rzymską ziemię?

- Nie, ziemię niewiernych, niesprawiedliwych, niegodnych i nienasyconych.

- A potem?

- A potem na spalonej, oczyszczonej ziemi stanie nowe Jeruzalem.

- Kto ma je zbudować?

- Ja.

Piłat wybuchnął śmiechem.

- Miałem rację, kiedy powiedziałem żonie, że jesteś szalony. Musisz mnie czasami odwiedzać - szybciej upłynie mi czas. A teraz: idź! Jestem tobą zmęczony.

Klasnął w dłonie. Weszło dwóch olbrzymich Murzynów i odprowadziło Jezusa do drzwi.

Przed wieżą czekał niecierpliwie Judasz. Coś ostatnio gryzło Mistrza. Z każdym dniem jego twarz stawała się coraz bardziej zawzięta i pomarszczona, a jego słowa smutne i surowe. Często przesiadywał samotnie długimi godzinami na Golgocie, wzgórzu opodal Jerozolimy, gdzie Rzymianie krzyżowali buntowników; im wyraźniej widział, że kapłani knują przeciw niemu i kopią dla niego grób, tym ostrzej przeciw nim występował, nazywając ich jadowitymi żmijami, łgarzami i hipokrytami, którzy trzęsą się na myśl o połknięciu komara, a potrafią pożreć wielbłąda! Każdego dnia od świtu do zmroku stał przed świątynią i wypowiadał dzikie słowa, jak gdyby celowo szukał swej śmierci. Pewnego dnia, gdy Judasz spytał go, kiedy w końcu odrzuci jagnięcą skórę, żeby lew mógł ukazać się w pełnej chwale, Jezus potrząsnął głową i uśmiechnął się z niewypowiedzianą goryczą. Od tego czasu Judasz nie opuszczał go na krok. Nawet gdy widział go wchodzącego na Golgotę, skradał się za nim potajemnie, w obawie przed czyhającymi nań skrytobójcami.

Judasz przechadzał się tam i z powrotem przed przeklętą wieżą i spoglądał gniewnie na gburowate twarze nieruchomych rzymskich strażników zakutych w ciężkie zbroje z brązu. "Czego Piłat od niego chce - zapytał sam siebie. - Po co go wzywał?" Judasz wiedział, że Annasz i Kajfasz nieustannie przychodzili do wieży i

oskarżali Jezusa o to, że chce wywołać powstanie, wypędzić Rzymian i samemu zasiąść na tronie. Ale Piłat nie dawał temu wiary. "Jest zupełnie szalony - mawiał - i nie miesza się do spraw Rzymu. Kiedyś celowo wysłałem ludzi, żeby go zapytali, czy Bóg Izraela chce, żeby płacić podatki cesarzowi. A on, zgodnie z prawdą, całkiem inteligentnie odparł: »Oddajcie cesarzowi, co cesarskie, a Bogu to, co boskie«. On jest opętany po prostu przez świętość. Jeżeli wtrąci się do waszej religii, ukarżcie go - ja umyвам ręce. Rzym nie interesuje się nim". Zawsze wygłaszał to samo, a potem odsyłał ich. Ale teraz... Może zmienił zdanie?

Judasz zatrzymał się i oparł o ścianę naprzeciw wieży, zaciskając nerwowo pięści. Nagle zadrżał. Zagrzmiały trąby, tłum rozstąpił się. Czterech lewitów postawiło przed bramą inkrustowaną złotem lektykę. Jedwabne zasłony rozchyliły się i wyszedł z niej odziany w tunikę z jedwabiu Kajfasz. Był tak gruby, że wokół oczu zebrały mu się wielkie worki tłuszczu. Ciężkie, podwójne wrota otwarły się dokładnie w chwili, gdy Jezus wychodził i dwaj mężczyźni spotkali się twarzą w twarz. Jezus przystanął. Był boso, w swojej połatannej, białej tunice. Stojąc bez ruchu, patrzył głęboko w oczy arcykapłana. Ten podniósł ciężkie powieki, rozpoznał Jezusa i zlustrował go od stóp do głów. Na koniec rozchylił swe kozie wargi.

- Czego tu szukasz, buntowniku?

Jezus, nadal nieruchomy, wpatrywał się w niego swymi dużymi, pełnymi cierpienia oczami.

- Nie boję się ciebie, arcykapłanie szatana - odparł.

- Wyrzucić go - zawołał Kajfasz do swych służących, którzy nieśli lektykę.

Wszedł na dziedziniec - tłusty, krzywonogi pigmej, którego olbrzymi tyłek niemalże dotykał ziemi.

Czterej lewicy otoczyli Jezusa, ale Judasz pośpieszył mu na ratunek.

- Precz z łapami! - warknął. Odsuwając ich na bok, wziął Nauczyciela za ramię.

- Chodźmy - powiedział.

Judasz rozpychał na bok wielbłądy, ludzi i owce, torując Jezusowi drogę.

Minęli umocnioną bramę miasta, zeszli w dolinę, wspięli się na przeciwległe zbocze i ruszyli w kierunku Betanii.

- Czego on chciał od ciebie? - zapytał Judasz, ściskając spazmatycznie ramię Mistrza.

- Judaszu - odpowiedział Jezus po chwili głębokiego milczenia - powierzę ci straszliwą tajemnicę.

Judasz pochylił głowę, otworzył usta i czekał.

- Jesteś najsilniejszy z nas wszystkich. Chyba tylko ty będziesz w stanie to udźwignąć. Nie powiedziałem nic innym i nie powiem. Oni nie wytrzymaliby tego.

Judasz zaczerwienił się z zadowolenia.

- Dziękuję za zaufanie, Rabbi - powiedział. - Mów. Zobaczysz, nie przyniosę ci wstydu.

- Judaszu, wiesz dlaczego opuściłem moją ukochaną Galileę i przybyłem do Jeruzalem?

- Tak - odrzekł Judasz. - Bo to, co ma się wydarzyć, wydarzy się tutaj.

- To prawda; ogień Pana zapłonie najpierw tutaj. Nie mogę już spać. Budzę się ze strachem w środku nocy i patrzę w niebo. Jeszcze się nie otwarło? Nie widać jeszcze płomieni? Przychodzi dzień, a ja biegnę do świątyni, przemawiam, straszę, pokazuję na niebo, rozkazuję, zaklinam, błagam, żeby zjawił się ogień. Ale mój głos zawsze ginie. Niebiosy pozostają zamknięte, głuche i spokojne ponad moją głowę. Aż nagle, pewnego dnia...

Głos mu się załamał. Judasz pochylił się nad nim, żeby lepiej słyszeć, ale dotarł do niego tylko zduszony oddech i odgłos szczękających zębów.

- Dalej, mów dalej! - syknął Judasz.

Jezus złapał oddech i znów przemówił:

- Jednego dnia, kiedy leżałem samotnie na szczycie Golgoty, pomyślałem o proroku Izajaszu - nie, nie pomyślałem: zobaczyłem, jak stał przede mną na skałach Golgoty i trzymał kozią skórę, nadmuchaną i zaszytą tak, że wyglądała jak kozioł, którego spotkałem na pustyni. Były na niej jakieś litery. "Czytaj!" - rozkazał, rozpościerając skórę przede mną. Ledwo jednak usłyszałem głos, prorok i kozioł zniknęli, w powietrzu pozostały tylko litery, czarne z czerwonymi inicjałami.

Jezus podniósł wzrok. Zbladł. Ścisnął mocno ramię Judasza.

- One tam są! - wyszeptał z przestraszeniem - Wypełniły powietrze!

- Czytaj - powiedział Judasz, który też się trząsał.

Dysząc ciężko, Jezus zaczął wymawiać słowa. Litery zachowywały się jak żywe zwierzęta, uciekające przed myślącym. Czytał, wycierając nieustannie pot z czoła: "On wziął na siebie nasze winy; zraniono go za nasze wykroczenia; nasze grzechy zadały mu ból. Cierpiał, ale nie mówił nic. Wzgardzony i odrzucony przez wszystkich poddał się bez oporu, jak jagnię prowadzone na rzeź".

Jezus zamilkł. Był śmiertelnie blady.

- Nie rozumiem - powiedział Judasz, stojąc bez ruchu i przesuając kamienie palcami stóp. - Kto jest jagnięciem prowadzonym na rzeź? Kto ma umrzeć?

- Judaszu - powoli odpowiedział Jezus. - Mój bracie, ja jestem tym, który ma umrzeć.

- Ty? - spytał Judasz, wzdrygając się. - To nie jesteś Mesjaszem?

- Jestem.

- Nie rozumiem! - odparł Judasz, raniąc palce o kamienie.

- Nie krzycz Judaszu. Tak ma być. Żeby ocalić świat, muszę umrzeć, całkowicie z własnej woli. Na początku sam tego nie rozumiałem. Bóg na próżno wysyłał mi znaki: czasami były to unoszące się w powietrzu obrazy, czasami sny, kiedy indziej ciało kozła na pustyni z grzechami ludzkości zawieszonymi wokół szyi. Od dnia, kiedy opuściłem dom matki, podążał za mną jakiś cień; był wierny jak pies. Czasami wyprzedzał mnie, żeby pokazać mi drogę. Jaką drogę? Do krzyża!

Jezus rozejrzał się dookoła z tęsknotą. Za nim znajdowała się Jerozolima, góra z lśniąco białych czaszek; przed nim skały i kilka srebrnolistych drzew oliwkowych i czarnych cedrów. Przepelnione krwią słońce zaczęło zachodzić.

Judasz wyrwał włosy z brody i rzucał je na ziemię. Nie na takiego Mesjasza czekał! Pragnął Mesjasza z mieczem, na którego zawołanie pokolenia martwych powstałyby z grobów w dolinie Jozafata i połączyłyby się z żywymi. Żydowskie konie i wielbłądy powróciłyby do życia i wszyscy - piechota i jazda - wyruszyliby na rzeź Rzymian. Mesjasz siedziałby na tronie Dawida, a świat byłby poduszką pod jego stopami. To był Mesjasz, jakiego oczekiwał Judasz Iskariota. A teraz...

Spojrzał gniewnie na Jezusa i zagryzł wargi, żeby cisnąć w niego grubiańskim słowem. Zaczął znów przesuwać kamyki, tym razem piętą. Jezus patrzył ze współczuciem na jego gorączkę.

- Odwagi, Judaszu, mój bracie - powiedział przyjmując pogodniejszy ton. - Nie ma innej drogi. Tylko ta.

- A potem? - zapytał Judasz, gapiąc się na skały.

- Powrócę, aby w chwale sądzić żywych i umarłych.

- Kiedy?

- Nie umrze wiele pokoleń, zanim mnie ujrzą.

- Chodźmy! - powiedział Judasz. Ruszył szybko naprzód. Jezus z trudem usiłował dotrzymać mu kroku. Słońce chyliło się ku górą Judei. Z oddali, znad Morza Martwego, dolatywały głosy pierwszych szakali.

Judasz podążał przodem, pomstując pod nosem. W jego sercu walił się świat. Nie wierzył w śmierć - dla niego była to najgorsza ze wszystkich dróg; wskrzeszony Łazarz, który wydawał mu się bardziej martwy i plugawy niż wszyscy zmarli, przyprawiał go o mdłości, a sam Mesjasz - jak mógłby poradzić sobie w walce z Charonem?... Nie, Judasz nie wierzył, że śmierć to właściwa droga.

Odwrócił się. Chciał wyrzucić z siebie ostre słowa sprzeciwu, które paliły mu język. Może udałoby mu się wpłynąć na Jezusa, żeby nie szedł drogą śmierci. Z ust wyrwał mu się jednak okrzyk przerażenia: postać Jezusa rzucała ogromny cień. Nie był to jednak cień człowieka, ale wielkiego krzyża.

- Spójrz - powiedział i wskazał na cień.

Jezus zadrżał.

- To nic, Judaszu, mój bracie. Nic nie mów.

I tak oto, w milczeniu, ramię w ramię, zaczęli wspinać się drogą wiodącą do Betanii. Pod Jezusem uginały się kolana i Judasz musiał go podtrzymywać. Nic nie mówili. W pewnej chwili Jezus pochylił się i wziął w rękę ciepły kamień; ważył go w dłoni przez dłuższy czas. Czy to kamień, czy dłoń ukochanego człowieka? Rozejrzał się wokół. Jak rozkwitała znów ziemia po zimowej martwocie, jak obrastała na powrót trawą!

- Judaszu, mój bracie - powiedział - nie smuć się. Popatrz, jak rośnie pszenica; jak Bóg zsyła deszcz, a ziemia puchnie i kłosa zboża podnoszą się z nabrzmiałej gleby, żeby żywić ludzi. Gdyby ziarno nie zmarło czy kłosa byłyby kiedykolwiek wskrzeszone? Tak samo jest z Synem Człowieczym.

Lecz Judasz był niepokieszony. Wspinał się bez słowa dalej. Słońce skryło się za górami; z ziemi podnosiła się noc. Pierwsze lampy już błyszczały na szczycie wzgórza.

- Pamiętaj o Łazarzu... - powiedział Jezus, ale Judasz poczuł mdłości i pospieszył dalej, spluwając na ziemię.

Marta zapaliła lampę. Łazarz zakrył oczy dłonią - światło nadal go raziło.

Piotr wziął Mateusza za ramię i usiadł w kręgu światła. Stara Salome znalazła motek czarnej przędzy i tkła, myśląc o swoich dwóch synach. Na Boga, czy nigdy już nie nadejdzie dzień, kiedy zobaczy ich w pełnej chwale, ze złotą wstęgą we włosach; dzień, w którym wejdą w posiadanie całego jeziora Genezaret?

Magdalena wyszła na ścieżkę. Nauczyciel spóźnił się. Umierała z niepokoju i udała się na drogę z nadzieją, że spotka swego ukochanego.

Siedzący na podwórzu uczniowie spoglądali kątem oka na bramę i nic nie

mówili. Nadal kipieli z gniewu. W domu zaś panowały spokój i cisza, nie zmacone żadnym oddechem. Piotr uznał, że nadszedł dobry moment, żeby zobaczyć wreszcie, co celnik pisze wieczorami w swoim notatniku. Dziś, po kłótni z innymi, nie mógł już dłużej czekać: musiał wiedzieć, jak Mateusz go przedstawia. A nuż ośmieszał go przed przyszlými pokoleniami? Ci pisarze nie mieli wstydu. Jeżeli Mateusz ośmielił się zrobić coś takiego, to wrzuci mu ten cały kram do ognia. Tak, właśnie dziś wieczorem!... Wziął celnika przymilnie za ramię i obaj ukłękli pod lampą.

- Proszę, poczytaj mi Mateuszu - powiedział. - Chcę wiedzieć, co napisałeś o Nauczycielu.

Mateusz był zachwycony, gdy usłyszał te słowa. Powoli zdjął notatnik z piersi. Właśnie zawinął go w chustkę, którą dała mu Maria, siostra Łazarza. Odwinął delikatnie okładki, jak gdyby zawierały jakieś żywe, zranione stworzenie. Otworzył jedną ze stron. Zaczął kołysać się w przód i w tył; zebrał się w sobie i zaczął ni to czytać, ni śpiewać:

- Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama. Abraham był ojcem Izaaka; Izaak ojcem Jakuba; Jakub ojcem Judy i jego braci; Juda zaś był ojcem Faresa i Zary...

Piotr zamknął oczy i słuchał. Przesuwały się przed nim pokolenia Hebrajczyków: od Abrahama do Dawida, czternaście pokoleń; czternaście pokoleń od Dawida do niewoli babilońskiej; od niewoli babilońskiej do Chrystusa, czternaście pokoleń... Jaka wielkość, jaka olbrzymia, nieśmiertelna armia! I jaka wielka radość i duma, że jest się Żydem! Piotr oparł głowę o ścianę i słuchał. Pokolenia maszerowały, aż doszły do czasów Jezusa. Piotr słuchał. Ileż cudów się wydarzyło, a on nigdy o nich nie słyszał! Tak... Jezus urodził się w Betlejem, a jego ojcem nie był cieśla Józef, ale Duch Święty i przyszli trzej królowie i modlili się do niego; a w czasie chrztu, jakie słowa gołąb przyniósł z nieba? On, Piotr, ich nie słyszał. Kto więc przekazał je Mateuszowi, którego tam wtedy nie było? Stopniowo Piotr przestawał słyszeć słowa; słyszał tylko usypiającą muzykę, smutną i monotonną, i zapadł łagodnie w sen. Gdy spał, słyszał wyraźnie zarówno słowa, jak i muzykę. Każde słowo było jak owoc granatu - jak te granaty, które jadł przed rokiem w Jerychu. Owoce pękały w powietrzu, a z ich wnętrza wydobywały się czasami płomienie, czasami anioły, skrzydła i trąby...

Nagle, w głębokiej słodyczy snu usłyszał przepelnione szczęściem głosy.

Obudził się ze strachem. Zobaczył przed sobą czytającego Mateusza. Zawstydzil



się, że zasnął; padł celnikowi w ramiona i pocałował go w usta.

- Przebacz mi, bracie Mateuszu - powiedział - ale gdy cię słuchałem, wszedłem do raju.

W drzwiach pojawił się Jezus, a za nim Magdalena, która promieniała z radości. Jej usta, oczy i odsłonięty kark były rozpłomienione. Gdy Jezus zobaczył Piotra całującego celnika, jego twarz pojaśniała. Wskazał na dwóch obejmujących się mężczyzn.

- To jest królestwo niebieskie - powiedział.

Zbliżył się do Łazarza, który usiłował się podnieść, ale po chwili usiadł z powrotem, bo jego stawy zatrzeszczały, jakby miały zaraz pęknąć. Łazarz wyciągnął ramię i dotknął ręki Jezusa końcami palców. Jezus zadrżał. Dłoń Łazarza była niezwykle zimna, czarna i pachniała ziemią.

Jezus wyszedł powtórnie na podwórze, żeby zaczerpnąć powietrza. Ten wskrzeszony człowiek nadal balansował na cienkiej linii pomiędzy życiem a śmiercią. Bóg nie zdołał jeszcze pokonać jego zgnilizny. Nigdy przedtem śmierć nie pokazała swej prawdziwej siły tak jak w tym człowieku. Jezus przepelniony był strachem i niezwykle smutkiem.

Stara Salome podeszła do niego z kądzielą pod pachą i wspięła się na palce, żeby wyszeptać mu coś do ucha.

Jezus nachylił się do niej.

- Mów, Salome - powiedział.

- Rabbi, czy wyświadczysz mi przysługę, kiedy pójdziesz do nieba? Widziałeś, ile dla ciebie zrobiliśmy.

- Mów Salome - jego serce ścisnęło się nagle. "Kiedy - zapytał w duchu - ludzie zrozumieją, że dobre uczynki nie przyjmują zapłaty".

- Kiedy wejdiesz na tron, moje dziecko, posadź moich synów, Jana i Jakuba po swojej lewej i prawej stronie.

Jezus zagryzł usta i nic nie odpowiedział, wpatrzony w ziemię.

- Słyszałeś mnie moje dziecko? Jana...

Wszedł szybko do domu. Zobaczył siedzącego przy lampie Mateusza, który nadal trzymał na kolanach otwartą księgę. Zatrzymał się. Mateusz zamknął oczy: nadal był pogrążony w lekturze.

- Mateuszu - powiedział Jezus - przynieś tu swoje zapiski. Co piszesz?

Mateusz wstał i podał Jezusowi notatnik. Był bardzo szczęśliwy. Rabbi -

powiedział - opisuję twoje dzieła dla przyszłych pokoleń.

Jezus uklęknął pod lampą i zaczął czytać. Już po pierwszych słowach przebiegł go dreszcz. Gwałtownie przewracał strony i czytał w pośpiechu, a jego twarz zrobiła się czerwona i zła. Widząc to, Mateusz schował się ze strachem w kącie i czekał. Jezus przejrzał notatki, a potem rozgniewany wstał i rzucił Ewangelię Mateusza na ziemię.

- Co to ma być? - krzyknął. - Kłamstwa! Kłamstwa! Mesjaszowi nie są potrzebne cuda. On sam jest cudem - inne nie są potrzebne! Urodziłem się w Nazarecie, nie w Betlejem; nigdy nie byłem w Betlejem i nie pamiętam żadnych króli. Nigdy w życiu nie byłem w Egipcie; i co wypisujesz o gołębiczy mówiącej: "To jest mój umiłowany syn", gdy byłem chrzczony - kto ci o tym naopowiadał? Ja sam dobrze nie słyszałem. Skąd ty o tym wiesz, skoro cię tam nawet nie było?

- Anioł mi o tym powiedział - odrzekł roztrzęsiony Mateusz.

- Anioł? Jaki anioł?

- Ten, który przychodzi co noc i prowadzi moje pióro. Pochyla się nade mną i dyktuje mi, a ja piszę.

- Anioł? - powiedział zmieszany Jezus. - Anioł dyktuje, a ty piszesz?

Mateusz zebrał się na odwagę.

- Tak, anioł. Czasami nawet go widzę, ale słyszę zawsze: jego usta dotykają mojego prawego ucha. Czuję jak jego skrzydła mnie otaczają. Piszę otulony anielskimi skrzydłami jak niemowlę - nie, nie piszę, kopiuję tylko to co mi mówi. A ty co myślałeś? Sam miałem wymyślić te wszystkie cuda?

- Anioł? - wymamrotał Jezus i zamyślił się. Betlejem, królowie, Egipt i "Jesteś moim umiłowanym synem": jeśli to wszystko prawda... Jeśli to był najwyższy poziom prawdy, dostępny tylko Bogu... Jeśli to, co nazywamy prawdą, Bóg nazywa kłamstwem...

Milczał. Pochylił się, pieczołowicie pozbierał z podłogi notatki i podał Mateuszowi, który ponownie zawinął je w haftowaną chustę i schował pod koszulę.

- Pisz, cokolwiek dyktuje anioł - powiedział Jezus. - Za późno, bym... - Nie dokończył zdania.

Tymczasem uczniowie otoczyli Judasza kołem i wypytywali o Piłata. Judasz nie chciał na nich nawet patrzeć: wydostał się z koła i stanął w drzwiach prowadzących na ulicę. Gardził nimi; mógł teraz rozmawiać tylko z Jezusem. Straszliwa tajemnica połączyła ich i oddzieliła od innych... Judasz przyglądał się nocy, która pożerała świat, i pierwszym gwiazdom, małym lampkom, które właśnie zapaliły się na niebie.

- Boże Izraela - powiedział do siebie - pomóż mi, bo stracę rozum.

Magdalena była niespokojna. Podeszła i stanęła obok niego. Chciał odejść, ale złapała go za skraj tuniki.

- Judaszu, nie obawiaj się, możesz wyjawić mi tę tajemnicę.

- Jaką tajemnicę? Piłat chciał go tylko ostrzec. Kajfasz...

- Nie, nie to.

- A co jeszcze chcesz wiedzieć? Znowu płoniesz, Magdaleno. Masz oczy jak rozżarzone węgle. - Roześmiał się nieszczercze. - Płacz, płacz. Łzy je ugaszą.

Magdalena przygryzła z rozpacz chusteczkę i rozerwała ją.

- Dlaczego wybrał właśnie ciebie - spytała cicho - ciebie, Judaszu Iskarioto?

Rudobrody znów wpadł w gniew. Ścisnął ramię Magdaleny.

- A kogo, Mario z Magdali, chciałabyś, żeby wybrał - szalonego Piotra, czy tego idiotę Jana... a może sama chciałaś być wybrana - ty, kobieta? Dlatego minie wybrał!

Oczy Magdaleny wypełniły się łzami.

- Masz rację - powiedziała. - Jestem kobietą, okaleczonym i zranionym stworzeniem... - Weszła do środka i położyła się przy ogniu.

Marta nakryła stół do wieczerzy. Z podwórza przyszli uczniowie i uklękli. Łazarz pił rosół z kury. Krew zaczynała mu krążyć w żyłach i nie wpatrywał się już na podłogę.

W otwartych drzwiach stanął nagle stary rabin, blady jak duch. Oparł się ciężko na swej lasce, bo kolana odmawiały mu już posłuszeństwa. Gdy zobaczył Jezusa, dał mu znak, że chce z nim porozmawiać. Jezus wstał, posadził starego człowieka i potem sam usiadł obok Łazarza.

- Ja także chciałem z tobą porozmawiać, ojcze.

- Muszę się na ciebie poskarżyć, moje dziecko - powiedział stary rabin, patrząc na niego z surową łagodnością. - Mówię to otwarcie, przy wszystkich. Niech wszyscy - mężczyźni i kobiety - nas słuchają; także Łazarz, który wstał z grobu i musi poznać wiele tajemnic. Niech wszyscy nas słuchają i osądzą.

- Cóż mogą wiedzieć ludzie? - odparł Jezus. - Zapytaj Mateusza, anioł lata w tym domu. Niech on osądzi. Jaka jest twoja skarga, ojcze?

- Dlaczego chcesz odrzucić święte Prawo? Do tej pory je szanowałeś, tak jak powinno być, gdy syn szanuje swego ojca. Ale dzisiaj przed świątynią wywiesiłeś własną flagę. Dokąd ma prowadzić ten bunt twojego serca?

- Do miłości, ojcze; do stóp Boga. Tam znajdzie wsparcie i wytchnienie.

- Nie możesz tam dojść ze świętym Prawem? Nie wiesz, co mówi nasze święte Prawo? Prawo zostało napisane dziewięćset czternaście pokoleń zanim Bóg stworzył świat. Ale nie było zapisane na pergaminie, bo nie było jeszcze zwierzęcej skóry; ani na drewnie, bo nie było drzew; nie na kamieniu, bo nie było jeszcze kamieni. Zapisane zostało czarnymi płomieniami na białym ogniu na lewym ramieniu Pana. Musisz pamiętać, że właśnie zgodnie z tym świętym Prawem Bóg stworzył świat.

- Nie! Nie! Nie! - wybuchnął gwałtownie Jezus - Nie!

Stary rabin wziął go delikatnie za rękę.

- Dlaczego tak krzyczysz, moje dziecko?

Jezus zawstydził się i zaczerwienił. Wodze wymknęły mu się z dłoni i nie potrafił zapanować nad swoją duszą. Czuł, że całe ciało ma pokryte ranami. Nie można było go nawet dotknąć, gdyż krzyknąłby zaraz z bólu. Tym razem też krzyczał; uspokoił się jednak po chwili. Chwycił dłoń starego rabinia i zniżył głos.

- Pismo Święte, ojcze, to strony mojego serca. Wszystkie inne strony podarłem.

Naraz zmienił jednak zdanie.

- Nie... Nie ja - Bóg, który mnie posłał.

Stary rabin, który siedział obok Jezusa tak, że ich kolana stykały się ze sobą, poczuł potężną siłę wydobywającą się z ciała Jezusa, a gdy przez otwarte okno do pomieszczenia wtargnął nagle silny wiatr i zgasił lampę, rabin ujrzał syna Marii, który stał wyprostowany pośrodku pokoju, cały w chwale, niczym kolumna ognia. Spojrzał w lewo i w prawo, na wypadek gdyby znów pojawił się Mojżesz i Eliasza, ale nie zobaczył żadnego z nich. Jezus był sam, a jego głowa sięgała sufitu i podpalała dach. Stary rabin otworzył już usta do krzyku, kiedy Jezus rozprostował ramiona. Stał się teraz krzyżem, a płomienie lizały jego ciało.

Marta wstała i ponownie zapaliła lampę. Wszystko natychmiast wróciło do dawnego porządku. Jezus z pochyloną głową nadal siedział i myślał. Rabin rozejrzał się dookoła: nikt inny nie dostrzegł nic w ciemności. Wszyscy zasiedli do stołu i przygotowali się spokojnie do kolacji. "Bóg trzyma mnie w swoich rękach i bawi się - pomyślał rabin. - Prawda ma wiele warstw. Podróżuję od jednej do drugiej, aż kręci mi się od tego w głowie..."

Jezus, podobnie jak stary rabin, nie był głodny i nie usiadł do stołu.

Obaj pozostali obok Łazarza, który zamknął oczy i zdawało się, że zapadł w sen. Ale Łazarz nie spał; rozmyślał. Straszny był ten ostatni sen! Leżał pod ziemią i zastanawiał się, czy już nie żyje, kiedy nagle usłyszał głos: "Łazarzu, wychodź!"

Podskoczył w swoim całunie, obudził się i stwierdził, że jest zawinięty w ten sam całun co we śnie. A może to nie był sen? Czyżby naprawdę zszedł do Hadesu?

- Dlaczego wyciągnąłeś go z grobu, moje dziecko?

- Nie chciałem - odpowiedział łagodnie Jezus. - Nie chciałem, ojcze. Gdy zobaczyłem, jak podnosi kamień swego grobu, okropnie się zląkłem. Chciałem uciec, ale było mi wstyd. Stałem tam i trząsałem się ze strachu.

- Mogę znieść wszystko - powiedział rabin - wszystko, z wyjątkiem smrodu gnijącego ciała. Kiedyś widziałem inne przerażające ciało. Rozkładało się jeszcze za życia, kiedy wciąż jadło, piło i wzdychało. Król Herod, wielka dusza skazana na potępienie. Zabił piękną Mariannę, kobietę, którą kochał; zabijał swych przyjaciół, generałów, synów. Podbijał królestwa, wznosił wieże, pałace, zbudował miasta i świątynie w Jerozolimie, bogatszą niż świątynia Salomona. Wyrył swe imię w brązie i złocie na kamieniach: pragnął nieśmiertelności. I wtedy, niespodziewanie, u szczytu chwały dotknął go palec Boży i wszystko zaczęło gnić. Był zawsze głodny. Bez przerwy jadł, ale nigdy nie mógł się nasycić. Jego jelita były jedną wielką raną; był taki głodny, że szakale słyszały jego jęki w nocy i drżały. Zaczęły mu puchnąć pachy, brzuch i stopy. Robaki wżarły mu się w genitalia, one pierwsze zgniły. Smród był tak straszliwy, że nikt nie mógł się do niego zbliżyć. Jego niewolnicy mdleli. Zabrano go do gorących źródeł, ale to nic nie dało. Byłem wtedy wziętym lekarzem. Posłał po mnie. Leżał w ogrodach Jerycha, a smród bił od jego ciała do Jerozolimy po sam Jordan. Gdy zbliżyłem się doń pierwszy raz, zemdlałem. Przygotowałem balsamy i namaściłem go. Pochyliłem skrycie głowę i zwymiotowałem. To jest król? - zapytałem w duchu. Czy tym właśnie jest człowiek - smrodem i brudem? A gdzie dusza, która wszystko porządkuje?

Rabin mówił niezwykle łagodnie. Biesiadnikom pochylonym nad jadem zrobiło się niedobrze. Pochylony w rozpaczę Jezus słuchał. Właśnie o to chciał prosić rabina tego wieczoru: o to, by porozmawiał z nim o śmierci, żeby mógł znaleźć w tym siłę. Powinien zawsze mieć śmierć przed oczami, żeby do niej przywyknąć. Ale teraz... Chciał wyciągnąć rękę, żeby powstrzymać rabina, chciał krzyknąć: "Dość!", lecz nie mógł już nic zrobić. Rabin chciał przypomnieć sobie cały brud, wyciągnąć go na zewnątrz i oczyścić się.

- Moje maści nie zdały się na nic; one także zostały pożarte przez robaki.

Diabeł nadal siedział na swym plugawym tronie i podszeptował mu rozkazy. Herod kazał zebrać wszystkich możnych i panów w Izraelu i stłoczyć ich na

dziedzińcu. Gdy umierał, wezwał swą siostrę Salome. Powiedział jej: "Gdy tylko wyzionę ducha, zabij ich wszystkich, żeby nie cieszyli się z mojej śmierci!" Z tymi słowami odszedł. Tak odszedł Herod Wielki, ostatni król Judy. Schowałem się za drzewami i zacząłem tańczyć. Odszedł ostatni król Judy - nadszedł błogosławiony czas, czas, który Mojżesz przepowiedział w Testamencie: "Na końcu przyjdzie rozpustny i rozwiązły król; z zachodu nadsięgną armie barbarzyńców, a z nimi król, który będzie okupował Ziemię Świętą. A potem nastąpi koniec świata!" Oto co przewidział prorok Mojżesz. Wszystko się już zdarzyło. Nadszedł koniec świata.

Jezus wzdrygnął się. Po raz pierwszy słyszał to proroctwo.

- Gdzie to jest napisane? - zawołał. - Kim jest ten prorok? Pierwszy raz to słyszę!

- Jakiś czas temu pewien mnich znalazł w jaskini na pustyni stary pergamin w glinianym naczyniu. Rozwinął go i u góry zobaczył litery: - "Testament Mojżesza". Zanim wielki patriarcha zmarł, wezwał swego następcę, Jozuego syna Nuna, i podyktował mu wszystko, co miało się zdarzyć w przyszłości. A teraz doszliśmy do zapowiedzianego czasu. Rozpustny król to Herod, armie barbarzyńców - Rzymianie, a jeśli chodzi o koniec świata, to wystarczy podnieść głowę, żeby zobaczyć, że nadchodzi!

Jezus wstał. Dom go osaczał. Przeszedł obok beztrąsko posilających się uczniów i wyszedł na podwórze. Tam podniósł głowę. Duży i smutny księżyc wznosił się ponad górami Moab. Wkrótce miał osiągnąć pełnię i obwieścić Paschę.

Jezus patrzył ze zdumieniem na księżyc, jak gdyby widział go po raz pierwszy w życiu. Zapytał siebie samego: "Czym jest księżyc, ten księżyc, który wstaje zza gór i sprawia, że przestraszone psy podkulają pod siebie ogony i szczekają na niego? Milczący, wznosi się w przerażającej ciszy i sący swój jad. Ludzkie serce staje się pełną trucizny jamą...". Czuł trujący język na policzkach, ramionach i karku; liżący język, który owijał się wokół jego ciała i twarzy białym, delikatnym kirem.

Jan wyczuwał, że Mistrz cierpi. Wyszedł na podwórze i zobaczył go oblanego księżycową poświatą.

- Rabbi - powiedział cicho, żeby go nie przestraszyć i zbliżył się na palcach.

Jezus odwrócił się i spojrzał na niego. Delikatny młodzieniec zniknął, a na jego miejscu pośrodku dziedzińca pojawił stary, bardzo stary mężczyzna. W jednej ręce trzymał nie zapisaną księgę, a w drugiej gęsie pióro, długie jak włócznia. Jego długa, siwa broda sięgała do kolan.

- Synu Gromu! - wykrzyknął Jezus odchodząc od zmysłów - pisz: Ja jestem Alfą i Omegą, tym, który był, jest i będzie Panem wszelkiego stworzenia. Słyszałeś dźwięk trąby?

Jan był przerażony. Mistrz tracił rozum! Wiedział, że księżyc może odurzyć - dlatego wyszedł na podwórze, żeby przyprowadzić Jezusa do domu. Niestety, zjawił się za późno.

- Uspokój się. Rabbi - powiedział. - To ja, twój ukochany Jan. Chodźmy do środka. To dom Łazarza.

- Pisz - rozkazał Jezus. - "Dokoła tronu boskiego zasiada siedem aniołów, a każdy z trąbą w ustach". Widzisz ich? Pisz: "Pierwszy anioł spadł na ziemię i powstały grad i ogień pomieszane z krwią. Spłonęła trzecia część ziemi, trzecią część drzew, trzecia część traw. Drugi anioł zagrał na swej trąbie. Ognista góra wpadła do morza i trzecia część mórz stała się krwią i wyginęła trzecia część ryb, i trzecia część okrętów uległa zniszczeniu. Zagrał trzeci anioł. Wielka gwiazda spadła z nieba i trzecia część wód stała się piołunem. Zagrał czwarty. Trzecia część słońca pociemniała i jedna trzecia księżyca, i gwiazd. Zabrzmiała trąba piątego anioła. Następna gwiazda spadła na ziemię i otworzyła studnię Czełusci, i dym uniósł się ze studni, a z dymu wyszła szarańcza, która nie pożerała trawy ni drzew, lecz ludzi, a jej włosy były długie jak włosy kobiet, a zęby jak kły lwów. Przyodziana była w żelazną zbroję, a jej skrzydła trzepotały jak wielokonne rydwany ruszające do boju".

Jan nie mógł tego dłużej słuchać. Wybuchnął płaczem i rzucił się do stóp Jezusa.

- Mój Mistrzu - łkał - uspokój się, proszę...

Jezus usłyszał szloch, pochylił się i zobaczył swego ukochanego ucznia u swoich stóp.

- Janie, ukochany, dlaczego płaczesz?

Jan wstydził się powiedzieć, że przez chwilę, w świetle księżyca Nauczyciel odszedł od zmysłów.

- Rabbi - powiedział - wejdźmy do środka. Stary człowiek pyta, co się z tobą stało, a uczniowie chcą cię ujrzeć.

- I dlatego płaczesz, Janie?... Wejdźmy do środka.

Gdy znalazł się w środku, usiadł obok starego rabina. Czuł się niezwykle zmęczony. Był cały rozpalony, miał mokre od potu dłonie i drżał na całym ciele.

Stary rabin patrzył na niego z przerażeniem.

- Moje dziecko, nie patrz na księżyc - powiedział. - Mówią, że jest pępkiem miłości szatana... Ale Jezus myślał o śmierci.

- Ojciec - powiedział. - Mówiłeś źle o śmierci. Śmierć nie ma oblicza Heroda. Nie jest też wielkim panem, który pilnuje kluczy Boga i otwiera drzwi. Spróbuj przypomnieć sobie jakieś inne oblicza śmierci, ojciec, i pociesz mnie.

Uczniowie skończyli posiłek. Przeszli rozmawiać, chcieli posłuchać. Marta gdzieś zniknęła; dwie Marie spoczęły u stóp Jezusa. Od czasu do czasu spoglądały uważnie na swoje ramiona, piersi, oczy, włosy i usta, starając się ocenić, która jest piękniejsza.

- Masz rację, moje dziecko - powiedział stary rabin. - Mówiłem źle o śmierci. Ona ma zawsze twarz konającego.- Jeżeli umiera Herod to śmierć staje się Herodem; gdy umiera święty, śmierć przybywa rydwanem i unosi go do nieba. Chcesz zobaczyć, jaką będziesz miał twarz w wieczności? Patrz uważnie, gdy śmierć pojawi się przed tobą w ostatniej godzinie.

Wszyscy słuchali z otwartymi ustami i każdy myślał o swojej duszy. Na długą chwilę zapadło milczenie, jak gdyby każdy próbował zobaczyć oblicze swojej śmierci.

W końcu Jezus otworzył usta i przemówił.

- Kiedyś, ojciec, gdy miałem dwanaście lat, poszedłem do synagogi i słuchałem, jak mówiłeś o męczeństwie i śmierci proroka Izajasza. Ale było to wiele lat temu i zapomniałem. Chciałbym dziś jeszcze raz o tym usłyszeć, żeby znaleźć ukojenie i pogodzić się ze śmiercią: rozgniewałeś mą duszę swym opowiadaniem o Herodzie, ojciec.

- Dlaczego chcesz rozmawiać tylko o śmierci, moje dziecko? Czy o to chciałeś mnie prosić?

- Tak, właśnie o to - zwrócił się do uczniów. - Nie bójcie się śmierci. Niech będzie błogosławiona! Gdyby nie istniała, jak moglibyśmy dojść do Boga i pozostać z nim na zawsze? Zaprawdę powiadam wam, śmierć trzyma klucze i otwiera drzwi.

Stary rabin popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Jezusie, jak możesz mówić o śmierci z taką miłością i pewnością? Od dawna nie słyszałem, żeby twój głos był taki czuły.

- Opowiedz nam o śmierci proroka Izajasza, a zobaczysz, że mam rację.

Rabin odsunął się trochę, żeby nie dotykać Łazarza.

- Rozpustny król Manazjasz zapomniał o poleceniach swego ojca, bogobojnego Ezechiela; zawładnął nim szatan. Nie potrafił już słuchać głosu Izajasza, głosu Boga.



Wysłał zabójców, żeby go zamordowali. Ale Izajasz był w Betlejem. Ukryty w olbrzymim cedrze pościł i modlił się, żeby Bóg zlitował się nad Izraelem i zesłał ocalenie. Pewnego dnia przechodził obok Samarytanin i spostrzegł rękę modlącego się proroka, wynurzającą się z drzewa. Pobiegł zaraz do króla i powiedział mu o tym. Prorok został pojmany i zaprowadzony przed oblicze króla. "Przynieście piłę do cięcia drewna i przetnijcie go na pół" - rozkazał przeklęty człowiek. Położono go na ziemi. Dwóch ludzi zaczęło ciąć. Król zawołał: "Wyrzeknij się swoich prorocत्व, a ja daruję ci życie!" Ale Izajasz już był w raju i nie słyszał ziemskich głosów. "Wyprzyj się Boga, a wszyscy moi poddani padną do twoich stóp i będą cię czcić!" - wołał król. Prorok odpowiedział mu: "Możesz jedynie zabić moje ciało. Nie możesz dotknąć mojej duszy, ani mojego głosu. Są nieśmiertelne. Dusza idzie do Boga; a mój głos pozostanie na ziemi na zawsze i będzie nauczał". Gdy to powiedział, zjawiała się śmierć w ognistym rydwanie, w połączanej koronie i zabrała go.

Jezus wstał z lśnjącymi oczami. Wisiał nad nim ognisty rydwan.

- Przyjaciele - powiedział przyglądając się po kolei uczniom - ukochani towarzysze podróży: jeśli mnie kochacie, posłuchajcie tego, co teraz powiem. Zawsze musicie być gotowi. Ci, którzy mają sandały, niech mają je na nogach; ci, którzy mają laski, niech trzymają je w dłoniach - gotowi do wielkiej podróży. Czym jest ciało? Namiotem dla duszy. "Zwijamy namioty i wychodzimy - powinniście to mówić w każdej chwili. - Wracamy do ojczyzny". Do jakiej ojczyzny? Do nieba!

- Przyjaciele, oto ostatnie słowa, które chcę do was dziś skierować. Gdy znajdziecie się przed grobem ukochanej osoby, nie wybuchajcie płaczem. Pamiętajcie o jednym: śmierć to wrota do nieśmiertelności. Wasz ukochany człowiek nie umarł - stał się nieśmiertelny.

## ROZDZIAŁ XXVII

Przez cały dzień, poczynając od niebiańskiego brzasku, a nawet jeszcze wcześniej, w nocy, gdy nikt nie patrzył, wiosna przebijała kamienie i glebę, i ogarniała powoli ziemię Izraela. W ciągu jednej nocy równiny Saron w Samarii i Ezdrelon w Galilei pokryły się żółtymi stokrotkami i liliami polnymi, a kruche zawilce - jak duże krople krwi - wyrosły pomiędzy ponurymi skałami Judei. Na gałązkach winorośli pojawiły się wypukłe oczka podobne do oczu kraba. W każdym z tych różowozielonych pączków, niedojrzałe kiście, dojrzałe grona i młode wino nabierały rozpędu, by się nagle ukazać; jeszcze głębiej, w sercu każdego pączka, znajdowały się ludzkie pieśni. Przy każdym małym listku stał anioł stróż i pomagał mu rosnąć. Miało się wrażenie, że powracały pierwsze dni stworzenia, gdy każde słowo Boga, które padało na świeżo zaoraną ziemię, zawierało w sobie drzewa, polne kwiaty i zielen traw.

Tego ranka u podnóża świętej góry Garizim, Samarytanka znowu napełniała wodą swój dzban przy studni Jakuba i spoglądała na drogę wiodącą ku Galilei, jakby nadal czekała na bladego młodzieńca, który kiedyś rozmawiał z nią o wodzie nieśmiertelności. Teraz, wiosną, ta rozmiłowana w przyjemnościach wdowa odsłoniła jeszcze bardziej dwie wypukłości swych spoconych piersi.

Owej letniej nocy nieśmiertelna dusza Izraela przeobraziła się w słowika, który siadał w otwartym oknie każdej młodej, niezamężnej Żydówki i śpiewając nie pozwalał jej zasnąć. "Dlaczego kładziesz się do łóżka zupełnie sama? - świergotał karcącym głosem. - Jak myślisz, po co dałem ci długie włosy i dwie piersi, i okrągłe, szerokie biodra? Wstań, załóż swoją biżuterię, wychyl się z okna. O brzasku wyjdź na swój próg, weź dzban i idź do studni, flirtuj z kawalerami, których spotkasz po drodze, razem dajcie mi dzieci. My Izraelici mamy wielu wrogów, ale dopóki moje córki dają mi dzieci, jestem nieśmiertelny. Nienawidzę ugorów, niezaszczepionych drzew w ziemi Izraela - tak samo jak dziewic".

Na Pustyni Idumejskiej, w strzeżonym przez Boga Hebronie, wokół najświętszego grobu Abrahama, dzieci żydowskie budziły się wcześnie rano i bawiły w Mesjasza. Robiły sobie łuki z łozy i wypuszczały w niebo strzały z trzciny, wzywając Mesjasza - króla Izraela - by w końcu zstąpił na ziemię, ze swym długim mieczem i złotym hełmem. Robiły dla niego tron, by miał gdzie usiąść, rozpościerając skórę

jagnięcia na świętym grobie. Układały dla niego specjalną pieśń; przywoływały go klaszcząc w dłonie - aż nagle, zza grobu dobiegały okrzyki radości i dźwięk bębnów, i pojawiał się, dumnie stąpając i głośno rycząc, Mesjasz z brodą i wąsami z wiech traw i zbóż, z dziką, pomalowaną twarzą. Trzymał w dłoni długi miecz z gałęzi palmy daktylowej i uderzał nim dzieci w szyję, jedno po drugim. Wszystkie padały na ziemię, zabite.

Świtało także w domu Łazarza w Betanii, ale Jezus wciąż nie zmrużył oka. Jego udręka i ból nie chciały ustąpić; nie otwierała się przed nim żadna inna droga z wyjątkiem jednej: śmierci. "Proroctwa mówią o mnie - myślał. - Ja jestem barankiem, który weźmie na siebie grzechy całego świata i zostanie zabity w czasie tegorocznego święta Paschy. A więc dobrze, niech baranek padnie godzinę wcześniej. Ciało jest słabe; nie ufam mu. W ostatniej chwili może stchórzyć. Niech śmierć przyjdzie już teraz, gdy jeszcze czuję, że moja dusza stoi dumnie wyprostowana... Ach, kiedy wreszcie wzejdzie słońce, abym mógł udać się do świątyni. Muszę to wszystko zakończyć - dzisiaj!"

Kiedy podjął decyzję, jego umysł nieco się uspokoił. Zamknął oczy i zasnął.

Przyśniło mu się, że niebo jest sadem otoczonym płotem ze sztachetami, pełnym dzikich zwierząt. On także był dzikim zwierzęciem i swawolił wraz z innymi; przeskoczył przez sztachety i spadł na ziemię. Kiedy ludzie ujrzeli go, ogarnęło ich przerażenie. Kobiety krzyczały i zabierały swoje dzieci z ulic. Mężczyźni chwycili piki, kamienie i miecze, i rozpoczęli polowanie... Cały spływał krwią, gdy nagle upadł twarzą na ziemię. Potem wydawało mu się, że wokół niego zgromadzili się sędziowie, aby go osądzić. Jednakże nie byli ludźmi ale lisami, psami, świniami i wilkami. Osadzili go i skazali na śmierć. Prowadzony na stracenie, przypomniał sobie, że nie może umrzeć: był niebiańskim zwierzęciem - był nieśmiertelny. Wtedy jakaś kobieta wzięła go za rękę; rozpoznał Marię Magdalenę. Wyprowadziła go z miasta na pola.

- Nie wracaj do nieba - powiedziała do niego. - Jest wiosna; zostań z nami.

Szli i szli, aż dotarli do granicy Samarii. Tam pojawiła się Samarytanka z dzbanem na ramieniu. Podała mu go, a gdy zaspokoił pragnienie, także wzięła go za rękę i bez słowa poprowadziła aż do granicy Galilei. Spod starych, pokrytych kwieciami drzew oliwnych wyłoniła się jego matka. Miała na sobie czarną chustę i płakała. Kiedy ujrzała jego rany, krew na całym ciele i koronę z cierni na jego głowie, uniosła w górę ręce.

- Tak jak ty zraniłeś mnie - powiedziała mu - niech Bóg zrani ciebie. Przez

ciebie moje imię dostało się na ludzkie języki: cały świat aż huczy. Podniosłeś swoją rękę na Ojczyznę, Prawo, Boga Izraela. Czy nie bałeś się Boga, nie miałeś wstydu przed ludźmi? Czy pomyślałeś o swej matce i o swym ojcu? Przeklinam cię! - To powiedziawszy, zniknęła.

Obudził się gwałtownie, zlany potem. Wokół niego leżeli pokotem uczniowie i chrapali. Na zewnątrz, na podwórzu, piał kogut. Piotr usłyszał go i uchylił powieki. Zobaczył stojącego Jezusa.

- Rabbi - powiedział - zanim zapiał kogut miałem sen. Śniło mi się, że wzięłeś dwie złożone na krzyż deski. W twoich rękach zamieniły się w lirę i smyczek, a ty grałeś i śpiewałeś. Dzikie zwierzęta ze wszystkich krańców ziemi zebrały się, żeby cię słuchać.... Co to znaczy? Zapytam starego rabina.

- Piotrze, ten sen nie kończy się w tym miejscu - odpowiedział Jezus. - Dlaczego tak szybko się przebudziłeś? Ten sen ma dalszy ciąg.

- Dalszy ciąg? Nie rozumiem. Może ty sam go śniłeś, Rabbi - w całości?

- Kiedy zwierzęta wysłuchały pieśni, rzuciły się i pożarły śpiewaka.

Piotrowi oczy wyszły z orbit. W głębi serca przeczuwał niejasno znaczenie snu, ale jego myśli stały nieruchomo w miejscu.

- Nic nie rozumiem - powiedział.

- Zrozumiesz - odparł Jezus - pewnego ranka, kiedy znowu usłyszysz pianie koguta.

Trącał nogą swoich towarzyszy, jednego po drugim.

- Zbudźcie się, lenie - powiedział. - Mamy dziś wiele do zrobienia.

- Odchodzimy stąd? - zapytał Filip, przecierając oczy. - Moim zdaniem powinniśmy wrócić do Galilei. Tam będziemy bezpieczni.

Judasz zazgrzytał zębami, ale nie odezwał się. W pokoju położonym w głębi domu zbudziły się kobiety i zaczęły rozmawiać.

Stara Salome wyszła, żeby rozpalić ogień. Uczniowie zgromadzili się już na podwórzu. Czekali na Jezusa, który, pochylony nad rabinem, rozmawiał z nim po cichu. Starzec, ciężko chory, leżał przykuty do łóżka w tylnej części domu.

- Dokąd teraz idziesz, moje dziecko? - zapytał rabin. - Dokąd prowadzisz swoje wojsko? Znowu do Jeruzalem? Znowu podniesiesz rękę, by zburzyć świątynię? Jak wiesz, słowa zamieniają się w czyny, jeśli pochodzą z wielkiej duszy - a twoja dusza jest wielka. Jesteś odpowiedzialny za to, co mówisz. Jeśli ogłosisz, że świątynia będzie zburzona, pewnego dnia rzeczywiście zostanie zburzona. A więc waż każde swoje

słowo!

- Robię to, ojcze. Gdy mówię, myślę o całym świecie. Wybieram to, co zostanie we mnie i to, co zostanie wypowiedziane. Biorę na siebie odpowiedzialność.

- Och, gdybym tylko mógł żyć tak długo, by zobaczyć kim jesteś! Ale jestem stary. Świat stał się urojeniem, które krąży wokół mej głowy i próbuje się przedostać do jej wnętrza. Wszystkie wejścia są już zablokowane.

- Postaraj się żyć jeszcze kilka dni dłużej, ojcze. Do święta Paschy. Z całej siły staraj się zatrzymać swoją ulatującą duszę, a zobaczysz. Jeszcze nie nadeszła godzina.

Rabin pokręcił głową.

- Kiedy nadejdzie ta godzina? - powiedział ze skargą w głosie. - Czyżby Bóg mnie oszukał? Co z jego obietnicą? Umieram, umieram, a gdzie jest Mesjasz? - Z całą siłą, jaka mu pozostała, chwycił Jezusa kurczowo za ramiona.

- Postaraj się dożyć do święta Paschy, ojcze. Zobaczysz, że Bóg dotrzymuje słowa! - Jezus wyswobodził się z uścisku starca i wyszedł na podwórze.

- Natanielu - powiedział - idźcie z Filipem na koniec wioski, do ostatniego domu. Znajdziecie tam oślicę i jej źrebię uwiązane do zasuw u drzwi. Odwiążcie ją i przyprowadźcie tutaj. Jeśli ktoś was zapyta, dokąd ją zabieracie, odpowiedzcie: "Nauczyciel jej potrzebuje, ale przyprowadzimy ją z powrotem."

- Napytamy sobie biedy - szepnął Nataniel do swego przyjaciela.

- Chodźmy - powiedział Filip. - Rób co ci każe, niech się dzieje co chce.

Mateusz z samego rana zabrał się do pisania, obserwował wszystko uważnie i słuchał każdego słowa. "Boże Izraela - pomyślał - wszystko przebiega dokładnie tak jak to przepowiadali prorocy, oświeceni Bożym światłem! - Co mówi prorok Zachariasz? »Raduj się, Córo Syjonu, wołaj radośnie, Córo Jeruzalem! Oto król twój idzie do ciebie, pokorny, jedzie na osiołku, chociaż jest zwycięzcą!«"

- Rabbi - powiedział Mateusz, aby poddać Mistrza próbie. - Musisz być zmęczony, bo nie chcesz iść do Jeruzalem pieszo.

- Nie, nie jestem zmęczony - odpowiedział Jezus. - Dlaczego pytasz? Dziś chcę tam pojechać.

- Powinieneś pojechać na białym koniu! - przerwał Piotr. - Jesteś królem Izraela, czyż nie tak? A więc musisz wjechać do swej stolicy na białym koniu.

Jezus spojrzał szybko na Judasza, ale nic nie odpowiedział. Tymczasem w drzwiach stanęła Magdalena. Miała podpuchnięte oczy od nie przespanej nocy. Oparta o framugę przyglądała się żarliwie Jezusowi, jakby zęgnęła się z nim na

zawsze. Chciała mu powiedzieć, żeby nie jechał, ale nie mogła wydobyć głosu z gardła. Mateusz widział, jak otwierała i zamykała usta, nie mogąc wykrztusić ani słowa, i zrozumiał. "To prorocy nie pozwalają jej mówić - pomyślał. - Nie pozwalają jej przeszkodzić Nauczycielowi w wykonaniu tego, co przepowiedzieli. On wsiądzie na osiołka i pojedzie do Jeruzalem bez względu na to, czego pragnie Magdalena, bez względu na to, czego sam pragnie. To wszystko jest zapisane!"

W tym momencie przybyli Filip i Nataniel, wesoło ciągnąc za sobą, na jednym postronku, oślicę wraz z jej nie osiodłanym źrebięciem.

- Było dokładnie tak jak powiedziałaś, Rabbi - zawołał Filip. - Teraz wsiadaj i ruszajmy.

Jezus odwrócił się, żeby spojrzeć na dom. Kobiety stały ze skrzyżowanymi rękami, smutne i milczące. Stara Salome i dwie siostry z Magdaleną na przedzie...

- Czy w domu jest bicz, Marto? - zapytał nagle Jezus.

- Nie, Rabbi - odpowiedziała Marta. - Jest tylko oścień do poganiania wołów należący do naszego brata.

- Daj mi go.

Uczniowie położyli swoje szaty na grzbiecie potulnego zwierzęcia, żeby zrobić miękkie siodło dla Nauczyciela; Magdalena zarzuciła na nie czerwony koc, który sama utkała, ozdobiony wzdłuż brzegów wzorem z małych, czarnych cyprysów.

- Jesteście wszyscy gotowi? - zapytał Jezus. - Wszyscy są dobrej myśli?

- Tak - odpowiedział Piotr, który szedł na przedzie, trzymając osła za lejce.

Mieszkańcy Betanii słyszeli procesję mijającą ich domy i otwierali drzwi.

- Dokąd to chłopcy? Dlaczego prorok jedzie dziś na osiołku?

Uczniowie pochyłali się ku nim i wyjawiali im w zaufaniu tajemnicę:

- Wyrusza dzisiaj, żeby zasiąść na swym tronie.

- Na jakim tronie, człowieku?

- Psst, to tajemnica. Człowiek, którego widzicie przed sobą, jest królem Izraela.

- Naprawdę? Chodźmy z nim! - wołały młode kobiety. Wokół nich gromadziło się coraz więcej ludzi.

Dzieci ścinały gałązki palmy i szły na przedzie, śpiewając wesoło:

- Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie!

Mężczyźni zdejmowali swoje płaszcze i ślali je przed nim na drodze. Jakże się spieszyli! Jakaż to była wiosna! Jak wysoko urosły kwiaty tego roku; jak śpiewały ptaki i jak leciały za procesją w stronę Jerozolimy!

Jakub nachylił się do swego brata.

- Nasza matka rozmawiała z nim wczoraj. Powiedziała mu, że powinien posadzić nas po swojej prawicy i lewicy, kiedy już zasiądzie na tronie chwały. Ale nic jej nie odpowiedział. Może się rozgniewał. Powiedziała, że twarz mu pociemniała.

- Słusznie się rozgniewał - odparł Jan. - Nie powinna tego robić.

- Dlaczego nie? Chciałbyś, żeby zostawił nas tak jak teraz jesteśmy i dał pierwszeństwo Judaszowi Iskariocie? Zauważyłeś, jak przez te wszystkie dni ci dwaj rozmawiali ze sobą ukradkiem? Byli prawie nierozłączni. Uważaj, Janie. Idź i sam z nim porozmawiaj, żebyśmy nie ponieśli straty. Nadeszła godzina, kiedy będą rozdzielane zaszczyty.

Jan pokręcił głową.

- Bracie mój - powiedział - spójrz, jaki on jest udręczony. Zupełnie, jakby jechał na śmierć.

"Ciekawe, co ma się teraz stać? - myślał Mateusz, maszerując samotnie za innymi uczniami. - Prorocy nie wyjaśniają tego zbyt dobrze. Niektórzy mówią tron, inni - śmierć. Które z tych dwóch proroctw dziś znajdzie swe wyjaśnienie? Nikt nie potrafi wytłumaczyć proroctwa przed jego wypełnieniem. Dopiero później rozumiemy, co prorok miał na myśli. A więc, bądźmy cierpliwi, poczekajmy i zobaczymy, co się wydarzy. Spiszemy to wszystko dziś wieczorem, po powrocie".

Do tego czasu radosna nowina dotarła już lotem błyskawicy do położonych w pobliżu wiosek i chat porozrzucanych wśród gajów oliwnych i winnic. Wieśniacy zbiegali się ze wszystkich stron i ślali swe płaszcze i chusty na drodze przed jadącym prorokiem. Wśród nich było także wiele kalek, chorych i nędzarzy odzianych w łachmany. Od czasu do czasu Jezus odwracał głowę i patrzył za siebie. Nagle poczuł ogromną samotność. Odwrócił się i zawołał:

- Judaszu! - ale stroniący od ludzi uczeń szedł na samym końcu i nie słyszał go.

- Judaszu! - zawołał ponownie Jezus z rozpaczą w głosie.

- Jestem! - odpowiedział rudobrody. Rozepchnął na boki innych uczniów, żeby przedostać się do przodu. - Czego chcesz, Rabbi?

- Zostań przy mnie, Judaszu. Dotrzymaj mi towarzystwa.

- Nie martw się, Rabbi, nie opuszczę cię. - Wziął postronek z rąk Piotra i wysunął się na czoło.

- Nie opuszczaj mnie, Judaszu, mój bracie - powiedział ponownie Jezus.

- Dlaczego miałbym cię opuścić, Rabbi? Czy nie zdecydowaliśmy już o

wszystkim?

W końcu zbliżyli się do Jerozolimy. Świąte miasto, lśniące białe w promieniach bezlitosnego słońca, wyrosło przed nimi na górze Syjon. Przechodzili przez maleńką wioskę, słysząc spokojną, słodką, ciepłą jak wiosenny deszcz pieśń żałobną, która płynęła z jednego końca na drugi.

- Kogo one oplakują? Kto umarł? - zapytał Jezus i wzdrygnął się. Ale wieśniacy, którzy biegli za nim roześmiali się.

- Nie martw się, Mistrzu. Nikt nie umarł. Dziewczęta z wioski śpiewają pieśń żałobną obracając żarna.

- Ale dlaczego?

- Dla wprawy, Mistrzu. Żeby umiały lamentować, gdy przyjdzie na to czas.

Wspięli się brukowaną drogą i weszli do żarłocznego miasta. Hałaśliwe, bogato odziane tłumy ze wszystkich gett żydowskich na świecie - każdy przynoszący własne zapachy i brud - ścisnęły się i całowały wzajemnie: pojutrze było nieśmiertelne święto i wszyscy Żydzi byli braćmi! Kiedy zobaczyli Jezusa siedzącego na skromnym osiołku i idący za nim tłum wymachujący gałązkami palmowymi, zaczęli się śmiać.

- A to co za jeden, u licha?

Kalecy, chorzy i oberwańcy unieśli w górę pięści i zawołali groźnie:

- Zaraz się przekonacie! To Jezus z Nazaretu, król żydowski!

Jezus zsiadł z osiołka i szybko wspiął się po schodach świątyni, przeskakując po dwa stopnie na raz. Dotarł do Portyku Salomona, zatrzymał się i rozejrzał wokół siebie. Ujrzał stojące kramy. Tysiące ludzi sprzedawały, kupowały, targowały się, spierały i krążyły zachwalając swoje towary: kupcy, ludzie zajmujący się wymianą pieniędzy, oberżyści, prostytutki. Jezusa ogarnął gniew. Podniósł w górę swój oścień i zaczął z rozmachem rozwalać każdy stragan z winem, kram z przekąskami i warsztat; wywracał stoły, uderzał handlarzy i krzychał:

- Precz! Precz stąd! Precz! - W jego sercu zaś rozległo się ciche, gorzkie błaganie: "Panie, Panie, to co postanowiłeś musi się stać, niech się stanie - ale szybko. Nie proszę cię o nic więcej. Szybko, teraz gdy jeszcze ciągle mam w sobie siłę".

Tłum ruszył za nim plądrując kramy i krzyząc te same słowa: - Precz stąd! Precz stąd!

Jezus zatrzymał się w królewskiej arkadzie, nad doliną Cedronu. Całe jego ciało parowało, długie, kruczoczarne włosy spływały mu na ramiona, a oczy miały płomień.



- Przyszedłem, aby podpalić świat! - oznajmił. - Jan wołał na pustyni: "Żałujcie za grzechy! Żałujcie! Nadchodzi dzień Pański!" A ja wam powiadam, nie macie już czasu, by żałować za grzechy. Dzień Pański już nadszedł. To ja jestem dniem Pańskim! Na pustyni Jan chrzczył wodą; ja chrzczę ogniem. Chrzczę ludzi, góry, miasta, łódzie. Widzę już, jak ogień ogarnia cztery strony świata, cztery części duszy - i raduję się. Nadszedł dzień Pański: mój dzień!

- Ogień! Ogień! - wrzasnął tłum. - Przyniesz ogień, spal świat!

Lewici chwycili za piki i miecze. Na ich czele stanął Jakub, brat Jezusa; na jego szyi wisiały amulety. Rzucili się, by pojmać Jezusa. Ale jego uczniowie zdobyli się na odwagę i jak jeden mąż ruszyli z głośnym rykiem, by włączyć się do walki.

Z wysokiej wieży pałacowej obserwowali ich ze śmiechem rzymscy wartownicy.

Piotr porwał z jednego z kramów zapaloną pochodnię.

- Za nami bracia - zawołał. - Ogień, chłopcy. Wybiła godzina!

Morze krwi popłynęłoby na Bożym dziedzińcu, gdyby z wieży pałacu Piłata nie zabrzmiały groźnie rzymskie trąby. Ze świątyni wyszedł arcykapłan Kajfasz i rozkazał lewitom zaprzestać walki. Osobiście i z wielką zręcznością przygotował pułapkę, w którą wpadnie zaraz ten buntownik - niezawodnie i bez hałasu.

Uczniowie otoczyli Jezusa i spoglądali na niego z niepokojem. Da znak, czy nie da? Na co czeka? Jak długo będzie czekał? Dlaczego zwleka i dlaczego, zamiast podnieść rękę, dając znak niebiosom, wpatruje się w ziemię? On wprawdzie nie potrzebuje się spieszyć, ale oni - oni są biedakami, którzy poświęcili dla niego wszystko i teraz nadszedł czas, by otrzymali swoją nagrodę.

- Zdecyduj, Rabbi! - powiedział Piotr, czerwony na twarzy i spocony. - Daj znak!

Jezus stał bez ruchu i zamknął oczy. Pot spływał mu kroplami po czole. "Twój dzień się zbliża, Panie - powtarzał w kółko sam do siebie - nadszedł koniec świata. Wiem, że stanie się to przeze mnie - przez moją śmierć".... Powtarzając to w kółko, odnalazł w sobie odwagę.

Jan także podszedł do niego. Potrząsnął nim za ramię, zmuszając do otwarcia oczu.

- Jeśli teraz nie dasz znaku - powiedział - to koniec z nami. To, co dzisiaj zrobiłeś, oznacza śmierć.

- To oznacza śmierć - włączył się Tomasz - a chcę ci powiedzieć, że my wcale nie chcemy umrzeć.

- Umrzeć! - zawołali Filip i Nataniel z przerażeniem. - Ależ my przybyliśmy tu żeby panować!

Jan pochylił się blisko do piersi Jezusa.

- O czym myślisz, Rabbi? - zapytał.

Lecz Jezus odepchnął go od siebie.

- Judaszu, podejdź tutaj, stań koło mnie - powiedział i wsparł się na silnym ramieniu rudobrodego.

- Odwagi, Rabbi - szepnął Judasz. - Nadeszła godzina; nie możemy dopuścić, by się za nas wstydzili.

Jakub patrzył na Judasza z nienawiścią. Przedtem Mistrz nawet się nie odwracał, by na niego spojrzeć, a teraz, co miała oznaczać ta przyjaźń i szeptanie na ucho?

- Ci dwaj coś knują. Co o tym sądzisz, Mateuszu?

- Ja nic nie sądzę. Słucham tego, co wy wszyscy mówicie i robicie, i zapisuję. Takie jest moje zadanie.

Jezus ścisnął ramię Judasza. Nagle zakręciło mu się w głowie. Judasz podtrzymał go.

- Jesteś zmęczony, Rabbi? - zapytał.

- Tak, jestem zmęczony.

- Pomyśl o Bogu, to cię pokrzepi - odpowiedział rudobrody.

Jezus odzyskał równowagę i zwrócił się do uczniów.

- Chodźcie, idziemy stąd - powiedział.

Uczniowie stali nadal bez ruchu. Nie chcieli odchodzić. Dokąd? Znowu do Betanii? Na jak długo? Mieli już dość tego chodzenia tam i z powrotem.

- On chyba z nas drwi - szepnął cicho Nataniel do swego przyjaciela. - Ja się stąd nie ruszam! - Z tymi słowami ruszył potulnie za resztą uczniów, którzy z ponurymi minami zaczęli iść z powrotem w kierunku Betanii.

Za ich plecami, lewicy i faryzeusze rechotali ze śmiechu. Młody, szpetny lewita, o wysuniętych do przodu ramionach, wystrzelił z procy skórkę cytryny, która trafiła Piotra prosto w twarz.

- Świetny strzał, Saulu! Trafiłeś w dziesiątkę! - Piotr już odwracał się, żeby skoczyć na lewite, ale Andrzej powstrzymał go.

- Cierpliwości, mój bracie - powiedział. - Jeszcze przyjdzie na nas kolej.

- Kiedy? Niech to krew zaleje, kiedy, Andrzej? - odburknął Piotr. - Nie widzisz

w co się wpakowaliśmy?

Upokorzeni i milczący wyruszyli w drogę. Podążający z tyłu tłum rozproszył się wśród przekleństw. Nikt nie szedł już za nimi, nikt nie kładł swej podartej odzieży na ziemi, by nauczyciel mógł po niej stąpać. Teraz Filip ciągnął osiołka, zaś Nataniel trzymał go z tyłu za ogon. Obaj spieszyli się, żeby oddać zwierzę właścicielowi i nie napytać sobie biedy. Słońce prażyło. Wiał ciepły wietrzyk i podnosił z drogi tumany duszącego kurzu. Niedaleko Betanii na ich drodze wyrósł nagle Barabasz wraz z dwoma dzikimi, wąsatymi kompanami.

- Dokąd to zabieracie swojego Mistrza? - zawołał. - Litości, toż on ledwo żyje ze strachu!

- Prowadzą go, żeby wskrzesił Łazarza! - odpowiedzieli kompani Barabasza parszkając rubasznym śmiechem.

Kiedy dotarli do Betanii i weszli do domu, stary rabin wydawał swoje ostatnie tchnienia. Kobiety klęczały wokół niego milcząco i bez ruchu, patrząc jak odchodzi. Wiedziały, że nie mogą nic zrobić, by przywrócić go do życia. Jezus zbliżył się i położył rękę na czole starca. Rabin uśmiechnął się, ale nie otworzył oczu.

Uczniowie przykucnęli na podwórzu; w ustach czuli smak goryczy. Nie odzywali się.

Jezus skinął głową do Judasza.

- Judaszu, mój bracie, nadeszła godzina. Czy jesteś gotowy?

- Pytam cię ponownie, Rabbi: dlaczego wybrałeś właśnie mnie?

- Wiesz, że jesteś najsilniejszy. Pozostali nie udźwignęliby tego ciężaru....

Rozmawiałeś z arcykapłanem Kajfaszem?

- Tak. Chce wiedzieć kiedy i gdzie.

- Powiedz mu, że w wigilię święta Paschy, po wieczerzy, w Getsemani. Postaraj się być dzielny, Judaszu, mój bracie. Ja też staram się taki być.

Judasz pokręcił głową i bez słowa wyszedł na drogę, aby zaczekać aż wzejdzie księżyc.

- Co się wydarzyło w Jeruzalem? - zapytała swoich synów stara Salome. - Co wam się stało, że tak milczycie?

- Myślę, matko, że zbudowaliśmy nasz dom na piasku - odpowiedział Jakub. - Ponieśliśmy wielką szkodę!

- A Nauczyciel, a chwała, a jedwabie przetykane złotem, a trony?... Czy mógł tak mnie oszukać? - Starsza pani spojrzała na swoich synów i klasnęła w dłonie, ale

obaj milczeli.

Księżyc wynurzył się zza gór Moabu w smutnej pełni. Zawahał się, zatrzymał na chwilę na grzbiecie gór, spojrział na świat, a potem nagle podjął decyzję, oderwał się od szczytów górskich i zaczął wznosić do góry. Ciemna wioska Łazarza zalśniła jasnym światłem, jakby nagle została pobielona.

O brzasku uczniowie stłoczyli się wokół Nauczyciela. Nie odzywał się; patrzył po kolei na każdego z nich, jakby widział ich po raz pierwszy albo ostatni. Około południa przemówił.

- Przyjaciele, pragnę obchodzić z wami świętą Paschę. W taki dzień jak dzisiejszy nasi przodkowie wyruszyli w drogę, pozostawili za sobą ziemię niewoli i wkroczyli w wolność pustyni. My także, po raz pierwszy w czasie tegorocznej Paschy, wyjdziemy z innej niewoli i wkroczymy do innej wolności. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha.

Nikt się nie odezwał. Jego słowa były niejasne. Co oznaczała nowa niewola, co oznaczała nowa wolność? Nie rozumieli tego. Po kilku chwilach Piotr powiedział:

- Jednej rzeczy nie rozumiem, Rabbi. Nie można obchodzić Paschy bez baranka. Gdzie znajdziemy baranka?

Jezus uśmiechnął się gorzko.

- Baranek jest gotowy, Piotrze. Właśnie w tej chwili sam idzie na rzeź, aby ubodzy tego świata mogli obchodzić nową Paschę. Dlatego nie martw się o baranka.

Łazarz, który siedział cicho w kącie, wstał, położył swoją kościstą jak u szkieletu rękę na swej piersi i powiedział:

- Rabbi, zawdzięczam ci życie, i choć jest tak marne, i tak lepsze to od mroków Hadesu. Dlatego przyniosę ci w darze paschalnego baranka. Mam przyjaciela, który jest pasterzem na górze. Bywajcie, idę do niego.

Uczniowie spojrzeli nań ze zdziwieniem. Gdzie ten żywy trup znalazł siłę, by wstać i ruszyć w kierunku drzwi? Dwie siostry rzuciły się na niego, aby go zatrzymać, ale on odepchnął je na bok, wziął laskę do podpierania i przekroczył próg.

Szedł przez wioskę. Drzwi mijanych przez niego domów otwierały się z ciekawością, ukazując przestraszone, osłupiałe kobiety, które dziwiły się, że jego wrzecionowate golenie mogą chodzić, że on sam, powykrzywiany w pasie, nie złamie się w pół! Chociaż odczuwał ból, nabrał otuchy i co kilka kroków usiłował zagwizdać, żeby pokazać, ile ma w sobie wigoru. Ale jego wargi nie miały dość sił. Zaniechał więc dalszych prób i zaczął, z poważną miną, wspinać się po zboczach góry w kierunku

owczarni swego przyjaciela.

Nie oddalił się nawet na odległość rzutu kamieniem, gdy zza kwitnącego janowca wyskoczył Barabasz i stanął przed nim. Ile to już dni wałęsał się po wiosce, czekając na chwilę, kiedy ten przeklęty, wskrzeszony z martwych człowiek wychyli nos ze swego domu! Nie można dopuścić, by ludzie widzieli go stale i przypominali sobie o cudzie. Syn Marii na pewno zyskał sobie wielu od dnia, gdy wskrzesił Łazarza i dlatego trzeba wysłać tego trupa z powrotem do grobu i pozbyć się go raz na zawsze.

- Ty przeklęty dezercerze z piekła - wrzasnął na niego Barabasz - jak miło cię znowu spotkać! Odpowiedz, na Boga, dobrze się bawiłeś tam, na dole? Co jest lepsze, życie czy śmierć?

- Pół na pół - odpowiedział Łazarz. Próbował go minąć, ale Barabasz wyciągnął rękę i zagroził mu drogę.

- Przepraszam cię, drogi duchu - powiedział - ale zbliża się święto Paschy, a ja nie mam baranka, więc dziś rano przysięgłem Bogu, że zamiast baranka zabiję pierwszą żywą istotę, jaką przypadkiem spotkam na tej drodze, abym i ja mógł obchodzić Paschę. Masz więc szczęście. Nadstaw szyję, zaraz zostaniesz złożony Bogu w ofierze.

Łazarz zaczął krzyżeć. Barabasz chwycił go za gardło, ale natychmiast ogarnął go strach. Chwycił coś miękkiego jak puch bawełny. Nie - nawet bardziej miękkiego - jak powietrze. Jego paznokcie zagłębiły się w gardło Łazarza, lecz gdy je wyciągnął, nie trysnęła ani jedna kropla krwi. "Może on jest duchem"? - pomyślał Barabasz, a jego ospowata twarz pobladła.

- Czujesz ból? - zapytał.

- Nie - odparł Łazarz i wysliznąwszy się z uchwytu Barabasza próbował uciec.

- Stój! - warknął Barabasz, chwytając go teraz za włosy. Ale włosy oderwały się wraz ze skórą głowy i tylko one pozostały w ręku Barabasza. Czaszka Łazarza lśniła teraz w słońcu żółtawobiałym blaskiem.

- Niech cię diabli wezmą! - mruknął Barabasz i zadrżał. - Jesteś duchem, czy co?

Chwycił Łazarza za prawe ramię i szarpnął nim gwałtownie.

- Powiedz, że jesteś duchem, to cię puszcze.

Ale szarpnięte ramię odpadło nagle i zostało mu w ręce. Ogarnęło go przerażenie. Rzucił rozkładającą się rękę w kwitnący krzak janowca i splunął, czując mdłości. Był tak przerażony, że włosy zjeżyły mu się na głowie. Chwycił nóż. Chciał jak

najszybciej skończyć z Łazarzem. Złapał go ostrożnie za kark, oparł jego szyję o kamień i zaczął podrywać mu gardło. Ciął i ciął, ale nóż nie chciał się zagłębić. Zupełnie, jakby próbował przeciąć kłęb wełny. Barabasz poczuł, jak krew lodowacieje mu w żyłach. "Czyżbym zarzynał trupa?" - zapytał sam siebie. Chciał już uciec ze wzgórza, ale zobaczył, że Łazarz rusza się jeszcze. Ten jego przeklęty przyjaciel mógł go znaleźć i znów wskrzesić! Pokonując strach, złapał ciało za nogi i za głowę, i tak jak wykręca się mokrą odzież przed powieszeniem na sznurku, skrzył i złamał je z trzaskiem. Kręgosłup Łazarza pękł, a on sam rozpadł się na dwie połowy. Barabasz ukrył ciało pod krzakiem janowca, a potem oddalił się biegiem. Biegł co tchu. Po raz pierwszy w życiu odczuwał strach. Nie odważył się spojrzeć za siebie.

- Ach - mruknął - żebym tylko zdążył dotrzeć do Jeruzalem i znaleźć Jakuba. On da mi talizman, który wypędzi demona!

Tymczasem w domu Łazarza Jezus pochylał się nad uczniami, usiłując oświecić nieco ich umysły, aby to co mieli ujrzeć, nie skłoniło ich od razu do ucieczki.

- Ja jestem drogą - powiedział im - a także domem, do którego człowiek zdąża. Jestem też przewodnikiem, a także tym, na spotkanie kogo człowiek wyrusza. Musicie mi wszyscy ufać. Nieważne co zobaczycie, nie lękajcie się, bo ja nie mogę umrzeć. Słyszycie - nie mogę umrzeć.

Judasz pozostał zupełnie sam na podwórzu. Dużym palcem u nogi wygrzebywał z ziemi kamyki, Jezus często odwracał się, by na niego spojrzeć; na jego twarzy pojawił się wyraz nieopisanego smutku.

- Rabbi - powiedział Jan ze skargą w głosie - dlaczego zawsze wołasz go, by był blisko ciebie? Jeśli zajrzysz w źrenice jego oczu, zobaczysz nóż.

- Nie, umiłowany Janie - odpowiedział Jezus - nie nóż - krzyż.

Uczniowie spojrzeli po sobie z niepokojem.

- Krzyż! - wykrzyknął Jan i przypadł do piersi Jezusa. - Rabbi, kto jest krzyżowany?

- Ktokolwiek nachyli się nad tymi oczami i zajrzy w nie, zobaczy swoją twarz.

Uczniowie nie zrozumieli. Kilku z nich roześmiało się.

- Dobrze, że nam o tym powiedziałaś, Rabbi - warknął Tomasz. - Jeśli o mnie chodzi, to dopóki żyję nie spojrzę rudobrodemu w oczy!

- Zrobią to twoje dzieci i wnuki, Tomaszu - powiedział Jezus. Spojrzał przez okno na Judasza, który teraz stał na stopniach wiodących do drzwi wejściowych i patrzył w stronę Jerozolimy.

- Twoje słowa są niejasne, Rabbi - powiedział ze skargą w głosie Mateusz. - Jak mam je zapisywać w swojej księdze? - Przez cały ten czas trzymał pióro uniesione do góry, gdyż nie mógł niczego zrozumieć i zapisać.

- Nie mówię po to, żebyś zapisywał moje słowa, Mateuszu - odpowiedział z goryczą Jezus. - Słusznie nazywają was, urzędników, kogutami: myślicie, że słońce nie wszędzie, jeśli wy nie zapiejecie. Mam ochotę zabrać ci pióro i notatki i wrzucić je w ogień!

Mateusz szybko zebrał swoje zapiski i wycofał się.

Gniew Jezusa nie słabł.

- Mówię coś, a ty zapisujesz coś innego. A ci, którzy cię czytają, rozumieją jeszcze coś innego! Ja mówię: krzyż, śmierć, królestwo niebieskie, Bóg... a wy co rozumiecie? Każdy z was przywiązuje własne cierpienia, interesy i pragnienia do każdego z tych świętych słów, a moje słowa znikają, moja dusza ginie. Nie zniosę już tego dłużej!

Wstał, było mu duszno. Nagle poczuł, że jego umysł i serce są wypełnione piaskiem.

Uczniowie skulili się ze strachu. Mieli wrażenie, że Nauczyciel nadal trzyma w ręku oścień do poganiania wołów i kłuje ich nim, jakby byli leniwymi wołami, które nie chciały ruszyć z miejsca. Świat to wóz, do którego byli zaprzężeni; Jezus pogał ich, a oni stękali pod ciężarem jarzma, ale nie ruszali się z miejsca. Patrząc na nich, Jezus czuł, że traci całą swoją siłę. Droga z ziemi do nieba była długa, a oni stali bez ruchu.

- Jak długo będę jeszcze pośród was? - zawołał. - Ci, którzy skrywają w sobie doniosłe pytanie, niech pytają bez zwłoki. Ci, którzy mają dla mnie dobre słowo, niech wypowiedzą je szybko: dobrze mi zrobi. Nie chcę, żebyście potem, gdy mnie już nie będzie, narzekali, że nie wykorzystaliście okazji, by mi powiedzieć dobre słowo, że nigdy nie uświadomiliście mi, jak bardzo mnie kochacie. Wtedy będzie już o wiele za późno.

Kobiety słuchały. Siedziały stłoczone w kącie, z podbródkami wciśniętymi między kolana. Od czasu do czasu wzdychały. Rozumiały wszystko, ale nie mogły nic powiedzieć. Nagle Magdalena krzyknęła. Ona pierwsza doznała złego przeczucia i wybuchnęła w duszy żalobnym lamentem. Zerwała się na równe nogi i poszła do pokoju położonego w głębi domu. Szukając pod poduszką znalazła kryształowy flakon, który przyniosła ze sobą. Flakon był pełen arabskich wonności, które dostała od

jednego ze swych dawnych kochanków jako zapłatę za jedną noc. Gdy chodziła za Jezusem, zawsze nosiła go ze sobą, łudząc się: "Bóg jest wielki, kto wie, może nadejdzie taki dzień kiedy namaszcę włosy mego ukochanego tymi cennymi wonnościami. Może nadejdzie dzień, kiedy on zapragnie stanąć obok mnie na ślubnym kobiercu". Takie były ukryte pragnienia jej serca; ale teraz za plecami swego ukochanego zobaczyła śmierć - nie Erosa, śmierć. Ona także, podobnie jak małżeństwo, wymagała wonności. Wyjęła kryształowy flakon spod poduszki, przycisnęła go do swego łona i zaczęła płakać. Tuląc flakon do piersi, kołysała go jak dziecko i płakała cicho, żeby nikt jej nie usłyszał. Potem otarła oczy, wyszła i upadła Jezusowi do nóg. Zanim zdołał się schylić, żeby ją podnieść, rozbiła flakon i wonna mirra spłynęła na święte stopy. Potem, płacząc, rozpuściła włosy i wytarła namaszczone wonnościami stopy. Resztą wonności namaściła głowę ukochanego. Zaraz potem upadła ponownie do stóp Jezusa i zaczęła je całować. Uczniowie oburzyli się.

- To wstyd marnować tyle drogich wonności - powiedział handlarz Tomasz. - Gdybyśmy je sprzedali, moglibyśmy nakarmić wielu ubogich.

- Albo wyposażyć sieroty - zasugerował Nataniel.

- Albo kupić owce - podsunął Filip.

- To zły znak - mruknął Jan i westchnął. - Takimi wonnościami namaszcza się ciała zmarłych bogaczy. Nie powinnaś tego robić, Mario. Jeśli Charon poczuje swój ukochany zapach i przybędzie...

Jezus uśmiechnął się.

- Ubogich zawsze będziecie mieli u siebie - powiedział - ale mnie nie zawsze mieć będziecie. Dlatego to nie ma znaczenia czy zmarnowano dla mnie flakon wonności. Niekiedy nawet Marnotrawstwo wspina się do nieba i siada obok swej szlachetnie urodzonej siostry Szlachetności. A ty, umiłowany Janie, nie bądź przygnębiony. Śmierć zawsze przychodzi. Lepiej, żeby przyszła wtedy, gdy włosy są namaszczone wonnościami.

Cały dom pachniał teraz jak wnętrze bogatego grobowca. Pojawił się Judasz i spojrzał na Jezusa. Czy to możliwe, by zdradził uczniom ich tajemnicę? Czyżby namaszczała ciało umierającego pogrzebową mirrą?

Ale Jezus uśmiechnął się.

- Judaszu, mój bracie - powiedział - jaskółka lata szybciej w powietrzu niż jeleń biega po ziemi; a od jaskółki szybszy jest umysł człowieka; zaś od umysłu człowieka



szybsze jest serce kobiety.

Gdy to powiedział, wskazał wzrokiem na Magdalenę.

Piotr odezwał się:

- Powiedzieliśmy wiele, ale zapomnieliśmy o najważniejszym. Rabbi, gdzie w Jeruzalem będziemy spożywać Paschę? Proponuję, żebyśmy poszli to tawerny Szymona z Cyreny.

- Bóg zaplanował to inaczej - rzekł Jezus. - Wstań, Piotrze. Weź ze sobą Jana i idźcie do Jeruzalem. Zobaczycie tam człowieka z dzbanem na ramieniu. Idźcie za nim. Wejdzie do domu. Wejdźcie i wy także i powiedzcie właścicielowi: "Nasz Mistrz przesyła ci pozdrowienia i pyta: »Czy przygotowałeś stoły, abym mógł spożyć wieczerzę paschalną z moimi uczniami?«" A on odpowie: "Pozdrowienia dla waszego Mistrza. Wszystko jest przygotowane. Czekamy na niego".

Uczniowie gapili się na siebie nawzajem szeroko otwartymi z podziwu oczami, jak dzieci.

- Mówisz poważnie, Rabbi - zapytał Piotr, wybałuszając oczy. - Wszystko gotowe? Baranek, szpikulec, wino - wszystko?

- Wszystko - odpowiedział Jezus. - Idźcie. Miejcie ufność. My siedzimy tu i rozmawiamy, ale Bóg nie siedzi i nie rozmawia. On pracuje dla ludzi.

W tym momencie usłyszeli słabe rżenie dobiegające z tylnej części domu.

Wszyscy odwrócili się zawstydzeni. Zupełnie zapomnieli o starym, konającym rabinie! Magdalena pobiegła przodem, a za nią trzy pozostałe kobiety. Uczniowie stanęli przy krawędzi łóżka. Jezus ponownie położył dłoń na lodowatych ustach starca. Konający otworzył oczy, zobaczył go i uśmiechnął się. Potem poruszył ręką, dając znak kobietom i mężczyznom, by wyszli. Kiedy zostali sami, Jezus pochylił się i ucałował usta, oczy i czoło starca. Starzec spojrział mu w oczy, jego twarz była rozpromieniona.

- Znowu widziałem całą trójkę - Eliasza, Mojżesza i ciebie. Teraz jestem pewien.... Odchodzę!

- Niech cię Bóg błogosławi, ojcie. Czy jesteś zadowolony?

- Tak. Pozwól mi ucałować twoją dłoń.

Pochwycił rękę Jezusa i na dłuższą chwilę przycisnął do niej swoje lodowate usta. Patrzył nań w uniesieniu, milcząco, pożegnalnym wzrokiem. Po chwili odezwał się znowu:

- A kiedy ty przybędziesz - tam, na górę?

- Jutro, w święto Paschy. Zobaczymy się, ojcze!

Stary rabin skrzyżował ręce.

- Uwolnij teraz sługę swego, o Panie! - wyszeptał. - Ujrzałem mojego Zbawcę!

## ROZDZIAŁ XXVIII

Olśniewająco czerwone słońce zawisło nad horyzontem, rzucając ostatnie promienie na ziemię. Na drugim krańcu nieba, na wschodzie, pojawiła się już błękitnobiała poświata. Wielki i niemy księżyc paschalny miał wkrótce wzejść. Resztki światła dziennego wciąż jeszcze rozjaśniały wnętrze domu, z ukosa padając na szczupłą twarz Jezusa; znacząc czoła, nosy i ręce uczniów; pieszcząc twarz starego rabina, spokojną, szczęśliwą i teraz już nieśmiertelną. Maria siedziała przy krosnach. Była pogrążona w głębokim cieniu i nikt nie widział łez, które powoli spływały jej po policzkach i brodzie na wpół utkane płótno. W domu roznosiła się ciągle woń mirry ściekającej z palców Jezusa.

Gdy tak siedzieli w milczeniu, coraz bardziej obawiając się nadchodzącej nocy, nagle do chaty wpadła jaskółka, niczym miecz przebijający okno zatoczyła trzy kręgi nad ich głowami, spojrzała na nich radośnie i poleciała dalej, jak błyskawica, w kierunku słońca. Ledwie mieli czas dostrzec biały brzuch ptaka i wąskie skrzydła.

Jezus podniósł się, jak gdyby to właśnie był ów tajemniczy znak, na który czekał.

- Nadszedł czas - powiedział.

Rozejrzał się wokół, zatrzymując tęskny wzrok na palenisku, narzędziach, naczyniach, lampie, dzbanie na wodę i krosnach. Potem spojrzał na cztery kobiety: starą Salome, Martę, Magdalenę i tkającą Marię. W końcu utkwił spojrzenie w siwym starcu, który rozpoczął życie wieczne.

- Żegnajcie - rzekł i pomachał ręką.

Żadna z młodych kobiet nie potrafiła mu odpowiedzieć. Tylko stara Salome rzekła:

- Nie patrz na nas w ten sposób, moje dziecko. Nie odchodzisz przecież na zawsze.

- Żegnajcie - powtórzył Jezus. Podeszedł do kobiet i położył rękę najpierw na głowie Magdaleny, a później Marty. Maria podniosła się i zbliżyła do niego. Ona również pochyliła głowę. Kobiety miały wrażenie, że Jezus je błogosławi i obejmuje, jak gdyby miał zamiar zabrać je ze sobą do wieczności. Nastrój prysnął, kiedy wszystkie trzy nagle zaczęły śpiewać pieśń żałobną.

Wyszli na podwórko. Mistrz pierwszy, za nim uczniowie. Żywopłot tuż nad

studnią był pełen kwitnącego wiciokrzewu. Jego zapach, teraz gdy było już ciemno, unosił się wszędzie. Jezus wyciągnął rękę, urwał jeden kwiat i wsunął go do ust. "Boże, daj mi siłę - modlił się w głębi serca - daj mi siłę, abym zdołał utrzymać ten kwiatek między zębami przez całą mękę ukrzyżowania i nie zgryzł go"!

Przy furtce zatrzymał się jeszcze raz, podniósł rękę i powiedział donośnym głosem:

- Żegnajcie, kobiety!

Żadna z nich nie odpowiedziała; tylko płacz roznosił się po podwórzu.

Jezus ruszył wraz z uczniami drogą do Jerozolimy. Zza gór Moabu wynurzyła się okrągła tarcza księżyca. Słońce schowało się za góry Judei. Przez chwilę te dwa wielkie, niebieskie klejnoty zawisły naprzeciw siebie. Potem jeden uniósł się, a drugi opadł.

Jezus przywołał skinieniem głowy Judasza. Musiała ich łączyć jakaś tajemnica, ponieważ mówili cicho. Czasami Jezus opuszczał głowę, innym razem Judasz. Każdy z nich zastanawiał się długo, jakich słów użyć w odpowiedzi, jak gdyby każde słowo było grudką złota.

- Przykro mi, Judaszu - powiedział Jezus. - Ale to konieczne.

- Pytałem cię już wcześniej, Rabbi, czy nie ma innej drogi?

- Nie, mój bracie. Ja również wołałbym inne wyjście, również miałem nadzieję, że znajdę je i czekałem aż do tej chwili - na próżno. Nie ma innej drogi. Nadszedł koniec świata. Ta ziemia, to królestwo szatana, zostanie zniszczone, a po nim przyjdzie królestwo niebieskie. Ja je sprowadzę. Jak? Poprzez moją śmierć. Nie ma innej drogi. Nie drzyj, Judaszu. Po trzech dniach wstanę z martwych.

- Mówisz to, aby mnie pocieszyć i popchnąć do zdrady. Mówisz, że jestem twardy, mówisz to, żeby dać mi siłę. Nie, im bliżej będziemy tej strasznej chwili... nie, Rabbi, nie wytrzymam!

- Wytrzymasz, Judaszu. Bóg da ci tyle siły, ile będziesz potrzebował. Tak musi być: ja muszę zostać ukrzyżowany, a ty musisz mnie zdradzić. Razem musimy zbawić świat. Pomóż mi!

Judasz kiwnął głową. Po chwili zapytał:

- Gdybyś ty musiał zdradzić swego pana, zrobiłbyś to?

Jezus długo się zastanawiał. W końcu rzekł:

- Nie, chyba nie potrafiłbym. Dlatego Bóg ulitował się nade mną i dał mi łatwiejsze zadanie: śmierć na krzyżu.

Nauczyciel ujął Judasza pod ramię i dodał cicho, kusząco:

- Nie opuszczaj mnie. Pomóż mi. Czyż nie rozmawiałeś z najwyższym kapłanem, Kajfaszem. Czyż niewolnicy świątyni, którzy mają mnie pojmać, nie są już uzbrojeni? Wszystko przebiega tak, jak zaplanowaliśmy, Judaszu. Dlatego dziś wieczorem, kiedy będziemy obchodzić święto Paschy, dam ci znak, a ty wstaniesz i sprowadzisz ich. Potem będą tylko trzy smutne dni - one miną jak błyskawica - a trzeciego dnia będziemy wszyscy tańczyć i radować się z mojego zmartwychwstania!

- Czy inni będą wiedzieli? - spytał Judasz i wskazał kciukiem na uczniów idących za nimi.

- Powiem im dziś wieczorem. Nie chcę, aby stawiali opór, kiedy żołnierze i lewicy przyjdą po mnie.

Judasz wyduł pogardliwie usta.

- Oni mieliby stawiać opór? Nie znasz ich, Rabbi? Przecież jeden gorszy od drugiego.

Jezus opuścił głowę i nic nie odpowiedział.

Księżyc rozkwitł w pełni nad ziemią. Namaścił kamienie, drzewa i ludzi. Na drogę padały ciemnoniebieskie cienie. Uczniowie, zbici w ciasną grupę, rozmawiali i przekomarzali się ze sobą. Jedni, z myślą o wieczerzy paschalnej, lizali kawałki mięsa, inni mówili ze skupieniem o przeszywających serce słowach Jezusa. Tomasz przypomniał wszystkim o biednym, starym rabinie:

- On zaznał już wiecznego spokoju. Teraz nasza kolej.

- A co, my też umrzemy? - zapytał zaskoczony Nataniel. - Przecież było powiedziane, że zmierzamy do nieśmiertelności?

- Tak, ale najpierw musimy przejść przez śmierć - wyjaśnił mu Piotr.

Nataniel potrząsnął głową i rzekł:

- To nie jest dobra droga do nieśmiertelności. Zapamiętajcie moje słowa: piekło to nic przyjemnego.

Przed nimi zamajaczyła oświetlona bladym światłem księżyca Jerozolima, biała i przezroczysta, niczym duch. Domy wydawały się unosić nad ziemią, oddzielone od niej. Coraz głośniejsz rozbrzmiewały odgłosy zabijania zwierząt, wymieszane z psalmami, które śpiewali ludzie.

Piotr i Jan czekali przy wschodniej bramie. Ich twarze błyszczały w świetle księżyca. Zbliżyli się z radością do Jezusa i uczniów, aby ich powitać.

- Wszystko stało się tak jak powiedziałeś, Rabbi. Stoły są przygotowane.

Wieczera gotowa.

- A jeśli chcecie wiedzieć co z gospodarzem - ze śmiechem dodał Jan - przygotował wszystko, a potem zniknął.

Jezus również uśmiechnął się i rzekł:

- To dopiero gościnność - gospodarz znika przed gośćmi.

Wszyscy przyśpieszyli kroku. Ulice były zatłoczone, oświetlone latarniami i ozdobione mirtą. Zza zamkniętych drzwi dochodził triumfalnie psalm paschalny:

*“Gdy Izrael wychodził z Egiptu,  
dom Jakuba - od ludu obcego,  
przybytkiem jego stał się Juda,  
Izrael jego królestwem.  
Ujrzało morze i uciekło,  
Jordan bieg swój odwrócił,  
Góry skakały jak barany,  
pagórki-niby jagnięta.  
Cóż ci jest, morze, że uciekasz?  
Czemu, Jordanie, bieg swój odwracasz?  
Góry, czemu skaczecie jak barany,  
pagórki - niby jagnięta?  
Zadrżnij, ziemio, przed obliczem Pana całej ziemi,  
przed obliczem Boga Jakubowego,  
który zmienia opokę w oazę,  
a skalę w krynicę wody”.*

Kiedy uczniowie szli ulicami, im również udzielił się świąteczny nastrój i zaczęli śpiewać psalm paschalny. Piotr i Jan prowadzili całą grupę. Wszyscy, z wyjątkiem Jezusa i Judasza, zapomnieli o troskach i obawach i szybko maszerowali ku zastawionym stołom.

Piotr i Jan zatrzymali się, otworzyli drzwi oznaczone odciskiem palca w krwi jagnięcia i weszli do środka, a za nimi Jezus i procesja głodnych uczniów. Przeszli przez podwórko i po kamiennych schodach wspięli się na piętro. Stoły były zastawione. Siedmioramienny świecznik oświetlał jagnię, wino, przaśny chleb, przystawki, a nawet laski, które mieli trzymać w rękach podczas jedzenia, jak gdyby

mieli wyruszyć w długą drogę.

- Cieszymy się, że możemy cię poznać! - powiedział Jezus. Uniósł rękę i pobłogosławił niewidzialnego gospodarza.

Uczniowie roześmiali się.

- Kogo witasz, Rabbi?

- Niewidzialnego - odparł Jezus i spojrzał na nich surowo. Obwiązał się dużym ręcznikiem, wziął miskę z wodą i ukląkł, aby obmyć uczniom stopy.

- Rabbi, nigdy nie pozwolę, abyś umył mi stopy - krzyknął Piotr.

- Piotrze, jeśli nie umyję twoich stóp, nie przyłączysz się do mnie w królestwie niebieskim.

- W takim razie, Rabbi, umyj mi nie tylko stopy, ale także ręce i głowę.

Usiedli wokół stołów. Choć umierali z głodu, nikt nie ważył się wyciągnąć ręki po jedzenie. Twarz Nauczyciela była ściągnięta, a usta pełne goryczy. Po kolei spojrzał na uczniów: na Piotra po prawej stronie, Jana po lewej, potem na pozostałych, aż w końcu na swojego ponurego współnika z rudą brodą, który siedział z nachmurzoną twarzą naprzeciwko.

- Przede wszystkim - rzekł Jezus - musimy napić się słonej wody, aby upamiętnić łzy, które nasi ojcowie wylali w domu niewoli.

Wziął dzban ze słoną wodą i zaczął nalewać uczniom: Judaszowi do pełna, a pozostałym po kilka kropel. Na końcu nalał sobie pełen kielich.

- Obyśmy pamiętali o łzach, bólu i udręce w imię wolności! - powiedział i jednym haustem opróżnił kielich.

Pozostali uczniowie wypili słoną wodę, krzywiąc się z niesmakiem. Judasz, podobnie jak Jezus, opróżnił kielich jednym haustem. Pokazał puste naczynie Mistrzowi i obrócił je do góry dnem. Nie pozostała w nim ani jedna kropla.

- Jesteś dzielnym wojownikiem, Judaszu - powiedział z uśmiechem Jezus. - Możesz przełknąć najgorszą gorycz.

Wziął przaśny chleb i połamał go na części. Potem podzielił jagnię między uczniów; każdy z nich sięgnął po gorzkie zioła nakazane przez Prawo: laur, cząber i oregano, po czym polali mięso czerwonym sosem na pamiątkę czerwonych cegieł, które ich przodkowie wytwarzali w czasach niewoli. Jedli w pośpiechu, jak nakazuje Prawo, z laskami w dłoniach, z jedną stopą podniesioną do góry i gotową do podróży.

Jezus nie jadł - patrzył tylko na biesiadujących uczniów. W rękę także dzierżył laskę, a prawą stopę trzymał w pogotowiu do wielkiej podróży. Wszyscy milczeli.

Słysząc było jedynie przeżuwanie jedzenia, brzęk kielichów, mlaskanie języków. Przez okienko w dachu zajrzał do izby księżyc. Połowa stołów była jasno oświetlona, a połowa tonęła w purpurowej ciemności.

Po dłuższej chwili milczenia Jezus przemówił:

- Pascha, moi drodzy, wierni towarzysze podróży, znaczy przejście z ciemności w światłość, z niewoli w wolność. Lecz ta Pascha, którą dziś obchodzimy znaczy więcej. Dzisiejsza Pascha oznacza przejście od śmierci do życia wiecznego. Ja idę pierwszy, aby przetrzeć dla was drogę.

Piotr wzdrygnął się.

- Rabbi - rzekł. - Znów mówisz o śmierci i znów twoje słowa są jak nóż o dwóch ostrzach. Jeśli coś nam zagraża, powiedz to jasno. Jesteśmy przecież mężczyznami.

- To prawda, Rabbi - zgodził się Jan. - Twoje słowa są bardziej gorzkie niż te zioła. Zmiłuj się, przemów do nas jaśniej.

Jezus wziął nietknięty chleb, połamał go na drobne kęsy i rozdał uczniom.

- Biercie i jedzcie - powiedział. - To jest ciało moje.

Wziął także kielich pełen wina i podał uczniom, aby każdy napił się z niego.

- Biercie i pijcie - rzekł. - To jest krew moja.

Uczniowie zjedli po kawałku chleba i wypili po łyku wina. Natychmiast zakreśliło im się w głowach. Wino było gęste i słone jak krew. Chleb rozpałił ich wnętrzności niczym rozżarzony węgiel. Nagle poczuli z przerażeniem, jak Jezus zapuszcza w nich korzenie i pożera ich wnętrzności. Piotr oparł rękę na łokciu i zaczął płakać.

Jan pochylił się do Jezusa, składając głowę na jego piersi.

- Chcesz odejść, Rabbi, chcesz od nas odejść... - powtórzył, jak w obłędzie, nie będąc w stanie wykrztusić z siebie więcej.

- Nigdzie nie pójdziesz! - wrzasnął Andrzej.

- Kiedyś powiedziałeś nam, że ten, który nie ma miecza, niech sprzeda swój płaszcz, aby kupić miecz. Sprzedamy nasze płaszcze i uzbroimy się. I niech ktoś ośmieli się ciebie tknąć!

- Wszyscy mnie opuście - powiedział bez skargi w głosie Jezus. - Wszyscy.

- Ja nigdy cię nie opuszczę! - krzyknął Piotr, wycierając łzy.

- Piotrze, Piotrze, zanim kur zapieje, zaprzecz się mnie trzy razy.

- Ja? Ja? - ryknął Piotr, waląc się w piersi. - Ja się ciebie zaprę? Będę z tobą aż do śmierci!



- Aż do śmierci! - krzyknęli uczniowie i powstali oszołomieni.

- Usiądźcie - nakazał łagodnie Jezus. - Godzina jeszcze nie wybiła. Muszę wam powierzyć wielką tajemnicę. Otwórzcie swe umysły, otwórzcie swe serca i nie lękajcie się.

- Mów, Rabbi - szepnął Jan. Serce mu drżało jak liść na wietrze.

- Najedliście się już? Nie jesteście głodni? Czy ciało jest już nasycone i pozwoli wreszcie duszy słuchać w spokoju?

Wszyscy wpatrywali się z drżeniem w Jezusa.

- Żegnajcie, moi ukochani towarzysze - powiedział. - Odchodzę!

Wszyscy rzucili się nań krzykiem i chwycili za szaty, żeby nie mógł wyjść. Wielu płakało. Jezus zwrócił się spokojnie do Mateusza:

- Mateuszu, ty znasz Pismo na pamięć. Wstań i głośno powiedz im, co mówi prorok Izajasz. Pamiętasz te słowa: "Wyrósł w oczach Pana jak małe, kruche drzewo..."

Uradowany Mateusz wstał z miejsca. Był chudy jak wiór, wiecznie zgarbiony, miał krzywe nogi i stale poplamione palce. Teraz jednak wyprostował się z godnością. Jego policzki nabrały kolorów, a szyja nabrzmiała. Słowa proroka zadźwięczały gorzko w wysoko sklepionej izbie:

*On wyrósł przed nami jak młode drzewo  
i jakby korzeń z wyschniętej ziemi.  
Nie miał On wdzięku ani też blasku,  
aby na Niego popatrzeć,  
ani wyglądu, by się nam podobał.  
Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi,  
Mąż boleści, oswojony z cierpieniem,  
jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa,  
wzgardzony tak, iż mieliśmy go za nic.  
Lecz On się obarczył naszym cierpieniem,  
On dźwigał nasze boleści,  
a myśmy Go za skazańca uznali,  
chłostanego przez Boga i zdeptanego.  
Lecz On był przebity za nasze grzechy,  
zdruzgotany za nasze winy.*

*Spadła nań chłosta zbawienna dla nas,  
a w jego ranach jest nasze zdrowie.*

*(...)*

*Dręczono Go, lecz sam dał się gnębić,  
nawet nie otworzył ust swoich.*

*Jak baranek na rzeź prowadzony...*

- Wystarczy - powiedział Jezus i westchnął.

Zwrócił się do uczniów:

- To ja. Prorok Izajasz mówi o mnie - ja jestem barankiem, którego prowadzą na rzeź i to ja nawet nie otworzę ust... - przerwał na chwilę, a potem dodał: - Prowadzą mnie na rzeź od samego narodzenia.

Zaskoczeni uczniowie wpatrywali się w niego z otwartymi ustami, usiłując zrozumieć, co im powiedział. Nagle wszyscy jednocześnie ukryli twarze w dłoniach i zaczęli śpiewać pieśń żałobną.

Na ułamek sekundy nawet Jezusa opuściła odwaga. Jakże mógł opuścić tych lamentujących ludzi? Podniósł wzrok i spojrzał na Judasza. Jego stalowe oczy patrzyły nań od dłuższego czasu. Judasz przeczuwał, co dzieje się w umyśle Mistrza i jak łatwo miłość może osłabić jego siłę. Przez chwilę mocowali się wzrokiem: - z jednej strony spojrzenie twarde i bezlitosne, z drugiej - pełne bólu i błagania. Trwało to tylko chwilę; Jezus potrząsnął głową, posłał Judaszowi gorzki uśmiech i jeszcze raz zwrócił się do uczniów:

- Dlaczego płaczecie? Dlaczego boicie się śmierci? Ze wszystkich archaniołów Bożych ona jest najlitościwsza. Ona najbardziej ukochała człowieka. Muszę zostać ukrzyżowany i umrzeć męczeńską śmiercią. Muszę zstąpić do piekieł. Ale trzeciego dnia odrzucę kamień mojego grobowca, wstąpię do nieba i usiądę po prawicy Ojca.

- A więc znów nas opuścisz? - krzyknął Jan płacząc. - Zabierz nas do piekła i nieba ze sobą, Rabbi!

- Wasze zadanie na ziemi jest tak samo trudne, Janie. Musicie zostać tutaj i pracować. Musicie walczyć, kochać i czekać na mój powrót!

Jakub pogodził się już ze śmiercią Mistrza i rozmyślał o tym, co zrobią, kiedy zostaną na ziemi bez niego.

- Nie możemy się sprzeciwić woli Bożej, ani woli naszego Mistrza. Jak mówią prorocy, twoim obowiązkiem, Rabbi, jest umrzeć, naszym żyć. Żyć, aby słowa, które

wypowiedziałeś nie zostały zapomniane. Spiszemy je w Nowym Piśmie Świętym, ustanowimy nasze prawa, zbudujemy nasze synagogi i wybierzemy naszych najwyższych kapłanów, uczonych w piśmie i faryzeuszy.

Jezus był przerażony.

- Ukrzyżujecie wówczas Ducha, Jakubie - krzyknął. - Nie chcę tego!

- Tylko w ten sposób Duch nie zaniknie - odparł Jakub.

- Lecz nie będzie już wolny. Nie będzie już Duchem!

- To nie ma znaczenia. Będzie wyglądał na Ducha. To wystarczy, Rabbi, dla naszych potrzeb.

Jezus oblał się zimnym potem. Spojrzał na uczniów. Nikt się nie sprzeciwił.

Piotr z podziwem patrzył na syna Zebedeusza. Ten to potrafi myśleć! Odziedziczył tę błyskotliwość po ojcu, rybaku. A teraz patrzcie go - lepiej od Mistrza wie, jak zaprowadzić nowy porządek!

Zrozpaczony Jezus uniósł ręce. Zdawał się prosić niebo o pomoc.

- Ześlę wam Pocieszyciela, ducha prawdy. On was poprowadzi.

- Ześlij nam szybko Pocieszyciela - krzyknął Jan. - Żebyśmy nie zblądzili, żebyśmy mogli cię znów odnaleźć, Rabbi!

Jakub uparcie potrząsał głową.

- Ten duch prawdy, o którym mówisz, również będzie ukrzyżowany. Musisz sobie zdać sprawę, Rabbi, że ten duch będzie ukrzyżowany tak długo, jak długo istnieją ludzie na ziemi. Lecz to nie ma znaczenia. Zawsze coś zostaje, a to, mówię ci, wystarczy nam.

- Ale mnie nie wystarczy! - krzyknął w rozpacz Jezus.

Jakub poczuł się zakłopotany, kiedy usłyszał ten bolesny krzyk. Zbliżył się i ujął Mistrza za rękę.

- Tak, tobie nie wystarczy, Rabbi - rzekł. - Dlatego ty zostaniesz ukrzyżowany. Przebacz mi, że się sprzeciwiam.

Jezus położył rękę na głowie upartego Jakuba.

- Jeśli Bóg tak chce, niech Duch będzie ukrzyżowany na tej ziemi po wsze czasy i niech krzyż będzie błogosławiony. Dźwigajmy go z miłością, cierpliwością i wiarą. Pewnego dnia zamieni się w skrzydła.

Uczniowie milczeli. Księżyc stał wysoko na niebie. Jego pogrzebowe światło rozlało się na stołach. Jezus skrzyżował ręce.

- Wykonałem już swoją pracę - rzekł. - Zrobiłem, co miałem do zrobienia.

Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Myślę, że wypełniłem moje zadanie. Teraz odpocznę.

Kiwnął na Judasza, który podniósł się, poprawił pas i chwycił krzywą laskę. Jezus pomachał mu ręką, jak gdyby na pożegnanie.

- Dzisiaj w nocy - powiedział - będziemy się modlić w gaju oliwnym Getsemani. Judaszu, mój bracie, idź już z Bożym błogosławieństwem. Bóg z tobą!

Judasz otworzył usta. Chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Drzwi były otwarte. Wyszedł szybko i słychać było stąpanie jego ciężkich stóp na kamiennych schodach. Piotr poczuł się nieswojo.

- Dokąd on idzie? - spytał. Wstał, aby pójść za Judaszem, ale Jezus powstrzymał go.

- Piotrze, koło Boże zaczęło się toczyć. Nie stawaj na jego drodze.

Podniósł się wiatr. Zamigotały płomyki na siedmioramiennym świeczniku. Nagle silny podmuch zgasił je. Izbę oświetlał tylko księżyc.

Nataniel przestraszył się. Pochylił się do przyjaciela i powiedział:

- To nie był wiatr, Filipie. Ktoś wszedł. Mój Boże! Myślisz, że to był Charon?

- Nawet jeśli on, to co z tego? - odparł pasterz. - Nie nas szuka - klepnął w plecy przyjaciela, który wciąż nie odzyskał jeszcze równowagi.

- Wielkie sztormy są dla wielkich statków - dodał Filip. - Dzięki Bogu, my jesteśmy łupinkami orzecha.

Światło księżycowe pochłaniało twarz Jezusa. Nie zostało z niej nic poza dwoma węgielkami oczu. Jan był przestraszony. Ostrożnie przyłożył rękę do twarzy Nauczyciela, aby sprawdzić, czy jest jeszcze na swoim miejscu.

- Rabbi - szepnął. - Gdzie jesteś?

- Jeszcze nie odszedłem, drogi Janie - odpowiedział Jezus. - Przez chwilę byłem nieobecny, rozmyślałem o tym, co kiedyś pewien asceta powiedział mi na świętej górze Karmel:

- "Tarzałem się w ułudzie pięciu zmysłów, jak świnia.

- I jak uniknąłeś zguby, ojcze? - zapytałem go. - Czy było ci ciężko?

- Wcale nie - odparł. - Pewnego ranka zobaczyłem kwitnące drzewo migdałowe i w ten sposób uratowałem się".

- Kwitnące drzewo migdałowe, drogi Janie - tak przed chwilą objawiła mi się śmierć.

Podniósł się i rzekł:

- Chodźmy. Wybiła godzina - wyszedł pierwszy, za nim pogrążeni w myślach uczniowie.

- Odejdźmy od niego - szepnął do przyjaciela Nataniel. - Przeczuwam kłopoty.

- Też o tym myślałem - odparł Filip. - Weźmy z sobą Tomasza.

Szukali w świetle księżyca Tomasza, ale on zniknął już w alejkach. Zostali sami na końcu pochodu. Kiedy reszta doszła do doliny Cedronu, przystanęli, a potem zaczęli uciekać, co sił w nogach.

Jezus wszedł z pozostałymi uczniami do Cedronu, wspiął się na przeciwległe zbocze i znalazł ścieżkę, która prowadziła do gaju oliwnego Getsemani. Ileż to razy przez całą noc mówił wśród tych starych drzew oliwkowych o miłosierdziu Bożym i ludzkiej niegodziwości!

Zatrzymali się. Uczniowie byli śpiący po obfitej uczcie. Usunęli z ziemi kamienie i przygotowali sobie legowiska.

- Trzech brakuje - powiedział Mistrz, rozglądając się wokół. - Co się z nimi stało?

- Opuścili nas - odparł rozgniewany Andrzej.

Jezus uśmiechnął się i rzekł:

- Nie potępiaj ich, Andrzej. Zobaczysz, że pewnego dnia cała trójka powróci, a każdy z nich będzie miał na głowie cierniową koronę, najbardziej królewską z koron i do tego taką, która nie zwiędnie!

Powiedziawszy to, oparł się o drzewo; nagle odczuł wielkie zmęczenie. Uczniowie położyli się na ziemi. Wielkie kamienie posłużyły im za poduszki.

- Chodź, Rabbi, połóż się z nami - zachęcał, ziewając, Piotr. - Andrzej będzie czuwał.

Jezus oderwał ciało od drzewa.

- Piotrze, Jakubie i Janie - powiedział rozkazująco. - Chodźcie ze mną! - Jego głos był przepełniony bólem.

Piotr udawał, że nie słyszy. Wyciągnął się na ziemi i ziewnął raz jeszcze, ale synowie Zebedeusza chwycili go za ręce i podnieśli.

- Idziemy - powiedzieli. - Nie wstyd ci?

Piotr podszedł do brata i powiedział:

- Nie wiadomo, co się wydarzy, Andrzej. Daj mi swój nóż.

Jezus szedł na czele. Zostawili drzewa oliwkowe za sobą i wkroczyli na otwarty teren. Przed nimi bieliła się w świetle księżyca Jerozolima. Niebo było bezgwiazdne i

mleczne. Księżyc, który wcześniej tak pośpiesznie wschodził, teraz, osiągnąwszy pełnię, zawisł majestatycznie na środku nieba.

- Ojciec - szepnął Jezus. - Ojciec, któryś jest w niebie, Ojciec, któryś jest na ziemi - świat, który stworzyłeś jest piękny i dostrzegamy to piękno. Lecz piękny jest również świat, którego nie dałeś nam zobaczyć. Przebac mi, Ojciec, ale nie wiem, który z nich piękniejszy.

Pochylił się, wziął trochę ziemi w dłoń i powąchał ją. Zapach wniknął mu głęboko w płuca. W pobliżu musiała rosnąć pistacja. Ziemia pachniała żywicą i miodem. Roztarł grudkę na policzku, szyi i ustach.

- Co za zapach! - szepnął. - Co za ciepło! Co za braterstwo!

Zaczął płakać. Trzymał ziemię w ręku, nie chcąc się z nią rozstać.

- Razem - rzekł cicho. - Razem umrzemy, siostrze. Nie mam nikogo innego.

Piotr nie mógł już ustać ze zmęczenia na nogach.

- Jestem wyczerpany - powiedział. - Dokąd on nas prowadzi? Nie idę dalej. Kładę się tutaj i koniec.

Zaczął już rozglądać się za jakimś wygodnym miejscem, kiedy zobaczył, że Jezus powoli zbliża się do nich. Natychmiast odzyskał siły i wysforował przed synów Zebedeusza, aby go powitać.

- Już prawie północ, Rabbi - powiedział. - Tu jest dobre miejsce na spoczynek.

- Moje dzieci - rzekł Jezus. - Czuję śmiertelny smutek. Wracajcie i połóżcie się pod drzewami, a ja zostanę tutaj, aby się pomodlić. Lecz błagam was, nie śpijcie. Czuwajcie i módlcie się razem ze mną. Pomóżcie mi, dzieci, pomóżcie mi wytrwać w tej trudnej godzinie.

Zwrócił twarz ku Jerozolimie.

- Idźcie już. Zostawcie mnie samego.

Uczniowie odeszli na odległość rzutu kamieniem i rzucili się na ziemię pod drzewami oliwkowymi. Jezus upadł twarzą na trawę. Nie mógł oderwać umysłu, serca i ust od ziemi - jakby jego ciało stopiło się z ziemią w jedną całość.

- Ojciec - szepnął. - Jest mi dobrze tutaj - proch przy prochu. Zostaw mnie tu, Ojciec. Gorzki, bardzo gorzki jest kielich, który mi podałeś do wypicia. Nie mam siły. Jeśli to możliwe, Ojciec, odsuń go od moich ust.

Zamilkł, nasłuchując. Może w ciemności rozlegnie się głos Ojca. Zamknął oczy. Kto wie, Bóg jest dobry, więc może Ojciec pojawi się, uśmiechnie ze współczuciem i skinie do niego. Czekał, drżąc na całym ciele. Nic nie słyszał, nic nie widział. Był sam.

Rozejrzał się wokół z przestrachem i poszedł do swoich uczniów, aby się uspokoić. Wszyscy trzej spali. Obudził nogą Piotra, potem Jana, na końcu Jakuba.

- Nie wstyd wam? - zapytał ich gorzko. - Nie możecie powstrzymać się od snu choć przez moment, aby się ze mną pomodlić?

- Rabbi - odrzekł Piotr. Był tak senny, że nie mógł otworzyć oczu. - Dusza jest chętna, ale ciało słabe. Wybacz nam.

Jezus wrócił na otwarty teren i uklęknął na kamieniach.

- Ojcze! - krzyknął. - Gorzki, bardzo gorzki jest kielich, który mi podałeś do wypicia. Odsuń go od moich ust.

Gdy wypowiedział te słowa, w świetle księżyca zobaczył opadającego anioła o bladym, surowym obliczu. Skrzydła miał z poświęty księżycowej, a w rękach trzymał srebrny kielich. Jezus ukrył twarz w dłoniach i upadł na ziemię.

- Czy to jest twoja odpowiedź, Ojcze? Czy nie znasz litości?

Czekał przez chwilę. Stopniowo rozsuwał palce, aby zobaczyć, czy anioł wciąż unosi się nad nim. Niebiański gość był jeszcze niżej, a kielich dotykał ust Jezusa. Krzyknął, wyrzucił ramiona w powietrze i upadł na wznak na ziemię.

Kiedy doszedł do siebie, księżyc przesunął się odrobinę, a anioł znikł w jego świetle. W oddali, na drodze z Jerozolimy, zobaczył rozrzucone, ruszające się światełka - najwyraźniej zapalone pochodnie. Szły w jego kierunku? A może oddalali się od niego? Raz jeszcze zawładnął nim strach, jeszcze raz zapragnął zobaczyć ludzi, usłyszeć ludzkie głosy, dotknąć rąk, które kochał. Pobiegł poszukać swoich trzech towarzyszy.

Cała trójka była znów pogrążona we śnie. Ich pogodne twarze oblewało światło księżyca. Jan oparł głowę na ramieniu Piotra, Piotr na piersi Jakuba, a Jakub złożył swą czarnowłosą głowę na kamieniu i rozrzucił szeroko ramiona, jak gdyby obejmował nimi niebo. Poprzez kruczoczną brodę i wąsy prześwitywały widoczne w rozchylonych ustach olśniewająco białe zęby. Musiał mieć przyjemny sen, bo uśmiechał się bezwiednie. Jezus zlitował się nad uczniami i nie obudził ich tym razem. Wycofał się na palcach na otwartą przestrzeń. Raz jeszcze padł na twarz i zapłakał.

- Ojcze - rzekł cicho, tak cicho, jak gdyby chciał, żeby Bóg go nie usłyszał. - Ojcze, niech się spełni Twoja wola, a nie moja. Twoja, Ojcze.

Podniósł się i znów spojrzał ku Jerozolimie. Światła znacznie się przybliżyły. Widział drgające cienie oraz błysk zbroi.

- Nadchodzą... nadchodzą - szepnął i kolana się pod nim ugięły. W tym samym momencie przyfrunął słowik, usiadł na gałązce młodego cyprysu i zaśpiewał. Wielki księżyc, wiosenne wonie, ciepła, wilgotna noc oszołomiły go. W ptaku był Wszzechmogący Bóg, ten sam Bóg, który stworzył niebo i ziemię, i dusze ludzi. Jezus uniósł głowę i słuchał. Czy ten Bóg, który kocha ziemię i małe ptaki, naprawdę mógł być Bogiem ludzi? Nagle, w odpowiedzi na zaproszenie ptaka, inny słowik wzleciał z głębi jego duszy i zaczął śpiewać o wiecznym cierpieniu i radości - Bogu, miłości, nadziei...

Śpiewał i śpiewał, a Jezus drżał. Nie wiedział, że były w nim takie bogactwa, tyle rozkosznych, ukrytych radości i grzechów. Jego wnętrze rozkwitło. Słowik zaplątał się w kwitnące gałązki i nie mógł, a może nie chciał już odfrunąć. Dokąd? Dlaczego? Ta ziemia była rajem... Lecz gdy Jezus, idąc za podwójną pieśnią, wszedł ze swym ciałem do raju, w pobliżu rozbrzmiały chrapliwe głosy i pojawiły się zbroje. Wydawało mu się, że wśród blasku i dymu płonących pochodni rozróżnił sylwetkę Judasza: dwa silne ramiona, które go niegdyś podtrzymały i ruda broda, która kłuła go w twarz. Krzyknął i na chwilę stracił przytomność - albo tak mu się przynajmniej zdawało. Ocknął się, gdy poczuł na swoich ustach oddech Judasza i usłyszał chrapliwy, rozpaczliwy głos:

- Witaj, Rabbi.

Księżyc prawie dotykał już białoniebieskich gór Judei. Podniósł się wilgotny, chłodny wiatr. Paznokcie i usta Jezusa posiniały. Jerozolima była ślepa i biała w oddali.

Jezus odwrócił się i spojrzał na żołnierzy i lewitów.

- Witam wysłanników mego Boga! - rzekł. - Chodźmy zatem!

Nagle powstał zgiełk i Jezus zauważył, jak Piotr wyciąga miecz i tnie jednego z lewitów, ucinając mu ucho.

- Schowaj miecz, Piotrze - rozkazał. - Jeśli na pchnięcie będziemy odpowiadali pchnięciem, to kiedy świat stanie się wolny od miecza?



## ROZDZIAŁ XXIX

Pojmali Jezusa. Urągając mu, powlekli go po kamieniach przez kępy cyprysów i drzew oliwnych do doliny Cedronu, do Jerozolimy i w końcu do pałacu Kajfasza, gdzie zebrała się już Rada i oczekiwała na buntownika.

Było zimno. Słudzy ogrzewali się przy ogniskach, które rozpalili na dziedzińcu. Ze środka co rusz wypadał jakiś lewita, przynosząc najnowsze wieści. Dowodów winy Jezusa było dość, żeby włosy stanęły dęba: ten nędznik, na którym ciążyła klątwa boska, wypowiedział takie-a-takie bluźnierstwa o Bogu Izraela, takie-a-takie o Prawie Izraela i powiedział, że zrówna z ziemią świątynię!

Piotr, zgięty w pół, wślizgnął się na dziedziniec. Stał z pochyłą głową, wyciągając ręce do ognia i rozgrzewał je, słuchając z drżeniem, przynoszonych wieści.

Przechodząca w pobliżu służąca przystanąła na jego widok.

- Ejże, starcze - powiedziała - dlaczego to kryjesz się przed nami? Podnieś głowę, żebyśmy mogli ci się przyjrzeć. Wyglądasz mi na jednego z nich.

Kilku lewitów usłyszało jej słowa i podeszło bliżej.

Piotr bał się. Podniósł rękę:

- Przysięgam, że nie znam tego człowieka - powiedział, przesuwając się w stronę drzwi.

Przez dziedziniec szła inna służąca i widząc, że Piotr kieruje się do wyjścia, wyciągnęła rękę.

- Ejże, starcze, dokąd to? Byłeś z nim, widziałam cię!

- Nie znam tego człowieka - zawołał Piotr raz jeszcze. Odpychając służącą na bok, szedł dalej w stronę wyjścia. Ale przy drzwiach zatrzymali go dwaj lewici. Schwytali go za ramiona i potrzęsneli nim mocno.

- Twoja mowa cię zdradza - zawołali. - Jesteś Galilejczykiem, jednym z jego uczniów!

Słyszając to, Piotr zaczął się zaklinać i wołać:

- Nie znam tego człowieka!

W tym momencie zapiał kogut na dziedzińcu. Piotr jęknął głośno. Przypomniawszy sobie słowa Mistrza: "Piotrze, Piotrze, zanim kur zapieje, zaprzecz się mnie trzy razy." Wyszedł na ulicę, padł na ziemię i wybuchnął płaczem.

Świtało. Niebo miało krwistoczerwoną barwę.

Z pałacu wybiegł blady lewita, wołając:

- Najwyższy kapłan rozdziera szaty. Jak myślicie, co ten przestępca teraz powiedział? "Jestem Chrystusem, Synem Bożym!" Wszyscy starsi aż podskoczyli. Rwą teraz szaty i krzyczą: "Śmierć! Śmierć!"

Pojawił się kolejny lewita.

- Teraz chcą go zabrać do Piłata. Tylko on ma prawo go zabić. Zróbcie dla nich przejście. Już nadchodzą!

Drzwi otworzyły się i na dziedziniec wyszła starszyzna Izraela. Przodem kroczył wolno najwyższy kapłan Kajfasz, wstrząśnięty do żywego. Za nim cała rzesza bród, chytrych, kaprawych oczu, bezzębnych ust i oszczerczych języków - starszyzna. Tłum kipiał z wściekłości. Za nimi szedł Jezus, spokojny i smutny. Krew kapłała mu ze świeżej rany na głowie.

Dziedziniec wypełniły gwizdy, śmiech i przekleństwa. Piotr podskoczył i oparł się o framugę drzwi prowadzących na ulicę. Z jego oczu płynęły łzy.

- Piotrze, Piotrze - jęczał - tchórze, kłamco, zdrajco! Wstań i zawołaj: "Jestem z nim!", nawet gdyby mieli cię zabić. - Krzyczał do swojej umartwionej duszy, ale jego drżące ciało dalej opierało się o drzwi. W progu Jezus potknął się i potoczył do przodu. Wyciągnął dłoń, aby się czegoś przytrzymać i natrafił na ramię Piotra. Ten zamarł, wstrzymując oddech. Czuł, jak ręka Mistrza wpija się w jego ciało, nie pozwalając mu odejść. Panował wciąż niebieskawy półmrok i Jezus nie odwrócił się, żeby zobaczyć kto posłużył mu za oparcie. Odzyskał równowagę i ruszył w stronę pałacowej wieży, otoczony przez żołnierzy i starszyznę.

Piłat obudził się, umył i natarłszy ciało wonnymi olejkami, krążył niespokojnie po solarium na szczycie wieży. Nigdy nie lubił święta Paschy. Żydzi, upojeni swoim Bogiem, tracili rozum i wdawali się wtedy w bójki z rzymskimi żołnierzami. W tym roku mogła wydarzyć się kolejna masakra, a to nie leżało bynajmniej w interesie Rzymu. Na domiar złego, Piłat miał tym razem jeszcze jedno zmartwienie. Hebrajczycy chcieli za wszelką cenę ukrzyżować tego biednego Nazarejczyka, tego obłąkanego... Co za naród!

Piłat zacisnął pięści. Poczł przemożne pragnienie, aby uratować tego półgłówka - nie dlatego, że był niewinny ("niewinny" - a cóż to właściwie znaczyło?), ani dlatego, że było mu go żal (jeszcze tego brakowało, by zaczął litować się nad Żydami), ale po to, by rozgniewać ten nikczemny naród hebrajski.

Usłyszał wrzawę pod oknami wieży. Wychylił się i ujrzał, że dziedziniec jest wypełniony Żydami. Ci obłąkańcy tłoczyli się też w krużgankach świątyni. Uzbrojeni

w kije i proce, szturchali, kopali i opluwali Jezusa, którego rzymska straż prowadziła w stronę ogromnego wejścia do wieży.

Piłat odszedł od okna i usiadł na swoim grubo ciosanym tronie. Drzwi otworzyły się i dwóch potężnych Murzynów wepchnęło do środka Jezusa. Miał porwane w strzępy ubranie i twarz umazaną krwią, ale kiedy podniósł do góry głowę, jego oczy jaśniały dziwnym, nieludzkim spokojem.

Piłat uśmiechnął się.

- Znów cię widzę przed sobą, Jezusie z Nazaretu, królu Żydów. Wygląda na to, że chcę cię zabić.

Jezus spojrzał przez okno na niebo. Jego umysł i ciało już odeszły. Milczał. Piłat poczuł gniew.

- Zapomnij o niebie - wrzasnął. - Patrz lepiej na mnie! Nie wiesz, że mam władzę, aby cię uwolnić albo ukrzyżować?

- Nie masz nade mną żadnej władzy - odparł spokojnie Jezus. - Jedyne Bóg ją ma.

W dole rozlegały się obłąkane wrzaski:

- Śmierć! Śmierć!

- Dlaczego są tacy rozjuszeni? - zapytał Piłat. - Coś ty im takiego uczynił?

- Oznajmiłem im prawdę - odpowiedział Jezus.

Piłat uśmiechnął się.

- Jaką prawdę? Co to znaczy "prawda"?

Serce Jezusa ścisnęło się ze smutku. Taki był ten świat, tacy byli jego władcy. Pytali, czym jest prawda i śmiali się.

Piłat stanął w oknie. Przypomniawszy sobie, że zaledwie dzień wcześniej jego żołnierze pojмали Barabasza za morderstwo Łazarza. Było przyjętym zwyczajem, że w dzień Paschy wypuszczano jednego więźnia.

- Kogo chcecie, abym uwolnił? - zawołał. - Jezusa, króla Żydów, czy Barabasza, mordercę?

- Barabasza! Barabasza! - ryknął tłum.

Piłat zawołał strażę i wskazał na Jezusa:

- Wychłostać go - rozkazał - założyć mu na głowę cierniową koronę, ubrać w purpurę i dać mu do ręki trzcinę jako berło. On jest królem - a więc ubierzcie go po królewsku.

Zaplanował sobie, że pokaże go ludziom w tym oplakanyim stanie, w nadziei, że

się nad nim zlitują.

Strażnicy zabrali go, przywiązali do kolumny i zaczęli okładać i opluwać. Upletli dla niego koronę z cierni i wcisnęli mu ją na głowę. Z jego czoła i skroni trysnęła krew. Na grzbiet zarzucili mu purpurową opończę, w dłoń wcisnęli długą trzcinę i zaprowadzili go z powrotem przed oblicze Piłata. Rzymianin nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Witaj, Wasza Królewska Mość! - powiedział. - Chodź, pozwól mi pokazać cię twoim poddanym.

Ujął go za rękę i wyszli na taras.

- Patrzcie na niego! - zawołał.

- Ukrzyżować go! Ukrzyżować go! - zaczął wrzeszczeć tłum. Piłat zażądał, aby mu przyniesiono miednicę i dzbanek z wodą. Pochylił się i obmył ręce na oczach tłumu.

- Umywam i płuczę ręce - powiedział. - To nie ja przeleję jego krew. Ja jestem niewinny. Niech ten grzech spadnie na wasze głowy!

- Jego krew na nasze głowy i głowy naszych dzieci! - zawołali ludzie.

- Brać go - rozkazał Piłat. - I nie zwracajcie mi więcej głowy.

Strażnicy zabrali Jezusa, włożyli mu na plecy krzyż i wśród razów, kopniaków i splunień powiedli w stronę Golgoty. Krzyż był ciężki. Jezus zataczał się i rozglądał na boki. Może ujrzy któregoś z uczniów, który zlituje się nad nim? Wypatrywał na próżno. Nikogo. Westchnął.

- Niech będzie błogosławiona śmierć - wyszeptał. - Chwała Najwyższemu!

Tymczasem uczniowie, którzy zaszyli się w karczmie Szymona Cyrenejczyka, czekali, aż skończy się egzekucja i zapadnie noc, żeby wymknąć się ukradkiem z miasta. Przykucnęli za beczkami i łowili trwożnie odgłosy wydawane przez radosne tłumy, które przewalały się ulicą. Całe miasto - mężczyźni i kobiety - wyruszyło w kierunku Golgoty. Ludzie byli zadowoleni, trwało przecież wspaniałe święto Paschy - zjedli więcej niż do syta mięsa, wypili więcej niż dosyć wina, a teraz dla rozrywki mieli jeszcze obejrzyć ukrzyżowanie.

Uczniowie nasłuchiwali z drzeniem odgłosów dobiegających z ulicy. Od czasu do czasu słyhać było szlochanie Jana. Co jakiś czas Andrzej wstawał i wygrażając chodził tam i z powrotem po karczmie. Piotr przeklinał samego siebie za to, że był tchórzem i nie miał odwagi biec razem z ludźmi po śmierć u boku swego Mistrza. Ileż razy mu przysięgał: "Z tobą, Rabbi, na śmierć!" A teraz, gdy śmierć nadeszła, on

chowa się za beczkami.

Jakub był wściekły.

- Janie - powiedział - przestań beczeć - jesteś mężczyzną. A ty, Andrzeju, przestań kręcić wąsa. Usiądź. Usiądźcie wszyscy. Zdecydujemy się na coś. Założmy, że on jest naprawdę Mesjaszem. Jak pokażemy mu się na oczy, jeśli zmartwychwstanie za trzy dni? Czy zastanowiliście się nad tym? Co mówisz, Piotrze?

- Jeśli on jest Mesjaszem, to już po nas - tyle wam powiem - oznajmił ponuro Piotr. - Mówiłem wam już, że zaparłem się go trzy razy.

- Ale jeżeli on nie jest Mesjaszem, to też po nas - powiedział Jakub. - Jak myślisz Natanielu?

- Myślę, że powinniśmy się stąd wydostać. Jest Mesjaszem, czy nie - i tak już po nas.

- Mamy zostawić go tak, bez pomocy? Jak wasze serca mogą znieść coś takiego? - zapytał Andrzej, rzucając się w stronę drzwi.

Piotr złapał go za tunikę.

- Siadajże, bo ci przyłożę. Zastanówmy się nad innym rozwiązaniem.

- Hipokryci! faryzeusze! - syknął Tomasz. - Jakie rozwiązanie? Powiedzmy to sobie wprost: zawarliśmy kontrakt, utopiliśmy cały nasz kapitał. Tak: to był interes! Co się tak na mnie patrzycie - tak właśnie zrobiliśmy - zawarliśmy umowę. Ty mnie, ja tobie. Ja dałem swoje towary: grzebienie, szpulki z nićmi, lusterka - w zamian za królestwo niebieskie. Wszyscy zrobiliśmy to samo. Jeden oddał łódź, drugi owce, trzeci spokój duszy. I teraz wszystko to poszło w diabły. Zbankrutowaliśmy; nasz kapitał przepadł z kretesem. Uważajcie, żebyśmy nie musieli jeszcze dopłacić do tego interesu naszym życiem. Cóż więc ja radzę? Ratować się, póki czas!

- Tak jest! - zawołali Piotr i Nataniel. - Ratujmy się póki czas!

Piotr odwrócił się z niepokojem w stronę Mateusza, który siedział na uboczu i słuchał tego wszystkiego z zapartym tchem, z ręką przy uchu.

- Na miłość boską, Mateuszu - powiedział Piotr. - Nie zapisuj tego wszystkiego. Udawaj głuchego. Nie ośmieszaj nas na całą wieczność!

- Nie lękaj się, wiem, co robię - powiedział Mateusz. - Widzę i słyszę wiele, ale wybieram słowa... Powiem wam tylko dla waszego własnego dobra: Podejmijcie szlachetną decyzję, pokażcie, jacy jesteście mężni, żebym mógł o tym napisać, a będą was za to czcić. Jesteście apostołami, a to nie byle co!

W tym momencie drzwi do karczmy otworzyły się z hukiem i do środka wszedł

Szymon Cyrenejczyk. Miał podarte ubranie, zakrwawioną twarz i pierś, podbite prawe oko. Klnąc i złorzecząc, zrzucił z siebie podarte łachmany, zanurzył głowę w wodzie, której używał do płukania szklanic, złapał ręcznik i wytarł nim pierś i plecy, nie przestając złorzeczyć i spluwać. Potem przywarł ustami do kurka jednej z beczek i zaczął pić. Gdy usłyszał, że za beczkami coś się rusza, przerwał i zajrzał za nie. Na widok skulonych obok siebie uczniów wpadł w szal.

- Precz z moich oczu, kundle! - wrzasnął na nich. - To tak stoicie u boku swojego Wodza?! Uciekacie z pola walki, co? Zawszeni Galilejczycy, zawszeni Samarytanie, zawszone bydlaki!

- Bóg świadkiem, że nasze dusze są ochocze - zaczął niepewnie Piotr - ale ciała...

- Zamknijcie się, do licha! Kiedy dusza jest ochocza, ciało nie ma nic do gadania. Wszystko staje się duszą, nawet pałka w ręce, opończa na grzbiecie, kamienie, po których się stąpa - wszystko, wszystko! Spójrzcie, tchórze, spójrzcie na mnie: cały posiniaczony, ubranie w strzępach, podbite oczy. I dlaczego? - niech was diabeł porwie, plugawi uczniowie! - bo stanąłem w obronie waszego Mistrza. Ja walczyłem z całym tłumem - ja, ja, karczmarz, zawszony Cyrenejczyk! A, dlaczego to zrobiłem? Może niby uwierzyłem, że jest Mesjaszem i jutro zrobi ze mnie wielkiego pana? Nic z tych rzeczy! Z szacunku dla samego siebie i wcale tego nie żałuję!

Chodził tam i z powrotem, potykając się o stołki, plując i klnąc. Mateusz siedział jak na szpilkach. Za wszelką cenę chciał wiedzieć, co wydarzyło się w pałacu Kajfasza, co u Piłata, co powiedział Nauczyciel, a co krzyczeli ludzie, aby zapisać to wszystko w swojej księdze.

- Jeżeli wierzysz w Boga, Szymonie, bracie - powiedział - uspokój się i opowiedz nam, co się stało: jak, kiedy i gdzie, i czy Nauczyciel coś mówił.

- Pewnie, że tak - odparł Szymon. - "Niech was piekło pochłonie, uczniowie!" - tak powiedział. - No pisz. Co się na mnie gapisz? Bierz pióro do ręki i pisz: „Niech was piekło pochłonie!"

Za beczkami podniósł się lament. Jan tarzał się po ziemi i zawodził płaczliwie, a Piotr tłukł głową o ścianę.

- Jeśli wierzysz w Boga, Szymonie - zaklinał go Mateusz - powiedz mi prawdę, abym mógł ją spisać. Czy nie rozumiesz, że w tej chwili przyszłość całego świata zależy od tego, co powiesz?

- Do diaska, nie rozpaczaj, Piotrze - powiedział karczmarz. - Powiem wam, co

możecie zrobić, aby zaskarbić sobie chwałę na całą wieczność. Słuchajcie: wkrótce będą go tędy prowadzili - już słyszę wrzawę. Wstańcie, otwórzcie drzwi jak mężczyźni, weźcie od niego krzyż i ponieście go sami. Ciężki jest, jucha, a wasz Bóg wąty i bardzo wycieńczony.

Śmiejąc się, szturchnął Piotra nogą.

- Zrobisz to? Rusz wreszcie tyłek, i to zaraz!

- Zrobiłbym tak, przysięgam, gdyby nie tłum - jęknął Piotr. - Posiekają mnie na pasztet.

Karczmarz splunął ze złością.

- Idźcie wszyscy do diabła! - wykrzyknął. - Czy nikt z was tego nie uczyni? Natanielu, drągalu? Andrzej, zabijako? Nikt, nikt? Tfu! Niech was piekło pochłonie! Ach, mój biedny Mesjaszu, cóż za rzetelnych generałów wybrałeś sobie do pomocy w podboju świata! Lepiej byś uczynił, gdybyś wybrał mnie - mnie! Może i zasługuję na powieszenie i wbicie głowy na pal, ale mam przynajmniej trochę szacunku dla samego siebie, a jak ktoś się szanuje, to bez względu na to, czy jest pijakiem, złodziejem, czy kłamcą, i tak pozostaje człowiekiem. Jeżeli ktoś nie ma szacunku dla siebie, to może sobie nawet być niewinną gołębicą, ale tfu!, nie jest wart złamanego grosza!

Szymon splunął ponownie, otworzył drzwi i stanął w progu, sapiąc z gniewu.

Ulice wypełniły się ludźmi. Mężczyźni i kobiety biegali i krzyczeli:

- Nadchodzi! Nadchodzi król żydowski!

Uczniowie znów schowali się za beczkami. Szymon obrócił się za siebie.

- Naprawdę nie macie dla siebie szacunku? Nie wyjdziecie, żeby go zobaczyć? Nie dacie biedakowi nawet i tej pociechy, żeby mógł ujrzeć swoich uczniów? Dobrze, w takim razie ja wyjdę i do niego pomacham. "To ja powiem - Szymon Cyrenejczyk - obecny!"

Jednym susem znalazł się na ulicy.

Tłum przetaczał się fala za falą. Na czele jechała rzymska kawaleria, za nią szedł Jezus z krzyżem na plecach. Ociekał krwią, a jego ubranie zwisało w strzępach. Nie miał już siły iść. Jego twarz pochylała się coraz bardziej do przodu; bez przerwy potykał się i niemal upadał, a strażnicy wciąż prostowali go i kopniakami popychali naprzód. Z tyłu podążali kulawi, ślepcy i kalecy, wściekli, że ich nie uzdrowił. Przeklinali go i okładali swoimi kulami. Jezus rozglądał się dookoła. Czy nie pojawi się żaden z jego ukochanych towarzyszy? Co się z nimi stało?

Przechodząc obok karczmy, obejrzał się i zobaczył karczmarza, który machał

do niego ręką. Jego serce uradowało się. Chciał skinąć mu głową na pożegnanie, ale potknął się o kamień i upadł na ziemię razem z krzyżem. Jęknął z bólu.

Cyrenejczyk rzucił się ku niemu, pomógł mu wstać, wziął krzyż i zarzucił go sobie na ramię. Odwrócił się do Jezusa i uśmiechnął.

- Odwagi - powiedział. - Jestem przy tobie; nie bój się.

Wyszli przez Bramę Dawida i ruszyli pod górę w kierunku szczytu Golgoty, gdzie nie było nic oprócz kamieni, cierni i kości. Tu krzyżowano buntowników, a ich szczątki rzucono na pożarcie sępom. Powietrze cuchnęło padliną.

Cyrenejczyk oparł krzyż o ziemię. Dwóch żołnierzy zaczęło kopać dół i umacniać go kamieniami. Jezus usiadł na skale i czekał. Słońce wisiało wysoko ponad ich głowami; niebo było białe, rozpalone - i zamknięte. Żadnego płomienia, ani anioła, czy nawet najmniejszego znaku, że ktoś tam, w górze, patrzy na to, co dzieje się na ziemi... Kiedy tak siedział i czekał, rozkruszając w palcach grudkę ziemi, nagle poczuł, że ktoś stoi przed nim i patrzy na niego. Spokojnie, powoli, podniósł głowę i poznał przybysza.

- Witaj, wierna towarzysko podróży - wyszeptał. - Tu podróż dobiega końca. To, czego chciałaś, dokonało się; to, czego ja pragnąłem, także. Całe życie walczyłem w pocie czoła, żeby klątwę zamienić w błogosławieństwo. Dokonałem tego i teraz jesteśmy przyjaciółmi. Żegnaj, Matko! - Pomachał słabo ręką w stronę dzikiego cienia.

Dwaj żołnierze chwycili go pod pachy.

- Wstawaj, Wasza Królewska Mość - krzyknęli. - Wchodź na tron!

Rozebrali go, odsłaniając nagie, umazane krwią ciało. Upał był niemiłosierny. Ludzie, ochrypli i zmęczeni od krzyku, przyglądali się w milczeniu.

- Dajmy mu trochę wina na pokrzepienie - zaproponował jeden z żołnierzy.

Ale Jezus odepchnął puchar i wyciągnął ręce w stronę krzyża.

- Ojcze - powiedział cicho - bądź wola twoja.

Ślepi, trędowaci i kalecy zaczęli wrzeszczeć:

- Kłamca! Oszczyca! Zdrajca!

- Gdzie jest królestwo niebieskie, gdzie piece pełne chleba? - wrzeszczeli oberwańcy, obrzucając go kamieniami i skórkami cytryn.

Jezus rozpostarł szeroko ramiona i otworzył usta, żeby zawołać "Bracia!", ale żołnierze podnieśli go właśnie na krzyż. Potem zawołali Cyganów z gwoździami. Lecz kiedy ci podnieśli młotki i rozległo się pierwsze uderzenie, słońce zniknęło nagle. Gdy uderzyli po raz drugi, niebo pociemniało i pojawiły się gwiazdy: nie gwiazdy, ale



wielkie łzy, które skapywały na ziemię.

tłum ogarnęło przerażenie. Konie, na których siedzieli Rzymianie, wpadły w popłoch. Zaczęły stawać dęba i galopować, tratując pod kopytami Żydów. A potem nagle ziemia, niebo i powietrze ucichły, jak przed trzęsieniem ziemi. Szymon Cyrenejczyk rzucił się na wznak na kamienie. Świat drżał już pod jego stopami wiele razy i bał się.

- Biada! Teraz ziemia otworzy się i wszystkich nas pochłonie!

Uniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Świat wyglądał tak, jakby zemdłał.

Upiornie blady, był teraz ledwie widoczny w niebieskawych ciemnościach. Głowy ludzi zniknęły i widać było tylko ich oczy, ziejące jak czarne otwory w powietrzu. Duże stado wron, które czując krew przyleciało nad Golgotę, teraz uciekało w popłochu. Słaby jęk skargi dobiegł od strony krzyża i Cyrenejczyk zebrał w sobie całą hardość swojego serca i podniósł oczy. Z jego ust dobył się krzyk.- To nie Cyganie przybijali Jezusa do krzyża! Nie, na ziemię zstąpił cały zastęp aniołów z młotkami i gwoździami w rękach. Anioły fruwały wesoło wokół niego, wymachując młotkami i przybijając jego ręce i nogi; część z nich wiązała ciasno ciało ofiary sznurami, a pucołowaty aniołek z rumianą twarzą i złotymi lokami trzymał w ręce kopię, którą przeszył serce Jezusa.

- Co to? - wyszeptał roztrzęsiony Cyrenejczyk - To Bóg, sam Bóg go krzyżuje!

I wtedy - nigdy w życiu Cyrenejczyk nie doświadczył tak przejmującego strachu ani bólu - powietrze od ziemi do nieba rozdarł potężny, przejmujący krzyk nabrzmiały skargą.

- ELI... ELI...

Cierpiący nie mógł już znieść tego dłużej. Chciał, ale nie mógł: brakowało mu tchu.

Ukrzyżowany przechylił głowę - i zemdłał.

## ROZDZIAŁ XXX

Nagle zamrugał z radością powiekami. To nie był krzyż, lecz olbrzymie drzewo sięgające od ziemi do nieba! Przyszła wiosna i całe drzewo okryło się kwieciami; na czubku każdej gałęzi siedział rozśpiewany ptak... A on - on stał wyprostowany, całym ciałem oparty o kwitnące drzewo. Podniósł głowę i zaczął liczyć: raz, dwa, trzy...

- Trzydzieści trzy - wyszeptał. - Tyle mam lat. Trzydzieści trzy ptaki a wszystkie śpiewają.

Oczy miał powiększone, tak że zajmowały całą twarz. Nie odwracając się, widział, jak cały świat rozkwita. Jego uszy, dwie faliste muszle, wychwytywały bluźnierstwa, szloch i zgiełk tego świata i zamieniały je w pieśń. A z przebitego włócznią serca płynęła krew.

Nie było wiatru, ale drzewo ze współczucia roniło kwiaty na jego zaplątane w ciernie włosy i na zakrwawione ręce. Gdy wśród tego morza świergotu starał się przypomnieć sobie kim jest i gdzie się znajduje, powietrze zawirowało i stanął przed nim anioł... W tym samym momencie wstał dzień.

Widział już wiele aniołów i we śnie, i na jawie, ale takiego jak ten - nigdy dotąd. Cóż za. ciepła, ludzka uroda, jaki miękki, puszysty meszek na górnej wardze i policzkach! Oczy zerkały bystro i namiętnie, jak u zakochanego chłopca. Ciało miał twarde i giętkie; niepokojący, sinoczarny meszek porastał mu nogi do łydek aż po krągłe uda, a spod pach wydobywał się słodki zapach ludzkiego potu. Jezus był zmieszany.

- Kim jesteś? - zapytał z bijącym sercem.

Anioł uśmiechnął się i cała jego twarz wypełniła się słodyczą, jak twarz człowieka. Złożył swe duże zielone skrzydła, jak gdyby nie chciał zbyt wystraszyć Jezusa.

- Jestem taki sam jak ty - odparł. - To ja, twój anioł stróż. Nie upadaj na duchu.

Głos miał głęboki i pieszczotliwy, pełen współczucia i znajomy - ludzki. Głosy aniołów, które Jezus do tej pory słyszał, były zawsze surowe i karcące. Uradowany, spojrział błagalnie na anioła, czekając aż znowu przemówi.

Anioł wyczuł to i z uśmiechem spełnił życzenie człowieka.

- Bóg zesłał mnie, bym przyniósł słodycz twym wargom. Ludzie napoili cię goryczą, tak samo niebiosa. Cierpiałeś i walczyłeś. W całym życiu nie doświadczyłeś

radości. W tej ostatniej, straszliwej chwili opuścili cię wszyscy - matka, bracia, uczniowie, biedni, chorzy i uciśnieni - wszyscy. Zostawili cię w ciemnościach samotnego i bezbronnego na skale. I wtedy Bóg Ojciec ulitował się nad tobą. "Hej ty, nie siedź tak! - zawołał do mnie. - Jesteś aniołem stróżem czy nie? Więc idź go ocalić. Nie chcę, żeby go ukrzyżowali. Dostyc tego!"

"Panie Zastępów - odpowiedziałem z drżeniem - czyż nie zesłałeś go na ziemię po to właśnie, by swoim ukrzyżowaniem zbawił ludzkość? To dlatego siedzę tak spokojnie - sądziłem, że taka jest twoja wola". A Bóg odparł: "Niech mu się przyśni, że został ukrzyżowany. Niech we śnie zakosztuje tego samego bólu i przerażenia."

- Aniele stróżu! - krzyknął Jezus, łapiąc anioła za głowę, żeby mu nie uciekł. - Aniele stróżu, nic już nie wiem - czyż nie zostałem ukrzyżowany?

Anioł uspokoił Jezusa, kładąc białą dłoń na jego wzburzonym sercu.

- Uspokój się, ukochany - powiedział i zamrugał uwodzicielskimi oczami. - Nie, nie zostałeś ukrzyżowany.

- Więc ten krzyż tylko mi się śnił? I gwoździe, i ból, i pociemniałe słońce?

- Tak, to był sen. We śnie przeżyłeś całą swoją Mękę. We śnie wstąpiłeś na krzyż i zostałeś do niego przybity. Tych pięć ran na dłoniach, stopach i sercu zadano ci we śnie - jednak z taką siłą, że jeszcze krwawią, patrz!

Jezus rozglądał się dookoła jak w transie. Co to za równina z kwitnącymi drzewami i wodą? Gdzie Jeruzalem? A jego dusza? Dotknął anioła - jak chłodne i twarde miał ciało!

- Aniele stróżu - powiedział. - Twoje słowa przynoszą ukojenie memu ciału, krzyż staje się cieniem krzyża, gwoździe - cieniem gwoździ, a ukrzyżowanie jak obłok unosi się na niebie.

- Chodźmy - powiedział anioł i ruszył szybkim krokiem przez ukwieconą łąkę. - Czeka cię wiele radości, Jezusie z Nazaretu. Bóg pozwolił mi obdarować cię wszystkimi przyjemnościami, za którymi potajemnie tęskniłeś. Umiłowany, zobaczysz, ziemia jest dobra. Wino, śmiech, usta kobiety, zabawy pierworodnego syna na twoich kolanach - wszystko jest dobre. My, aniołowie - nie uwierzyłybyś, ale w niebie często pochylamy się w dół, patrzymy na ziemię i wzdychamy. - Zatrzepotał olbrzymimi, zielonymi skrzydłami i objął nimi Jezusa.

- Odwróć głowę - nakazał. - Obejrzyj się!

Jezus odwrócił głowę - i cóż zobaczył? Wysoko w dali, we wschodzącym słońcu lśnił na wzgórzu Nazaret, bramy forteczne były otwarte i wychodziły z nich tysięczne

rzesze możnych panów i dam. Odziani byli w złoto, dosiadali białych koni. W powietrzu powiewały sztandary ze śnieżnobiałego jedwabiu, haftowane w złociste lilie. Pochód schodził z ukwieconych gór, mijał królewskie zamki, przekraczał rzeki, wił się wśród wzgórz. Słysząc było śmiech i głośnie rozmowy, a zza gęstych kęp drzew dobiegały słodkie westchnienia.

- Aniele stróżu, cóż to za rzesza możnych? - zapytał oszołomiony Jezus. - Kim są ci królowie i ich królowe? Dokąd zdążają?

- To królewski orszak weselny - odparł anioł z uśmiechem.

- A czyje to wesele?

- Twoje. Tę radość daję ci pierwszą.

Krew napłynęła Jezusowi do głowy. Nagle zrozumiał kto będzie panną młodą i jego ciało zaczęło się radować. Przyspieszył kroku.

- Chodźmy - rzucił.

Natychmiast poczuł, że sam także siedzi na białym koniu w złotej uprzęży.

Przyjrzał się sobie. Na głowie powiewało mu błękitne pióro, a uboga połatana tunika przemieniła się w szatę ze złota i aksamitu.

- Chłopcze, czy to jest królestwo niebieskie, którego nadejście przepowiadałem ludziom? - zapytał.

- Nie, nie - roześmiał się anioł. - To ziemia.

- Jak to się stało, że tak się zmieniła?

- To nie ziemia, lecz ty się zmieniłeś. Kiedyś twoje serce nie chciało ziemi - sprzeciwiało się jej woli. Teraz jej pragnie - oto i cała tajemnica. Harmonia między ziemią i sercem - to właśnie jest królestwo niebieskie, Jezusie z Nazaretu... Ale dlaczego tracimy czas na gadanie? Chodź, panna młoda czeka.

Anioł także dosiadł białego konia i ruszyli. Za nimi królewska kawalkada schodziła z gór. Śmiech kobiet rozbrzmiewał coraz głośniej. Ptaki uderzały skrzydłami w powietrzu, ciągnąc na południe. "Nadchodzi, nadchodzi" - śpiewały.

Serce Jezusa także zmieniło się w ptaka. Przysiadło mu na głowie, ćwierkając "Nadchodzę, nadchodzę, nadchodzę!"

Galopując w uniesieniu, nagle przypomniał sobie o uczniach. Obejrzał się, szukając ich w orszaku - lecz nie znalazł żadnego.

Zaskoczony, spojrział na towarzysza.

- A moi uczniowie? - zapytał. - Nie widzę ich. Gdzie mogą być?

Odpowiedział mu szyderyczy śmiech.

- Pierzchli.

- Dlaczego?

- Ze strachu.

- Nawet Judasz?

- Wszyscy, wszyscy! Wrócili do swoich łodzi, pochowali się w chatach. Przysięgają, że nigdy cię nie widzieli, że cię nie znają... Nie oglądaj się więcej. Zapomnij o nich. Patrz przed siebie.

Upojna woń kwitnących drzew cytrynowych przenikała powietrze.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział anioł, zsiadając z konia, który zmienił się w światło i zniknął.

W gaju oliwnym rozległ się głęboki, słodki ryk skargi i cierpienia. Jezus poczuł niepokój - wydawało się, że ten krzyk rozbrzmiewa w jego wnętrzu. Obejrzał się; do pnia drzewa oliwnego przywiązany był lśniący, czarny byk. Miał szeroki zad, białą łatę na czole i zadarty w górę ogon, a na rogach weselną koronę. Nigdy przedtem Jezus nie widział takiej siły i blasku, tak twardych mięśni, tak mrocznego, męskiego spojrzenia. Przeraził się. To nie byk, pomyślał - to jedna z mrocznych, nieśmiertelnych twarzy Boga Wszechmogącego.

Anioł stanął obok i uśmiechnął się przebiegle.

- Nie bój się, Jezusie z Nazaretu. To byk, młody dziewiczy byczek. Patrz jak szybko porusza językiem i oblizuje wilgotne nozdrza, jak pochyła łeb i uderza w drzewo oliwne gotowy do walki, jak się kołysze, żeby zerwać sznur i uciec... Spójrz na łakę. Co widzisz?

- Jałówki, młode jałówki. Pasą się.

- Nie, one czekają aż ten młody byczek zerwie sznur. Posłuchaj, jak ryczy - tak czule i błagalnie, z taką mocą! Zaprawdę, jak jakiś mroczny, zraniony bóg... Skąd ta dzikość na twojej twarzy, Jezusie z Nazaretu? Dlaczego patrzysz na mnie tymi mrocznymi oczyma bez uśmiechu?

- Chodźmy - rozkazał cicho Jezus, a w jego głosie były czułość, błaganie i moc.

- Najpierw uwolnię byka - odparł anioł ze śmiechem. - Nie żal ci go?

Rozwiązał sznur. Przez chwilę cnotliwy zwierzak stał bez ruchu; wtem zrozumiał, że jest wolny i pomknął ku łące.

Dokładnie w tej samej chwili Jezus usłyszał brzęk bransolet i naszyjników dobiegający z sadu cytrynowego. Stała przed nim Maria Magdalena, onieśmielona i drżąca, w wianku z cytrynowego kwiecica na głowie.

Jezus podbiegł i wziął ją w ramiona.

- Magdaleno, ukochana Magdaleno - zawołał. - Och, tyle lat czekałem na tę chwilę! Któż stanął między nami i nie chciał nas uwolnić? Czy to Bóg?... Dlaczego płaczesz?

- To z radości i tęsknoty, ukochany. Pójdź!

- Chodźmy. Ty prowadź!

Chciał pożegnać się z towarzyszem, ale anioł rozpułynał się w powietrzu. Zniknął także wspaniały królewski orszak możnych panów, dam, królów, białych koni i białych lilii. W dole, na łące byk wspinał się na jałóWKi.

- Kogo szukasz, ukochany? Dlaczego oglądasz się za siebie? Tylko nas dwoje pozostało na świecie. Całuję tych pięć ran na twoich stopach, dłoniach i sercu. Jakaż to radość, cóż za święto! Cały świat zmartwychwstał. Chodź!

- Dokąd? Daj mi rękę, prowadź. Ufam ci.

- W gęstwinę sadu. Szukają cię, chcą cię pojmać. Wszystko było gotowe - krzyż, gwoździe, tłum, Piłat - aż nagle porwał cię anioł. Chodźmy zanim wszędzie słońce i oni cię dostrzegą. Wściekli się, chcą twojej śmierci.

- Cóż ja im zrobiłem?

- Chciałeś ich dobra, ich zbawienia. Jak mogliby ci to wybaczyć? Daj rękę, ukochany. Idź za kobietą. Ona zawsze nieomylnie znajdzie drogę.

Wzięła go za rękę i ruszyła spiesznie w gęstwinę kwitnących, bliskich owocowania drzew cytrynowych, a za nią frunął ognistoczerwony welon. Jej palce splecione z palcami mężczyzny były gorące, a usta pachniały liśćmi cytrynowymi.

Zatrzymała się na chwilę, by złapać oddech i spojrzała na Jezusa. Zadrżał; w jej oczach dostrzegł przebiegły, uwodzicielski błysk, taki sam jak w oczach anioła. Uśmiechnęła się.

- Nie bój się, ukochany. Od lat chciałam ci coś powiedzieć, ale nie miałam odwagi. Teraz to zrobię.

- Co chciałaś mi powiedzieć? Mów, nie lękaj się, ukochana.

- Jeśli jesteś w siódmym niebie i jakiś przechodzień poprosi cię o szklanekę wody, zejdz z chmur i daj mu ją. Jeśli jesteś świętym i kobieta poprosi cię o pocałunek, zapomnij o świętości i pocałuj ją. Inaczej nie będziesz zbawiony.

Jezus schwył ją, przegiął w tył i pocałował w usta. Oboje śmiertelnie pobledli, ugięły się pod nimi kolana, nie byli w stanie iść dalej. Położyli się na trawie pod kwitnącym drzewem cytrynowym i zaczęli kochać.

Wzeszło słońce, powiał wiatr; kilka kwiatów cytrynowych spadło na dwa nagie ciała. Zielona jaszczurka przyglądała się im okrągłymi, nieruchomymi oczami z kamienia naprzeciwko. Od czasu do czasu słyhać było ryk zaspokojonego już byka. Lekka mżawka ochłodziła dwa rozpalone ciała i wydobyła z ziemi jej aromat. Maria Magdalena tuliła mężczyznę do siebie, mrużąc:

- Nigdy nie całował mnie żaden mężczyzna. Moich warg i policzków nigdy nie dotykał męski zarost, moich kolan nie dotykały kolana mężczyzny. To dzień moich narodzin!... Płaczesz, dziecko?

- Żono ukochana, nie wiedziałem dotąd, że świat jest tak piękny, a ciało tak święte - to córka Boga, wdzięczna siostra duszy. Nie wiedziałem, że w cielesnych uciechach nie ma grzechu.

- Dlaczego postanowiłeś pokonać niebo, wzdychać i szukać cudownej wody życia wiecznego? Ja jestem tą wodą. Schyliłeś się, napiłeś, znalazłeś spokój... Ciągłe wzdychasz, dziecko? O czym myślisz?

- Moje serce jest jak zwiędła róża Jerycha, która w wodzie odżywa i rozkwita na nowo. Kobieta to źródło wody nieśmiertelności. Teraz rozumiem.

- Co rozumiesz, dziecko?

- Oto droga.

- Droga? Jaka droga, najdroższy Jezusie?

- Droga, którą śmiertelnicy osiągną nieśmiertelność; droga, którą Bóg pod ludzką postacią zstępuje na ziemię. Zbłądziłem, bo szukałem drogi innej niż cielesna. Chciałem iść drogą chmur, wielkich myśli i śmierci. Kobieto, szlachetna pomocnico Boga, przebacz mi. Klękam i oddaję ci cześć, Boża Matko... Jak nazwiemy naszego syna?

- Weź go nad Jordan i ochrzczij jak chcesz. Jest twój.

- Nazwijmy go Paraklet - Pocieszyciel!

- Psst, ktoś nadchodzi. To pewnie mój wierny Murzynek. Kazałam mu stać na straży i pilnować, żeby nikt tutaj nie przyszedł. Oto i on!

- To ja, Saul, pani.

Białka oczu chłopca były rozbiegane, a krępe ciało okryte pianą. Wyglądał jak koń po biegu. Magdalena skoczyła i zatkała mu usta dłonią.

- Ciszej, chłopcze!

- Ukochany mężu - zwróciła się do Jezusa. - Jesteś zmęczony. Śpij, ja zaraz wrócę.

Jezus zdążył już zamknąć oczy. Słodki sen okrył mu skronie i powieki, nie widział, jak Magdalena oddała się wśród drzew cytrynowych i znika na pustej drodze. Jego umysł jednak nie spał. Opuścił uśpione ciało i ruszył za Magdaleną. Dokąd idzie? Dlaczego ma oczy pełne łez, dlaczego świat pociemniał? Myśli Jezusa unosiły się jak jastrząb nad oczami kobiety, nie pozwalając jej uciec.

Przerażony czarny chłopiec szedł przodem, potykając się. Minęli gaj oliwny. Słońce jeszcze nie zaszło. Weszli na łąkę. Jałówki leżały wyciągnięte w trawie, przeżuając pokarm. Zeszli do zacienionego skalistego wąwozu, gdzie słychać było szczekanie psów i męskie głosy. Murzynka ogarnęło przerażenie.

- Odchodzę - rzucił i uciekł.

Magdalena została sama. Rozejrzała się dookoła: skały, kamienie, trochę dzikich jeżyn. Ze zbocza skały wyrastał poziomo dziki figowiec. Dwa kruki, jak strażnicy na skale, spostrzegły Magdalenę i zaczęły skrzeczeć, wzywając towarzyszy.

Usłyszała odgłos spadających kamieni. Na skałę wspinali się mężczyźni. Pojawił się pies z wywieszonym językiem, czarny w rude łaty. Wąwóz zappełnił się cyprysami i palmami, przypominając cmentarz. Naraz usłyszała spokojny, zadowolony głos:

- Witaj.

- Kto to? Kto mnie powitał?

- To ja.

- Kim jesteś?

- Bogiem.

- To Bóg! Niech zakryję włosy i piersi. Odwróć się, Panie, nie wolno ci zobaczyć mej nagości - wstydzę się. Dlaczego sprowadziłeś mnie na to bezludzie? Gdzie jestem? Widzę tylko palmy i cyprysy.

- Właśnie! Nieśmiertelność i śmierć... Wielka Męczennico, sprowadziłem cię na miejsce, które sam wybrałem. Przygotuj się na śmierć, Magdaleno, byś mogła stać się nieśmiertelna.

- Ja nie chcę umrzeć. Nie chcę być nieśmiertelna. Pozwól mi dalej żyć na ziemi, a potem obróć mnie w proch.

- Śmierć jest jak karawana wioząca korzenie i wonności. Nie bój się, Magdaleno. Dosiądź czarnego wielbłąda i wstąp do pustyni niebios.

- Ach, kim są ci szaleni podróżnicy, co wyłaniają się spośród cyprysów?

- Nie lękaj się, Magdaleno. To moi poganiacze wielbłądów. Osłoń oczy dłonią.



Widzisz czarnego wielbłąda, tego z czerwonym aksamitnym siodłem, którego dosiędziesz? Nie opieraj się.

- Panie, nie boję się śmierci, ale muszę się poskarżyć. Dopiero co moje ciało i dusza złączone były po raz pierwszy jednymi ustami. Po raz pierwszy i ciało, i dusza zaznały pocałunku - i teraz mam umrzeć?

- To wspaniała chwila na śmierć, Magdaleno. Lepszej nie znajdziesz, więc się nie opieraj.

- Och, cóż to za krzyki, groźby i śmiechy? Panie, nie opuszczaj mnie. Idą mnie zabić!

I znowu rozległ się głos, wciąż spokojny i zadowolony, ale bardzo teraz odległy:

- Magdaleno, przeżyłaś największą radość swego życia. Więcej osiągnąć nie możesz. Śmierć jest łaskawa... Do zobaczenia, Pierwsza Męczennico!

Głos umilkł. Zza zakrętu w wąwozie wynurzył się uzbrojony w noże i topory tłum rozszalałych lewitów i złaknionych krwi niewolników Kajfasza. Magdalenę otoczyli ludzie, psy i topory.

- Patrzcie na tę dziwkę! - wyli ze śmiechu.

Czarna chmura zakryła słońce; ziemia pociemniała.

- Nie, to nieprawda! - krzyknęła nieszczęsna kobieta. - Już nią nie jestem. Dzisiaj się narodziłam!

- Dzwka!

- Już nią nie jestem, przysięgam. Nie zabijajcie mnie, litości! Kim jesteś, ty, z łysą głową, tłustym brzuchem, krzywymi nogami - ty, garbusie? Nie dotykaj mnie!

- Dzwka! Jestem Szaweł. Bóg Izraela przysłał mnie z Damaszku, abym go zabił.

- Kogo?

- Twojego kochanka!

Zwrócił się do swej bandy.

- Biercie ją, chłopcy! To jego kochanka! Powiedz nam, gdzie go ukryłaś, ladacznico!

- Nie powiem!

- Zabiję cię!

- Jest w Betanii.

- Kłamiesz! Właśnie stamtąd wracamy. Ukryłaś go gdzieś w pobliżu. Mów prawdę!

- Puść moje włosy! Dlaczego chcesz go zabić? Co on ci zrobił?

- Śmierć każdemu, kto podnosi rękę przeciwko Prawu!

Garbus przyglądał się jej namiętnie i podchodził coraz bliżej, owiewając ją gorącym oddechem:

Magdalena zatrzepotała rzęsami.

- Saulu - zaczęła - spójrz na moje piersi i ramiona, spójrz na moją szyję. Czyż nie byłoby ci żal tego ciała? Nie zabijaj go!

Saul podszedł jeszcze bliżej. Głos miał zduszony, ochrypły:

- Wyznaj, gdzie on jest, a daruję ci życie. Podobają mi się twoje piersi, szyja i ramiona. Zlituj się nad swą urodą i wyznaj prawdę! Dlaczego tak na mnie patrzysz? O czym myślisz?

- Myślałam właśnie, Saulu, i wzdychałam - myślałam o tym, jakich cudów mógłbyś dokonać, gdyby nagle oświecił cię Bóg i zobaczyłbyś prawdę! Mój ukochany potrzebuje uczniów takich jak ty, aby podbić świat - nie rybaków, wędrownych handlarzy i pasterzy, ale ludzi płomiennych, jak ty, Saulu!

- Podbić świat! Więc on chce podbić świat? Jak? Mów, Magdaleno, bo i ja chciałbym tego dokonać.

- Miłością.

- Miłością?

- Saulu, posłuchaj co ci powiem. Każ tamtym odejść - nie chcę, żeby słyszeli. Człowiek, na którego polujesz, którego chcesz zabić, jest synem Bożym, Zbawicielem świata, Mesjaszem! Tak, przysięgam na duszę, którą oddam Bogu!

Chudy, rachityczny lewita z rzadką, siwą bródką syknął:

- Saulu, jej ramiona to wilcze sidła! Strzeż się!

- Odejdź!

Zwrócił się do Magdaleny.

- Miłością? Ja także chcę podbić świat. Chodzę do portu, patrzę na odpływające statki i serce mi płonie. Chcę dotrzeć do krańców ziemi, ale nie jako żydowski żebrak i niewolnik - nie, jako król z mieczem! Ale jak tego dokonać? To niemożliwe. Jestem tak nieszczęśliwy, że chcę popełnić samobójstwo, a tymczasem ulgę przynosi mi zabijanie innych.

Umilkł na chwilę, po czym mówił dalej, zbliżając się jeszcze bardziej do kobiety.

- Gdzie twój Mistrz, Magdaleno? - zapytał łagodnie. - Powiedz mi, to go znajdę

i porozmawiamy sobie. Chcę, żeby mi powiedział czym jest miłość i jak podbić nią świat... Dlaczego płaczesz?

- Bo chcę ci powiedzieć, gdzie on jest. Chcę, żebyście się spotkali. On jest samą łagodnością, ty - ogniem. Razem podbijecie świat. Ale nie ufam ci - nie, nie ufam ci, Saulu - i dlatego płaczę.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy świsnął kamień i złamał jej szczękę.

- Bracia - w imię Boga Abrahama, Izaaka i Jakuba - do ataku! - zawył rachityczny lewita.

To on pierwszy cisnął kamieniem w Magdalenę.

Rozległ się grzmot. Słońce zachodzące w oddali było, skąpane we krwi.

- To dla tych ust całowanych przez tysiące - zawył jeden z niewolników Kajfasza i rzucił kamieniem.

- A to dla brzucha!

- To dla serca!

- To dla nosa!

Magdalena skłoniła głowę na piersi, aby zasłonić twarz. Z jej ust, piersi i łona tryskała krew. Rozpoczęła się śmiertelna kaźń.

Jastrząb uderzał skrzydłami. Jego okrągłe ślepia widziały wszystko.. Powrócił z przeraźliwym krzykiem i wstąpił na powrót w ciało ciągle uśpione pod drzewem cytrynowym. Jezus zamrugał powiekami, na wargi spadła mu duża kropla deszczu. Obudził się i usiadł na żyznej cmentarnej glebie, zatopiony w myślach. Co mu się śniło? Nie pamiętał nic oprócz kamieni, jakiejś kobiety i krwi... Czy tą kobietą mogła być Magdalena? Jej twarz falowała jak płynąca woda, nie mógł jej dokładnie dojrzeć. Gdy starał się ją rozpoznać, kamienie i krew zamieniły się w krosna, a kobieta stała się tkaczką śpiewającą przy swej maszynie. Głos miała niezmiernie słodki i pełen skargi.

Nad głową Jezusa wśród ciemnych liści lśniły złociste cytryny. Dotknął dłońmi, wilgotnej ziemi, czując jej chłód i wiosenne ciepło. Rozejrzał się pospiesznie dookoła - nikt go nie widział. Nachylił się i ucałował ziemię.

- Matko - powiedział cicho. - Przytul mnie, a ja przytulę ciebie. Matko, dlaczego ty nie możesz być moim Bogiem?

Poruszyły się liście drzew cytrynowych, rozległy się lekkie kroki po wilgotnej ziemi, zagwizdał niewidoczny kos. Jezus podniósł wzrok i zobaczył przed sobą wesołego i zadowolonego, zielonoskrzydłego anioła stróża. Kędzierzawy meszek pokrywający jego ciało migotał w ukośnych promieniach zachodzącego słońca.

- Witaj - powiedział Jezus. - Twarz masz roziskrzoną. Przynosisz mi, znów jakąś dobrą nowinę? Wierzę ci. Zieleń twoich skrzydeł jest jak ziemská trawa.

Anioł roześmiał się i złożył skrzydła. Przysiadł obok Jezusa i zgniółł w dłoni kwiat cytrynowy, wdychając chciwie jego woń. Potem spojrział na zachód, gdzie niebo miało teraz kolor wiśni. Ziemię owiewał łagodny wietrzyk, wszystkie liście drzewa cytrynowego szeleściły w radosnym tańcu.

- Jakże szczęśliwi jesteście wy, ludzie - powiedział anioł. - Jesteście stworzeni z ziemi i wody, tak jak wszystko na tym świecie. Dlatego wszystko łączy się w pary: mężczyźni, kobiety, mięso, warzywa, owoce... Czyż nie jesteście z tej samej ziemi, z tej samej wody? Wszystko pragnie połączenia. Przecież dopiero co, w drodze tutaj, słyzałem, jak wzywa cię jakaś kobieta.

- Dlaczego mnie wzywa? Czego chce?

- Jej woda i ziemia wzywają twoją wodę i twoją ziemię - uśmiechnął się anioł. - Siedzi przy krosnach, tka i śpiewa. Jej pieśń, szukając ciebie, przenika góry, wypełnia równinę. Posłuchaj. Za chwilę dotrze tutaj, między drzewa cytrynowe. Cicho - już tu jest. Słyszysz? Myślałem, że śpiewa, ale to nie śpiew, to lament. Słuchaj uważnie. Co słyszysz?

- Ptaki powracają do gniazd. Ściemnia się.

- Tylko tyle? Wsłuchaj się dobrze. Niech twoja dusza opuści ciało i usłysz.

- Słyszę! Słyszę! Kobięcy głos gdzieś daleko, daleko... Lamentuje, ale nie rozróżniam słów.

- Ja słyszę je dobrze. Sam posłuchaj. Nad czym tak lamentuje?

Jezus wstał i wyteżył siły: dusza opuściła jego ciało, dotarła do wioski, weszła do domu i zatrzymała się na dziedzińcu.

- Słyszę - powiedział Jezus, kładąc palec na ustach.

- Mów.

*Srebrny grób, złoty grób, pozłacany grób,*

*Ocal czerwień ust, ocal czarne oczy,*

*Ocal ten języczek o słowicznym głosie.*

- Poznajesz ten głos, Jezusie z Nazaretu?

- Tak.

- To Maria, siostra Łazarza. Wciąż tka swoją wyprawę... Myśli, że umarłeś i

płacze. Odkryła śnieżnobiałą szyję, turkusowy naszyjnik ciąży jej na piersi. Całe ciało ma wilgotne od potu i wonne - pachnie jak chleb wyciągnięty z pieca, jak dojrzała pigwa, jak ziemia po deszczu. Wstań. Pójdźmy ją pocieszyć.

- A Magdalena? - zawołał Jezus z przerażeniem.

Anioł ujął go za ramię i znowu posadził na ziemi.

- Magdalena - powiedział ze spokojem. - Ach tak, zapomniałem ci powiedzieć. Nie żyje.

- Nie żyje?

- Zabili ją. Hej, dokąd idziesz z tymi zaciśniętymi pięściami, Jezusie z Nazaretu? Kogo chcesz zamordować - Boga? To on ją zabił. Usiądź! Przenajświętszy wypuścił strzałę, która przeszła Magdalenę w chwili najwyższego szczęścia; jest teraz tam w górze, nieśmiertelna - czyż może być większa radość dla kobiety? Nie doświadczy przemijania miłości, tchórzliwości serca, rozkładu ciała. Byłem przy niej, gdy umierała, widziałem co się stało. Wzniosła ręce do niebios i wołała: "Dzięki ci, Boże. Właśnie tego pragnęłam!"

Lecz Jezus wybuchnął gniewem.

- Tylko psy są tak posłuszne - psy i anioły! Nie jestem ani jednym, ani drugim. Jestem człowiekiem, więc wołam: "Niesprawiedliwość, niesprawiedliwość!" Wszechmogący, niesprawiedliwie ją zabiłeś! Nawet najbardziej prymitywny drwal drży, gdy musi ściąć kwitnące drzewo, a Magdalena od stóp do głów okryta była kwieciami!

Anioł przytulił go i pogładził po włosach, ramionach i kolanach; przemawiał do niego czule i cicho. Wreszcie zapadła ciemność. Powiał wiatr, i chmury rozstały się i weszła duża gwiazda - Gwiazda Wieczorna.

- Cierpliwości - powiedział anioł. - Poddaj się, nie rozpaczaj. Na świecie istnieje tylko jedna kobieta, jedna kobieta o niezliczonych twarzach. Jedna upadła, powstaje następna. Maria Magdalena umarła. Maria, siostra Łazarza żyje i czeka na nas, czeka na ciebie. Jest Magdaleną o innej twarzy. Słuchaj... Znowu wzdycha. Pójdziemy ją pocieszyć. W swym łonie nosi - dla ciebie, Jezusie z Nazaretu - radość największą: syna, twojego syna. Chodźmy!

Anioł pogłaskał czule przyjaciela i podniósł go powoli. W wilgotnym półmroku twarze Marii Magdaleny i Marii, siostry Łazarza, zlewały się w jedną. Wonna noc spowiła je obie swoją szatą.

- Chodź! - szepnął anioł, otaczając Jezusa krągłym, kędzierzawym ramieniem.

Jego oddech pachniał gałką muskatołową i wilgotną ziemią. Jezus skłonił głowę na jego ramieniu, zamknął oczy i odetchnął głęboko, chcąc by oddech anioła przeniknął do jego wnętrza.

Anioł z uśmiechem rozwinął jedno skrzydło. Wraz z nocą nadszedł ostry mróz, więc otoczył Jezusa ciepłymi skrzydłami, aby nie było mu zimno. Jeszcze raz w wilgotnym powietrzu, niczym spokojna wiosenna mżawka, pojawił się kobiecy lament: "Srebrny grób, złoty grób..."

- Chodźmy - powiedział Jezus i uśmiechnął się.

## ROZDZIAŁ XXXI

Całą noc Jezus szybował nad ziemią. Obejmowały go zielone skrzydła anioła, do którego przywarł całym ciałem. Na niebo wypłynął księżyc. Był jakiś dziwny, jakby wesoły. Zamiast postaci Kaina zabijającego Abła widniały na nim duże, roześmiane usta, dwoje oczu wyrażających spokój i dwa pulchne policzki, skąpane w świetle. Sprawiał wrażenie, że jego tarcza jest jak twarz zakochanej kobiety, wracającej wieczorem od ukochanego. Drzewa umykały pod lecącymi, wypełniając noc świergotem nocnych ptaków, podobnym do ludzkiej mowy. Przed nimi otworzyły się góry, wchłonęły dwóch nocnych wędrowców i zamknęły za nimi.

Cóż to za szczęście latać, unosić się nad ziemią, jak w snach! Życie zmieniło się w sen. Czy to właśnie jest raj?... Jezus chciał zapytać anioła, ale nie śmiał - sen mógłby się wtedy urwać.

Rozejrzał się wokół. Jakie lekkie stały się duchy kamieni, powietrza, gór - jak wtedy, gdy z ciężkim sercem zasiada się z przyjaciółmi przy stole, podają wino i człowiek zaczyna pić. Stopniowo umysł staje się coraz lżejszy, aż w końcu szybuje nad głową niczym różowa chmura. A świat, cały w złotym puchu, odbija się w nim do góry nogami.

Znów zapragnął zapytać o coś anioła, ale ten położył mu palec na ustach, uśmiechnął się i łagodnie nakazał milczenie.

Byli chyba w pobliżu jakiejś wioski, bo usłyszeli koguty, które pianiem obwieszczały nadejście nowego dnia. Księżyc stoczył się już za góry i świat jaśniał w spokojnym, porannym świetle. Ziemia otrzeźwiała, a upływ czasu znów stał się odczuwalny. Góry, wioski i gaje oliwne wróciły na swoje miejsce, tam, gdzie Bóg je postawił w oczekiwaniu na koniec świata. Tu mignęła ukochana droga, tam pojawiła się litościwa Betania wzrastająca wśród oliwek, fig i winnic. Tam stał też dom, w którym można było znaleźć przyjaźń. Dom ze świętymi krosnami, rozpalonym ogniem i dwoma siostrami, które przypominały dwa czujne płomienie.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział anioł.

Z komina na dachu unosił się dym. Siostry zapewne już wstały i rozpały ogień.

- Jezusie z Nazaretu - rzekł anioł i delikatnie rozsunął skrzydła, uwalniając Jezusa ze swoich objęć. - Siostry rozpały ogień i najpierw, - jak co rano, wydoiły krowy. Teraz przygotowują dla ciebie mleko. Czy po drodze nie chciałeś mnie zapytać

o to, gdzie jest raj? Raj jest, tutaj - to tysiące małych radości, to czas, kiedy mężczyzna puka do drzwi, widzi w nich kobietę, siada przy ogniu i patrzy, jak ona nakrywa dla niego stół. A gdy zapadnie zmrok, jej ramiona obejmują go. Tą drogą kroczy i nadchodzi Zbawca: z ramion w ramiona, z syna na syna. Tą drogą.

- Rozumiem - odparł Jezus. Stał przed drzwiami i chwycił już za kołatkę, aby zapukać, lecz anioł powstrzymał go.

- Nie śpiesz się - rzekł. - Posłuchaj mnie - lepiej żebyśmy się więcej nie rozdzielali. Boję się zostawić ciebie samego i bezbronnego, więc pójdę z tobą. Zamienię się w małego Murzynka, tego, którego widziałeś pod drzewem cytrynowym. Możesz powiedzieć ludziom, że jestem twoim niewolnikiem. Nie chcę, abyś znów obrał złą drogę i zablądził.

Ledwie skończył mówić, przed Jezusem stanął mały Murzynek. Głową sięgał do męskich kolan; miał duże, białe zęby i złote kolczyki w uszach. W ręku trzymał po brzezi wypełniony koszyk.

- Panie - powiedział z uśmiechem. - To są prezenty dla sióstr. Jedwabne chusty, kolczyki, bransolety, wachlarze z cennych piór, słowem - wszystko, czego kobieta może zapragnąć. Teraz zapukaj do drzwi.

Jezus zapukał. Z podwórka doszedł go odgłos upadających polan i pełne słodczy pytanie:

- Kto tam?

Jezus oblał się rumieńcem. Rozpoznał głos - to była Maria. Drzwi otworzyły się i siostry przypadły mu do stóp.

- Rabbi, czcimy twą Mękę i twoje święte zmartwychwstanie. Witaj!

- Pozwól mi dotknąć twojej piersi, Rabbi, aby przekonać się, że to naprawdę ty - powiedziała Maria.

- Mario, to jest ciało, prawdziwe ciało - krzyknęła Marta. - Ciało, takie jak nasze. Nie widzisz? Popatrz, na progu jest jego cień!

Jezus słuchał i uśmiechał się. Siostry dotykały i wachały go, radując się przy tym.

- Marto i Mario, bliźniacze płomienie, tak dobrze znów was zobaczyć. Spokojny, skromny, gościnny domie ludzki, tak dobrze znów cię ujrzeć. Ludzie wciąż żyją, wciąż zaspokajają głód, wciąż pracują i płaczą. Chwała niech będzie Bogu!

Witając się wciąż z siostrami, wszedł do domu.

- Tak dobrze znów zobaczyć palenisko i krosna, dzieżę i stół, dzban i ukochaną



lampę! Wszystkie te wierne sługi kobiety - chylę przed nimi głowę i pozdrawiam je. Kiedy kobieta przybywa do bram raj, zatrzymuje się i pyta: "Panie, czy moi towarzysze również mogą wejść ze mną?"

"Jacy towarzysze?" - pyta Bóg.

"Dzieża, kołyska, lampa, dzban i krosna. Bez nich nie wchodzę". Dobroduszny Bóg uśmiecha się i rzecze: "Kobiety! Jakże można im czegokolwiek odmówić? Wchodźcie wszyscy. W raj jest tyle dzież, kołyszek i krosien, że brakuje już miejsca dla świętych".

Siostry roześmiały się. Obróciły się i zobaczyły Murzynka z wypełnionym koszykiem.

- Rabbi, kim jest ten chłopiec? - spytała Maria. - Podobają mi się jego zęby.

Jezus usiadł przy palenisku. Marta i Maria przyniosły mu mleko, miód i chleb. Łzy napłynęły Jezusowi do oczu.

- W siedmiu sferach niebieskich było mi za ciasno - powiedział. - Nie wystarczało mi siedem wielkich cnót, ani siedem wielkich idei. A teraz, teraz stał się cud, moje siostry. W malutkim domu jest tyle miejsca, a kęs chleba i proste słowa kobiety wystarczają mi zupełnie.

Jak przystało gospodarzowi, obszedł dom i przyniósł z podwórka naręcze gałązek winnych i dorzucił do ognia, ożywiając płomień. Podeszedł do studni, nalał sobie wody i napił się. W końcu wyciągnął ręce i objął Martę i Marię, stając się ich panem.

- Najdroższa Marto i najdroższa Mario - powiedział. - Zmienię swe imię. Waszego brata, którego wskrzesiłem, zabito. Ja teraz zajmę jego miejsce - będę siadywał w kącie tam, gdzie on zwykł siadać, będę poganiał bydło, orał, siał i zbierał plony. A kiedy będę wracał wieczorami, moje siostry umyją mi zmęczone stopy i przygotują posiłek. Potem będę siadał przed ogniem, na stołku. Ód tej chwili nazywam się Łazarz.

Kiedy mówił, Murzynek wpatrywał się w niego wielkimi oczyma. Im dłużej patrzył, tym bardziej twarz Jezusa zmieniała się. Podobnie całe ciało - głowa, piersi, uda, ręce i stopy. Coraz bardziej przypominał Łazarza, dojrzałego mężczyznę, zdrowego i silnego, o grubym karku, spalonej w słońcu piersi, z wielkimi, sękatymi rękoma. Siostry obserwowały tę metamorfozę w bladym świetle poranka i drżały.

- Zmieniłem moje ciało. Zmieniłem i duszę. Odtąd wypowiadam wojnę ubóstwu i postom. Dusza to żywe stworzenie i chce jeść. Te usta, które widzicie pod

wąsem i nad brodą, to usta duszy, jedyne, jakie ona posiada. Wypowiadam wojnę czystości. W łonie każdej kobiety mieszka nieme dziecko, które pragnie wyjść na świat. Otwórzcie bramy i uwolnijcie je! Kto nie płodzi dzieci, morduje... Mario, czy ty płaczesz?

- Cóż innego mogę zrobić, Rabbi, słysząc te słowa? My, kobiety, nie znamy innej odpowiedzi.

Marta rozłożyła szeroko ręce.

- My, kobiety - powiedziała. - Jesteśmy jak para wciąż otwartych ramion, których nie można zamknąć. Wejdz dalej, Rabbi. Usiądź. Rozkazuj nam. Ty jesteś panem tego domu.

Twarz Jezusa promieniała.

- Przestałem już walczyć z Bogiem - rzekł. - Zostaliśmy przyjaciółmi. Już nie będę robił krzyży. Będę robił żłoby, kołyski, łóżka. Sprowadzę moje narzędzia z Nazaretu. Sprowadzę także moją zgorzkniałą matkę, aby mogła zająć się wnukami i poczuć wreszcie słodycz na swoich wargach. Biedna kobieta.

Jedna z siostr przywarła do jego kolan, druga chwyciła go za rękę i nie chciała puścić. Murzynek usiadł przy palenisku, oparł głowę na kolanach i udawał, że śpi. Swoje czarne oczy, ukryte pod firanką długich rzęs, utkwiał w Jezusie i kobietach. Na twarzy wykwitł mu ledwie dostrzegalny uśmiech zadowolenia.

Maria, objąwszy nogi Jezusa, mówiła:

- Siedziałam przy krosnach, Rabbi, i tkalam biały koc z obrazami twej Męki: krzyż i tysiące latających wokół jaskółek. Przetykałam czarne i czerwone nici i śpiewałam pieśń żałobną. Ty usłyszałeś, ulitowałeś się nade mną i przyszedłeś.

Marta czekała cierpliwie, aż siostra skończy. Potem powiedziała:

- Wiem tylko, jak ugniatać ciasto na chleb, prać i potakiwać. To są moje jedyne zalety, Rabbi. Mam przecucie, że wybierzesz moją siostrę na żonę, lecz pozwól mi przynajmniej oddychać powietrzem domu, w którym mieszka małżeństwo, pozwól mi ścielić wasze łóżko i usługiwać wam.

Westchnęła i po chwili ciągnęła dalej:

- Dziewczęta w naszej wiosce śpiewają piosenkę, bardzo smutną piosenkę. Śpiewają ją wiosną, kiedy ptaki wysiadują jaja. Pozwól, że ją zaśpiewam, bo jej smutek kryje się w melodii:

*“Słuchajcie, młodzieńcy,*

*Mam już dość kupczenia ciałem,  
Na które nie ma nabywcy.  
Za grosze sprzedaję wszystko,  
Sprzedaję nawet siebie.  
Szybko, przychodźcie,  
Kto pierwszy, ten lepszy!  
Kto przyniesie mi jaskólcze jajo,  
Ten dostanie me wargi,  
Kto przyniesie mi orle jajo,  
Ten dostanie piersi,  
A kto mnie ukłuje,  
Temu oddam serce!”*

Łzy nabiegały jej do oczu. Maria przyłgnęła mocniej do Jezusa, jak gdyby w obawie, że ktoś jej go odbierze.

Marta miała uczucie, jakby przebito jej serce, ale zebrała się w sobie i rzekła:

- Rabbi, chcę ci coś jeszcze powiedzieć, a potem pójdę sobie i zostawię was samych. Żył sobie kiedyś przystojny bogacz imieniem Booz. Mieszkał opodal, w Betlejem. Było lato i jego niewolnicy żeli zboże, młócili i stawiali stogi na ścierniskach: słomę po prawej stronie, a plewy zgarniali na lewą. Położył się ów bogacz między dwoma stogami i zasnął. W nocy cicho zbliżyła się do niego biedna kobieta imieniem Ruth i nie chcąc go obudzić, usiadła przy nim. Była bezdzietną wdową i dużo wycierpiała. Bogacz poczuł ciepło jej ciała i przyciągnął ją do siebie... Rozumiesz, Rabbi?

- Tak. Nie mów nic.

- Pójdę już - powiedziała Marta i podniosła się.

Jezus i Maria zostali sami. Zabrali matę i koc ozdobiony krzyżem i jaskólkami, i wspięli się na dach domu. Litościwa chmura zakryła słońce. Wślizgnęli się pod koc i pogrążyli w pieszczotach. W pewnej chwili koc osunął się trochę i Jezus otworzył oczy. Zobaczył Murzynka na brzegu dachu. Trzymał w rękach pasterską fujarkę i grał na niej, wpatrując się w drogę do Jerozolimy.

Następnego dnia cała wioska przyszła podziwiać nowego Łazarza. Murzynek chętnie wykonywał wszystkie polecenia - przynosił wodę ze studni, doił owce, pomagał Marcie rozpalić ogień. Potem przysiadł na progu i wyciągnął fujarkę.

Mieszkańcy wioski przynosili kłosa zboża, mleko, daktyle i miód w podarunku, aby powitać dziwnego gościa, który był tak bardzo podobny do Łazarza. Widząc w progu Murzynka, przekomarzali się z nim wesoło. Chłopiec śmiał się w odpowiedzi.

Do chaty wszedł stary ślepiec, wyciągnął rękę i przesunął dłonią po kolanach, udach i ramionach Jezusa. Potem potrząsnął głową i wybuchnął śmiechem.

- Czy jesteście ślepi? - krzyknął do wieśniaków, którzy zgromadzili się na podwórku. - To nie jest Łazarz. To nie jego oddech. Ciało też nie: kości ma mocniejsze, a mięśnie tak twarde, że i toporem by ich nie rozłupał.

Jezus usiadł na podwórku i roześmiał się.

- Nie bójcie się, nie jestem Łazarzem. On już odszedł na zawsze. Ja mam tylko tak samo na imię - Łazarz. Jestem mistrz Łazarz, cieśla. Anioł z zielonymi skrzydłami przyniósł mnie tutaj i wszedłem do tego domu. - Spojrzał na Murzynka, który zawtórował mu śmiechem.

Czas płynął, jak nieśmiertelna woda, nawadniając świat. Zboże dojrzało, grona zaczęły lśnić, oliwki wypełniły się olejem, a kwitnące drzewa granatu zaowocowały. Maria leżała w połogu i z zachwytem przyglądała się nowo narodzonemu dziecku.

- Mój Boże, czy ten cud naprawdę się wydarzył? Czy to niemowlę wyszło z mego łona? Zaprawdę piłam wodę nieśmiertelności - mówiła z uśmiechem. - Piłam wodę nieśmiertelności, a więc nie umrę!

Była ciemna, deszczowa noc. Wyschnięta ziemia zamieniła się w błoto, z wdzięcznością wchłaniając w siebie niebiosa. Mistrz Łazarz, wyciągnięty pośród nie wykończonych kołysek i żłobów oraz wiórów, jakie pokrywały podłogę jego warsztatu, wsłuchiwał się w grzmoty, myśląc o swoim nowo narodzonym synu i Bogu. Pierwszy raz Bóg wszedł do jego umysłu w postaci dziecka. Słyszał, jak niemowlę płacze i śmieje się w izbie obok; słyszał, jak tańczy u stóp matki. A więc Bóg jest tak blisko, pomyślał głaszcząc czarną brodę. Jego pięty są różowe i miękkie, takie delikatne. A więc ten Wszechmogący Bóg tak łatwo się śmieje - wystarczy, że dotkną Go ludzkie palce?

Murzynek ziewnął. Siedział w kącie przy drzwiach i udawał, że śpi. Słyszając, jak matka tuli noworodka, uśmiechnął się z zadowoleniem. Teraz nocą, kiedy nikt go nie widział, wrócił do postaci anioła i odpoczywał, rozpostarłszy swe zielone skrzydła na trocinach.

- Jezusie, nie śpisz? - wyszeptał w ciemnościach.

Jezus udawał, że nie słyszy. Niezmiernie lubił siedzieć tak w milczeniu i

słuchać w nocnej ciszy głosu noworodka. Uśmiechnął się jednak. Bardzo przywiązał się do Murzynka. Jak dzień długi, chłopiec spełniał drobne posługi i pomagał strugać drewno. Wieczorem, po skończonej pracy, siadał na progu i grał dla niego na fujarce. Słuchając, Jezus zapominał o codziennym trudzie. Kiedy zaś wschodziła pierwsza gwiazda, zasiadali razem do stołu, a Murzynek bez końca chichotał i żartował, przekomarzając się z biedną Martą i wprawiając ją w zakłopotanie, gdy wspominał o jej dziewictwie.

- Daleko, w mojej rodzinnej Etiopii - mawiał, śmiejąc się i kokieteryjnie mrugając do Marty - nie tłamsimy w sobie naszych skrytych pragnień i nie trapiemy naszych serc, jak wy, Żydzi. Szczerze i otwarcie mówimy o naszych pragnieniach i spełniamy je. Jeśli mam ochotę popływać, pływam. Jeśli mam ochotę pocałować dziewczynę, całuję ją. I nasz bóg nas za to nie karci. On jest czarny i kocha czarnych ludzi. Nosi złote koła w uszach i też robi to, na co ma ochotę. Jest naszym starszym bratem. Mamy wspólną matkę - Noc.

- Czy twój bóg jest nieśmiertelny? - spytała go raz Marta, żeby mu dokuczyć.

- Dopóki żyje choć jeden czarny człowiek, nasz bóg nie umrze - odpowiedział Murzynek schylając się, by pogłaskać jej stopy.

Każdej nocy, gdy tylko zgaszono lampę, anioł stróż rozwijał swe skrzydła w ciemności i kładł się u boku swego towarzysza. Rozmawiali półgłosem, żeby nikogo nie obudzić. Anioł dawał mu rady na nadchodzący dzień. Później znów zamieniał się w Murzynka, czołgał się wśród trocin na swoje miejsce i zasypiał.

Ale dziś nie mógł zasnąć.

- Jezusie, nie śpisz? - powtórzył nieco głośniejszym głosem.

Kiedy znów nie uzyskał odpowiedzi, poderwał się, podszedł do Jezusa i szturchnął go.

- Hej, Łazarzu, panie mój. Wiem, że nie śpisz. Dlaczego nie odpowiadasz?

- Nie chcę rozmawiać. Jestem szczęśliwy - odparł Jezus zamykając oczy.

- Czy jesteś ze mnie zadowolony? - spytał anioł, a duma rozpieła mu piersi. - Czy możesz się na coś uskarżać?

- Na nic, mój chłopcze, na nic - jego serce uradowało się i rozkwitło. - Jakąż złą drogę obrałem, żeby dojść do Boga - wyszeptał. - Jakie zapomniane zбочe, pełne urwisk i przepaści! Wołałem, wołałem, mój głos odbijał się echem od niezamieszkałej góry, a ja myślałem, że to była odpowiedź.

Anioł roześmiał się.

- Sam nie znajdziesz Boga. Do tego potrzebne są dwie osoby - mężczyzna i kobieta. Nie wiedziałeś o tym - ja cię tego nauczyłem. Dzięki temu po tylu latach wreszcie Go znalazłeś, poślubiając Marię. A teraz siedzisz w ciemnościach, słuchasz śmiechu i płaczu dziecka i radujesz się.

- Oto istota Boga - wyszeptał Jezus. - Oto istota człowieczeństwa. To jest moja droga. - Znów zamknął oczy.

Westchnął: całe jego dotychczasowe życie przesunęło się w jego umyśle.

Wyciągnął ramię i dotknął dłoni anioła.

- Mój aniele stróżu - rzekł czule. - Gdybyś nie nadszedł, byłbym zgubiony. Stój zawsze przy mnie.

- Nie obawiaj się. Lubię cię i nigdy nie opuszczę.

- Jak długo potrwa to szczęście?

- Tak długo, jak ja będę z tobą, a ty ze mną, Jezusie z Nazaretu.

- Całą wieczność?

Anioł roześmiał się.

- Czymże jest wieczność? Nie pozbyłeś się jeszcze wielkich słów, Jezusie z Nazaretu, wielkich słów, wielkich idei, królestw niebieskich. Czy nawet twój syn cię z tego nie uleczy? - Uderzył pięścią w ziemię. - Oto królestwo niebieskie: ziemia. Oto Bóg: twój syn. Oto wieczność: każda chwila. Jezusie z Nazaretu, każda upływająca chwila. Chwila ci nie wystarczy? Jeśli tak, wieczności też będzie ci za mało.

Zamilkł. Na podwórku rozległy się lekkie kroki. Ktoś zbliżał się bosą.

- Kto tam? - spytał Jezus wstając.

- To kobieta - odrzekł anioł i odryglował drzwi.

- Jaka kobieta?

Anioł pokiwał palcem, jakby go karciał.

- Już raz ci mówiłem. Czyżbyś zapomniał? Na świecie jest tylko jedna kobieta. Jedna o niezliczonych twarzach. Jedna z tych twarzy nadchodzi. Wstań i przywitaj ją. Ja wychodzę.

Wślizgnął się w trociny jak wąż i zniknął.

Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Jezus odwrócił się do ściany i zamknawszy oczy, udawał, że śpi. Czyjaś dłoń pchnęła drzwi i do środka weszła kobieta, wstrzymując oddech. Wolno kroczyła naprzód, doszła do kąta, w którym leżał Jezus i bez słowa, nie czyniąc żadnego hałasu, zwinęła się w kłębek u jego stóp.

Jezus poczuł ciepło rozchodzące się od stóp, przez kolana, uda, serce, aż do

karku. Opuścił dłoń, odnalazł warkocze i w ciemności przesunął ręką po twarzy, szyi i piersiach kobiety. Wyprężyła się cała w oczekiwaniu, powolna jego ruchom, i milczała. Jej drżące ciało pokryło się lodowatym potem.

Mężczyzna przemówił cicho, czule, ze współczuciem:

- Kim jesteś?

Kobieta zadrżała, lecz nie odezwała się. Jezus pożałował swego pytania: znów zapomniał o słowach anioła. Jakie znaczenie ma to, jak się nazywa, skąd pochodzi, jakiego kształtu i koloru ma twarz? Czy była piękna czy brzydka? To przecież kobieca twarz ziemi. Jej łono oczekiwało spełnienia: wielu synów i córek dusiło się w nim, nie mogąc wydostać się na świat. Przyszła do mężczyzny, aby otworzył im drogę. Serce Jezusa przepełniło się współczuciem.

- Jestem Ruth - wyszeptała drżąca kobieta.

- Ruth? Jaka Ruth?

- Marta.

## ROZDZIAŁ XXXII

Mijały dni, miesiące, lata. W domu mistrza Łazarza przybywało synów i córek, a Marta i Maria szły w zawody o to, która urodzi ich więcej. On pracował ciężko, to w warsztacie, zmagając się z sosną, dębem kermesowym i cyprysem, które ścinał i zamieniał w pożyteczne narzędzia, to znów w polu, walcząc z wiatrem, kretami i pokrzywami. Wieczorem, wracając wyczerpany do domu, siadał na podwórzu i jego kobiety przychodziły, aby obmyć mu stopy i łydki, rozpalić ogień, nakryć dla niego do stołu i rozewrzeć przed nim szeroko ramiona. I wówczas, tak samo jak pracował z drewnem, oswobadzając uwięzione w nim kołyski, tak jak zmagał się z ziemią, uwalniając z niej winogrona i kłosa zboża, tak też kochał się z nimi, uwalniając to, co było w ich wnętrzu: Boga.

“Cóż za szczęście - myślał Jezus - jaka harmonia pomiędzy ciałem a duszą, ziemią a człowiekiem”!... A Marta i Maria wyciągały ręce, żeby dotknąć nimi człowieka, którego kochały i jego dzieci, które wydały na świat; dotykały ich, aby upewnić się, że tak one, jak i cała ta słodycz i radość są prawdziwe. Aż za wiele było dla nich tego szczęścia!

Którejś nocy Marię nawiedził straszny sen. Wstała, wyszła na podwórze i zobaczyła Jezusa, który umył się i siedział zadowolony na ziemi z dłońmi wciśniętymi w glebę. Podeszła do niego i usiadła u jego boku.

- Czym są sny, Rabbi? - zapytała go cicho. - Skąd się biorą? Kto je zsyła?

- To ani anioły, ani diabły - odparł Jezus. - Gdy Lucyfer zbuntował się przeciwko Bogu, sny nie mogły zdecydować się, po której stanąć strome. Pozostały pomiędzy diabłami a aniołami i Bóg strącił je do piekła snu... Dlaczego pytasz? Co ci się przyśniło, Mario?

Maria wybuchnęła płaczem i nie odpowiedziała. Jezus pogłaskał ją po ręce.

- Jeżeli zatrzymasz to w sobie, Mario, to będzie cię gryzło od środka. Pozbądź się tego, wyrzuć z siebie!

Maria bała się tak bardzo, że z trudem łapała oddech. Jezus głaskał ją, dodając odwagi.

- Przez całą noc księżyc świecił tak jasno, że nie mogłam spać. Ale o świcie musiałam chyba w końcu zasnąć, bo zobaczyłam ptaka... Nie, to nie był ptak: miał sześć ognistych skrzydeł - to był na pewno jeden z tych serafinów, które fruują wokół



Bożego Tronu. Nadleciał i okrążył mnie bezszelestnie - i nagle rzucił się w dół i otulił skrzydłami moją głowę. Włożył dziób do mojego ucha i przemówił... Rabbi, padam do twoich stóp i całuję je. Każ mi milczeć!

- Odwagi, Mario. Jestem przecież z tobą. Dlatego się boisz?... Więc przemówił do ciebie. Co powiedział?

- Że to wszystko, Rabbi, jest...

Raz jeszcze nie mogła złapać tchu. Ujęła Jezusa za kolana i ścisnęła je mocno.

- Że to wszystko jest... Czym, najdroższa Mario?

- Snem. - Wybuchnęła płaczem.

Jezus wzdrygnął się.

- Snem?

- Tak, Rabbi. Wszystko to sen.

- Jak to "wszystko"?

- Ty, ja, Marta, to, że przytulamy się w nocy, nasze dzieci... Wszystko, wszystko to kłamstwa! Kłamstwa stworzone przez kusiciela po to, żeby nas oszukać! Wziął sen, śmierć i powietrze i ulepił z nich... Rabbi, ratuj mnie!

Padła na ziemię, zadrżała jak w konwulsjach, po czym nagle zeszywniała.

Marta wybiegła z domu, niosąc różany ocet i natarła jej skronie. Maria odzyskała przytomność, otworzyła oczy i widząc Jezusa, ścisnęła jego stopy.

- Rabbi, ona porusza ustami - powiedziała Marta. - Pochyl się. Chyba chce ci coś powiedzieć.

Jezus pochylił się i uniół jej głowę. Poruszyła wargami.

- Co powiedziałaś, kochana Mario? Nie dosłyszałem.

Maria zebrała wszystkie siły.

- I że ty, Rabbi... - wyszeptała.

- Co ja?... Mów!

- ... zostałeś ukrzyżowany! - Powiedziawszy to, Maria osunęła się z powrotem na ziemię.

Zanieśli ją do łóżka. Marta została przy niej, a Jezus otworzył drzwi i wyszedł z domu. Dusił się. Usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się i ujrzał małego Murzynka.

- Czego chcesz? - zawołał gniewnie. - Chcę być sam!

- Boję się zostawić cię samego, Jezusie z Nazaretu - powiedział Murzynek. Jego oczy błyszczały. - To trudna chwila. Twój umysł może odmówić ci posłuszeństwa.

- Tego właśnie pragnę. Czasami mój skołowany umysł mnie zaślepia.

Murzynek roześmiał się.

- Czyżbyś nie był mężczyzną? Wierzysz w sny? - Niech kobiety płaczą. Są kobietami, nie potrafią znieść wielkiej radości. Ale my, my potrafimy - nieprawda?

- Tak. Bądźcie cicho!

Szli obok siebie w milczeniu, wspinając się na zielone wzgórze. Trawa była usiana zawilcami i żółtymi stokrotkami. Ziemia pachniała tymiankiem. Jezus dostrzegł swój dom pomiędzy oliwnymi drzewami. Z komina leniwie unosił się dym. Jezus poczuł w głębi serca ulgę. Kobiety odzyskały siły, pomyślał. Kucały teraz pewnie przed paleniskiem, rozpalając ogień...

- Wracajmy i nie mówmy już o tym - powiedział do Murzynka. - Są kobietami, więc miej nad nimi litość.

Mijały dni. Któregoś dnia przed domem pojawił się podпиты wędrowiec. Był szabat i Jezus nie pracował. Siedział na progu i bawił się z synkiem i córką, które trzymał na kolanach. Rano padał deszcz, ale po południu rozpogodziło się i teraz cienkie, wiśniowe chmury płynęły na zachód na tle nieba, które było w jednolicie zielonym kolorze, niczym łąka. Na dachu gruchały dwa gołębie. Maria siedziała u boku Jezusa, kołysząc pełnymi piersiami.

Wędrowiec zatrzymał się, zerknął z ukosa na Jezusa i roześmiał się. - Hej, mistrzu Łazarzu - powiedział, zająkując się - no, no, ale z ciebie szczęściarz! Mijają lata, a ty siedzisz sobie jak ten patriarcha Jakub z żonami Leą i Rachelą. Ty też masz dwie żony - Martę i Marię. Jedna, jak słyszę, zajmuje się domem, druga tobą; a ty zajmujesz się wszystkim: lasem, ziemią, żonami - i Bogiem. Ale pokaż się trochę, wystaw nos za próg, osłoń przed słońcem oczy i wyjrzyj na zewnątrz, żeby zobaczyć, co dzieje się na świecie... Słyszałeś kiedy o Piłacie, Poncjuszu Piłacie? Niech jego kości smażą się w smole!

Jezus poznał podchmielonego wędrowca i uśmiechnął się.

- Szymonie z Cyrenei, człowieku Boga i wina, witaj! Weź stółek i spocznij sobie. Marto, puchar wina dla mojego starego przyjaciela.

Wędrowiec usiadł na stołku i ujął puchar w obie dłonie.

- Cały świat mnie zna - powiedział chełpliwie. - Każdy modlił się w mojej karczmie. Ty pewnie także, mistrzu Łazarzu, ale nie zmieniaj tematu. Pytałem, czy słyszałeś o Piłacie, Poncjuszu Piłacie. Spotkałeś go kiedyś?

Czarnoskóry chłopiec wyrósł jak spod ziemi. Oparł się o drzwi i słuchał.

- Przez mój umysł przepływa cienka chmura - powiedział Jezus, wyteżając

pamięć. - Para zimnych oczu, popielatych jak u jastrzębia, szydery śmiech, złoty pierścień... Nic więcej nie pamiętam. Ach, tak - srebrna miednica, którą kazał sobie przynieść, aby umyć ręce. Nic więcej. To musiał być sen, szron, który osiadł na moim umyśle. Wzeszło słońce i zniknął... Ale teraz, gdy mnie o niego zapytałeś, Cyrenejczyku, przypominam sobie, że dręczył mnie bardzo w tym moim śnie.

- Do diabła z nim! Słyszałem, że w oczach Boga sny mają większą wagę niż rzeczywistość na jawie. No cóż, Pan Bóg pokarał Piłata. Został ukrzyżowany.

Z ust Jezusa wyrwał się okrzyk:

- Ukrzyżowany!

- A cóż cię tak porusza? Dobrze mu tak! Znaleźli go wczoraj o świcie - ukrzyżowanego. Wygląda na to, że ostatnimi czasy umysł odmawiał biedakowi posłuszeństwa. Nie mógł spać. Wstawał z łóżka, szedł do miednicy i przez całą noc mył w niej ręce, wołając: "Umywam ręce: jestem niewinny!" Ale krew nie chciała zejść i musiał nalewać do miednicy wody jeszcze raz i znowu je myć. Potem włączył się po Golgocie. Nie mógł zaznać ani chwili spokoju. Co noc rozkazywał dwóm wiernym murzyńskim sługom, żeby chłostali go jego własnym biczem. Nazbierał cierni, upłócił z nich koronę i zakładał ją sobie na głowę, kalecząc się do krwi.

- Pamiętam... pamiętam... - powtarzał półgłosem Jezus. Od czasu do czasu zerkał ukradkiem w stronę chłopca, który słuchał z uwagą, oparty o drzwi.

- Potem zaczął pić. Obchodził wszystkie karczmy. W mojej też był - wypił i zamienił się w koguta i świnie. Jego żona, oburzona tym wszystkim, porzuciła go. Wkrótce z Rzymu nadeszły rozkazy, aby go zwolnić... Słuchasz, mistrzu Łazarzu? Dlaczego wzdychasz?

Jezus nie odpowiedział, zapatrzony w ziemię. Chłopiec dolał Szymonowi wina.

- Cicho! - wyszeptał mu z sykiem do ucha. - Odejdź stąd!

Szymon rozgniewał się.

- Dlaczego miałbym być cicho! Nie wdaję się w szczegóły, wczoraj o świcie twój przyjaciel Piłata znaleziono ukrzyżowanego na szczycie Golgoty!

Jezus poczuł zniechęcające ukłucie w sercu, tak jakby przeszła je kopia, a cztery sine znamiona na jego dłoniach i stopach nabrzmiały i poczerwieniały. Maria ujrzała, że zbladł. Podeszła do niego i dotknęła lekko jego kolan

- Kochany - powiedziała - jesteś zmęczony. Wejdz do środka i połóż się.

Słońce zaszło; na dworze zrobiło się chłodno. Cyrenejczyk, teraz już zupełnie pijany, zmęczył się mówieniem i zasnął. Murzynek schwycił go za rękę, jednym

ruchem zarzucił ją sobie na szyję i wywlókł go z wioski.

- Bredziłeś, pijaku - powiedział do niego rozgniewany, wskazując mu drogę do Jerozolimy. - Idź sobie!

Chłopiec wrócił pospiesznie do domu. Jezus leżał na wznak w swoim warsztacie ze wzrokiem utkwionym w sufit. Marta zastawiała stół do wieczerzy. Maria karmiła piersią najmłodsze dziecko, obserwując w milczeniu Jezusa. Murzynek wszedł do środka, z oczami wciąż jeszcze rozplamionymi gniewnie.

- Poszedł sobie - oznajmił. - Był kompletnie pijany, sam nie wiedział, co mówi.

Jezus odwrócił się i popatrzył na chłopca oczami przepelnionymi bólem. Zagryzł wargi, aby nie ośmieliły się przemówić. Jeszcze raz obrócił się w stronę Murzynka. Wydawało się, że prosi go o pomoc. Ale chłopiec położył palec na ustach i uśmiechnął się do Jezusa.

- Połóż się spać - powiedział. - Śpij.

Jezus zamknął oczy. Jego usta rozluźniły się, zmarszczki na czole zniknęły i zapadł w sen. Gdy zbudził się następnego dnia o świcie, czuł radość i ulgę, tak jakby uniknął jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Chłopiec wstał także i krzątał się po warsztacie, parszkając cicho śmiechem.

- Z czego się śmiejesz? - zapytał Jezus, mrugając do niego.

- Śmieję się z ludzkości, Jezusie z Nazaretu - Murzynek zniżył głos, żeby nie usłyszały go kobiety. - Cóż za potworny strach musi bez przerwy nękać wasze umysły! Po prawej same skały, po lewej same skały, skały za plecami. Jedyne drogi wiedzie w przód, a tam czeka lina rozpięta nad przepaścią!

- W pewnej chwili - powiedział Jezus, także się śmiejąc - mój umysł potknął się na tej linie i omal z niej nie spadłem. Ale wyszedłem cało!

Na widok kobiet zaczęli rozmawiać o czym innym. Zapłonął ogień, rozpoczęła się dzień. Na podwórzu wbiegła gromadka dzieci, które zaczęły bawić się w chowanego.

- Mario, czy my mamy aż tyle dzieci? - zapytał Jezus ze śmiechem. - Marto, podwórzu jest pełne. Albo powiększymy dom, albo przestaniemy je płodzić.

- Powiększymy dom - odparła Marta.

- Wdrapują się na ściany i drzewa jak myszy i wiewiórki. Wypowiedzieliśmy wojnę śmierci, Mario. Niech będą błogosławione ciała kobiet. Są jak ryby, pełne ikry. Śmierć nas nie pokona.

- Nie, śmierć nas nie pokona, ukochany. Dbaj tylko o siebie, abyś pozostał w

zdrowiu - odpowiedziała Maria.

Jezus był w dobrym nastroju i miał ochotę trochę się z nią poprzekomarzać. Poza tym, widok Marii, która stała przed nim ciągle jeszcze nie całkiem rozbudzona ze snu, rozczesując włosy, sprawił mu dużą przyjemność.

- Mario - zapytał - nie myślisz czasem o śmierci, nie zabiegasz o miłosierdzie Boga, czy nie martwi cię to, co stanie się z tobą w następnym życiu?

Maria potrząsnęła swoimi długimi włosami i roześmiała się.

- To wszystko są zmartwienia mężczyzn - powiedziała. - Nie, ja nie zabiegam o miłosierdzie Boga. Jestem kobietą, zabiegam o miłosierdzie mego męża. I nie dobijam się do drzwi Boga, żeby prosić go jak żebrak o wieczne radości rajy. Ja przytulam mężczyznę, którego kocham i nie pragnę żadnego innego rajy. Zostawmy wieczne radości mężczyznom!

- Zostawić je mężczyznom? - zapytał Jezus, głaszcząc jej nagie ramię. - Moja ukochana żono, ziemia jest jak ciasne klepisko. Jak możesz zamykać się w nim i nie pragnąć się z niego wydostać?

- Kobieta jest szczęśliwa tylko wtedy, gdy coś ją ogranicza. Wiesz o tym, Rabbi. Kobieta jest jak jezioro, nie jak strumień.

Do izby wpadła Marta.

- Ktoś wypytuje o nasz dom - powiedziała. - Niski, gruby garbus z głową łąsą jak kolano. Pędzi potykając się o swoje krzywe kulasy i będzie tu lada chwila.

W tym momencie do środka wpadł Murzynek, także zdyszany.

- Ten człowiek mi się nie podoba; zamknę mu drzwi przed nosem. To tylko jeszcze jeden intruz, który postawi wszystko na głowie.

Jezus obrzucił chłopca srogim spojrzeniem.

- Czego się obawiasz? - zapytał. - Kim on jest, że tak się go lękasz? Otwórz drzwi!

Murzynek mrugnął do niego.

- Odpędź go stąd - powiedział cicho.

- Dlaczego? Kim on jest?

- Odpędź go stąd - powtórzył chłopiec - i nie pytaj o nic.

Jezus rozgniewał się.

- Czyż nie jestem wolny? Czy nie mogę robić, co mi się podoba? Otwieraj drzwi.

Od strony drogi dobiegł odgłos kroków. Po chwili zaległa cisza i usłyszeli pukanie.

- Kto tam? - zapytał Jezus, wybiegając na podwórze.

Odpowiedział mu wysoki, zachrypnięty głos:

- Wysłaniec Boga. Otwórzcie!

Drzwi otworzyły się. Na progu stał pokraczny, otyły garbus, który mimo dość młodego wieku był całkiem łysy. Jego oczy miały płomień. Kobiety na jego widok cofnęły się o krok.

- Radujcie się, bracia - powiedział gość, rozpościerając ramiona. - Przynoszę wam Dobrą Nowinę.

Jezus patrzył na niego, starając się przypomnieć sobie, gdzie go już widział. Po krzyżu przeszły mu ciarki.

- Kim jesteś? Wydaje mi się, że już cię gdzieś widziałem. W pałacu Kajfasza? Podczas jakiegoś ukrzyżowania?

Skulony w jednym z narożników podwórza czarnoskóry chłopiec parsknął pogardliwie:

- To Saul, krwiożerczy Saul!

- Ty jesteś Saul? - zapytał Jezus ze zgrozą.

- Byłem nim, ale już nie jestem. Ujrzałem światło prawdy; noszę imię Paweł. Zostałem zbawiony - chwała niech będzie Bogu! - i teraz wyruszyłem, aby zbawić świat! Nie Judeę, nie Palestynę, ale cały świat! Dobra Nowina, którą głoszę, potrzebuje oceanów i odległych miast: potrzebuje przestrzeni. Nie kręć głową, mistrzu Łazarzu: nie śmieję się, nie drwij. Tak, ja zbawię świat!

- Mój chłopcze - odparł Jezus - powróciłem już stamtąd, dokąd ty teraz zmierzasz. Pamiętam, że kiedy byłem taki młody jak ty, też wyruszyłem, żeby zbawić świat. Czyż nie to właśnie znaczy być młodym - chcieć zbawić świat? Chodziłem boso, w łachmanach, przepasany szarfą nabitą gwoździami, jak dawni prorocy. Krzychałem: "Miłość! Miłość!" i wiele innych rzeczy, których nie chcę już nawet pamiętać. Obrzucano mnie skórkami od cytryn, bito i o mały włos zostałbym ukrzyżowany. To samo stanie się z tobą, mój chłopcze!

Jezus tak był wzburzony, że zapominając o swojej przybranej roli, odsłaniał przed nieznajomym swą tajemnicę.

Przerażony Murzynek wpadł pomiędzy nich, żeby zmienić temat ich rozmowy.

- Nie rozmawiaj z nim, panie. Chciałbym go o coś zapytać. Pozwól, że z nim pomówię.

Odwrócił się w stronę przybysza.

- Czy to nie ty, szatanie, bestialsko zamordowałeś Marię Magdalenę? Twoje ręce ociekają krwią. Opuść to zacne domostwo!

- Ty? Ty? - zapytał Jezus drżąc.

- Tak, ja - odparł Paweł, wzdychając głęboko. - Uderzam się w pierś, rozdieram szaty i wołam: "Zgrzeszyłem! Zgrzeszyłem!" Otrzymałem listy z poleceniem, by zabić każdego, kto pogwałci Prawo Mojżeszowe. Zabiłem wszystkich, których mogłem zabić i wracałem do Damaszku, gdy nagle z nieba strzeliła błyskawica i rzuciła mnie na kolana. Wielka światłość oślepiła moje oczy - nie widziałem nic. Ale usłyszałem nad głową głos, który zapytał z wyrzutem:

- Saulu, dlaczego mnie prześladujesz? Cóż ci uczyniłem?

- Kim jesteś, Panie? - zawołałem.

- Jestem Jezus, którego prześladujesz. Wstań, idź do Damaszku, a tam moi wierni powiedzą ci, co masz uczynić.

Zerwałem się na równe nogi, drżąc cały. Miałem otwarte oczy, ale nie widziałem nic. Moi towarzysze wzięli mnie pod ramiona i zaprowadzili do Damaszku. I jeden z uczniów Jezusa, Ananiasz - niech go Bóg błogosławi - przyszedł do chaty, w której się zatrzymałem. Położył rękę na mojej głowie i wygłosił modlitwę:

- Chryste, daj mu wzrok, aby mógł przemierzać cały świat głosząc Ewangelię!

Kiedy to mówił, z moich oczu opadły łuski. Zacząłem widzieć i zostałem ochrzczony. Stałem się Pawłem, apostołem narodów. Nauczam, na lądzie i morzu rozgłaszam Dobrą Nowinę... Dlaczego tak na mnie patrzysz, że aż oczy wychodzą ci na wierzch? Mistrzu Łazarzu, dlaczego jesteś taki wzburzony?

Jezus przemierzał dziedziniec tam i z powrotem z zaciśniętymi pięściami i pianą w kącikach ust. Ujrzał poblądłe kobiety stojące w kacie; ujrzał dzieci z płaczem tulące się do matek.

- Wejdźcie do domu - rozkazał im. - Zostawcie nas samych.

Strapiony Murzynek podszedł do niego i chciał coś powiedzieć, ale Jezus odepchnął go gniewnym ruchem.

- Czyż nie jestem wolny? - zapytał. - Dość już wytrzymałem, teraz będę mówił!

Odwrócił się do Pawła.

- Jaką to Dobrą Nowinę głosisz? - huknął załamującym się głosem.

- Jezus z Nazaretu - na pewno słyszałeś o nim - nie był synem Józefa i Marii; był Synem Boga. Zstąpił na ziemię i przybrał postać człowieka, aby zbawić ludzkość. Źli kapłani i faryzeusze pojmali go, przywiedli przed oblicze Piłata i ukrzyżowali. Ale

trzeciego dnia on powstał z martwych i wstąpił do nieba. Śmierć została zwyciężona, bracia, grzechy odpuszczone, Bramy Nieba stoją otworem!

- Widziałeś tego zmartwychwstałego Jezusa z Nazaretu? - zapytał Jezus podniesionym głosem. - Widziałeś go na własne oczy? Jak wyglądał?

- Jak błyskawica - błyskawica, która przemawia.

- Kłamca!

- Widzieli go jego uczniowie. Po ukrzyżowaniu zebrali się na jakimś strychu, za zamkniętymi drzwiami. Nagle zjawił się on - stanął pomiędzy nimi i powiedział: "Pokój wam!" Widzieli go wszyscy i oniemieli na ten widok, jeden tylko Tomasz nie chciał uwierzyć. Włożył palec w jego rany i dał mu rybę do zjedzenia.

- Kłamca!

Paweł nie pozwolił sobie jednak zamknąć ust. Jego oczy błyszczały, a powykręcane ciało wyprostowało się.

- Nie zrodził się z człowieka; jego matka była dziewicą. Anioł Gabriel zstąpił z nieba, powiedział: "Zdrowaś, Mario" i jego słowo upadło jak nasienie na jej łono. Tak przyszedł na świat.

- Kłamca! Kłamca!

Zdumiony Paweł stał bez ruchu. Chłopiec wstał i zamknął drzwi na zasuwę.

Zaciekawieni ich krzykami sąsiedzi nasłuchiwali przez uchylone drzwi swoich domów. Na podwórzu pojawiły się przestraszone żony, ale Murzynek zagonił je z powrotem do domu. Jezus kipiał gniewem; nie mógł już dłużej uciszać serca. Podszedł do Pawła, schwycił go za ramiona i potrząsnął nim gwałtownie.

- Kłamca! Kłamca! - zawołał. - To ja jestem Jezus z Nazaretu i nigdy mnie nie ukrzyżowano, nigdy nie zmartwychwstałem. Jestem synem Marii i Józefa, cieśli z Nazaretu. Nie jestem synem Boga; jestem synem człowieka - jak wszyscy. Co za bluźnierstwa wygadujesz! Zuchwalstwa! Kłamstwa! I takimi kłamstwami, oszuście, ośmielasz się zbawiać świat?

- Ty? Ty? - mamrotał Paweł, wstrząśnięty. Gdy mistrz Łazarz przemawiał, z pianą na ustach, Paweł dostrzegł sine znamiona przypominające blizny po gwoździach na jego dłoniach i stopach oraz ranę w okolicy serca.

- Czego wybałuszasz oczy? - krzyknął Jezus. - Czego gapisz się na moje dłonie i stopy? Tymi znamionami, które widzisz, nazaczył mnie Bóg podczas snu. Bóg albo kusiciel, ciągle nie pojmuję, który z nich dwóch. Śniło mi się, że wiszę na krzyżu, cierpiąc katusze, ale zawołałem głośno, obudziłem się i mój ból zniknął. Ból, który



powiniennem cierpieć na jawie, wycierpiałem we śnie - i uciekłem!

- Cicho! Cicho! - krzyknął Paweł, ściskając dłońmi skronie. Czuł, że za chwilę pęknie mu czaszka.

Ale Jezus nie mógł zamilknąć! Czuł się tak, jakby te słowa były uwiecznione w jego piersi przez całe lata i teraz jego serce otworzyło się i wylewało niepowstrzymany strumień. Czarnoskóry chłopiec przywarł do niego.

- Cicho! Cicho! - zaklinał, ale Jezus pchnął go na ziemię i odwrócił się do Pawła.

- Tak, tak. Powiem wszystko. Muszę zaznać ulgi. Co powiniennem był wycierpieć na jawie, wycierpiałem we śnie. Uciekałem; przybyłem do tej malutkiej wioski pod innym imieniem i w innym ciele. Tutaj żyję jak człowiek: jem, piję, pracuję i mam dzieci. Wielki pożar przygasł, ja sam również stałem się spokojnym płomieniem; leżę skulony przy kominku, a moja żona gotuje strawę dla dzieci. Postawiłem żagiel, aby podbić świat, ale rzuciłem kotwicę tu, w tej zacisznej zatoczce. I bardzo dobrze - nie mam żadnych pretensji. Jestem synem człowieka - człowieka, powiadam ci, nie Boga... I nie rozpowiadam kłamstw po całym świecie. Powstanę i ogłoszę prawdę!

Teraz jednak Paweł wybuchnął.

- Milcz, wstydu nie masz! - krzyknął, postępując ku niemu. - Uciszyć się, bo usłyszą cię ludzie i umrą ze strachu. Pośród całej niegodziwości, niesprawiedliwości i całego ubóstwa tego świata, Ukrzyżowany i Zmartwychwstały Jezus był jedyną pociechą ucziwych i pokrzywdzonych. Prawda to czy nie - a cóż mnie to obchodzi! Dostyc, że świat jest zbawiony!

- Lepiej, żeby świat zniknął od prawdy, niż aby był zbawiony kłamstwami. W samym jądrze takiego Zbawienia siedzi wielki robak - szatan.

- Czym jest "prawda"? Czym "fałsz"? To, co daje ludziom skrzydła, co tworzy wielkie dzieła i rozświecła dusze; to, co wznosi człowieka ponad ziemię - to wszystko jest prawdą. To, co pozbawia go skrzydeł, jest fałszem.

- Zamilcz, synu szatana! Skrzydła, o których prawisz, to skrzydła Lucyfera.

- Nie, nie zamilknę. Mało mnie obchodzi, co jest prawdą, a co fałszem, czy go widziałem, czy nie, ani czy go ukrzyżowano. Ja tworzę prawdę, wykuwam ją z uporu, tęsknoty i wiary. Nie walczę o to, by ją znaleźć - ja ją buduję. Buduję ją większą od człowieka i w ten sposób dodaję mu wielkości. Jeżeli świat ma być zbawiony, ty musisz, słyszysz, musisz zostać ukrzyżowany i ja ciebie ukrzyżuję, czy ci się to podoba, czy nie; musisz zmartwychwstać i ja ciebie wskreszę, czy ci się to podoba, czy nie.

Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie gnąć tu, w tej nędznej wiosce i mnożyć kołyski, żłoby i dzieci. Zmuszę powietrze, aby przybrało twój kształt, jeżeli będzie trzeba. Ciało, cierniowa korona, gwoździe, krew... Cały świat jest teraz jedną wielką maszyną zbawienia - wszystko to jest niezbędne. I w każdym zakątku ziemi niezliczone oczy będą się wznosić ku niebu i widzieć cię w powietrzu - ukrzyżowanego. Ludzie będą szlochać, a ich łzy będą oczyszczać im dusze ze wszystkich grzechów. Ale trzeciego dnia ja wskrzeszę cię z umarłych, bo nie ma zbawienia bez zmartwychwstania. Śmierć to ostateczny, najstraszliwszy z wrogów. Ja pokonam śmierć. Jak? Wskrzeszę cię jako Jezusa, Syna Bożego - Mesjasza!

- To nieprawda! Powstanę i będę krzychał, że nie zostałem ukrzyżowany, że nie zmartwychwstałem, że nie jestem Bogiem!... Czego się śmiejesz?

- Krzycz sobie, ile chcesz. Nie boję się cię. Już cię nawet nie potrzebuję. Koło, które wprowadziłeś w ruch, nabrało rozpędu - ktoś je teraz zdoła zatrzymać? Prawdę mówiąc, kiedy przemówiłeś przed chwilą, przeszło mi przez myśl, żeby rzucić się na cię i udusić cię, tak byś przypadkiem nie ujawnił się i nie pokazał biednej ludzkości, że nie zostałeś ukrzyżowany. Ale zaraz potem uspokoiłem się. Dlaczego nie miałby krzychać? - pomyślałem sobie. - Wierni rzucą się na cię i spalą cię na stosie dla bluźnierców!

- Powtarzałem tylko jedno słowo, głosiłem jedno przesłanie: Miłość. Miłość - nic więcej.

- Mówiąc "Miłość" rozpętałeś wszystkie te anioły i demony, które drzemały we wnętrzościach ludzkości. "Miłość" to nie proste, niewinne słowo, jak tobie się zdaje. Przez nie giną armie, płoną miasta i leje się krew. Rzeki krwi, rzeki łez: oblicze ziemi się zmieniło. Możesz sobie teraz krzychać: "Ja nie chciałem tego powiedzieć - to nie o miłość chodzi. Nie zabijajcie się nawzajem! Jesteśmy wszyscy braćmi! Zatrzymajcie się!", możesz ochrypnąć od wrzasku... Ale jak, nieszczęśniku, jak oni mogą się teraz zatrzymać? Co się stało, to się nie odstanie.

- Śmiejesz się jak diabeł.

- Nie, jak apostoł. Zostanę twoim apostołem, czy tego chcesz, czy nie.

Stworzę cię, twoje życie i nauki, twoje ukrzyżowanie i zmartwychwstanie, tak jak będzie mi się podobało. To nie Józef, cieśla z Nazaretu, cię pocałował - to ja cię pocałowałem - ja, Paweł, skryba z Tarsu.

- Nie! Nie!

- Kto się cię pyta? Nie potrzebuję twój pozwolenia. Czemu wtykasz nos w

moje sprawy?

Jezus padł zrozpaczony na wysychającą ziemię i schował głowę pomiędzy kolana.

Jakże mógł zmierzyć się z tym demonem?

Paweł stanął nad Jezusem i zwrócił się do niego z pogardą:

- Jak świat może być zbawiony przez ciebie, mistrzu Łazarzu? Jaki krzepiący przykład do naśladowania dajesz ludziom? Czy dzięki tobie przewyższą samych siebie, czy ich duszom wyrosną skrzydła? Jeżeli świat chce być zbawiony, to będzie słuchał mnie - mnie!

Obejrzał się za siebie. Podwórze było puste. W jednym z jego narożników leżał skulony czarnoskóry chłopiec, który przewracał białkami oczu i skowyczał jak pies na łańcuchu. Kobiety pochowały się, sąsiedzi uciekli. Ale Paweł - tak jakby w jego oczach podwórze było wielkim placem zalanym morzem ludzi - jednym susem wspiął się na podest i zaczął wygłaszać kazanie do tłumu.

- Bracia, podnieście wzrok. Patrzcie! Po jednej stronie mistrz Łazarz; po drugiej Paweł, sługa Chrystusa. Wybierzcie! Jeżeli pójdziecie z nim, z mistrzem Łazarzem, będziecie wiedli życie w ubóstwie, przywiązani do kieratu; będziecie żyć i umierać tak jak żyją i umierają owce, które zostawiają po sobie trochę runa, żalosne beczenie i całą górę łajna. Jeżeli pójdziecie za mną: miłość, walka, wojna - podbijemy świat! Wybierajcie! Po jednej stronie Chrystus, Syn Boga, zbawienie świata; po drugiej mistrz Łazarz!

Rozpalony omiatał oczami niewidzialne tłumy. Jego krew wrzała. Ściany podwórza runęły, Murzynek i mistrz Łazarz zniknęli. Usłyszał głos w przestworzach.

- Wielkoduszny apostołe narodów, ty, który przetykasz fałsz własną krwią i łzami, zamieniając go w prawdę: bądź naszym przewodnikiem i prowadź nas. Dokąd zmierzamy?

Paweł rozpostarł szeroko ramiona. Obejmując cały świat, zawołał:

- Dokąd tylko sięga ludzkie oko. Nawet dalej. Dokąd tylko sięga ludzkie serce! Świat jest wielki - chwała niech będzie Bogu! Za ziemią Izraela jest Egipt, Syria, Fenicja, Azja Mniejsza, Grecja i wielkie, bogate wyspy - Cypr, Rodos i Kreta. Dalej Rzym. Jeszcze dalej - Barbarzyńcy o długich, jasnych włosach, uzbrojeni w topory o podwójnym ostrzu... Cóż za radość wyruszyć wcześniej o poranku, czując na twarzy smaganie górskiego wiatru lub morza, ująć krzyż, umieścić go pomiędzy skałami i w sercach ludzi - i zawładnąć światem! Jakaż radość być pogardzanym, bitym,

zrzucając do głębokich dołów i zabijającym - a wszystko dla Chrystusa!

Opanował się i uciszył. Niewidzialne tłumy rozplynęły się w powietrzu.

Odwrócił się i ujrzał Jezusa, który opierał się o ścianę i słuchał go w osłupieniu.

- Przez wzgląd na Chrystusa... Nie na ciebie, mistrzu Łazarzu, ale prawdziwego Chrystusa - mojego Chrystusa!

Nie potrafiąc powstrzymać się dłużej, Jezus wybuchnął płaczem. Młody Murzynek podszedł do niego i zapytał cicho:

- Jezusie z Nazaretu, dlaczego płaczesz?

- Mój zauszniku - odparł Jezus - jak można nie zapłakać, widząc jedyną drogę do zbawienia świata?

Paweł zszedł z podestu. Jego rzadkie włosy były mokre. Zdjął sandały, otrzepał je z kurzu i ruszył w stronę drzwi prowadzących na ulicę.

- Otrzepałem pył twojego domu z moich sandałów - powiedział do Jezusa, który stał zboląły na środku podwórza. - Żegnaj! Obyś jadł do syta, pił dobre wino, całował z przyjemnością i dożył sędziwego wieku, mistrzu Łazarzu! I nie próbuj mieszać się do mojego dzieła. Jeśli ośmielisz się to uczynić, będziesz skończony - słyszysz, mistrzu Łazarzu? - skończony! Nie zrozum mnie źle. Niezmiernie się cieszę z naszego spotkania. Uwolniłem się i tego właśnie pragnąłem - uwolnić się od ciebie. Cóż, teraz pozbyłem się ciebie i jestem wolny, jestem swoim własnym panem. Żegnaj!

To mówiąc, odryglował drzwi i jednym susem znalazł się na drodze wiodącej do Jerozolimy.

- Ależ mu się spieszy - powiedział Murzynek, podchodząc do drzwi i śledząc Pawła rozgniewanym wzrokiem. - Zakasał rękawy i biegnie jak wygłodniały wilk, który chce pożreć cały świat.

Odwrócił się do Jezusa, żeby za pomocą swojej sztuki odegnać niebezpieczne duchy, które zstąpiły z nieba, aby go niepokoić. Ale Jezus przekroczył już próg. Stał pośrodku drogi; z bólem i tęsknotą patrzył na rozpłomienionego apostoła, który zniknął w oddali. Jeszcze raz dopadły go okropne wspomnienia i pragnienia, o których już prawie zapomniał. Przestraszony chłopiec złapał go za ramię.

- Jezusie - powiedział cicho rozkazującym tonem - Jezusie z Nazaretu, twój umysł się chwieje. Czemu tak patrzysz? Wejdź do domu!

Lecz Jezus, milczący i blady, szarpnął ramieniem i strząsnął z niego dłoń anioła.

- Wejdź do domu - powtórzył chłopiec z gniewem. - Lepiej słuchaj tego, co ci

mówię, dobrze wiesz, kim jestem.

- Zostaw mnie w spokoju! - zagrzemiał Jezus, z oczyma wpatrzonymi w Pawła, który właśnie zniknął u kresu drogi.

- Chcesz pójść z nim?

- Zostaw mnie w spokoju! - zagrzemiał ponownie Jezus. Szczękał zębami; nagle zrobiło mu się bardzo zimno.

- Mario! - zawołał Murzynek. - Marto! - Schwycił Jezusa mocno w pasie, aby mu nie uciekł.

Kobiety usłyszały wołanie i przybiegły otoczone dziećmi. Otworzyły się drzwi pobliskich domów i na drogę wybiegli sąsiedzi, którzy otoczyli kołem Jezusa, stojącego pośrodku drogi, bladego jak ściana. Nagle jego powieki opadły i bezszelestnie osunął się na ziemię.

Czuł, jak go podnoszą, kładą do łóżka, jak nakrapiają skronie esencją z kwiatów pomarańczy; czuł zapach octu, który podetknęli mu pod nos. Otworzył oczy, ujrzał swoje dwie żony i uśmiechnął się. Kiedy zobaczył czarnoskórego chłopca, uściskał mu dłoń.

- Trzymaj mnie mocno - powiedział - nie pozwól mi odejść. Dobrze mi tu, gdzie jestem.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Jezus siedział pod starą winoroślą na podwórzu. Biała broda spływała mu na odsłoniętą pierś. Był dzień Paschy. Wykąpał się, namaścił wonnymi olejkami włosy i brodę, i włożył odświętne ubranie. W pobliżu, obok zamkniętych drzwi nie było nikogo. Jego żony, dzieci i wnuki bawiły się w tylnej części domu; Murzynek, który rankiem wdrapał się na okap, spoglądał gniewnie w stronę Jerozolimy.

Jezus spojrział na swoje dłonie. Były zgrubiałe i niezgrabne, poorane ciemnosinymi, wyschłymi żyłami; stare, tajemnicze rany na wierzchu każdej dłoni zaczynały blednąć i zanikać. Potrząsnął siwą głową i westchnął.

- Jak szybko minęły lata, jak się zestarzałem! Nie tylko ja, ale i moje żony i drzewa na podwórzu, drzwi, okna i kamienie, po których stąpam.

Przestraszony zamknął oczy i poczuł czas płynący jak rzeka, od źródła - jego umysłu - w dół, po karku, piersi, plecach, udach aż do ujścia w podszewkach stóp. Usłyszał kroki na podwórzu i otworzył oczy. Nadchodziła Maria. Zobaczyła, że jest pogrążony w myślach, podeszła i usiadła u jego stóp. Jezus położył dłoń na jej niegdyś kruczoczarnych włosach, które, podobnie jak jego własne, były teraz siwe. Ogarnęła go niewypowiedziana czułość. "W moich ramionach - pomyślał - osiwiła. W moich ramionach..."

Pochylił się i powiedział do niej:

- Pamiętasz, ukochana Mario, ile razy przybywały jaskółki od błogosławionego dnia, kiedy przekroczyłem próg twego domu jako jego gospodarz i kiedy jako twój mąż wszedłem do twego łona? Ile razy sialiśmy i zbieraliśmy razem oliwki? Włosy ci posiwiały, najdroższa Mario, podobnie jak włosy mężnej Marty.

- Tak, kochany, osiwiliśmy - odpowiedziała Maria - Czas płynie. Tę winorośl zasadziliśmy w dniu, gdy zjawił się ten przeklęty garbus, który rzucił na ciebie urok i zemdlałeś - pamiętasz? Od ilu lat jemy te grona?

Murzynek ześlizgnął się bezszelestnie z dachu i stanął przed nimi. Maria wstała i odeszła. Nie lubiła tego dziwnego, zaadoptowanego dziecka. Nie rósł, nie starzał się; nie był człowiekiem lecz duchem, złym duchem, który wszedł do ich domu i nie chciał go opuścić. Nie lubiła jego drwiących, swawolnych oczu, ani potajemnych, nocnych rozmów z Jezusem.

Murzynek zbliżył się z szyderstwem w oczach. Wyszczrzył białe, ostre zęby.

- Jezusie z Nazaretu - powiedział - zbliża się koniec.

Zdziwiony Jezus odwrócił się.

- Jaki koniec?

Murzynek położył palec na ustach.

- Koniec jest blisko - powtórzył. Ukucnął naprzeciw Jezusa i popatrzył na niego ze śmiechem.

- Opuuszczasz mnie? - zapytał Jezus i nagle poczuł się dziwnie zadowolony i uspokojony.

- Tak, nadszedł koniec. Dlaczego się uśmiechasz, Jezusie z Nazaretu?

- Miłej podróży. Dostałem od ciebie to, co chciałem, nie jesteś mi już potrzebny.

- Tak się ze mną żegnasz? Potrafisz być tak niewdzięczny? Całe lata trudziłem się dla ciebie, nie szczędziłem wysiłku, żeby dać ci każdą radość, jakiej zapragniesz. I wszystko to na marne?

- Jeśli chciałeś tylko skąpać mnie w miodzie, jak pszczołę, to zaiste próżno się trudziłeś. Zjadłem cały miód, na jaki miałem ochotę, ale nie zamoczyłem skrzydeł.

- Jakich skrzydeł, jasnowidzu?

- Duszy.

Murzyn zaśmiał się złośliwie.

- Nieszczęśniku, myślisz, że masz duszę?

- Mam. Ona nie potrzebuje czarnego anioła stróża: jest wolna. Anioł stróż rozgniewał się.

- Buntowniku! - wrzasnął. Podniósł kamień i zmiażdżył go w dłoniach.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zobaczymy. - Ruszył w stronę drzwi, przeklinając po drodze.

Dziki wrzaski, zawodzenie, lament... Konie rżały; drogi zapełniły się uciekającymi ludźmi.

- Jeruzalem płonie! - krzyczeli. - Wzięli Jeruzalem! Jesteśmy straceni!

Rzymianie oblegali miasto od miesięcy, lecz Izraelitów wspomagała ufność w Jahwe. Czuli się bezpieczni. Święte miasto nie mogło spłonąć, święte miasto nie miało się czego bać; anioł z mieczem stał w każdej bramie. A teraz...

Na ulicę wybiegła z krzykiem kobieta, rwąc włosy z głowy. Mężczyźni rozdierali szaty i czekali aż pojawi się Bóg. Jezus wstał, wziął za rękę Marię i Martę, wprowadził je do domu i zaryglował drzwi.

- Dlaczego płaczecie? - zapytał ze współczuciem. - Dlaczego opieracie się woli Boga? Posłuchajcie, co wam powiem i nie bójcie się. Czas to ognisko, moje kochane żony. Bóg trzyma rożen. Co roku obraca jedno jagnię. W tym roku ofiarnym jagnięciem jest Jeruzalem; za rok będzie nim Rzym, a potem ...

- Cicho - krzyknęła Maria. - Zapomniałeś, że jesteśmy słabymi niewiastami.

- Wybacz mi Mario - rzekł Jezus. - Zapomniałem. Serce czasami zapomina i nie ma litości.

Na ulicy rozległy się ciężkie kroki. Słysząc było sapanie, a w chwilę później łomotanie grubych lasek do bramy.

Murzynek podskoczył, złapał rygiel i spojrzał na Jezusa z szyderczym śmiechem.

- Mam otworzyć? - zapytał, nie mogąc powstrzymać chichotu. - To twoi dawni towarzysze, Jezusie z Nazaretu.

- Moi towarzysze?

- Powinieneś ich zobaczyć! - powiedział Murzyn i otworzył bramę.

W przejściu stała gromada drobnych staruszków. Zmienili się nie do poznania. Wpełzli na podwórze oparci jeden o drugiego. Sprawiali wrażenie, jakby byli przyklejeni do siebie na stałe.

Jezus zrobił krok do przodu i zatrzymał się. Chciał wyciągnąć rękę i powitać ich, ale nagle jego duszę ogarnął nieznośny smutek - smutek, gniew i litość. Zacisnął pięści i czekał. Z ich włosów i otwartych ran unosił się fetor. Powietrze wokół zaczęło cuchnąć. Murzynek obserwował wszystko ze śmiechem.

Jezus zrobił jeszcze jeden krok i zwrócił się do starego mężczyzny, który wyglądał na przywódcę gromady.

- Hej, ty - powiedział - podejdź tu. Stój spokojnie, żebym mógł znaleźć cię we wspomnieniach. Moje serce mocno bije na twój widok, ale to obwisłe ciało, te oczy - nie znam ich.

- Nie poznajesz mnie, Rabbi?

- Piotrze, ty jesteś skałą, na której kiedyś, w dniach młodości, chciałem zbudować swój kościół? Jak zwyrodniałeś, synu Jonasza! Już nie skała, ale gąbka pełna dziur!

- Lata, Rabbi...

- Jakie lata? Nie lata są winne. Dopóki dusza jest zdrowa, chroni ciało i nie pozwala, by lata go dotknęły. To twoja dusza zmarniała, Piotrze, dusza.



- Spadły na mnie kłopoty tego świata. Ożeniłem się, miałem dzieci, byłem ranny, widziałem, jak płonie Jeruzalem... Jestem człowiekiem, to wszystko mnie złamało.

- Tak, jesteś człowiekiem i to wszystko cię złamało - powiedział Jezus ze współczuciem. - Biedny Piotrze, w takim świecie jak dzisiejszy musimy być zarówno Bogiem, jak i szatanem, żeby przetrwać.

Zwrócił się do następnego, który wyłonił się zza pleców Piotra.

- A ty? - zapytał. - Obcięli ci nos, twoja, twarz wygląda jak czaszka - same dziury. Jak mam cię poznać? No dalej, stary przyjacielu, mów. Powiedz "Rabbi"! - może wtedy cię poznam.

Wynędniała postać wydała z siebie dziki okrzyk:

- Rabbi! - po czym pochyliła głowę i stała nieruchomo.

- Ależ to Jakub, najstarszy syn Zebedeusza, ten potężny kolos i wielki umysł!

- Raczej to, co z niego zostało, Rabbi - powiedział Jakub, pociągając nosem. - Burza uczyniła mnie kaleką. Złamał się kil, pękł kadłub, runął maszt. Wróciłem do portu jako wrak.

- Jakiego portu?

- Do ciebie, Rabbi.

- Jak mogę ci teraz pomóc? Nie jestem portem, gdzie można cię skleić. To, co powiem, Jakubie, jest przykre, ale sprawiedliwe: twój port jest na dnie morza. Jak mawiał twój ojciec, dwa i dwa to cztery.

Ogarnęły go nagle oburzenie i smutek. Zwrócił się do drugiego szeregu starców.

- A wy trzej? Ty, łodygo fasoli, kiedyś byłeś Natanielem, prawda? Sflaczałeś teraz. Popatrz tylko na swój obwisły tyłek, brzuch i podwójny podbródek! Gdzie się podziały twoje prężne mięśnie, Natanielu? Jesteś teraz szkieletem dwupiętrowego budynku. Tak, pozostało tylko rusztowanie, ale nie wzdychaj, Natanielu - to wystarczy, żeby dostać się do nieba.

Nataniel rozgniewał się.

- Jakiego nieba? Nie dość, że straciłem uszy, palce i oko! Nie, oprócz tego wszystko, co nam mówiliś: chwała, duma, majestat, królestwo niebieskie - to wszystko pijackie brednie, teraz otrzeźwieliśmy! Co o tym myślisz, Filipie, mam rację?

- Cóż mogę powiedzieć, Natanielu - rzekł drobny mężczyzna ze środka grupy. - Cóż mogę powiedzieć, bracie! To ja odpowiadam za to, że się do nas przyłączyłeś!

Jezus pokiwał ze współczuciem głową i wziął za rękę tego, którego nazwano Filipem.

- Pokochałem cię, Filipie, najlepszy z pasterzy, bo nie miałeś żadnych owiec. Miałaś tylko łaskę pasterską i pilnowałaś powietrza. Nocą wypasałaś wiatr. W wyobraźni rozpalalaś ogniska, ustawiałaś wielkie kotły, gotowałaś mleko i spuszczałaś je z góry na równinę, żeby biedni mogli się napić. Całe twe bogactwo było w sercu. Na zewnątrz: ubóstwo, pogarda, samotność i głód. Oto co znaczy być moim uczniem! A teraz... Filipie, najlepszy z pasterzy, jak nisko upadłeś! Tęskniłeś za prawdziwymi owcami, owcami, których wełnę i ciało mógłbyś wziąć w garść - a sam zniknąłeś!

- Zgłodniałem - odpowiedział Filip. - Co miałem zrobić?

- Myśl o Bogu, a będziesz napełniony! - odparł Jezus i wtedy serce nagle ponownie mu stwardniało.

Zwrócił się do starego mężczyzny z tyłu, który wpadł w koryto i leżał w nim trzęsąc się. Jezus podniósł okrywające go łachmany, zmarszczył brwi, ale nie mógł poznać kto to jest. Dopiero gdy dotknął jego włosów, za uchem znalazł stare gęsie pióro. Roześmiał się.

- Witaj - powiedział. - Witajcie splamione atramentem palce i serce! Czy nadal wypełniasz papier kleksami, Mateuszu, mój skrybo? Wyruszyłeś na wojnę, używając pióra jako włóczni?

- Dlaczego ze mnie szydzisz? - zapytał gorzko Mateusz. - Czy nigdy nie przestaniesz się z nas wyśmiewać? Pomyśl o tym, z jakim rozmachem opisywałem twoje życie i czasy. Razem z tobą też stałbym się nieśmiertelny. A teraz paw utracił pióra. Bo to nie był paw, tylko kurczę. Jaka szkoda, że tak ciężko pracowałem!

Jezus poczuł nagle, jak uginają się pod nim kolana. Pochylił głowę; ale po chwili podniósł ją szybko i groźnie wymierzył w Mateusza palec.

- Zamilcz! - powiedział - Jak śmiesz!

Przed Natanielem pojawił się wymizerowany, zezowaty starzec i zakaszłał. Jezus odwrócił się, ujrzał go i natychmiast rozpoznał.

- Witaj, Tomaszu, moje siedmiomiesięczne dziecko! Gdzie posiałaś swoje zęby? Co zrobiłaś z dwoma włosami, które miałeś na głowie?

Od jakiego kozła wzięłaś tę bródkę, która wisi na twojej twarzy? Dwulicowy, siedmiooki, przebiegły Tomaszu, czy to ty?

- We własnej osobie! Tylko zębów brakuje - straciłem je po drodze - tak jak i włosy. Cała reszta jest w porządku.

- A umysł?

- Jak kogut. Wspina się na kupę gnoju wiedząc, że nie jest tym, który przyprawia słońce, ale mimo to pieje każdego ranka, bo wie, kiedy należy pisać.

- Czy ty też walczyłeś, żeby ocalić Jeruzalem, bohaterze nad bohaterami?

- Ja, walczyć? Masz mnie za głupca? Odgrywałem proroka.

- Proroka? A zatem maleńki rozum rozwinął skrzydła? Bóg cię natchnął?

- A co Bóg ma z tym wspólnego? Samym rozumem poznałem tajemnicę.

- Jaką tajemnicę?

- Co oznacza być prorokiem. Wasza świątobliwość też ją kiedyś знаła, ale wydaje mi się, że wszystko zapomniałeś.

- Przypomnij mi ją, przebiegły Tomaszu - może mi się to znów przyda. Kim jest prorok?

- Prorok to ten, który, gdy wszyscy naokoło rozpaczają, ma nadzieję. A gdy wszyscy mają nadzieję, on rozpacza. Zapytasz mnie dlaczego. Dlatego, że poznał Wielką Tajemnicę: że Koło się obraca.

- Niebezpiecznie jest z tobą rozmawiać, Tomaszu - powiedział Jezus, mrugając do niego. - Wewnątrz twoich małych, ruchliwych oczu dostrzegam ogon, dwa rogi i płonąca iskierkę.

- Prawdziwe światło płonie, Rabbi. Wiesz o tym, ale litujesz się nad ludzkością. Serce lituje się, dlatego świat pogrążony jest w ciemności. Lecz umysł nie zna litości, dlatego świat płonie... Każesz mi milczeć? Masz rację. Nie wolno odkrywać takich tajemnic przed tymi prostymi duszami. Żaden z nich nie jest dość wytrzymały, z wyjątkiem tego jednego!

- Kto to?

Tomasz podszedł do bramy i wskazał na stojącego w progu olbrzyma, który wyglądał jak uschnięte drzewo osmalone przez piorun.

- On! - powiedział cofając się - Judasz! Tylko on jeszcze trzyma się prosto. Uważaj, Rabbi. Jest nieustępliwy i pełen życia. Mów do niego łagodnie, przymilaj się. Spójrz, jego uparta czaszka aż paruje od gniewu.

- Lepiej zatem uważać, żeby nie pogryzł nas ten pustynny lew! - podniósł głos. - Judaszu, mój bracie, czas to królewski tygrys pożerający ludzi. Nie zadowala się ludźmi: zjada też miasta, królestwa i (Boże wybac mi) bogów! Ale ciebie nie dotknął. Twój gniew nie ustąpił; nie, nigdy nie zawarłeś pokoju ze światem. Wciąż widzę nóż przy twojej piersi, a w twoich oczach nienawiść, gniew i nadzieję, wielkie ognie

młodości... Witaj!

- Judaszu, nie słyszysz? - zapytał Jan, który padł do stóp Jezusa. Trudno go było poznać, miał białą brodę i dwie głębokie rany na policzkach i karku. - Nie słyszysz, Judaszu? Mistrz cię wita. Odpowiedz mu.

- Jest uparty jak muł - powiedział Piotr. - Zagryza usta, żeby nic nie powiedzieć.

Jezus wbił wzrok w swego starego, dzikiego towarzysza i przemówił do niego słodkim głosem.

- Judaszu, nad moim dachem przeleciał ptak i przyniósł wieści, które potem spadły na moje podwórko. Wygląda na to, że poszedłeś w góry i walczyłeś z tyranami. Potem wróciłeś do Jerozolimy, pojmałeś zdrajców i zabiłeś ich co do jednego na ołtarzu Boga Izraela. Jesteś wielką, mroczną, zrozpaczoną duszą, Judaszu. Odkąd się rozstaliśmy, ani przez jeden dzień nie byłeś zadowolony. Judaszu, mój bracie, tęskniłem za tobą. Witaj!

Jan wpatrywał się przerażonym wzrokiem w Judasza, który nadal zagryzał usta, by nic nie powiedzieć.

- Gęsty dym nigdy nie przestaje się kłębić nad jego głową - powiedział cicho i przysunął się do innych.

- Uważaj, Rabbi - powiedział Piotr. - Patrzy na ciebie z każdej strony i zastanawia się, gdzie najpierw uderzyć.

- Mówię do ciebie, Judaszu, mój bracie - rzekł Jezus. - Nie słyszysz? Witam cię, a ty nie kładziesz dłoni na sercu i nie mówisz: "Cieszę się, że cię widzę!" Czy cierpienia Jerozolimy ogłuszyły cię? Przemów. Jesteś mężczyzną: musisz to znieść, nie lamentuj. Wypełniłeś swój obowiązek z odwagą. Głębokie rany na twoich ramionach, piersi i twarzy świadczą, że walczyłeś jak lew. Ale cóż może uczynić człowiek wobec woli Boga? Walcząc w obronie Jerozolimy, walczyłeś z Bogiem. W jego umyśle święte miasto było prochem wiele lat temu.

- Patrzcie, zrobił krok do przodu - szepnął przestraszony Filip. - Głowę wtulił w ramiona jak byk. Teraz będzie szarżował.

- Odsuńmy się na bok, chłopcy - powiedział Nataniel. - Teraz podnosi w górę pięści.

- Rabbi, uważaj! - zawołały Marta i Maria, podchodząc do przodu.

Lecz Jezus spokojnie mówił dalej. Mimo to usta zaczęły mu wyraźnie drżeć.

- Ja też walczyłem tak jak umiałem, Judaszu, mój bracie. Jako młodzieniec

chciałem zbawić świat. Później, gdy dojrzałem, przyłączyłem się do mężczyzn. Pracowałem: orałem ziemię, kopałem studnie, hodowałem oliwki i winogrona. Wziąłem w ramiona ciało kobiety i stworzyłem człowieka, pokonałem śmierć. Czyż nie mówiłem zawsze, że to właśnie zrobię? Cóż, dotrzymałem słowa: pokonałem śmierć!

Nagle Judasz rzucił się do przodu, odepchnął Piotra i stojące przed nim kobiety i wydał z siebie dziki okrzyk:

- Zdrajca!

Wszyscy skamienieli. Jezus pobladł i położył dłonie na piersiach.

- Ja? Ja, Judaszu? - powiedział cicho. - Wyrzekłeś straszliwe słowo. Cofnij je!

- Zdrajca! Dezerter!

Drobni starcy aż poźółkli ze strachu i rzucili się w stronę bramy. Tomasz był już na ulicy.

Obie kobiety ruszyły do przodu.

- Bracia, nie odchodźcie - krzyknęła Maria. - Szatan podniósł dłoń na Mistrza. Zaraz go uderzy!

Piotr przemykał się do bramy, żeby uciec.

- Dokąd idziesz? - spytała Marta, zatrzymując go. - Chcesz się go znowu wyprzeć - jeszcze raz?

- Nie chcę się w to mieszać - powiedział Filip. - Iskariota jest silny, a jestem już stary. Chodźmy Natanielu.

Judasz i Jezus stali twarzą w twarz. Judasz kipiał z gniewu. Cuchnął potem i gnijącymi ranami.

- Zdrajca! Dezerter! - krzyknął powtórnie. - Twoje miejsce było na krzyżu. Tam kazał ci walczyć Bóg Izraela. Ale przestraszyłeś się i gdy śmierć podniosła głowę uciekłeś! Schowałeś się w spódnicach Marty i Marii. Tchórz! Zmieniłeś twarz i nazwisko, udawałeś Łazarza, żeby się uratować!

- Judaszu Iskarioto - przerwał mu Piotr, któremu kobiety dodały odwagi. - Czy w taki sposób mówi się do Mistrza? Nie masz żadnego szacunku?

- Jakiego Mistrza? - zawył Iskariota zaciskając pięści. - On? Nie widzisz, nic nie rozumiesz? On Mistrzem? Co nam powiedział, co obiecał? Gdzie jest armia aniołów, która miała ocalić Izrael? Gdzie jest krzyż, który miał zaprowadzić nas do nieba? Ledwo ten fałszywy Mesjasz stanął pod krzyżem, zemdłał. Potem wzięły go kobiety, żeby płodził im dzieci. Mówi, że walczył, odważnie walczył. Przechwala się jak kogut. Ale twoje miejsce, dezerterze, było na krzyżu i ty wiesz o tym. Inni mogli uprawiać

jałową ziemię i kobiety. Twoim przeznaczeniem był krzyż! Chwalisz się, że pokonałeś śmierć. Wstyd! Czy tak można pokonać śmierć - płodząc dzieci, które zostaną pożarte przez Charona! Dostarczyłeś mu tylko mięsa. Zdrajca! Dezerter! Tchórz!

- Judaszu, mój bracie - powiedział Jezus, który zaczął już cały drzeć - nie mów tak.

- Złamałeś mi serce, synu cieśli - krzyknął Judasz - jak mam do ciebie mówić? Czasami mam ochotę wyć jak wdowa i walić głową w mur! Niech przeklęty będzie dzień, w którym się urodziłeś, dzień, w którym ja się urodziłem, godzina, kiedy cię poznałem i nappełniłeś moje serce nadzieją! Gdy chodziłeś z nami i mówiłeś o ziemi i niebie, jaka to była radość, wolność i bogactwo! Granaty wydawały się tak duże jak dwunastoletni chłopcy. Wystarczał nam kłos pszenicy za posiłek. Pewnego dnia mieliśmy pięć bochenków chleba: nakarmiliśmy nimi tysięczny tłum i zostało jeszcze dwanaście koszy. A gwiazdy: jaka chwała, ileż światła na niebie! To nie były gwiazdy, ale anioły. Nie, to nie anioły; to my, twoi uczniowie, wznieśliśmy się ku niebu i tańczyliśmy wokół ciebie, niczym wokół Gwiazdy Polarnej. Wzięłeś mnie kiedyś w ramiona i błagałeś: "Zdradź mnie, zdradź. Muszę zostać ukrzyżowany, żebyśmy mogli ocalić świat", pamiętasz?

Judasz przestał mówić i westchnął. Jego rany otworzyły się i zaczęły krwawić. Starcy, znów zbici w ciasną gromadkę, pochylili głowy i próbowali sobie wszystko przypomnieć, próbowali powrócić do życia.

Łza spłynęła z oka Judasza. Wytarł ją z gniewem i zaczął znów krzyczeć. Jego serce nadal nie było puste.

- "Ja jestem barankiem Bożym - beczaleś. - Idę na rzeź, żeby ocalić świat. Judaszu, mój bracie, nie bój się. Śmierć to brama do nieśmiertelności. Trzeba przez nią przejść. Pomóż mi!" A ja tak bardzo cię kochałem, tak bardzo ci ufałem, że zgodziłem się i zdradziłem cię. Ale ty... ty...

Piana wypłynęła mu na usta. Złapał Jezusa za ramię, potrząsnął nim mocno i przydusił do ściany. Krzyczał dalej:

- Co masz tu do roboty? Dlaczego nie dałeś się ukrzyżować? Zdrajco! Dezerterze! Tchórz! Tylko tyle udało ci się osiągnąć? Nie masz wstydu? Pytam cię, dlaczego nie zostałeś ukrzyżowany?

- Zamilcz! Zamilcz! - błagał Jezus. Krew zaczęła płynąć z jego pięciu ran.

- Judaszu Iskarioto - przerwał ponownie Piotr - nie masz litości?

Nie widzisz jego stóp i dłoni? Dotknij jego boku, jeśli nie wierzysz. Krwawi.

Judasz zmusił się do śmiechu. Potem splunął na ziemię i zawołał:

- Synu cieśli, już mnie na nic nie nabierzesz! W nocy zjawił się twój anioł stróż.

Jezus zadrżał.

- Mój anioł stróż ... - powiedział drżącym głosem.

- Tak, twój anioł stróż: szatan. Zrobił ci czerwone znaki na dłoniach, stopach i boku, żebyś mógł oszukać świat i samego siebie. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Dlaczego nie odpowiadasz? Tchórze! Dezerterze! Zdrajco!

Jezus zamknął oczy. Było mu słabo, ale nadal trzymał się na nogach.

- Judaszu - powiedział drżącym głosem - zawsze byłeś krnąbrny i dziki; nigdy nie rozumiałeś ludzkiej słabości. Zapomniałeś, że dusza to strzała: leci w górę, w kierunku nieba tak wysoko jak potrafi, ale zawsze spada z powrotem na ziemię. Życie na ziemi to utrata skrzydeł.

Judasza ogarnęła wściekłość, gdy to usłyszał.

- Wstyd! - wrzasnął. - Tym się stałeś, ty, syn Dawida, Syn Boga, Mesjasz! Życie na ziemi to zamiana chleba i wody w skrzydła. Życie na ziemi to rozwijanie skrzydeł. Tak nam mówiłeś, zdrajco! To nie moje słowa, tylko twoje. Jeśli zapomniałeś, przypominam ci. Gdzie jesteś, Mateuszu? Chodź tutaj! Otwórz swoją księgę, zawsze ją ze sobą nosisz, tak jak ja nóż. Czas zrobił swoje z tym twoim pisaniem, ale można jeszcze odczytać kilka słów. Czytaj Mateuszu, żeby ten jegomość przypomniał sobie. Pewnej nocy przyszedł do niego Nikodem i zapytał: "Kim jesteś? Czym się zajmujesz?" A ty synu cieśli odpowiedziałeś: "Daję ludziom skrzydła". Gdy to rzekłeś, wszyscy poczuliśmy, jak z pleców wyrastają nam skrzydła. A teraz, co się z tobą stało, oskubany kogucie! Odwracasz się i mówisz: "Życie na ziemi to utrata skrzydeł". Zejdź mi z oczu, tchórze! Jeżeli życie nie jest grzmotem i błyskawicą, to szkoda gadania! Nie zbliżaj się do mnie, Piotrze, ani ty Andrzej. Nie krzyczcie kobiety. Nic mu nie zrobię. Dlaczego miałbym podnosić na niego rękę? Jest już martwy i pogrzebany. Stoi jeszcze na nogach, mówi, płacze, ale jest już martwy: padlina. Niech mu Bóg przebaczy - Bóg, bo ja nie potrafię. Niech spadną na jego głowę krew, łzy i prochy Izraela!

Starcy upadli na ziemię. Powróciły wspomnienia; poczuli się znów młodzi, przypomniało im się królestwo niebieskie, tron, majestat. Zaczęli nagle śpiewać pieśń pogrzebową. Wyjąc, uderzali głowami o ziemię.

Jezus też zaczął łkać. Zawołał:

- Judaszu, mój bracie, przebacz mi! - i chciał rzucić się w ramiona rudobrodego. Ale Judasz odskoczył, wyciągnął pięści i nie pozwolił mu się zbliżyć.

- Nie dotykaj mnie - krzyknął. - W nic już nie wierzę; w nikogo. Złamałeś mi serce!

Jezus potknął się. Chciał się czegoś złapać. Leżące na ziemi kobiety wrywały sobie włosy z głowy i krzyczały; uczniowie patrzeli na niego z gniewem i nienawiścią. Murzynek zniknął.

- Jestem zdrajcą, tchórzem, dezterem - wyszeptał. - Teraz to rozumiem: jestem stracony! Tak, powinienem zostać ukrzyżowany, ale zabrakło mi odwagi i uciekłem. Wybaczcie mi, bracia, oszukałem was. Gdybym tylko mógł przeżyć swoje życie od początku!

Upadł na ziemię i uderzał głową o kamienie podwórza.

- Przyjaciele, przemówcie do mnie, pociescie mnie. Ginę, jestem stracony! Wyciągam dłoń. Czy nikt jej nie złapie, nikt nie powie mi dobrego słowa? Nikt? Nawet ty, umiłowany Janie? Nawet ty, Piotrze?

- Co tu jest do powiedzenia? - zapłakał umiłowany uczeń. - Jakie czary na nas rzuciłeś, synu Marii?

- Oszukałeś nas - powiedział Piotr wycierając łzy. - Judasz ma rację: złamałeś słowo. Zmarnowaliśmy nasze życie.

Starcy zaczęli nagle krzyczeć chórem.

- Tchórz! Dezter! Zdrajca!

- Tchórz! Dezter! Zdrajca!

A Mateusz lamentował:

- Cała moja praca poszła na marne! Jak zgrabnie powiązałem twoje słowa i czyny z prorokami! Było to trudne, ale udało mi się. Mawiałem sobie, że w przyszłych synagogach wierni będą otwierać grube tomy i mówić: "Dziś czytanie z Pisma Świętego według Mateusza!" Ta myśl dodawała mi skrzydeł i pisałem. Teraz wszystko rozwiało się w dymie, a ty - niewdzięczniku, analfabeto, zdrajco - jesteś temu winny. Tak, nawet tylko przez wzgląd na mnie, przez wzgląd na moje pismo, powinieneś zostać ukrzyżowany.

Raz jeszcze rozległ się skamlący chór starców.

- Tchórz! Dezter! Zdrajca!

- Tchórz! Dezter! Zdrajca!

W tym momencie z ulicy wbiegł Tomasz.

- Rabbi - zawołał. - Nie zostawię cię teraz, gdy wszyscy nazywają cię zdrajcą! Nie opuszczę cię, nie, nie ja - prorok Tomasz. Powiedzieliśmy, że Koło się obraca.



Dlatego cię nie opuszczę. Czekam aż Koło się obróci.

Piotr wstał.

- Chodźmy - krzyknął. - Judaszu, stań na przedzie i prowadź nas!

Dysząc ciężko, staruszkowie podnieśli się. Jezus leżał rozciągnięty twarzą do ziemi, z rozpostartymi szeroko ramionami. Wypełnił cały dziedziniec. Dawni przyjaciele wciąż wygrażali nad nim pięściami:

- Tchórz! Dezerter! Zdrajca!

- Tchórz! Dezerter! Zdrajca!

Każdy wykrzykiwał po kolei: "Tchórz! Dezerter! Zdrajca!" i znikał bez śladu.

Jezus rozejrzył się z bólem dookoła. Był sam. Podwórze i dom, bramy do wioski, sama wioska - wszystko zniknęło. Nie pozostało nic oprócz pokrytych krwią kamieni pod jego stopami; a dalej, w dole tłum: tysiące głów w ciemności.

Próbował odkryć gdzie jest, kim jest i dlaczego czuje ból. Chciał dokończyć swój krzyk LAMA SABAKTHANI. . . . Usiłował poruszyć ustami, ale nie mógł. Zawirowało mu w głowie, jakby miał zemdleć. Miał wrażenie, że spada w jakąś przepaść i znika.

Nagle poczuł na ustach i nozdrzach gąbkę umoczoną w occie; ktoś w dole musiał zlitować się nad nim i podawał mu ją na trzcinnie. Przez chwilę wdychał głęboko gorzki, cuchnący zapach, po czym spojrział w niebo i wydał z siebie rozdzierający serce krzyk: LAMA SABAKTHANI!

Wyczerpany, natychmiast opuścił głowę na piersi. W dłoniach, stopach i sercu czuł przeraźliwy ból. Zaostrzonym nagle wzrokiem dostrzegł cierniową koronę, krew i krzyż. Dwa złote kolczyki i dwa rzędy ostrych, białych zębów lśniły w ciemnym słońcu. Usłyszał chłodny, szyderyczy śmiech: kolczyki i zęby zniknęły. Pozostał sam, zawieszony w powietrzu.

Jego głowa kiwała się na boki. Nagle przypomniał sobie, gdzie jest, kim jest i dlaczego czuje ból. Ogarnęła go dzika, nieposkromiona radość. Nie, nie jest tchórzem, dezerterem i zdrajcą! Wisi na krzyżu. Wytrwał do samego końca; dotrzymał słowa. Kiedy zawołał ELI ELI i zemdłał, na moment poddał się pokusie. Radości, małżeństwa, dzieci były kłamstwem; zniedołęzniali starcy, którzy krzyczeli: "Zdrajca, dezerter, tchórz" to też kłamstwo. Wszystko, wszystko to majaki zesłane przez szatana. Jego uczniowie żyli i mieli się dobrze. Rozeszli się w różne strony świata, żeby głosić Dobrą Nowinę. Wszystko było tak jak być powinno, chwała Panu!

Wydał z siebie triumfalny okrzyk: DOKONAŁO SIĘ!

I zabrzmiało to tak, jakby powiedział: Wszystko się zaczęło.